

Zwycięstwo





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JOSEPH CONRAD

Zwycięstwo

TŁUM. ANIELA ZAGÓRSKA

TOM PIERWSZY

„Zwołując cienie, wabiąc straszliwe zjawy
i beczelne usta, głoszące ludzkie imiona
wśród piasków, i na wybrzeżach, i w dzikiej głuszy”

Comus

PERCEVALOWI I MAISIE GIBBON

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA

Ostatnie słowo tej powieści zostało napisane 29 maja 1914 roku. Tym ostatnim słowem był pojedynczy wyraz, a mianowicie tytuł.

Działo się to w czasach pokoju. Teraz, gdy zbliża się chwila wydania książki, przyszedł mi na myśl, czy nie należałoby zmienić tytułu. Słowo: zwycięstwo, wspaniały i tragiczny cel szlachetnych dążeń, wydało mi się zanadto wielkim i wzniosłym na nazwę zwykłej powieści. Mógł mnie ktoś także posądzić, że ze względów czysto handlowych usiłuję wmówić w publiczność, iż treść książki ma jakiś związek z wojną.

Tego się jednak nie bardzo obawiałem. Na moją decyzję wpłynęły najsilniej nieuchwytnie podszepty tych pogańskich pozostałości grozy i lęku, które czają się jeszcze na dnie naszego starego człowieczeństwa. Zwycięstwo było ostatnim słowem, które napisałem w czasie pokoju. Był to ostatni literacki pomysł, który mi się nasunął, zanim drzwi świątyni Janusa¹ rozwarły się z hukiem, wstrząsając umysłami, sercami i sumieniami wszystkich ludzi na świecie. Nie należało lekceważyć takiego zbiegu okoliczności. Postanowiłem więc zostawić to słowo, wiedziony tą samą nadzieją, z którą jacyś prostoduszni obywatele dawnego Rzymu byliby przyjęli omen.

Druga rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę, dotyczy istnienia (w powieści) osobnika nazwiskiem Schomberg.

Że uważam go za istotę prawdziwą, o tym mówić nie potrzebuję. Nikt nie przypuści, abym świadomie dawał lichy towar swoim czytelnikom. Schomberg jest dawnym członkiem mojej kompanii. W *Lordzie Jimie*, sięgającym jeszcze roku 1899, występował jako bardzo podrzędna osobistość, a w jednej z nowel, wydanej w 1902 r., odegrał już rolę poważną. Tutaj ukazuje się w jeszcze większej roli, zgodnej z prawdą życiową (mam nadzieję) — a także i z własnym swoim charakterem. Tylko w tym wypadku wchodzi w grę jego głębokie namiętność i, co za tym idzie, groteskowa jego psychologia zostaje nareszcie uzupełniona.

Nie twierdzę wcale, że moja powieść daje całość germańskiej psychiki; ale jest to bezsprzecznie psychika Germanina. Wspominam o tym, aby podkreślić fakt, że Schomberg nie jest bynajmniej wcieleniem wrogich uczuć z ostatniej doby i że stanowi rezultat moich dawnych, głęboko ugruntowanych i poniekąd bezstronnych zapatrywań.

Niemiec

J. C.

PRZEDMOWA

W chwili, gdy zaczynam pisać przedmowę do *Zwycięstwa*, zdaję sobie przede wszystkim sprawę, jak bliską mi jest ta książka; bliską mi jest osobiście, bliską jest minionego nastroju, w którym ją pisałem, i wiąże się ściśle z różnymi moimi uczuciami, wywołanymi przez recenzje o pierwszym wydaniu, które ukazało się mniej więcej rok po wybuchu wielkiej wojny. Powieść została ukończona w r. 1914, na długo zanim morderstwo austriackiego arcyksięcia rzuciło pierwszą nutę przestrogi światu, pełnemu już zwątpienia i lęku.

Wydana jednocześnie z powieścią bardzo krótka przedmowa, zachowana również w obecnym wydaniu, wyjaśnia dostatecznie, z jakim uczuciem zgodziłem się wówczas na

¹Janus (mit. rzym.) — bóg o dwóch twarzach, patron początków, bram i mostów; bramy jego świątyni zamykano w czasie pokoju, a otwierano w czasie wojny. [przypis edytorski]

wydrukowanie tej książki. Fakt, że ukazała się w Stanach Zjednoczonych już z początkiem roku, nie pozwalał zwlekać dłużej z wydaniem jej w Anglii. Pojawiła się w trzynastym miesiącu wojny, sumienie wyrzucało mi jednak, że popełniam rażącą nieestosowność, rzucając strzęp wymyślnego dramatu w wir rzeczywistości tak zaiste tragicznej, lecz bardziej jeszcze okrutnej niż tragicznej i bardziej podniosłej niż okrutnej. Okropnym zarozumiałstwem wydała mi się myśl, że może się ktoś zająć czytaniem tych kartek; że znajdzie się ktoś taki w społeczeństwie, które wśród huku wielkich dzieł i w rozgwarze śmiałych słów, stwierdzających nieugiętą wiarę, musiało jednak czuć ostrze noża na gardle.

Niezmienny człowiek dziejowy umie przedziwnie zastosować się do wszelkich warunków przez siłę swej wytrzymałości i zdolność oderwania się od zewnętrznego życia. Wydaje mi się, że gra losu jest za wielka w stosunku do lęków człowieka i zbyt tajemnicza, aby ją mógł zrozumieć. Gdyby trąba sądu ostatecznego zagrziała nagle wśród powszedniego dnia, muzyk przy swym pianinie nie przestałby grać sonaty Beethovena, a szewc trwałby do ostatka przy warsztacie, ożywiony niezamąconą wiarą w doniosłość swej pracy. I mieliby najzupełniejszą słuszość. Bo po co mamy się wzruszać mściwą pobudką anioła, zbyt potężną dla naszych uszu i zbyt straszną dla naszych lęków? Toteż zdarza się czasem, że uderzy w nas błyskawica gniewu. Czytelnik nie przerwie czytania, jeśli książka będzie mu się podobać, a krytyk będzie w dalszym ciągu pisał recenzję z tą zdolnością do oderwania się od zewnętrznego świata, która wypływa może z poczucia nieskończonej naszej małości, a która jest mimo to jedyną cechą, zdającą się zbliżać człowieka do nieśmiertelnych bogów.

Ale jeśli katastrofa dorównywa w tajemniczości rządzącemu nam losowi, najlepszy nawet przedstawiciel ludzkiej rasy może stracić równowagę. Widzimy wyraźnie, że z przybyciem dystygowanego pana Jonesa, prostodusznego Ricarda i wiernego Pedra, Heyst, człowiek zupełnie od świata oderwany, traci wewnętrzne opanowanie, tę piękną postawę wobec nieuniknionej konieczności, postawę, która się zwie stoicyzmem. Wszystko jest kwestią wzajemnego stosunku zjawisk. Powinien był się znaleźć jakiś sposób wyjścia z sytuacji. A jednak nie było rady. W tym drobnym przykładzie igraszek losu Heyst czuje siłę ślepego przeznaczenia. A przy tym w swym pięknym oderwaniu się od życia Heyst zatracił zdolność samoobrony. Nie mówię tu o odwadze przeciwstawienia się faktom, moralnej czy fizycznej, ale o umiejętności wzięcia się do rzeczy, o sprężystości ducha i odruchowym geście, które przychodzą bez namysłu i prowadzą człowieka do doskonałości w życiu, w sztuce, w zbrodni, w cnocie i jeśli o to chodzi, nawet w miłości. Refleksja jest wielkim wrogiem powodzenia. Muszę wyznać, że zwyczaj głębokich rozmyślań jest najszkodliwszym ze wszystkich zwyczajów wytworzonych przez cywilizowanego człowieka.

Ale nie chcę, aby mnie dotknęło choćby najlżejsze podejrzenie, że żartuję sobie z Aksela Heysta. Lubilem go zawsze. Żywego człowieka, który stoi za nieskończenie mi bliższą postacią z książki, pamiętam dobrze jako tajemniczego Szweda. Nie jestem zupełnie pewien, czy był, jak Heyst, baronem. Nie rościł nigdy pretensji do tego tytułu. Oderwanie jego od życia było zbyt wielkie, aby mógł żądać od ludzi ufności — w wielkich czy małych rzeczach. Nie chcę powiedzieć, gdzie go spotkałem; boję się, aby to nie wywarło na czytelnikach fałszywego wrażenia, ponieważ wyraźny rozdźwięk między człowiekiem a jego otoczeniem jest często okolicznością bardzo zwodną. Byliśmy czas jakiś w wielkiej przyjaźni i nie chciałbym go narażać na nieprzyjemne podejrzenia; choć jestem pewien, że zachowałby się obojętnie wobec podejrzeń, tak jak zachowywał się obojętnie wobec wszystkich innych przykrości życia. Nie był, oczywiście, identyczny z Heystem; dał mi tylko — na podstawie krótkiej znajomości — fizyczne i moralne tło do mojego Heysta. Nasza znajomość trwała krótko bynajmniej nie z mojej winy, gdyż oczarowało mnie pełne wdzięku oderwanie tego człowieka od życia; w stosunku do siebie musiałem jednak uznać to oderwanie za przesadne. Heyst opuścił hotel, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Zaciekało mnie, dokąd wyjechał, ale teraz już wiem. Znikł mi z oczu tylko po to, aby zapłacić się w tę nieuniknioną przygodę, czekającą na niego na tym świecie, który uważał niezmiennie za złowieszczy cień wirujący w blasku słońca. W ciągu lat przypominało mi go często wyrażone przez kogoś uczucie lub szczególne znaczenie jakiegoś zdania zasłyszanego przypadkiem, tak że przypisałem mu wiele słów, które padły z ust innych ludzi i wypłynęły z nastrojów mniej wzniosłych i mniej wzruszających.

Te same spostrzeżenia można zastosować *mutatis mutandis*² i do pana Jonesa, który powstał na podstawie znajomości znacznie pobieżniejszej. Pana Jonesa (czy jak tam się nazywał) nie uniosła ode mnie fala życia. Odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z pokoju. Było to w roku 1875, w małym hoteliku na wyspie św. Tomasza w Indiach Zachodnich. Zastaliśmy go rozciągniętego na trzech krzesłach w pewne gorące popołudnie; leżał samotnie wśród głośniego brzęczenia much, a nieruchomość jego i trupi wygląd sprawiały, że to brzęczenie wydawało się dziwnie ponurym. Nasze wtargnięcie musiało mu się nie podobać, gdyż wstał nagle i wyszedł, zostawiając mnie pod niewypowiedziane dziwacznym wrażeniem swoich cienkich piszczeli. Jeden z mych towarzyszy powiedział, że ten człowiek jest najzawziętym graczem, jakiego spotkał w życiu. „Zawodowy szuler?” — zapytałem. „On jest zupełnie niemożliwy” — odrzekł mój towarzysz — „ale muszę przyznać, że do pewnych granic gra uczciwie”. Ciekaw jestem, dokąd sięgały te granice. Nigdy go już nie widziałem; zdaje mi się, że wyszedłszy z hotelu wszedł na parowiec, który odpłynął w godzinę do innych portów w stronę Aspinallu. Charakterystyczną bezczelność pana Jonesa zaobserwowałem u innego osobnika o typie wręcz odmiennym. Nie chcę mówić, skąd wzięłem sposób myślenia pana Jonesa, ponieważ nie lubię rzucać krzywdzących insynuacji.

Tak się złożyło, że w tym samym roku Ricardo — prototyp Ricarda — był moim współpasażerem na malutkim i niezmiernie brudnym szkunerze, podczas czterodniowego przejazdu z jednej miejscowości do drugiej — w zatoce Meksykańskiej — mniejsza o nazwy tych miejscowości. Ów pasażer leżał prawie ciągle na pokładzie, niejako u moich stóp; od czasu do czasu podnosił się na łokciu i mówił o sobie bez końca — ale mówił właściwie nie do mnie i nawet nie w intencji, abym go wysłuchał (nie patrzył przed siebie, wzrok jego tkwił ciągle w pokładzie); wyglądało to, jak gdyby się zwierzał swemu zaufanemu diabłu. Niekiedy rzucał na mnie spojrzenie i poruszał dziwacznie sztywnymi wąsikami. Oczywiście miał zielone i do dziś dnia, gdy patrzę na kota, przypominają mi się dokładnie kontury tamtej twarzy. Nie zwierzył mi się, w jakim celu odbywa tę podróż i czym się zajmuje. Prawdę powiedziawszy, jedynym podróżnym, który byłby mógł mówić otwarcie o swej działalności i swych zamiarach, był bardzo zatabaczony i przemity w rozmowie zakonnik, przeor klasztoru, podróżujący w towarzystwie młodzieńczego braciszka o jakiejś szczególnie okrutnej twarzy. W ciemnej i niewypowiedziane wstrętnej kajucie tego szkunera jechał także z nami stary pan, wyciągnięty na wznak w koi, Hiszpan, właściciel licznych kufrów — ciężko chory, jak zapewniał Ricardo. Wyglądało na to, że Ricardo jest służącym czy domownikiem tego wiekowego, dystygowanego pana, który raz na samym początku podróży miał długą rozmowę szeptem z zakonnikiem, a potem już tylko wydawał słabe jęki, palił papierosy i wołał od czasu do czasu na Marcina głosem pełnym bólu. Wówczas ten, który w książce stał się Ricardem, schodził do wstrętnej i hałaśliwej dziury, przepadał tam tajemniczo i — wracając na pokład z nieprzeniknioną twarzą — milczał lub kontynuował ku memu zbudowaniu wykład o swym wewnętrznym stosunku do życia, ożywiony jaskrawymi przykładami najokrutniejszej treści. Czy chciał mnie przestraszyć? czy skusić? czy zdziwić? czy wywołać mój zachwyt? Zdołał mnie tylko rozśmieszyć i wzbudzić we mnie niedowierzanie. Jak to się zdarza u łotrów, nie był wcale nudny. Zresztą naiwność moja była wówczas tak wielka, że nie mogłem wziąć jego filozofii na serio. Przez cały czas trzymał jedno ucho zwrócone w stronę kajuty, jak wierny sługa, ale mimo to miałem wrażenie, że w ten czy inny sposób narzucił się choremu dla swych własnych celów. Czytelnik nie zdziwi się więc, gdy mu powiem, że pewnego ranka *padrone* szkunera oznajmił mi bez szczególnego wzruszenia, iż „bogaty pan tam na dole” umarł; skonał w nocy. Nie przypominam sobie, aby mnie kiedy tak wzruszyła samotna śmierć człowieka zupełnie mi obcego. Zajrzałem przez luk świetlny i zobaczyłem, jak wierny Marcin obwiązywał sznurami skórzane kufrы nieboszczyka, z którego całej postaci widać było tylko białą brodę i orli nos, majaczące w mrocznych głębiach ohydnej, dusznej koi.

Ponieważ wiatr ustał zupełnie w ciągu popołudnia i cisza trwała przez całą noc i groźny, płomienny dzień, zmarłego „bogatego pana” wypadło rzucić w morze o zachodzie

²*mutatis mutandis* (łac.) — zmieniając to, co powinno być zmienione; uwzględniając istniejące różnice. [przypis edytorski]

słońca, choć właściwie było już widać cel naszej podróży — niskie, zapowietrzone wybrzeże obramowane linią mangrowii³. Zaczny przeor rzekł do mnie z głębokim współczuciem: „Ten biedak zostawił młodą córkę”. Nie wiem, kto miał się nią zaopiekować, ale widziałem, jak wierny Marcin przewoził bardzo troskliwie kufry ze statku na brzeg, zanim jeszcze zdążyłem wylądować. Byłbym się może zajął na chwilę śledzeniem tego tak wylanego⁴ człowieka, ale zaprzętały mnie własne bardzo naglące sprawy, które skomplikowały się w końcu przez trzęsienie ziemi — tak iż zabrakło mi czasu dla Ricarda. Nie potrzebuję mówić czytelnikowi, że go jednak nie zapomniałem.

Mój kontakt z wiernym Pedrem był znacznie krótszy, a obserwację nad nim przeprowadziłem mniej dokładnie, w warunkach bez porównania groźniejszych. Przerwało mi tę obserwację nagle natchnienie, aby usunąć się z drogi obserwowanego obiektu. Działo się to w szalasie z mat rozpiętych na tykach obok ścieżki. Wszedłem tam, aby poprosić o butelkę limoniady i do dziś dnia nie mam najmniejszego pojęcia, jaki szczegół mojej powierzchowności czy mego zachowania wzbudził straszliwy gniew Pedra. Ten gniew stał się dla mnie widocznym w niespełna dwie minuty od chwili, gdy moje oczy pierwszy raz na Pedrze spoczęły i, choć niezmiernie byłem zdziwiony, nie pozostałem oczywiście na miejscu, aby zbadać powód owego gniewu. Zwiąłem najbliższą drogą — przez ścianę. Ta bestialska zjawa i pewien olbrzymi Murzyn, z którym zetknąłem się na Haiti zaledwie w parę miesięcy potem — oba te spotkania ustaliły raz na zawsze moje wyobrażenie o ślepej, rozjuszanej, bezrozumnej wściekłości. Murzyn śnił mi się potem latami. Pedro nigdy. Wrażenie było mniej silne. Za prędko zszedłem Pedrowi z drogi.

Wydaje mi się naturalnym, że ta trójka, schowana w jakimś zakamarku mej pamięci, wyszła nagle na światło dzienne; tak naturalnym, iż nie usprawiedliwiam się wcale z egzystencji tych trzech ludzi. Tkwiłi w moich wspomnieniach i musieli się stamtąd wydostać; jest to dostateczne usprawiedliwienie dla powieściopisarza, który zabrał się do swego rzemiosła bez przygotowania, bez powziętego z góry zamiaru i bez żadnej innej moralnej intencji poza tą, która przenika całokształt naszego świata.

Ponieważ ta przedmowa dotyczy przede wszystkim pochodzenia osób występujących w powieści i moich z nimi stosunków, muszę zająć się także Leną. Gdybym o niej zamilczał, wyglądałoby to na lekceważenie, a nic nie jest mi bardziej obcym niż lekceważący stosunek do Leny. Jeśli ze wszystkich osób zaplątanych w „tajemnicę Samburanu” przedstawiałem najdłużej z Heystem (lub tym, którego Heystem nazywam), to dziewczynie nazwanej Leną przypatrywałem się najdłużej, z najbardziej wyteżoną uwagą. Ta uwaga wypływała z lenistwa, do którego mam talent wrodzony. Pewnego wieczoru zawędrowałem do kawiarni w mieście nie leżącym pod zwrotnikiem, lecz na południu Francji. W sali pełno było tytoniowego dymu, rozgwaru, kłopotu domina i dźwięków piskliwej muzyki. Orkiestra była chyba mniejsza od tej, która się popisowała w hali Schomberga i wyglądała bardziej na zespół rodzinny niż na zebraną przygodnie kapelę; muszę wyznać, że wszystko razem robiło wrażenie znacznie przyzwoitsze od muzycznej antreprzy⁵ Zangiaccoma. Było w tym także mniej pretensjonalności, a nastrój panował bardziej domowy, że się tak wyrażę, i poufały, ponieważ w przerwach, gdy wszystkie muzykantki opuszczały estradę, jedna z nich chodziła wśród marmurowych stolików, zbierając sousy⁶ i franki w pogięte cynowe naczynie, przypominające kształtem sosjerkę. Ową muzykantką była młoda dziewczyna. Mam teraz wrażenie, że obojętność, z jaką wypełniła swój obowiązek, była równie wielką, a może jeszcze większą, niż wyniosłość Heysta w stosunku do wszelkich poniżeń, na które rozum ludzki jest narażony w drodze przez życie. Chodziła od stołu do stołu milcząc, z szeroko rozwartymi oczyma, jak lunatyczka, i potrząsała tylko z lekka pieniędzmi, aby zwrócić na siebie uwagę. Rozdział morski mojego życia dawno już się był wtedy skończył, ale trudno odrzucić zupełnie cechy charakteryzujące nas przez pół żywota, toteż wpuściłem do sosjerki pięciofrankową monetę, niby marynarz na urlopie. Lunatyczka odwróciła głowę, aby na mnie spojrzeć i rzekła: *Merci, monsieur*⁷ — tonem,

Strach, Gniew, Sen

³mangrowia — lasy namorzynowe, występujące w strefie międzyzwrotnikowej formacje roślinne rosnące wzdłuż brzegów morskich, często w strefie przypływu. [przypis edytorski]

⁴wylany — dziś: wylewny. [przypis edytorski]

⁵antreprzyza (z fr.) — przedsięwzięcie. [przypis edytorski]

⁶sous (fr.) — drobna moneta. [przypis edytorski]

⁷Merci, monsieur (fr.) — dziękuję panu. [przypis edytorski]

w którym nie było wdzięczności, tylko zdziwienie. Musiałem mieć wówczas doprawdy wolną głowę, skoro to wystarczyło, bym zauważył, że głos dziewczyny jest czarujący. Gdy muzykantki wróciły na miejsca, przesunąłem trochę krzesło, aby brodaty mężczyzna, który dyrygował orkiestrą, nie zasłaniał mi tej dziewczyny. O ile mi się zdaje, mógł to być jej ojciec, ale prawdziwą jego misją w życiu było stać się prototypem Zangiacoma w *Zwycięstwie*. Zdobywszy dobry punkt obserwacyjny, podczas drugiej części programu patrzyłem naturalnie dalej (z lenistwa) na dziewczynę. Zarys jej ciemnej główki pochylonej nad skrzypcami przykuwał oczy, a gdy wypoczywała w przerwach niezmiernie długiego programu, wyglądała w swej białej sukni, z opalonymi rękami złożonymi na kolanach, jak żywy obraz marzycielskiej naiwności. Podstarzała złoźnica przy pianinie mogła być jej matką, choć nie zauważyłem między nimi najbliższego podobieństwa. Ze stosunku, jaki je łączył, rzecz stwierdziłem na pewno — owo okrutne uszczypnięcie w ramię. Jestem pewien, że to widziałem! Pomylić się nie mogłem. Zanadto byłem rozleniwiony, aby wymyślić ni stąd ni zowąd takie okrucieństwo. Może to był i żart, ale dziewczyna zerwała się jak oparzona. Może to był i żart. Lecz widziałem dobrze, jak „rozmarzona naiwność” rozcierała delikatnie bolące miejsce, idąc gęsiego za innymi muzykantkami środkowym przejściem wśród marmurowych stolików — w rozgwarze głosów, w klekocie domina, w niebieskiej atmosferze tytoniowego dymu. O ile mi się zdaje, ta orkiestra opuściła miasto nazajutrz.

A może tylko przeniosła się do wielkiej kawiarni po drugiej stronie *Place de la Comédie*. To bardzo możliwe. Nie przeszedłem jednak przez plac, aby się o tym przekonać. Moje rozleniwienie właśnie nadało szczególny urok dziewczynie i nie chciałem zniweczyć tego uroku przez jakiś niepotrzebny wysilek. Nadczułość moja w owym rozleniwionym nastroju utrzymała na tak długo to wrażenie, że gdy nadeszła chwila spotkania dziewczyny z Heystem, czułem iż Lena sprosta po bohatersku wszystkim wymaganiom ryzykownej i niepewnej przyszłości. Tak byłem o tym przeświadczony, że pozwoliłem jej uciec z Heystem — nie bez wzruszenia, ale z pewnością bez złych przeczuc. I zaiste, wobec triumfalnego końca Leny, cóż więcej byłbym mógł zrobić dla jej rehabilitacji i dla jej szczęścia?

1920.

J. C.

CZĘŚĆ I

I

W naszym oświeconym stuleciu każdy uczeń wie o tym, że między węglem a diamentami zachodzi bardzo bliskie pokrewieństwo chemiczne. Przypuszczam, że właśnie dlatego niektórzy nazywają węgiel „czarnymi diamentami”. Oba te minerały stanowią bogactwo, ale węgiel daleko trudniej przewozić niż diamenty. Z tego punktu widzenia musimy stwierdzić w węglu bardzo przykry brak koncentracji. Gdyby tak dało się schować kopalnię węgla do kieszeni od kamizelki! Ale to niemożliwe. Poza tym dziwny jakiś urok ma dla nas węgiel — najcenniejszy z towarów naszego wieku — tego wieku, w którym obózujemy jak oszołomieni podróżnicy we wspaniałym, gwarnym hotelu. Otóż sądzę, że dwa powyższe względy, jeden praktyczny, a drugi raczej mistyczny, powstrzymały od wyjazdu Heysta — Aksela Heysta.

Podzwrotnikowa Spółka Węglowa została zlikwidowana. Świat finansów jest tajemniczą krainą, w której może się zdarzyć ten niewiarogodny fakt, że stan lotny poprzedza stan płynny. Najpierw ulatnia się kapitał, a potem następuje stan płynny — czyli likwidacja interesów. Są to zjawiska przeciwne zasadom fizyki — i one to właśnie spowodowały przewlekłą beczynność Heysta, z powodu której braliśmy go często na języki, w dość zresztą przyjazny sposób. Bezwładna jednostka nie wyrządza nikomu nic złego, nie usposabia wrogo — zasługuje zaledwie na drwiny. Zdarza się niekiedy, że i ta bezwładność jest zawadą, ale o Akselu Heyście nie można było tego powiedzieć. Nie przeszkadzał nikomu — zupełnie jak gdyby tkwił na najwyższym szczycie Himalajów i nawet w pewnym znaczeniu był równie jak ten szczyt widoczny. W tej okolicy świata każdy o nim słyszał i wiedział, że mieszka na swojej wysepce. Wyspa jest jakby szczytem góry. Aksel Heyst tkwił na niej nieruchomo, a zamiast nieuchwytniej, przejrzystej i burzliwej toni powietrza, rozplywającej się w bezkresie, otaczało go ciepłe, płytkie morze, spokojna odnoga wielkich wód, które obejmują wszystkie lądy naszego globu. Najczęstszymi gośćmi Heysta były cienie — cienie chmur, ożywiające ponurą monotonię bezdusznego podzwrotnikowego słońca. Najbliższym jego sąsiadem — mówię tu o rzeczach ujawniających jakiegokolwiek ożywienie — był leniwy wulkan, który dymił z lekka dzień cały tuż nad północnym horyzontem, a nocami rozniecał wśród jasnych gwiazd tępy, czerwony blask, co rozżarzał się i przygasał kurczowo jak koniec olbrzymiego cygara, którym raz po raz zaciąga się ktoś w ciemnościach. Aksel Heyst palił także, i gdy wychodził z cygarem na werandę przed pójściem na spoczynek, żarzył się przed nim w mroku krążek takiej samej wielkości jak ten drugi, oddalony o wiele, wiele mil.

Wulkan dotrzymywał mu niejako towarzystwa wśród ciemności, które bywały niekiedy tak gęste, że — zdawało się — nie przepuszczają nawet najłżejszego wietrzyka. Zresztą rzadko kiedy zjawiał się powiew, zdolny utrzymać piórko w powietrzu. Prawie co wieczór przez cały rok Heyst byłby mógł siadywać na dworze przy niczym nie osłoniętej świecy i czytać którąkolwiek z książek pozostałych po zmarłym ojcu. A był ich zapas niemały. Lecz Heyst nie robił tego nigdy; prawdopodobnie bał się moskitów. I nigdy cisza nie natchnęła go myślą, by zwrócić się z jakąś uwagą do kolegi-ognika, żarzącego się nad wulkanem. Nie był przecież wariatem. Dziwak bo dziwak, to prawda, można to było powiedzieć i mówiono tak rzeczywiście; ale każdy przyzna, że między tymi dwoma pojęciami jest jeszcze cała przepaść.

W księżycowe noce milczenie obejmujące Samburan (zwany na mapie Wyspą Okrągłą) miało w sobie coś olśniewającego. Dom i najbliższe otoczenie, zalane zimnym światłem, wyglądały jakby jakaś opuszczona osada pochłonięta przez dżunglę. Heyst patrzył na niewyraźne zarysy dachów nad niską roślinnością, na łamane cienie bambusowych pólów wśród połyskliwej, wysokiej trawy, na szmat zarośniętej drogi, biegnącej ukośnie przez poszarpany gąszcz ku brzegowi, oddalonemu o paręset jardów; widać tam było ciemny pomost i coś na kształt kopca, czarnego od strony cienia jak atrament. Ale przede wszystkim rzucała się w oczy olbrzymia czarna tablica umieszczona na dwóch słupach; gdy księżyc przewędrował na drugą stronę, ukazywały się na niej Heystowi białe litery P. S. W., wysokości przynajmniej dwóch stóp. Były to inicjały Podzwrotnikowej Spółki

Węglowej, należącej do chlebowców Heysta, a ściślej mówiąc, do byłych jego chlebowców.

Zgodnie z tajnikami świata finansów, sprzecznymi naturze, kapitał P. S. W. ulotnił się w przeciągu dwóch lat i towarzystwo przeszło w „stan płynny” likwidacji — nie dobrowolnej, sądzę, lecz przymusowej. W tym procesie nie było jednak nic gwałtownego. Dokonywał się powoli; i podczas gdy likwidacja — w Londynie i Amsterdamie — posuwała się zółwim krokiem, Aksel Heyst, wymieniony w prospekcie jako „dyrektor podzwrotnikowy”, pozostawał na swoim stanowisku w Samburanie, stacji węglowej, oznaczonej numerem pierwszym.

Ale Samburan był nie tylko stacją węglową; znajdowała się tam również i kopalnia. Pokłady węgla ciągnęły się zboczem wzgórz o niecałe pięćset jardów od koślawego pomostu i imponującej, czarnej tablicy. Celem spółki było opanowanie wszystkimi kopalniami węgla na wyspach podzwrotnikowych i eksploatacja ich dla miejscowego handlu. A pokładów było bez liku. Heyst odkrył je w tych okolicach, natknąwszy się na nie podczas swych bezcelowych wędrówek; że zaś prowadził zawsze ożywioną korespondencję, rozpisał się o nich szeroko do przyjaciół w Europie. Tak przynajmniej opowiadano.

Nie sądziliśmy, aby Heyst marzył o bogactwach — a w każdym razie nie pragnął ich dla siebie. Zdaje się, że najwięcej obchodziło go to, co nazywał „dążeniem naprzód”, myśląc zapewne o organizacji świata w ogóle. Więcej niż sto osób spośród mieszkańców wysp słyszało jak mówił, że „cała okolica zrobiła wielki krok naprzód”. Zamaszysty ruch ręką, towarzyszący tym słowom, uzmysławiał, że tropikalne obszary zmuszone są do posuwania się naprzód. W związku z wytwornym obejściem Heysta było to bardzo przekonywujące, a w każdym razie zamykało ludziom usta — przynajmniej na jakiś czas. Nikt nie miał ochoty zaprzeczyć, gdy Heyst przemawiał tym tonem. Jego przejęcie się sprawą węglową nie przeszkadzało nikomu. Nie groziło bynajmniej niebezpieczeństwo, aby ktoś mógł wziąć na serio marzenia o węglu podzwrotnikowym, po cóż więc było sprawiać mu przykrość?

Tak rozumowali różni ludzie w solidnych biurach handlowych, które Heyst odwiedzał, przybywszy ze wschodu z listami polecającymi i czekami wystawionymi na skromne sumy. Działo się to jeszcze na kilka lat przedtem, nim pokłady węgla zaczęły się piętrzyć w żartobliwych a wykwinnych wywodach Heysta. Od samego początku trudno było ustalić, kim on jest rzeczywiście. Nie był podróżnikiem. Podróżnik wyjeżdża i wraca, dąży do jakiegoś określonego miejsca. Heyst nie wyjeżdżał. Spotkałem kiedyś pewnego człowieka — dyrektora filii Stowarzyszenia Banków Wschodnich w Malakce — do którego Heyst nagle wykrzyknął, bez związku z jakąkolwiek poprzednią rozmową (było to w klubie, w pokoju bilardowym):

— Jestem oczarowany tymi wyspami!

Wyrwał się z tym ni stąd ni zowąd, *à propos de bottes*⁸, jak mówią Francuzi, w chwili, gdy pocierał kredą swój kij. Może doprawdy ktoś urok na niego rzucił? Więcej jest czarów na świecie, niż śniło się przeciętnym czarownikom.

Jednym słowem koło o promieniu ośmiuset mil, zakreślone wokoło pewnego punktu na północnym Borneo, było dla Heysta kołem zaczarowanym. Sięgało do Manili, gdzie zjawiał się niekiedy; dotykało Sajgonu, gdzie go raz jeden widziano. Może były to wysiłki Heysta, aby się spod czaru wyzwolić? W takim razie nie odniosły zamierzonego skutku. Czar był widocznie nie do przezwyciężenia. Dyrektor, który usłyszał ów wykrzyk zachwyty Heysta, był tak dalece pod wrażeniem jego zapału, uniesienia — czy jak to nazwać — a może i dziwaczności jego słów, że opowiadał o tym niejednemu.

— Dziwny człowiek z tego Szweda — dodawał jako jedyny komentarz. Z tej relacji wzięła początek nazwa „zaczarowany Heyst”, którą przyczepiono naszemu bohaterowi.

Miał także i inne przezwiska. Za swoich młodych lat — długo przedtem, nim zaczęła go zdobić łysina — udał się raz z listem polecającym do pana Tesmana ze spółki „Bracia Tesman” — pierwszorzędnej firmy w Sourabaya. Pan Tesman był uprzejmym, dobrodusznym staruszką i nie bardzo wiedział, co z gościem począć. Oświadczył, że pragnie uczynić jego pobyt na wyspach jak najprzyjemniejszym, że spółka gotowa jest popierać

⁸*à propos de bottes* (fr.) — nie na temat (dosł.: na temat butów). [przypis edytorski]

jego zamierzenia itd., po czym przyjął podziękowania Heysta i prowadził dalej zwykłą w tych okolicznościach rozmowę, dopytując się z wolna ojcowskim tonem:

— A więc najbardziej interesuje się pan — —

— Faktami — wtrącił Heyst zwykłym swoim uprzejmym tonem. — Nie ma nic ciekawszego nad fakty. Nagie fakty i tylko fakty, panie Tesman.

Nie wiem, czy stary Tesman zgadzał się z nim, czy nie, ale musiał o tym opowiadać, bo na pewien czas Heyst zyskał przezwisko „Nagie fakty”. Miał już takie szczególne szczęście, że własne powiedzenia przyczepiały się do niego, stając się częścią nazwiska. Przez jakiś czas potem włóczył się po morzu Jawajskim na którymś z handlowych szkunerów Tesmana, a wreszcie znikł na arabskim statku w kierunku Nowej Gwinei. Pozostał bardzo długo w tej odległej części zaczarowanego koła i prawie już o nim zapomniano, gdy zjawił się znów na tubylczym statku, pełnym włóczęgów z Goram. Spalony był na czarno od słońca i bardzo chudy; włosy mocno mu się przerzedziły. Pod pachą trzymał tekę ze szkicami, które chętnie pokazywał, ale poza tym bardzo był małomówny. Opowiadał tylko, że spędził czas „bardzo przyjemnie”. Człowiek, który jedzie dla rozrywki na Nową Gwineę — no, no!

W kilka lat później, gdy znikły już z jego twarzy ostatnie ślady młodości, a reszta włosów z ciemienia, gdy rudozłote, poziome wąsy rozrosły się okazałe, pewien biały człowiek o złej reputacji obdarzył go nowym epitetem. Postawił trzęsącą się ręką wysmukły, pusty kieliszek zapłacony przez Heysta i wyrzekł z mądrością pełną rozważliwej, niedostępnej dla przeciętnych ludzi, pijących tylko wodę:

— Heyst jest dżentelmenem co się zowie. Co się zowie! Ale to ut — uto — utopista.

Heyst opuścił właśnie przed chwilą przybytek publicznego pokrzepiania się, gdzie to oświadczenie zostało ogłoszone. Czyżby był doprawdy utopistą? Słowo daję, raz tylko słyszałem, jak wypowiedział zdanie, które mogło zdradzać pewną skłonność w tym kierunku. Było to zaproszenie, wystosowane właśnie do starego McNaba. Heyst zwrócił się do niego z tą wytworną uprzejmością w pozie, ruchu i głosie, która stanowiła jego rys charakterystyczny, i rzekł z żartobliwym wykwintem:

— Niechże pan pójdzie z nami ugasić pragnienie, panie McNab!

Otóż to właśnie. Człowiek, który mógł proponować — choćby żartem — staremu McNabowi, aby ugasił pragnienie, taki człowiek musiał być doprawdy utopistą, goniącym za chimerami; albowiem bezpośrednią ironią Heyst nigdy nie szafował. Może właśnie dlatego lubiano go ogólnie. W tym okresie swego życia był w pełni fizycznego rozwoju; okazała jego, marsowa postać o łysej głowie i długich wąsach przypominała portrety Karola XII⁹, awanturniczej pamięci. Mimo to nic nie upoważniało do przypuszczeń, aby Heyst był pod jakimkolwiek względem człowiekiem wojowniczym.

II

Mniej więcej w tym samym czasie Heyst zawarł spółkę z Morrisonem na warunkach, o których właściwie nikt nic nie wiedział. Jedni mówili, że Heyst jest współnikiem Morrisona, inni — że przebywa u niego w charakterze płatnego gościa, ale rzeczywistość była daleko bardziej zawiła. Pewnego dnia Heyst znalazł się w Timorze. Czemu właśnie w Timorze, a nie gdziekolwiek indziej, nikt nie mógłby tego powiedzieć. Otóż Heyst włóczył się w pobliżu Delii, tego siedliska zarazy, i poszukiwał zapewne jakichś nieodkrytych jeszcze faktów, gdy natknął się na ulicy na Morrisona, który był również — po swojemu — człowiekiem „zaczarowanym”. Gdy wspomniano Morrisonowi o powrocie do kraju — a pochodził z Dorsetshire — wstrząsał się cały. Mówił, że w Anglii ciemno i wilgotno, że człowiek żyje tam, jakby tkwił głową i ramionami w mokrym worku z juty¹⁰. Ale to był tylko taki przesadny sposób wyrażania się. Morrison należał do „naszej paczki”. Był właścicielem i kapitanem handlowego brygu Capricorn¹¹ i podobno radził sobie z nim doskonale, ale miał jedną wadę: za wiele altruizmu. Ubóstwiali go mieszkańcy licznych zapadłych wiosek, leżących nad posępnymi strumieniami i nieznanymi zatokami, gdzie prowadził „handel zamienny”. Przeplýwał często niezmiernie niebezpieczne przesmyki,

⁹Karol XII Wittelsbach (1682–1718) — król Szwecji, wybitny dowódca wojskowy. [przypis edytorski]

¹⁰juta — tkanina z włókien rośliny o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

¹¹Capricorn — Koziorożec. [przypis tłumacza]

aby dotrzeć do nędznej osady i znaleźć tam zgłodniałą ludność, domagającą się ryżu; co się zaś tyczy „handlu zamiennego”, to produkty z całej owej osady nie byłyby napelniły podróźnej torebki Morrisona. Nie zważając na to, wyladowywał ryż wśród ogólnego rozradowania, tłumaczył ludziom, że to zaliczka, że są teraz jego dłużnikami, wygłaszał kazanie o energii i pracowitości, wciągał szczegółowo dług do notatnika, który zawsze nosił przy sobie — i na tym kończyła się cała transakcja. Nie wiem, czy Morrison zdawał sobie z tego sprawę, ale mieszkańcy osady nie mieli pod tym względem żadnych wątpliwości. Skoro tylko z nadbrzeżnej wsi dojrzano, że bryg się zbliża, rozpoczynało się wielkie bicie w gongi, wywieszano wszystkie flagi, dziewczęta przystrajały włosy kwiatami, tłum tłoczył się na wybrzeżu, a promieniejący Morrison patrzył z rozkoszą przez monokl¹² na to radosne podniecenie. Wzrostu był wysokiego, twarz miał chudą i gładko wygoloną; wyglądał na adwokata, który zerwał z palestrą.

Przestrzegaliśmy go często:

— Nie zobaczysz nigdy żadnej ze swoich zaliczek, jeśli będziesz tak postępował!

Robił przebiegłą minę.

— Nie bójcie się, już ja ich którego dnia przycisnę! Ale, ale — dodawał, wyciągając swój nieodłączny notatnik — przypomniałem sobie taką a taką wieś. Wcale nieźle im się teraz powodzi; wezmę się zaraz do nich na początek.

I zapisywał w notatniku srogą uwagę:

— Wycisnąć wszystko z takiej a takiej wsi za pierwszą bytnością.

Potem wsuwał ołówek z powrotem i trząskając gumką o notatnik z wyrazem nieugiętej stanowczości; tylko że owo „wyciskanie” nigdy nie następowało. Niektórzy szemrali z tego powodu, twierdząc, że Morrison dezorganizuje handel. Może i było tak rzeczywiście — ale w stopniu bardzo nieznacznym. Większość osad, z którymi handlował, nieznana była nie tylko geografii, ale nawet i owej specjalnej wiedzy kupieckiej, którą przekazuje się ustnie, bez ostentacji, i która składa się na zasoby tajnych miejscowych wiadomości. Niektórzy dawali do zrozumienia, że Morrison ma żonę w każdej z owych wiosek, ale większość z nas odrzucała z oburzeniem te insynuacje. Był to człowiek prawdziwie ludzki i raczej asceta.

Kiedy Heyst spotkał go w Delii, szedł ulicą z monoklem zarzuconym na ramię, z głową spuszczoną, a beznadziejny jego wygląd przypominał jednego z tych niepoprawnych włóczęgów, których widuje się po drogach, jak wędrują od przytułku do przytułku. Na okrzyk Heysta zwrócił ku niemu twarz o dzikim, umęczonym wyrazie. Był zaiste w ciężkim położeniu. Przed tygodniem zawinął do Delii i władze portugalskie, pod pozorem jakiejś niedokładności w papierach, nałożyły na niego karę pieniężną i wzięły bryg w zastaw.

Morrison nie miał nigdy w ręku zbywającej gotówki. Przy jego handlowym systemie posiadanie kapitałów byłoby rzeczą bardzo dziwną; za wszystkie swoje należności, zapisane w notatniku, nie byłby mógł podnieść jednego milreja¹³ — nie mówiąc już o szylingu¹⁴. Urzędnicy portugalscy prosili go, aby się nie martwił. Dali mu tydzień czasu do wystarania się o pieniądze, po czym bryg miał być sprzedany na licytacji. Ruina stanęła przed Morrisonem. Gdy Heyst zawołał na niego w swój zwykły, uprzejmy sposób, tydzień dobiegał już końca.

Heyst przeszedł na drugą stronę ulicy i rzekł z lekkim ukłonem — niby ksiązę, zwracający się w prywatnej sprawie do drugiego władcy:

— Co za miła niespodzianka! Czy nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy napili się czegoś w tej tam ohydnej winiarni? Słońce zanadto pali, niepodobna rozmawiać na ulicy.

Wynędniały Morrison wszedł posłusznie za Heystem do ciemnej, chłodnej lepianki, którą pogardziłby w każdej innej chwili. Był w rozpacz. Nie wiedział po prostu, co się z nim dzieje; równie łatwo można go było zaprowadzić nad brzeg przepaści. Siadł jak automat. Nie wyrzekł ani słowa, ale, zobaczywszy przed sobą kieliszek cierpkiego, czerwonego wina, wychylił go duszkiem. Tymczasem Heyst, grzeczny i czujny, siadł naprzeciw niego.

— Obawiam się, że pan ma atak febry — rzekł przyjaźnie.

¹²monokl — pojedyncze szkiełko stosowane dawniej zamiast okularów. [przypis edytorski]

¹³milrej — dawna portugalska lub brazylijska jednostka monetarna. [przypis edytorski]

¹⁴szyling — dawna brytyjska jednostka monetarna, dwudziesta część funta. [przypis edytorski]

Język biednego Morrisona rozwiązał się nareszcie.

— Atak febry! — zawołał. — Bodajbym miał febrę, bodajbym miał zarazę, to są przynajmniej choroby! Można sobie z nimi poradzić. Ale ja jestem zamordowany. Jestem zamordowany przez tych Portugalczyków. Ta banda zmogła mnie wreszcie. Pojutrze będę musiał poderżnąć sobie gardło.

W odpowiedzi na ten namiętny wybuch Heyst podniósł z lekka brwi, wyrażając zdziwienie z dyskrecją, która by była na miejscu w salonie. Rozpaczliwy wysiłek, z jakim Morrison panował nad sobą, załamał się w końcu. Przed spotkaniem Heysta wędrował z wyschniętym gardłem wśród lepierek z błota przez tę nędzną mieścinę i milczał, nie mając żywej duszy, do której by mógł się zwrócić w swej niedoli. Rozpaczliwe myśli doprowadzały go wprost do szaleństwa. Nagle natknął się na białego człowieka — białego dosłownie i w przenośni, gdyż Morrison nie uznawał, aby portugalscy urzędnicy należeli do rasy białej — i dał się unieść gwałtownemu wybuchowi otwartości, który przyniósł mu ulgę. Wsparty łokciami o stół, mówił ochrypniętym głosem, z oczyma krwią nabiegłymi; daszek okrągłego, plecionego hełmu ocieniał jego twarz, nieogoloną i wybladłą — Białe ubranie, którego nie zdejmował od trzech dni, było brudne. Wyglądał już jak człowiek zgubiony bez ratunku. Jego widok raził Heysta, który jednak nie dał tego poznać po sobie, pokrywając wrażenie swoim wytwornym spokojem. Nie zdradzał nic ponad uprzejme zainteresowanie, które winien okazać człowiek, słuchający zwierzeń drugiego człowieka, a że taki sposób bycia udziela się zwykle otoczeniu, więc i Morrison opanował się i kończył opowiadanie w tonie konwersacyjnym, jak światowiec.

— To wstrętny spisek. Ale jestem, niestety, zupełnie bezsilny. Ten łotr Cousinho — pan wie, Andrzej — już od lat ostrzył sobie zęby na mój statek. Nigdy bym go nie sprzedał, oczywiście. To nie tylko cały mój majątek, ale i moje życie. No więc — we dwóch z naczelnikiem komory celnej uknuli ten miły spisek. Cała licytacja będzie naturalnie tylko komedią. Nie ma tu nikogo, kto by mógł podbić cenę. Bryg dostanie mu się za półdarmo — a nawet prawie zupełnie za darmo. Pan mieszka tu na wyspach już od szeregu lat. Zna pan nas wszystkich; wie pan, jak żyjemy. A teraz będzie pan miał sposobność przekonać się, jak niektórzy z nas umierają. Bo to dla mnie śmierć. Nie mogę się już ludzi. Czy pan to rozumie?

Morrison panował nad sobą, ale czuć było ostateczny wysiłek w jego sztucznym spo-koju. Heyst zaczął mówić, że rozumie doskonale „wszystkie okoliczności tego fatalnego wypadku”, gdy Morrison szarpnął się nagle:

— Słowo daję, nie mam pojęcia, po co panu mówię to wszystko. Widocznie spotkanie z prawdziwym białym człowiekiem tak na mnie podziało; nie potrafiłem ukryć swoich kłopotów. Trudno mi to będzie wyrazić, ale kiedy panu już tyle nagadałem, mogę równie dobrze powiedzieć więcej. Niech pan posłucha. Dziś rano padłem w kajucie na kolana i modliłem się o ratunek. Padłem na kolana!

— Czy pan jest wierzący? — spytał Heyst z wyraźnym odcieniem szacunku.

— Pewnie, że nie jestem niedowiarkiem.

W natychmiastowej odpowiedzi Morrisona zabrzmiała lekka wymówka. Rozmowa się urwała; Morrison badał zapewne swoje sumienie, a Heyst zachował wyraz niezachwianego, uprzejmego zainteresowania.

— Modliłem się jak dziecko, oczywiście. Wierzę w modlitwę dziecka — no i ko-biety, ale przypuszczam, że Bóg wymaga od mężczyzn więcej odpowiedzialności. Nie uznaję mężczyzn zanudzających Wszechmogącego swymi głupimi kłopotami. Uważam to za bezczelność. A jednak — dzisiaj rano... doprawdy, nie wyrządziłem nigdy świadomie krzywdy żadnemu Bożemu stworzeniu... dzisiaj rano modliłem się. Taki nagły poryw — i padłem na kolana. Z tego pan widzi —

Patrzyli sobie w oczy z powagą. Biedny Morrison dodał ze zniechęceniem:

— Tylko że to jest takie miejsce zapomniane od Boga.

Heyst zapytał ogólnie, czy nie mógłby się dowiedzieć, jak wysoką jest suma, za którą wzięto bryg w zastaw.

Morrison stłumił przekleństwo i wymienił krótko sumę, która była tak niewielka, że każdy inny na miejscu Heysta byłby krzyknął ze zdziwienia. A nawet i Heyst ledwie zdołał powściągnąć niedowierzanie w głosie, gdy pytał uprzejmie, czy doprawdy Morrison nie rozporządza taką ilością pieniędzy.

Modlitwa

Tak było rzeczywiście. Morrison miał ze sobą tylko trochę angielskiego złota, wszystkiego kilka funtów. Całą gotówkę zostawił u Tesmanów w Samarangu na wyrównanie rachunków, których termin płatności przypadał w czasie jego podróży. Oczywiście pieniądze te były dla niego równie niedostępne, jak gdyby się znajdowały na dnie piekielnej otchłani. Mówił to wszystko szorstkim tonem. Spoglądał z nagłą niechęcią na szlachetne czoło, wielkie, marsowe wąsy i zmęczone oczy człowieka siedzącego naprzeciwko. Któż to jest u diabła? I po cóż on, Morrison, siedzi tu i rozprawia o tym wszystkim? Wiedział o Heyscie tyle, co każdy z nas, handlujących na obszarze archipelagu. Gdyby Szwed wstał nagle i dał mu pięścią w nos, nie byłoby go to bardziej zdumiało od faktu, który teraz nastąpił: oto ten obcy człowiek, ten nieokreślony włóczęga rzekł z lekkim ukłonem:

— Jeżeli tylko o to chodzi, będę bardzo szczęśliwy, gdy pan mi pozwoli sobie usłużyć.

Morrison nie rozumiał. Był to jeden z tych faktów, które się nigdy nie zdarzają — fakt niesłychany. Nie zdawał sobie sprawy, co znaczą właściwie słowa Heysta, póki ten nie rzekł wyraźnie:

— Mogę panu tę sumę pożyczyć.

— Pan ma te pieniądze? — wyszeptał Morrison — to znaczy tutaj, w kieszeni?

— Tak, mam je przy sobie. Miło mi, że mogą się panu przydać.

Morrison wytrzeszczył oczy i z otwartymi ustami jał wodzić ręką po ramieniu, szukając sznurka od monokla, który wisiał gdzieś na plecach. Znalazł go wreszcie i wetknął z pośpiechem do oka. Wyglądało to, jakby się spodziewał, że zwykle, białe, tropikalne ubranie Heysta przemieni się w promienną szatę, spływającą aż do stóp, że z ramion jego wytryśnie para wielkich olśniewających skrzydeł — i jakby nie chciał opuścić ani jednego szczegółu tego przeobrażenia. Ale jeśli Heyst był aniołem, zesłanym z wyżyn w odpowiedzi na modlitwę, nie zdradził swego niebiańskiego pochodzenia żadną zewnętrzną oznaką. Tedy Morrison, zamiast paść na kolana zgodnie ze swoim porywem, wyciągnął tylko rękę, którą Heyst pochwycił z grzecznym pośpiechem, mruczając jakieś uprzejme słowa. Morrison dosłyszał tylko: „Drobnostka — jestem uszczęśliwiony — usłużyć...”

— A więc cuda się dzieją! — rozmyślał przejęty grozą. Dla niego — jak i dla nas wszystkich — mało było prawdopodobnym, aby Opatrzność mogła wybrać na pośrednika w sprawie dotyczącej pieniędzy tego wędrownego Heysta, który ani siał ani orał. To, że znalazł się w Timorze, czy też gdziekolwiek indziej, było tak naturalne, jak sfrunięcie wróbla na ramę okienną w tej lub innej chwili. Ale że mógł mieć w kieszeni pewną sumę pieniędzy — ten fakt właśnie wydawał się niezrozumiałym.

Tak dalece niezrozumiałym, że gdy brnęli razem piaszczystą drogą w kierunku urzędu celnego — także lepianki z błota — aby zapłacić karę, Morrison oblał się nagle zimnym potem, stanął jak wryty i wykrzyknął urywanym głosem:

— Ale... ale czy pan nie żartuje?

— Czy nie żartuję? — Niebieskie oczy Heysta spojrzały twardo na zmieszanego Morrisona. — Jak pan to rozumie, jeśli wolno zapytać? — mówił dalej z chłodną uprzejmością.

Morrison zawstydział się.

— Niech mi pan wybaczy. Bóg musiał pana zesłać w odpowiedzi na moją modlitwę. Ale przez te trzy dni odchodziłem prawie od zmysłów ze zmartwienia i teraz nagle przyszło mi na myśl: a jeśli to diabeł go posłał?

— Nie mam nic wspólnego ze sprawami nadprzyrodzonymi — odrzekł Heyst uprzejmie, idąc obok Morrisona. — Nikt mnie nie posłał. Po prostu znalazłem się na pańskiej drodze.

— Już ja wiem lepiej — zaprzeczył Morrison. — Nie jestem tego godzien, ale zostałem wysłuchany. Czuję to. Bo skądżeby mi pan zaproponował — —

Heyst skłonił głowę, jak gdyby chciał wyrazić szacunek dla przekonania, którego nie mógł sam podzielić. Ale utrzymywał w dalszym ciągu, że wobec tak ohydneho faktu postępowanie jego było przecież zupełnie naturalne.

Później, gdy kara została już zapłacona i obaj mężczyźni znaleźli się na pokładzie brygu, uwolnionego od straży, Morrison, który był nie tylko dżentelmenem, ale i człowiekiem uczciwym, zaczął mówić o spłaceniu długu. Znał dobrze swoją niezdolność do zaoszczędzenia jakiegokolwiek sumy. Wypływało to po części z warunków, po części zaś z jego usposobienia i byłoby rzeczą bardzo trudną ustalić, ile winy spada na każdy z tych

czynników. Nawet sam Morrison, zwierając się Heystowi, nie umiał tego ująć. Oświadczył ze znużeniem, że taki już widać jego los.

— Nie rozumiem, co to znaczy, ale nigdy nie mogłem nic sobie odłożyć. To doprawdy jakieś przekleństwo. Zawsze znajdzie się parę rachunków, które trzeba zapłacić.

Wsadził rękę do kieszeni, szukając słynnego notatnika, który znano tak dobrze na wyspach, notatnika, zawierającego wszystkie jego nadzieje. Zaczął gorączkowo przerzucać kartki.

— A jednak widzi pan — ciągnął — o, tutaj: winni mi są więcej niż pięć tysięcy dolarów! To przecież coś znaczy.

Nagle urwał. Heyst, który przez cały czas usiłował przybrać minę jak najobojętniejszą, mruknął coś uspokajająco. Ale Morrison był nie tylko uczciwy; był także człowiekiem honoru. W tym ciężkim dniu, w obliczu niezwyklego wysłańca Opatrzności, dokonał się zasadniczy przewrót w jego uczuciach: Morrison zdobył się na akt wyrzeczenia; zerwał ze złudzeniami, którym ulegał przez całe życie.

— Nie, nie. Nic z tego nie będzie. Nie potrafię ich nigdy przycisnąć. Nigdy. Przez całe lata mówiłem, że to zrobię; ale teraz kładę na tym krzyżyk. Właściwie to nigdy nie wierzyłem, że się na to zdobędę. Niech pan się tego nie spodziewa. Ograбіłem pana.

Biedny Morrison oparł dosłownie głowę o stół kabiny i trwał w tej zgnębionej postawie, a Heyst przemawiał do niego z najwyszukańszą grzecznością, starając się go uspokoić. Był równie strapiiony jak Morrison, gdyż przenikał na wskroś jego uczucia. Heyst nie pogardzał nigdy żadnym godziwym uczuciem. Ale nie umiał wcale okazywać serdeczności i cierpiał dotkliwie nad tym swoim brakiem. Wyszukana uprzejmość nie jest odpowiednim lekarstwem na depresję. Obaj musieli przejść wówczas ciężkie chwile w kabinie na brygu. Wreszcie upadły na duchu Morrison, szukając rozpaczliwie jakiegoś wyjścia z sytuacji, wpadł na myśl, aby zaproponować Heystowi podróżowanie na brygu i podział zysków z przedsiębiorstw handlowych, póki dług nie zostanie wyrównany.

Fakt, że Heyst mógł w ogóle przyjąć tę propozycję, jest najlepszym dowodem, jak dalece nieustalone i oderwane pędził życie. Nie ma racji przypuszczać, aby odpowiadała mu wtedy specjalnie wędrowka po wszystkich dziurach i zakątkach archipelagu, gdzie koncentrował się prawie cały handel Morrisona. Nic podobnego. Ale byłby przystał na jakikolwiek układ, byle tylko położyć kres dręczącej scenie, która rozgrywała się w kajucie. Wobec zgody Heysta nastąpił zasadniczy zwrot w sytuacji. Morrison podniósł wynędzniałą twarz i, założywszy monokl, spojrzał serdecznie na Heysta, po czym odkorkowano butelkę — i tak dalej. Postanowili, że nie powiedzą nic nikomu o przebiegu całej sprawy. Łatwo zrozumieć, że Morrison nie był dumny z tej historii i bał się, iż go niemilośnie wyszydzą.

— Taki stary wyga jak ja! I dałem się wciągnąć w zasadzkę tym przeklętym łotrom portugalskim! Prześladowano by mnie tym bez końca. Musimy zachować to w tajemnicy.

Heystowi zależało jeszcze bardziej na przemilczeniu całej sprawy z przyczyn zupełnie odmiennych, a głównie z powodu wrodzonej delikatności. Rola niebiańskiego wysłańca, którą Morrison chciał narzucić swemu wybawcy, byłaby przykrą dla każdego i Heyst miał do niej odrazę. A może nie życzył sobie, aby wiadano, że posiada pewne środki — choćby niewielkie — dzięki którym może udzielać pożyczek. Ta ich rozmowa w kajucie przypominała duet spiskowców z opery komicznej: „Cicho, sza! tajemnica! tajemnica!” Musiało to być bardzo zabawne, gdyż obaj przejęli się tym najpoważniej w świecie.

I rzeczywiście, do pewnego czasu udało się tak dobrze całą sprawę zakonspirować, iż orzekliśmy wszyscy, że pocziwy Morrison utrzymuje Heysta; niektórzy zaś wyrażali się, że Heyst nabiera głupiego Morrisona. Ale wiadomo, jak to bywa ze wszystkimi takimi sekretami. Zawsze się znajdzie jakaś szparka, którądy prawda przecieka. Morrisona, który nie odznaczał się specjalną dyskrecją, rozsadzała po prostu wdzięczność i pod naciskiem pytań musiało mu się zapewne wyrwać coś nieokreślonego — na żer plotkującym. A wiadomo także, jak dobrotliwymi komentarzami świat zaopatruje fakty, których nie rozumie. Rozeszła się pogłoska, że Heyst, zdobywszy jakąś tajemniczą władzę nad Morrisonem, przyczepił się do niego i wysysa go bez litości. Ci, którzy mieli sposobność dotrzeć do źródła tych pogłosek, ani przez chwilę nie brali ich na serio. Twórcą ich był — jak się zdaje — niejaki Schomberg, wysoki, brodaty osobnik o męskiej postawie i teutońskich przekonaniach, tudzież o nieposkromionym języku, którym mełł bez wytchnienia.

Plotka

Czy był rzeczywiście oficerem rezerwy — jak utrzymywał — nie umiem powiedzieć. Na wschodzie uprawiał zawód hotelarza — najpierw w Bangkoku, potem w jakimś innym mieście i wreszcie w Sourabayi. Wędrując tu i ówdzie po tej części podzwrotnikowego pasa, ciągnął za sobą wszędzie milczącą, zalęknłą kobiecinę o długich lokach i głupawym uśmiechu, odsłaniającym niebieski ząb. Nie rozumiem, czemu tak wielu z nas popierało różne gospody tego hotelarza. Był skończonym osłem i nasycił swoją żądzę głupich plotek, ostrząc sobie język na własnych gościach. Pewnego wieczoru, gdy Morrison i Heyst, nie zaliczający się do jego stałych bywalców, przechodzili obok hotelu, szepnął tajemniczo do mieszanej kompanii, zebranej na werandzie:

— O, widzieliście państwo pająka i muchę?

Po czym dodał znacząco i poufnie, osłaniając usta grubą łapą:

— Jesteśmy tu w swoim kółku, więc powiem wam tylko to, moi panowie: unikajcie tego Szweda. Strzeżcie się jego sidła!

III

Wiadomo, że natura ludzka skłonna jest zarówno do głupoty jak do małostkowości: więc też niektórzy udawali, że się oburzają na Heysta — nie mając ku temu żadnej innej podstawy poza ogólnoludzką skłonnością do wierzenia wszelkim złośliwym pogłoskom — inni zaś uznali po prostu za pyszny kawał nazywanie Heysta pająkiem — za jego plecami, naturalnie. Nie zamąciło to pogody Heysta, który nic o tym nie wiedział, tak jak i o poprzednich przezwiskach. Ale wkrótce zaczęto o nim opowiadać wiele innych rzeczy, gdy wybił się jako wielki aferzysta. Skrystalizował się w coś wyraźnego. Wyrósł w naszych oczach na miejscowego dyrektora Podzwrotnikowej Spółki Węglowej z biurami w Londynie i Amsterdamie i tak dalej — co brzmiało i wyglądało wspaniale. Biura w obydwu stolicach mogły się składać — i prawdopodobnie składały się — z jednego pokoju; ale z tego oddalenia, hen, z dalekiego wschodu, wszystko przybierało wygląd imponujący. Byliśmy tym właściwie raczej zaskoczeni niż olśnieni, ale nawet i najtrzeźwiejsi zaczęli myśleć, że jednak coś jest w tym wszystkim. Tesmanowie mianowali agentów, kontrakt z rządowymi parowcami został podpisany, epoka pary zaczęła się na wyspach — dokonywał się wielki krok naprzód — krok Heysta.

A wszystko to wynikało ze spotkania Heysta-wędrowca z Morrisonem, zagnanym w położenie bez wyjścia, które to spotkanie było — albo i nie było — doraźnym skutkiem modlitwy. Morrison, człowiek bynajmniej nie głupi, zabrnął w stosunku do Heysta w mgliste uczuciowe komplikacje. Jeżeli Heyst z pieniędzmi w kieszeni został odkomenderowany bezpośrednim dekretem Opatrzności, jako odpowiedź na modlitwę Morrisona, w takim razie nie było powodu do specjalnej wdzięczności, odegrał bowiem tylko rolę narzędzia. Ale Morrison wierzył jednocześnie i w skuteczność swojej modlitwy, i w nieograniczoną dobroć Heysta. Dziękował Bogu za łaskę ze szczerą pokorą, a zarazem nie mógł się dość nadziękować Heystowi za przysługę, którą Szwed mu wyświadczył z ludzką solidarnością. W tym (bardzo zresztą zrozumiałym) powikłaniu uczuć wdzięczność Morrisona domagała się, aby Heyst brał także udział w wykorzystaniu wielkiego odkrycia. Dowiedzieliśmy się wreszcie, że Morrison pojechał do Anglii przez Kanał Sueski, aby w Londynie torować osobiście drogę wspaniałym planom węglowym. Rozstał się ze swym brygiem i znikł nam z oczu. Słyszeliśmy, że Heyst odebrał od niego list, czy kilka listów, donoszących, że Londyn jest zimny i ponury, że ani ludzie tamtejsi, ani rzeczy mu nie odpowiadają, że jest „samotny jak wrona w obcym kraju”. W rzeczywistości tęsknił za swoim *Capricornem* — nie myślę tu wyłącznie o zwrotniku, lecz także o okręcie. Wreszcie pojechał do Dorsetshire w odwiedziny do krewnych, zaziębił się i umarł z piorunującą szybkością na łonie przerażonej rodziny. Nie umiałbym powiedzieć, czy to wysiłki Morrisona w City londyńskiej podkopały jego zdrowie, ale jestem przekonany, że jego starania tchnęły życie w projekt węglowy. Tak czy owak Podzwrotnikowa Spółka Węglowa przyszła na świat w krótki czas potem, gdy Morrison — ofiara wdzięczności i rodzimego klimatu — spoczął obok przodków na cmentarzu w Dorsetshire.

Śmierć Morrisona wstrząsnęła Heystem. Dowiedział się o niej na Molukkach za pośrednictwem Tesmanów — i znikł na pewien czas z horyzontu. Zdaje się, że siedział w Amboyne u przyjaciela, Holendra, lekarza rządowego, który pielęgnował go w swojej

willi. Nagle Heyst zjawił się znowu na wyspach. Oczy miał wpadnięte, a z obejścia jego przebiegała pewna ostrożność, jakby się lękał, że mogą go spotkać wyrzuty za śmierć Morrisona.

O świętą naiwności! Któż by się o to troszczył... Żadnego z nas nie obchodzili ani trochę ci, którzy wracali do kraju. Uważaliśmy, że dobrze im się dzieje — i już wcale nie brało się ich w rachubę. Podróż do Europy wydawała się prawie równie ostateczną jak podróż do nieba. Usuwała człowieka ze świata hazardu i przygód.

Ścisłe mówiąc, wielu z nas posłyszało o śmierci Morrisona dopiero w kilka miesięcy później z ust Schomberga, który obdarzał Heysta bezinteresowną antypatią i ukuł plotkę, wygłaszaną zazwyczaj ponurym szeptem:

— Widzicie panowie, do czego doprowadza zadawanie się z tym gagatkiem. Wycisnie człowieka jak cytrynę, a potem kopnie i wyprawia do domu po śmierć! Niechaj los Morrisona będzie dla każdego przestrogą.

Śmieliśmy się naturalnie z tych aluzji do jakichś mętnych tajemnic. Kilku z nas słyszało, że Heyst ma jechać do Europy, aby popchnąć osobiście węglową aferę, ale do tego nigdy nie doszło — okazało się to zbyt czynnym. Spółka powstała bez czynnego współudziału Heysta, a nominację na dyrektora okręgu podzwrotnikowego odebrał pocztą.

Heyst obrał od razu Samburan, czyli Okrągłą Wyspę, na stację centralną. Podawano sobie z rąk do rąk kilka egzemplarzy prospektu, drukowanego w Europie, który dotarł aż na daleki wschód. Zachwycaliśmy się mapą, dołączoną do prospektu ku zbudowaniu akcjonariuszów. Jako punkt centralny wschodniej półkuli widniał tam Samburan wydrukowany olbrzymimi literami. Promienie grubych linii rozchodziły się od niego w różnych kierunkach, przecinając zwrotniki i tworząc tajemniczą, efektowną gwiazdę; miało to oznaczać linie wpływów, czy linie odległości, czy też coś w tym rodzaju. Założyciele spółek mają zupełnie odrębną wyobraźnię. Nie ma na świecie ludzi bardziej romantycznie usposobionych. Na Samburanie pojawili się inżynierowie, sprowadzono kulisów¹⁵, zbudowano domki i wykopano galerię w górskim zboczu, wydobywając rzeczywiście trochę węgla.

Te fakty przekonały nawet najoporniejszych. Przez jakiś czas każdy mieszkaniec wysp mówił o Podzwrotnikowej Spółce Węglowej i nawet ci, którzy uśmiechali się obojętnie, kryli tylko swój niepokój. A więc tak! stało się; i każdy mógł przewidzieć, jakie skutki z tego wynikną: zagłada dla poszczególnych żeglarzy, zmiecionych przez wielką inwazję parostatków. Nie mogliśmy sobie pozwolić na kupno parowców. Nie było nas stać na to. A Heyst został dyrektorem.

— Pan wie — Heyst, zaczarowany Heyst. No patrzcie państwo! Jak tylko sięgnąć pamięcią, nigdy nie był niczym lepszym od włóczęgi!

— Tak — i mówił, że poszukuje faktów. No więc znalazł teraz fakt — i to taki, że da radę od razu nam wszystkim — mówił jakiś rozgoryczony głos.

— I to ma być postęp! Do licha z tym wszystkim! — mruczał inny.

Nigdy jeszcze nie rozprawiano tyle o Heyście w pasie podzwrotnikowym.

— Zdaje się, że on jest szwedzkim baronem, czy czymś w tym rodzaju?

— On, baronem? Dajże spokój!

Co do mnie, nie wątpiłem ani przez chwilę, że ma ten tytuł rzeczywiście. Powiedział mi to sam przy pewnej sposobności, w czasach, gdy snuł się jeszcze po wyspach, zagadkowy i lekceważony, niby jakiś duch bez znaczenia. Działo się to na długo przedtem, zanim zmaterializował się w sposób tak zastraszający jako niszczyciel naszego drobnego handlu — Heyst-nieprzyjaciół.

Weszło w modę mówienie o Heyście jako o nieprzyjaciół. Stał się obecnie czymś bardzo konkretnym i widocznym. Rzucił się po całym archipelagu; wskakiwał do miejscowych statków pocztowych, wysiadał tu, i tam, i ówdzie — zupełnie jakby to były tramwaje. Całą duszą oddał się organizacji. To już nie była włóczęga; to była praca. Nagle rozwinięcie wytężonej energii Heysta zachwiało skuteczniej niedowierzaniem największych sceptyków niż jakikolwiek wywód naukowy o wartości tych pokładów węgla. Zrobiło to wrażenie na wszystkich. Jeden jedyny Schomberg nie uległ zwrotowi opinii. Wielki, tegi, o męskiej postawie i okazałej brodzie, podchodził ze szklanką piwa w grubej

¹⁵kulis — niskopłatny robotnik azjatycki, tragarz. [przypis edytorski]

łapie do stolika, gdzie omawiano najnowsze plotki, i przysłuchiwał się przez chwilę, po czym występował z niezmiennym oświadczeniem:

— Wszystko to bardzo pięknie, moi panowie, ale mnie on swoim pyłem węglowym oczu nie zasypie. Nic z tego nie będzie. I jakżeby mogło być? Taki drab, jak on, na dyrektora? Phy!

Czy była to przenikliwość głupiej nienawiści, czy po prostu idiotyczny upór, który czasem wpływa na bieg rzeczy w sposób najbardziej zdumiewający? Wielu z nas pamięta podobne przykłady zwycięskiego triumfu głupoty. Ten osioł Schomberg także zatriumfował. Podzwrotnikowa Spółka Węglowa została zlikwidowana, jak na początku zaznaczyłem. Tesmanowie umyli ręce. Rząd unieważnił sławetne kontrakty. Gadanina uci-chła i wkrótce potem zauważono, że Heyst gdzieś przepadł. Stał się niewidzialny, tak jak w dawnych czasach, kiedy znikał z horyzontu, aby wyzwolić się spod czaru „tych wysp”, uciekając w stronę Nowej Gwinei czy Sajgonu — do ludożerców albo do kawiarni. Zaczarowany Heyst! Czy wyzwolił się wreszcie spod czaru? A może umarł? Znadto byliśmy obojętni, aby się tym prawdziwie interesować. Lubiliśmy go na ogół, a lubienie nie wystarcza, by podtrzymać czas dłuższy zajęcie się jakąś ludzką istotą. Z nienawiścią rzecz ma się odwrotnie. Schomberg nie mógł Heysta zapomnieć. Ten zapalczywy i męski okaz Niemca umiał dobrze nienawidzić. Często tak bywa z głupcami.

Nienawiść

— Dobry wieczór panom! Czy panowie otrzymali wszystko, czego sobie życzą? To dobrze. No, i co ja panom zawsze mówiłem? Aha! Że z tego nic nie będzie. Wiedziałem o tym. Ale o jednej rzeczy chciałbym się jeszcze dowiedzieć: co się też stało z tym — Szwedem.

Podkreślał wyraz Szwed, jak gdyby to znaczyło: łotr. Nie cierpiał w ogóle Skandynawów. Dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć. Niepodobna przeniknąć takiego durnia. Po chwili ciągnął dalej:

— Będzie już z pięć miesięcy, albo i więcej, jak nie zdarzyło mi się spotkać nikogo, kto by go widział.

Jak już zaznaczyłem, niewiele nas to obchodziło; ale Schomberg nie mógł tego naturalnie zrozumieć. Był tępy aż do śmieszności. Gdy się tylko trzech gości zjawilo w jego gospodzie, nie omieszkął się postarać, aby i Heyst był z nimi.

— Mam nadzieję, że się ten gagatek nie utopił — dodawał z komiczną powagą, która powinna była o dreszcz nas przyprawić; ale gromadka nasza nie była przenikliwa i nie rozumiała psychologicznych motywów tego pobożnego życzenia.

— Dlaczego? Pewno Heyst dłużny jest panu za trunki, co? — spytał ktoś z lekką pogardą.

— Za trunki? Nic podobnego!

Hotelarz nie był człowiekiem interesownym; cechę tę spotyka się dość rzadko w teutońskim charakterze. Wyjawił natomiast z ponurą miną, że Heyst nie odwiedził nawet trzy razy jego „zakładu”. To była właśnie owa zbrodnia, za którą Schomberg życzył Heystowi — ni mniej ni więcej — tylko długiej i udręczonej egzystencji. Oto mamy teutoński zmysł proporcji i rozkoszne usposobienie, nie pamiętające uraz.

Nareszcie pewnego wieczora ujrzano Schomberga, podchodzącego do grupy stałych gości. Był najwidoczniej uszczęśliwiony. Prostował męską pierś z wielką godnością.

— Proszę panów, mam o nim wiadomości. O kim? No o tym Szwedzie. Siedzi wciąż na Samburanie. Wcale się stamtąd nie ruszał. Spółka przepadła, inżynierowie wyjechali, urzędnicy wyjechali, kulisi wyjechali — wszyscy wyjechali; ale on siedzi na miejscu. Kapitan Davidson wracał z zachodu i widział go na własne oczy. Zobaczył coś białego na wybrzeżu; więc skierował parowiec do zatoki i przybił do brzegu w małej łódce. Patrzy — a to doprawdy Heyst. Stoi sobie i chowa książkę do kieszeni. Ugrzeczniony, jak zawsze! Oświadczył, że chodzi po wybrzeżu i czyta. „Pozostałem tu w charakterze właściciela”, mówi do kapitana Davidsona. „Chciałbym ja wiedzieć, co on tam ma do jedzenia. Kawałek suchej ryby od czasu do czasu — i nic więcej. No nie? I pomyśleć, że przyszło na to człowiekowi, który wydziwiał nad moim *table-d'hôte*!¹⁶

Mrugnął z niezmierną złośliwością. W tej chwili właśnie rozległ się dzwonek i Schomberg poprowadził gości do jadalnego pokoju — niby do świątyni — krocząc poważnie na

¹⁶*table-d'hôte* (fr.) — menu proponujące parudaniowy posiłek w kilku wariantach. [przypis edytorski]

czelę z miną dobroczyńcy ludzkości. Ambicją jego było żywić ludzkość w zamian za pokątną cenę, a największą rozkoszą — obgadywać gości za plecami. Napawanie się myślą, że Heyst nie ma nic porządnego do zjedzenia, doskonale go charakteryzowało.

IV

Niektórzy z nas, interesując się bardziej Heystem, zwrócili się do Davidsona po szczegóły. Nie było ich wiele. Opowiedział nam, że chciał się dowiedzieć, co się dzieje na Samburanie, i przepłynął na północ od wyspy. Z początku wydało mu się, że z tej strony wybrzeże zupełnie jest opustoszałe. Tego się właśnie spodziewał. Wkrótce nad zwartą masą roślinności, pokrywającej Samburan, zobaczył drzewce sztandaru bez flagi. Potem, gdy płynął przez płytkie wgłębienie, znane swego czasu pod oficjalną nazwą Zatoki Czarnych Diamentów, dostrzegł przez lunetę białą postać na wybrzeżu. Nie mógł to być nikt prócz Heysta.

— Byłem przekonany, że chce, aby go zabrać, więc skierowałem się ku brzegowi. Nie dawał żadnych znaków. Mimo to spuściłem łódkę. Nie było naokoło żywego stworzenia. Trzymał w ręku książkę i wyglądał co do joty tak jak dawniej: czystutkie ubranie, białe trzewiki, hełm korkowy. Tłumaczył mi, że zawsze miał zamiłowanie do samotności. Pierwszy raz to słyszę! — rzekłem mu na to. Uśmiechnął się tylko. I cóż mu miałem powiedzieć? Z tym człowiekiem nie można jakoś rozgadać się poufale. Coś takiego w nim siedzi. — Nie ma się ochoty.

— Ale po co pan tu siedzi? Czy pan zamierza objąć nadzór kopalni? — zapytałem.

— „Coś w tym rodzaju — odpowiedział. — Pilnuję tego”.

— „Przecież z tego nic już nigdy nie będzie! — zawołałem. — To fakt niezbity, że nie ma tu po co siedzieć”.

— „Och, co do faktów, skończyłem z nimi raz na zawsze” — odrzekł i porywczym ruchem podniósł rękę do hełmu w krótkim ukłonie.

Tak odprawiony Davidson wrócił na pokład, wyprowadził statek z zatoki i, odjeżdżając, śledził z pomostu Heysta, który szedł brzegiem wzdłuż bulwaru. Zanurzył się w wysoką trawę i zniknął, tylko wierzch białego korkowego hełmu zdawał się płynąć po zielonym morzu. Wkrótce zapadła się i ta biała plamka, jakby wessana przez żywą głęb tropikalnej roślinności, która — bardziej od oceanu zazdrosna o ludzkie podboje — pochłaniała ostatnie resztki zlikwidowanej „Podzwrotnikowej Spółki Węglowej — A. Heyst, dyrektor Wschodniego Oddziału”.

Davidson, człowiek dobry i pełen prostoty, dziwnie był tym poruszony. Trzeba zaznaczyć, że bardzo mało wiedział o Heyscie. Należał do ludzi, których wytworna uprzejmość słów i postawy Szweda zbijała z tropu najzupełniej. Sam zaś odznaczał się prawdopodobnie wielką subtelnością uczuć, ale jeśli chodzi o zewnętrzną ogładę, nie miał jej więcej od każdego z nas. Tworzyliśmy bezceremonialną bandę, rządzącą się według własnych zasad, nie gorszych — śmiem twierdzić — od zasad innych ludzi; ale ogłada nie należała do głównych naszych zalet. A jednak subtelność Davidsona była tak istotna, że zmieniła drogę parowca, którym dowodził. Zamiast przepływać na południe od Samburanu, powziął zwyczaj okrążania wyspy od północy, mniej więcej o milę od bulwaru.

— Jeśli będzie miał ochotę nas widzieć, to nas zobaczy — zauważył Davidson. — Zastanowił się chwilę i dodał: — Słuchajcie no, mam nadzieję, że nie weźmie mnie za natręta — co?

Uspokoił obawy Davidsona co do poprawności jego zachowania. Morze jest otwarte dla wszystkich.

To lekkie zboczenie z drogi dodawało coś około dziesięciu mil do okólnej podróży, ale ponieważ długość całego objazdu wynosiła tysiąc sześćset mil, nie robiło to już wielkiej różnicy.

— Mówiłem o tym mojemu pryncypałowi — wyjaśnił sumienny komendant Sissie.

Właściciel Sissie miał twarz podobną do zwiędłej cytryny. Mały był i pomarszczony, co mogło wydać się dziwnym, bo Chińczyk rośnie zwykle wszere i wzdłuż w miarę tego, jak mu się powodzi. Służba w chińskiej firmie jest wcale¹⁷ korzystna. Gdy zwierzchnik

Samotnik

¹⁷wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

nabierze przekonania, że się z nim uczciwie postępuje, obdarza zaufaniem wprost nieograniczonym. Wszystko, co robi, jest dobre. Więc też stary Chińczyk Davidsona skrzypiał pośpiesznie:

— Dobrze, dobrze, dobrze. Niech kapitan robi, co mu się żywnie podoba.

I na tym się kończyło; jednak niezupełnie. Od czasu do czasu Chińczyk dopytywał się o białego człowieka. — Ciągłe tam jeszcze siedzi, co?

— Nigdy go nie widać — musiał wreszcie wyznać Davidson swemu pryncypałowi, który spoglądał na niego w milczeniu przez okągłe okulary w rogowej oprawie, kilkakrotnie za duże w stosunku do jego małej, starej twarzy. — Nigdy go nie widać.

A do mnie mówił przy sposobności:

— Nie wątpię ani na chwilę, że on tam jest. Kryje się. To bardzo nieprzyjemne. — Davidson był trochę zły na Heysta. — To zabawne — ciągnął dalej. — Ze wszystkich ludzi, z którymi się widuję, nikt nigdy o niego nie zapyta prócz mojego Chińczyka — i Schomberga — dodał po chwili.

Tak, naturalnie — i Schomberga. Ten wypytywał każdego o wszystko i usłyszaną wiadomość przyrządzał w sposób najbardziej skandaliczny, na jaki tylko było stać jego wyobraźnię. Podchodził do nas niekiedy, a jego mrugające, podpuchnięte oczy, grube wargi, a nawet i kasztanowata broda — wszystko było pełne złośliwości.

— Dobry wieczór panom! Czy panowie czego nie potrzebują? Nie? To dobrze. No więc — mówiono mi, że dżungla połknęła już ostatnie budy nad Zatoką Czarnych Diamentów. Naprawdę! On siedzi teraz jak pustelnik na puszczy. Co też ten dyrektor może tam dostać do jedzenia? Nie umiem sobie tego wyobrazić!

Czasami jakiś obcy gość pytał ze zrozumiałym zaciekawieniem:

— Kto taki? Jaki dyrektor?

— Ech, to tam jeden Szwed — odpowiadał z ponurym naciskiem, jak gdyby mówił: jeden bandyta. — Znają go tu dobrze. Został pustelnikiem ze wstydu. Tak właśnie postępuje diabeł, gdy się na nim poznają.

Pustelnik — oto ostatnie z mniej lub więcej dowcipnych przezwisk, które przyczepiono Heystowi podczas jego bezcelowych pielgrzymek w tej części pasa tropikalnego, gdzie bezmyślne plotkarstwo Schomberga drażniło nam uszy.

Ale zdaje się, że Heyst nie został pustelnikiem z zamilowania. Widok bliźnich nie był mu nieprzeparcie wstrętny. Musimy tak sądzić, ponieważ z tych czy owych przyczyn opuścił na krótko swoje schronienie. Może chciał się tylko przekonać, czy nie ma dla niego listów w biurze Tesmanów? Nie wiem. I nikt tego nie wie. Ale powrót Heysta dowodził, że jego oderwanie od świata nie było zupełne. Wszelka zaś niezupełność jest źródłem kłopotów. Aksel Heyst nie powinien był troszczyć się o swoje listy, czy też inne sprawy, które sprowadziły go do Sourabayi po więcej niż półtorarocznym pobycie na Samburanie. Ale cóż na to poradzić? Nie miał powołania na pustelnika — w tym cała bieda.

Bądź co bądź zjawił się nagle na horyzoncie: szeroka pierś, łyse czoło, długie wąsy, uprzejme obejście i tak dalej — słowem Heyst we własnej osobie, aż do zapadłych oczu o życzliwym spojrzeniu, przyćmionym jeszcze śmiercią Morrisona. Oczywiście Davidson wydobył go z jego zatraconej wyspy. Nie było innego sposobu wydostania się stamtąd, chyba przejazd na jakimś statku krajowców, okazja zresztą rzadka i mało pociągająca. Jakoż przybyli obaj z Davidsonem, któremu Heyst oznajmił, że wybrał się na krótko, na jakieś kilka dni, po czym zamierza wrócić na Samburan.

Gdy Davidson oświadczył na to ze zgrozą, że podobna niedorzeczność jest nie do wiary, Heyst wyjaśnił, iż po zawiązaniu się Spółki Węglowej polecił wysłać swoje rzeczy z Europy na Samburan.

I dla Davidsona, i dla nas wszystkich osłupiająco nową była myśl, że Heyst — ten wędrowny, niesiony prądem, nigdzie nie osiadły Heyst — jest właścicielem jakichś sprzętów, nadających się do umeblowania domu. To było fantastyczne i dziwaczne — tak jakby ptak posiadał coś na własność.

— Rzeczy? To znaczy krzesła i stoły? — spytał Davidson z jawnym zdumieniem.

Heyst miał to właśnie na myśli.

— Biedny mój ojciec umarł w Londynie. Odtąd wszystko było tam na przechowaniu — objaśnił.

— Przez cały ten czas? — zawołał Davidson i uprzytomnił sobie, od jak dawna już znamy Heysta snującego się puszcza wśród drzew.

— Nawet jeszcze dawniej — odrzekł Heyst, który go doskonale zrozumiał.

Dawał tym do zrozumienia, że jego wędrówka zaczęła się, zanim jeszcze się dostał pod naszą obserwację. W której stronie świata? W jakich zamierzonych czasach? Tajemnica. Może był ptakiem, który nigdy nie miał gniazda.

— Z nauką skończyłem wcześniej — rzekł raz w czasie podróży do Davidsona. — Byłem w szkole w Anglii. Bardzo dobra szkoła. Ale nie święciłem tam wielkich triumfów.

To były zwierzenia Heysta. Żaden z nas nigdy nie usłyszał tak wiele z jego dziejów — prawdopodobnie z wyjątkiem Morrisona, który już nie żył. Wynikałoby stąd, że pustelnicze życie posiada moc rozwiązywania języka — nieprawdaż?

Podczas owego pamiętnego przejazdu na Sissie trwającego około dwóch dni, Heyst napomknął jeszcze Davidsonowi o innych szczegółach ze swego życia — gdyż były to napomknienia, nie informacje. Davidsona bardzo to zajmowało. A zajmowało go nie tylko dlatego, że treść była interesująca, ale i z powodu wrodzonej nam wszystkim ciekawości — tego charakterystycznego rysu ludzkiej natury. Przy tym życie Davidsona, który krążył na Sissie wzdłuż Morza Jawajskiego i z powrotem, było wybitnie monotonne i w pewnym znaczeniu — samotne. Na statku nie miał nigdy żadnego towarzystwa. Od podróżujących krajowców roilo się na pokładzie, ale biali pasażerowie nie zdarzali się nigdy i dwudniową obecność Heysta Davidson uznał pewnie za dar niebios. Opowiedział nam później to wszystko. Heyst mówił mu także o swoim ojcu, który napisał mnóstwo książek. Był filozofem.

— Zdaje mi się, że musiał przy tym mieć bzika — twierdził Davidson. — Pokłócił się widać ze swoją rodziną w Szwecji. W sam raz ojciec dla Heysta. Czyż i on nie ma lekkiego bzika? Mówił mi, że zaraz po śmierci ojca puścił się w świat samopas i wędrował bez ustanku, póki nie natknął się na ten sławny interes węglowy. To tak jakoś pasuje do syna jego ojca — czy nie?

Poza tym Heyst był równie grzeczny jak zawsze. Spytał, ile jest winien za przejazd, a gdy Davidson nie chciał słyszeć o zapłacie, chwycił go serdecznie za rękę, skłonił się dwornie po swojemu i oświadczył, że jest wzruszony przyjacielskim jego postępowaniem.

— Nie mam na myśli tej drobnej kwoty, której pan nie chce przyjąć — ciągnął, potrząsając ręką Davidsona. — Ale jestem wzruszony humanitaryzmem pana. — Drugie potrząśnięcie ręką. — Niech mi pan wierzy, oceniam w całej pełni dobroć, której od pana doznałem. — Ostatnie potrząśnięcie ręką. To wszystko miało oznaczać, że Heyst dobrze rozumiał okazywanie się Sissie co pewien czas w pobliżu jego pustelni.

— To prawdziwy dżentelmen — mówił nam Davidson. — Było mi naprawdę przykro, kiedy go na brzeg wysadziłem.

Spytaliśmy, gdzie zostawił Heysta.

— No, gdzieżby jak nie w Sourabayi?

Główny kantor Tesmanów znajdował się w Sourabayi. Stosunki między Heystem i Tesmanami istniały już od dawna. Dziwaczny fakt, że pustelnik miał agentów, nie raził nas wcale, tak samo jak i absurd, polegający na tym, iż zapomniany, odepchnięty, opuszczony dyrektor nieudanego, upadłego, zatraconego przedsiębiorstwa prowadzi jakieś interesy. Odrzekliśmy: „Naturalnie, że w Sourabayi!” i wyraziliśmy przypuszczenie, że Heyst zatrzyma się u któregoś z Tesmanów. Jeden z nas ciekaw był bardzo, jakiego też Heyst dozna przyjęcia, bo wiadano ogólnie, że Juliusz Tesman niepomniernie był rozgoryczony upadkiem Podzwrotnikowej Spółki Węglowej. Ale Davidson sprostował nasze domysły. Nic podobnego — Heyst zamieszkał w hotelu Schomberga, przybwszy do brzegu w hotelowej szalupie — Schomberg oczywiście ani myślał posyłać szalupy na spotkanie Sissie, zwykłego handlowego statku. Wyjechała naprzeciw pocztowego parowca i przyzwano ją znakami. U steru siedział Schomberg we własnej osobie.

— Trzeba było widzieć wytrzeszczone gały Schomberga, gdy Heyst wskoczył do szalupy, trzymając starą torbę z brązowej skóry! — opowiadał Davidson. Udał, że nie zna Heysta — przynajmniej w pierwszej chwili. Nie wysiadłem na ląd razem z nimi. Zatrzymaliśmy się wszystkiego parę godzin. Wyładowałem dwa tysiące orzechów kokosowych i odpłynąłem. Umówiliśmy się, że zabiorę Heysta, gdy będę przejeżdżał z powrotem za dwadzieścia dni.

V

Tak się złożyło, że Davidson spóźnił się o dwa dni w powrotnej drodze; nie było to, naturalnie, nic ważnego, postanowił jednak wysiąść natychmiast po przyjeździe, w czasie największego popołudniowego skwaru, aby odszukać Heysta. Hotel Schomberga stał w głębi rozległego ogrodzenia, gdzie mieścił się ogród oraz dziedziniec z kilku wielkimi drzewami o szeroko rozpostartych konarach, ocieniających oddzielną halę, „odpowiednią na koncerty i inne przedstawienia” — jak to sformułował Schomberg w swoich anon-sach. Podarte, trzepoczące się afisze, umieszczone na ceglanych słupach z dwóch stron bramy, głosiły przysadzistemu czerwonymi literami: „Co wieczór koncert”.

Droga do hotelu była długa, słońce wściekle prażyło. Davidson, obcierając mokrą twarz i szyję, przystanął na tak zwanej przez Schomberga „piazzy”. Kilkoro drzwi stało tam otworem, ale wszystkie zasłony były spuszczone. Nie było widać żywej duszy, nawet kelner Chińczyk się nie pokazał, tylko żelazne, malowane krzesła i stoły zapełniały werandę. Samotność, cień, ponure milczenie — i lekki, zdradliwy powiew, który przypłynął spod drzew i niespodzianie przyprowadził o dreszcz topiącego się z gorąca Davidsona. Taki nieznaczny dreszczyk tropikalny, zwłaszcza w Sourabai, oznacza często chorobę i szpital dla nieostrożnego białego.

Przezorny Davidson poszukiwał schronienia w najbliższym zacienionym pokoju. W sztucznym mroku, za płaszczyznami bilardów odzianych w pokrowce, biała postać dźwignęła się z dwóch krzeseł, na których leżała. O tej porze dnia, po skończonym lunchu, Schomberg odbywał zwykle sjęstę. Zbliżył się powoli do gościa, okazały się stateczny — w defensywie; wielka, jasna broda przykrywała jak pancerz męską jego pierś. Nie lubił Davidsona, który nie był nigdy jego stałym gościem. Nacisnął dzwonek, stojący na jednym ze stołów, obok których przechodził, i spytał wyniośle, jak przystało na oficera rezerwy:

— Czego pan sobie życzy?

Pocciwy Davidson, wciąż wycierając mokrą szyję, oświadczył z prostotą, że przyszedł zabrać Heysta, ponieważ tak się umówili.

— Nie ma go tutaj.

Na dzwonek zjawił się Chińczyk. Schomberg zwrócił się do niego z bardzo srogą miną.

— Obsłuż pana.

Ale Davidson odrzekł, że musi już iść. Nie może czekać na Heysta, prosi tylko, aby go zawiadomiono, że Sissie odjeżdża o północy.

— Mówię panu, że go tu nie ma.

Zafrasowany Davidson uderzył się po udzie.

— Ach Boże! pewno jest w szpitalu. — Przypuszczenie to było zupełnie naturalne w bardzo malarycznej miejscowości.

Porucznik rezerwy ściągnął tylko usta i podniósł brwi, nie patrząc na Davidsona. Mogło to być zrozumiane bardzo rozmaicie, ale Davidson odrzucił myśl o szpitalu. W każdym razie musiał odnaleźć Heysta przed północą.

— Czy mieszkał tutaj? — zapytał.

— Tak, mieszkał tutaj.

— A nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest teraz? — ciągnął spokojnie Davidson. Zaczynał się niepokoić, bowiem przybrawszy samowwano rolę opiekuna, zdążył się już do Heysta przywiązać. Odpowiedź brzmiała:

— Nie wiem. To nie moja rzecz — i Schomberg pokręcił majestatycznie głową, pozwalając się domyślać jakichś strasznych tajemnic.

Davidson był wcieloną łagodnością. Taką już miał naturę. Toteż nie zdradził się ze swymi uczuciami, które nie były dla Schomberga przyjazne.

— Dowiem się w kantorze u Tesmanów — pomyślał. Ale pora dnia była niezmiernie gorąca, a przy tym, jeśli Heyst znajdował się w porcie, wiedział pewno o przybyciu Sissie. Może nawet był już na pokładzie i rozkoszował się chłodem, którego niepodobna było znaleźć w mieście. Davidson, jako człowiek otyły, dbał zawsze o chłód i nie lubił się ruszać. Zatrzymał się chwilę, w niepewności co ma dalej robić. Schomberg stał przy drzwiach i patrzył w ogród, udając zupełną obojętność. Nie mógł jednak wytrzymać. Odwrócił się porywczo i spytał z nagłą wściekłością:

— Pan chciał się z nim widzieć?
— No tak — odrzekł Davidson. — Umówiliśmy się, że się spotkamy.
— Niech się pan o to nie kłopotce. Już mu na tym nie zależy.
— Dlaczego mu nie zależy?
— Przecież pan sam widzi. Nie ma go tu, prawda? Daję panu na to słowo. Niech pan sobie nim głowy nie zawraca. Radzę to panu po przyjacielsku.
— Dziękuję panu — odrzekł Davidson, przestraszony w duchu dzikim tonem Schomberga. — Chyba siądę jednak na chwilę i napiję się czegoś.
Tego się Schomberg nie spodziewał. Zawołał brutalnie:
— Kelner!

Podszedł Chińczyk; hotelarz wskazał mu kiwnięciem głowy białego człowieka i wyszedł z pokoju, mrucząc coś pod nosem. Davidson posłyszał, że Schomberg zgrzytał przy tym zębami.

Davidson siedział samotny w towarzystwie bilardów, jak gdyby w hotelu nie było żywej duszy. Jego spokój był tak głęboki, że nie czuł się zbyt zakłopotany nieobecnością Heysta, ani też tajemniczym zachowaniem Schomberga. Rozważał te sprawy po swojemu i wcale niegłupio. Coś się widocznie stało — nie miał jednak ochoty odejść i rozpocząć dochodzenia: wstrzymywało go przecucie, że właśnie tu na miejscu sytuacja się wyjaśni. Naprzeciw niego wisiał na ścianie afisz z napisem: „Co wieczór koncert”, taki sam, jak ogłoszenia wiszące na bramie, tylko lepiej zachowany. Patrzył nań leniwie, przy czym zwróciła jego uwagę okoliczność — nie zdarzająca się wówczas tak często — że była to damska kapela: „Wschodnie tournée Zangiacoma: osiemnaście dam muzykantek”. Afisz stwierdzał, że kapela miała zaszczyt popisywać się doborowym repertuarem przed różnymi kolonialnymi ekscelencjami, a także przed paszami, szejkami, jego wysokością sultanem Maskatu itd.

Davidsonowi żal się zrobiło osiemnastu muzykantek. Wiedział, czym jest takie wędrownie życie, znał wstrętne okoliczności i brutalne zajścia, towarzyszące objazdom prowadzonym przez takich Zangiacomów, których zawód nie ma najczęściej nic wspólnego z muzyką. Gdy tak przypatrywał się afiszowi, otworzyły się drzwi za jego plecami i weszła kobieta, którą uważano — i bez wątplenia słusznie — za żonę Schomberga. Jak ktoś cynicznie zauważył, za mało była pociągająca, aby odgrywać inną rolę. Krążyły wieści, oparte na jej lęklwym wyrazie twarzy, że Schomberg haniebnie się z nią obchodzi. Davidson uchylił kapelusza na jej widok. Pani Schomberg skłoniła w odpowiedzi wyblakłą twarz i siadła natychmiast za podwyższonym kontuarem, mieszczącym się naprzeciw drzwi, na tle lustra i licznych rzędów butelek. Uczesana była nader wymyślnie, z dwoma lokami, zwieszającymi się z lewej strony wychudłej szyi, suknię zaś miała jedwabną; stawiała się właśnie do popołudniowego zajęcia. Schomberg wymagał tego z jakiejś przyczyny, chociaż obecność jej nie dodawała bynajmniej uroku sali restauracyjnej. Siedziała w dymie i hałasie, niby bóstwo na tronie, uśmiechając się niekiedy bezmyślnie znad bilardów. Nie odzywała się do nikogo i nikt też do niej nie mówił. Sam Schomberg nie zwracał na nią wcale uwagi, co najwyżej rzucał jej spode łba ponure spojrzenia, niczym zresztą nieusprawiedliwione. Nawet Chińczycy ignorowali ją najzupełniej.

Wejście pani Schomberg przerwało rozmyślania Davidsona. Siedzieli teraz we dwoje; milczenie jej i nieruchomość przeszkadzały Davidsonowi. Kapitan bardzo był skłonny do współczucia. Uznał, że byłoby grubiaństwem nie zwracać na nią uwagi. Odezwał się więc, nawiązując rozmowę do afisza:

— Czy ci ludzie mieszkają tu u państwa?

Pani Schomberg była tak dalece nieprzyzwyczajona, aby się do niej zwracano, że na dźwięk jego głosu podskoczyła na krześle. Davidson opowiadał nam później, że podskoczyła zupełnie jak figura wyciosana z drzewa, nie tracąc sztywnej nieruchomości. Nie poruszyła nawet oczami; ale odpowiedziała swobodnie, mimo że usta jej wyglądały jak rzeźbione w drzewie.

— Mieszkali tu przeszło miesiąc. Teraz już wyjechali. Grywali co wieczór.

— A ładnie grywali, co?

Nic na to nie odpowiedziała, a że ciągle patrzyła nieruchomo wprost przed siebie, milczenie jej zbiło z tropu Davidsona. Wyglądało to, jakby go wcale nie słyszała, co było niemożliwe. A może nie chciała sobie pozwolić na wypowiedzenie własnego zdania?

Schomberg musiał ją wytresować w tym kierunku i w domowym pożyciu nie wrywała się pewnie ze swymi sądami. Ale Davidson uważał, że honor jego wymaga podtrzymania rozmowy, rzekł więc, tłumacząc po swojemu zdumiewające milczenie gospodyni:

— Aha, rozumiem — nie było to nic szczególnego. Takie zespoły zwykle bywają liche. To pewno banda Włochów, proszę pani? sądząc po nazwisku kapelmistrza.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. On jest naprawdę Niemcem, tylko farbuje sobie wąsy i brodę dla interesu. Przeważał się Zangiacomo — także dla interesu.

— To ciekawe — rzekł Davidson. Miał głowę wciąż pełną Heysta i przyszło mu na myśl, że pani Schomberg wie może coś niecoś i o innych sprawach. To odkrycie było rzeczą zdumiewającą dla człowieka, który miał sposobność ją widywać. Nikt nie podejrzewał jej nigdy o zdolność myślenia i czucia, w najslabszym choćby stopniu. Uważało się ją raczej za coś nijakiego; za manekin, albo bardzo pospolity automat, tak zbudowany, że umiał kiwać głową i uśmiechać się idiotycznie od czasu do czasu. Davidson patrzył na jej profil o splaszczonym nosie, zapadłym policzku i nieruchomym, wylupiającym oku, utkwionym wprost przed siebie. Zadał sobie pytanie: „Czy to przed chwilą mówiło? czy przemówi jeszcze?” — Było to zagadnienie niezmiernie ciekawe, zupełnie jakby się usiłowało rozmawiać z jakąś maszyną. Uśmiech błędził po tłustej twarzy Davidsona — uśmiech człowieka, zajętego zabawnym doświadczeniem. Odezwał się znowu:

— Ale te muzykantki to prawdziwe Włoszki, co?

Nic go to oczywiście nie obchodziło. Chciał się tylko przekonać, czy mechanizm zareaguje na jego słowa — i tak się też stało. Usłyszał w odpowiedzi, że i kapela nie była rodem z Włoch. Zdaje się, że to taka sobie zbieranina. Automat zamilkł, a wylupiające jego oko patrzyło nieruchomo przez całą długość pokoju ku otwartym drzwiom, wychodzącym na „piazza”. Po krótkiej chwili odezwał się znowu równie cichym głosem:

— Była tam nawet jedna angielska dziewczyna.

— Biedactwo — rzekł Davidson. — Wyobrażam sobie, że takie kobiety nie lepiej są traktowane od niewolnic. Czy ten drab z farbowaną brodą zachowywał się mniej więcej przyzwoicie?

Automat milczał. Współczująca dusza Davidsona wyprowadziła więc własny swój wniosek.

— Co za piekielne życie mają takie kobiety! — rzekł. — Proszę pani, pani mówi, że między nimi była i angielska dziewczyna; czy pani ma na myśli rzeczywiście młodą dziewczynę? Te muzykantki w damskich kapelach nie bywają pierwszej młodości.

— Dość była młoda — zabrzmiał cichy głos pani Schomberg, lecz twarz jej ani drgnęła.

Zachęcony tym Davidson oświadczył, że bardzo tej dziewczynie współczuje. Już to on w ogóle szafował hojnie współczuciem.

— Dokąd pojechali? — zapytał.

— Ona z nimi nie pojechała. Uciekła.

To była druga ciekawa wiadomość, którą Davidson usłyszał. Ożywiło to rozmowę na nowo.

— No, no! — zawołał spokojnie i zapytał z miną człowieka znającego życie:

— A z kim uciekła?

Pani Schomberg siedziała tak nieruchomo, że zdawała się czegoś pilnie nasłuchiwać. Może i nasłuchiwała rzeczywiście; ale Schomberg kończył pewnie drzemkę w jakiejś odległej części domu. Głęboka cisza przeciągnęła się tak długo, że aż się straszno zrobiło. Wreszcie pani Schomberg szepnęła do Davidsona z wyżyn swojego tronu:

— Z tym pańskim przyjacielem.

— Ach tak, więc pani wie, że szukam tu przyjaciela — rzekł Davidson pełen nadziei.

— Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć...

— Już panu powiedziałam.

— Jak to?

Davidsonowi wydało się, że sprzed oczu usuwa mu się mgła, odsłaniając coś, w co nie mógł uwierzyć.

— To niemożliwe! — wykrzyknął. — Ten człowiek nie jest zdolny do czegoś podobnego. — Ale przy ostatnich słowach głos go zawiódł. Pani Schomberg ani drgnęła — Davidson, który pod wrażeniem nowiny porwał się był z krzesła, osłabł nagle.

— Heyst! ten wzór dżentelmena! — wykrzyknął słabym głosem.

Pani Schomberg zdawała się go nie słyszeć. Zdumiewający fakt porwania nie pasował jakoś do opinii, jaką sobie Davidson o Heyscie wyrobił. Heyst nie mówił nigdy o kobietach, zdawał się nigdy o nich nie myśleć, nie pamiętać nawet, że istnieją, a tu nagle coś podobnego! Uciec z pierwszą lepszą muzykantką z kapeli!

— Gdyby mnie wtedy ktoś palcem tknął, byłbym leżał na ziemi — opowiadał nam Davidson w jakiś czas później.

Zapatrywał się już wówczas pobłażliwie na obie strony biorące udział w zdumiewającej eskapadzie. Przede wszystkim wcale nie był pewien po namyśle, czy ten postępek uwłacza Heystowi jako ideałowi dżentelmena. Nasze drwiny i spokojne uśmiechy przyjmował z powagą na okrągłej twarzy. Heyst zabrał dziewczynę na Samburan; to wcale nie były żarty. Panująca tam pustka i szczątki walących się zabudowań zrobiły głębokie wrażenie na prostodusznym Davidsonie. Samburan nie harmonizował ze swawolnymi konceptami ludzi, którzy go nigdy nie widzieli. Czarny pomost, sterczący z dżungli i wstępujący w bezludne morze; szczyty dachów opuszczonych domostw, wyzierające ponuro z wysokiej trawy — brrr! Olbrzymia, żałobna tablica Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, wylaniała się wciąż jeszcze z dzikiej gęstwy zarośli, niby napis umieszczony nad grobem, za który mógł uchodzić stos niesprzedanego węgla, leżący u końca bulwaru; potęgowało to jeszcze wrażenie rozpaczliwego pustkowi.

Tak mówił wrażliwy Davidson. Dziewczyna musi być rzeczywiście w strasznym położeniu, jeśli zdecydowała się towarzyszyć obcemu człowiekowi do takiego miejsca. Heyst z pewnością powiedział jej prawdę. To dżentelmen. Ale żadne słowa nie były w stanie opisać warunków życia na Samburanie. Określenie: bezludna wyspa nie dawało jeszcze o tym żadnego pojęcia. Przy tym, jeśli się jest wyrzuconym na bezludną wyspę, nie można nic na to poradzić; ale co za nedoręczność spodziewać się po dziewczynie z wędrownej damskiej kapeli, że pobyt na Samburanie sprawi jej przyjemność — choćby tylko przez jeden jedyny dzień. Należało raczej przypuszczać, że na sam widok wyspy krzyknie z przerażenia.

Zdolność do współczucia u ludzi spokojnych i otyłych jest wprost zdumiewająca. Davidson poruszony był do głębi i widać było od razu, że się tak Heystem przejmuje. Spytaliśmy go, czy nie przejeżdżał w tych czasach obok Samburanu.

— O tak. Przejeżdżam zawsze tamtędy — o jakieś pół mili od brzegu.

— Nie widział pan tam kogo?

— Nikogo. Ani żywej duszy.

— A dawał pan sygnał gwizdawką?

— Ja? — gwizdawką? Myśli pan, że byłbym zdolny do czegoś podobnego?

Obruszył się na samą myśl takiego nieuprawnionego natręctwa. Zadziwiająco delikatny człowiek, ten Davidson.

— No dobrze, więc skąd pan wie, że oni tam są? — spytano go naturalnie.

Heyst powierzył pani Schomberg kartkę do Davidsona — kilka wierszy, skreślonych ołówkiem na skrawku zmiętego papieru. Pisał tam, że nieprzewidziane okoliczności zmusiły go do wyjazdu przed umówionym terminem i prosił Davidsona o pobłażliwość dla tej pozornej nieuprzejmości. Gospodyni domu — miał na myśli Schombergową — opowie Davidsonowi, co zaszło, choć, oczywiście, nie będzie mogła tego wytłumaczyć.

— Cóż tu jest do tłumaczenia? — spytał Davidson z powątpiewaniem. — Zawrócił sobie głowę tą skrzypaczką.

— A ona nim, jak się zdaje — poddałem.

— Piorunem się uwinęli — rozważał Davidson. — Jak pan myśli, co z tego wyniknie?

— Prawdopodobnie żał za grzechy. Ale jak się to stało, że wybrali sobie Schombergową na powiernicę?

I rzeczywiście — zdawałoby się, że figura z wosku może być użyteczniejszą od tej kobiety, którą przyzwyczailiśmy się wszyscy widzieć siedzącą na wzniesieniu ponad dwoma bilardami, bezmyślną, nieruchomą, niemą i zdającą się nic nie widzieć.

— Pomogła dziewczynie dać nura — rzekł Davidson, zwracając na mnie naiwne oczy, zaokrąglone od bezustannego zdumienia, w jakie wprowadziła go ta sprawa — podobnie jak wstrząs przerażenia czy smutku wywołuje czasami drżenie nerwowe. Zdawało się, że nigdy się z tego nie otrząśnie.

— Siedziałem, niczego nie podejrzewając, gdy nagle Schombergowa rzuciła mi na kolana kartkę Heysta zwiniętą jak fidybus¹⁸ — ciągnął Davidson. — Ochłonawszy ze zdumienia, spytałem, co też ona, u Pana Boga, ma z tym wspólnego? Dlaczego właśnie jej to powierzył? Nie drgnęła nawet — zupełnie jak malowany obraz, a nie żywa kobieta — i wyszeptała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem:

— „Pomogłam im. Pozbierałam jej rzeczy, zapakowałam w swój własny szal i przez tylne okno wyrzuciłam na dziedziniec. Ja to zrobiłam”.

— I to ta sama kobieta, która — zdawałoby się — nie ma odwagi ruszyć palcem — dziwił się Davidson spokojnym, trochę zasapanym głosem. — Co pan o tym myśli?

Myślałem, że musiała mieć w tym własny swój cel. Za mało było w niej życia, aby można ją było podejrzewać o poryw litości. Niepodobna nawet przypuszczać, aby Heyst mógł ją przekupić. Nie potrafiliby tego zrobić, choćby rozporządzał największymi środkami. A może uległa tej bezinteresownej namiętności, dążącej do pchnięcia kobiety w ramiona mężczyzny, namiętności, która w szanujących się sferach zwie się swataniem? Stanowiłoby to bardzo nieszablonowy przykład swatów!

— Zawiniątko było pewnie bardzo niewielkie — zauważył Davidson.

— Ta dziewczyna musiała mieć jakiś specjalny urok — rzekłem.

— Nie wiem. Była nieszczęśliwa. W zawiniątku znajdowało się pewnie tylko trochę bielizny i parę białych sukien, które muzykantki nosiły na estradzie.

Davidson rozmyślał w dalszym ciągu o tym wszystkim. Twierdził, że w historii zwrotników był to fakt niesłychany. Bo gdzieżby się znalazł człowiek, gotowy wykraść dziewczynę, grywającą w kapeli? Zdarzało się, naturalnie, że ktoś upodobał sobie jaką ładniejszą muzykantkę, ale nie po to, aby ją wykraść. Nic podobnego! Na to trzeba takiego wariata, jak Heyst.

— Proszę sobie wyobrazić, jakie to może mieć skutki — sapał Davidson, pełen bujnej imaginacji pod pozorami niewzruszonego spokoju. — Niech pan tylko spróbuje sobie wyobrazić! Samotne rozmyślanie na Samburanie pomieszały mu w głowie. Nie zastanowił się ani trochę, bo nie byłby tego zrobił. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach... Taka historia nie może przecież trwać długo. Co on z nią w końcu zrobi? To po prostu wariactwo.

— Pan mówi, że on ma bzik. Schomberg znów twierdzi, że Heyst umiera z głodu na swojej wyspie, więc może ją zje w końcu — poddałem.

Davidson opowiadał nam dalej, że Schombergowa nie miała czasu zapuszczać się w szczegóły. I rzeczywiście, należało się dziwić, że pozostawiono ich tak długo sam na sam. Mijały senne godziny popołudnia. Na werandzie — przepraszam! na piazzie — rozległy się kroki i głosy, przesuwanie krzeseł, dźwięk trąconego dzwonka. Schodzili się goście. Pani Schomberg, nie patrząc na Davidsona, zaczęła prosić nerwowym szeptem, aby o tej sprawie nic nikomu nie wspominał i nagle ucięła w pół słowa. W niewielkich drzwiach, prowadzących w głąb domu, ukazał się Schomberg z przygładzonymi włosami i pięknie rozczesaną brodą — tylko powieki miał jeszcze ocieźałe od drzemki. Spojrzał podejrzliwie na Davidsona i rzucił nawet wzrokiem na żonę, ale wrodzony spokój jednego i zwykła nieruchomość drugiej uspiły jego czujność.

— Czy kazałaś podać napoje? — zapytał cierpko.

Nie zdążyła jeszcze otworzyć ust, gdy z obładowaną tacą na głowie ukazał się główny kelner, zmierzając ku werandzie. Schomberg podszedł do drzwi i powitał gości, ale nie przyłączył się do nich. Pozostał w przejściu, zasłaniając je do połowy, zwrócony tyłem do pokoju, i stał tam jeszcze, gdy Davidson, posiedziawszy chwilę spokojnie, powstał aby odejść. Posłyszawszy szmer, Schomberg odwrócił głowę, zobaczył, że Davidson składa jego żonie ukłon, na który odpowiedziała drewnianym skinieniem głowy i bezmyślnym uśmiechem, po czym zwrócił się znów ku werandzie. Wyniosły był i pełen godności. Davidson przystanął we drzwiach, kryjąc chytry zamiar pod pozorną prostotą.

¹⁸*fidibus* — wiele razy złożony kawałek papieru, używany do zapalania fajki. [przypis edytorski]

— Przykro mi, że pan nie chce mi nic powiedzieć o moim przyjacielu — rzekł. — Pan wie, o moim przyjacielu Heyście. Zdaje się, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poinformować się w porcie. Jestem pewien, że się tam czegoś dowiem.

— A dowiaduj się pan choćby u diabła! — odmruknął chrypliwie Schomberg.

Zagadując hotelarza, Davidson miał głównie na myśli odciążenie podejrzeń od pani Schomberg; ale byłby też chętnie usłyszał coś niecoś o czynie Heysta z odmiennego punktu widzenia. Ten przebiegły замысль powiódł się, ale spowodził skutek zgoła nieoczekiwany, albowiem punkt widzenia hotelarza okropnie był obelżywy. Ni stąd ni zowąd, tym samym ochryplym, ponurym tonem Schomberg jął sypać na Heysta wyzwiska, wśród których „świński pies” nie należało do najgorszych — i to z taką gwałtownością, że zatchnęło go po prostu. Korzystając z przerwy, Davidson, którego usposobienie umiało znieść jeszcze większe wstrząsy, zrobił mu półgłosem uwagę:

— To nierozsądnie tak się złościć. Nawet gdyby był uciekł z pańską kasą —

Hotelarz pochylił swoją wielką postać i zbliżył rozwścieczoną twarz do twarzy Davidsona.

— Z moją kasą! Z moją — on — słyszy pan, kapitanie Davidson? Uciekł z dziewczyną! Co mnie to może obchodzić? Ta dziewczyna jest dla mnie niczym.

Cisnął obelżywe słowo, na którego dźwięk Davidson się wzdrygnął. Oto czym jest ta dziewczyna! I powtórzył zapewnienie, że go to nic nie obchodzi. Co mu leży prawdziwie na sercu, to dobra reputacja jego domu. Wszędzie, gdzie tylko miał hotel, „artystyczne zespoły” zatrzymywały się u niego. Jedni polecali go drugim; a co będzie teraz, jeśli się rozgłosi, że dyrektorowie zespołów narażeni są w jego domu — w jego domu! — na utratę artystów? I to właśnie teraz, kiedy wydał siedemset trzydzieści cztery guldeny na budowę hali koncertowej w swojej posiadłości! Jak on śmiał pozwolić sobie na coś podobnego w szanującym hotelu? Co za zuchwałość, co za nieprzyzwoitość, co za bezczelność, co za niegodziwość! Ten włóczęga, oszust, kanalia, łotr, *Schweinehund*¹⁹!

Schwycił Davidsona za guzik, zatrzymując w przejściu, właśnie na linii kamiennego spojrzenia pani Schomberg. Davidson zerknął ukradkiem w jej stronę i rozmyślał, jaki uspakajający znak ma jej przesłać, ale wyglądała tak dalece na pozbawioną nie tylko wszelkich zmysłów, lecz prawie i życia, stercząc na swoim wzniesieniu, że uznał to za zbyteczne. Uwolnił guzik spokojnie a stanowczo, po czym Schomberg — ze zduszonym przekleństwem na ustach znikł gdzieś w głębi, aby w samotności ukoić rozkołysane nerwy. Davidson wszedł na werandę. Siedzący tam goście zauważyli gwałtowne intermedium²⁰ we drzwiach. Davidson znał jednego z nich i kiwnął mu głową, przechodząc. Znajomy zawołał:

— Prawda, jaki on wściekły! I to tak ciągle od tamtego czasu.

Roześmiał się głośno, a jego towarzysze uśmiechali się, siedząc przy stoliku. Davidson zatrzymał się.

— Tak, rzeczywiście jest wściekły.

Davidson mówił nam, że odczuwał wtedy jakąś tępą rezygnację. Na zewnątrz, oczywiście, nie było to bardziej widoczne niż wzruszenie żółwia, który się cofnął w głąb skorupy.

— Nie widzę w tym sensu — mruknął w zamyśleniu.

— Przecież oni się pobili! — odrzekł znajomy Davidsona.

— Co takiego? Pobili się? Pobili się z Heystem? — Spytał niedowierzająco Davidson, srodze zaniepokojony.

— Z Heystem? Ależ nigdy w życiu! To tych dwóch się pobiło: kapelmistrz — indywiduum obwożące te kobiety — i Schomberg. Signor Zangiacomo miał atak ostrego szału od samego rana i napadł na naszego szanownego przyjaciela. Zaczęła się gonitwa po całym domu; drzwi trzaskały, kobiety wrzeszczały w jadalni — siedemnaście kobiet — wreszcie tarzali się po podłodze tu na tej werandzie. Chińczycy wleźli na drzewa — hej, John! Ty wyleźć na drzewo, żeby widzieć bójka — co?

Niewzruszony Chińczyk o migdałowych oczach mruknął coś pogardliwie, skończył wycierać stół i odszedł.

¹⁹*Schweinehund* (niem.) — bydlak. [przypis edytorski]

²⁰*intermedium* (z łac.) — tu: przerwa (dosł.: utwór teatralny grany między aktami sztuki). [przypis edytorski]

— To była bójka co się zowie. Zangiacomo zaczął. O, właśnie idzie Schomberg. Panie Schomberg, prawda — to on rzucił się na pana wtedy, gdy ta dziewczyna znikła? Ponieważ pan wymagałeś, żeby artystki chodziły między publicznością w czasie pauzy?

Schomberg zjawił się z powrotem we drzwiach. Podszedł do nas z godnością, ale nozdrza mu latały i widać było, że z wysiłkiem panuje nad głosem.

— Naturalnie. To przecież należało do interesu. Mieszkali u mnie na szczególnie dogodnych warunkach — i wszystko to przez wzgląd na was, panowie. Chciałem rozrywkę dla moich stałych gości. Wieczorami nie ma w mieście nic do roboty. Panowie byliście chyba wszyscy radzi, że możecie posłuchać dobrej muzyki — a cóż to złego, jeśli się poczęstuje artystkę szklanką grenadyny, czy czymkolwiek innym. Ale ten hultaj — ten Szwed — podszedł dziewczynę. Wszystkich tu tak samo podchodził. Przypatruję mu się od lat. Pamiętacie przecież, jak oplątał Morrisona?

Zrobił zwrot w tył jak na paradzie i odszedł. Goście przy stole zamienili spojrzenia. Davidson zachowywał się jak obojętny widz. Odgłos kroków Schomberga, chodzącego ponuro po bilardowym pokoju, słychać było aż na werandzie.

— A co najzabawniejsze — ciągnął mężczyzna, który zaczepił Davidsona, Anglik, służący w holenderskiej firmie — najzabawniejsze jest to, że tegoż samego dnia przed dziewiątą rano ci dwaj pojechali jednym wózkiem do portu na poszukiwanie Heysta i dziewczyny. Widziałem, jak biegali w porcie, wypytując wszystkich. Nie wiem, co byliby zrobili z dziewczyną, ale wyglądało mi na to, że gotowi są rzucić się na tego pańskiego Heysta i zabić go na środku bulwaru.

Mówił dalej, że nigdy w życiu nie widział nic równie zabawnego. Ci dwaj ludzie, dążący gorączkowo do jednego celu, spoglądali na siebie ze zdumiewającą wściekłością. Pożerani wzajemną nienawiścią i podejrzeniami, wsiedli do szalupy i jeździli po całym porcie od okrętu do okrętu, wywołując niebywałą sensację. Kapitanowie, którzy wysiedli później na ląd, opowiadali o dziwacznej wyprawie nieznajomych i wypytывali, kim są ci dwaj antypatyczni wariaci, rozbijający się w szalupie za jakimś mężczyzną i jakąś kobietą i rozpowiadający historię, z której nic nie można było wyrozumieć. Przyjęcie, którego doznali w porcie, było na ogół nieprzychylnie, a oficer jakiegoś amerykańskiego statku wyprowadził ich nawet za burtę z niepolitycznym pośpiechem.

Tymczasem Heyst z dziewczyną byli już o dobrych kilka mil od brzegu. Odpłynęli w nocy na pokładzie szkunera z flotylii Tesmanów, udającego się na wschód. Dowiedziano się o tym później od jawajskich wioślarzy, najętych przez Heysta o trzeciej rano. Szkuner Tesmanów odbił od brzegu o brzasku z lądowym wiatrem porannym i prawdopodobnie można go było jeszcze dostrzec na pełnym morzu. Jednakże dwaj mężczyźni przerwali pogoń po doświadczeniu z amerykańskim oficerem i skierowali się ku brzegowi. Wysiadając, wszczęli znów gwałtowną kłótnię po niemiecku, ale do drugiej bójki nie doszło. Wreszcie, odwróciwszy się od siebie ze wścieklą nienawiścią, wsiedli do jednego wózka, najwidoczniej w celu zaoszczędzenia niepotrzebnego wydatku — i odjechali, zostawiając na bulwarze zdziwioną gromadkę Europejczyków i krajowców.

Wysłuchawszy tej cudacznej historii, Davidson opuścił hotelową werandę, która wypełniała się już stałymi gośćmi Schomberga. Eskapada Heysta stanowiła główny temat rozmów. Davidson twierdził, że nigdy przedtem ten niepojęty osobnik nie był przedmiotem tylu plotek. Nigdy! Nawet po założeniu Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, kiedy stał się niejako publicznym człowiekiem i był przedmiotem głupich krytyk i tępej zazdrości każdego włóczęgi i awanturnika na wyspach. Davidson doszedł do wniosku, że ludzie najbardziej lubią rozpamiętywać skandale tego właśnie rodzaju.

Spytałem, czy uważa to ostatecznie za taki wielki skandal.

— Ależ broń Boże! — odrzekł ten zacny człowiek, który był absolutnie niezdolny do popełnienia jakiegokolwiek niewłaściwego kroku. — Jednak sam nie byłbym tego zrobił — to znaczy nawet gdybym nie był żonaty.

To oświadczenie nie zawierało bynajmniej potępienia, raczej coś na kształt żalu. Davidson podzielał mój domysł, że źródłem postępków Heysta była chęć ocalenia nieszczęśliwej istoty. To przypuszczenie nie dowodziło jednak, iż jesteśmy obaj romantykami, sądzącymi świat według własnego usposobienia; mieliśmy po prostu dość przenikliwości, aby odkryć już dawno, że Heyst jest romantykiem.

— Zabrakłoby mi odwagi — ciągnął dalej. — Widzę każdą rzecz niejako ze wszystkich stron, a Heyst tego nie potrafi: gdyby patrzył jasno, zląkłby się różnych możliwości. Nie można zabrać kobiety w bezludną dżunglę, nie narażając się na to, że prędzej czy później będzie się tego żałowało z tej czy owej przyczyny; a to, że Heyst jest dżentelmenem, pogarsza jeszcze sprawę.

VI

Tym razem nie mówiliśmy już więcej o Heyście i tak się złożyło, że nie spotkałem się z Davidsonem przez jakieś trzy miesiące. Gdyśmy się znów zobaczyli, rzekł do mnie zaraz po przywitaniu:

— Widziałem go.

Zanim zdążyłem wykrzyknąć, zapewnił mnie, że nie narzucił się Heystowi, że nie postąpił jak natręt. Został wezwany. Gdyby nie to, nigdy by mu się nie śniło wdziierać się w zacisze Heysta.

— Jestem przekonany, że pan by tego nie zrobił — odrzekłem, nie zdradzając, jak dalece mnie bawi jego zdumiewająca delikatność. Był to najdelikatniejszy ze wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek dowodzili małymi parowcami, krążącymi naokoło tych wysp. Zaś jego dobroć — niemniej wybitna i godna uznania — sprawiała, że przejeżdżał wzdłuż wybrzeża Samburanu (mniej więcej w półmilowej odległości) regularnie co dwadzieścia trzy dni. Davidson był delikatny, humanitarny i punktualny.

— Więc Heyst wezwał pana? — spytałem z zaciekawieniem.

Tak, Heyst dał mu znak, gdy parowiec mijał o zwykłym czasie Samburan. Davidson oglądał właśnie brzeg przez lunetę ze zwykłą dobrocią, niezmordowaną i punktualną.

— Dostrzegłem na wybrzeżu człowieka w białym ubraniu. To mógł być tylko Heyst. Przymocował coś w rodzaju olbrzymiej flagi do bambusowego kija i powiewał tym, stojąc u końca starego bulwaru.

Davidson nie lubił przepływać za blisko Samburanu — prawdopodobnie bał się Heystowi narzucać; podjechał jednak tuż do brzegu, zatrzymał maszyny i kazał spuścić lódź. Wsiadł do tej łodzi, oczywiście razem z załogą, złożoną z malajskich majtków.

Heyst, zobaczywszy lódź, zmierzającą ku brzegowi, opuścił tykę z sygnałem i Davidson zastał go klęczącego i zajętego odwiązywaniem tkaniny od kija.

— Czy stało się coś złego? — zagadnąłem, gdyż Davidson przerwał na chwilę opowiadanie, a łatwo zrozumieć, z jaką ciekawością go słuchałem. Trzeba pamiętać, że Heyst, taki jakim go znano na archipelagu, nie był — jakby to powiedzieć — człowiekiem lubiącem posługiwać się sygnałami.

— Te same słowa wybiegły z moich ust — rzekł Davidson — zanim jeszcze łódka otarła się o pale. Nie mogłem się powstrzymać.

Heyst powstał z kolan i jął starannie składać flagę, przy czym zwróciło uwagę Davidsona, że owa flaga przypominała rozmiarami kołdrę.

— Nie, nic złego — odkrzyknął. Białe jego zęby zabłysły przyjemnie pod miedzianą, poziomą linią długich wąsów.

Nie wiem, co wstrzymało Davidsona od wdrapania się na bulwar: delikatność czy tusza. Stanął w łódce, a nad nim pochylił się Heyst i z uprzejmym uśmiechem dziękował mu, przepraszając za śmiałość. Był zupełnie taki sam jak zawsze. Davidson spodziewał się, że znajdzie w nim jakąś zmianę; nie było żadnej. W jego zachowaniu nic nie zdradzało faktu, że wewnątrz tej dżungli kryje się dziewczyna, muzykantka z damskiej orkiestry, którą porwał i uwięził w puszcę prosto z estrady koncertowej. Nie był ani zawstydzony, ani nieufny, ani zmieszany. Może jego obejście stało się o cień poufalsze. A słowa jego brzmiały zagadkowo.

— Zdecydowałem się dać panu ten sygnał — rzekł do Davidsona — ponieważ zachowanie pozorów może się stać kwestią największej wagi. Naturalnie nie chodzi tu o mnie. Nie dbam ani trochę, co ludzie o mnie powiedzą, i nikt mnie nie może urazić. Zdaje mi się jednak, że przyczyniłem się do pewnej ilości zła, odkąd dałem się skusić czynnemu życiu. Mój postępek wydał mi się zupełnie niewinnym, ale każdy czyn musi sprowadzić złe skutki. Ma w sobie coś diabelskiego. I dlatego cały ten świat jest zły na ogół. Ale skończyłem z tym wszystkim. Nigdy już palcem nie ruszę. Myślałem dawniej, że inteligentna

obserwacja faktów jest najlepszym sposobem oszukiwania czasu, który nam wydzielono, nie zapytując wcale, czy sobie tego życzymy; ale teraz skończyłem i z obserwacją.

Wyobraźmy sobie biednego, prostodusznego Davidsona, wysłuchującego podobnej przemowy w łódce przed opuszczonym, zbutwiałym pomostem, wystającym z podzwrotnikowego gąszczy. Nie słyszał nigdy, by ktokolwiek mówił podobne rzeczy — a cóż dopiero Heyst, którego słowa były zawsze zwięzłe i uprzejme, zabarwione z lekka żartobliwością, przebijającą skroś wykwintny ton jego głosu.

— Zwariował — pomyślał Davidson.

Ale, spojrzawszy w pochyloną nad nim twarz, musiał odrzucić przypuszczenie zwykłego obłąkania. Te słowa były doprawdy nadzwyczajne. Nagle przypomniał sobie — w zdumieniu wyszło mu to z pamięci — że Heyst ma tę dziewczynę na wyspie. Dziwna na jego przemowa miała prawdopodobnie związek z dziewczyną. Davidson otrząsnął się z osłupienia i, nie wiedząc, co ma właściwie powiedzieć, spytał, chcąc zaznaczyć swoją życzliwość:

— Może zabrakło panu zapasów, czy też czego innego?

Heyst uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie, nie. Nic podobnego. Nic nam nie potrzeba. Ale w każdym razie dziękuję panu. Jeśli pozwoliłem sobie pana zatrzymać, to nie ze względu na jakieś braki, moje czy też mojej towarzyszki. Osoba, z której powodu postanowiłem uciec się do pańskiej pomocy, to Schombergowa.

— Mówiłem z nią — wtrącił Davidson.

— Ach tak! Mówił pan? Spodziewałem się, że znajdzie sposobność, aby...

— Ale niewiele mi powiedziała — przerwał Davidson, który nie był od tego, aby coś nowego usłyszeć, choć nie bardzo wiedział, o co mu właściwie chodzi.

— Hm — tak. Ale dostał pan moją kartkę — co? Znalazła sposób, żeby ją panu oddać? To dobrze, bardzo dobrze. Ona jest sprytniejsza, niżby się zdawało.

— Często tak bywa z kobietami — zauważył Davidson. Obcość, którą odczuwał w stosunku do Heysta wskutek uprowadzenia przez niego dziewczyny, ustępowała z każdą chwilą. — Kobiety sprawiają wiele niespodzianek — dodał, mając na myśli pewien cel dydaktyczny, którego jednak nie osiągnął, albowiem Heyst rzekł zaraz:

— To jest szal Schombergowej. — Dotknął tkaniny, wiszącej na jego ramieniu. — Zdaje się, że indyjska materia — dodał, spoglądając na nią bokiem.

— Niewiele to warte — rzekł szczerze Davidson.

— Bardzo być może. Idzie mi o to, że szal należał do żony Schomberga. Zdaje się, że ten Schomberg to skończony łotr — czy pan tego nie uważa?

Davidson uśmiechnął się słabo.

— Wszyscyśmy się tu do niego przyzwyczaili — rzekł, niby tłumacząc ogólną a szkoldliwą pobłażliwość względem jawnego zła. — Nie mógłbym tego o nim powiedzieć. Znam go tylko jako hotelarza.

— Nawet i z tej strony wcale go nie znałem — aż do czasu, kiedy pan był tak uprzejmy i zabrał mnie do Sourabayi. Przez oszczędność zatrzymałem się wtedy w jego hotelu. Netherlands House jest bardzo kosztowny, a przy tym wymagają tam od gościa, aby przywoził własnego służącego. To bardzo niewygodne.

— Ależ naturalnie — pośpieszył zapewnić Davidson.

Po krótkim milczeniu Heyst podjął znów rozmowę o szalu. Otóż chciał go odesłać z powrotem Schombergowej, która mogłaby się znaleźć w przykrym położeniu, gdyby wypadło jej na żądanie męża ten szal pokazać. Ta możliwość mocno Heysta niepokoiła. Schombergowa drży przed mężem. I prawdopodobnie nie bez powodu.

Davidson także to zauważył. Nie przeszkodziło jej to jednak wystrychnąć męża na dudka, aby przysłużyć się obcemu człowiekowi.

— Ach, więc pan wie o tym — rzekł Heyst. — No tak, pomogła mi — to znaczy nam.

— Mówiła mi to właśnie. Miałem z nią formalną rozmowę — informował Davidson Heysta. — Niechże pan sobie wyobrazi rozmowę z Schombergową! Gdybym to opowiedział naszym chłopcom, nie chcieliby mi wierzyć. Jakże pan ją ugłaskał? Co pan o tym wszystkim myśli? Przecież ona wydaje się za głupia, aby zrozumieć, co się do niej mówi

i za lękliwa żeby odpędzić kurczę. Ach te kobiety! Nie wiadomo, co siedzi nawet i w najspokojniejszej.

— Schombergowa broniła swego życiowego stanowiska — odrzekł Heyst. — Cel zupełnie godny szacunku.

— Więc to tak! Domyślałem się, że tak być musiało — wyznał Davidson i opowiedział Heystowi szczegóły gwałtownych zajść, które nastąpiły po odkryciu jego ucieczki. Heyst słuchał z uprzejmą uwagą i zasępił się nieco, ale nie okazał zdziwienia i nic na to nie odpowiedział. Gdy Davidson skończył, Heyst podał mu szal; kapitan obiecał, że postara się wręczyć go potajemnie Schombergowej. Heyst podziękował w kilku prostych słowach nacechowanych wykwintną kurtuazją.

Davidson zabierał się już do odjazdu. Nie patrzyli na siebie. Nagle Heyst odezwał się:

— Widzi pan, chodziło tu o wstrętne prześladowanie — czy pan rozumie? Dowiedziałem się o tym i...

Był to punkt widzenia, który współczujący Davidson umiał należycie ocenić.

— Wcale mnie to nie dziwi — rzekł spokojnie. — Rozumiem, jakie to było wstrętne. A pan, jako kawaler, miał rozwiązane ręce. Więc to tak!

Siadł u steru i trzymał już liny sterownicze, gdy Heyst nagle zauważył:

— Świat jest podobny do złego psa. Ugryzie, jeśli się zdarzy sposobność; ale mam wrażenie, że tu, na tej wyspie, możemy najspokojniej rzucić losowi wyzwanie.

Opowiedziawszy mi to wszystko, Davidson dodał jako jedyny komentarz:

— Dziwny sposób wyzywania losu — wziąć sobie na kark kobietę!

Pies

Kobieta

VII

W dość długi czas potem — bo nie spotykaliśmy się bardzo często — spytałem Davidsona, jak sobie poradził z szalem. Opowiedział mi, że wywiązał się z polecenia w bardzo prosty sposób i że przyszło mu to dość łatwo. Za najbliższą bytnością w Samarangu zwinął szal tak ciasno, jak się tylko dało, zapakował w brązowy papier i zabrał na ląd. Załatwiwszy swoje sprawy w mieście, wsiadł z paczuszką do wózka i pojechał do hotelu. Stosownie do nabytego doświadczenia wybrał godzinę, gdy Schomberg oddawał się drzemce. Pusto było wszędzie, jak i poprzednim razem. Davidson poszedł wprost do bilardowego pokoju, siadł w głębi obok podium, gdzie powinna była ukazać się pani Schomberg, i zmącił senną ciszę domu, trąciwszy silnie dzwonek. Natychmiast zjawił się Chińczyk. Davidson kazał sobie podać coś do wypicia i czekał cierpliwie.

— Bylbym zamówił i dwadzieścia szklanek jedną po drugiej — opowiadał, a trzeba wiedzieć, że Davidson jest bardzo wstrzemięźliwy, żeby tylko nie brać tej paczki z powrotem. Niepodobna było zostawić to gdzieś w kącie, bez uprzedzenia właścicielki. Mogłoby stąd wyniknąć dla niej coś jeszcze gorszego, niż gdyby szala wcale nie odwoził.

Więc czekał, dzwoniąc raz po raz i popijając jedną za drugą dwie czy trzy szklanki mrożonych napojów, na które nie miał żadnej ochoty. Niebawem, jak się spodziewał, weszła pani Schomberg: jedwabna suknia, długa szyja, loki, wylękłe oczy i głupi uśmiech — wszystko w komplecie. Widocznie tamta leniwa bestia wysłała ją na salę, aby się dowiedzieć kto jest owym spragnionym gościem, budzącym echa domu o tej spokojnej godzinie. Ukłon, kiwnięcie głową — i wdrapała się na zwykłe stanowisko za wysokim kontuarem. Wyglądała tak bezzadnie i bezmyślnie na swym wzniesieniu, że, gdyby nie paczka — mówił Davidson — byłby uważał za sen wszystko, co między nimi zaszło.

Zamówił znów coś do wypicia, aby pozbyć się z pokoju Chińczyka, chwycił paczkę, leżącą obok niego na krześle i mruknąwszy tylko: „To pani własność”, wsunął ją prędko pod kontuar u jej nóg. Odetchnął z ulgą. Reszta należała do niej. A był już czas najwyższy. Ledwo Davidson zdążył usiąść z powrotem, zjawił się Schomberg. Udawał, że ziewa, rzucając w koło podejrziwe i gniewne spojrzenia. Niewzruszony spokój rozlany zawsze na twarzy Davidsona przydał mu się niezmiernie w owej chwili, choć Schomberg nie miał oczywiście najmniejszych podstaw do podejrzenia żony i gościa o jakiegokolwiek konszachty.

Co do pani Schomberg, siedziała nieruchomo niczym chiński bożek. Zachwyt ogarnął Davidsona. Wierzył już teraz, że ta kobieta potrafi udawać przez lata. Nawet nie drgnęła. To wprost niesłychane! Poznanie jej charakteru prawie go przeraziło; nie mógł

się uspokoić wobec zdumiewającego faktu, że oto zna lepiej prawdziwą panią Schomberg niż ktokolwiek inny na wyspach, nie wyłączając samego Schomberga. Co za mistrzostwo obłudy! Nic dziwnego, że Heyst sprzątnął dziewczynę sprzed nosa dwu mężczyznom, jeśli miał taką współpracę.

Ale najdziwniejszym ze wszystkiego było, że Heyst miał coś w ogóle ze spódnicami do czynienia. Patrzyliśmy na niego długie lata i wiedzieliśmy, że kobiety były zupełnie wyłączone z jego życia. Wyjąwszy to, że fundował ludziom przy odpowiednich okazjach, jak każdy przeciętny śmiertelnik, ten obserwator faktów zdawał się nie mieć nic wspólnego z ziemskimi sprawami i namiętnościami. Wytworność obejścia i pewna żartobliwość w głosie odróżniały go od innych ludzi. Robił wrażenie piórka, unoszącego się lekko w codziennej atmosferze, którą wdychały nasze nozdrza. I właśnie dlatego zeksternienie się tego widza z realnym życiem przyciągało ogólną uwagę. Najpierw tajemnicza spółka z Morrisonem; potem wielka sensacja z węglem tropikalnym, najzupełniej realne przedsiębiorstwo, z którym były związane różne interesy. A wreszcie to porwanie — jaskrawy dowód ziemskości Heysta — największy ze wszystkich dziwów, zdumiewający i śmieszny zarazem.

Davidson przyznał mi rację, że wrzawa wywołana skandalem już przycichła i cała historia byłaby pewnie poszła w zapomnienie, gdyby ten osioł Schomberg wciąż publicznie zębami nie zgrzytał. Jakież to było przykre, że Davidson nie mógł dać żadnych informacji o dziewczynie. Czy ładna? Nie wiedział. Pozostał przez całe popołudnie w hotelu, głównie aby się czegoś o niej dowiedzieć. Ale cała historia już spowszedniała. Towarzystwa zasiadające przy stolikach na werandzie omawiały inne, świeższe wypadki, a Davidson nie miał bynajmniej ochoty wręcz się wypytywać. Siedział więc spokojnie, zadowolony że nikt nie zwracał na niego uwagi, i nie tracił nadziei, iż usłyszy przypadkiem coś interesującego. Nie ręczyłbym wcale, czy się poczuwając nie zdrzemnął przy tej sposobności. Trudno jest zaiste dać dokładne pojęcie o niewzruszonym spokoju Davidsona.

Wkrótce Schomberg, pokręciwszy się tu i ówdzie, przyłączył się do towarzystwa, które siedziało tuż przy stoliku obok Davidsona.

— Proszę panów, taki człowiek jak ten Szwed zagraża po prostu publicznemu bezpieczeństwu — zaczął. — Pamiętam go od lat. Nie będę opowiadał o jego przespiegach — mówił sam, że szuka niezwykłych faktów — a cóż to innego niż szpiegostwo? Podpatrywał wszystkie interesy... Przyczepił się do kapitana Morrisona, wycisnął go jak pomarańczę i wyszczuł stąd do Europy, gdzie też biedak umarł. Każdy wie, że kapitan Morrison miał słabe płuca. Ten łotr najpierw go obdarł, a potem zamordował! Ja tam w słowach nie przebieram, to nie mój zwyczaj. Potem znów wymyślił ten szwindel z Podzwrotnikową Spółką Węglową. O tym już wszystko dobrze wiecie. A teraz, wypchawszy sobie kieszenie cudzymi pieniędzmi, porywa białą dziewczynę z orkiestry popisującej się u mnie dla przyjemności tych, którzy raczą popierać mój zakład, i wynosi się, żeby żyć jak książę na tej wyspie, gdzie nikt go nie może dosięgnąć. Co za idiotka z tej dziewczyny... Tfu, jakie to wstrętne.

Splunął. Dusił się z wściekłości, bo najwidoczniej prześladowały go jakieś wizje. Zerwał się z krzesła i odszedł — może aby uciec przed nimi. Wszedł do pokoju, gdzie siedziała pani Schomberg. Widok jej nie mógł wpłynąć zbyt kojąco na ten właśnie rodzaj męki, który przeżywał.

Davidson nie czuł się powołanym do obrony Heysta. Wdawał się w rozmowę z tym lub owym niby to przypadkiem i nie dawał poznać po sobie, że wie coś o tej sprawie, chcąc wyciągnąć jakieś wiadomości o dziewczynie. Czy jest w niej coś niezwykłego? Czy ładna? Nie musi być wybitnie ładna, bo nie zwróciła na siebie szczególnej uwagi. Że młoda — wszyscy się z tym zgadzali. Angielski urzędnik od Tesmanów pamiętał, że miała bardzo bladą cerę. Ten urzędnik był bardzo szanownym i przyzwoitym człowiekiem. Nie zadawał się z kobietami tego rodzaju. Większość muzykantek były to okazy godne pożalowania. Schomberg umieścił je w tak zwanym pawilonie, gdzie pracowały ciężko, naprawiając i piorąc swoje białe suknie; widziano nieraz, jak rozwieszały je na drzewach, niby gromada praczek. Na estradzie wyglądały też zupełnie jak praczki w średnim wieku. Dziewczyna zaś mieszkała w głównym domu razem z dyrektorem czy też kapelmistrzem — tym drabem o czarnej brodzie — i z podstarzałą kobietą o zniszczonej twarzy, która grywała na fortepianie i uchodziła za żonę dyrektora.

Rezultat badań nie wypadł zadowalająco. Davidson ociągał się z odejściem i nawet jadł obiad przy ogólnym stole, ale nie zdobył już żadnych wiadomości. Wreszcie zrezygnował.

— Przypuszczam — sapnął spokojnie — że przecież ją kiedyś zobaczę.

Zamierzał oczywiście, jak dotychczas, przejeżdżać zawsze obok Samburanu.

— Naturalnie — odrzekłem. — Na pewno ją pan zobaczy. Wcześniej czy później Heyst znów pana zawezwie; tylko ciekaw jestem, z jakiego to będzie powodu.

Davidson nic nie odpowiedział. Miał na to swój własny pogląd i za jego milczeniem kryło się wiele myśli. Nie rozmawialiśmy już o dziewczynie. Zanim rozeszliśmy się, podzielił się jeszcze ze mną pewnym spostrzeżeniem nie mającym nic wspólnego z poprzednią rozmową.

— To dziwne — rzekł — ale zdaje mi się, wieczorami odbywa się po kryjomu szulerka u Schomberga. Zauważyłem ludzi — po dwóch, po trzech. kierujących się w stronę tej hali, gdzie zwykle grywała orkiestra. Okna hali mają widać bardzo szczelne zasłony, bo nie mogłem się tam dopatrzeć najmniejszego promyka światła; ale niepodobna przecież uwierzyć, że te draby schodzą się tylko po to, aby siedzieć w ciemnościach i rozpamiętywać swoje łajdactwa.

— Dziwne. To nie do wiary, aby Schomberg ważył się na coś podobnego — odrzekłem.

CZĘŚĆ II

I

Jak już wiemy, Heyst zatrzymał się u Schomberga, nie mając pojęcia, że jego osoba jest przedmiotem wstrętu czcigodnego gospodarza. W chwili, gdy tam zamieszkał, damska kapela Zangiacoma przebywała w hotelu już od jakiegoś czasu. Interesy, które wyrwały Heysta z samotni — z zapadłego kąta wschodnich mórz — związane były z Tesmanami i dotyczyły jakichś spraw pieniężnych. Załatwił je szybko i siedział bezczynnie, czekając na Davidsona, który miał zabrać go z powrotem do pustelni; zamiarem bowiem Heysta było tam powrócić. Ten, którego przywykliśmy nazywać „zaczarowanym Heystem”, uległ zasadniczemu rozczarowaniu. Ale nie w stosunku do wysp. Czar archipelagu jest nieprzeparty; niełatwo otrząsnąć się z uroku wyspiarskiego życia. Heyst rozczarował się w ogóle do świata. Wzgardliwa jego dusza dała się uwieść czynowi, a teraz cierpiała nad przegraną w sposób niezmiernie subtelny, nieznany człowiekowi przyzwyczajonemu do walki z realnymi trudnościami zwykłych ludzkich przedsięwzięć. Dręczył go żrący ból, jak gdyby popełnił bezużyteczne odszczepieństwo; odczuwał coś na kształt wstydu przed własnym ja, zdradzonym przez siebie samego; a w dodatku męczyły go jeszcze po prostu zwykłe wyrzuty sumienia. Uważał się za winnego śmierci Morrisona. Uczucie dość niedorzeczne, bo przecież nikt nie był w stanie przewidzieć, jakie zimne i wilgotne lato czyha w Anglii na biednego Morrisona.

Heyst nie odznaczał się bynajmniej ponurym usposobieniem, ale w tych okolicznościach nie pragnął wcale towarzystwa. Spędzał wieczory siedząc na werandzie, w pewnym oddaleniu od reszty gości. Z budynku stojącego w głębi ogrodu dochodziło zawodzenie smyczkowych instrumentów; po obu stronach prowadzącej tam drogi wisiały japońskie papierowe latarnie, rozwieszone na sznurkach między pniami kilku wielkich drzew. Strzępy melodii mniej lub więcej żalosnych uderzały o uszy Heysta. Ścigały go nawet w jego pokoju, który znajdował się na piętrze i wychodził na werandę. Owe urywane i zgrzytliwe dźwięki stawały się po jakimś czasie nie do zniesienia. Podobnie jak większość marzycieli, którym harmonia niebiańskich sfer czasem się objawia, Heyst, wędrownny mieszkaniec archipelagu, rozmiłowany był w ciszy i mógł się nią latami napawać. Te wyspy są bardzo spokojne. Widać jak objęte srebrną i lazurową ciszą leżą w ciemnych szatach z listowia na bezszumnym morzu, które zlewa się z niebem w zakłęty krąg spokoju. Uśmiechnięta, senna zaduma unosi się nad nimi; nawet głosy mieszkających tam ludzi ciche są i stłumione, jakby lękały się spłoszyć jakiś czar opiekuńczy.

Może ten sam czar właśnie urzekł przed laty Heysta? Ale teraz już to minęło. Czar prysnął, chociaż wyspy wciąż jeszcze Heysta więziły. I nigdy nie zamierzał ich opuścić. Dokąd się udać po wszystkich tych latach? Na całym świecie nie miał bliskiej sobie istoty. Z tego faktu, który nie był wcale taki błahy, dopiero teraz zdał sobie sprawę, bo człowiek wnika w siebie i robi przegląd swych sił dopiero w obliczu klęski. I choć Heyst postanowił rzucić świat na wzór pustelnika, teraz, w chwili wyrzeczenia się, wbrew wszelkiej logice odczuł swoją samotność. Zabolało go to. Nie ma nic bardziej dojmującego od starcia się ostrych przeciwieństw, szarpających umysł i serce.

Tymczasem Schomberg śledził Heysta spod oka. Jak przystało na oficera rezerwy, zachowywał się ze sztywną godnością wobec nieświadomego obiektu swoich wrogich uczuć. Trącał przy tym łokciem niektórych gości, zwracając ich uwagę na tony, jakie „ten Szwed” przybiera.

— Nie mam pojęcia, dlaczego się u mnie zatrzymał. Mój hotel nie jest godny takiego gościa. Przecież tu dla niego za skromnie. Dałbym nie wiem co za to, żeby się tylko wyniósł i popisywał gdzie indziej swoją wyższością. Urządziłem te koncerty, żeby trochę panów rozweselić; a myślicie panowie, że raczył choć raz pokazać się na sali i posłuchać jednego czy dwu kawałków? Nic podobnego! Znam go nie od dzisiaj. Siedzi tam cały wieczór w ciemnym końcu piazzы — na pewno knuje jakieś nowe oszustwo. Zaraz bym mu powiedział, żeby się wyniósł i poszukał sobie miejsca gdzie indziej, tylko że nieprzyjemnie traktować tak pod zwrotnikami białego człowieka. Nie wiem, jak długo

ma zamiar tu siedzieć, ale założyłbym się, że nigdy się nie zdobędzie na kupienie biletu za pięćdziesiąt centów, by usłyszeć trochę dobrej muzyki.

Nikt nie miał ochoty się zakładać, inaczej Schomberg byłby przegrał. Któregoś wieczoru Heyst został doprowadzony do ostateczności przez skrzekliwe, piskliwe, drapiące urywki melodii, które prześladowały go nawet w twardym łóżku — na materacu cienkim jak naleśnik, pod przejrzystą zasłoną od moskitów. Zeszedł na dół i znalazł się wśród drzew, gdzie łagodny żar japońskich latarni oświecał gdzieś w ciemnościach płyty wielkich, chropawych pni, tonących w mroku pod wyniosłymi konarami. Inne latarnie w kształcie cylindrycznych „concertino” wisiały gęściejszym rzędem na luźnym sznurze, ozdabiając wejście do budynku, zwanego pompatycznie przez Schomberga „halą koncertową”. Zgnębiony do ostateczności Heyst wszedł po trzech schodach, podniósł perkalową zasłonę i znalazł się na sali.

Ogłuszający hałas panował w tym niewielkim budynku, podobnym do stodoły zbudowanej w pewnej wysokości nad ziemią ze sprowadzonych desek sosnowych. Hałas ten sprawiała orkiestra, piszcząc, mrucząc, skomląc, łkając, skrzecząc i kwicząc jakąś rześką melodię, podczas gdy wielkie pianino, nad którym znęcała się koścista niewiasta o czerwonej twarzy i złośliwie wykrojonych nozdrzach, bryzgało twardymi jak grad dźwiękami sypiącymi się przez burzę zawodzących smyczków. Niewielką estradę zapełniały białe muślinowe suknie i purpurowe szarfy, spływające ukośnie z bark; nagie ramiona rzępoliły bez wytchnienia. Orkiestrą dyrygował Zangiacomo. Miał na sobie białą kurtkę, czarną, wyciętą kamizelkę i białe spodnie. Jego przydługa, rozczochrana czupryna i okazała broda mieniły się fioletowo-czarną barwą. Robił ohydne wrażenie. Gorąco panowało straszliwe. Ze trzydzieści osób siedziało przy małych stolikach, popijając różne trunki. Heyst, wprost przygnieciony ogromem hałasu, osunął się na krzesło. W szybkim rytmie muzyki, w różnorodnym, przenikliwym zgłębieniu strun, w ruchach nagich ramion, w wyciętych sukniach, prostackich twarzach i kamiennym wzroku muzykantek była jakaś brutalna podnieta, coś okrutnego, zmysłowego i odrażającego.

— To jest okropne! — mruknął Heyst pod nosem.

Ale w takim rytmicznym hałasie tkwi jakiś niesamowity urok. Heyst nie uciekł natychmiast, jak się tego można było spodziewać. Pozostał na miejscu, dziwiąc się samemu sobie, gdyż nic nie mogło być bardziej odrażające dla jego upodobań, dotkliwsze dla zmysłów i poniekąd bardziej przeciwne jego istocie, aniżeli te brutalne przejawy siły. Nie można było tego nazwać muzyką; kapela Zangiacoma mordowała po prostu ciszę z ordynarną, dziką energią. Miało się wrażenie, że się jest świadkiem jakiegoś gwałtu, i to wrażenie tak silne, iż niepodobna było zrozumieć ludzi siedzących na krzesłach tak spokojnie, bez żadnych oznak zgrozy, gniewu czy trwogi i popijających różne napoje. Heyst odwrócił oczy od niezrozumiałego widoku tej obojętności.

Gdy orkiestra zamilkła, doznał tak wielkiej ulgi, że poczuł wielki zawrót głowy, jak gdyby otchłań milczenia rozwarła się u jego nóg. Kiedy spojrzał na salę, twarze publiczności wyrażały wbrew wszelkiej logice ożywienie i zainteresowanie, a muzykantki w białych muślinowych sukniach schodziły parami z estrady na „salę koncertową” Schomberga. Rozproszyły się wszędzie. Męski osobnik o zakrzywionym nosie i fioletowo-czarnej brodzie gdzieś się zapodział. Nastąpiła przerwa, w czasie której — zgodnie z planem przebiegłego Schomberga — członkinie orkiestry miały zaszczycać swym towarzystwem słuchaczy — to jest, naturalnie, tych z pomiędzy słuchaczy, którzy skłonni byli do bratania się ze sztuką w sposób poufały a hojny, przy czym symbolem poufałości i hojności miały być w danym wypadku poczęstunki.

Heyst uznał to za wysoce nieodpowiednie. Lecz niestosowność przebiegłego zamysłu Schomberga została unieszkodliwiona przez tę okoliczność, że muzykantki były przeważnie niemłode, a żadna z nich nie odznaczała się nigdy pięknnością. Mniej lub więcej zwiędłe ich twarze z lekka były uróżowane, ale pominąwszy ten fakt, który mógł wpływać po prostu z przyzwyczajenia, nie zdawały się zbyt przejmować chytrym planem Schomberga. Popęd do bratania się ze sztuką był najwidoczniej słaby wśród publiczności. Kilka muzykantek pozasiadało niedbale przy wolnych stolikach, inne zaś, wzięwszy się pod rękę, chodziły tam i z powrotem w środkowym przejściu — zadowolone, że mogą wyprostować nogi i dać odpoczynek ramionom. Purpurowe ich szarfy nadawały sztuczny ton wesołości atmosferze sali koncertowej. Heyst uczył nagłą litość dla tych istot, wyzy-

Muzyka

Muzyka

skiwanych, pozbawionych nadziei lepszego losu, wyzutych z wszelkiego uroku. Smutna zależność ich życia kładła cień tragizmu na te twarze pospolite i bez wesołości.

Heyst miał naturę współczującą. Przykro mu było patrzeć, jak muzykantki chodzą tam i z powrotem obok jego stolika. — Chciał już wstać i odejść, gdy zauważył, że dwie białe muslinowe suknie i purpurowe szarfy zostały na estradzie. Jedna z tych sukien okrywała kościstą postać niewiasty o złośliwie wykrojonych nozdrzach. Była to ni mniej ni więcej, tylko sama pani Zangiacomo. Wstała od pianina i, zwrócona tyłem do sali, przygotowywała nuty do drugiej części koncertu, ruszając przy tym porywczo i niecierpliwie brzydkimi łokciami. Wreszcie odwróciła się i, spostrzegłszy jeszcze jedną muslinową suknię, tkwiącą nieruchomo na krześle w drugim rzędzie, ruszyła do niej wśród pulpitów zaczepnym i władczym krokiem. Na kolanach tej sukni leżała z rozwartymi dłońmi para drobnych, niezbyt białych rąk, złączonych z kształtnymi ramionami. Następnym szczegółem, który Heyst zauważył, było uczesanie — dwa grube, kasztanowate warkoczki, owinięte wokół główki o nęcącym zarysie.

— To chyba młoda dziewczyna — pomyślał zdziwiony.

Była to najwidoczniej młoda dziewczyna. Świadczyły o tym linie jej ramion, drobne, sprężyste piersi pod białym muslinem, przekreślone na ukos czerwoną szarfą, i dzwono-waty zarys muslinowej sukni, zasłaniający krzesło, na którym siedziała, odwrócona trochę od sali. Nogi jej w białych pantoflach skrzyżowane były wdzięcznie.

Przykuła pobudzoną uwagę Heysta; doznał wrażenia, że odczuwa coś zupełnie nowego. Wypływało to stąd, że jego zmysł obserwacyjny nigdy jeszcze nie zajął się żadną kobietą w sposób tak wyraźny i wyłączny. Przypatrywał się jej niespokojnie, jak nigdy mężczyzna nie patrzy na drugiego mężczyznę, i zapomniał po prostu, gdzie się znajduje. Zapamiętał się zupełnie. Tymczasem wysoka kobieta, podszedłszy do dziewczyny, zasłoniła ją na chwilę przed jego wzrokiem; pochyliła się nad młodzieńczą postacią, przechodząc tuż koło niej, jak gdyby chciała szepnąć jej coś na ucho, i rzeczywiście wargi jej się poruszyły, ale cóż to mogło być za słowo, że dziewczyna zerwała się tak nagle? Zaskoczony tym Heyst drgnął przy swoim stole. Rozejrzał się szybko; nikt nie patrzył w kierunku estrady, a gdy znów spojrzał w tę stronę, dziewczyna razem z wysoką kobietą, następującą jej na pięty, schodziła właśnie z trzech stopni łączących estradę z salą. Tu zatrzymała się, posunęła się chwiejnie o krok dalej i przystanęła znowu, tamta zaś ordynarna, wielka baba od fortepianu — niby eskorta jej, niby dragon — minęła ją szorstko i, maszerując wojowniczo środkowym przejściem wśród krzeseł i stolików, poszła szukać Zangiacoma o zakrzywionym nosie. Podczas tego nadzwyczajnego przemarszu zdawało się, że wszystko w sali zmienia się w błoto pod jej nogami. Pogardliwe jej spojrzenie spotkało się z podniesionymi oczami Heysta, który spojrzał zaraz w stronę dziewczyny. Nie poruszyła się wcale. Ramiona jej zwisały bezwładnie, a powieki były spuszczone.

Heyst położył na wpół wypalone cygaro i zacisnął usta. Potem wstał z krzesła. Zawładnął nim taki sam poryw, jak wówczas przed laty, w ohydnej mieścinie Delii na wyspie Timor, gdy uczuł nagle, że musi przejść przez piaszczystą ulicę i zacząć Morrisona, właściwie obcego sobie człowieka, który był najwidoczniej skłopotany, znękany, zwątpiały i samotny.

Był to taki sam poryw. Ale Heyst nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie myślał wówczas o Morrisonie. Można powiedzieć, że pierwszy raz od chwili, gdy zrezygnował ostatecznie z kopalni na Samburanie, zapomniawszy zupełnie o zmarłym Morrisonie. Prawda i to, że do pewnego stopnia zapomniawszy też gdzie się znajduje i, nie powstrzymany przez żaden przeblask świadomości, szedł oto środkowym przejściem ku estradzie.

Tymczasem niektóre z muzykantek zapuściły już kotwicę u zajętych stolików. Rozmawiały z mężczyznami, wsparte na łokciach, i — mimo czerwonych szarf — przypominały w białych sukniach gromadę ubranych do ślubu panien młodych w średnim wieku, rozprawiających prostackimi głosami i zachowujących się bez ceremonii. Zgiełkliwy gwar rozmów, prowadzonych z pewnym ożywieniem, wypełnił koncertową salę Schomberga. Nikt nie zwrócił uwagi na Heysta, ponieważ wielu mężczyzn równocześnie wstało z miejsca. Zatrzymał się przed dziewczyną, która dopiero po chwili zauważyła jego obecność. Stała cichutko ze spuszczonej oczami, błada, niema i bez ruchu. Dopiero gdy Heyst odezwał się do niej swym zwykłym, dwornym tonem, podniosła na niego oczy.

— Przepraszam panią — rzekł po angielsku — ale ta okropna baba coś pani zrobiła. Uszczypnęła panią, prawda? Jestem pewien, że uszczypnęła panią przed chwilą, kiedy stała obok pani krzesła.

Dziewczyna przyjęła te słowa nieruchomym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu, świadczących o niezmiernym zdumieniu. Heyst był zły na siebie i podejrzewał, że muzykantka nie rozumie jego słów. Niepodobna było powiedzieć, do jakiej narodowości należą te kobiety — widać było tylko, że są bardzo różnego pokroju. Ale dziewczyna zdumiała się prawie jeszcze bardziej od Heysta, ujrawszy tuż przy sobie tego mężczyznę, jego łysą głowę, białe czoło, ogorzałe policzki, długie poziome wąsy o kasztanowatym odcieniu, wijące się z lekka, i życzliwy wyraz niebieskich oczu wpatrzonych w jej oczy. Heyst widział, jak w osłupiałym jej wzroku błysnął nagły niepokój i ustąpił wyrazowi rezygnacji.

— Jestem pewien, że uszczypnęła panią w okrutny sposób — mruknął, zmieszany trochę swoim postępkiem.

Z wielką ulgą posłyszał jej odpowiedź:

— Nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy. Ale choćby nawet tak było, cóż by pan mógł na to poradzić?

— Nie wiem — odrzekł z lekkim odcieniem żartobliwości, nie spotykanej już dawno w jego głosie — która zdawała się głaskać przyjemnie jej uszy. — Przykro mi, ale doprawdy nie wiem. A może mógłbym przydać się na coś? Co pani życzy sobie, abym zrobił? Proszę — niech pani rozkazuje.

I znów największe zdumienie odbiło się na jej twarzy; spostrzegła, jak dalece jest różnym od innych mężczyzn znajdujących się na sali. Różnił się od nich tak bardzo, jak ona różniła się od reszty muzykantek z damskiej kapeli.

— Rozkazywać panu? — szepnęła po chwili w osłupieniu. — Kto pan jest? — spytała nieco głośniejsze.

— Mieszkam w tym hotelu od kilku dni. Wypadkiem²¹ znalazłem się na sali. Ta obelga...

— Niech pan nie próbuje do tego się mieszać — rzekła tak poważnie, że Heyst spytał ze zwykłym, żartobliwym odcieniem w głosie:

— Czy pani życzy sobie, abym odszedł?

— Nie powiedziałam tego — odrzekła dziewczyna. — Uszczypnęła mnie, bo nie zeszłam dość prędko z estrady.

— Nie umiem pani wyrazić, jaki jestem oburzony — odrzekł Heyst. — Ale ponieważ pani już tu zeszła — ciągnął ze swobodą światowca, zabawiającego rozmową młodą pannę — czy nie lepiej byłoby usiąść?

Posłuchała zapraszającego gestu i siedli na najbliższych krzesłach. Patrzyli na siebie poprzez okrągły stolik zdumionymi, szeroko otwartymi oczami, a świadomość tego powstawała w nich tak powoli, że przeszła długa chwila, zanim wzrok od siebie odwrócili. Wkrótce oczy ich spotkały się znowu, ale tylko by od siebie odskoczyć. Wreszcie nawiązały stały kontakt, lecz upłynęło już wówczas z piętnaście minut od chwili, gdy siedli przy stoliku, i pauza dobiegała końca.

Tyle co do oczu. Co się zaś tyczy rozmowy, toczyła się bezbarwnie, gdyż oczywiście nie mieli sobie nic do powiedzenia. Twarz dziewczyny przykuwała uwagę Heysta. Wyraz jej nie był ani prosty, ani też łatwy do przeniknięcia. Nie odznaczał się niczym wybitnym — i trudno byłoby się tego spodziewać — ale jej rysy więcej miały subtelności od rysów innych kobiecych twarzy, które Heyst miał kiedykolwiek sposobność tak blisko oglądać. Było w niej coś nieokreślonego a śmiałego, coś budzącego niezmierne współczucie, bo i usposobienie, i los tej dziewczyny malowały się na jej twarzy. A jej głos! Oczarował Heysta nadzwyczajnym swym dźwiękiem. Był to głos stworzony do wypowiadania najcudowniejszych rzeczy, głos, który by pozwolił znieść głupią paplaninę i opromienićby urokiem najpospolitszą rozmowę. Heyst pił jego czar, jak się słucha tonu jakiegoś instrumentu, nie bacząc na melodię.

— Czy pani także i śpiewa? — spytał nagle.

— Nigdy w życiu nie wzięłam ani jednej nuty — odrzekła, zdumiona tym pytaniem,

Oko

Śpiew

²¹wypadkiem — dziś: przypadkiem. [przypis edytorski]

nie mającym związku z poprzednią rozmową, bo wcale dotąd o śpiewie nie mówili. Wiadocześnie nie zdawała sobie sprawy ze swego głosu. — Od dzieciństwa nie pamiętam, abym miała kiedykolwiek powód do śpiewania.

To pospolite zdanie przeniknęło drgającą, ciepłą szlachetnością dźwięku wprost do serca Heysta. Chłodny i czujny jego umysł śledził jak tam zapadało, dziwiąc się na wpół świadomie swej bezcelowej badawczości, póki nie osiadło kędyś głęboko na dnie, gdzie spoczywają nasze niewysłowione tęsknoty.

— Pani jest, naturalnie, Angielką? — zapytał.

— A cóż pan myślał? — odparła najczarowniejszym tonem. I dodała, sądząc widać, że z kolei i jej wypada zadać pytanie. — Dlaczego pan się zawsze uśmiecha, kiedy pan mówi?

To wystarczyło, aby odjąć wszelką ochotę do uśmiechu; ale pytanie postawione było najwidoczniej z tak dobrą wiarą, że Heyst przyszedł zaraz do siebie.

— To takie niefortunne przyzwyczajenie — rzekł z delikatną, wytworną żartobliwością — — Bardzo się to pani nie podoba?

— Nie — odrzekła poważnie. — Ale zwróciłam na to uwagę. Nie spotykałam wielu przyjemnych osób w życiu.

— Jestem pewien, że ta kobieta grająca na pianinie bez porównania jest niezniośniejsza od wszystkich ludożerców, z którymi miałem do czynienia.

— Ja myślę! — wzdrygnęła się. — A jakim sposobem miał pan do czynienia z ludożercami?

— Za długo by o tym opowiadać — rzekł Heyst z nikłym uśmiechem. Uśmiechy Heysta były raczej melancholijne i nie harmonizowały z wielkimi wąsami, pod którymi żartobliwość jego czuła się doskonale, niby płochliwe ptaszę w rodzimej gęstwinie. — O wiele za długo. Jak się pani dostała do tej bandy?

— Pech — odpowiedziała krótko.

— Tak, tak — naturalnie — Heyst kiwnął potakująco głową i dodał, oburzony wciąż na owo uszczypnięcie, które raczej odgadł niż zobaczył: — Proszę pani, czy pani nie może się jakoś bronić?

Wstała właśnie z krzesła. Muzykantki wracały z wolna na miejsca. Niektóre siedziały już beczynn timer przed pulpitemi, patrząc przed siebie bezmyślnie. Heyst powstał także.

— Nie dam im rady — odrzekła.

Słowa te płynęły z pospolitego ludzkiego doświadczenia, ale, dzięki jej głosowi, olśniły Heysta jak objawienie. Uczucia jego były mętne, lecz umysł jasny jak zwykle.

— To niedobrze. — A jednak ta dziewczyna nie skarży się właściwie na złe traktowanie — rozmyślał trzeźwo po jej odejściu.

II

Tak się to zaczęło. Jakim zaś sposobem doszło do wiadomego końca, niełatwo ściśle zdać sprawę. Heyst zainteresował się najwidoczniej nie tyle samą dziewczyną, ile jej losem. Był to przecież ten sam człowiek, który dał nurka za tonącym Morrisonem, znając go prawie wyłącznie tylko z widzenia i ze zwykłych plotek wyspiarskich. Ale tym razem skok do wody był zupełnie innego rodzaju i mógł doprowadzić do związku o zasadniczo odmiennym charakterze.

Czy zastanawiał się w ogóle nad tym wszystkim? Prawdopodobnie tak; dosyć miał na to rozwagi. Ale widać niedostatecznie zdawał sobie sprawę z wypadków; gdyż postępowanie jego w tym czasie — poczynawszy od owego wieczoru, a skończywszy na dniu ucieczki — nie zdradzało najłżejszego wahania. W gruncie rzeczy Heyst nie należał do ludzi, którzy zwykli się wahać. Tacy jak on marzyciele i widzowie ziemskiego zamętu bywają straszni, gdy żądza czynu raz nimi owładnie. Pochylają głowę i rzucają się na mur ze zdumiewającą pogodą, którą może dać tylko nieposkromiona wyobraźnia.

Heyst nie był głupcem. Przypuszczam, że wiedział — albo przynajmniej czuł — dokąd to wszystko prowadzi. Ale zupełny brak doświadczenia dawał mu potrzebną śmiałość. Głos dziewczyny był czarujący, gdy mówiła mu o swej nędznej przeszłości w prostych słowach, nacechowanych pewnym bezwiednym cynizmem, który jest nieodłączny od brzydkiej prawdy o życiu ludzi biednych. I może dlatego, że Heyst był prawdziwie ludzki —

a może pod wpływem głosu dziewczyny, mieniącego się wszystkimi odcieniami tragizmu, wesołości i odwagi — opowiadanie jej nie wzbudziło w Heystcie wstrętu, tylko poczucie niezmiernego smutku.

Jednego z następnych wieczorów, podczas pauzy między dwiema częściami koncertu, dziewczyna mówiła Heystowi o swym życiu. Wychowywała się prawie wyłącznie na ulicy. Ojciec jej grywał w orkiestrach małych teatrzyków. Matka uciekła od męża, zostawiając ją malutką, i gospodynie różnych nędznych domów zajezdnych opiekowały się przypadkowo jej opuszczonym dzieciństwem. Nie był to dosłownie głód i lachmany, ale nieustanny, beznadziejny ucisk biedy. Gry na skrzypcach nauczył ją ojciec; zdaje się, że upijał się od czasu do czasu, ale bez przyjemności; usiłował tylko zapomnieć o żonie, która go porzuciła. Gdy pewnego wieczora dostał ataku paralitycznego w czasie koncertu i zwałił się z łoskotem na estradę, dziewczyna przystąpiła do trupy Zangiacoma. Ojciec jej został umieszczony w przytułku dla nieuleczalnych.

— A ja jestem tutaj — kończyła — i nikogo to nie obchodzi, czy przy najbliższej okazji skoczę wody, czy nie.

Heyst odrzekł, że zna lepszy sposób, jeśli jej chodzi tylko o porzucenie tego świata. Spojrzała na niego ze szczególną uwagą i zdziwieniem, które nadało jej twarzy wyraz pełen naiwności.

Działo się to podczas przerwy między dwiema częściami koncertu. Tym razem dziewczyna zeszła z estrady, nie przynaglona do tego uszczypnięciem strasznej Zangiacomowej. Trudno przypuszczać, aby ją pociągało wysokie, inteligentne czoło i długie, rudawe wąsy nowego przyjaciela. Wyrażenie „nowy przyjaciel” nie jest tu na miejscu. Nigdy przedtem przyjaciela nie miała i odczucie życzliwości, z którą Heyst się do niej odnosił, zachwycało ją już przez to samo, że było czymś zupełnie nowym. A przy tym każdy mężczyzna, niepodobny do Schomberga, wydawał się jej tym samym pociągający. Bała się panicznie hotelarza, który korzystał z tego, że mieszkała w głównym gmachu, a nie w pawilonie wraz z innymi „artystkami” i cały dzień krążył koło niej, milczący, poządlivy i złowróbny za osłoną wielkiej brody, albo napastował ją w cichych zakątkach i pustych korytarzach; zachodził z tyłu, szepcząc jej do ucha głębokim, tajemniczym głosem, w którym, mimo bardzo wyraźnych zamiarów hotelarza, dźwięczało jakieś ohydne obląkanie.

Kontrast, który stanowiło spokojne, pełne oglądy obejście Heysta, napelniał dziewczynę szczególną rozkoszą i podziwem. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z czymś podobnym. Może i zaznała kiedy w życiu dobroci, nigdy jednak nie zdarzyło się jej spotkać zwykłej uprzejmości. Pociągało ją to jako zupełnie nowe doświadczenie, nie bardzo zrozumiałe, ale nadzwyczaj przyjemne.

— Mówię panu, że nie umiem sobie z nimi poradzić — powtarzała Heystowi; czasem mówiła to obojętnie, ale częściej potrząsała przy tym głową z ponurym przygnębieniem.

Nie miała naturalnie ani grosza. Przerażali ją ci wszyscy „czarni ludzie”, którzy roili się naokoło. Nie zdawała sobie właściwie sprawy, w jakim punkcie kuli ziemskiej się znajduje. Orkiestrę przewożono zwykle prosto z parowca do jakiegoś hotelu i trzymano tam w zamknięciu, póki nie nadszedł czas wyruszenia na inny parowiec. Nie umiała przypomnieć sobie wszystkich nazw, które słyszała po drodze.

— Jak się nazywa ta miejscowość? — zapytywała często Heysta.

— Sourabaya — wymawiał wyraźnie i śledził, jak w oczach dziewczyny, utkwionych w jego twarzy, przejawia się zniechęcenie, wywołane tym obcym dźwiękiem.

Nie mógł powstrzymać się od litości. Podsunął dziewczynie myśl, aby udała się do konsula, ale tę radę podyktowała mu sumienność, nie zaś przekonanie. Okazało się, że nie słyszała nigdy o podobnym stworzeniu ani o możliwości korzystania z jego usług. Konsul! Cóż to takiego? Kto to jest? Co mógłby dla niej zrobić? A kiedy posłyszała, że dałoby się może skłonić go, aby odesłał ją do Anglii, głowa opadła jej na piersi.

— I cóż ja bym tam robiła? — szepnęła z tak właściwą intonacją i wyrazem tak przejmującym — czar jej głosu działał, nawet gdy mówiła szeptem — że Heystowi pierzchła niejako sprzed oczu złuda ludzkiego braterstwa wobec nagiej prawdy o życiu tej dziewczyny, prawdy, która zostawiła ich sam na sam na moralnej pustyni jałowej jak piaski Sahary, bez kojącego cienia, bez rzeźwiącej wody.

Pochyliła się z lekka nad stolikiem, nad tym samym stolikiem, przy którym siedzieli podczas pierwszego spotkania — i, nie mając w pamięci żadnych innych wspomnień prócz

ulicznego bruku, z którym zrosło się jej dzieciństwo — znękana bezwładnymi, mglistymi i pierwotnymi wrażeniami swych podróży, które budziły w niej nieokreślony lęk przed światem, rzekła prędko, tak jak się mówi w przystępie rozpacz:

— Niech pan coś dla mnie zrobi! Pan jest dżentelmenem. Nie ja pierwsza odezwałam się do pana, prawda? Przecież to nie ja zaczęłam. To pan przyszedł do mnie i przemówił, kiedy tam stałam. Czego pan chciał ode mnie? Wszystko mi jedno, czego pan chciał wtedy, ale pan musi coś dla mnie zrobić.

Spoglądała dziko i błagalnie zarazem — widać było, że gwałtownie na coś nalega, choć mówiła głosem zamierającym ze wzruszenia. Tak namiętna prośba wyrażała się w jej postaci, że mogło to zwrócić uwagę. Heyst roześmiał się głośno naumyślnie. Z oburzenia zabrakło jej głosu wobec tak brutalnego braku serca.

— Więc co to miało znaczyć, kiedy pan mówił: proszę mi rozkazywać? — syknęła prawie.

Czułny wyraz jego smutnego spojrzenia i spokojne słowa: „Wszystko będzie dobrze” wnet ją uspokoiły.

— Nie jestem dość bogaty, aby panią wykupić — ciągnął dalej z dziwnym uśmiechem, nie mającym żadnego związku z jego słowami — nawet gdyby to dało się zrobić; ale mogę zawsze panią wykraść.

Spojrzała na niego głęboko, jakby te słowa miały ukryte i bardzo skomplikowane znaczenie.

— Niech pani teraz odejdzie — rzekł prędko — i niech pani spróbuje się uśmiechnąć.

Posłuchała go z niespodzianą gotowością, a że miała bardzo ładne i białe zęby, jej machinalny, obstalowany uśmiech wydał się radosnym i promieniejącym. Zdumiało to Heysta. — Nic dziwnego — mignęło mu przez myśl — że kobiety tak doskonale potrafią mężczyzn zwodzić. Umiejętność ta jest im wrodzona; zdawałoby się, że przychodzą na świat ze specjalną zdolnością w tym kierunku. Oto uśmiech, którego źródło znał dokładnie — a jednak uśmiech ten rozgrzał go i dał mu zapal do życia — uczucie, którego nigdy jeszcze nie doświadczył.

Tymczasem dziewczyna odeszła od stołu i przyłączyła się do innych „dam z orkiestry”. Zmierały gromadą ku estradzie, zaganiane srogo przez wyniosłą małżonkę Zangiaco, która zdawała się powstrzymywać z trudnością od szturchania ich w plecy. Za nimi postępował w krótkiej kurtce Zangiaco o wielkiej, obwisłej, farbowanej brodzie; spuszczone głowa i niespokojne oczy, bardzo blisko siebie osadzone, nadawały mu pozór skupiającego się wisielca. Wszedł po schodkach ostatni, odwrócił się, rozpościerając przed publicznością fioletową brodę, i uderzył lekko smyczkiem. Heyst wzdrygnął się, oczekując na ohydny hałas, który wybuchnął natychmiast, bezwstydnym i strasznym. Przy końcu estrady zasiadła do fortepianu pani Zangiaco, ukazując okrutny swój profil, i z odchyloną głową waliła w klawisze, nie patrząc na nuty.

Heyst nie mógł znieść tego zgiełku dłużej niż minutę. Wyszedł z mózgiem storturowanym przez rytm jakiegoś mniej lub więcej węgierskiego tańca. W lasach Nowej Gwinei zamieszkałych przez ludożerców, gdzie przeżył najbardziej wstrząsające ze swych dawnych przygód — w tych lasach panowała cisza. Obecna zaś przygoda wymagała większego opamiętania niż wszystko, czemu dotychczas stawiał czoło — a to nie tyle ze względu na swój przebieg, co na samą swoją istotę. Przechadzając się wśród papierowych latarni zawieszonych na drzewach, przypominał sobie z żalem mrok i martwą ciszę lasów w głębi zatoki Geelvink — tego chyba najdzikszego, najbardziej czyhającego na ludzką zgubę ze wszystkich miejsc na ziemi, z których widać morze. Gnębiony przez myśli, szukał ciemności i ciszy w swoim pokoju, ale i tam ich nie znalazł. Odległe dźwięki koncertu sięgały jego uszu, niepokojące choć słabe. Nie czuł się bezpieczny i tutaj, gdyż spokój nie należy do zewnętrznych okoliczności, lecz płynie z naszego wewnętrznego poczucia. Nie miał zamiaru położyć się spać; nie rozpiął nawet kurtki. Siedział na krześle, pogrążony w myślach. Przyzwyczał się dawniej w samotności i ciszy rozważać różne rzeczy z jasnością a nawet i głębią, i patrzył na życie trzeźwo, nie omamiony przyjemnym złudzeniem optycznym wiecznotrwałej nadziei, konwencjonalnych zwątpień i spodziewanego wciąż szczęścia. Ale teraz czuł się do dna zmęczony; lekka zasłona opadła mu na mózg, stępując bystrością myślenia; budziła się w nim tklivość — niewyraźna jeszcze i mglista, tklivość dla nieznanej kobiety.

Kobieta

Zupełna cisza zapanowała stopniowo dokoła. Koncert dobiegł końca, publiczność się rozproszyła; światło w hali koncertowej zgasło, i nawet pawilon, w którym damska orkiestra spała po hałaśliwej pracy, pograżył się w ciemnościach. Heyst uczuł nagle niepokój we wszystkich członkach, reakcję po długim siedzeniu. Ulegając nieprzepartej potrzebie ruchu, minął spokojnie tylną werandę i wyszedł na dwór bocznym przejściem, wkraczając w czarny mrok pod drzewami gdzie kule zgaszonych papierowych latarni kołysały się łagodnie podobne do zwiedłych owoców.

Przechadzał się długi czas tam i z powrotem, niby spokojny, zamyślony duch w białym płóciennym ubraniu, i przeżuwał myśli zupełnie nowe, niepokojące i ponętne, rozpatrując ciągle swój zamiar, aby się z nim oswoić i uznać go w końcu za mądry i godny pochwały. Rozum bowiem służy nam do usprawiedliwiania niejasnych pragnień, które kierują naszym postępowaniem, naszymi porywami, namiętnościami, uprzedzeniami i szaleństwem, i które są także przyczyną naszych lęków.

Przechrzął, że nierozważną obietnicą zobowiązał się do czynu pociągającego za sobą nieobliczalne skutki. A następnie postawił sobie pytanie, czy dziewczyna zrozumiała, co miał na myśli. Któż to mógł wiedzieć? Napadły go przeróżne wątpliwości. Podniósłszy głowę, zobaczył że coś białego mignęło między drzewami. Znikło prawie natychmiast; ale nie mogło to być złudzenie. Zły był, że spostrzeżono go włóczącego się po północy. Któż to taki? Nie przyszło mu wcale na myśl, że dziewczyna mogła także cierpieć na bezsenność. Posunął się ostrożnie naprzód. Wówczas zobaczył znów białe zjawisko, podobne do ducha, a w następnej chwili znikły wszystkie jego wątpliwości co do myśli i uczuć dziewczyny: poczuł, że przypadła do niego w sposób właściwy wszystkim ludziom, którzy o coś błagają. Szeptala coś zupełnie bez związku, tak że nic nie mógł zrozumieć; pomimo to jednak uczuł się głęboko wzruszonym. Nie miał co do niej złudzeń, ale sceptyczny po prostu jego umysł został obezwładniony przez uczucia przepełniające mu serce.

— Spokojnie, spokojnie — szeptał jej do ucha, odwzajemniając uścisk z początku machinalnie, a potem ze wzrastającym wciąż odczuciem jej rozpacz. Falowanie jej piersi i drżenie wszystkich członków w uścisku Heysta zdawało się udzielać i jego ciału, przenikając do samego serca. W miarę jak dziewczyna uspokajała się w jego ramionach, ogarniało Heysta coraz większe wzburzenie, jak gdyby na tej ziemi istniała pewna ściśle określona miara gwałtownych wzruszeń. Nawet noc wydała mu się bardziej niema i głucha, a otaczające go czarne, niewyraźne kształty bardziej jeszcze znieruchomiały.

— Wszystko będzie dobrze — szepnął, usiłując ją uspokoić, i z konieczności zacieśnił uścisk.

Słowa jego — czy ruchy — odniosły bardzo dobry skutek. Usłyszał lekkie westchnienie ulgi. Zaczęła mówić, panując nad uniesieniem:

— O, ja wiedziałam, że wszystko będzie dobrze — od pierwszej chwili, gdy pan do mnie przemówił! Doprawdy, wiedziałam to już wtedy, gdy pan podszedł do mnie tamtego wieczoru. Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko pan zechce; ale naturalnie nie mogłam wiedzieć, czy pan będzie chciał naprawdę mi pomóc. Powiedział mi pan: niech pani rozkazuje. Jakie to dziwne, żeby taki człowiek jak pan tak mówił. Czy pan to mówił na serio? Nie żartował pan ze mnie?

Zaprzeczył, zapewniając ją, że był przez całe życie poważnym człowiekiem.

— Wierzę panu — rzekła gorąco. Wzruszyło go to oświadczenie. — Pan mówi w taki sposób, jakby ludzie pana bawili — ciągnęła. — Ale mnie to nie zwiodło. Widziałam jaki pan był rozgniewany na tę okropną babę. Pan jest mądry. Od razu pan coś wymiarkował²². Czy pan poznał to po mojej twarzy? Nigdy pan nie będzie żałował. Widzi pan, nie mam jeszcze dwudziestu lat, naprawdę — i wiem, że nie mogę być brzydką, bo przecież... powiem panu szczerze, że i przedtem prześladowali mnie i dręczyli tacy różni. Nie wiem, co ich napadło.

Mówiła z wielkim pośpiechem; nagle zabrakło jej głosu. Po chwili wykrzyknęła z rozpaczą:

— Co to takiego? Co się stało?

Poczuła, że ramiona Heysta osunęły się nagle i cofnął się trochę.

²²wymiarkować (daw.) — zauważyć, zrozumieć, zorientować się. [przypis edytorski]

— Czy to moja wina? Mówię panu, że nawet na nich nie spojrzałam! Nigdy! A czy na pana patrzyłam? Niech pan powie! Przecież to pan zaczął.

Prawdę powiedziawszy, Heyst wzdygnął się na myśl o rywalizacji z nieznanymi mężczyznami, z hotelarzem Schombergiem. Mglista biała postać stojąca przed nim ślaniała się żałośnie w ciemnościach. Zawstydził się swego odruchu.

— Boję się, że nas wykryli — szepnął. — Zdaje mi się, że zobaczyłem kogoś na ścieżce między domem i tymi krzakami za panią.

Nie widział nikogo. Było to kłamstwo wywołane przez litość. Ogarnęło go współczucie równie szczere jak wstręt, który odczuł poprzednio, ale w jego pojęciu — bardziej godne szacunku.

Nie odwróciła głowy. Widać było, że jego słowa przyniosły jej ulgę.

— Czyżby to był ten łotr? — szepnęła, mając oczywiście na myśli Schomberga. — On robi się zupełnie niemożliwy. Czegoż można się po nim spodziewać? Tego wieczoru także, po kolacji — ale wymknęłam mu się. Cóż on pana może obchodzić? Teraz to i sama z nim sobie poradzę, kiedy wiem, że pan dba o mnie. Dziewczyna może się zawsze obronić. Pan mi wierzy, prawda? Ale niełatwo dawać sobie radę, kiedy się czuje, że nie ma się za sobą nic i nikogo. Nikt na świecie nie jest taki samotny jak dziewczyna, która musi sama o sobie myśleć. Kiedy zostawiłam biednego tatusia w tym przytulku — to było w polu, niedaleko od wsi — wyszłam z bramy z siedmioma szylingami i trzema pensami w starej portmonetce — i z biletem kolejowym. Szłam piechotą z kilometr, a potem wsiadłam do wagonu.

Urwała i zamilkła na chwilę.

— Niechże mnie pan teraz nie rzuca. Co ja bym zrobiła, gdyby pan mnie rzucił? Pewnie że musiałabym żyć, bo się boję odebrać sobie życie, ale pan zrobiłby rzecz tysiąc razy gorszą od morderstwa. Mówił mi pan, że pan był zawsze sam, że nawet psa nigdy pan nie miał. No więc nikomu nie wejść w drogę, jeśli pan mnie zabierze — nawet psu. O cóż panu chodziło, kiedy pan podszedł i patrzył na mnie z tak bliska?

— Z bliska? Patrzyłem na panią? — szepnął, stojąc przed nią nieruchomo w głębokim mroku. — Z tak bliska?

Wybuchnęła gniewem i rozpaczą, panując jednak nad głosem:

— Jak to, więc pan zapomniał? Czego pan się po mnie spodziewał? Wiem dobrze, jaka ze mnie dziewczyna, ale swoją drogą nie należę do tych, od których mężczyźni się odwracają — i pan powinien to wiedzieć, chyba że pan jest z innej gliny niż wszyscy. O niech mi pan wybaczy! Pan nie jest taki jak wszyscy, pan nie jest podobny do żadnego z ludzi, których w życiu spotkałam. Czy ja pana nic nie obchodzę? Czy pan nie widzi, że...

A on tymczasem widział białą, widmową postać, wyciągającą w mroku ramiona jak jakiś duch błagalny. Ujął jej ręce; uderzyło go, zdziwiło prawie ich dotknięcie — tak były ciepłe, silne i żywe w jego dłoniach. Przyciągnął ją do siebie; złożyła mu głowę na ramieniu z głębokim westchnieniem.

— Jestem śmiertelnie zmęczona — szepnęła żałośnie.

Otoczył ją ramionami i tylko po konwulsyjnych drgnięciach jej ciała poczuł, że lka bezgłośnie. Podtrzymując ją, zapamiętał się w głębokiej, nocnej ciszy. Dziewczyna uspokoiła się po chwili i płakała cichutko. Nagle spytała, jakby zbudzona ze snu:

— Pan już nie widział tej osoby, co nas śledziła?

Drgnął na ten szybki, ostry szept i odrzekł, że się zapewne pomylił.

— Ale jeśli ktoś był rzeczywiście — rozmyślała głośno — nie mógł to być nikt inny tylko gospodyni — żona hotelarza.

— Schombergowa? — spytał zdziwiony Heyst.

— Tak. Ona także nie może spać po nocach. Pan nie rozumie dlaczego? No bo przecież ona naturalnie widzi, co się święci. To bydlę nie stara się nawet tego przed nią ukryć. Gdyby tylko miała choć trochę odwagi! Ona wie dobrze, co ja czuję, ale tak się go boi, że nie śmie nawet spojrzeć mu w twarz, a cóż dopiero odezwać się do niego. Kazałby jej zaraz iść na złamanie karku.

Heyst przez jakiś czas nic nie mówił. Otwarta bójka z hotelarzem była nie do pomyślenia. Wstręt go przejął na samą myśl o tym. Zaczął szeptać łagodnie do dziewczyny, usiłując jej wytłumaczyć, że tak, jak rzeczy stoją, przeszkadzono by jej prawdopodobnie,

gdyby chciała jawnie opuścić orkiestrę. Słuchała niespokojnie tych dowodzeń, ściskając od czasu do czasu jego rękę, którą znalazła w ciemności i mocno trzymała.

— Mówiłem już pani, że nie jestem dość bogaty, aby panią wykupić; więc też wykradnę panią, skoro tylko uda mi się znaleźć jakiś sposób ucieczki. A tymczasem byłoby fatalnie, gdyby nas po nocy razem widziano. Nie wolno nam się zdradzić. Najlepiej rozejdźmy się zaraz. Mam wrażenie, że się przed chwilą omyliłem; ale jeśli pani mówi, że biedna Schombergowa nie może sypiać po nocach, musimy być ostrożniejsi. Powiedziabymy wszystko temu łotrowi.

Gdy to mówił, dziewczyna wysunęła się z lekkiego uścisku jego ramion i stała obok niego, trzymając go wciąż mocno za rękę.

— O nie — rzekła z głębokim przeświadczeniem. — Mówię panu, że ona nie ośmieli się ust przy nim otworzyć. I wcale nie jest taka głupia, jakby się zdawało. Nie zdradziłaby nas. Ona jest zdolna i do lepszych kawałów. Pomoże nam — na pewno pomoże, jeśli w ogóle ośmieli się coś zrobić.

— Zdaje mi się, że pani ocenia jasno sytuację — rzekł Heyst i w zamian za tę pochwałę dostał ciepły, przeciągły pocałunek.

Odkrył, że nie tak łatwo mu będzie z nią się rozstać, jak przypuszczał.

— Doprawdy — rzekł, nim się rozeszli — nie wiem nawet, jak pani na imię.

— Nie wie pan? Nazywają mnie Alną. Nie mam pojęcia dlaczego. Takie jakieś głupie imię! A także Magdaleną. To wszystko jedno. Niech pan mnie nazwie, jak się panu podoba. Tak — tak, niech mi pan nada jakieś imię. Niech pan wymyśli takie, żeby brzmiało dla pana przyjemnie — coś zupełnie nowego. Jakże bym chciała zapomnieć o tym, co było, nim pana poznałam, tak jak się zapomina o złym śnie, który się skończył, i o lęku, i o wszystkim! Spróbuję zapomnieć.

— Więc pani chce zapomnieć? — spytał szeptem. — To pani wolno. Rozumiem, że kobiety łatwo zapominają o tym, co w przeszłości pomniejsza je w ich oczach.

— Ale mnie chodzi o pana oczy! Nigdy przedtem nie pragnęłam o niczym zapomnieć, póki pan nie przyszedł do mnie wtedy wieczorem i na wskroś mnie nie przejrzał. Wiem, że niewiele znaczę, ale umiem opiekować się mężczyzną. Opiekowałam się ojcem, odkąd tylko doszłam do rozumu. To nie był zły człowiek. Teraz, kiedy mu już pomóc nie mogę, chciałabym zapomnieć o tym wszystkim i zacząć życie na nowo. Ale to nie są rzeczy, o których mogłabym z panem mówić. I o czym w ogóle mogłabym z panem mówić?

— Niech się pani o to nie troszczy — rzekł Heyst — głos pani mi wystarcza. Zakochany jestem w pani głosie, cokolwiek by pani mówiła.

Ucichła na chwilę, jak gdyby to spokojne oświadczenie zatamowało jej oddech.

— Ach, chciałam pana zapytać...

Przypomniawszy sobie, że dziewczyna nie zna prawdopodobnie jego nazwiska i oczekiwał, że teraz zapyta o nie; ale po chwili wahania mówiła dalej:

— Dlaczego pan kazał mi się uśmiechnąć wtedy wieczorem, tam w sali koncertowej — pamięta pan?

— Zdawało mi się, że nas obserwują. Uśmiech jest najlepszą z masek. Schomberg siedział o jeden stolik od nas i pił z holenderskimi urzędnikami z miasta. Śledził nas na pewno, a w każdym razie śledził panią. Dlatego powiedziałem, żeby się pani uśmiechnęła.

— Ach, więc dlatego! Nie przyszło mi to wcale do głowy.

— A pani zrobiła to tak dobrze, z taką gotowością, jakby pani rozumiała moją myśl.

— Z gotowością! — powtórzyła. — O, wtedy to doprawdy gotowa byłam się śmiać. To jest szczerza prawda. Mogę powiedzieć, że pierwszy raz od lat miałam ochotę się uśmiechnąć. Mówię panu, że niewiele miałam w życiu sposobności do śmiechu, szczególnie w ostatnich czasach.

— Ale pani to robi uroczo — naprawdę czarująco.

Zamilkł. Stała nieruchomo, w milczeniu, przejęta najwyższą rozkoszą i czekała na dalsze jego słowa, pragnąc aby ta chwila trwała jak najdłużej.

— Zdziwił mnie ten uśmiech — dodał Heyst. — Przeniknął mi wprost do serca, jak gdyby pani uśmiechnęła się umyślnie, żeby mnie olśnić. Doznałem wrażenia, że nigdy przedtem nie widziałem uśmiechu. Myślałem o tym później, kiedyśmy się rozeszli. Ciągłe to we mnie nurtowało.

— Doprawdy? — rozległ się jej głos, niepewny, łagodny i niedowierzający.

— Gdyby pani wtedy tak się nie uśmiechnęła, nie byłbym może przyszedł tu dziś w nocy — rzekł z właściwą sobie żartobliwą powagą. — To jest pani triumf.

Poczuł muśnięcie jej warg na ustach i już jej nie było. Biała suknia zajaśniała w oddali, a potem wydało mu się, że pochłonęła ją gęsta ciemność domu. Heyst poczekał chwilę, zanim ruszył w tę samą stronę; minął róg domu, wszedł po schodach na werandę i znalazł się w swoim pokoju, gdzie wyciągnął się na łóżku — jednak nie po to, aby zasnąć; przeżywał ponownie w myśli wszystko, co sobie powiedzieli.

— To szczerą prawdą, co mówiłem o jej uśmiechu — rozmyślał. — A także o głosie. Pod tym względem byłem zupełnie szczery. Zresztą — co ma być, to będzie.

Przeszła po nim wielka fala gorąca. Położył się na wznak, rozkrzyżował ramiona na szerokim, twardym posłaniu i leżał nieruchomo z otwartymi oczyma pod siatką od moskitów, aż wreszcie świt przeniknął do pokoju, rozjaśnił się wnet i przemienił w nie zawodzący nigdy blask słońca. Wówczas Heyst wstał, podszedł do małego lusterka wiszącego na ścianie i wpatrzył się w siebie spokojnie. Ale to długie, badawcze spojrzenie nie płynęło ze świeżo obudzonej próżności. Heyst doznawał tak dziwnych uczuć, że nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż jego wygląd zmienił się podczas nocy. Jednak zobaczył w lustrze odbicie człowieka, którego znał i przedtem. Odczuł to nieledwie jak zawód — jak zlekceważenie ostatnich przeżyć. I wnet uśmiechnął się nad swoją naiwnością, gdyż mając przeszło trzydzieści pięć lat, powinien był wiedzieć, że w większości wypadków ciało jest niewzruszoną maską duszy; że i śmierć nawet zmienia tę maskę bardzo nieznacznie, póki ciało nie zostanie usunięte sprzed ludzkich oczu tam, gdzie żadne zmiany nikogo już nie obchodzą, ani naszych przyjaciół, ani naszych wrogów.

Heyst nie miał ani przyjaciół, ani wrogów. Istotę jego życia stanowiło zupełne odcięcie od świata — nie wskutek wycofania się na pustynię, w ciszę i bezruch, ale przez system bezustannych wędrówek, przez oderwanie się od otoczenia właściwe przelotnemu gościowi wśród zmieniających się scen. Widział w takim postępowaniu jedyny sposób przejścia przez życie bez cierpień i prawie bez kłopotów — i wierzył, że nieuchwytność czyni go niedosiężnym.

III

Wędrował tak przez lat piętnaście, niezmiennie uprzejmy i nieprzystępny i w rezultacie uważany był na ogół za „dziwnego chłopca”. Puścił się na tę wędrówkę po śmierci ojca, który porzucił swój kraj i umarł w Londynie, niezadowolony z ojczyzny i poważniony z całym światem, ponieważ ten świat odrzucił jego mądrość, kierując się instynktem.

Myśliciel, świetny stylistą i swego czasu wielki światowiec, starszy Heyst rzucił się ongi w życie spragniony wszelkich jego rozkoszy, przypadających wielkim i małym, głupim i mądrym. Przez lat sześćdziesiąt z górą włócił po tej bolesnej ziemi najbardziej znużoną, najniespokojniejszą z dusz, doprowadzonych przez kulturę do rozczarowania i żalu. Niepodobna zaprzeczyć, że był to człowiek wielkiej miary, albowiem cierpiał w sposób nieznanym duszom przeciętnym. Matki swojej Heyst nie znał wcale, ale przechowywał w tkliwej pamięci bladą, rasową twarz ojca. Wspominał go najczęściej ubranego w niebieski, luźny szlafrok, z czasów gdy zamieszkiwali duży dom na spokojnym londyńskim przedmieściu. Heyst skończył szkoły, mając lat osiemnaście i mieszkał przez trzy lata z ojcem, który pisał wtedy ostatnią swoją książkę. W tym dziele domagał się u schyłku życia, aby ludzkość miała prawo do bezwzględnej swobody — moralnej i intelektualnej — ale nie wierzył już wtedy, by ludzie na tę wolność zasługiwali.

Trzy lata współżycia z takim człowiekiem w wieku wrażliwym i podatnym na wpływy musiały zostawić w duszy chłopca głęboką nieufność do życia. Młodzieniec nauczył się rozważi, która jest czynnikiem destrukcyjnym, jako pewnego rodzaju obrachunek kosztów. Świat nie jest prowadzony przez ludzi przewidujących. Wielkie czyny dokonywują się w błogosławionej, ciepłej mgłę duchowej, którą odpędziły od Heysta zimne, bezlitosne poduchy ojcowskiej analizy.

— Dam się unieść prądowi — postanowił Heyst z rozważą.

Nie rozumiał tego w znaczeniu intelektualnym, czy uczuciowym, czy moralnym. Rozumiał to dosłownie; postanowił powierzyć się prądowi ciałem i duszą, na wzór liścia

niesionego wiatrem pod nieporuszonymi drzewami leśnej polanki; postanowił płynąć, nigdy się niczego nie czepiając.

— To będzie moja obrona przed życiem — rzekł sobie z przeświadczeniem, że nie ma innego wyjścia dla syna jego ojca.

Stał się bezdomnym włóczęgą z głębokiego przekonania, nie zaś, jak inni, wskutek pijaństwa, czy nałogu, czy słabości charakteru; z rozważą — nie zaś, jak inni, z rozpacz. Oto czym było w istocie życie Heysta — pomijając zewnętrzne fakty — aż do owej niepokojącej nocy. Gdy zobaczył nazajutrz dziewczynę zwaną Almą, udało jej się przesłać mu szybkie jak błyskawica spojrzenie pełne szczerzej tkliwości, które poruszyło go do głębi, dotknąwszy skrycie serca. Działo się to w hotelowym ogrodzie, w porze drugiego śniadania, kiedy muzykantki z orkiestry kierowały się z wolna ku pawilonowi po próbie czy ćwiczeniach, jeżeli można było tak nazwać ranne ich popisy w hali koncertowej. Heyst wrócił właśnie z miasta, gdzie się przekonał, że trudno im będzie wyjechać natychmiast i siedł przez ogród, rozczarowany i zmęczony. Znalazł się prawie nieświadomie wśród rozproszonej gromadki muzykantek Zangiacoma. Ocknąwszy się z głębokiego zamyślenia, doznał po prostu wstrząsu, widząc tak blisko dziewczynę — niby człowiek ze snu zbudzony, który spostrzega postać z sennego marzenia obróconą w krew i ciało. Nie podniosła kształtnej główki, ale spojrzenie jej nie było sennym majakiem. Było istotnym, najbardziej istotnym ze wszystkich wrażeń, których Heyst zaznał dotychczas w swym życiu oderwanym od rzeczywistości.

Nie dał nic poznać po sobie, choć wydało mu się niemożliwym, aby skutek jej spojrzenia nie był widoczny dla każdego, kto patrzył na niego w tej chwili. A znajdowało się wtedy na werandzie kilku mężczyzn, stałych uczestników *table d'hôte'u*²³ Schomberga, którzy patrzyli w stronę Heysta — a właściwie w stronę muzykantek. Lęk Heysta nie wypływał jednak ze wstydu ani z nieśmiałości; wywołał go raczej właściwy mu dobry smak. Ale gdy wszedł na werandę, nie dostrzegł na twarzach gości żadnych oznak zainteresowania ani zdziwienia — zupełnie jak gdyby byli ślepi. Nawet sam Schomberg, który musiał usunąć mu się z drogi u szczytu schodów, zupełnie był obojętny i rozmawiał w dalszym ciągu z jakimś klientem.

Schomberg zauważył rzeczywiście „tego Szweda” rozmawiającego z dziewczyną podczas pauz koncertowych. Jeden z kamratów pchnął go łokciem, zwracając mu na to uwagę. — Tym lepiej — pomyślał hotelarz — ten idiota będzie odstraszał innych. Był z tego raczej zadowolony i śledził spod oka sytuację ze złośliwym weselem — z pewnego rodzaju szatańską uciechą. Albowiem mało miał wątpliwości co do swego osobistego uroku, a jeszcze mniej co do faktu, że trzyma w swej mocy dziewczynę, która wyglądała na zbyt niemrawą, aby sobie poradzić; w dodatku zaś położenie jej przedstawiało się znacznie gorzej, niż gdyby była tylko pozbawiona przyjaciół, ponieważ z jakiegoś powodu ściągnęła na siebie złość pani Zangiacomo, kobiety bez sumienia. Wstręt, który dziewczyna tylko do pewnego stopnia ośmielała się okazywać napastnikowi (bo nie zawsze jest bezpiecznie, gdy bezsilne jednostki zdradzają się ze swoją wrażliwością), Schomberg wybacział, kładąc go na karb zwykłej niewieściej głupoty. Oświadczył Almie, jako ostateczny argument, że dość jest sprytna, aby zrozumieć, iż nie pozostaje jej nic lepszego, jak tylko zaufać zamożnemu i zaradnemu mężczyźnie w kwiecie wieku. Gdyby nie podniecone drżenie jego głosu i niezwykle wyraz oczu, które zdawały się wydzierać ze szkarłatnej, włochatej fizjognomii, przemowy jego byłyby miały wszelkie cechy spokojnych rad, pełnych altruizmu, przy czym, jak to bywa u zakochanych, rady owe przechodziły snadnie²⁴ w różowe plany na przyszłość.

— Pozbędziemy się prędko tej starej baby — szeptał śpiesznie, dysząc okrucieństwem. — Niech ją diabli wezmą. Nigdy jej nie kochałem. Klimat jej tu nie służy; każe jej wrócić do rodziny w Europie. I będzie musiała pojechać! Już ja tego dopilnuję. *Eins, zwei, marsch!*²⁵ A potem sprzedamy ten hotel i otworzymy inny gdzie indziej.

Zapewniał ją, że nie ma rzeczy, której by dla niej nie zrobił — i mówił prawdę. Czterdzieści pięć lat to wiek szaleństwa dla wielu mężczyzn, którzy postępują jak gdyby rzucali wyzwanie śmierci i rozkładowi, czyhającym z otwartymi ramionami w ponurym wąwozie,

²³*table-d'hôte* (fr.) — menu proponujące parudaniowy posiłek w kilku wariantach. [przypis edytorski]

²⁴*snadnie* (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

²⁵*Eins, zwei, marsch!* (niem.) — Raz, dwa, marsz! [przypis edytorski]

u stóp wzgórza przeznaczenia. Spuszczone oczy i zalekniona postawa dziewczyny, przylapanie w kącie pustego korytarza i zmuszonej do wysłuchiwania zwierzeń Schomberga, brał ten za poddanie się przemożnej sile jego woli, za uleganie jego urokowi. Bowiem człowiek w każdym wieku musi się karmić złudzeniami, aby za wcześnie nie wyrzekł się życia i aby nie przyszedł kres na ród ludzki.

Łatwo sobie wyobrazić upokorzenie Schomberga, jego zdumienie i wściekłość, gdy przekonał się, że dziewczyna, która tygodniami całymi opierała się jego napaściom, prośbom i najnamiętniejszym zakłębom, została mu sprzątnięta sprzed nosa przez „tego Szweda” — i to najwidoczniej bez wielkich trudności. Nie chciał temu uwierzyć. Przypuszczał z początku, że Zangiacomowie zrobili mu niegodziwy kawał z jakiejś niedocieczonej przyczyny; ale, gdy wszystko się wyjaśniło, zmienił zasadniczo swój pogląd na Heysta. Lekceważony Szwed stał się dla niego najprzebieglejszym, najniebezpieczniejszym, najbardziej nienawistnym z łotrów. Hotelarz nie był w stanie uwierzyć, że istota, której pożądał tak gorąco i z tak słabym skutkiem, była w gruncie rzeczy tkliwą i posłuszną swym porywom; że ofiarowała się prawie sama Heystowi, wcale sobie tego za winę nie poczytując; że powodowało ją pragnienie bezpieczeństwa i głęboka potrzeba umieszczenia swojej ufności tam, dokąd instynkt prowadził jej nieświadomość. Żadne wyjaśnienie nie mogło zadowolić Schomberga prócz tego jednego, że Heyst usidlił dziewczynę, wzięwszy ją siłą albo podstępem, że zastawił na nią jakąś wymyślną pułapkę. Zraniona próżność hotelarza biedziła się ciągle nad wykryciem środków, których „ten Szwed” użył, aby uprowadzić zdobycz od takiego jak on — Schomberg — człowieka, jak gdyby środki owe musiały być nadzwyczajne, niesłychane, niepojęte. Uderzał się dłońmi w czoło jawnie, przy gościach; siadywał w ponurym, niemym zamyśleniu, albo wybuchał niespodzianie, wymyślając na Heysta bez miary, ostrożności i rozsądku z twarzą nabiegłą krwią, przybrawszy pozory obrażonej cnoty, które nie byłyby w stanie oszukać ani przez chwilę najbardziej dzieciniego z moralistów i zabawiały wielce słuchaczy.

Stało się ogólnie przyjętą rozrywką aby, popijając chłodzące napoje, przysłuchiwać się na hotelowej werandzie, jak Schomberg wymyśla na Heysta. Była to pod pewnym względem znacznie większa atrakcja niż koncerty Zangiacoma, włączywszy w to i pauzy. Pobudzenie aktora do występu nie przedstawiało żadnej trudności: każdy mógł do tego doprowadzić choćby i najdalszą aluzją. Wówczas zaczynały się oskarżenia bez końca w tym samym pokoju bilardowym, gdzie pani Schomberg tronoła jak zwykle, polykając szloch, ukrywając dręczące ją ohydne poniżenie i trwogę pod bezmyślnym, zastygłym, wiecznym uśmiechem, w który wyposażała ją natura. Uśmiech ten był najdoskonalszą z masek, ponieważ żadna siła — nie wyłączając może samej śmierci — nie mogła go zedrzeć z jej twarzy.

Ale nic na tym świecie nie trwa wiecznie, nie zmieniając się przynajmniej z pozorów. Więc też po kilku tygodniach Schomberg odzyskał zewnętrzny spokój, jak gdyby wyszło w nim źródło oburzenia. A był już czas najwyższy. Stał się nieznośną piłą, gdyż niezdolny był do mówienia o czymkolwiek innym prócz Heysta — o tym, że Heyst powinien siedzieć pod kluczem, o jego niegodziwości, jego podłościach, jego przebiegłości i jego łotrostwie. Schomberg już nie udawał, że go lekceważy. To było niepodobieństwem. Po wszystkim, co się stało, nie mógł już udawać, nawet przed samym sobą. Ale hermetycznie zamknięte oburzenie fermentowało w nim jadowicie. Jeden ze stałych gości zakładu rzekł pewnego wieczoru — a działało się to jeszcze w okresie niepohamowanej gadatliwości Schomberga:

— Ten osioł dostanie bzika, jeśli to potrwa dłużej.

Było to bardzo prawdopodobne. Schomberg miał ćwieka na punkcie Heysta. Nawet nieszczęśliwy stan interesów — które nigdy jeszcze nie przedstawiały się tak niepomysłnie od chwili, gdy przybył ze wschodu bezpośrednio po wojnie prusko-francuskiej — nawet swoje majątkowe niepowodzenia przypisywał jakiemuś nieuchwytnemu a złośliwemu wpływowi Heysta. Zdawało mu się, że nigdy nie wróci do równowagi, jeśli nie pokona tego przebiegłego Szweda. Gotów był przysiąc, że Heyst zmarnował mu życie. Dziewczyna, znęcona tak przebiegle, chytrze i niegodziwie, byłaby przyniosła mu szczęście i pomyślny zwrot w interesach. Oczywiście, że pani Schomberg — którą terroryzował przez dzikie milczenie urozmaicane jadowitymi spojrzeniami spode łba — nie mogła być dla niego źródłem natchnienia. Ogarniała go coraz większa opieszałość, ale przy tym rozwinęła się

w nim skłonność do zuchwałych eksperymentów, jak gdyby przestało go obchodzić, kiedy i jak skończy się jego kariera hotelarza. Ten upadek ducha wyjaśniał fakty spostrzeżone przez Davidsona podczas jego ostatniej bytności w hotelu, mniej więcej w dwa miesiące po tajemnym wyjeździe Heysta i dziewczyny na samotny Samburan.

Schomberg sprzed kilku lat — choćby Schomberg z czasów kiedy mieszkał w Bangkoku, gdzie urządził pierwszy ze swych słynnych *table d'hôte'ów* — nie zaryzykowałby nigdy czegoś podobnego. Talent jego polegał na umiejętnym żywieniu bliźnich — „biały człowiek dla białych ludzi” — oraz na wymyślaniu, przyrządzaniu i rozpowszechnianiu skandalicznych plotek z namaszczeniem osła i bezczelną uciechą. Ale teraz duch jego zatruty był przez udrękę płynącą ze zranionej pychy i zawiedzionej namiętności. W tym upadku ducha Schomberg nie oparł się zepsuciu.

IV

Sprawcą tego stał się gość, który przyjechał pewnego pięknego poranku na parowcu pocztowym z Celebes, wsiadłszy na statek w Makassarze; przybywał jednak z dalszych jeszcze okolic, z Chińskiego morza, o ile Schomberg mógł wyrozumieć. Był to najwidoczniej wędrowiec, jak i Heyst, lecz zupełnie odmiennego gatunku, a przy tym nie przybywał sam jeden.

Schomberg, siedzący w rufie parowej szalupy, w której wyruszał zwykle na spotkanie pasażerskich statków, spojrzał w górę na parowiec i odkrył mroczne spojrzenie zapadłych oczu, spływające ku niemu znad burty pokładu dla pasażerów pierwszej klasy. Hotelarz nie był wielkim fizjognomistą. Ludzkie stworzenia uważał za przedmiot skandalicznych plotek lub za odbiorców wąskich pasków papieru z odpowiednimi nagłówkami, gdzie obok nazwy hotelu widniał napis: „W. Schomberg, właściciel; rachunki reguluje się co tydzień”.

Tedy w wygolonej, niezmiernie chudej twarzy, wychylającej się za burtę parowca, Schomberg ujrzał tylko perspektywę nowego „rachunku”. Na spotkanie parowca przybyły również szalupy innych hoteli, ale wybór padł na Schomberga.

— Czy pan jest panem Schombergiem? — spytała twarz niespodzianie.

— Tak jest, do usług — odpowiedział z dołu, albowiem interes jest interesem, a formy i formułki muszą być zachowane, nawet jeśli pierś męża dręczona jest przez tępą wściekłość, która następuje po szale zawiedzionej namiętności — niby tlejący żar po srogich płomieniach.

Wkrótce właściciel pięknej, choć wynędzniałej twarzy siedział obok Schomberga w rufie szalupy. Miał długą postać o członkach jakby luźno spojonych; rozparty w pozie niedbalej a jednak sztywnej, obejmował smukłymi splecionymi palcami nogę założoną na nogę. Z drugiej strony Schomberga zasiadł pasażer, którego wygolony pan przedstawił Schombergowi.

— Mój sekretarz. Musi mieć pokój obok mojego.

— To się da łatwo zrobić.

Schomberg sterował z godnością, patrząc wprost przed siebie, ale bardzo był zaintrygowany tymi dwoma interesującymi rachunkami. Na przedzie szalupy umieszczono bagaż, parę wielkich skórzanych kufrów pociemniałych od długiego używania, i kilka mniejszych pakunków. Trzeci osobnik, stwór włochaty i nieokreślony, skierował się skromnie ku przodowi i usadowił na bagażu. Dolna część jego twarzy była nadmiernie rozwinięta; czoło miał wąskie, niskie, porane tępo poziomymi zmarszczkami, policzki dziwacznie zarośnięte i płaski nos o nozdrzach szerokich jak u pawiana. Było coś podejrzanego w wyglądzie tego kosmatego stwora, którego ludzki wygląd ginął w kudłach. Wyglądał na sługę wygolonego mężczyzny i prawdopodobnie odbył podróż na pokładzie, śpiąc pod płóciennym dachem. Szeroki, krępy jego tułów, zdradzał wielką siłę. Trzymał się burty, wystawiając dziwnie długie ramiona, zakończone parą grubych, brunatnych i kosmatych łap jak u małpy.

— Co zrobimy z tym moim człowiekiem? — zapytał główny pasażer. — Pewno jest jakaś gospoda blisko portu — knajpa, gdzie dadzą mu matę do spania?

Schomberg odrzekł, że jest w istocie taki zajazd, utrzymywany przez portugalskiego metysa²⁶.

— Czy to pański sługa? — dodał.

— Tak — przyczepił się do mnie. Polował na aligatory. Znalazłem go w Kolumbii. Był pan kiedy w Kolumbii?

— Nie — odrzekł Schomberg z wielkim zdziwieniem. — Polował na aligatory? Dziwne zajęcie! Więc pan przybywa z Kolumbii?

— Tak, ale dawno już stamtąd wyjechałem. Przybywam z bardzo wielu miejsc. Widzi pan — podróżuję ze wschodu na zachód.

— Pewnie dla sportu? — spytał Schomberg.

— Tak. Coś w rodzaju sportu. Co by pan powiedział o polowaniu na słońce?

— Rozumiem — pan podróżuje dla przyjemności — rzekł Schomberg, śledząc żaglówką łódź, która miała przeciąć im drogę, i gotów wyminąć ją dotknięciem rudla. Nagle drugi pasażer dał się słyszeć:

— Do diabła z tymi statkami krajowców! Zawsze włożą człowiekowi w drogę.

Był to człowiek krępy, muskularny, o błyszczących i mrugających oczach, szorstkim głose i okrągłej, bezbarwnej, ospowatej twarzy, ozdobionej rzadkim, rozwichrzonym wąsem sterczącym dziwacznie spod czubka sztywnego nosa. Schomberg zauważył, że nie wyglądał bynajmniej na sekretarza. I on, i jego długi, szczupły zwierzchnik byli ubrani w zwykły strój używany pod zwrotnikami: korkowe hełmy, białe trzewiki — wszystko jak się należy. Kosmaty, nieokreślony stwór, siedzący na bagażach na przedzie szalupy, miał na sobie kraciastą koszulę i niebieskie spodnie z grubego perkalu. Spoglądał w stronę swego pana niby czujne, wytresowane zwierzę.

— Pan pierwszy się do mnie odezwał — rzekł Schomberg, uderzając w swój męski ton. — Pan znał moje nazwisko. Gdzie panowie słyszeli o mnie — jeśli wolno spytać?

— W Manili — odrzekł natychmiast gość podróżujący dla przyjemności. — Od człowieka, z którym grałem raz w karty wieczorem w Kastylskim hotelu.

— Cóż to za człowiek? — O ile wiem, nie mam żadnych przyjaciół w Manili — dziwił się Schomberg ze srogim marszem na czole.

— Nie umiem panu powiedzieć jego nazwiska. Zapomniałem na śmierć; ale niech się pan nie kłopotuje. Nie był wcale pańskim przyjacielem. Wymyślał na pana ile wlaźło. Mówił, że pan puścił kiedyś o nim skandaliczną plotkę — w Bangkoku, zdaje mi się. Tak, tak, w Bangkoku. Pan miał dawniej *table d'hôte* w Bangkoku, prawda?

Schomberg, zdumiony obrotem rozmowy, wyprostował się jeszcze bardziej z surową godnością, jak przystało na oficera rezerwy. — *Table d'hôte*. Tak, nie inaczej. Zawsze — dla wygody białych. — W tym mieście także? — Tak, także i w tym mieście.

— To i dobrze. — Nieznajomy odwrócił swoje czarne, zapadłe, hipnotyczne oczy od brodatego Schomberga, który siedział, trzymając mosiężny rudel w potnijącej dłoni. — Dużo tam osób bywa u pana wieczorami?

Schomberg opanował się nieco.

— Dwadzieścia nakryć mniej więcej, przeciętnie biorąc — rzekł z przejęciem należnym tematowi, na który był specjalnie wrażliwy. — Powinno by być jeszcze więcej, gdyby tylko ludzie zrozumieli, że to dla ich dobra. Prawie nic z tego nie mam. Czy panowie są zwolennikami *table d'hôte'u*?

Nowy gość rzekł w odpowiedzi, że lubi mieszkać w hotelu, gdzie wieczorami można spotkać trochę miejscowego towarzystwa. Inaczej jest piekielnie nudno. Sekretarz wydał na znak potwierdzenia pomruk zdumiewającej dzikości, jakby zamierzał pożreć miejscowe towarzystwo. — Wszystko to wygląda na dłuższy pobyt — myślał Schomberg, kryjąc zadowolenie pod maską powagi; gdy jednak przypomniał sobie dziewczynę, którą mu sprzątnął sprzed nosa ostatni gość bawiący dłużej w hotelu, zazgrzytał tak głośno zębami, że dwaj mężczyźni spojrzeli na niego zdumieni. Przelotny skurcz kwitnącej fizjonomii Schomberga odebrał im mowę. Zamienili szybkie spojrzenia. Wygolony pan wyjechał wkrótce z nowym pytaniem w swój lakoniczny, bezceremonialny sposób:

— Nie ma pan tam kobiet w hotelu, co?

Podróż, Polowanie

²⁶metys — osoba, której jedno z rodziców jest białe, a drugie należy do Indian. [przypis edytorski]

— Jak to, kobiet! — wykrzyknął Schomberg z oburzeniem, a zarazem jakby z lekką obawą. — Co pan ma właściwie na myśli? Jakich kobiet? Jest, naturalnie, moja żona — dodał z wyniosłą obojętnością, uspokoiwszy się nagle.

— Jeżeli umie zachowywać się jak należy, to nic nie szkodzi. Nie mogę znieść kobiet koło siebie. Słabo mi się robi. To prawdziwe przekleństwo!

Podczas tego wybuchu twarz sekretarza skrzywiła się dzikim uśmiechem. Główny gość przymknął zapadłe oczy, jak gdyby się czuł zmęczony, i oparł się głową o drążek podtrzymujący zasłonę. Ta poza uwydatniła długie jego, kobiece rzęsy; regularne rysy, ostre linie szczęk i ładny zarys brody zaznaczyły się jeszcze wyraźniej, nadając mu jakąś zużytą, znużoną, znieprawioną dystynkcję. Nie otworzył oczu, póki szalupa nie przybiła do bulwaru. Wówczas obaj z sekretarzem wysiedli szybko, wzięli powóz i pojechali do hotelu, pozostawiając Schombergowi zajęcie się kuframi i pieczę nad dziwnym towarzyszem. Ten ostatni, podobny raczej do tresowanego niedźwiedzia opuszczonego przez opiekunów niż do ludzkiego stworzenia, naśladował krok w krok wszystkie ruchy Schomberga, trzymając się tuż za jego plecami i mrużąc coś do siebie w języku, który brzmiał jak jakaś nieokrzesana gwar hiszpańska. Hotelarz czuł się niewyraźnie, póki się go wreszcie nie pozbył w jakiejś ciemnej norze, gdzie bardzo schludny i okazały metys portugalski stał z pogodną miną we drzwiach i zdawał się rozumieć najdokładniej, jak należy postępować z klientami wszelkiego rodzaju. Odebrał od stworu pasiaste zawiniątko — które ten przyciskał mocno do piersi podczas wszystkich swoich peregrynacji po obcym mieście — a gdy Schomberg usiłował wytłumaczyć o co chodzi, przerwał mu poufnie:

— Rozumiem bardzo dobrze, proszę pana.

— Więc rozumie lepiej ode mnie — myślał, oddalając się, Schomberg, wdzięczny że uwolniono go od towarzystwa łowcy aligatorów. Zastanawiał się, kim są ci goście, ale nie umiał się zdobyć na żadne przypuszczenie. Nazwisk gości dowiedział się tego samego dnia, zapytawszy o nie wręcz „dla wciągnięcia do ksiąg”, jak objaśnił z wojskową sztywnością, prostując piersi i wystawiając brodę na pokaz.

Wygolony pan o wyglądzie zwiędłego młodzieńca, leżący na szezlongu, podniósł leniwie oczy.

— Moje nazwisko? Och, zwykły sobie Jones — niech pan zapisze — podróżujący dla przyjemności. A to jest Ricardo. — Ospowaty mężczyzna, rozciągnięty bezsilnie na drugim szezlongu, skrzywił się, jakby go coś połaskotało w koniec nosa, ale nie przemógł rozleniwienia. — Marcin Ricardo, sekretarz. Nie potrzebuje pan więcej wiadomości o nas, co? Co takiego? Zajęcie? Napisz pan — no... turyści. Dawano nam już i gorsze przezwiska, więc to naszych uszu nie urazi. A ten mój człowiek — gdzieś go pan podział? Aha, będzie mu tam dobrze. Jak czego będzie potrzebował, to sobie weźmie. To jest Piotr. Obywatel Kolumbii — Piotr, Pedro — nie wiem, czy miał kiedy jakie nazwisko. Pedro, łowca aligatorów. Och, naturalnie, zapłacę temu metysowi za jego utrzymanie. Muszę zapłacić. Taki jest wściekle do mnie przywiązany, że gdybym odprawił go z kwitkiem, skoczyłby mi do gardła. Czy mam panu opowiedzieć, jak zabiłem jego brata w puszczy kolumbijskiej? No, może innym razem — to dość długa historia. Zawsze będę żałował, że nie zabiłem go także. Mogłem to wtedy zrobić bez specjalnej fatygi; teraz już za późno. Wielki z nim kłopot, ale czasem bywa pożyteczny. Mam nadzieję, że pan nie wciągnie tego wszystkiego do swojej księgi.

Bezceremonialne, szorstkie obejście i pogardliwy ton „zwykłego sobie Jonesa” zbiły Schomberga zupełnie z tropu. Jeszcze nigdy w życiu nikt tak do niego nie przemawiał. Potrząsnął głową w milczeniu i wycofał się — właściwie nie przestraszony, choć w gruncie rzeczy był tchórzliwy pod pozorami męskości — ale mocno zaintrygowany i przejęty swoimi gośćmi.

V

W trzy tygodnie później Schomberg schował skrzynkę z pieniędzmi do kasy ogniotrwałej, której żelazny kadłub wypełniał róg sypialni, i rzekł do żony, nie patrząc wprost na nią:

— Muszę się tych dwóch pozbyć. Tak dalek być nie może.

Pani Schomberg żywiła to samo przekonanie od pierwszej chwili, ale była już od dawna wytresowana, aby się nie wyrwać ze swym zdaniem. Siedziała jak trusia, w noc-

nym stroju, przy jednej jedynej świecy, wiedząc z doświadczenia, że nawet jej potakiwania mogłyby być kamieniem obrazy. Wodziła oczami za postacią Schomberga, ubranego w piżamę i krążącego niespokojnie po pokoju.

Nie spojrzał na nią ani razu, albowiem pani Schomberg w nocnym stroju była najmniej powabną ze wszystkich istot na świecie — nędzną, niepokązną, zwiędłą, złamaną, starą. A sylwetka jej w zestawieniu z kobiecą postacią, którą Schomberg miał zawsze w pamięci, raziła jeszcze bardziej jego zmysł estetyczny.

Chodził po pokoju, kląć i złościć się, aby podnieść w sobie odwagę do należytego poziomu.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie powinienem od razu, natychmiast pójść do jego pokoju i powiedzieć, aby się wyniósł jutro o świcie razem z tym swoim sekretarzem. Nie mam nic przeciw porządnej grze w karty, ale żeby urządzić sobie przynętę z mojego *table d'hôte'u* — krew mnie zalewa na samą myśl o tym! Przyjechał tutaj, bo jakiś łgarz w Manili powiedział mu, że prowadzi *table d'hôte*.

Nie mówił tego wszystkiego dla poinformowania pani Schomberg; po prostu myślał głośno i usiłował doprowadzić siebie do takiej pasji, aby zdobyć się na odwagę stawienia czoła „zwykłemu sobie Jonesowi”.

— Bezczelny arogant, oszust, szalbierz — ciągnął dalej. — Miałbym wielką ochotę...

Nie posiadał się z wściekłości — ponurej, ciężkiej, teutońskiej wściekłości — tak niepodobnej do malowniczej, żywiołowej furii ras latyńskich; i choć jego oczy błędziły niezdecydowanie po pokoju, nabiegła krew i rozzłoszczona twarz obudziła niepokój w nędznej kobiecie od lat tyranizowanej — niepokój o jego cenne cielsko — ponieważ ta biedna istota nie miała poza nim żadnego oparcia na świecie. Znała go dobrze, ale nie do gruntu. Brak odwagi to ostatnia rzecz, jaką kobieta zgodzi się dostrzec w mężczyźnie którego kocha, albo od którego po prostu zależy. Więc też pani Schomberg, skulona lekliwie w kącie, ośmieliła się rzec błagalnie:

— Wilhelmie, bądź ostrożny! Pamiętaj, że mają w kufrach noże i rewolwery!

Jako podziękowanie za tę uwagę pełną niepokoju, rzucił wstrętne przekleństwo w stronę zaleknionej postaci. Pani Schomberg siedziała boso w kusym nocnym stroju, przypominając średniowieczną pokutnicę, obelżywymi słowami karconą za grzechy. Wspomniane przez nią narzędzia śmierci nie wychodziły z pamięci Schomberga. Nie widział ich nigdy na własne oczy. Zadanie, które wziął na siebie w dziesięć dni po przyjeździe gości, polegało na tym, że trzymał straż na werandzie, wałęsając się w pozie niedbalej a pełnej męskości, podczas gdy pani Schomberg, zaopatrzona w pęk dobranych kluczy, „przetraszała” rzeczy dziwnych lokatorów, szczękając bezbarwnymi zębami, przy czym wypukłe jej oczy wyrażały nieprzytomną wprost trwogę. Jej groźny Wilhelm zażądał wręcz tej rewizji.

— Mówię ci, że będę stał na straży — rzekł do niej. — Gwizdnę, jak tylko zobaczę, że wracają. Ty nie potrafiłabyś gwizdnąć. A gdyby nawet złapał cię za kark i wyrzucił, nic by ci się takiego nie stało; ale on nie tknie kobiety. Nie tknie! Sam mi to mówił. To dziwaczna bestia. Muszę dowiedzieć się czegoś o ich sprawkach, żeby raz wreszcie temu koniec położyć. No dalej! Idź zaraz, prędko!

Było to straszne zadanie, ale pani Schomberg uległa, ponieważ daleko bardziej bała się męża, niż wszelkich możliwych skutków swego czynu. Najbardziej troszczyła się o to, czy w pęku kluczy powierzonych jej przez Schomberga znajdzie się taki, który będzie pasował do zamków. W przeciwnym razie cóż by to było za rozczarowanie dla Wilhelma! Tymczasem zastała kufrы otwarte, ale poszukiwania nie trwały długo. Bała się broni palnej i w ogóle wszelkiej broni, nie wskutek tchórzostwa, lecz — jak to bywa u kobiet — prawie przesądnie, z abstrakcyjnego lęku przed gwałtem i morderstwem. Znalazła się z powrotem na werandzie na długo przedtem, nim Wilhelm miał sposobność do ostrzegawczego gwizdnięcia. Że zaś instynktowny, bezprzedmiotowy lęk najtrudniejszy jest do przewyciężenia, nic nie mogło jej skłonić do powrotu i dalszych poszukiwań — ani groźne pomruki, ani dzikie syknięcia, ani nawet parę szturchnięć w żebra.

— Idiotyczne babsko — mruzczał hotelarz, zmieszany wieścią o tej zbrojowni ukrytej w jednym z hotelowych pokoi. U Schomberga zmieszanie nie wpływało bynajmniej z przyczyn abstrakcyjnych; to była jego natura.

— Precz mi z oczu! — warknął. — Idź i ubierz się do *table d'hôte'u*.

Pozostawiony samemu sobie Schomberg pogрузił się w rozmyślaniach. Cóż to u diabła miało znaczyć? Jego proces myślenia leniwy był i dorywczy, lecz nagle olśniła go prawda.

— Wielki Boże, przecież to awanturnicy! — pomyślał.

W tej chwili właśnie spostrzegł, że „zwykły sobie Jones” i jego sekretarz, Ricardo o dwuznacznym nazwisku, wkraczają na hotelowy dziedziniec. Zeszli byli do portu w jakichś interesach i teraz właśnie wracali; smukły i cienki Jones stawiał długie nogi sztywnie i miarowo, niby nóżki cyrkuła, a drugi gość kroczył żwawo u jego boku. Zupełna pewność przeniknęła do serca Schomberga. To byli bez wątpienia awanturnicy. Ale że przerażenie hotelarza polegało tylko na ogólnym wrażeniu, zdołał więc przybrać najsurowszy swój wygląd oficera rezerwy, nim się do niego zbliżyli.

— Dzień dobry panom.

Odpowiedzieli mu z drwiącą uprzejmością, co upewniło go jeszcze w nagle powziętym przeświadczeniu, że to z pewnością awanturnicy. Sposób, w jaki pan Jones zwracał na człowieka zapadłe oczy, niby obojętne jakieś widmo, i sposób, w jaki ten drugi — gdy się do niego mówiło — cofał nagle wargi i wystawiał zęby, nie podnosząc spuszczonej powiek, były to dowody oczywiste i rozstrzygające. Awanturnicy! — Przeszli przez salę bilardową, nieprzeniknieni i tajemniczy, kierując się ku tyłowi domu, gdzie czekały na nich pogwałcone kufry.

— Panowie, za pięć minut będzie dzwonek na drugie śniadanie — zawołał za nimi Schomberg, pogłębiając męski ton głosu.

Zdenerwowany był okropnie. Oczekiwał, że lada chwila obaj goście wrócą rozjuszeni i zaczną znęcać się nad nim z ohydny brakiem opanowania. Tacy straceńcy gotowi na wszystko! Ale nie powrócili, widać nie spostrzegli nic niezwykłego w wyglądzie swoich kufrów. Schomberg odzyskał równowagę i powiedział sobie, że musi pozbyć się tych ohydnych mar możliwie najprędzej. Nie zamierzali prawdopodobnie bardzo długo pozostać; ani miasto, ani kolonia nie były odpowiednim miejscem pobytu dla awanturniczych charakterów. Schomberg bał się rozpocząć przeciw nim jakieś kroki. Bał się jak ognia wszelkiego rodzaju zamieszania — „chryi”, jak się wyrażał — w swoim hotelu. Takie rzeczy wpływały źle na frekwencję. Czasem, oczywiście, nie dało się „chryi” uniknąć; ale w porównaniu z walką, którą przewidywał, fraszka było chwycić pod żebra wątłego Zangiaca, który miał kości nie większe od kurczęcia, podnieść go, cisnąć o ziemię i rzucić się na niego. To poszło gładko. Nieszczęsna kreatura o zagiętym nosie leżała bez ruchu, zagrzebana pod fioletową brodą.

Nagle, przypomniawszy sobie wszystkie okoliczności towarzyszące tej „chryi”, Schomberg jęknął, jak gdyby poczuł w dołku rozżarzony węgiel, i pogрузił się w rozpacz. Ach, czemuż nie ma przy nim tej dziewczyny! Byłby wówczas nieugięty, i zdecydowany, i nieustraszony — stawilby czoło dwudziestu awanturnikom — nie dbałby o nic na świecie! A tymczasem posiadanie pani Schomberg nie stanowiło najmniejszej podniety do przedstawiania męskich cnót. Zamiast zobojętnieć tylko dla ludzi, czuł że obojętnieje dla całego świata. Życie — to udawanie i oszukaństwo; nie myślał narażać się na strzał w płuca lub wątrobę dla ratowania marnego istnienia. Nie ma w życiu uroku — pal je diabli!

W tym stanie duchowego rozkładu Schomberg — mistrz sztuki hotelarskiej, starający się nie dać żadnego powodu do zarzutów potęgą rządzącym tą gałęzią ludzkiej działalności — pozostawił rzeczy ich własnemu biegowi, choć widział bardzo dobrze, dokąd ten bieg prowadzi. Zaczęło się to od jednej czy dwóch partii kart po obiedzie — a grano najwidoczniej o trunki — z jakimś spóźnionym gościem, przy jednym ze stolików stojących pod ścianami sali bilardowej. Schomberg zmiarkował od razu co się święci. Więc to tak! Więc o to im idzie! I, krążąc niespokojnie po sali (ponury okres milczenia właśnie wtedy się zaczął), spoglądał spod oka na grających, ale nie odzywał się wcale. Nie warto było wszczynać kłótni z tak zarozumiałymi ludźmi. Nawet gdy zjawiły się pieniądze przy tej poobiedniej grze, w którą wciągano coraz więcej gości, powstrzymywał się jeszcze od poruszenia tej kwestii; nie miał ochoty ściągać na siebie szczególnej uwagi „zwykłego Jonesa” i dwuznacznego Ricarda. Jednak pewnego wieczora, gdy restauracyjne pokoje się opróżniły, Schomberg spróbował swych sił w sposób pośredni.

W odległym kącie pokoju zmęczony kelner chiński drzemał, przysiadłszy na piętach, oparty plecami o ścianę. Pani Schomberg znikła z widowni, jak zwykle, między dziesiątą a jedenastą. Schomberg chodził z wolna po pokoju i werandzie, pograżony w myślach,

i czekał, aż obaj goście pójdą spać. Nagle zbliżył się do nich po wojskowemu, wyprężył pierś i rzekł krótko marsowym tonem:

— Gorąca noc, proszę panów.

Pan Jones, wyciągnięty leniwie na krześle, podniósł oczy na hotelarza. Ricardo, siedzący w pozie równie leniwej, choć mniej niedbalej, nie dał znaku życia.

— Może napijemy się czegoś przed spaniem? — ciągnął Schomberg, zasiadając przy małym stoliku.

— I owszem — odrzekł sennie pan Jones.

Ricardo pokazał zęby w dziwnym, krótkim grymasie. Schomberg odczuwał dotkliwie całą trudność nawiązania kontaktu z tymi ludźmi, którzy byli obaj tak spokojni, tak rozważni, tak groźnie bezceremonialni. Kazał Chińczykowi przynieść napoje. Zamierzał wy badać, jak długo ci goście chcą pozostać. Ricardo nie zdradzał ochoty do konwersacji, ale pan Jones zdawał się być w rozmownym usposobieniu. Głos jego, harmonizujący z zapadłymi oczami, był głuchy, lecz bynajmniej nie ponury; brzmiał obojętnie i zdawał się płynąć z daleka, jak gdyby mówiący znajdował się na dnie studni. Schomberg dowiedział się, że będzie miał zaszczyt gości i stołować tych panów jeszcze najmniej przez miesiąc. Nie potrafił ukryć niezadowolenia wobec tej wiadomości.

— O co panu chodzi? Nie lubi pan mieć gości u siebie? — spytał ospale „zwykły sobie Jones”. — Myślałbym raczej, że właściciel hotelu powinien być z tego zadowolony.

Podniósł delikatne i cudownie zarysowane brwi. Schomberg mruknął coś w odpowiedzi, że miejscowość jest nudna i nie przedstawia nic ciekawego dla podróżników — że nic się tu nie dzieje, a życie wlecz się zanadto ospale; ale wywołał tylko oświadczenie, iż spokój miewa niekiedy swój urok i nawet nuda może być pożądana, jeżeli stanowi pewną odmianę.

— Nie mieliśmy czasu nudzić się przez ostatnie trzy lata — dodał „zwykły sobie Jones” z oczami utkwionymi posępnie w Schombergu, którego zaprosił do wypicia jeszcze jednej kolejki, tym razem na swój rachunek. Radził mu, aby się nie kłopotał sprawami, których nie rozumie, a przede wszystkim aby nie zachowywał się niegościnnie, co byłoby wysoce nieodpowiednie ze względu na jego zawód.

— Ja nie rozumiem tej sprawy? — mruknął Schomberg. — Przeciwnie, rozumiem doskonale. Ja...

— Pan się boi — przerwał pan Jones. — O cóż panu chodzi?

— Nie chcę mieć skandalu w swoim hotelu. O to mi chodzi.

Schomberg usiłował stawić odważnie czoło sytuacji, ale ten spokojny, czarny wzrok mu przeszkadzał. Gdy zaś spojrział w bok niespokojnie, spotkał się z grymasem Ricarda odkrywającym mnóstwo zębów, choć zdawało się, że ten człowiek jest wciąż zatopiony w myślach.

— A w dodatku — ciągnął pan Jones odległym swoim głosem — nie może pan nic na to poradzić. Tu jesteśmy i tu pozostaniemy. Czyżby pan chciał nas wyrzucić? Pozwolę sobie zauważyć, że mógłby pan to zrobić; ale musiałby pan za to odpokutować — bardzo ciężko odpokutować. Możemy mu to obiecać, prawda Marcinie?

Sekretarz cofnął wargi i spojrzał ostro na Schomberga; zdawało się, że nie posiada się z chęci skoczenia na niego z zębami i pazurami.

Schomberg potrafił zdobyć się na głęboki śmiech:

— Ha! ha! ha!

Pan Jones zamknął oczy ze znużeniem, jak gdyby raziło go światło, i przez chwilę wyglądał zupełnie jak trup. To wcale nie było przyjemne; ale kiedy znów oczy otworzył, nastąpiła dla Schomberga jeszcze gorsza próba wytrzymałości nerwów. Widmowa siła tego wzroku, który utkwiał w hotelarza bez żadnego określonego wyrazu (to właśnie było najbardziej przerażające), zniweczyła resztki siły w jego charakterze.

— Pan chyba nie przypuszcza, że pan ma do czynienia ze zwykłymi ludźmi, co? — zapytał pan Jones swym martwym głosem, który zdawał się nieść jakąś groźbę z zaświata.

— On jest panem z panów — zaświadczył Marcin Ricardo i kłapał nagle zębami, po czym jego wąsy zaczęły się ruszać same z siebie w dziwny, koci sposób.

— Och, ja nie o tym myślałem — odezwał się „zwykły sobie Jones”, zaś oniemiały Schomberg siedział ciężko na krześle, trochę pochylony, i wodził oczami od jednego do drugiego. — Naturalnie, że jestem szlachcicem; ale Ricardo przywiązuje zbyt wiele wagi

do społecznego stanowiska. Mam co innego na myśli; więc na przykład — ten spokojny i niewinny Ricardo, jak go tu pan widzi, nie zawahałby się ani chwili, gdyby chodziło o podpalenie pańskiego wesołego zakładu. Zająłoby się to jak pudełko od zapalek. Niech pan nad tym pomyśli! Nie pomogłoby to panu w interesach, prawda? A co by się potem stało z nami, mniejsza o to.

— No, no, panowie — upomniął szeptem Schomberg — Cóż to za dziki pomysł!

— A pan przyzwyczał się mieć do czynienia z ludźmi oswojonymi, prawda? Ale my nie jesteśmy oswojeni. Raz przez dwa dni trzymaliśmy w przyzwyczajonej odległości całe rozwścieczone miasto, a potem uszliśmy z łupem. To było w Wenezueli. Spytaj pan Marcina — on może panu opowiedzieć.

Schomberg spojrzał machinalnie na Ricarda, który przewinął tylko język po wargach z niesamowitym smakiem, ale nie zabierał się jakoś do opowiadania.

— No tak, to by była może za długa historia — przyznał pan Jones po chwili milczenia.

— Nie jestem jej wcale ciekawy — odrzekł Schomberg. — Tu nie Wenezuela. Nie uszłoby to wam na sucho. Ale to wszystko głupia gadanina bez najmniejszego sensu. Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan ma zamiar urządzić mi awanturę o tych parę guldenów, które pan i ten pański towarzysz — tu zerknął podejrzliwie na Ricarda, jak na osobliwe jakieś zwierzę — możecie wygrać przez wieczór? Przecież moi goście nie są bogaczami o kieszeniach wypchanych gotówką. Dziwię się, że tak się panowie męczycie i tyle ryzykujecie dla takich marnych pieniędzy.

Pan Jones oświadczył w odpowiedzi na ten argument, że przecież trzeba coś robić dla zabicia czasu. Zabijanie czasu nie jest zabronione. Wreszcie, będąc widocznie w usposobieniu do zwierzeń, oświadczył głosem nikłym i obojętnym, niby wydostającym się z grobu, że sam jest sobie panem i nie dba o nikogo — jak gdyby świat był wciąż jeszcze wielką, dziką dżunglą, nie objętą żadnymi prawami. Marcin jest człowiekiem tego samego pokroju — ma powody po temu.

Wszystkie te oświadczenia Ricardo potwierdzał krótkimi warknięciami, które nie miały w sobie nic ludzkiego. Schomberg spuścił oczy, onieśmielony widokiem tych dwóch ludzi; ale zaczynał już tracić cierpliwość.

— Spostrzegłem zaraz, naturalnie, że jesteście dwaj desperaci — w tym właśnie rodzaju jak pan mówi. Ale co byście pomyśleli, gdybym wam powiedział, że jestem prawie takim samym desperatem? Ludzie sobie myślą: „Ten Schomberg ma święte życie w swoim hotelu”; a mnie się zdaje, że byłoby mi wszystko jedno, gdybyście mi wypruli wnętrzności i spalili całą tę budę. Tak!

Rozległo się ciche gwizdnięcie. Pochodziło od Ricarda i brzmiało szyderczo. Schomberg oddychał ciężko, patrząc w podłogę. Był naprawdę w rozpacz. Pan Jones trwał wciąż w omdlewającym sceptycyzmie.

— No, no! Pan ma wcale niezłe zajęcie. Pan jest idealnie oswojony; pan — Urwał, po czym dodał tonem pełnym obrzydzenia:

— Pan ma żonę.

Schomberg, uderzając niecierpliwie nogą o podłogę, roześmiał się i wykrztusił jakieś niewyraźne przekleństwo.

— Co mi tu pan będzie zawracał głowę tym przeklętym ciężarem! — zawołał. — Chciałbym, żeby pan zabrał ją stąd do diabła! Nie gonilibym za wami.

Ten nieoczekiwany wybuch dotknął w dziwny sposób pana Jonesa. Gość cofnął się ze wstrętem razem z krzesłem, jak gdyby Schomberg rzucił mu w twarz wijącą się żmiję.

— Cóż to za piekielne głupstwo? — mruknął niewyraźnie. — Co pan chce przez to powiedzieć? Jak pan śmie?

Ricardo głośno zachichotał.

— Mówię wam, że jestem w rozpacz — powtórzył Schomberg. — Nikt nigdy nie był w takiej rozpacz. Gwizdź na wszystko, co mnie może spotkać!

— No więc — zaczął pan Jones tonem spokojnym a jednak groźnym, jak gdyby słowa — zwykle, codzienne słowa — miały w jego pojęciu jakieś inne, złowrogie znaczenie — więc po cóż pan nam dokucza w taki śmieszny sposób? Jeżeli panu wszystko jedno, jak pan mówi, niechże pan da nam klucz od tej swojej budy koncertowej; urządzimy spokojną partię kart — skromniutki bank — przy jakich dwunastu świecach. Pańscy

klenci bardzo by to sobie chwalili — o ile mogę sądzić ze sposobu, w jaki zakładali się przy partii *écarté*²⁷, którą rozegrałem z tym blondynem o dziecinnej twarzy — jak to on się nazywa? Oni wszyscy tęsknią po prostu za skromnym banczkiem. Boję się, że Marcin wziąłby panu za złe, gdyby się pan opierał; ale naturalnie nie będzie pan miał nic przeciwko temu. Pomyśl pan tylko, ile oni wypiją.

Schomberg podniósł wreszcie oczy i ujrzał błyski pod szatańskimi brwiami pana Jonesa, w dwóch ciemnych, nieprzeniknionych jamach, zwróconych w jego stronę. Wstrząsnął się, jakby tam czyhały okropności gorsze od mordu i rzekł, wskazując głową na Ricarda:

— Ręczę, że ten nie zawahałby się ani na chwilę i dźgnąłby mnie od razu, gdyby miał pana za plecami. Czemuż nie zatopiłem szalupy i siebie samego w dodatku, zanim przybiłem do tego parowca, który was przywiózł! Ale niech tam, żyję w piekle już od miesięcy, wasza obecność nie robi mi wielkiej różnicy. Dam wam halę koncertową — i niech to wszyscy diabli! Ale jak będzie z kelnerem obsługującym gości? Jak zobaczy karty i pieniądze, wypaple wszystko — całe miasto w mig będzie wiedziało.

Upiorny uśmiech poruszył wargi pana Jonesa.

— Ach, widzę już; pan chce, żeby wszystko poszło gładko. Bardzo dobrze; to jest właściwa droga. Niech się pan nie trapi. Każe pan Chińczykom pójść wcześniej spać, a na ich miejsce sprowadzimy Pedra co wieczór. Nie wygląda wprawdzie na przeciętnego kelnera, ale da sobie radę z obnoszeniem tacy; pan zaś będzie siedział tu od dziewiątej do jedenastej, wydając napoje i zgarniając pieniądze.

— Będzie ich teraz trzech — pomyślał nieszczęsny Schomberg.

Ale Pedro był przynajmniej tylko prostym, zwykłym bydlęciem, mimo całej swej krwiożerczości. Nie było w nim nic tajemniczego, ani niesamowitego — nie wyglądał jak skradający się, ostrożny dziki kot, przemieniony w człowieka, ani jak impertynencki duch na urlopie z piekła, wyposażony w skórę i kości tudzież w chytrą moc budzenia lęku. Pedro — razem ze swoimi kłami, skołtunioną brodą i dziwnym spojrzeniem małych, niedźwiedzych oczek — w porównaniu z tamtymi wydawał się rozkosznie naturalny. Zresztą Schomberg nie miał już sił.

— Niech i tak będzie — zgodził się posępnie. — Ale wiedzcie, panowie, że gdybyście się byli zjawili jeszcze przed trzema miesiącami — nawet mniej niż przed trzema miesiącami — byłibyście zastali zupełnie innego człowieka niż ten, który teraz do was mówi. Doprawdy! I cóż pan na to?

— Czy ja wiem co o tym myśleć? Myślę, że to chyba kłamstwo. Trzy miesiące temu był pan prawdopodobnie równie oswojony jak i teraz. Pan już się urodził oswojony, jak większość ludzi na świecie.

Pan Jones podniósł się niby widmo, a Ricardo poszedł za jego przykładem, przy czym warknął i przeciągnął się. Schomberg mówił dalej jak gdyby do siebie, w ponurym zamysleniu:

— Była tu orkiestra — osiemnaście kobiet.

Pan Jones wydał okrzyk przerażenia i obejrzał się w koło, jakby w ścianach i w całym domu pozostał jad zarazy. Potem wpadł w wielki gniew i zwymyślał gwałtownie Schomberga za to, że ośmiela się poruszać podobne tematy. Hotelarz tak był zdumiony, że nawet nie wstał z krzesła. Patrzył na wściekłość pana Jonesa, która nie miała w sobie nic widmowego, ale nie była przez to bardziej zrozumiała.

— Co się stało? — wyjąkał. — Co za tematy? Nie słyszał pan, jak mówiłem, że to była orkiestra? Nie ma w tym przecież nic złego. No więc była tam między nimi dziewczyna — — Oczy Schomberga stanęły w słup; splótł ręce na piersiach z taką siłą, że stawy w palcach mu zbieleły. — Taka dziewczyna! Nazywacie mnie oswojonym? Byłbym dla niej rozbił w puch wszystko naokoło siebie. A i ona, naturalnie... Jestem przecież mężczyzną w sile wieku... Ale potem opętał ją jeden chłystek — taki włóczęga, łgarz, oszukaniec, podstępna bestia zdecydowana na wszystko! O Boże!

Splecione palce trzasnęły, gdy rozrywał dłonie; wyciągnął ramiona i oparł na nich czoło w paroksyzmie wściekłości. Obaj goście patrzyli na dygocące jego plecy — wychudły pan Jones z pogardą i pewnym rodzajem lęku, a Ricardo z wyrazem kota, który widzi

²⁷ *écarté* (fr.) — gra karciana podobna do wista, której element stanowi wymiana kart. [przepis edytorski]

w śpiżarni kawałek ryby i nie może jej dosięgnąć. Schomberg przechylił się w tył. Oczy jego były suche, ale bulgotało mu w gardle, jak gdyby połykał łkania.

— Nic dziwnego, że możecie robić ze mną, co się wam podoba. Wy przecież nie macie pojęcia — opowiem wam wszystko o moim zmartwieniu...

— Nie chcę nic wiedzieć o pańskim obrzydłym zmartwieniu — odrzekł pan Jones tonem jak najbardziej martwym i stanowczym.

Wyciągnął rękę powstrzymującym gestem i wyszedł z bilardowego pokoju na swych niesamowicie cienkich piszczelach, zostawiając Schomberga z otwartymi ustami. Ricardo szedł tuż za zwierchnikiem i przez ramię pokazał Schombergowi zęby.

VI

Od tego wieczora zaczęły się w zakładzie Schomberga owe tajemnicze a charakterystyczne objawy, które zwróciły wypadkiem uwagę kapitana Davidsona, gdy przybył — spokojny lecz przebiegły — aby zwrócić pani Schomberg szal indyjski. I — dziwna rzecz — objawy te trwały dość długo. Świadczyło to albo o uczciwości i braku szczęścia pana Jonesa, albo o nadzwyczajnej jego powściągliwości w delikatnych operacjach karcianych.

Wnętrze koncertowej sali Schomberga przedstawiało widok ciekawy i uderzający; w jednym końcu, na estradzie przeznaczonej dla orkiestry, piętrzył się wielki stos krzesel, a w drugim stał długi stół na kozłach, przykryty zielonym suknem i obstawiony dwoma tuzinami palących się świec. W środku siedział przy stole pan Jones, wygłodzone widmo, jako bankier, a naprzeciw niego Ricardo, wstrętny kot o powolnych ruchach, pełnił funkcje krupiera. Wszystkie inne twarze naokoło stołu, w wieku od lat dwudziestu do trzydziestu, wyglądały prawem kontrastu jak zbiór okazów prostodusznej, bezzadnej ludzkości — które to okazy ze wzruszającą naiwną uwagą śledziły kaprysy losu, mogące zaiste wypaść dla nich dość groźnie. Nie starczyło już im uwagi dla kudłatego Pedra, który obnosił tacę z niezdarkością stworu schwytanego w lesie i przyuczonego do chodzenia na tylnych łapach.

Co się tyczy Schomberga, trzymał się na uboczu. Siedział w bilardowym pokoju, wydając trunki nieopisanemu Pedrowi, przy czym zdawało się, że nie widzi wcale mrukliwego potwora i nie wie nic o istnieniu hali koncertowej tam pod drzwiami, o pięćdziesiąt jardów od hotelu. Pogrzebiony doszczętnie, poddał się sytuacji ze stoicyzmem, na który składał się strach i rezygnacja. Gdy towarzystwo zaczynało się rozchodzić (mógł dostrzec męskie sylwetki, wysuwające się pojedynczo i grupkami przez bramę w ogrodzeniu), wycofywał się za niedomknięte drzwi, aby uniknąć spotkania z dwoma niezwykle gośćmi; śledził jednak przez szparę ich postacie, różniące się od siebie tak jaskrawo, obserwując jak mijają salę bilardową w drodze do swych pokoi. Potem słyszał drzwi zatraskujące się na piętrze i wreszcie głęboka cisza zstępowała na cały dom — na jego hotel, który naszli i w którym się rządzą ci bezczelni impertynenci, przechowujący w kufrach cały arsenał. Cisza tak głęboka, iż niekiedy Schomberg nie mógł się oprzeć wrażeniu, że chyba śni mu się to wszystko. Wzdrygał się i usiłował się opanować, po czym wysuwał się chyłkiem z pokoju, a ruchy jego dziwnie nie harmonizowały z zachowaniem oficera rezerwy, które miało podtrzymywać jego godność wobec świata.

Ciężyło mu poczucie wielkiego osamotnienia. Gasił lampy jedną po drugiej i kierował się powoli ku sypialni; czekała tam na niego żona, która nie była wcale odpowiednią towarzyszką dla człowieka o jego zdolnościach i w kwiecie męskiego wieku. Ale kwiat jego życia był już, niestety, zwarzony. Czuł to wyraźnie; nigdy zaś nie odczuwał tego z równą siłą niż w chwili, gdy otwierając drzwi sypialni, spostrzegał tę kobietę siedzącą cierpliwie na krześle. Spod nocnej koszuli wyzierały jej wielkie palce u nóg, zdumiewająco skąpa ilość włosów zwieszała się na długą łodygę wychudłej szyi, a po ustach błąkał się trwożliwy uśmiech, odsłaniając niebieski ząb i nie wyrażając nic zgoła — nawet istotnego lęku — ponieważ była już do męża przyzwyczajona.

Napadała go czasem pokusa, aby odkręcić tę głowę od łodygi. Wyobrażał sobie, jak to zrobi — wystarczy jeden kręty ruch ręką. Oczywiście nie myślał o tym poważnie. Pozwalał sobie na tę igraszkę wyobraźni, aby ulżyć wezbranym uczuciom. Nie popełniłby nigdy morderstwa, tego był pewien. I, przypominając sobie nagle wynurzenia pana Jonesa, myślał: „Zdaje mi się, że doprawdy jestem na to zbyt oswojony”. — Nie zdawał sobie

Żona

sprawy, że już przed laty popełnił duchowe morderstwo na tej biednej kobiecie. Znadto był ograniczony, aby taką zbrodnię zrozumieć. Cieleśna obecność żony raziła go dotkliwie ze względu na kontrast z bardzo odmiennym kobiecym wizerunkiem. Ale usunięcie jej nie zdaloby się na nic. Przyzwyczaił się do niej od lat i nie było nikogo, kto by ją mógł zastąpić. Do tej idiotki mógł przynajmniej mówić choćby i przez pół nocy, jeśli miał ochotę.

Owego wieczora przechwalał się przed nią, że stawia czoło obu gościom, lecz zamiast pobudki do czynu, której oczekiwał, usłyszał zwykłą przestrożę: „Wilhelmie, bądź ostrożny”. Nie potrzebował wcale, aby ta głupia baba nakazywała mu ostrożność. Trzeba mu było natomiast pary kobiecych ramion, które by opłoty mu szyję i zagrzały go do walki — które by go natchnęły, jak to nazywał w myślach.

Długi czas leżał, nie mogąc usnąć, wreszcie zdrzemnął się snem krótkim i nieprzyjemnym. Światło poranku nie przyniosło radości jego oczom. Wsluchiwał się posępnie w ruch budzącego się domu. Chińczycy otwierali na rozcież drzwi pokoi restauracyjnych wychodzących na werandę. Okropność! jeszcze jeden zatruty dzień, który trzeba jakoś przeżyć! Gdy przypomniawszy sobie wczorajsze postanowienie, zrobiło mu się słabo na chwilę. Pańskie, niedbałe pozy, przybierane przez pana Jonesa onieśmiały go najbardziej. A potem to pogardliwe milczenie. Pan Jones nigdy nie zwracał się do Schomberga z jakimiś ogólnymi uwagami, nigdy ust przy nim nie otwierał, chyba po to, żeby powiedzieć „dzień dobry” — niewinne słowo, które — wymówione przez tego człowieka — wydawało się groźnym szyderstwem. A w dodatku trwoga, którą wzbudzał, nie była zwykłym lękiem fizycznym wywołującym potrzebę walki, bo nawet szczur w położeniu bez wyjścia rzuca się na napastnika — lecz przesadną, niesamowitą grozą, czymś w rodzaju nieprzewidywanego wstrętu, jaki budzi w nas myśl o rozmowie ze złowrogim widmem. Fakt, że to było dzienne widmo o ruchach dziwnie kanciastych i że zazwyczaj leżało na trzech krzesłach — nie łagodził wcale sytuacji. Światło dzienne czyniło z pana Jonesa zjawę jeszcze dziwniejszą, bardziej niepokojącą i przeciwną naturze. Szczególna rzecz, wieczorem, kiedy otrząsał się z niemej omdłości, nadnaturalne jego cechy były mniej dokuczliwe. I prawdopodobnie zacierały się zupełnie, gdy znalazł się przy stole do gry i brał karty w rękę; ale Schomberg, postanowiwszy na wzór strusia nie wiedzieć o niczym, co się dzieje, nie wchodził do zbezczeszczonej sali koncertowej. Nie widział ani razu pana Jonesa oddającego się swemu posłannictwu — czy też może po prostu swemu zawodowi.

Gra

— Rozmówię się z nim dziś wieczorem — rzekł do siebie Schomberg, pijąc w piżamie ranną herbatę na werandzie. Wschodzące słońce nie ukazało się jeszcze nad drzewami ogrodu; rosa srebrożyła się na trawie, błyszczała na kwiatach środkowego klombu i przyściemniała żółty żwir drogi. — Tak. Nie zejść mu z drogi dziś wieczorem. Pokażę się i przytrzymam go, gdy będzie szedł spać z kasą w rękę.

Czymże on był ostatecznie, jeśli nie pospolitym awanturnikiem? Zabijaką? No, tak, prawdopodobnie był i zabijaką — tu Schomberg poczuł, że mięśnie żołądka zadygotały mu pod lekkim odzieniem. Ale nawet pospolity awanturnik zastanowi się, i to zastanowi się dobrze, nim zamorduje publicznie niewinnego obywatela w cywilizowanym mieście, rządzone przez Europejczyków. Wzruszył ramionami. Naturalnie! — Wstrząsnął się znowu i ruszył leniwie w stronę swego pokoju, aby się ubrać. Powziął decyzję i nie będzie już o tym myślał. Miał jednak pewne wątpliwości, które rosły i rozwijały się z biegiem godzin — podobnie jak niektóre rośliny. Wątpliwości te sprawiały, że od czasu do czasu pocił się obficie niż zwykle; nie pozwoliły mu także zdrzemnąć się po drugim śniadaniu. Obróciwszy się na posłaniu ze dwanaście razy, dał wreszcie za wygraną, wstał z łóżka i zszedł na dół.

Było to między trzecią a czwartą, w czasie bezwzględnej spokoju. Nawet kwiaty zdawały się drzemać na łąkach obsadzonych sennymi liśćmi. Powietrze ani drgnęło, gdyż powiew od morza nadpływał zwykle później. Służba znikła z widoku, zażywając drzemki gdzieś w cieniu za domem. Pani Schomberg siedziała na górze w mrocznym pokoju o spuszczonej żaluzjach i trudziła się nad ułożeniem dwóch wiszących loków, które stanowiły charakterystyczną ozdobę jej głowy podczas sprawowania poobiednich obowiązków. O tym czasie żaden gość nie miał nigdy ciszy wypoczywającego hotelu.

Obchodząc swoje państwo w głębokiej samotności, Schomberg cofnął się nagle od drzwi bilardowego pokoju, jakby zmięć ujrzał przed sobą. Sam na sam z bilardami, próżnymi stolikami i całą masą pustych krzeseł, pan sekretarz Ricardo siedział pod ścianą i wykonywał z błyskawiczną szybkością coś w rodzaju sztuki karcianej, używając do tego swojej własnej talii, którą zawsze nosił w kieszeni. Schomberg byłby się po cichu wycofał, gdyby Ricardo nie odwrócił głowy. Ponieważ ten go już zobaczył, hotelarz postanowił wejść do pokoju, uważając to za mniejsze ryzyko. Schomberg zdawał sobie sprawę, że jego wewnętrzna postawa wobec tych dwóch ludzi jest nikczemna i właśnie dlatego na ich widok wyprężył zawsze pierś i przybierał wyraz pełen surowości. Ricardo patrzył na zbliżającego się hotelarza, trzymając talię oburącz.

— Może pan sobie czego życzy? — zagadnął Schomberg tonem oficera rezerwy.

Ricardo potrząsnął głową w milczeniu i patrzył wyczekująco. Schomberg zamieniał z nim zwykle najmniej ze dwadzieścia słów na dzień. Sekretarz był bez porównania bardziej towarzyski od swego zwierzchnika. Czasami stawał się nawet zupełnie podobny do zwykłej ludzkiej istoty ze swojej sfery, a w danej chwili zdawał się być w uprzejmym nastroju. Nagle rozłożył jakieś dziesięć kart w formie wachlarza, znakami na dół, i wyciągnął je ku Schombergowi.

— No, dobrodzieju, wybieraj jedną — prędko!

Schomberg był tak zdumiony, że wziął pośpiesznie kartę, drgnąwszy przedtem bardzo wyraźnie. Oczy Marcina Ricardo paliły się fosforycznym ogniem w półcieniu pokoju, odgradzonego żaluzjami od tropikalnego blasku i gorąca.

— Pan wziął kierowego króla — zachichotał Ricardo, migając krótką błyskawicą zębów.

Schomberg, spojrzawszy na kartę, potwierdził i położył ją na stole.

— Dziewięć razy na dziesięć wybierze pan tę kartę, którą ja zechcę — ucieszył się sekretarz, przy czym po jego wargach przebiegł dziwny skurcz, a w oczach mignęły zielone błyski.

Schomberg spoglądał na niego z góry, milcząc. Przez kilka sekund żaden z nich się nie poruszył; wreszcie Ricardo spuścił oczy i, rozwarłszy palce, upuścił talię na stół. Schomberg usiadł. Usiadł po prostu dlatego, że osłabły mu nogi — dla żadnej innej przyczyny. Usta miał suche. Raz usiadłszy, poczuł że trzeba coś powiedzieć. Wyprostował się jak na paradzie.

— Pan ma w tym dużo zręczności.

— Nabiera się wprawy — odparł sekretarz.

Jego kapryśna uprzejmość uniemożliwiła Schombergowi wycofanie się. Tak więc przez swoją bojaźliwość hotelarz wdał się w rozmowę, o której nie mógłby przedtem nawet pomyśleć bez trwogi. Należy oddać mu sprawiedliwość, że potrafił ukryć swój strach w zupełności. Dopomógł mu dzielnie zwyczaj wyprężania piersi i przemawiania srogim głosem. On także nabrał już wprawy; i prawdopodobnie byłby wytrwał aż do końca, do chwili ostatecznej, kiedy padłby wreszcie na podłogę, zmożony okrutnym wysiłkiem. W dodatku nie wiedział, co ma powiedzieć i to powiększało jego rozterkę.

Zdobył się tylko na uwagę:

— Pan pewnie lubi karty.

— A cóż pan myślał? — spytał Ricardo tonem filozoficznym i pełnym prostoty. — Jakżeby nie lubił? — I dodał z nagłym ogniem:

— Czy lubię karty? Pasjami!

Efekt tego wybuchu został jeszcze wzmocniony przez spokojne spuszczenie powiek i dyskretną pauzę, jak gdyby zwierzenie dotyczyło zupełnie innego rodzaju miłości. Schomberg wysilał mózg, aby znaleźć inny jakiś temat, ale nie zdołał nic wymyślić. Zwykle skandaliczne plotki nie byłyby tu na miejscu. Ten awanturnik nie wiedział nic o nikim w promieniu tysiąca mil. Schomberg był prawie zmuszony trzymać się poprzedniego tematu.

— Przypuszczam, że pan zawsze lubił karty, już od wczesnej młodości.

Oczy Ricarda pozostały spuszczone. Palce jego bawiły się machinalnie talią leżącą na stole.

— E nie, nie tak znów dawno. Zaczęło się to od gry o tytoń po kasztelach różnych okrętów — pan wie, zwykła gra majtków. Spędzaliśmy tak na dole całe wachty, siedząc

wokoło skrzynki przy marnej lampce. Zaledwie mieliśmy czas połknąć kęs wędzonej koniny — ani mowy o jedzeniu czy spaniu. Ledwośmy się trzymali na nogach podczas przeglądu wachty na pokładzie. To była dopiero gra! — Przeszedł do innego tonu i dodał informację: — Widzi pan, żyłem się z morzem prawie od dziecka.

Schomberg popadł w zadumę, nie tracąc jednak poczucia, że wisi nad nim coś złego. Ocknąwszy się, usłyszał słowa Ricarda:

— Na morzu wiodło mi się też nieźle. Dosłużyłem się stopnia pomocnika. Byłem pomocnikiem na szkunerze w zatoce Meksykańskiej — na jachcie można powiedzieć; doskonale to było miejsce — lekka służba, nie trafia się taka dwa razy w życiu. Tak, byłem pomocnikiem na jachcie, kiedy rzuciłem morze — dla niego.

Ricardo kiwnął brodą w kierunku pokoju na piętrze, Schomberg zaś — przywołany w bolesny sposób do rzeczywistości przez wzmiankę o egzystencji pana Jonesa — wywnioskował, że ten jest w swoim pokoju. Sekretarz, śledząc go z pod spuszczonej powiek, ciągnął dalej:

— Tak się złożyło, że kolegowaliśmy na statku.

— Z panem Jonesem? To on jest także marynarzem?

Na te słowa Ricardo podniósł powieki.

— Takim on jest Jonesem, jak i pan — rzekł z widoczną dumą. — On marynarzem! To najlepszy dowód pana ignorancji. Ale co tam! Trudno się spodziewać czegoś innego po cudzoziemcu. Jestem Anglikiem i umiem poznać się na panu z panów — od pierwszego spojrzenia. Poznam się, choćby był pijany, albo w rynsztoku, albo w więzieniu, albo pod szubienicą. Jest w prawdziwym panu coś takiego — i to niekoniecznie w powierzchowności, tylko... Ale co ja będę panu tłumaczył. Pan nie jest Anglikiem; a gdyby pan był, nie potrzebowałbym panu tego mówić.

Nieoczekiwany strumień wymowy przerwał tamę gdzieś w głębi tego człowieka, rozwoźnił ognistą jego krew i złagodził bezlitosną naturę. Schomberg doznał pomieszanych uczuć ulgi i lęku, jak gdyby nagle olbrzymi dziki kot zaczął mu się łąsić u nóg z niepojętą przyjaźnią. Żaden roztropny człowiek nie śmiałby poruszyć się w podobnych okolicznościach. Schomberg się też nie poruszył. Ricardo przybrał wygodną pozę i oparł się łokciem o stół. Schomberg wyprężył ponownie piersi.

— Służyłem na tym jachcie — czy szkunerze, czy jak tam — i miałem dziesięciu zwierchników naraz. Dziwi to pana, co? Tak, tak, dziesięciu zwierchników. Dziewięciu z nich to byli niczego sobie panowie, ale jeden był panem całą głową i to jest właśnie...

Ricardo kiwnął znów brodą w stronę piętra, jak gdyby chciał powiedzieć: On! Jeden jedyny.

— I nie zawiodłem się — ciągnął dalej. — Od razu pierwszego dnia wpadł mi w oko. Jak? Dlaczego? Pytałby pan na próżno. Nie widywałem znów tak wielu prawdziwych panów w życiu. No i poznałem się na nim. Gdyby pan był Anglikiem, to by pan —

— I cóż z tym jachtem? — przerwał Schomberg, okazując tyle zniecierpliwienia, ile się tylko ośmielił, gdyż ze aluzje do narodowości szarpały mu nadwątlone nerwy. — Jakaż to była gra?

— Pan to ma łeb na karku! Gra — otóż to właśnie! To było takie głupstwo, jak to czasem panowie wymyślą sobie, żeby się bawić w przygody. Wyprawa po skarb! Rozumie pan? Każdy z nich złożył tyle pieniędzy, żeby mogli kupić ten szkuner. Ich agent w City zgodził i mnie i kapitana. Żądał od nas zachowania największej tajemnicy — i tak dalej. Zdaje mi się, że przez cały czas kpił sobie z tego w duszy — i słusznie. Ale nic nam było do tego. Niech sobie wyrzucają pieniądze, kiedy im się podoba. Szkoda tylko, że tak mało na nas przypadło. Porządna pensja i na tym koniec. Ale co mi tam pensja, wielka czy mała — gwizdź na to!

Mrugał i błyskał w półmroku zielonawymi oczami. Zdawało się, że upał uciszył wszystko na świecie prócz jego głosu. Wtem z niepojętej jakiejś przyczyny zaczął sypać przekleństwa warczącym, stłumionym tonem; uspokoił się wnet w równie zagadkowy sposób i ciągnął dalej, niby marynarz snujący swoją gawędę:

— Z początku było ich tylko dziesięciu, tych awanturniczych gagatków; potem, na dzień czy dwa przed odpłynięciem statku, on się zjawił. Posłyszał o tej wyprawie — gdzieś, od kogoś — powiedziałbym, że od jakiejś kobiety, gdybym go nie znał, jak go znam. Wyprawiłby każdą babę za dziesiątą granicę. Nie znosi ich po prostu. Może słyszał o tej

Szlachcic

historii w jakim barze. A może w jednym z tych ich wielkich klubów na Pall Mall. Tak czy owak złowił go jakiś agent, pieniądze kazał na stół wyłożyć, a na przygotowanie się do drogi dali mu coś około dwudziestu czterech godzin; ale nie spóźnił się na statek. Nic podobnego. To był dopiero co się zowie skok na łeb na szyję dla takiego pana. Widziałem, jak się zbliżał do naszego statku. Pan zna zachodnio-indyjskie doki, co?

Okazało się, że Schomberg nie zna zachodnio-indyjskich doków. Ricardo popatrzył na niego w zamyśleniu i po chwili zaczął mówić dalej, jak gdyby podobna ignorancja zasługiwała tylko na lekceważenie.

— Nasz holownik czekał już obok statku. Dwóch drabów niesło za nim manatki. Kazałem ludziom z doku, trzymającym nasze cumy, żeby poczekali chwilę. Kładka była już podniesiona, ale on nic sobie z tego nie robił. Skoczył do góry jednym susem, przełożył długie nogi przez burtę i już był na jachcie. Wciągnęli na pokład jego wypchane tłumoki, a on wsadził rękę do kieszeni w spodniach i wyrzucił na bulwar chłopakom wszystkie swoje drobne. Kiedyśmy odbijali, łazili jeszcze wciąż na czworakach po bulwarze. Dopiero wtedy spojrzał na mnie — tak spokojnie, rozumie pan — i przeciągle. Nie był wówczas taki chudy jak teraz; ale zauważyłem, że wygląda na młodszego niż jest — daleko młodszego. Wydało mi się, że jego oczy dotknęły mnie gdzieś na wewnątrz. Zabrałem się stamtąd prędko; zresztą i tak byłem potrzebny na przodzie. Nie to, żebym go się bał. I czegoż miałbym się bać? Tylko czułem się poruszony do żywego. Ale gdyby mi był kto wtedy powiedział, że nie minie rok, a będziemy współnikami, no, byłbym doprawdy —

Zaczął sypać przeróżne przekleństwa, to zwykłe, to cudaczne i wstrętne dla uszu Schomberga — ale były to tylko niewinne okrzyki podziwu nad zmianami i kolejami ludzkich losów. Schomberg poruszył się z lekka na krześle. Lecz wielbiciel i współnik „zwykłego sobie Jonesa” zdawał się zapominać w tej chwili o istnieniu Schomberga. Strumień niewinnych przekleństw — niektóre były w kiepskim języku hiszpańskim — wysechł wreszcie i Marcin Ricardo, znawca panów, siedział niemy i zapatrzony w przestrzeń, jak gdyby rozpamiętywał ze zdziwieniem zdumiewające decyzje i zbiegi okoliczności, i kombinacje zdarzeń, które wpływają na ludzką pielgrzymkę po tej ziemi.

Wreszcie Schomberg odezwał się, ciągnąc Ricarda za język:

— Więc ten — ten pan tam na górze — namówił pana, żeby pan porzucił takie dobre miejsce?

Ricardo zachnął się.

— Namówił mnie! Nie potrzebował mnie wcale namawiać. Kiwnął na mnie po prostu i to wystarczyło. Byliśmy wtedy w Zatoce Meksykańskiej. Raz w nocy staliśmy na kotwicy blisko piaszczystej rewy — do dziś dnia nie wiem na pewno, gdzie to było — w okolicy brzegów Kolumbii czy gdzie indziej. Mieliśmy zacząć kopanie nazajutrz rano i cała załoga poszła wcześniej spać, bo wiedzieliśmy, że następny dzień upłynie przy łopacie na ciężkiej pracy. Nagle zjawia się on i tym swoim spokojnym, zmęczonym głosem — po tym można równie dobrze poznać pana jak i po czym innym — zjawia się za mną i mówi mi do ucha w ten deseń: „No i co pan teraz myślisz o tym naszym polowaniu na skarb?” —

— Nie odwróciłem nawet głowy; stałem na miejscu jak wryty i rzekłem nie głośniejsz od niego:

— „Jeżeli pan chce wiedzieć, uważam to wszystko za idiotyczne głupstwo”. —

— Od czasu do czasu prowadziliśmy już i przedtem krótkie rozmowy w czasie podróży. Wyczytał ze mnie wszystko jak z książki. Niewiele tam miał do wyczytania oprócz tego jednego, że nigdy nie byłem oswojony; nawet i wówczas, kiedy spacerowałem po trotuarze²⁸, i puszczał dowcipy, i stawiał przyjaciółom — no i obcym także. Lubilem patrzeć jak na mój koszt podnoszą w górę łokcie, albo jak pękają ze śmiechu z moich żartów — o, ja umiem być zabawny jak zechcę — jak Boga kocham!...

Paauza, wypełniona kontemplacją własnego dowcipu i hojności, wstrzymała potok wymowy Ricarda. Schomberg biedził się, aby utrzymać w mierze swoje rozszerzające się wciąż powieki, gdyż zdawało mu się, że oczy rosną mu w głowie.

— Tak, tak — wyszeptał pośpiesznie.

²⁸trotuar (daw.) — chodnik. [przypis edytorski]

— Patrzyłem na nich nieraz i myślałem sobie: wy nie wiecie, chłopcy, kim jestem. Gdybyście wiedzieli! — Z dziewczętami to samo. Raz przystawiałem się do jednej. Całowałem ją za uchem i mówiłem sobie: „Gdybyś ty wiedziała, kto cię całuje, moja droga, narobiłabyś wrzasku i tyle bym cię widział!” Ha, ha! Nie to, żebym ją chciał skrzywdzić; ale czułem w sobie tę siłę. Siedzimy sobie teraz po przyjaźni i wszystko w porządku. Pan mi w niczym nie bruździ. Ale nie powiem żebym czuł dla pana życzliwość. Po prostu nic mnie pan nie obchodzi. Niektórzy nie przyznają się do tego; ale ja się przyznaję. Tak, czy owak, znaczy pan dla mnie to samo co tamta mucha. Akurat to samo. Mogę pana zgnieść, mogę pana zostawić. Wszystko mi jedno.

Mucha

Jeżeli prawdziwa siła charakteru polega na przewyciężaniu naszych słabości, to Schomberg rozwinął tę zaletę w całej pełni. Przy wzmiance o musze zaczerpnął tchu z wielkim wysiłkiem, podtrzymując surową godność postawy, podobnie jak się napuszcza powietrze do obwisłego dzieciennego balonika. Wygodna, niedbała poza Ricarda była wręcz przerażająca.

Siła

— Tak to, tak — ciągnął dalej. — Taki ze mnie człowiek. Nie przyszłoby to panu do głowy, co? Nigdy. Trzeba było to panu powiedzieć. Więc też mówię, ale widzę, że pan wierzy mi tylko w połowie. A przecież nie może pan powiedzieć, że jestem pijany, choćby się pan na mnie jeszcze więcej wytrzeszczył. Nie wypilem dziś nic prócz szklanki wody z lodem. Na to, żeby człowieka przeniknąć, trzeba prawdziwego pana. O tak — on przejrzał mnie od razu. Mówiłem już, że na morzu rozmawialiśmy kilka razy o tym i owym. I często przypatrywałem mu się przez lukę świetlną, jak w kajucie grał w karty z innymi. Musieli jakoś czas zabić. Na tym samym i on mnie kiedyś przyłapał, i wtedy właśnie powiedziałem mu, że lubię karty i że na ogół jestem w grze szczęśliwy. Tak, ten to mnie przeniknął. I cóż w tym dziwnego? Prawdziwy pan jest takim samym człowiekiem jak każdy inny — i jeszcze czymś poza tym.

Przywódca

Schombergowi błysnęła myśl, że ci dwaj są zaiste świetnie dobrani, wbrew ogromnym zewnętrznym różnicom — identyczne dusze w odmiennych przebraniach.

— Więc on mówi do mnie: — ciągnął Ricardo plotkarskim tonem — „Mam już tego dosyć. Czas na nas, Marcinie”. — Pierwszy raz powiedział mi wtedy: Marcinie. A ja na to:

— „Jakże to, proszę pana?”

— „Nie myślisz przecież, że mi chodzi o ten jakiś skarb — co? Chciałem po prostu spokojnie drapnąć. To dość kosztowny sposób podróżowania, ale był mi na rękę”.

— Bardzo prędko dałem mu do zrozumienia, że gotów z nim jestem na wszystko — od gry w cetno i lichu aż do morderstwa z premedytacją.

— „Morderstwa z premedytacją?” — mówi spokojnie po swojemu. — Cóż to znaczy u licha? O czym ty mówisz? Zdarza się czasem, że ludzie bywają zabici, jeśli znajdują się na czyjejś drodze, ale zabija się tylko we własnej obronie — rozumiesz?”

Morderstwo

— Odpowiedziałem, że rozumiem. I że skoczę na dół na chwilę, żeby zgarnąć tych trochę swoich gratów do marynarskiej torby. Nie lubiłem nigdy obciążać się bagażem; chciałem na morzu czuć się lekki jak piórko. Wróciłem i zastałem go chodzącego po pokładzie tam i z powrotem, niby to że chce odetchnąć świeżym powietrzem przed pójściem spać, jak każdego innego wieczoru.

— „Jesteś gotów?”

— „Tak, panie.”

— Nawet na mnie nie spojrział. U rufy tkwiła na wodzie łódź, już od chwili, gdy spuściliśmy kotwicę po południu. Rzucił za burtę niedopałek cygara.

— „Czy możesz sprowadzić na pokład kapitana?” — zapytał.

— Nigdy w życiu nie przyszłoby mi na myśl, że trzeba to zrobić. Oniemiałem na chwilę.

— „Mogę spróbować” — mówię mu.

— „Więc ja schodzę na dół. Sprowadzisz go tu i zatrzymasz, póki nie wrócę na pokład. Pamiętaj! Nie puszczaj go na dół, póki nie wrócę”.

— Nie mogłem się powstrzymać i zapytałem, dlaczego każe mi budzić śpiącego człowieka, kiedy trzeba przecież, żeby wszyscy na statku spali spokojnie, póki się stąd nie wydostaniemy. Zaśmiał się i rzekł, że nie widzę jeszcze tego interesu ze wszystkich stron.

— „Pamiętaj” — mówi — „nie puszczaj go, póki nie zobaczysz, że wracam”. — Spojrzał mi z bliska w oczy. — „Zatrzymaj go za wszelką cenę”.

— „A to znaczy?” — pytam.

— „Za wszelką cenę — wszystkimi możliwymi czy niemożliwymi sposobami. Nie życzę sobie, aby mi ktoś przeszkodził w robocie tam na dole. Mógłby mi narobić wielkiego kłopotu. Zabieram cię z sobą, żebyś mi oszczędzał kłopotów; masz zabrać się od razu do roboty”.

— „Rozumiem, proszę pana” — ja na to — a on znika w luku schodni.

— Z prawdziwym panem wiadomo od razu, czego się człowiek ma trzymać, ale to była trudna sprawa. Kapitan nic a nic mnie nie obchodził, nie przymierzając jak i pan w tej chwili, panie Schomberg. Może pan teraz zaraz zapalić cygaro albo w łeb sobie palnąć — gwizdę na to czy pan robi i jedno i drugie, czy też nie robi pan nic zgoła. Sprowadzić kapitana było bardzo łatwo. Należało tylko tupnąć parę razy w pokład nad jego głową. Tupnąłem mocno. Ale jak go zatrzymać, kiedy tu już będzie?

— „Co się stało, panie Ricardo?” — posłyszałem za sobą jego głos.

— Przyszedł, a ja wcale nie zdążyłem jeszcze obmyślić, co mam powiedzieć; więc też nie zwróciłem się w jego stronę. Księżycowa noc była jaśniejsza od niejednego dnia na morzu Północnym.

— „Dlaczego pan mnie zawołał? Czemu pan się tak przypatruje, panie Ricardo?”

— Zwiodło go to, że stałem do niego tyłem. Nie patrzyłem na nic, ale jego słowa naprowadziły mnie na jedną myśl.

— „Przypatruję się czemuś, co wygląda jak łódź — o tam” — odpowiedziałem bardzo wolno.

— Kapitan od razu się zatroskał, choć nie przypuszczał, aby groziło jakieś niebezpieczeństwo ze strony krajowców.

— „Aj, do diabła!” — mówi. — „To bardzo niedobrze”. — Spodziewał się, że szkuner nie zostanie tak prędko spostrzeżony z wybrzeża. — „Paskudna historia, mieć podczas pracy całe kupy Murzynów na karku, gapiące się na robotę. Ale czy pan jest pewien, że to łódź?”

— „Może to i pień” — odpowiadam — „ale przyszło mi na myśl, że będzie lepiej, jak pan zobaczy to na własne oczy. Pan pewno pozna się na tym lepiej ode mnie”.

— Jego wzrok ani się umywał do mojego. Ale mi odrzekł:

— „Tak, tak. Dobrze pan zrobił”.

— I rzeczywiście spostrzegłem jeszcze o zachodzie jakieś pnie na morzu. Rozpoznawszy je, nie zaprzętałem sobie nimi głowy; zapomniałem o nich na śmierć aż do tamtej chwili. Nic dziwnego, że w pobliżu takiego wybrzeża widać pływające kłody, i dają głowę, że kapitan zobaczył je rzeczywiście w smudze księżyca. To dziwne, od jakiej drobnej rzeczy zależy czasem życie człowieka — od jednego słowa! Siedzi pan tu przede mną, nic nie podejrzewając, i nieświadomie może się panu wypsnąć coś takiego, co rozstrzygnie o pana losie. Nie to, żebym czuł dla pana nieżyczliwość. Nic a nic do pana nie czuję. Więc gdyby kapitan był wtedy odpowiedział: „Et, głupstwo!” i odwrócił się do mnie plecami, nie uszedłby i trzech kroków w stronę swego łóżka; ale on stał na miejscu i milczał. Teraz znów cała rzecz polegała na tym, żeby go się pozbyć, gdy już nie będzie potrzebny na pokładzie.

— „Staramy się właśnie rozpoznać, czy tamten przedmiot to łódka, czy kłoda?” — mówi kapitan do Pana Jonesa.

— Pan Jones pokazał się na pokładzie, a szedł równie niedbale jak wtedy, gdy schodził na dół. Kapitan zaczął coś bredzić o łódkach i pływających kłodach, a ja, stojąc za nim, zapytałem pana Jonesa na migi, czy nie lepiej palnąć go po łbie i spuścić cichutko za burtę. Noc mijała i musieliśmy się wynosić. Niepodobna było czekać do następnej nocy. Nie! to było wykluczone. A wie pan dlaczego?

Schomberg zaprzeczył lekkim ruchem głowy. To pytanie przeszkodziło mu, naruszając bezwład, który narzucono jego gadatliwości. Będąc zmuszonym do odgrywania roli słuchacza, pogrążył się w niej, jak człowiek pogrąży się we śnie. Pan Ricardo przybrał ton pogardliwy.

— Pan nie wie dlaczego? Nie może pan zgadnąć? Ani rusz? Otóż dlatego, że mój zwierzchnik dobrał się przez ten czas do kasy kapitana. Rozumie pan teraz?

VII

— Zwykły złodziej!

Schomberg za późno ugryzł się w język i oprzytomniał zupełnie, widząc, że Ricardo cofa wargi w kocim grymasie; ale mimo to towarzysz „zwykłego sobie Jonesa” nie zmienił wygodnej, plotkarskiej pozy.

— Terefere! A jeśli on chciał mieć z powrotem swoje pieniądze, tak jak każdy oswojony sklepikarz, rzeźnik, szynkarz albo gryzmoła? Taki plugawy żółw jak pan i to ośmiela się wyrażać swoje zdanie o panu z panów! Prawdziwego pana nie tak łatwo poznać. Nawet i ja nie zawsze potrafię. Na przykład — wtedy, tamtej nocy, zwierzchnik pogroził mi tylko palcem w odpowiedzi. Kapitan zdziwił się bardzo i przerwał swoją głupią gadaninę.

— „Co takiego? co się stało?” — pyta.

— Co się stało! Było to ni mniej ni więcej, tylko odroczenie wyroku na niego.

— „Och nie” — odpowiada mój zwierzchnik. „Pan ma zupełną słuszość. To pień — nic innego, tylko pień”.

— Ha, ha! Nazywam to odroczeniem wyroku, bo gdyby kapitan plótł dalej, musiałoby się go jednak sprzątnąć. Ledwie się mogłem opanować, bo czułem, że drogocenny czas mija. Ale jego anioł stróż natchnął go widać, żeby zamilkł i poszedł spać. Wściekałem się ze złości nad straconym czasem.

— „Dlaczego nie dał mi go pan łupnąć po głupim czerepie” — pytam.

— „Tylko bez dzikości, bez dzikości” — mówi i grozi mi palcem z największym spokojem.

— Niepodobna opisać, jak prawdziwy pan zachowuje się w takich wypadkach. Nie zniecierpliwi się nigdy. To nie uchodzi. Nigdy pan nie zobaczy go w uniesieniu — nikt po nim nic nie pozna. Dzikość jest także w złym tonie — nauczyłem się przy nim i tego, i wielu innych rzeczy. Taką mam szkołę, że nie pozna pan po mojej twarzy, czy nie dźgnę pana za chwilę — a mógłbym w mig to zrobić. Mam nóż w nogawce od spodni.

— Nieprawda! — zawołał Schomberg z niedowierzaniem.

Pan Ricardo zmienił z błyskawiczną szybkością swoją omdlewającą, leniwą pozę i schyliwszy się, odsłonił broń, podciągając lewą nogawkę. Zaledwie Schomberg zdążył zobaczyć nóż, przytroczony do bardzo włochatej nogi, gdy pan Ricardo zerwał się, tupnął aby spuścić nogawkę i wrócił do niedbalej pozy z łokciem opartym o stół.

— Poręczniej tak nosić broń, niż by się zdawało — ciągnął, patrząc w zamyśleniu w szeroko otwarte oczy Schomberga. — Dajmy na to, że w ciągu gry wybuchnie jakaś mała sprzeczka. Schyla się pan, żeby podnieść upuszczoną kartkę i, kiedy pan się pokaże spod stołu, gotów pan dźgnąć — albo z nożem w rękawie czeka pan tylko, żeby go rzucić. Albo po prostu zsuwa się pan pod stół, kiedy się zanoszą na strzelaninę. Nie uwierzy pan, jaką rzeźnię można z nożem w garści urządzić pod stołem takim tchórzliwym obdartusom, którzy knują coś złego: nie mogą zrozumieć z początku, co jest przyczyną krzyków, aż wreszcie opamiętawszy się, dają drapaka naturalnie ci, którzy mogą się ruszyć.

Róże, kwitnące na policzkach Schomberga w sąsiedztwie kasztanowatej brody, zbłądły bardzo widocznie. Ricardo z lekka zachichotał.

— Tylko bez dzikości — bez dzikości! Prawdziwy pan to rozumie. Po co się denerwować? I nigdy nie wolno się cofać. Pan z panów się nie cofa. Ja, jak się raz czego nauczę, to już na zawsze. Tak! Grywaliśmy na równinach z obdartymi pastuchami po fermach — graliśmy uczciwie, uważa pan — a potem często musieliśmy walczyć o naszą wygraną. Grywaliśmy i na wzgórzach, i w dolinach, i na brzegu morza, i na pełnym oceanie — po większej części uczciwie. Na ogół to popłaca. Zaczęło się to w Nikaragui, wtedy jak rzuciliśmy szkuner i tych głupców szukających skarbu. W kasie kapitana było wszystkiego sto dwadzieścia siedem funtów i kilka dolarów meksykańskich. Muszę przyznać, że nie bardzo się opłaca łupnąć człowieka z tyłu za takie marne pieniądze; ale ten kapitan wisiał już na włosku — nawet mój szef nie mógł potem temu zaprzeczyć.

— „Czy pan chciał wtedy dać mi do zrozumienia, że pana obchodzi jedno życie ludzkie mniej albo więcej na tej ziemi?” — spytałem go w kilka godzin po naszej ucieczce.

— „Naturalnie, że nie” — mówi.

— „No więc dlaczego mnie pan zatrzymał?”

Kradzież

Broń

Walka

— „Jest pewien poprawny sposób brania się do rzeczy. Musisz się nauczyć przyzwoitości. A przy tym po co niepotrzebne wysiłki? Trzeba tego unikać — chociażby tylko ze względu na formy”. — To się nazywa przedstawiać rzecz po pańsku — tak to rozumiem!

— O wschodzie słońca wpłynęliśmy do zatoki i ukryliśmy się, na wypadek gdyby towarzystwu polującemu na skarb zachciało się przedtem na nas zapolować. I tak się też stało, do diabła! Widzieliśmy z daleka, jak szkuner płynął z wiatrem i z pewnością dziesięć lornetek przeszukiwało morze wzdłuż i wszerz. Za moją radą szef postanowił, że poczekamy na odjazd szkunera przed wyruszeniem w dalszą drogę. Siedzieliśmy tam w tej zatoce coś około dziesięciu dni — bardzo nam było zacisznie. Ale siódmego dnia wypadło zabić człowieka — brata tego naszego Pedra. To jest szczerą prawdą, że obaj polowali na aligatory. Mieszkaliśmy w ich szalasie. I zwierchnik i ja nie umieliśmy wtedy prawie wcale *habla Español*²⁹ — rozumie pan, mówić po hiszpańsku. Wybrzeże suche, przyjemny cień, pyszne hamaki, świeże ryby, dobra zwierzyna, to było dopiero używanie. Zwierchnik rzucił im parę dolarów na początek; ale mieliśmy wrażenie, że mieszkamy u dzikich małp. Wkrótce zauważyliśmy, że coś dużo z sobą rozmawiają. Wpadła im w oko kasa, i skórzane walizki, i moja torba — miło im było popatrzeć na taki łup. Mówili pewno jeden do drugiego:

— „Z pewnością nikt się nigdy nie zgłosi po tych dwóch ludzi, którzy spadli jak z księżycy. Poderżnijmy im gardła”.

— Naturalnie! To było jasne jak słońce. W dodatku zobaczyłem, jak ten brat Pedra ostrzył za krzakiem diabelnie długi nóż i rzucał przy tym w prawo i w lewo dzikie spojrzenia, wypatrując, czy kto nie nadchodzi. Pedro stał obok niego i próbował ostrza drugiego wielkiego noża. Myśleli, że jesteśmy daleko od nich, na naszym posterunku przy ujściu rzeki, jak zwykle za dnia bywało; bo choć nie spodziewaliśmy się powrotu szkunera, ale zawsze lepiej się upewnić, a przy tym chłodniej tam było na skraju lasu, gdzie od morza szedł powiew. No i szef rzeczywiście tam się znajdował — leżał wygodnie na derce, w miejscu, skąd mógł widzieć horyzont — i tylko ja wróciłem na chwilę do szalasu, żeby wyjąć z torby trochę tytoniu. Nie odzwyczałem się jeszcze wtedy od żucia tytoniu i musiałem mieć zawsze w ustach kawał nie mniejszy od dziecinnej pięści.

Usłyszawszy to ludożercze porównanie, Schomberg mruknął cicho z obrzydzeniem: „Dajże pan spokój”. Ricardo poprawił się na krześle i spojrzał z upodobaniem na swoje wyciągnięte nogi.

— Jestem na ogół wcale³⁰ chybki w nogach. Daję słowo, zdaje mi się, że mógłbym nasypać wróblowi soli na ogon, gdybym tylko spróbował. Nie usłyszeli mnie jakoś. Przypatrywałem się tym dwóm brązowym, włochatym bestiom z odległości mniej niż dziesięciu jardów. Mieli na sobie tylko białe perkalowe spodnie podwinięte wysoko nad kolanami. Nie odzywali się wcale. Antonio przykucnął na grubych udach, zajęty pocieraniem noża o płaski kamień; Pedro oparł się o drzewko i przesuwiał wielki palec wzdłuż ostrza. Wyniosłem się ciszej niż mysz — może pan sobie wyobrazić.

— Na razie nic zwierchnikowi nie powiedziałem. Leżał na derce z głową opartą na łokciu i zdawało mi się, że nie ma ochoty, aby się do niego odzywać. Z nim tak zawsze — czasem taki poufaly że, zdaje się, będzie ci jadł z ręki — a kiedy indziej zburczy ci gorzej od diabła — ale zawsze spokojny. Prawdziwy pan, mówię panu. Nie chciało mi się zaraz go nudzić, ale ciągle miałem w oczach tych dwóch drabów, takich pochłoniętych swoimi nożami. Mieliśmy wtedy jeden rewolwer na nas dwóch — sześciostrzzałowy rewolwer szefa, ale tylko pięć komór było nabitych i nie było już wcale ładunków. Ładownica została w szufladzie, w kajucie. Wielka szkoda. A ja miałem tylko stary nóż składany — do niczego w razie jakiejś poważnej historii.

— Wieczorem siedzieliśmy we czterech przed szalasem naokoło małego ogniska i jedliśmy na wielkich liściach smażoną rybę z pieczonymi korzeniami zamiast chleba — tak jak zwykle. Zwierchnik i ja siedzieliśmy z jednej strony, a z drugiej te dwa gagatki ze skrzyżowanymi nogami; od czasu do czasu pomrukiwali jeden do drugiego coś, co nie wyglądało wcale na ludzką mowę, a oczy trzymali ciągle wbite w ziemię. Przez ostatnie trzy dni niepodobna ich było doprowadzić do spojrzenia nam w oczy. Zacząłem mówić

²⁹*habla Español* (hiszp.) — mówić po hiszpańsku. [przypis edytorski]

³⁰*wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

spokojnie do zwierzchnika, tak jak mówię do pana w tej chwili — niby to niedbale — i powiedziałem mu o wszystkim, co zauważyłem. A on w dalszym ciągu bierze na widelec kawałki ryby i kładzie je do ust, spokojnie jakby nigdy nic. To prawdziwa przyjemność mieć do czynienia z džentelmenem. Ani razu na nich nie spojrzał.

— „A teraz” — mówię, ziewając naumyślnie — „musimy nocą stać kolejno na straży, a we dnie trzymać oczy dobrze otwarte, i nie pozwolić się napaść znienacka”.

— „To doprawdy nieznośne” — mówi zwierzchnik. — „A ty jesteś w dodatku bez broni”.

— „Mam zamiar trzymać się odtąd blisko pana, jeśli pan pozwoli” — mówię.

— Kiwnął leciutko głową, obtarł palce o liście, sięgnął w tył ręką, jakby chciał po-
deprzeć się przy wstawaniu z ziemi, wyrwał rewolwer spod kurtki i wsadził kulę w sam środek piersi pana Antonia. Pan widzi, co to jest mieć do czynienia z prawdziwym panem. Żadnego kłopotu i wszystko załatwione. Ale mógł przedtem mrugnąć do mnie czy coś w tym rodzaju. O mało ze skóry nie wyskoczyłem. Przestraszony — to za mało. Nie wiedziałem nawet kto strzelił. Chwilę przedtem tak było cicho, że huk wystrzału wydał mi się najgłośniejszym hałasem, jaki kiedy w życiu słyszałem. Szanowny pan Antonio upadł głową naprzód — zawsze tak padają w stronę strzału, pan musiał to też zauważyć — więc upadł głową naprzód w rozżarzone węgle i wszystkie te włosy na jego twarzy i głowie buchnęły płomieniem jak garść prochu. Pewnie dlatego, że były tłuste; przecież ciągle wykrobywali tłuszcz ze skór aligatorów.

— Mój panie — krzyknął Schomberg tak gwałtownie, jakby usiłował zerwać jakieś niewidzialne więzy — pan chce we mnie wmówić, że to wszystko działo się naprawdę?

— Nie — odrzekł chłodno Ricardo. — Ja wymyślam to w miarę jak opowiadam, tylko po to, żeby panu uprzyjemnić najgorętsze godziny popołudnia. No więc Antonio upadł nosem wprost na czerwone węgle, a nasz piękny Pedro i ja skoczyliśmy jednocześnie do góry, jak dwa pajace z pudełka. Pedro rzucił się do ucieczki, przycisnąwszy łeb do ramienia, a ja, nie wiedząc prawie co robię, skoczyłem mu na plecy. Miałem ten rozum, że złapałem go od razu za szyję, ale wszystko, co mogłem zrobić, to zacisnąć mocno palce pod jego szczęką. Pan widział kark tego ptaszka, co? A twardy przy tym jak żelazo. Padliśmy na ziemię. Widząc to, szef kładzie rewolwer do kieszeni.

— „Panie, niech pan zwiąże mu nogi” — wrzeszczę. — „Chcę go udusić”.

— Leżało tam naokoło dużo lyka. Ścisnąłem mu jeszcze raz szyję i wstałem.

— „Byłbym cię mógł zastrzelić” — mówi zatroskany zwierzchnik.

— „Ale cieszy się pan, że nabój ocalał!” — odpowiadam.

— Mój skok zaoszczędził nam nabój. Nie można było pozwolić, aby Pedro dał drapaką w ciemność i kręcił się potem koło nas między krzakami — prawdopodobnie z tą swoją zardzewiałą strzelbą w rękę. Zwierzchnik przyznał, że mój skok był w owej chwili rzeczą najodpowiedniejszą.

— „Ale on jeszcze żyje” — mówi, schylając się nad nim.

— Równie dobrze mogłem się porwać na uduszenie wołu. Prędko związaliśmy mu z tyłu łokcie i, zanim przyszedł do siebie, przyciągnęliśmy go do małego drzewka; posadziliśmy go tam i przywiązaliśmy — nie przez pas, ale za szyję; jakieś dwadzieścia razy przeciągnąłem sznurek naokoło jego gardła — potem jeszcze przez piersi, wreszcie zrobiłem węzeł pod uchem. Następnie zajęliśmy się szanownym panem Antonio, który szerzył wielki smród, przypiekając sobie twarz na ogniu. Wyciągnęliśmy go i potoczyliśmy aż do zatoki, zostawiając resztę aligatorom.

— Byłem zmęczony. Strach jak mnie wyczerpała ta drobna utarczka. Zwierzchnik ani o włos się nie zmienił. Na tym właśnie polega wyższość wielkiego pana. Nigdy nie wyjdzie z siebie. Żaden prawdziwy pan nie wzrusza się — prawie nigdy. Zasnąłem w mig i zostawiłem go palącego papierosa przy ognisku przeze mnie rozpalonym; nogi miał owinięte pledem i siedział tak spokojnie jak w wagonie pierwszej klasy. Nie zamieniliśmy nawet dziesięciu słów po tym wszystkim i aż do dzisiejszego dnia nie mówiliśmy nigdy o tej historii. Nie byłbym wcale wiedział, że i on to pamięta, gdyby sam nie wspomniał — pamięta pan — wtedy jak mówiliście o Pedrze.

— Zdziwił się pan wówczas, prawda? Właśnie dlatego opowiadam panu jak to się stało, że Pedro włóczy się za nami jak pies — ale gdzie od psa pożyteczniejszy! Pan widział, jak

Śmierć

potrafi dreptać wokoło z tacą? No więc z równą łatwością ubiłby wołu jednym uderzeniem pięści, gdyby tylko zwierzchnik szepnął słowo. A przywiązany do szefa! Słowo daję, więcej niż jakikolwiek pies na świecie do swego pana.

Schomberg wyprężył piersi i rzekł:

— Otóż to jest właśnie jedna z kwestii, o których chciałbym powiedzieć z panem Jonesem. Niemilo mi, że ten drab kręci się tak wcześnie koło domu. Całymi godzinami wysiaduje na tylnych schodach i straszy mi ludzi, tak że obsługa na tym cierpi. Moi Chińczycy...

Ricardo kiwnął głową i podniósł rękę:

— Kiedym go zobaczył pierwszy raz, byłby mógł przestraszyć nawet osiwiałego niedźwiedzia, a coś dopiero Chińczyka. Teraz już jest cywilizowany w porównaniu z tym, co było. No więc — tamtego ranka pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, otworzywszy oczy, był właśnie Pedro siedzący pod drzewem i uwiązany do niego za szyję. Mrugał oczami. Przez cały dzień śledziłem pilnie, co się działo na morzu i wypatrzyłem rzeczywiście szkuner płynący pod wiatr; to dowodziło, że już machnęli na nas ręką. Doskonale! Kiedy znów słońce weszło, zerknąłem na naszego Pedra. Nie mrugał już. Przewracał oczami, które były raz białe, a raz czarne i wywiesił język na łokieć. Nawet diabeł usatkwiałby się z czasem, gdyby go tak krótko za szyję przywiązać. Nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że i prawdziwemu panu byłoby trudno w tych warunkach trzymać się ostro do końca. Tymczasem przygotowywaliśmy łódź do drogi. Umacniałem właśnie maszt, kiedy zwierzchnik rzucił uwagę:

— „Zdaje mi się, że on chce coś powiedzieć”.

— Słyszałem już od jakiegoś czasu coś w rodzaju krakania, tylko że nie chciałem zwracać na to uwagi; ale na te słowa wyszedłem z łodzi i zbliżyłem się do Pedra, zabrawszy trochę wody. Oczywiście miał czerwone — czerwone i czarne — wylazły mu na wierzch do połowy. Wypił wszystką wodę, którą mu dałem, ale to, czego sobie życzył, to nie było nic szczególnego. Wróciłem do szefa.

— „Prosi, żeby mu strzelić w łeb przed naszym odjazdem” — mówię. Nie podobało mi się to wcale.

— „O, to jest niemożliwe!” — mówi zwierzchnik.

— Miał rację. Zostały nam tylko cztery naboje, a mieliśmy jeszcze przed sobą dziewięćdziesiąt mil dzikim wybrzeżem przed przybyciem do miejsca, gdzie przypuszczalnie można było dostać ładunków.

— „W każdym razie” — mówię — „on prosi jak o łaskę, żeby go zabić — tak czy owak”.

— I powróciłem do umacniania masztu. Nie chciało mi się wcale zarzynać człowieka o związanych rękach i nogach, a w dodatku przywiązanego za szyję do drzewa. Miałem już wtedy nóż — nóż szanownego Antonia; i to jest właśnie ten nóż.

Ricardo klapnął się rozgłośnie po nodze.

— Pierwszy łup w moim nowym życiu — ciągnął z cierpką jowialnością — nosić go tak nisko nauczyłem się dopiero później. Wtedy nosiłem go za pasem. Nie, nie miałem serca do tej roboty; ale kiedy się pracuje z prawdziwym panem, można być pewnym, że ten zobaczy przez skórę, co człowiek czuje. Zwierzchnik odezwał się nagle:

— „Można by nawet powiedzieć, że to jest jego prawo — (po tych słowach od razu poznaje się pana) — ale co byś na to powiedział, gdybyśmy go wzięli do łodzi?”

— I szef zaczął dowodzić, że ten chłop mógłby nam być pomocny w torowaniu drogi wzdłuż wybrzeża. Moglibyśmy pozbyć się go przed przybyciem do pierwszej jako tako cywilizowanej miejscowości. Zresztą zwierzchnik nie potrzebował mnie długo przekonywać. Wylazłem z łodzi.

— „Tak, ale czy damy sobie z nim radę?”

— „Na pewno. Już jest poskromiony. No dalej, przetnij mu więzy — biorę na siebie odpowiedzialność”.

— „Słucham pana”.

— Pedro widział, że zbliżam się żwawo z nożem jego brata w ręku — nie zastanowiłem się, jakie to może zrobić wrażenie na nieuprzedzonym człowieku, rozumie pan — i, psiaakrew, o mało go to nie zabiło. Wybałuszył się na mnie jak zwariowany byk, oblał się potem i zaczął drgać całym ciałem — coś zdumiewającego. Taki byłem zdziwiony,

że przystanąłem, żeby mu się przypatrzeć. Kropłe potu spływały mu na brwi, na brodę, po nosie — i bulgotało mu w gardle. Wtedy przyszło mi na myśl, że nie mógł przecież wiedzieć, o co mi chodzi. Czy spodziewał się śmierci z naszej łaski, czy też uważał, że ma do niej prawo — to jednak wcale nie miał ochoty umierać, jak przyszło co do czego; a w każdym razie — nie chciał umierać w ten sposób. Kiedy zaszedłem z tyłu, żeby się dostać do więzów, wydał coś w rodzaju cichego ryku. Myślał pewnie, że chcę go dźgnąć z tyłu. Przeciąłem wszystkie więzy jednym pociągnięciem noża, a on buch, przewrócił się na bok i zaczął fikać związanymi nogami. Jak nie ryknę ze śmiechu — nie wiem, co w tym było takiego zabawnego, ale o mało nie pękłem. Ja się śmiałem, on się wił i trudno mi było go oswobodzić. Jak tylko poczuł, że ma nogi wolne, rusza do brzegu, gdzie stał zwierzchnik, pełnie do niego na rękach i kolanach i obejmuje mu stopy. To dopiero wdzięczność — co? Nie było wątpliwości: temu chłopu dogadzało to najzupełniej, że pozwolono mu żyć. Zwierzchnik usunął nogi łagodnie i tylko mruknął do mnie:

— „Ruszajmy. Weź go do łodzi”.

— To nie przedstawiało żadnej trudności — ciągnął Ricardo, popatrzawszy przeciągle na Schomberga. — Pedro nie bez ochoty wszedł do łodzi — i oto jest tutaj. Dla naszego zwierzchnika dałby się z uśmiechem posiekać w drobne kawałki — słyszy pan, z uśmiechem. Nie wiem, czy zrobiłby zupełnie to samo dla mnie; ale prawie, prawie zupełnie. Wprawdzie to ja go związałem i oswobodziłem, ale widział bardzo dobrze, kto z nas rozkazuje. A przy tym poczuł pana. Pies czuje pana — każdy pies. Tylko niektórzy cudzoziemcy nie czują; i nic ich tego nie nauczy.

— Więc pan chce przez to powiedzieć — rzekł Schomberg, pomijając milczeniem to, co mogło być dla niego nieprzyjemne w podkreśleniu ostatniej uwagi — pan chce powiedzieć, że pan rzucił spokojną, dobrze płatną posadę dla takiego życia?

— Tę cię czekał! — zaczął spokojnie Ricardo. — Taki człowiek jak pan nie może nic innego powiedzieć. Do tego stopnia jest pan oswojony. Ja jestem towarzyszem pana z panów. To nie jest to samo co służyć pryncypałowi, który rzuci panu pensję jak kość psu i będzie jeszcze oczekiwał od pana wdzięczności. To gorsze od niewoli. Od niewolnika kupionego za pieniądze nie oczekuje się wdzięczności. A sprzedaż swojej pracy — cóż to innego, jeśli nie sprzedaż samego siebie? Ma pan tyle a tyle dni życia i sprzedaje pan jeden po drugim. Czy nie? Kto może mi dość drogo za moje życie zapłacić? A jakże! Rzucą panu pieniądze przy końcu tygodnia i będą oczekiwać, że pan najpierw powie: dziękuję, a potem dopiero je zgarnie.

Wymruczał kilka przekleństw, wymierzonych, jak się zdaje, przeciwko pryncypałom w ogólności i wybuchnął:

— Do licha z pracą! Nie jestem psem, który chodzi na tylnych łapach, żeby kość dostać; jestem wolnym człowiekiem i towarzyszem mojego zwierzchnika. Na tym polega różnica, której pan nigdy nie zrozumie, panie Oswojony Schomberg.

Ziewnął z lekka. Schomberg zachował wojskową sztywność popartą lekkim zmarszczeniem brwi i puścił wodze myślom. Zajął się rozpamiętywaniem obrazu młodej dziewczyny — nieobecnej — dalekiej — ukradzonej. Nagle porwała go wściekłość. Tu siedzi ten łotr i patrzy na niego beczelnie. Gdyby nie uprowadzono mu dziewczyny w tak haniebny sposób, nie byłby pozwolił nikomu tak na siebie patrzeć. Od razu palnąłby pięścią tego łotra między oczy. A potem bez chwili wahania kopnąłby tego drugiego. Ujrzał to w myślach i przejął się tak bardzo wspaniałą wizją, że prawa noga i ręka drgnęły mu konwulsyjnie.

W tej samej chwili ocknął się nagle z marzeń i zauważył z niepokojem żywe zaciekanie we wzroku pana Ricarda

— Więc tak wędrujecie sobie przez świat, grając w karty — zauważył bezmyślnie, aby pokryć zmieszanie; ale wzrok Ricarda nie zmienił wyrazu, wobec czego Schomberg ciągnął niepewnie dalej:

— I tu, i tam, i ówdzie. — Opanował się i wyprężył piersi. — To chyba bardzo niepewny tryb życia? — rzekł stanowczo.

Słowo: niepewny wywołało pożądaną skutek: oczy Ricarda straciły niebezpieczny wyraz pełen zainteresowania.

— Tak źle znów nie jest — rzekł obojętnie Ricardo. — Moim zdaniem póty ludzie będą grali w karty, póki będą mieli co stawiać. Gra leży w ludzkiej naturze. A czym właściwie

Praca

wie jest życie? Człowiek nie wie nigdy, co mu się może zdarzyć. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że człowiek właściwie nigdy nie zdaje sobie sprawy, jakie karty ma sam w ręku. Co jest atutem? O to właśnie chodzi! Rozumie pan? Każdy człowiek będzie grał, jeśli mu się nastręczy sposobność — o wszystko, albo i o nic. Pan także.

— Nie tknąłem kart już od jakich lat dwudziestu — rzekł Schomberg surowym tonem.

— No no, gdyby pan kartami zarabiał na życie, nie byłby pan czymś gorszym niż teraz, kiedy pan sprzedaje ludziom trunki — wstrętne piwo i wódkę — takie to obrzydliwe, że nawet stary cap beczalby, gdyby mu to wlać do gardła. Brrr! Nie znoszę tego przekłętego spirytusu. I nie znośm nigdy. Jak tylko mnie zaleci zapach wódki z kieliszka, zaraz mdło mi się robi. Tak było zawsze. Gdyby wszyscy byli do mnie podobni, trzeba by nad spirytusem krzyżyk postawić. Pan myśli pewnie, że to jest dziwne w mężczyźnie, co?

Schomberg uczynił niewyraźny gest pobożania. Ricardo poprawił się na krześle i oparł znowu łokieć o stół.

— Francuskie syropy — o, to to lubię. W Sajgonie jest ich do licha. Widzę, że i pan ma syropy w swoim bufecie. Bodajbym zdechł, jeśli nie wyszło mi w gardle od tej rozmowy z panem. No, panie Schomberg, niechże pan będzie gościnnym, jak mówi mój zwierchnik.

Schomberg wstał i podszedł z godnością do kontuaru. Kroki jego rozlegały się głośno po froterowanej posadzce. Zdjął z półki butelkę opatrzoną etykietą: *Sirof de groseilles*³¹. Drobne hałasy wywołane przez krzątanie Schomberga — brzęk szklanki, bulgotanie płynu, trzask korka od wody sodowej — słyhać było z nadnaturalną wyrazistością. Hotelarz wrócił do stołu, niosąc różową i połyskującą szklankę. Pan Ricardo śledził jego ruchy skromnym a wyczekującym spojrzeniem ukośnych, żółtych oczu, niby kot, który się przygląda jak przygotowują dla niego spodeczek z mlekiem; a pełen błogości, cichy odgłos, który po wypiciu szklanki rozległ się gdzieś w głębi jego gardła, mógł ująć za nieco odmienny rodzaj kociego mrużenia. Uderzyło to w przykry sposób Schomberga, jako nowy przykład czegoś nieczłowieczego w tych ludziach — a z tego właśnie rysu wypływała trudność obcowania z nimi. — Widmo, kot, małpa — to ci dopiero miłe towarzystwo dla zwykłego człowieka, który musi z tym wszystkim się porać³² — rozmyślał, wzdrygając się nieznacznie; albowiem ponosiła go niejako wyobraźnia — i rozsądek nie umiał już przeciwdziałać temu fantastycznemu pogładowi na obu gości. A przy tym chodziło nie tylko o ich wygląd. Etyka pana Ricarda wydawała się Schombergowi mocno zbliżoną do etyki kota. Zanim zbliżoną. Cóż za argument mógł zwykły człowiek wysunąć w rozmowie z takim jakimś... albo też w rozmowie z widmem. Schomberg nie miał najmniejszego pojęcia o etyce, jaką rządzą się widma. To musi być coś strasznego. Na współczucie z pewnością nie ma tam miejsca. A co się tyczy małpy — każdy przecie wie, czym jest małpa. Żadnej w ogóle etyki nie posiada. Trudno o beznadziejniejszą sytuację.

Ale Schomberg nic po sobie nie pokazywał. Palił w chmurnym spokoju cygaro, które odłożył przedtem idąc przygotować napój, a teraz ujął je na powrót w grube palce ozdobione złotym pierścieniem. Naprzeciw niego Ricardo mrugał z wolna czas jakiś, aż wreszcie zamknął oczy ze spokojem domowego kota drzemącego na dywanie przed kominkiem. W chwilę potem rozwarł szeroko powieki i wydawał się bardzo zdziwionym obecnością Schomberga.

— Nie ma pan dziś nic do roboty, co? — zauważył. — Ale też i całe to miasto jest przekłęcie rozlazłe; nigdy przedtem nie widziałem przy stoliku równie rozlazłego towarzystwa. Ledwie minie jedenasta, zaraz mówią o rozchodzeniu się. Cóż to ma znaczyć? Kładą się tak wcześnie spać, czy co takiego?

— Przypuszczam, że nie tracicie majątku przez to, że chodzą wcześnie spać — rzekł Schomberg z ponurym sarkazmem.

— Nie — przyznał Ricardo z uśmiechem, który rozciągnął cienkie jego wargi od ucha do ucha, pokazując w nagłym błysku białe zęby. — Tylko widzi pan, kiedy już raz zacznę, to bym grał o orzechy, o groch pieczony, o wszelakie śmiecie. Grałbym z nimi

Alkohol

Kot

Gra, Ambicja

³¹*Sirof de groseilles* (fr.) — syrop porzeczkowy. [przypis edytorski]

³²*porać się* (daw.) — zmagać się. [przypis edytorski]

o ich dusze. Ale ci Holendrzy są do niczego. Mam wrażenie, że nigdy się porządnie nie rozgrzeją — czy wygrają, czy przegrają. Próbowalem już z nimi i tak i owak. Niech diabli wezmą tę żebraczą, bezkrwistą bandę!

— A gdyby się zdarzyło coś niezwykłego, z taką samą zimną krwią wzięliby pod klucz i pana i tego Pańskiego dżentelmena — warknął niemile Schomberg.

— Doprawdy! — rzekł z wolna Ricardo, mierząc oczami Schomberga. — A co by pan na to powiedział?

— Przechwalać się to pan umie — wybuchnął hotelarz. — Mówi pan o wędrówkach po całym świecie, i o wielkich czynach, i o braniu losu za łeb, ale naprawdę to siedzicie tu i babrzecie się w nędznej szulercie!

— Niewiele ma się z tego, to prawda — przyznał nieoczekiwanie Ricardo.

Schomberg aż się zaczerwienił z zuchwalstwa.

— Ja to nazywam poniżeniem — wykrztusił.

— Tak to wygląda. Nie mogę tego nazwać inaczej. — Ricardo zdawał się być w pojednawczym usposobieniu. — Sam bym się wstydził, tylko widzi pan, szef miewa takie ataki —

— Ataki! — zawołał Schomberg cichym głosem. — Co też pan mówi! — Triumfował w duchu, jak gdyby to odkrycie zmniejszyło trudność położenia. — Ataki! To pewno poważna rzecz, co? Powinien pan oddać go do cywilnego szpitala — to bardzo miły zakład.

Ricardo kiwnął z lekka głową i uśmiechnął się słabo.

— Dosyć poważna rzecz. Nazywam to regularnymi atakami lenistwa. Od czasu do czasu zwierzchnik osuwa się na mnie bezwładnie i nie ma sposobu, aby go poruszyć. Jeżeli pan myśli, że ja to lubię, to się pan grubo myli. Na ogół umiem mu wyperswadować dużo rzeczy. Wiem dobrze, jak postępować z prawdziwym panem. Nie jestem niewolnikiem za chleb powszedni. Ale kiedy mi powie: „Marcinie, nudzę się” — wówczas wszystko przepadło! Nie pozostaje mi nic tylko przywarować — do diabła z tym wszystkim!

Schomberg, bardzo zgnębiony, słuchał z otwartymi ustami.

— Ale skąd się to bierze? Dlaczego on jest taki? Nie rozumiem.

— A mnie się zdaje, że rozumiem — rzekł Ricardo. — Otóż — pan z panów nie jest takim prostym stworzeniem jak pan albo ja i nie tak łatwo nim powodować³³. Gdybym tylko miał coś, czym bym mógł ruszyć go z miejsca!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — mruknął beznadziejnie Schomberg.

Ta tępota zniecierpliwiła Ricarda.

— Czy pan nie rozumiesz po angielsku? Słuchajże pan. Nie mógłbym przecież poruszyć tego bilardu, nawet gdybym mówił do niego aż do końca świata — prawda? No więc z moim szefem jest to samo, kiedy dostanie ataku. Nudzi się. Nic go nie obchodzi, niczego mu się nie chce. Ale gdybym zobaczył leżącą tu gdzie sztabę od kabestanu³⁴, prędko bym przesunął ten pański bilard o dobrych kilka cali. Ot i wszystko.

Wstał z miejsca bez szelestu, przeciągnął się giętko i cicho — przy czym wykręcił dziwacznie w bok głowę, a krępe jego ciało niespodzianie się wydłużyło — spojrzał z ukosa w stronę drzwi i wreszcie oparł się o stół, skrzyżowawszy ramiona na piersiach w najzupełniej ludzkiej postawie.

— Jest jeszcze jedna rzecz, po której można poznać pana: to kapryśny charakter. Prawdziwy pan od nikogo nie zależy, tak jak włóczęga na drodze. Jest panem swego czasu. Raz dostał zwierzchnik takiego ataku w górskiej mieścinie meksykańskiej, w zapadłym kącie kraju. Leżał przez cały dzień w ciemnym pokoju.

— Pijany? — To słowo wymknęło się Schombergowi niebacznie; zaniepokoił się tym bardzo. Ale przywiązany sekretarz uznał najwidoczniej pytanie za zupełnie naturalne.

— Nie, to się nigdy nie zdarza razem z takim atakiem. Więc szef leżał jak długi na macie, a obszarpany, bosi chłopiec, którego znalazł na ulicy, siedział w patio między dwoma oleandrami blisko otwartych drzwi pokoju i brzdąkał na gitarze, śpiewając mu *tristes*³⁵ od rana do wieczora. Pan wie, *tristes* — twang, twang, twang, au, hu! Chru, yah!

Lenistwo, Choroba

Melancholia

Muzyka

³³powodować (daw.) — kierować. [przypis edytorski]

³⁴kabestan — wciągarka o bębnie ustawionym pionowo; urządzenie służące na statku do wciągania na pokład cum, łańcuchów kotwicznych, napinania lin itp. [przypis edytorski]

³⁵*tristes* (hiszp.) — smutne; tu: smutne utwory muzyczne. [przypis edytorski]

Znękany Schomberg podniósł ręce do uszu. Ten hołd zdawał się pochlebiać Ricardowi. Usta jego skrzywiły się ponuro.

— Coś w tym rodzaju. Przecież nawet struś dostałby niestrawności, no nie? Okropność. Była tam kucharka, która kochała się we mnie — stara, tłusta murzynka w okularach. Chowalem się w kuchni i naciągałem ją, żeby robiła mi *dulces*³⁶ — rozumie pan, słodczyce, przeważnie z jaj i cukru — i tak zabijało się czas. Łasy jestem na słodczyce jak dziecko. Ach prawda, panie Schomberg, dlaczego nie daje pan nigdy puddinga³⁷ przy tablydocie³⁸? Nic tylko ciągle owoce — rano, w południe, wieczorem. To obrzydliwe! Za co pan nas bierze — za osy?

Schomberg pominął milczeniem obrażony ton Ricarda.

— A długo trwał ten — jak go pan nazywa — atak? — spytał niespokojnie.

— Tygodnie, miesiące, lata, wieki — tak mi się zdawało — odparł z przejęciem pan Ricardo. — Wieczorem zwierzchnik przechodził do sali i tam marnował czas na graniu w karty z tamtejszym *juezem*³⁹ — małym Hiszpanem o czarnych faworytach⁴⁰ — grali o grosze w *écarté* — pan wie, to taka prędką gra francuska. A *comandante*⁴¹, jednooki metys o płaskim nosie, i ja musieliśmy stać za nimi i stawiać na ich grę! To było okropne.

— Okropne — zawtórował Schomberg gardłowym, teutońskim tonem pełnym rozpaczy. — Słuchaj pan, potrzebuję waszych pokoi.

— I pewnie. Myślałem już o tym niedawno — rzekł obojętnie Ricardo.

— Miałem bzika, słuchając tych pańskich bredni. To się musi skończyć.

— Zdaje mi się, że pan ma wciąż jeszcze bzika — rzekł Ricardo, nie rozplatając ramion i nie zmieniając pozy ani na jotę. — Zniżył głos i dodał: — A gdybym przypuszczał, że pan chodził na policję, kazałbym Pedrowi złapać pana wpół i złamać panu tłusty kark: wystarczy szarpnąć głowę w tył — trach! Widziałem jak to zrobił wielkiemu, chwackiemu Murzynowi, który machał brzytwą pod nosem naszego szefa. To nic trudnego. Słyszysz się cichy chrzęst — i po wszystkim — człowiek osuwa się jak obwisły gałgan.

Ricardo stał nieruchomo i nawet jego głowa, przechylona lekko na lewe ramię, nie poruszyła się wcale; ale gdy przestał mówić, zielonawe jego źrenice, które spoglądały przez drzwi, przesunęły się w kąciaki oczu i utkwily w Schombergu z wyrazem skromnym i pełnym lubości.

VIII

Schomberg poczuł, że opuszcza go już i rozpacz, ten nędzny surogat odwagi. Dotknęła go nie tyle groźba śmierci, co dziwaczny sposób wypowiedzenia tej groźby. Byłby potrafił znieść zwykłe: „Zabiję cię!”, choćby jak najszczersze i wyrzeczone najdzikszy tonem, ale że wyobrażenia jego była wrażliwa na rzeczy niezwykle, załamał się zupełnie wobec tych niesłychanych słów i postępów. Miał wrażenie, że naprawdę złamano mu kark moralnie — trach!

— Na policję? Naturalnie że nie poszedłem. Ani mi się śniło. A teraz już za późno. Dałem się wciągnąć w to wszystko. Wymusiliście na mnie pozwolenie, kiedy nie byłem sobą. Już wam o tym wtedy mówiłem.

Oczy Ricarda ześlizgnęły się powoli z Schomberga i spojrzały gdzieś w przestrzeń.

— Aha. Jakaś historia z dziewczyną. Ale to nas nic nie obchodzi.

— Naturalnie. Ale pytam skąd te dzikie pogrożki? — Nasunął mu się trafny argument: — To niesłychane! Gdybym był taki głupi, żeby teraz pójść na policję, to nie mam nawet przeciw wam żadnego poważnego zarzutu. Dostalibyście co najwyżej deportację. Wsadziliby was na pierwszy lepszy parowiec, dążący na zachód do Singapuru. — Ożywił się. — I poszlibyście stąd precz do diabła — dodał przez zęby dla własnej satysfakcji.

Ricardo nic na to nie odpowiedział i żadnym znakiem nie zdradził, że słyszał choć jedno słowo. Rozczarowało to Schomberga, który podniósł na niego oczy z pewną otuchą.

³⁶*dulces* (hiszp.) — słodczyce. [przypis edytorski]

³⁷*pudding* — angielski deser o konsystencji gęstego budyniu lub miękkiego ciasta. [przypis edytorski]

³⁸*tablydot* — zniekształcone fr. *table-d'hôte*: menu proponujące parudaniowy posiłek w kilku wariantach. [przypis edytorski]

³⁹*juez* (hiszp.) — sędzia. [przypis edytorski]

⁴⁰*faworyty* (daw.) — bokobrody. [przypis edytorski]

⁴¹*comandante* (hiszp.) — komendant. [przypis edytorski]

— Dlaczego uparliście się tu siedzieć? — zawołał. — Nie opłaci się wam nabierać tutejszych ludzi. Przed chwilą martwił się pan, że nie ma sposobu, żeby pańskiego szefa stąd ruszyć; no więc policja go ruszy, a z Singapuru pojedziecie na wschodnie wybrzeże Afryki.

— Niech mnie powiesz, jeśli ten ptaszek nie zamierza spłacać nam głupiego figla! — odezwał się Ricardo złowieszczym tonem, który przywołał Schomberga do rzeczywistości.

— Nie, nie! — zaprzeczył. — Ja tylko tak sobie mówię. Naturalnie, że nie zrobiłbym tego.

— Zdaje mi się, że ta historia z dziewczyną doprawdy pomieszała panu w głowie, panie Schomberg. — Niech mi pan wierzy, lepiej być z nami w zgodzie — deportacja, deportacja, a wkrótce zobaczy pan, co się stanie: zjawi się jeden z nas i odpłaci panu za brzydki kawał, który pan knuje w tym swoim tłustym łbie.

— *Gott im Himmel*⁴²! — jęknął Schomberg. — Czy nic go stąd nie wysadzi? Czy zostanie tu *immer*⁴³ — chciałem powiedzieć — zawsze? A gdybym tak panu obiecał jakąś porządną nagrodę, czy by pan nie mógł...

— Nie — przerwał Ricardo. — Nie mogę; chyba bym znalazł coś takiego, co mogłoby go poruszyć. Już to panu mówiłem.

— Jakąś przynętę? — mruknął Schomberg.

— Aha. Wschodnie wybrzeże Afryki — to za mało. Mówił mi parę dni temu, że wybrzeże poczeka na niego, póki nie będzie gotów; a może nie być gotów jeszcze przez długi czas, bo wschodnie wybrzeże nie ucieknie i nie znajdzie się nikt, kto by je porwał.

Te uwagi — czy uznamy je za pewniki, czy też za obraz duchowego stanu pana Jonesa — były wybitnie zniechęcające dla znękanego Schomberga; ale dużo jest prawdy w znanym powiedzeniu, że najciemniejsza godzina wypada przed świtem. Dźwięk słów, nawet bez względu na treść, ma swoją siłę; a słowo: „porwał” pozostawało w bliskim pokrewieństwie z myślą, która prześladowała Schomberga. Ta myśl tkwiła zawsze w jego mózgu, a teraz wypłynęła na wierzch, pobudzona wyrażeniem użytym przypadkowo przez Ricarda. Nie, nikt nie mógł porwać kontynentu; za to Heyst porwał dziewczynę!

Ricardo nie miał pojęcia, dlaczego wyraz twarzy Schomberga się zmienił. Ale zmiana ta była wyraźna i zainteresowała Ricarda tak bardzo, że przestał machać niedbale nogą. Rzekł, patrząc na hotelarza:

— Nie warto odpowiadać na takie gadanie — prawda?

Schomberg nie słuchał go.

— Mogłbym naprowadzić pana na inny ślad — rzekł z wolna i urwał, jak gdyby go chwyciło za gardło złowrogie wzruszenie, wywołane przez gwałtowną żądzę a zarazem strach przed niepowodzeniem. Ricardo czekał uważnie, jednak nie bez pewnej pogardy.

— Na ślad człowieka! — wybuchnął konwulsyjnie Schomberg i zamilkł znów, zaśluchany w podszepty wściekłości i sumienia.

— Człowieka na księżycu, co? — mruknął szyderczo Ricardo.

Schomberg potrząsnął głową.

— Tego człowieka, o którym mówię, moglibyście oskubać prawie równie bezpiecznie, jak gdyby był człowiekiem z księżyca. Spróbujcie. On nie mieszka bardzo daleko.

Schomberg rozważał sytuację. Ci ludzie to byli nie tylko szulerzy, ale złodzieje i mordercy. Nadawali się wprost przerażająco na wykonawców zemsty. Ale Schomberg wołał w szczególności nie wglądać. Postanowił krótko, że odpłaci za wszystko Heystowi, a zarazem uwolni się od tyranii tych łotrów. Teraz należało tylko puścić cugle wrodzonej zdolności do skandalicznego obgadywania bliźnich. A w tym wypadku wielką jego wprawę w tej dziedzinie poparłaby jeszcze nienawiść, która, podobnie jak miłość, ma swoją wymowę. Z największą swobodą zaczął rysować portret Heysta przed Ricardem, który słuchał teraz uważnie — Heysta, tuczącego się całe lata grabieżą prywatnego i publicznego mienia, mordercę Morrisona, oszusta akcjonariuszy, indywiduum łączące w sobie dziwacznie przebiegłość i bezwstyd, głęboką chytrość i zwykłe podłostki, tajemniczość i płytkość. Schomberg odżył, popisując się wrodzonym talentem, rumieńce wróciły na jego twarz,

⁴²*Gott im Himmel* (niem.) — Bóg w niebie! [przypis edytorski]

⁴³*immer* (niem.) — zawsze. [przypis edytorski]

perorował wymownie, z zapalem, uwydatniając swą męskość przez wojskowy sposób bycia.

— Oto jego historia. Widywano go przez całe lata, jak kręcił się w tych okolicach, wężąc za cudzymi interesami; ale ja jeden jedyny przejrzałem od samego początku co to za marny, fałszywy, niebezpieczny nicpoń.

— Doprawdy niebezpieczny?

Schomberg przyszedł do siebie na dźwięk głosu Ricarda.

— Pan mnie przecież rozumie — rzekł niespokojnie. — Łgarz, krętacz, lizus, arogancki łotr o gładkim obejściu. Nie ma w nim za grosz szczerości.

Pan Ricardo odsunął się od stołu i zaczął krążyć ukośnie po pokoju czającym się, bezgłośnie krokiem. Przechodząc obok Schomberga, błysnął ku niemu uśmiechem i warknął:

— Ach! Hm!

— Na co panu większe niebezpieczeństwo? — dowodził Schomberg. — Zdaje mi się, że w każdym razie to nie jest człowiek zdolny do walki — dodał niedbale.

— I pan mówi, że on tam mieszka sam jeden?

— Jak człowiek na księżycu — odrzekł natychmiast Schomberg. — Nikogo na świecie nie obchodzi ani trochę, co się z nim stanie. Przyczaił się teraz, rozumie pan — razem z tymi wszystkimi łupami.

— Z łupami? A dlaczego nie zabrał się z nimi do kraju? — spytał Ricardo.

Giermek „zwykłego sobie Jonesa” zaczynał myśleć, że to jest jednak sprawa, którą warto rozpatrzyć. A dążył do zbadania prawdy w sposób właściwy także ludziom o zdrowszej etyce i czystszych zamiarach: kierował się własnymi doświadczeniami i uprzedzeniami. Fakty bowiem, jakimkolwiek jest ich pochodzenie (a Bóg tylko wie skąd się biorą) mogą być sprawdzone jedynie w świetle naszego własnego krytycyzmu. Ricardo odnosił się niedowierzająco do wszystkiego naokół. A Schomberg — taka jest krzepiąca siła, płynąca z odzyskania szacunku dla samego siebie — Schomberg odparł nieustraszenie:

— Do kraju? A dlaczego wy nie wracacie do kraju? Z tego, co pan opowiada, widać że musieliście uzbierać sobie niezły trzos, ogrywając ludzi na wszystkie strony. Powinno by to wam już wystarczyć.

Ricardo przystanął i spojrzał ze zdumieniem na Schomberga.

— Pan uważa się pewno za bardzo mądrego, co? — zapytał.

Schomberg był w tej chwili tak przeświadczony o swej mądrości, że to ironiczne warknięcie nie dotknęło go wcale. Uśmiech igrał w jego szlachetnej teutońskiej brodzie — pierwszy uśmiech od całych tygodni. Czuł, że szczęście mu sprzyja.

— Skąd pan może wiedzieć, że on nie chciał wrócić do kraju? Otóż właśnie, że jechał do kraju.

— A skąd ja mogę wiedzieć, czy pan się nie bawi w zawracanie mi głowy głupimi bajkami? — przerwał mu szorstko Ricardo. — Dziwię się sam sobie, że słucham jeszcze tych bredni!

Schomberg zniósł niewzruszenie ten wybuch. Choć nie odznaczał się wielką przenikliwością, zauważył jednak, że zdołał obudzić w piersi Ricarda jakieś uczucie — może uczucie chciwości.

— Nie chce mi pan wierzyć? No więc może pan zapytać pierwszego lepszego z gości, co tu przychodzą, czy ten — ten Szwed nie zajechał tu do mnie w drodze do kraju. Po cóż by innego tu się znalazł? Może pan zapytać, kogo pan chce.

— Aha, zapytać! — odparł tamten. — To się akurat po mnie pokaże, żebym wypytywał tu i tam o człowieka, na którego mam chrapkę! Taka robota musi się robić po cichu — albo wcale.

Szczególny ton ostatniego zdania dotknął zimnym dreszczem karku Schomberga. Chrząknął z lekka i spojrzał w bok, jak gdyby usłyszał coś nieestosownego. Potem zaczął z nagłym rozpędem:

— Naturalnie, że mi się z tym nie zwierzał. Trudno byłoby się tego spodziewać. Ale mam przecież oczy! I trochę zdrowego rozsądku. Umiejętne przejrzenie człowieka na wskroś. Najlepszym dowodem jest właśnie to, że był u Tesmanów. Po cóż by chodził do Tesmanów dwa dni z rzędu, co? Może pan wie? Może mi pan wyjaśni!

Schomberg przeczekał uprzejmie, aż Ricardo skończy wymyślać mu od wstrętnych plotkarzy i ciągnął dalej:

— Nie chodzi się do banku w godzinach urzędowych na pogawędkę o pogodzie dwa dni z rzędu. Więc po co chodził? Załatwić z nim rachunki jednego dnia, a wziąć pieniądze drugiego! Jasne, co?

Ricardo zbliżył się do Schomberga z wolna, po swojemu, patrząc w inną stronę.

— Żeby wziąć pieniądze? — zamruczał jak kot.

— *Gewiss*⁴⁴ — uciał Schomberg z wyniosłą niecierpliwością. — Po cóż by innego? To znaczy, żeby wziąć tylko te pieniądze, które miał u Tesmanów. Ile zakopał, czy schował na wyspie, czort jeden wie. Niech pan tylko pomyśli o kupach pieniędzy, które przeszły przez ręce tego człowieka — na pensję, na zapasy i tak dalej — mówię panu, to jest chytry złodziej. — Nieruchome spojrzenie Ricarda zbiło go z tropu i dodał zmieszonym tonem: — Mówię, że to pospolity, marny złodziej bez żadnego znaczenia. A w dodatku nazywa siebie szwedzkim baronem! Tfu!

— Tak? Jest baronem? Ta zagraniczna szlachta to nic szczególnego — oświadczył poważnie pan Ricardo. — No i cóż jeszcze? Włóczył się w tych okolicach...

— Tak, włóczył się — rzekł Schomberg, krzywiąc usta. — Włóczył się. — Otóż to właśnie. Włóczył...

Głos mu zamarł. Ciekawość odmalowała się na twarzy Ricarda.

— Tak sobie po prostu — bez celu? A potem zabrał się i pojechał z powrotem na tę wyspę?

— I pojechał z powrotem na tę wyspę — odrzekł jak echo Schomberg, patrząc martwo w podłogę.

— Co panu jest? — spytał Ricardo z prawdziwym zdumieniem. — Co to znaczy?

Schomberg, nie podnosząc oczu, uczynił niecierpliwy ruch ręką. Twarz jego była purpurowa; trzymał ją wciąż spuszczoną. Ricardo wrócił do poprzedniego tematu.

— No dobrze, ale jak pan to wytłumaczy? — Z jakiego powodu? Po cóż wrócił na tę wyspę?

— Na miodowe miesiące! — wypułł ze złością Schomberg.

I siedząc zupełnie spokojnie ze spuszczonymi oczami, nagle, bez żadnego wstępnego ruchu, palnął pięścią w stół. Ricardo, wcale na to nie przygotowany, skoczył w bok. I dopiero wtedy Schomberg spojrzał w górę tępym, mściwym wzrokiem.

Ricardo patrzył na niego przez chwilę nieruchomo, potem zakręcił się na pięcie, doszedł do końca pokoju, wrócił żwawo i wymruczał głębokie: „Oho!” nad nieruchomą głową Schomberga. Ze hotelarz był zdolny do wielkich wysiłków duchowych, dowiódł tego stopniowy jego powrót do surowej postawy rezerwowego oficera.

— Oho! — powtórzył Ricardo jeszcze wolniej niż przedtem, jak gdyby zbadawszy i oceniwszy położenie. — Czemuż pana o to zapytałem! Wolałbym, żeby to było kłamstwo, co mi pan powiedział. Nie podoba mi się wcale, że kobieta wpłątana jest w tę sprawę. Jak ona wygląda? Czy to właśnie ta dziewczyna, która...

— Przestań pan! — mruknął Schomberg, godny politowania pod maską sztywnego wojskowego obejścia.

— Oho! — wymówił po raz trzeci Ricardo, coraz lepiej uświadomiony co do uczuć Schomberga i coraz bardziej skłopotany. — Nawet mówić o tym przy panu nie można — tak źle z panem? A jednak załóżę się, że ona wcale takim cudem nie jest.

Schomberg machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie wie i że go to nic nie obchodzi. Potem wyprężył piersi i zmarszczył się, patrząc w próżnię.

— Szwedzki baron, hm — ciągnął Ricardo w zamyśleniu. — Chyba szef uzna, że ten interes zasługuje na uwagę — wcale, wcale! — jeśli mu to wszystko odpowiednio przedstawię. Mój zwierzchnik lubi takie pojedynki, jeśli to można tak nazwać — tylko że nie znam człowieka, który by mógł stawić mu czoło. Czy pan widział kiedy kota bawiącego się z myszą? To ładny widok.

Ricardo o pożądliwie błyszczących oczach i skromnym wyrazie przypominał tak żywo kota, że Schomberg byłby odczuł w całej pełni niepokój osaczonej myszy, gdyby inne uczucia nie zawładnęły jego sercem.

Nacjonalizm

Kobieta

⁴⁴*Gewiss* (niem.) — wiadomo. [przypis edytorski]

— Między nami nie ma miejsca na kłamstwo — wyrzekł spokojniej, niż się sam po sobie spodziewał.

— No i cóż teraz będzie? Szeff unika kobiet. W tym meksykańskim miasteczku, gdzie osiedliśmy na mieliźnie, że się tak wyrażę — chodziłem wieczorem na tańce. I tamtejsze dziewczęta wypytywały mnie zawsze, czy ten angielski *caballero*⁴⁵ mieszkający w posada to przebrany mnich — albo czy ślubował przed *Santissima Madre*⁴⁶, że nie przemówi nigdy do kobiety — albo czy... — Może pan sobie wyobrazić, co takie dziewczyny wygadują, kiedy rozpuszczają jęzory; a to mnie złościło. Tak, szeff unika zetknięcia z kobietami.

— Ale z jedną jedyną kobietą? — wtrącił Schomberg gardłowym tonem.

— Czasem z jedną gorzej mieć do czynienia niż na przykład z dwustoma. Jak gdzie jest dużo kobiet, może pan na nie nie patrzeć, jeżeli pan nie chce; ale niech pan wejdzie do pokoju, gdzie jest jedna jedyna kobieta, młoda czy stara, ładna czy brzydka, musi pan na nią spojrzeć! I, jeśli pan nie zacznie się do niej przystawiać, wówczas — w tym to szeff ma rację — wówczas kobieta może tylko przeszkadzać.

— Po cóż zwracać na nie uwagę — mruknął Schomberg. — Cóż one mogą zrobić?

— Mogą narobić hałasu, jeśli nie czegoś gorszego — zawyrokował krótko pan Ricardo z niesmakiem człowieka, którego droga jest drogą spokoju; gdyż nie ma zaiste nic wstrętniejszego od hałasu, kiedy człowiek jest pochłonięty ważną partią kart. — Hałasu mogą narobić, braciszku — ciągnął gwałtownie — przekłętego wrzasku o to albo o tamto, a w takim harmidrze nie czuję się wcale lepiej niż mój szeff. Ale z nim to jeszcze inna sprawa. On w ogóle kobiet nie znosi.

Zamilkł, aby się zastanowić nad tym psychologicznym fenomenem i, ponieważ nie było pod ręką filozofa, który by mu powiedział, że nie ma silnego uczucia bez podkładu trwogi, tak jak nie ma prawdziwej religii bez źdźbła fetyszyzmu, więc wypowiedział swoją własną konkluzję, która jednakże nie wyczerpywała kwestii.

— Bodajbym zdechł, jeśli kobiety nie są dla niego tym samym, czym dla mnie alkohol! Brandy — brrr!

Zrobił minę pełną obrzydzenia i wstrząsnął się nieudanym⁴⁷ dreszczem. Schomberg słuchał zdumiony. Wychodziło na to, że właśnie łajdactwo tego — tego Szweda roztaczało nad nim opiekę, ponieważ łup jego niegodziwości stawał jako zaporę pomiędzy złodziejem a karą.

— Tak, tak, stary capie — przerwał milczenie Ricardo, popatrzywszy z pewnego rodzaju współczuciem na nieme zgnębienie Schomberga. — Nie zdaje mi się, żeby ten kawał się udał.

— Ależ to idiotyzm — szepnął mężczyzna, któremu czyjaś oburzająca i niezrozumiała idiosynkrazja miała uniemożliwić zemstę już, zdawało się, tak bliską.

— Niech się pan nie porywa na sądzenie pana z panów — ostrzegł Ricardo Schomberga tonem markotnym a łagodnym. — Nawet i ja nie zawsze mogę szefa zrozumieć. A ja jestem Anglikiem i jego towarzyszem. Nie; nie myślę, żeby warto było tę kwestię z nim wszczynać, choć obrzydło mi już do gruntu siedzenie tutaj.

Pobyt w hotelu nie mógł Ricardowi bardziej obrzydzieć niż Schombergowi patrzeć na tych dwóch gości. Hotelarz wierzył tak głęboko w rzeczywistość postaci Heysta, stworzonej za pomocą swoich fałszywych wniosków, swojej nienawiści i swego zamięłowania do plotek, że w rozstrzygającej tej chwili nie zdołał powstrzymać okrzyku szczerzego przekonania, równie szczerego jak większość przekonań — tych zamaskowanych sług naszych namiętności.

— Podług mnie to byłoby zupełnie to samo, co pójść i zabrać bryłę złota ważącą z tysiąc funtów⁴⁸, albo dwa, albo trzy tysiące. Żadnego kłopotu, żadnego —

— A spódnica to nie kłopot? — wtrącił Ricardo.

Zaczął znów krążyć bezgłośnie po pokoju, a w jego kocich, skradających się ruchach można było dopatrzeć się teraz pewnego podniecenia w rodzaju tego, które ujawnia przed skokiem dzikie zwierzę z gatunku kotów. Schomberg nic nie widział. Byłoby go to zapewne podniosło na duchu, ale wołał w ogóle na Ricarda nie patrzeć. Za to Ricardo

Kobieta

Pokusa

⁴⁵*caballero* (hiszp.) — kawaler. [przypis edytorski]

⁴⁶*Santissima Madre* (hiszp.) — Najświętsza Matka (Maryja). [przypis edytorski]

⁴⁷*nieudany* — tu: nie udawany. [przypis edytorski]

⁴⁸*funt* — dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

musnął Schomberga ukośnym, niespokojnym spojrzeniem i zauważył gorzki uśmiech na jego obrośniętych wargach — niezawodny uśmiech straconej nadziei.

— Ależ z pana zawzięty chłop — rzekł, zatrzymując się na chwilę z wyrazem zainteresowania. — Do licha, nie widziałem nigdy na ludzkiej twarzy takiego zawodu. Założę się, że gdyby pan tylko mógł, posłałby pan im zaraz czarną zarazę na tę wyspę, no nie? Co takiego? Zaraza jeszcze dla nich za dobra? Ha, ha, ha!

Pochylił się, aby spojrzeć na Schomberga, który siedział bez ruchu z kamiennym wzrokiem i twarzą nieruchomą i był najwidoczniej nieczuły na drapiące szyderstwo tego śmiechu, rozlegającego się tuż przy jego mięsistym, czerwonym uchu.

— Czarna zaraza za dobra dla nich, ha, ha! — Ricardo obracał sztylet w ranie nie-szczęśnika. Schomberg uparcie trzymał oczy spuszczone.

— Nie życzę nic złego dziewczynie — mruknął.

Przecież uciekła od pana? Nabrała pana porządnie, nie ma co!

— Diabli wiedzą, czego ten podły Szwed jej zadał — co jej obiecał, jak ją nastraszył. Wiem, że nie mógł jej się podobać. — Próżność Schomberga trzymała się mocno wiary w jakieś okrutne, niezwykle, uwodzicielskie praktyki Heysta. — Niech pan pamięta, jak urzekł tego biednego Morrisona — mruknął.

— Aha, Morrisona — obdarł go z pieniędzy, co?

— Tak — i z życia.

— To straszny człowiek, ten szwedzki baron! Jak się do niego dobrać?

Schomberg wybuchnął:

— Trzech na jednego! Czy strach pana wstrzymuje? A może pan chce wziąć ode mnie list polecający?

— Popatrz pan w lustro — rzekł spokojnie Ricardo. — Niech mnie powiesz, jeśli pan zaraz nie dostanie jakiegoś ataku. I to jest człowiek, który mówi, że kobiety nie mogą nic zrobić! Już ta jedna dla pana wystarczy, jeżeli pan nie potrafi jej zapomnieć.

— Chciałbym ją zapomnieć — przyznał poważnie Schomberg. — A wszystkiego narobił ten Szwed. Bardzo źle śpiam, panie Ricardo. I jeszcze na dobitkę wyście się zjawili... jakbym i tak już nie miał dosyć.

— To panu dobrze zrobiło — wygłosił sekretarz z ironiczną powagą. — Oderwało pańskie myśli od tego głupiego zmartwienia. Doprawdy — w pańskim wieku!

Zamilkł, niby zdjęty litością, i rzekł odmiennym tonem:

— Chciałbym rzeczywiście panu pomóc, gdyby można jednocześnie zrobić na tym interes.

— I to dobry interes — powtórzył Schomberg jakby machinalnie. W prostocie ducha nie był w stanie porzucić myśli, która zagnieździła się w jego głowie. Myśl można wypędzić tylko przez inną myśl, a o myśli niełatwo było u Schomberga, dlatego też odznaczały się uporczywością. — Brzęczące złoto — szepnął z pewnego rodzaju żalem.

To wyraziste zestawienie słów nie pozostało bez niejakiego wpływu na Ricarda. Obaj ci ludzie ulegali wpływowi słów. Sekretarz „zwykłego sobie Jonesa” westchnął i szepnął:

— Tak. Ale jak się do niego dostać?

— Jest was trzech na jednego, więc przypuszczam, że zabralibyście łup bez trudu.

— Powiedziałby kto, że ten człowiek mieszka tuż obok — warknął niecierpliwie Ricardo. — Do licha, czy pan nie rozumie zwykłego zapytania? Którędy droga do niego!

Schomberg zdawał się powracać do życia.

— Którędy droga?

Zawiedzione jego nadzieje, spoczywające w odrętwieniu pod warstwą zmiennych nastrojów, zaczęły ożywać na nowo, pobudzone słowami Ricarda wypowiedzianymi ze szczególnym naciskiem.

— Droga prowadzi naturalnie przez wodę — rzekł hotelarz. — Cóż to znaczy — dla takich ludzi jak wy — spędzić trzy dni w dużej, porządnej łodzi. To po prostu niewielki spacer, pewna rozmaitość. O tej porze roku Morze Jawajskie jest spokojne jak staw. Mam doskonałą, bezpieczną łódź — na trzydzieści osób, a nie na trzy osoby — łódź ratunkową ze statku; dziecko by sobie z nią poradziło. Nawet twarze nie zmokłyby wam o tej porze roku. To byłaby doprawdy wycieczka dla przyjemności.

— A jednak, mając tę łódź, nie ścigał pan ani jej, ani jego? To bardzo pięknie, jak na zawiedzionego kochanka!

Kobieta

Schomberg drgnął na te słowa.

— Ja nie jestem trzema mężczyznami, tylko jednym — rzekł posępnie, wybrawszy najkrótszą odpowiedź z tych, które mu się nasunęły.

— O, ja wiem dobrze, jakiego pan jest gatunku — rzekł niedbale Ricardo. — Pan jest taki jak większość ludzi — może trochę potulniejszy od reszty tej kupującej i sprzedającej bandy, która się kręci po zgniłym jarmarku świata. No więc, szanowny obywatelu — ciągnął dalej — zbadajmy dokładnie tę sprawę.

Z chwilą, gdy Schomberg zrozumiał, że giermek Jonesa gotów jest rozprawiać, jak się wyraził, „o tej łodzi, o jej kursach i odległościach” — tudzież o innych konkretnych sprawach nie wróżących nic dobrego „nikczemnemu Szwedowi”, zaraz odzyskał żołnierski sposób bycia, wyprostował plecy i spytał po wojskowemu:

— Więc pan chce wziąć się do rzeczy?

Ricardo skinął głową. Wyznał, że ma na to ochotę. Wielkiemu panu należy dogadzać, ile się tylko da, ale w niektórych wypadkach trzeba nim także pokierować dla jego własnego dobra. I to jest właśnie zadaniem rozsądnego „towarzysza”, który musi wybrać odpowiedni czas i metodę działania w tym dyskretnym zakresie swoich obowiązków. Wyłożywszy tę teorię, Ricardo przystąpił do praktycznego jej zastosowania.

— Właściwie to nigdy przed nim nie skłamałem — rzekł — a i teraz także nie skłamię. Po prostu nic o dziewczynie nie powiem. Będzie musiał znieść jakoś ten cios. Ej, do diabła, nie trzeba z tym zanadto się cackać!

— Dziwna mania — rzekł sucho Schomberg.

— Prawda? Oho, założę się, że pan to nie zawahałby się chwycić kobietę za gardło w jakim ciemnym kącie, gdzie by nikt pana nie widział.

Groźna, złowroga gotowość, z jaką Ricardo pokazywał pazury — niby kot — na zawołanie, przstraszyła Schomberga jak zwykle. Ale w zachowaniu się Ricarda było także coś wyzywającego.

— A pan? — bronił się. — Nie wmówi pan we mnie, że nie jest pan gotów na wszystko!

— Ja, mój kochany? Naturalnie. Ja nie mam wielkopańskich manier, tak samo jak pan. Wziąć dziewczynę za gardło, czy uszczypnąć ją pod brodą, to dla mnie prawie to samo — zapewnił Ricardo, a z uprzejmego tonu jego słów przebijał akcent nieuchwytnej ironii. — No, a teraz do rzeczy. Trzydniowa wycieczka w dobrej łodzi to nic zastraszającego dla takich ludzi jak my. Jak dotąd ma pan rację; ale są jeszcze inne szczegóły.

Schomberg zajął się szczegółami z całą gotowością. Objął, że posiada niewielką plantację na Madurze z wcale przyzwoitym szalase. Zaproponował, aby goście opuścili miasto w jego łodzi, niby to wybierając się na wycieczkę do tej wiejskiej miejscowości. Urzędnicy celni na bulwarze widują często jego łódź wyruszającą na takie przejażdżki.

Wypocząwszy nieco na Madurze, pan Jones i jego towarzysze wyruszą we właściwą podróż, wybrawszy dzień odpowiedni. Wszystko pójdzie jak z płatka. Schomberg zaopatrzy łódź w żywność. W najgorszym razie może ich spotkać łagodny, rześisty deszcz. O tej porze roku nie zdarzają się porządne burze.

Serce Schomberga zaczęło walić w piersi, gdyż zrozumiał, że zbliża się godzina zemsty. Rzekł chrypliwie ale przekonywająco:

— Bez ryzyka — bez żadnego ryzyka!

Ricardo odsunął niecierpliwym gestem te zapewnienia. Myślał o innym niebezpieczeństwie.

— Tak, odjazd poszedłby gładko; ale mogliby nas zobaczyć na pełnym morzu i to by później wywołało nieprzyjemności. Łódź okrętowa z trzema białymi ludźmi, kręcąca się po morzu daleko od wybrzeża, na pewno ściągnęłaby na siebie uwagę. Czy możemy spotkać kogo po drodze?

— Nie, wyjąwszy chyba jaki statek krajowców — odrzekł Schomberg.

Ricardo skinął głową z zadowoleniem. Ci dwaj biali patrzyli na życie krajowców jak na grę cieni. Zwycięska rasa mogła przedostać się poprzez tę grę cieni — nietknięta i lekceważona — w pościgu za niezrozumiałymi celami i potrzebami. — Nie. Statki krajowców nie wchodzi naturalnie w rachubę. Tamta połać morza jest pusta i samotna, objaśniał w dalszym ciągu Schomberg. Tylko parowa szalupa z Ternate przejeżdża tamtędy regularnie około 8-go każdego miesiąca — jednak nie w pobliżu wyspy. Hotelarz siedział

szttywno z bijącym sercem, pragnąc całą duszą wykonania zamierzonego planu, i ochry-
płym głosem wyrzucił z siebie mnóstwo słów, jak gdyby chciał ich mieć jak najwięcej
między sobą a krwawym widmem swego zamysłu.

— Więc jeśli panowie opuścicie spokojnie moją plantację ósmego o zachodzie —
najlepiej zawsze wyjeżdżać na noc z wiatrem lądowym — macie jedną szansę na sto — ale
co ja mówię! jedną na tysiąc — że żadne ludzkie oko was nie zobaczy podczas przejazdu.
Całe wasze zadanie polega na tym, żeby się trzymać kierunku północno-wschodniego
przez godzin — powiedzmy — pięćdziesiąt, a może i nie tak długo. Prąd będzie zawsze
dość silny, aby unieść łódź, możecie być tego pewni — a w końcu —

Mięśnie jego w okolicy pasa zadrżały pod odzieżą dreszczem zapału, niecierpliwości
i niejasnego uczucia trwogi, z którego niedokładnie zdawał sobie sprawę. Wolał się w to
nie zagłębiać. Ricardo patrzył na niego spokojnie swymi suchymi oczami, które były
podobniejsze do szlifowanych kamieni niż do żywej tkanki.

— I cóż w końcu? — zapytał.

— A w końcu — w końcu zadziwicie *den Herrn Baron*⁴⁹ — ha, ha!

Schomberg zdawał się wymuszać z siebie ochryplym basem ten śmiech i słowa.

— Więc pan myśli, że on trzyma ten cały łup przy sobie? — spytał Ricardo dość nie-
dbale, gdyż fakt ten wydał mu się bardzo prawdopodobnym, kiedy się nad nim zastanowił
ze zwykłą sobie przenikliwością.

Schomberg podniósł ręce i opuścił je potem z wolna.

— Jakżeby mogło być inaczej? Wracał do kraju — i zatrzymał się po drodze w tym
hotelu. Niech pan zapyta ludzi. Czy to możliwe, żeby z sobą pieniędzy nie zabrał?

Ricardo zamyślił się. Nagle podniósł głowę i zauważył:

— Sterować przez pięćdziesiąt godzin na północo-wschód, co? Nie można powiedzieć,
żeby to były wyraźne dane żeglarskie! Słyszałem o ludziach, którzy nie trafili do portu przy
dokładniejszych wskazówkach. Czy może mi pan powiedzieć, jakie tam są warunki przy
lądowaniu? Ale przypuszczam, że pan tej wyspy nigdy na oczy nie widział.

Schomberg przyznał, że nigdy jej nie widział, tonem człowieka, który wina sobie,
że się nie pokalał zetknięciem z czymś wstrętnym. Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nie
miał w tamtych stronach żadnego interesu. Ale cóż z tego? Zapewnił pana Ricardo, iż
może mu polecić drogowskaz tak niezawodny, że nikt nie mógłby sobie życzyć lepszego.
Zaśmiał się nerwowo. Nie trafić do wyspy! Niechże kto spróbuje nie trafić do schronienia
tego nikczemnego Szweda, znalazłszy się w odległości czterdziestu mil od Samburanu!

— Co pan powie o słupie dymu w dzień, a łunie ognistej w nocy⁵⁰? Blisko wyspy jest
czynny wulkan, który ślepemu wskazałby drogę. Czegóż panu więcej potrzeba? Czynny
wulkan jako drogowskaz!

Wykrzyknął te słowa z radosnym uniesieniem, po czym zerwał się i wytrzeszczył oczy.
Na lewo od bufetu uchyliły się drzwi i pani Schomberg, ubrana do popołudniowej pracy,
stanęła naprzeciw niego, oddzielona całą długością pokoju. Zawahała się chwilę z ręką na
klamce, po czym weszła i wsunęła się na swoje miejsce, gdzie zasiadła, aby patrzeć prosto
przed siebie, jak co dzień.

⁴⁹*den Herrn Baron* (niem.) — pana barona. [przypis edytorski]

⁵⁰*Co pan powie o słupie dymu w dzień, a łunie ognistej w nocy* — por. Wj 17,21: A Pan szedł przed nimi podczas
dnia, jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli
iść we dnie i w nocy. [przypis edytorski]

TOM DRUGI

CZĘŚĆ III

I

Tropikalna przyroda była łaskawą dla upadłego przedsiębiorstwa. Spustoszenie budynków Podzwrotnikowej Spółki Węglowej zostało osłonięte od strony morza, skąd badawcze oczy byłyby mogły dostrzec rozsypujące się szczątki żywotnego dawniej osiedla — jeśli istniały w ogóle takie oczy, które by się specjalnie kopalnią interesowały — przez współczucie czy przez złośliwość.

Heyst siedział długie miesiące wśród tych szczątków, ukrytych tak litośnie w trawie wyrosłej podczas dwu deszczowych pór roku. Otaczającą go ciszę przerywał tylko odległy łoskot grzmotu, szelest deszczu smagającego liście wielkich drzew, szum wiatrów targających konarami lasu i huk krótkich fal, które się o brzeg rozbijały — a wszystkie te odgłosy były raczej bodźcem niż przeszkodą dla samotnych jego rozmyślań.

Rozmyślanie jest zawsze — przynajmniej u człowieka białego — ćwiczeniem polegającym w mniejszym lub większym stopniu na zadawaniu sobie pytań. Heyst rozmyślał z prostotą nad tajemnicą swych czynów i odpowiedział sobie uczciwą refleksją:

— Widać jest we mnie — mimo wszystko — bardzo wiele z pierwotnego Adama.

Pomyślał także — a miał przy tym wrażenie, że dokonywa odkrycia — iż niełatwo wykorzenić z siebie tego prarodzica. Najstarszy głos na świecie to właśnie ten, który nigdy mówić nie przestaje. Gdyby mógł istnieć człowiek, zdolny uciszyć władcze echa tego głosu, byłby się nim stał ojciec Heysta przez swoje pogardliwe, nieugięte odrzucenie wszelkiego wysiłku; ale widać i on tego nie potrafił. W jego synu było bardzo wiele z naszego pierwszego przodka, co ledwie powstawszy z błota niebiańskiej formy, zabrał się do przeglądu zwierząt w raju i nadawania im imion — w tym raju, który miał tak szybko utracić.

Działanie — to pierwsza myśl, a może pierwszy impuls na ziemi! To wędka, z przynętą w postaci złudy postępu, przeznaczona do tego, by wyprowadzać z nicości nieprzeliczone roje pokoleń.

— I ja, syn swego ojca, dałem się także złowić jak najgłupsza z ryb — rzekł Heyst do siebie.

Cierpiał. Bolał go widok własnego życia, które powinno było się stać arcydziełem wzniosłości. Miał zawsze w pamięci ostatni wieczór z ojcem spędzony. Pamiętał jego wychudłe rysy, gąszcz białych włosów i cerę jak z kości słoniowej. Kandelabr o pięciu świecach stał na stoliku obok jego fotela. Rozmawiali już długi czas. Hałasy uliczne zamarały jeden po drugim, aż wreszcie w blasku księżycowego światła domy londyńskie przybrały wygląd grobowców na opuszczonym, zaniedbanym cmentarzu nadziei.

Heyst wsłuchiwał się w słowa ojca. Wreszcie po chwili milczenia zapytał — gdyż był wtedy jeszcze bardzo młody:

— Czyż nie można znaleźć drogowskazu?

Ojciec Heysta był owej nocy w szczególnie łagodnym usposobieniu. Księżyc płynął po bezchmurnym niebie nad zbrukanymi cieniami miasta.

— Więc zawsze jeszcze w coś wierzysz? — rzekł ojciec jasnym głosem, który od niedawna znacznie był osłabł. — Wierzysz może w ludzi — w krew i ciało! Głęboka, jednaka dla wszystkich pogarda prędko by usunęła twą wiarę. Ale ponieważ nie stać ciebie na to, radzę ci uprawiać ten rodzaj pogardy, który nazywa się litością. Ta pogarda jest może najłatwiejsza — ale pamiętaj zawsze, że czymkolwiek jesteś — równie jesteś godzien litości jak wszyscy: tylko sam nigdy się tej litości nie spodziewaj.

— Więc jak postępować? — westchnął młody człowiek, patrząc w ojca siedzącego sztywno na fotelu z wysokim oparciem.

— Patrzeć — i nie odzywać się nigdy — brzmiały ostatnie słowa człowieka, który spędził życie, dmąc w straszliwą trąbę, i napelnił niebo i ziemię spustoszeniem nie zauważonym przez ludzkość zdążającą swymi drogami.

Tej samej nocy stary Heyst umarł w łóżku tak spokojnie, że znaleziono go leżącego na boku jak zwykle, z ręką pod policzkiem i lekko zgiętymi kolanami. Nawet nóg nie wyprostował.

Pokusa

Kondycja ludzka, Pogarda

Syn pochował umilkłego burzyciela systemów, nadziei i wierzeń. Zauważył, że śmierć tego człowieka, który potępiał życie tak gorzko, nie zamąciła biegu życiowego strumienia, gdzie mijają się ludzie stłoczeni jak atomy pyłu, kręcąc się i popychając nawzajem, niby figurki wycięte z korka i obciążone ołowiem, aby mogły zachować dumną, wyprostowaną postawę.

Po pogrzebie Heyst siedział samotnie o zmierzchu, a rozmyślania jego skrytykowały się w wyraźną wizję strumienia, gdzie potracające się głupio, kiwające się i kręcące figurki dążyły niepowstrzymanie naprzód i nie zdradzały żadnym znakiem, że głos na wybrzeżu nagle zamilkł... Tak. Zjawilo się tylko kilka pośmiertnych wzmianek, blących na ogół, wśród których były i grubiańskie obelgi. Syn przeczytał je wszystkie z posępną obojętnością.

— Nienawiść i wściekłość lęku przemawia przez nich — rzekł sobie — a także zraniona próżność. Mijając nas, wykrzykują swoje marne zaczepki. Powinienem chyba także ich nienawidzić...

Spostrzegł, że oczy mu zwilgotniały. Nie chodziło mu o to, że ten człowiek był jego ojcem. Dla niego była to tylko zewnętrzna okoliczność, która nie mogła sama przez się wywołać tego wzruszenia. Nie! Ale odczuł tak bardzo brak tego człowieka, ponieważ patrzył na niego przez tyle lat. Zmarły trzymał go obok siebie na brzegu strumienia. A teraz Heyst poczuł dotkliwie, że jest na tym brzegu samotny. W swej dumie postanowił do strumienia nie zstąpić.

Kilka łez stoczyło się powoli po jego twarzy. W pokojach napelniających się zmierzchem zdawał się błądzić jakiś cień posępny i niespokojny, nie mogący znaleźć dla siebie wyrazu. Młodzieniec wstał z dziwnym wrażeniem, że ustępuje przed czymś nieuchwytnym, co chce objąć dom w posiadanie. Wyszedł na dwór i zamknął drzwi za sobą. W dwa tygodnie później zaczął swoje podróże — aby „patrzeć i nie odzywać się nigdy”.

Starszy Heyst zostawił trochę pieniędzy i sprzętów — książek, stołów, krzeseł i obrazów, które miały prawo uskarżać się na bezlitosne opuszczenie po wielu latach wiernej służby; i w rzeczach bowiem jest dusza. Heyst — nasz Heyst — widywał je często w myśli, nieme a pełne wyrzutów, osłonięte pokrowcami i zamknięte zawsze w tych samych pokojach, het pod Londynem. Odgłosy hałasów ulicznych docierały tam niewyraźnie, a niekiedy przenikało i trochę słońca, gdy podnoszono od czasu do czasu rolety i otwierano okna zgodnie z rozporządzeniem, które Heyst wydał odjeżdżając, a o którym później przypominał. Można by mniemać, że w wyobrażeniu Heysta świat nie zasługiwał na to, aby się z nim zetknąć, i nie dość był może realnym, aby można go było zrozumieć; jedynie te przedmioty bliskie jego dzieciństwu i młodości i związane z pamięcią o starym ojcu były rzeczywistością, czymś co istnieje samo przez się. Nie sprzedałby ich nigdy, ani nawet poruszył z miejsc, które zajmowały, gdy patrzył na nie po raz ostatni. Kiedy zawiadomiono go z Londynu, że kontrakt wynajmu już wygasł i że ów dom wraz z kilku innymi, podobnymi do siebie jak ziarnka grochu, przeznaczony jest na zburzenie, zmartwił się tym nadzwyczajnie.

Znajdował się już wówczas na szerokiej drodze ludzkich niekonsekwentnych czynów. Podzwrotnikowa Spółka Węglowa już istniała. Posłał instrukcje, aby mu niektóre ze sprzętów wysłano na Samburan, zupełnie jak gdyby był zwykłym, łatwowiernym człowiekiem. Rzeczy przybyły, wyrwane z długoletniego spoczynku; było tam dużo książek, kilka krzeseł i stołów, olejny portret ojca, którego twarz zdumiała Heysta młodym wyglądem, ponieważ pamiętał go jako znacznie starszego; drobne przedmioty, jak lichtarze, kałamarze i figurki z gabinetu ojca zdziwiły Heysta, tak bardzo były stare i zniszczone.

Dyrektor Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, rozpakowując te sprzęty na werandzie, w jedynym zacienionym miejscu jak gdyby obłożonym przez okrutne słońce, czuł się zapewne wobec tych relikwii jak odszczępieniec pełen skruchy. Obracał je czule w rękach i może to właśnie ich obecność związała go z wyspą w chwili, gdy ujrzał całą bezcelowość swego odszczępienia. Czy z tej, czy z innej przyczyny Heyst pozostał na wyspie, którą każdy na jego miejscu z ochotą byłby porzucił. Zaczynał Davidson wykrył, że Heyst jest wciąż na Samburanie, ale nie wykrył przyczyn, które Heysta tam zatrzymały i zainteresował się w prawdziwie ludzki sposób dziwną jego egzystencją; jednocześnie zaś wrodzona delikatność Davidsona nie pozwalała mu przeszkadzać tamtemu człowiekowi w jego samotnym życiu. Nie mógł oczywiście zgadnąć, że Heyst, zostawszy sam je-

Samotność, Duma

den na wyspie, nie czuł się ani bardziej, ani mniej samotny niż w jakimkolwiek innym miejscu, opustoszałym czy pełnym ludzi. Davidsonowi chodziło tu — jeśli można tak się wyrazić — o niebezpieczeństwo głodu duchowego; ale Heyst był duchem, co odrzucił wszelką strawę zewnętrzną i żywił się dumnie własną pogardą dla zwykłych, ordynarnych potraw, które życie podsuwa pospolitym ludzkim apetytom.

Ciało Heysta również nie było na głód narażone, choć Schomberg tak twierdził stanowczo. Wkrótce po założeniu Spółki zaopatrzone wyspę w żywność tak obficie, że po zwinięciu kopalni pozostało jeszcze wiele zapasów. Głód nie zagrażał więc Heystowi, a nawet i jego osamotnienie nie było zupełne. Z tłumu sprowadzonych robotników chińskich został jeden na Samburanie — samotny i dziwny — niby jaskółka opuszczona po odlocie swego stada.

Wang nie był zwykłym kulisem⁵¹. Służył już przedtem u białych ludzi. Układ między nim a Heystem polegał na kilku słowach, które wymienili tego samego dnia, gdy ostatnia seria kulisów opuszczała Samburan. Heyst, wsparty o balustradę werandy, przypatrywał się ich odjazdowi taki spokojny na pozór, jak gdyby nigdy nie był odstąpił od zasady, że świat jest dla mądrych ludzi tylko zabawnym widowiskiem. Wang obszedł dom naokoło i stanąwszy u stóp werandy, podniósł żółtą, szczupłą twarz.

— Wszystko skończyć? — zapytał.

Heyst skinął z lekka głową, patrząc w stronę moła na gromadę błękitno odzianych postaci o żółtych twarzach i łydkach. Zaganiano właśnie kulisów do łódek wynajętego parowca, który stał na kotwicy dość daleko od brzegu i wyglądał jak malowany statek na malowanym morzu, malowany jaskrawymi kolorami, bez cieniowania, bez wycucia, z brutalną dokładnością.

— Pośpiesz się, bo cię tu zostawią.

Ale Chińczyk nie poruszył się wcale.

— Ja zostać — oświadczył. Heyst spojrzał na niego w dół po raz pierwszy.

— Chcesz tu zostać?

— Tak.

— Czym byłeś? Jakie tu miałeś zajęcie?

— Garson⁵² na sala.

— Chcesz zostać ze mną jako służący? — pytał zdumiony Heyst.

Chińczyk przybrał niespodziewanie błagalny wyraz twarzy i rzekł po chwili milczenia.

— Można.

— To od ciebie tylko zależy. Zamierzam tu pozostać — może nawet i bardzo długo. Nie mam prawa zmusić cię do wyjazdu, jeżeli jechać nie chcesz, ale nie rozumiem, po co byś tu miał siedzieć.

— Znaleźć żona — zauważył Wang obojętnie i odmaszerował, zwracając się tyłem do bulwaru i dalekiego, wielkiego świata, uosobionego w parowcu czekającym na swoje łodzie.

Heyst dowiedział się niebawem, że Wang namówił jedną z kobiet wsi Alfuro, aby z nim zamieszkała. Wieś Alfuro była położona na zachodnim brzegu wyspy, po drugiej stronie środkowego pasma wzgórz. Wang osiadł z tą kobietą na najdalszym krańcu polanki należącej do Spółki. Był to ciekawy wypadek, ponieważ plemię Alfuro, przerażone nagłą inwazją Chińczyków, zatarasowało ścieżkę prowadzącą przez grzbiet górski, ściągawszy kilka pni, i nie przekraczało tej granicy. Kulisi odnosili się na ogół podejrzliwie do tego nieszkodliwego rybackiego plemienia, którego charakterystyczną cechą była wybitna łagodność, i trzymali się również zakreślonych granic, nie usiłując chodzić na drugą stronę wyspy. Wang stanowił imponujący wyjątek. Musiał być najwidoczniej niezwykle pociągający, czego Heyst dostrzec nie umiał, a może był niezwykle wymowny. Usługi jego żony w stosunku do Heysta ograniczały się do tego, że Wang został przykuty do miejsca jej wdziękami — które zresztą pozostały nieznanne dla białego, ponieważ nie zbliżała się nigdy do zabudowań. Stadło mieszkające na skraju lasu i czasem widać było z dala kobietę, patrzącą w stronę willi z oczywistą ocienioną ręką. Nawet na odległość wydawała się płochliwym, dzikim stworzeniem i Heyst, nie chcąc niepotrzebnie wystawiać

⁵¹kulis — azjatycki robotnik. [przypis edytorski]

⁵²garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

na próbę jej pierwotnych nerwów, unikał skrupulatnie tamtej strony polanki podczas przechadzek.

Pierwszego dnia — a raczej pierwszej nocy — po rozpoczęciu pustelniczego życia doszły go z tamtej strony niewyraźne odgłosy hucznej zabawy. Okazało się, że kilku krajowców z plemienia Alfuro — przyjaciół i krewnych owej kobiety — ośmielonych wyjazdem obcych najeźdźców, odważyło się przekroczyć górską przełęcz na zaproszenie Wanga, aby wziąć udział w uroczystości podobnej do wesela. Ale był to jeden jedyny wypadek, że głosy silniejsze od brzęczenia owadów zamąciły głęboką ciszę polanki. Krajowcy nigdy już nie zostali zaproszeni. Wang nie tylko potrafił żyć w zgodzie z prawidłami przyzwoitości, ale miał ustalone poglądy na organizację domowego życia. Po pewnym czasie Heyst zauważył, że Wang przywłaszczył sobie wszystkie klucze. Każdy klucz poniewierający się po mieszkaniu znikał z chwilą, gdy Wang przeszedł przez pokój. Wkrótce te klucze, które nie pasowały do składów i pustych domków i nie mogły uchodzić za wspólną własność społeczności złożonej z dwóch osób, Wang zwrócił właścicielowi, związane w pęk kawałkiem sznurka. Heyst znalazł je rano obok swego talerza. Chwilowego braku kluczy nie odczuł wcale, ponieważ nigdy nic nie zamykał — ani szuflad, ani kufrów. Heyst nie odzywał się wcale do Wanga. Wang także nic nie mówił. Może był zawsze małomówny, a może wpłynął na niego duch tej miejscowości, który był niewątpliwie duchem milczenia. Zanim Heyst z Morrisonem wylądowali w zatoce Czarnych Diamentów i nadali jej tę nazwę, ów kraniec Samburanu nie słyszał prawdopodobnie nigdy ludzkiego głosu. Nietrudno było milczeć w towarzystwie Heysta, który pograżał się w otchłani rozmyślań nad książkami i trwał w niej, póki cień Wanga padający na kartki i dźwięk szorstkiego, cichego głosu, wymawiającego malajskie słowo *makan*⁵³, nie wezwały go do stołu.

W swojej rodzimej chińskiej prowincji Wang mógł być dawniej serdecznym, prostym i wesołym człowiekiem, ale na Samburanie oblókł się w tajemniczą niewzruszoność; nie zdawał się wcale urażony tym, że zwracano się do niego tylko pojedynczymi słowami, których przeciętna liczba nie sięgała dziennie pół tuzina. Odpłacał tym samym. Należy przypuścić, że jeśli ten przymus milczenia mu dokuczał, umiał go sobie powetować, wróciwszy do swej towarzyszk z plemienia Alfuro. Wyruszał do niej zawsze z zapadnięciem zmierzchu, znikając nagle z willi o swojej godzinie niby jakiś zwariowany chiński duch z warkoczem, ubrany w białą kurtkę i straszący ludzi we dnie. Wang uległ niebawem głównej namiętności swoich rodaków, często można było widzieć, jak kopał ziemię górniczym kilofem naokoło swego szałas, między potężnymi pniami ściętych drzew. Po jakimś czasie odkrył w jednym z pustych składów zardzewiałą ale zdatną do użytku łopatę i zapewne radził z nią sobie doskonale; jednak nic z tego nie można już było zobaczyć, ponieważ zadał sobie trud rozebrania na kawałki jednego z szałasów Spółki i z tego materiału zbudował wysoki, bardzo gęsty płot naokoło swego kawałeczka ziemi, jak gdyby hodowla warzyw była opatentowanym wynalazkiem, albo groźną i świętą tajemnicą powierzoną jego rasie.

W braku innego materiału do obserwacji Heyst śledził z daleka postępy ogrodniczej pracy Wanga i przedsięwzięte przez niego środki ostrożności; bawiła Heysta myśl, że to on we własnej osobie stanowił wyłączny rynek zbytu dla jarzyn. Chińczyk znalazł w składach kilka paczek z nasionami i zasiał je, posłuszny nieodpartemu impulsowi. Zamierzał uzyskać w przyszłości od swego pana zapłatę za jarzyny, które hodował, czyniąc zadość instynktowi. I Heyst, patrząc w milczeniu na milczącego Wanga, który krzątał się po domu spokojnie i systematycznie, zazdrościł Chińczykowi posłuszeństwa wobec instynktu, zazdrościł tej potężnej a prostej celowości, która czyniła z jego życia coś prawie automatycznego przez tajemniczą precyzję faktów.

II

Podczas pobytu swego pana w Sourabayi Wang zajął się uporządkowaniem gruntu przed głównym domem. Gdy Heyst wynurzył się z trawy, porastającej wybrzeże w miejscu skąd zaczynał się pomost, ujrzał szeroką, wolną przestrzeń, czarną i gładką — z jednym czy dwoma stosami zwęglonych gałęzi — ogołoconą z roślinności przez ogień od frontu domu aż do najbliższych drzew lasu.

⁵³*makan* (malaj.) — jeść. [przypis edytorski]

— Odważyłeś się podpalić trawę? — spytał Heyst.

Wang kiwnął głową. Na ramieniu białego, przed którym stał, wspierała się dziewczyna zwana Almą; ale ani z oczu Wangu, ani z jego wyrazu twarzy nie byłby nikt odgadł, że Chińczyk ją widzi.

— Porządkując plac w ten sposób, oszczędził sobie pracy — wyjaśnił Heyst nie patrząc na dziewczynę, której ręka spoczywała na jego ramieniu. — To jest cały nasz personel służbowy. Mówiłem ci, że nie mam tu nawet psa, który by dotrzymywał mi towarzystwa.

Wang odmaszerował w kierunku bulwaru.

— Podobny jest do garsonów w tamtym zakładzie — rzekła. Tamten zakład to był hotel Schomberga.

— Chińczycy niewiele różnią się między sobą — zauważył Heyst. — Ten się nam tutaj przyda. A to jest dom.

Stali niedaleko od sześciu płytkich stopni prowadzących na werandę. Dziewczyna puściła ramię Heysta.

— To jest dom — powtórzył.

Nie ruszyła się od jego boku, stojąc ze wzrokiem utkwionym w schody, jak gdyby były czymś jedynym w swoim rodzaju — czymś nie do przebycia. Czekał chwilę, ale nie poruszyła się wcale.

— Czy nie zechcesz wejść? — zapytał, nie zwracając głowy w jej stronę. — Słońce pali za mocno, nie możemy tu zostać. — Usiłował zapanować nad pewnego rodzaju lękiem, pomieszanym z niecierpliwością i zniechęceniem, i głos jego brzmiał szorstko. Lepiej wejdź — zakończył.

Oboje ruszyli z miejsca, ale Heyst zatrzymał się u stóp schodów, a dziewczyna szła prędko dalej, jak gdyby nic już teraz nie mogło jej powstrzymać. Minęła szybko werandę i weszła w półcień wielkiego środkowego pokoju sąsiadującego z werandą, a potem w głębszy jeszcze cień następnego pokoju. Zatrzymała się nieruchomo w półmroku, gdzie olśnione jej oczy ledwie mogły rozróżnić kształty przedmiotów, i odetchnęła z ulgą. Wrażenie słonecznego blasku, morza i nieba trwało w niej wciąż, niby pamięć o przykrej próbie, przez którą przejść musiała — a która skończyła się wreszcie!

Tymczasem Heyst wracał z wolna ku bulwarowi, ale nie doszedł do wybrzeża. Przemysłny Wang o automatycznych ruchach wyciągnął jeden z małych, dwukołowych wagoników, których używano do przewożenia kosztów z węglem wzdłuż bulwaru, i zjawił się, pchając przed sobą taki wózek naładowany lekką torbą Heysta i rzeczami dziewczyny, zawiniętymi w szal pani Schomberg. Heyst zawrócił i siedł obok zardzewiałych szyn, po których się toczył wagonik. Wang, zatrzymawszy się naprzeciw domu, zdjął torbę i umieścił ją troskliwie na ramieniu, a potem wziął do ręki zawiniątko.

— Zostaw te rzeczy na stole w wielkim pokoju — słyszysz?

— Ja wiedzieć — mruknął Wang, odchodząc.

Heyst patrzył za Chińczykiem znikającym z werandy. Dopiero gdy się Wang zjawił z powrotem, Heyst wszedł w półcień wielkiego pokoju. Wang znalazł się tymczasem z tyłu domu, gdzie był niewidzialny, ale skąd mógł wszystko słyszeć. Uszu jego dosięgnął głos człowieka, którego nazywano Numerem Pierwszym, gdy na Samburanie było jeszcze wielu ludzi. Wang nie był w stanie zrozumieć słów, ale ton go zainteresował.

— Gdzie jesteś? — krzyknął Numer Pierwszy.

Potem doszedł Wangu głos znacznie słabszy, nigdy przedtem nie słyszany; pod wpływem tego nowego wrażenia przechylił lekko głowę na bok.

— Jestem tutaj, w cieniu.

Nowy głos wydawał się daleki i niepewny. Wang nie słyszał nic więcej, choć stał nieruchomo, czekając jeszcze czas jakiś, przy czym wierzch jego wygolonej głowy znajdował się na jednym poziomie z podłogą tylnej werandy. Twarz jego ani drgnęła, zachowując nieprzenikniony wyraz. Nagle schylił się i podniósł pokrywę od drewnianego pudełka po świecach, leżącą na ziemi u jego stóp. Złamał ją w rękę i skierował się ku szopie kuchennej, gdzie przykucnął i wziął się do rozpalania niewielkiego ognia pod bardzo okopconym czajnikiem — prawdopodobnie aby ugotować herbatę. Wang posiadał pewną znajomość najbardziej powierzchownych rytuałów i ceremonii z życia białych — życia, które wyda-

wało mu się skądinąd niezmiernie trudną zagadką, kryjącą nieprzewidziane możliwości dobra i zła. Tę zagadkę należało śledzić uważnie a ostrożnie.

III

Tego ranka, tak jak i wszystkich poprzednich dni po powrocie z dziewczyną na Samburan, Heyst wyszedł na werandę i oparł się łokciami o balustradę w wygodnej pozie gospodarza. Grzbiet górskiego łańcucha, przecinający środek wyspy, odgradzał willę od wschodów słońca, wspaniałych czy pochmurnych, gniewnych czy pogodnych. Mieszkańcy jej nie mogli wnioskować z samego rana o losie budzącego się dnia. Narzucał im się już w pełni rozwoju, jednocześnie z nagłym cofnięciem się wielkiego cienia, gdy słońce ukazywało się zza gór, gorące i suche, po prostu jak oko wroga. Ale Heyst, ongi Numer Pierwszy tej osady w okresie, gdy było tam stosunkowo rojno i gwaro, lubował się tym trwaniem rannego chłodu, przyćmionym, powoli ustępującym półmrokiem, nikłym widmem ubiegłej nocy, wonnością jej rosistej, ciemnej duszy, więzionej jeszcze przez chwilę między wielką zorzą na niebie a jaskrawym blaskiem odsłoniętego morza.

Heystowi trudno było opanować wrodzoną skłonność do rozmyślań o naturze i skutkach swego ostatniego odstępstwa od obojętnej roli widza. Jednak resztki jego rozbitej filozofii, które go się jeszcze trzymały, nie pozwoliły mu zadać sobie świadomego pytania, jak się to wszystko skończy. Równocześnie zaś nie mógł powstrzymać wrodzonego popędu do obserwacji, rozwiniętego przez długotrwałe a rozmyślne ćwiczenia, i pozostał widz — może trochę mniej naiwnym, ale (jak odkrył z pewnym zdziwieniem) nie o wiele bardziej przewidującym od przeciętnego typu ludzi. Jak i my wszyscy, ludzie czynu, mógł sobie tylko powiedzieć z nieco sztuczną posępnością:

— Zobaczymy!

Ten nastrój posępnego zwątpienia ogarniał go jedynie w chwilach samotności. W dniu jego było teraz niewiele chwil samotnych — i nie lubił, gdy przychodziły. Tego rana nie miał czasu się martwić. Alma znalazła się przy nim na długo zanim słońce, wzniosłszy się nad grzbiet Samburanu, zmiotło chłodny cień wczesnego poranka i resztę nocnego chłodu z dachu, pod którym mieszkali już przeszło trzy miesiące. Ukazała się jak co dzień rano. Usłyszał jej lekkie kroki w wielkim pokoju — gdzie rozpakował ongi rzeczy przybyłe z Londynu; pokój ten był teraz z trzech stron wyłożony książkami do połowy wysokości. Nad półkami cienkie maty na ścianach sięgały sufitu, obciągniętego białym perkalą. W mroku i chłodzie połyskiwały tylko złożone ramy portretu starego Heysta, malowanego przez słynnego artystę; portret ten wisiał samotnie na środku ściany.

— Czy wiesz, o czym myślałem? — spytał Heyst, nie odwracając się.

— Nie — odrzekła. Z głosu jej przebijał zawsze cień niepokoju, jak gdyby nigdy nie była pewną, dokąd rozmowa z nim zaprowadzi. Oparła się o poręcz obok niego.

— Nie — powtórzyła. — A o czym? — Czekala; potem rzekła, niechętnie raczej niż nieśmiało: — Czy myślałeś o mnie?

— Zgadywałem, kiedy przyjdiesz — rzekł Heyst, wciąż jeszcze nie patrząc na dziewczynę, którą nazwał ostatecznie Leną po wielu próbach i zestawieniach pojedynczych liter i sylab.

Po chwili milczenia zauważyła:

— Nie byłam bardzo daleko od ciebie.

— Widać dla mnie było to zbyt daleko.

— Mogłeś zawołać, jeżeliś chciał, abym przyszła. Ale nie chesałam się długo.

— Widać dla mnie było to za długo.

— A więc w każdym razie myślałeś o mnie. Cieszę się z tego. Wiesz, mam takie jakieś wrażenie, że gdybyś przestał o mnie myśleć, nie byłoby mnie wcale na świecie!

Odrzucił się i spojrzał na nią. Mówiła często rzeczy, które go zdumiewały. Nieokreślony uśmiech znikł z jej ust pod badawczym jego wzrokiem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał. — Czy to wymówka?

— Jak to wymówka? skądże by! — broniła się.

— Więc co to miało znaczyć? — pytał z naciskiem.

— To, co powiedziałam — tylko to, co powiedziałam. Czego jesteś niesprawiedliwy?

— Ależ to już naprawdę wymówka!

Imię

Zaczerwieniła się aż do nasady włosów.

— Tak to wygląda, jak gdybyś chciał dowieść, że jestem nieprzyjemna — szepnęła.
— Więc jestem nieprzyjemna? Będę się teraz bała otworzyć usta. I w końcu uwierzę, że jestem do niczego.

Spuściła z lekka głowę. Patrzył na jej gładkie, niskie czoło, cień rumieńca na policzkach i pasowe, rozchylone wargi, między którymi błyszczały zęby.

— A wtedy będę rzeczywiście do niczego — dodała z przekonaniem. — Będę do niczego! Mogę być tylko tym, za co ty mnie uważasz.

Poruszył się nieznacznie. Położyła mu rękę na ramieniu, nie podnosząc głowy i mówiła żywo, stojąc wciąż bez ruchu:

— Tak już jest. I nie może być inaczej między kobietą taką jak ja i takim jak ty mężczyzną. Jest nas tu tylko dwoje i nie umiem nawet powiedzieć, gdzie jesteśmy.

— W bardzo znanym miejscu kuli ziemskiej — wyrzekł Heyst łagodnie. — W swoim czasie ukazało się przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy prospektów — a jeszcze prawdopodobnie sto pięćdziesiąt tysięcy. Zajmował się tym mój przyjaciel, którego zamiary bardzo były rozległe, a przekonania silnie ugruntowane. Z nas dwóch on posiadał wiarę. Ale! Z pewnością rozesłano sto pięćdziesiąt tysięcy.

— O czym ty mówisz? — spytała cicho.

— I cóż bym ci mógł zarzucić? — ciągnął Heyst. — Że jesteś miła, dobra, pełna wdzięku — i ładna?

Zapadło milczenie. Wreszcie odezwała się:

— To dobrze, że tak o mnie myślisz. Nie ma tu nikogo, kto by coś o nas myślał — dobrego czy złego.

Niezwykły dźwięk jej głosu nadawał specjalną wartość temu co mówiła. Heyst zdawał sobie sprawę, że nieokreślone wzruszenie, jakie go ogarniało przy niektórych jej intonacjach, bardziej było fizyczne niż duchowe. Za każdym razem, gdy do niego mówiła, zdawała się coś mu z siebie dawać — coś niezmiernie subtelnego i nieuchwytnego, na co był nieskończenie wrażliwy i czego brakowałoby mu okropnie, gdyby jej nie stało. Patrzył jej w oczy, a ona podniosła nagie ramię, nie zakryte krótkim rękawem i trzymała je w powietrzu, póki go nie zauważył i nie pośpieszył przytknąć wielkich, brązowych wąsów do białej skóry. Potem wrócili do pokoju.

Wang ukazał się natychmiast przed frontem domu i, przykucnąwszy na piętach, zaczął grzebać tajemniczo koło roślin u stóp werandy. Gdy Heyst z Leną znowu się ukazali, Chińczyk ulotnił się po swojemu, jakby znikł z życia raczej niż z widoku, jakby się rozplynął, nie poruszwszy się wcale. Zeszli ze schodów, patrząc sobie w oczy, i ruszyli żwawo przez огоłoony grunt; nie uszli jednak i dziesięciu kroków, gdy Wang zmaterializował się w pustym pokoju bez żadnego uchwytnego ruchu ani szmeru. Stał nieruchomo i błędził oczami po ścianach, jakby szukał jakichś znaków czy napisów; oglądał podłogę, jakby dopatrywał się wilczych dołów albo zgubionych pieniędzy. Przechylił z lekka głowę na ramię, spojrzawszy na profil starego Heysta, który trzymał pióro nad białym arkuszem papieru leżącym na szkarłatnym suknie; wreszcie posunął się bezgłośnie o krok naprzód i zaczął sprzątać ze stołu.

Choć robił to bez pośpiechu, nieomylna dokładność jego ruchów i absolutna bezdźwięczność tej krzątany nadawały jej charakter czarodziejskiej sztuki. Wykonawszy sztukę, Wang znikł ze sceny, aby zmaterializować się niebawem przed willą. Zaczął się od niej oddalać bez widocznego ani zrozumiałego celu; ale uszedłszy jakieś dziesięć kroków, zatrzymał się, zrobił pół obrotu i osłonił ręką oczy. Słońce wzniosło się nad szary grzbiet górski Samburanu. Wielki cień poranny już zniknął, a w oddali, w zachłannym blasku, Wang zdążył dostrzec Numer Pierwszy i tę kobietę, dwie białe plamki na ciemnej smudze lasu. Po chwili znikli. Wang znikł także ze słonecznej polanki, nie wykonawszy prawie żadnego ruchu.

Heyst i Lena weszli w cień leśnej ścieżki, która przecinała wyspę i w pobliżu najwyższego swego punktu była zagrodzona przez ścięte drzewa. Ale nie zamierzali zająć tak daleko. Jakiś czas trzymali się ścieżki i zboczyli z niej w miejscu, gdzie las był bez podszycia, a drzewa udrapowane lianami stały jedno opodal drugiego, w mroku płynącym spod ich własnych konarów. Gdzienigdzie leżały na ziemi wielkie bryzgi światła. Heyst i Lena

Samotność

Pocałunek

posuwali się w milczeniu wśród wielkiej ciszy, napawając się spokojem, zupełnym odcięciem od świata, wypoczynkiem podobnym do snu bez marzeń. Wynurzyli się wśród skał u górnego krańca lasu i stanęli we wgłębieniu spadzistego zbocza, podobnym do małej platformy; odwróciwszy się, spojrzeli z wysoka na bezludne morze o barwie startej przez blask słońca, o zasnutym upalną mgłą horyzoncie, który rozpływał się w nieuchwytnym migotaniu bladego i oślepiającego bezmiaru pod ciemniejszym blaskiem nieba.

— W głowie mi się kręci — szepnęła Lena, zamykając oczy i kładąc rękę na ramieniu towarzysza.

Heyst, patrząc nieruchomo ku południowi, wykrzyknął:

— O, żagiel!

Nastąpiła chwila milczenia.

— Musi być bardzo daleko — ciągnął Heyst. — Nie mogłabyś go chyba dojrzeć. To pewno jakiś statek krajowców w drodze na Molukki. Chodźmy, nie trzeba stać w słońcu.

Objął ją ramieniem i poprowadził nieco dalej; usiedli razem w cieniu — Lena usadowiła się na ziemi, a on położył się trochę niżej u jej nóg.

— Nie lubisz patrzeć tak z góry na morze? — rzekł po chwili.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Ta pusta przestrzeń działała na nią jak widok okropnego jakiegoś odludzia. Ale powiedziała tylko:

— Dostaję zawrotu głowy.

— Od tego ogromu?

— Od tej pustki. I serce ściska mi się na ten widok — dodała po cichu, jak gdyby wyznając mu jakąś tajemnicę.

— Zdaje mi się niestety — rzekł Heyst — że masz prawo czuć do mnie żal za te twoje uczucia. Ale co na to poradzić?

Ton jego był żartobliwy, lecz oczy patrzyły poważnie w jej twarz. Zaprzeczyła z żywością.

— Z tobą nie czuję się wcale samotna — ani trochę. Tylko kiedy stoimy w tamtym miejscu i kiedy patrzę na tę wszystką wodę i na ten straszny blask...

— Więc nigdy już tu nie przyjdziemy — przerwał.

Milczała przez chwilę, patrząc mu w oczy, dopóki wzroku nie odwrócił.

— Wydaje mi się, że wszystko, co tam było, zapadło się w morze — rzekła.

— To przypomina ci historię potopu — mruknął mężczyzna wyciągnięty u jej stóp, patrząc na nie. — Czy właśnie to cię przestrasza?

— Bałabym się zostać *sama* na świecie. Mówię sama, ale myślę naturalnie o nas obojgu.

— O nas obojgu? — Heyst zamilkł na chwilę. — Wizja zatopionego świata — rozmyślał głośno. — Żałowałabyś go?

— Żałowałabym szczęśliwych ludzi, którzy na nim żyli — rzekła z prostotą.

Przesunął wzrok w górę po jej postaci i dotarł do twarzy, gdzie zdawał się dostrzegać zamglony błysk inteligencji, jak widzi się czasem słońce przeświecające przez chmury.

— A ja bym uważał, że właśnie im trzeba by powinszować najgoręcej. Nieprawdaż?

— O tak, rozumiem, co masz na myśli; ale trwało przecież czterdzieści dni, zanim się wszystko skończyło.

— Widzę, że pamiętasz wszystkie szczegóły.

Heyst odezwał się tylko, aby cośkolwiek powiedzieć i nie przyglądać się jej w milczeniu. Nie patrzyła na niego.

— To z niedzielnej szkoły — szepnęła. — Chodziłam tam regularnie od ósmego roku życia aż do trzynastego. Mieszkaliśmy w północnej części Londynu, niedaleko Kingsland Road. Niezłe to były czasy. Ojciec dobrze zarabiał. Gospodyni domu posyłała mnie wieczorem do szkoły razem ze swymi dziewczynkami. To była dobra kobieta. Mąż jej służył na pocztę; sortował listy, czy coś w tym rodzaju. Taki spokojny człowiek. Po kolacji chodził czasem na nocną służbę. Wtem jednego dnia pokłócili się i dom się rozleciał. Pamiętam jak płakałam, kiedy trzeba było nagle wszystko spakować i przenieść się na inne mieszkanie. Nie dowiedziałam się nigdy, o co im poszło, chociaż...

— Potop — mruknął Heyst z roztargnieniem.

Odczuwał niezmiernie żywo odrębną indywidualność dziewczyny, jak gdyby ta chwila była pierwszą — od czasu wspólnego ich życia — kiedy mógł na nią swobodnie popatrzeć. Szczególny dźwięk jej głosu, mieniający się akcentami śmiałości i smutku, byłby mógł nadać urok najbezmyślniejszej gadaninie. Ale ona nie była gadatliwa. Była raczej małowówna i lubiała trwać bez ruchu w pozie wyprostowanej, jak wówczas gdy siadywała na koncertowej estradzie wśród koleżanek i orkiestry, skrzyżowawszy nogi i złożwszy ręce na kolanach. Obcuując z nią stale i patrząc w jej siwe, nieulekłe oczy, Heyst nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest w niej coś niewytłumaczonego; głupota czy natchnienie, słabość czy siła — a może po prostu bezdenna pustka — coś, z czym nie zdradzała się nawet w chwilach zupełnego oddania.

Nie patrzyła na niego przez długą chwilę. Wreszcie, jak gdyby słowo „potop” utkwiło jej w myśli, rzekła, spoglądając w górę na bezchmurne niebo:

— Czy też tu kiedy pada?

— Jest pora roku, kiedy pada prawie dzień w dzień — rzekł Heyst zdziwiony. — Trafiają się także i burze. Raz mieliśmy deszcz z błota.

— Deszcz z błota?

— Tamten nasz sąsiad strzelał w górę popiołem. Taki ma już sposób czyszczenia od czasu do czasu rozpalonej do czerwoności gardzieli — i wtedy właśnie nadciągnęła burza. Byliśmy w wielkich opałach, ale zwykle sąsiad nasz zachowuje się przyzwoicie — dymi sobie spokojnie, jak wówczas gdy pokazałem ci po raz pierwszy z pokładu szkunera smugę dymu na niebie. Zaczności chłop i leniuch z tego wulkanu.

— Widziałam już raz taką dymiącą górę — rzekła, utkwivszy oczy w smukłym pnium drzewiastej paproci, rosnącej przed nią o jakie dwanaście stóp. — To było niedługo po wyjeździe z Anglii — w kilka dni mniej więcej. Z początku tak chorowałam, że straciłam rachubę czasu. Taka dymiąca góra — nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa.

— Może Wezuwiusz? — poddał Heyst.

— Tak, tak, właśnie.

— Widziałem go też przed laty — przed wiekami — rzekł Heyst.

— Wtedy, gdy tu jechałeś?

— Nie, długo zanim przyszło mi na myśl wybrać się do tej części świata. Byłem jeszcze młodym chłopcem.

Odwrociła się i spojrzała na niego uważnie, jak gdyby usiłując odkryć jakiś ślad chłopcstwa w dojrzałej twarzy mężczyzny o włosach przerzedzonych na wierzchu głowy i długich, gęstych wąsach. Heyst zniósł to otwarte badanie z żartobliwym uśmiechem, ukrywając głębokie wrażenie, jakie te zamglone, siwe oczy wywierały — na jego sercu czy nerwach — na zmysłach czy na duszy — czy budziły tkliwość, czy podniecenie — tego nie umiał powiedzieć.

— No, księżno Samburanu — rzekł wreszcie — czy znalazłem łaskę w twych oczach?

Zdawała się budzić ze snu i potrząsnęła głową.

— Myślałam o jednej rzeczy — szepnęła cichutko.

— Myśli, czyny — to wszystko są sidła! Jeżeli zaczniesz myśleć, przestaniesz być szczęśliwą.

— Nie myślałam o sobie — oświadczyła z prostotą, która zaskoczyła trochę Heysta.

— W ustach moralisty brzmiałoby to jak nagana — rzekł na wpół poważnie; — ale nie chcę ciebie podejrzewać o moralizowanie. Już od lat przestałem być w zgodzie z moralistami.

Przysłuchiwała się z uwagą.

— Domyślałam się, że nie masz przyjaciół — rzekła. — Cieszę się, że nie ma tu nikogo, bo nikt nie może ci wyrzucić tego, coś zrobił. Miło mi pomyśleć, że nie weszłam nikomu w drogę.

Heyst byłby coś odpowiedział, ale nie dała mu przyjść do słowa. Nie spostrzegła, że się poruszył i ciągnęła dalej:

— Myślałam nad tym, dlaczego tu jesteś?

Heyst oparł się znów na łokciu.

— Jeśli masz na myśli nas oboje, no to wiesz, czemu tu jesteśmy.

— Nie, nie o to mi chodzi. Myślę o tym — co działo się z tobą przez cały ten czas, zanim mnie wtedy spotkałeś i zgadłeś od razu, że jestem w ciężkim położeniu, że nie mam do kogo się zwrócić. A wiesz dobrze, że to było położenie wprost rozpaczliwe.

Głos jej zniżył się przy ostatnich słowach, jak gdyby miała na tym skończyć; ale w postawie Heysta było coś tak wyczekującego, gdy siedział u jej stóp i patrzył na nią spokojnie, że podjęła znów, zaczerpnąwszy szybko powietrza:

— Tak, rozpaczliwe. Mówiłam ci, że już i przedtem prześladowali mnie źli mężczyźni. Czułam się wtedy nieszczęśliwa, niespokojna — i zła. Ale tamten człowiek — ach, jak ja go nienawidziłam, nienawidziłam, *nienawidziłam!*

„Tamten człowiek” — był to Schomberg o kwitnących policzkach i wojskowym sposobie bycia, dobroczyńca białych ludzi — („przyzwoity posilek w przyzwoitym towarzystwie”) — dojrzała ofiara spóźnionej namiętności. Dziewczyna wzdrygnęła się. Harmonia właściwa jej twarzy jakby się rozprzegła na chwilę. Heyst przestraszył się.

— Dlaczego o tym myślisz? — zawołał.

— Bo tym razem nie miałam już wyjścia. To nie było to samo co przedtem. Było gorzej, o wiele gorzej. Z przerażenia pragnęłam już umrzeć; a jednak dopiero teraz zaczynam rozumieć, jaka mi groziła ohyda. Tak, dopiero teraz, odkąd...

Heyst poruszył się z lekka.

— Odkąd tu jesteście — zakończył.

Ciało jej odprężyło się; zaczerwienione policzki odzyskiwały stopniowo zwykłą barwę.

— Tak — rzekła obojętnie, lecz jednocześnie rzuciła mu ukradkiem spojrzenie pełne namiętnego podziwu. Potem twarz jej powlekła się smutkiem, a cała postać osunęła się nieznacznie. — Ale miałeś tu wrócić w każdym razie? — zapytała.

— Tak. Czekaleś tylko na Davidsona. Tak, miałem tu wrócić, do tych ruin — do Wanga, który może nie spodziewał się mnie już zobaczyć. Niepodobna odgadnąć, w jaki sposób ten Chińczyk rozumuje i co o człowieku myśli.

— Nie mów o nim. Tak mi zawsze nieprzyjemnie, kiedy go widzę. Mów mi o sobie.

— O sobie? Widzę, że zajmuje cię jeszcze tajemnica mego przybycia tutaj; ale nie ma w tym nic tajemniczego. Więc przede wszystkim — człowiek z gęsim piórem w ręku na tym portrecie, któremu tak często się przypatrujesz — otóż ten człowiek jest odpowiedzialny za moje życie. Odpowiedzialny jest także za to, czym ono jest, a raczej — czym było. W pewnym znaczeniu był to człowiek wielki. Niewiele wiem o nim. Przypuszczam, że wszedł w życie jak każdy z nas: brał piękne słowa za prawdziwą, brzęczącą monetę, a wzniosłe ideały za wartościowe banknoty. Nawiasem mówiąc, był mistrzem w dziedzinie pięknych słów i wzniosłych ideałów. Później odkrył — jakże ci to wytłumaczyć? Wyobraź sobie, że świat jest fabryką, a ludzie robotnikami. Otóż mój ojciec odkrył, że pensje były niewystarczające. Wypłacano je fałszywymi pieniędzmi.

— Rozumiem! — rzekła wolno Lena.

— Naprawdę zrozumiałaś?

Heyst, który mówił przedtem jak gdyby do siebie, spojrzał ku niej w górę z zacięciem.

— Nie było to nowe odkrycie, ale ojciec włożył w nie całą siłę swej bezgranicznej pogardy. Potęga jej powinna była zniweczyć całą kulę ziemską. Nie wiem, ile umysłów przekonał. Ale mój umysł był wówczas bardzo młody, i sędzę, że młodość łatwo daje się uwieść — nawet przez negację. Ojciec mój był bardzo bezwzględny, a jednak niepozabawiony litości. Opanował mnie łatwo. Człowiek bez serca nie byłby mógł tego zrobić. Nawet dla głupców miał pewną wyrozumiałość. Umiał się oburzać, ale był za wielki, aby drwić i dokuczać. To, co mówił, nie było i nie mogło być przeznaczone dla tłumu; mnie zaś pochlebiało, że znalazłem się wśród wybranych. Ludzie czytali jego książki, ale ja słyszałem jego żywe słowo, któremu nie mogłem się oprzeć. Zdawało mi się, że ta dusza otwarła się przede mną, wtajemniczając mnie jednego w mistrzostwo swojej rozpacz. Myliłem się zapewne. Jest coś z mego ojca w każdym człowieku, który żył już dosyć długo. Ale ludzie nic nie mówią. Nie mogą mówić. Nie umieją wziąć się do tego — a może nie przemówiliby nawet gdyby umieli. Człowiek jest na tej ziemi zjawiskiem przypadkowym, nie wytrzymującym ścisłego badania. Mój ojciec — ten dziwny człowiek — umarł spokojnie jak zasypiające dziecko. Wsłuchawszy się w jego słowa, nie mogłem przyłączyć

się do tłumy, aby wziąć udział w walce. Zaczęłam wędrować po świecie jako niezależny widz — o ile niezależność taka jest możliwa.

Szare oczy Leny przez długi czas nie schodziły z jego twarzy. Odkryła, że — zwracając się do niej — mówił właściwie do siebie. Nagle Heyst podniósł oczy — zdawało się, że dopiero teraz zdaje sobie sprawę z jej obecności — opanował się i roześmiał, zupełnie ton zmieniając:

— To wszystko nie jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego tu się w ogóle znalazłem. I doprawdy — sam nie wiem dlaczego. Po co wdzierać się w niezgłębione tajemnice, których badać właściwie nie warto. Człowiek daje się unosić prądowi. Szczęśliwców prąd niesie ku szczęściu. Nie chcę wmawiać w ciebie, że osiągnąłem powodzenie. I tak byś mi nie uwierzyła. Nie osiągnąłem powodzenia, ale z drugiej strony życie moje nie jest bankructwem — choć tak się wydaje. Fakt, że tu jestem, niczego nie dowodzi, prócz może pewnej ukrytej słabości w moim charakterze — ale nawet i to nie jest pewne.

Patrzył na nią nieporuszenie tak poważnymi oczami, że uznała za stosowne uśmiechnąć się do niego nieśmiało, ponieważ go nie rozumiała. Jej uśmiech odbił się jeszcze słabiej na jego ustach.

— To, co powiedziałem, nic ci nie wyjaśnia — ciągnął dalej. — I nie ma właściwie odpowiedzi na twoje pytanie; ale że fakty mają pewną rzeczywistą wartość — opowiem ci jeden fakt. Spotkałem raz człowieka, który był w położeniu bez wyjścia. Używam tych słów, ponieważ określają dokładnie sytuację tego człowieka i ponieważ sama użyłaś ich przed chwilą. Wiesz dobrze, co to znaczy?

— Co też ty mówisz! — szepnęła zdziwiona. — Mężczyzna w takiej sytuacji?

Heyst roześmiał się, widząc jej zdumienie.

— Och nie! Jego położenie bez wyjścia było innego rodzaju.

— Wiedziałaś od razu, że to nie mogło być nic takiego — zauważyła cichutko.

— Nie chcę cię nudzić długim opowiadaniem. Może wyda ci się to dziwnym, ale ta historia miała związek z komorą celną. Ten człowiek byłby wołał, aby go zabito na miejscu — to znaczy wołałby, aby wysłano jego duszę na tamten świat — niż aby go na tym świecie obdarto z jego własności — bardzo zresztą skromnej. Przekonałem się, że wierzy w tamten świat, bo gdy się znalazł w położeniu bez wyjścia, jak ci o tym mówiłem, ukląkł i zaczął się modlić. Cóż ty na to?

Heyst zamilkł. Patrzyła na niego poważnie.

— Nie wyśmiewałeś się z niego z tego powodu? — rzekła.

— Moje dziecko, nie jestem gburem! — zawołał i wrócił do poprzedniego tonu: — Nie miałem najmniejszej ochoty do śmiechu. Nie wyglądało to wcale na śmieszny historię. Nie, to nie było zabawne; to było raczej tragiczne; ten człowiek był taką typową ofiarą wielkiego żartu! Ale głupota jest jedynym motorem świata i dlatego koniec końców należy ją uznać za rzecz szacowną. Zresztą ten człowiek był, co się nazywa, dobrym człowiekiem. Nie mówię tego specjalnie z myślą o jego modlitwie. Nie! To był rzeczywiście człowiek uczciwy, zupełnie do tego świata nie przystosowany — zacy człowiek w położeniu bez wyjścia — widowisko zaiste dla bogów; gdyż żaden przyzwoity śmiertelnik nie chciałby czegoś podobnego oglądać. — Wydało się, że jakaś myśl błysnęła Heystowi. Zwrócił twarz ku Lenie. — Przecież ty byłaś także w położeniu bez wyjścia — czy przyszła ci wtedy na myśl modlitwa?

Oczy jej i twarz pozostały nieruchome. Tylko z ust padły słowa:

— Nie jestem — jak to się mówi — dobrą dziewczyną.

— To brzmi wymijająco — rzekł Heyst po krótkim milczeniu. — No więc ten zacy człowiek uciekł się do modlitwy; a kiedy mi to później opowiadał, uderzyła mnie śmieszność całej sytuacji. Nie, nie rozumiesz mnie — nie mówię naturalnie o samej modlitwie. I nawet wcale nie wydało mi się śmiesznym, że wcielenie Wieczności, Nieskończoności, Wszechmocy wezwano do walki ze spiskiem dwóch nędznych portugalskich metysów. Z punktu widzenia tego, który się modlił, grożące mu niebezpieczeństwo było czymś w rodzaju końca świata — albo czymś jeszcze gorszym. Nie! Co podziało mi na wyobraźnię, to fakt, że ja, Aksel Heyst, najbardziej oderwane ze stworzeń więzionych na ziemskim padole, najprawdziwszy włóczęga tej ziemi, obojętny wędrowiec wśród zgłębku świata — znalazłem się tam, aby wystąpić w roli wysłańca Opatrzności. I to właśnie ja, człowiek gardzący wszystkim i w nic nie wierzący...

Modlitwa

Wiara, Modlitwa, Ateizm

— Udajesz — przerwała mu przymilnie czarownym swym głosem.

— Nie. Taki już jestem z natury, czy z wychowania, czy też z jednego i drugiego. Nie darmo jestem synem swego ojca, tego człowieka z portretu. Jestem zupełnie taki sam, tylko brak mi jego geniuszu. A nawet mniej jeszcze wart jestem niż mi się zdaje, bo i pogarda opuszcza mnie z roku na rok. Nic mnie tak nigdy nie zabawiło jak ten epizod, w którym kazano mi nagle odegrać tak niesłychaną rolę. Przez chwilę sprawiło mi to wielką przyjemność. I wiesz, wydostałem go z tej opresji.

— Ocaliłeś człowieka dla zabawy — czy to chcesz powiedzieć? Tylko dla zabawy?

— Dlaczego ten podejrzliwy ton? — upomniał ją Heyst. — Sądzę, że widok tej strasznej rozpaczki był mi przykry. To, co nazywasz zabawą, nastąpiło później, gdy przyszło mi na myśl, że jestem dla niego chodzącym, oddychającym, wcielonym dowodem skuteczności modlitwy. Miało to dla mnie pewien urok — a zresztą jakżebym mógł mu to wyperswadować? Żaden argument nie ostałby się wobec takiego oczywistego faktu, a przy tym tak by to wyglądało, jakbym chciał sobie przypisać całą zasługę. Już i tak wdzięczność jego była po prostu straszna. Zabawne położenie, prawda? Dopiero w jakiś czas potem przyszedł czas na nudę, kiedy mieszkaliśmy razem na jego statku. Nie spostrzegłem się, że stwarzam dla siebie więzy. Nie wiem, jak ci to dokładnie wyjaśnić. Człowiek przywiązuje się do ludzi, dla których coś zrobił. Ale czy to była przyjaźń? Nie jestem tego pewien. Wiem tylko, że człowiek, który stworzył dla siebie więzy, jest zgubiony. Zaród zepsucia przeniknął do jego duszy.

Heyst mówił to lekko z odcieniem żartobliwości, która zaprawiała wszystkie jego wywody i zdawała się wypływać z najgłębszej istoty jego myśli. Dziewczyna, z którą się spotkał, którą posiadał, do której obecności jeszcze się nie przyzwyczaił, z którą żyć jeszcze nie umiał — to ludzkie stworzenie tak bliskie, a jednak tak obce, dawało mu większe poczucie rzeczywistości, niż wszystko, z czym zetknął się w życiu.

IV

Lena oparła łokcie na podniesionych kolanach, ujmując głowę w obie dłonie.

— Czy nie znudziło ci się tu siedzieć? — zapytał Heyst.

Niedostrzegalny prawie, przeczący ruch głowy był całą odpowiedzią.

— Dlaczego wyglądasz tak poważnie? — ciągnął dalej i zaraz pomyślał, że przy dłuższym obcowaniu ciągle powaga daleko jest łatwiejsza do zniesienia niż ustawiczna wesołość. — Ślicznie ci z tym wyrazem twarzy — dodał, wcale nie przez dyplomację; słowa te były szczere i zgodne z jego upodobaniem. — Jeśli mogę być pewnym, że nie nuda nadaje ci ten surowy wyraz, będę tu siedział chętnie i patrzył na ciebie, póki nie zechcesz odejść.

To była prawda. Heyst był wciąż pod świeżym urokiem wspólnego ich życia i nowych, niespodziewanych wrażeń; posiadanie tej kobiety głaskało mile jego próżność, bowiem mężczyzna musi doznawać tego uczucia, o ile mężczyzną być nie przestał. Oczy Leny zwróciły się w jego stronę i spoczęły na nim, po czym zapatrzyły się znowu w głęboki półmrok u stóp prostych drzew, których rozłożyste korony cofały z wolna swój cień. Ciepłe powietrze drgnęło z lekka naokoło jej nieruchomej głowy. Nie chciała patrzeć na Heysta z powodu niejasnej jakiejś obawy zdradzenia się przed nim. Czuła w najistotniejszej swej głębi nieprzeparte pragnienie, aby oddać mu się jeszcze zupełnie przez jakiś akt absolutnej ofiary. Zdawał się nie mieć o tym najmniejszego pojęcia. Był dziwnym stworzeniem bez żadnych potrzeb. Czuła wzrok jego na sobie; a że milczał, spytała nieśmiało, gdyż nie rozumiała jego milczenia:

— Więc mieszkasz razem z tym twoim przyjacielem — z tym dobrym człowiekiem?

— To był zacności człowiek — odparł Heyst z gotowością, której nie oczekiwała. — Lecz uległem jego prośbom przez słabość. W gruncie rzeczy wcale nie pragnąłem z nim mieszkać, ale on nie chciał za nic mnie puścić, a ja znów nie mogłem mu wytłumaczyć, o co mi chodzi. Należał do gatunku ludzi, którym nic wytłumaczyć nie można. Cechowała go niezmierna wrażliwość i byłbym popełnił okrucieństwo, raniąc delikatne jego uczucia przez wyjawienie tego, co należało powiedzieć. Umysł jego był podobny do czystego pokoju o białych ścianach; umeblowanie tego pokoju składało się — dajmy na to — z sześciu krzeseł wyplatanych słomą, które ciągle ustawiał i przestawiał w naj-

Pomoc

Przyjaźń

rozmaitszy sposób. Lecz były to wciąż te same krzesła. Życie z nim płynęło nadzwyczaj łatwo; ale z czasem przyszedł mu do głowy pomysł węglowej afery i opanował go zupełnie. Przeniknął do skąpo umeblowanego pokoju, o którym wspominałem, i rozsiadł się na wszystkich krzesłach. Widzisz, nie było nawet mowy o wyrugowaniu tego pomysłu. Miał zapewnić majątek i jemu, i mnie, i wszystkim. W ubiegłych latach, gdy nachodziły mnie chwile zwątpienia — jak to się zdarza człowiekowi, który postanowił nie poddać się absurdom życia — pytałem się siebie często z przelotną trwogą, w jaki sposób życie będzie usiłowało mną zawładnąć. I stało się to w ten sposób! Wbił sobie w głowę, że nic beze mnie zrobić nie może. Zapytał mnie wprost, czy zamierzam odepchnąć go i zmarnować mu życie? No więc pewnego ranka — ciekaw jestem czy poprzedniego wieczoru padł na kolana i modlił się — otóż pewnego ranka —

Heyst szarpnął gwałtownie kępą zeschłej trawy i odrzucił ją daleko nerwowym ruchem.

— Ustąpiłem — powtórzył.

Lena zwróciła ku niemu oczy i zauważywszy na jego twarzy silne poruszenie, śledziła je z tym niezmiernym zajęciem, które jego osoba budziła zawsze w jej sercu i umyśle. Lecz wzruszenie znikło wnet z twarzy Heysta; została tylko posępność.

— Trudno stawiać opór, jeśli nas nic właściwie nie obchodzi — zauważył. — A może i jest trochę kapryśności w mojej naturze. Bawiło mnie wypowiadanie na prawo i lewo głupich, pospolitych zdań. Nigdy nie miałem tak dobrej opinii na wyspach, jak wówczas, gdy zacząłem gadać handlowym żargonem niby patentowany idiota. Słowo daję, zdaje mi się, że mnie doprawdy przez pewien czas szanowano. Brałem to wszystko poważnie jak osioł; musiałem być lojalny względem tego człowieka. I byłem lojalny od początku aż do końca, lojalny aż do ostateczności, z całą uczciwością, na jaką mnie stać. Przypuszczałem, że mój wspólnik zna się trochę na sprawach węglowych. I nawet gdybym był wiedział, że nie ma o tym pojęcia, jak było w rzeczywistości — nawet i wtedy nie wyobrażam sobie, co należało zrobić, aby się opamiętał. Tak czy owak, musiałem być lojalny. Prawda, praca, ambicja, nawet miłość, mogą być tylko liczmanami⁵⁴ w smutnej czy nędznej grze życia, ale kiedy się weźmie w niej udział, trzeba grać partię do końca. Nie! cień Morrisona nie ma powodu mnie nawiedzać. Co ci się stało? Czemu tak patrzysz na mnie, Leno? Słabo ci?

Heyst poruszył się, jakby chciał wstać. Lena wyciągnęła ramię, aby go zatrzymać; pozostał w siedzącej pozycji, wsparty na ręce. Wpatrywał się w nią, obserwując nieokreślony wyraz jej twarzy pełnej niepokoju; zdawało się wprost, że Lena nie może zaczerpnąć powietrza.

— Co ci się stało? — nalegał, czując dziwną niechęć do poruszenia się i dotknięcia jej.

— Nic. — Przełknęła ślinę z trudem. — Naturalnie, że to niemożliwe. Jakie ty nazwisko wymieniłeś? Nie dosłyszałam nazwiska.

— Nazwisko? — powtórzył Heyst ze zdumieniem. — Wspomniałem tylko Morrisona. To nazwisko tego człowieka, o którym opowiadałam. Cóż z tego?

— I mówisz, że to był twój przyjaciel?

— Po tym, co słyszałaś, możesz sama osądzić. Wiesz tyle o moich stosunkach z nim, co i ja sam. Ludzie z tych okolic, sądząc z pozorów, nazywali nas także przyjaciółmi, o ile sobie przypominam. Pozory! Czyż można domagać się czegoś innego, czegoś lepszego? Niepodobna⁵⁵ żądać nic więcej.

— Chcesz mnie ogłuszyć słowami — zawołała. — Chyba z tego żartować nie możesz.

— Nie mogę? No tak, nie mogę. Szkoda. Tobie był może najlepszy sposób — rzekł Heyst tonem, który w jego ustach można było nazwać ponurym. — A jeszcze lepiej zapomnieć zupełnie o tej głupiej historii. — Lekka żartobliwość jego słów i obejścia wróciła jak przyzwyczajenie, z którym się zrósł, wróciła, nim jeszcze jego czoło zdążyło zupełnie się wypogodzić. — Ale dlaczego tak się we mnie wpatrujesz? Och, nie mam nic przeciwko temu i postaram się nie drgnąć. Twoje oczy —

Patrzył w nie i w istocie zapomniał w tej chwili najzupełniej o zmarłym Morrissonie.

⁵⁴liczman — żeton, przen.: coś bezwartościowego. [przypis edytorski]

⁵⁵niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

— Nie, doprawdy — wykrzyknął nagle. — Jakaś ty nieprzenikniona, Leno, z tymi twoimi szarymi oczami! To mają być okna duszy, jak powiedział jakiś poeta. Musiał być szklarzem z powołania. Natura dała ci w oczach doskonałą osłonę dla płochliwej duszy.

Gdy przestał mówić, Lena przysła do siebie i zaczerpnęła powietrza. Usłyszał jej głos, którego zmienny czar znał, zdawało się, tak dobrze, a który brzmiał teraz zupełnie obco:

— I ten twój wspólnik nie żyje?

— Morrison? O tak, mówiłem ci już, że —

— Nigdy mi tego nie mówiłeś.

— Nie? Myślałem, że ci mówiłem; a raczej myślałem, że musisz o tym wiedzieć. Wydaje mi się niemożliwym, aby ktoś, z kim rozmawiam, nie wiedział, że Morrison nie żyje.

Spuściła powieki; na twarzy jej pojawił się wyraz zgrozy, który przstraszył Heysta.

— Morrison! — wyszeptała przerażonym głosem. — Morrison! — Głowa jej opadła na piersi. Heyst nie mógł teraz widzieć jej rysów, ale z głosu poznawał, że z jakiejś przyczyny głęboko była poruszona dźwiękiem tego nieromantycznego nazwiska. Błysnęła mu nagle myśl — czyżby ona знаła Morrisona? Ale to było absolutnym niepodobieństwem wobec tego, że pochodzili z tak różnych środowisk.

— To doprawdy nadzwyczajne! — rzekł. — Czy słyszałaś już kiedy to nazwisko?

Skinęła kilkakrotnie głową krótkim, potwierdzającym ruchem, jak gdyby nie dowierzała sobie na tyle, aby mówić, czy nawet spojrzeć na niego. Przygryzła dolną wargę.

— Czy znałaś kogoś tego nazwiska? — zapytał.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy i wreszcie przemówiła urywanym głosem, jak gdyby przewyciężając jakąś wątpliwość czy obawę. Odrzekła Heystowi, że słyszała właśnie o tym człowieku.

— To niemożliwe! — rzekł stanowczo. — Mylisz się. Nie mogłaś o nim słyszeć. To jest —

Urwał, gdyż przyszło mu na myśl, że słowa jego są zupełnie bezcelowe, że na nic się nie zda rzucać argumenty w próżnię.

— Ależ ja doprawdy o nim słyszałam; tylko nie wiedziałam wtedy, nie mogłam odgadnąć, że oni mówią właśnie o twoim wspólniku.

— O moim wspólniku? — powtórzył Heyst z wolna.

— Właściwie nie. — Zdawała się równie zaskoczona, równie pełna wątpliwości, jak i on. — Nie; oni mówili o tobie; ale ja tego nie wiedziałam.

— Kto taki mówił? — spytał Heyst podniesionym głosem. — Kto mówił o mnie? Gdzie to było?

Przy pierwszym zapytaniu dźwignął się z pozycji leżącej, a przy ostatnim klęczał przed nią, przy czym głowy ich znalazły się na jednym poziomie.

— Naturalnie, że w tamtym mieście, w tamtym hotelu. Gdzieżby, jeśli nie tam — odrzekła.

Świadomość, że o nim mówiono, wprawiała zawsze Heysta w zdumienie, wobec uproszczonego pojęcia, jakie miał o sobie. Przez chwilę był tak zdziwiony, jakby wierzył rzeczywiście, że jest tylko cieniem przeszliżgującym się wśród ludzi. Poza tym miał na wpół świadome przekonanie, że plotki wyspiarskie nie mogą go dosięgnąć.

— Ale z początku mówiłaś, że rozmawiano o Morrisonie — zauważył, przysiadając na piętach. Przystawało go to zajmować. — Dziwi mnie, że miałaś sposobność przysłuchiwać się rozmowom; myślałem, że nie widywałaś nigdy ludzi z miasta, chyba tylko z estrady podczas koncertu.

— Zapominasz że nie mieszkalam z innymi dziewczynami — odrzekła. — Po jedzeniu wracały wszystkie do pawilonu, a ja musiałam zostawać w hotelu i szyć, czy też zająć się czym innym, w pokoju gdzie rozmawiali.

— Nie przyszło mi to na myśl. Ale prawda, nie powiedziałaś mi jeszcze, kto to byli ci oni?

— No naturalnie, że ta wstrętna bestia z czerwoną twarzą — rzekła z niepokonanym wstrętem, który budziła w niej każda myśl o hotelarzu.

— Ach, Schomberg! — mruknął niedbale Heyst.

— Rozmawiał ze starym — to znaczy z Zangiacomem. Musiałam czasem z nimi siedzieć. Ta jędba nie pozwalała mi odejść. Mówię o Zangiacomowej.

— Domyśliłem się — mruknął Heyst. — Lubiała dręczyć cię w najróżniejszy sposób. Ale to dziwne doprawdy, że hotelarz mówił do Zangiacoma o Morrisonie. O ile pamiętam, Morrison rzadko bywał w jego hotelu. Schomberg znał daleko lepiej wielu innych ludzi.

Dziewczyna wstrząsnęła się z lekka.

— To jedyne nazwisko, które wpadło mi w uszy. Odsuwałam się od nich tak daleko, jak tylko mogłam, w najdalszy kąt pokoju; ale ta bestia tak się darła, że nie mogłam nie usłyszeć. Chciałabym zapomnieć o wszystkim, co mówili. Gdybym była wstała i wyszła z pokoju, ta baba nie byłaby mnie pewno za to zabiła; ale skrzyczałaby mnie we wstrętny sposób. Byłaby mnie zasypała pogrozkami i obelgami. Kiedy tego rodzaju ludzie mają do czynienia z kimś bezsilnym, nic ich wstrzymać nie może. Nie wiem dlaczego tak jest, ale ze złymi ludźmi, co to się widzi, że są źli — nie umiem sobie poradzić. Mają taki jakiś sposób pogębiania człowieka. Boję się zła.

Heyst śledził na jej twarzy zmieniający się wyraz. Przytakiwał z głębokim zrozumieniem, trochę rozbawiony.

— Rozumiem cię doskonale. Nie potrzebujesz się usprawiedliwiać ze swojej wielkiej wrażliwości na okrucieństwo. Jestem w tym trochę do ciebie podobny.

— Nie jestem bardzo odważna — rzekła.

— No, no! nie wiem doprawdy, co bym zrobił — jaką bym miał minę — wobec istoty, którą bym uważał za wcielenie zła. Nie masz się czego wstydzić.

Odetchnęła, podniosła na niego blade, czyste spojrzenie i szepnęła z nieśmiałym wyrazem twarzy:

— Nie zdajesz się być ciekawym tego, co Schomberg opowiadał.

— O biednym Morrisonie? Nie mogło to być nic złego, bo ten biedak był wcieloną niewinnością. A przy tym, widzisz, Morrison nie żyje i nic go już nie obchodzi.

— Ależ powtarzam ci że on mówił o tobie — zawołała. — Mówił, że wspólnik Morrisona najpierw zabrał mu wszystko, co tylko się dało, a potem — a potem... no po prostu zamordował go — wysłał go gdzieś, gdzie tamten umarł!

— Uwierzyłaś temu? — spytał Heyst po chwili zupełnej ciszy.

— Nie wiedziałam że to ma z tobą coś wspólnego. Schomberg mówił o jakimś Szwedzie. Skądże miałam wiedzieć? Dopiero kiedy zacząłeś mi opowiadać, dlaczego tu przyjechałaś —

— A teraz masz już moją relację — Heyst siłił się na spokój. — Więc to tak wyglądało! — mruknął.

— Przypominam sobie jak mówił, że każdy człowiek z tych okolic zna tę historię — dodała bez tchu.

— To dziwne, że taka rzecz może sprawić ból — rozważał Heyst — a jednak sprawia. Zdaje mi się, że jestem takim samym głupcem jak ci wszyscy, którzy znają tę historię — i wierzą w nią bez wątpienia. Może jeszcze sobie co przypominasz? — zwrócił się do Leny z sarkastyczną uprzejmością. — Słyszałem często o moralnych korzyściach płynących ze spojrzenia na siebie oczami innych ludzi. Prowadźmy dalej badania. Czy nie przypominasz sobie jeszcze czegoś, o czym wszyscy wiedzą?

— Och, nie śmiej się! — krzyknęła.

— Rzeczywiście się śmiałem? Zapewniam cię, że nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie pytam, czy wierzysz w relację hotelarza. Przypuszczam, że musisz znać wartość ludzkich sądów.

Rozłożyła dłonie, poruszyła nimi lekko i splótła palce jak poprzednio. Czy to miał być protest? Czy potwierdzenie? I to już wszystko? Poczul ulgę, gdy przemówiła tym ciepłym, cudownym głosem, który sam przez się krzepił i czarował serce, który był takim jej urokiem.

— Przecież słyszałam to, nim jeszcze zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Potem wyszło mi to z pamięci. Wszystko wyszło mi wtedy z pamięci; i byłam temu rada. To był dla mnie początek nowego życia — z tobą — i ty wiesz o tym. Czemuż nie zapomniałam zupełnie, kim byłam przedtem — tak byłoby najlepiej; a prawie już udało mi się zapomnieć.

Wzruszyło go uczucie drgające w ostatnich słowach. Zdawała się mówić z cicha o jakimś dziwnym czarze w słowach tajemniczych i pełnych szczególnego znaczenia. Pomyślał, że gdyby umiała mówić do niego tylko jakimś nieznanym językiem, przykułaby go

Zło, Przemoc

do siebie pięknem samego dźwięku, przywodzącego na myśl niezmierne głębie mądrości i uczucia.

— Ale — ciągnęła — to nazwisko utkwiło jakoś w głowie; i kiedy je wymówiłeś —

— Wówczas czar prysł — mruknął Heyst w gniewnym rozczarowaniu, jak gdyby zawiodła go jakaś nadzieja.

Lena, siedząc trochę wyżej od Heysta, śledziła spokojnymi oczami zadumę i milczenie tego mężczyzny, od którego zależała tak zupełnie. Dotychczas nie zdawała sobie z tego jasno sprawy, ponieważ aż do tej chwili nigdy jeszcze nie odczuła, że jest zawieszona między niebem a ziemią — w jego ramionach. Co by się stało, gdyby zmęczył się swym ciężarem?

— I przecież nikt nigdy nie wierzył w to gadanie!

Heyst ocknął się w nagłym wybuchu śmiechu, na którego dźwięk oczy Leny się rozszerzyły, jak gdyby się niezmiernie zdziwiła. Ale był to odruch machinalny; ani ją ten śmiech zdziwił, ani zaskoczył. W gruncie rzeczy rozumiała teraz Heysta lepiej niż kiedykolwiek, począwszy od chwili, gdy oczy jej pierwszy raz na nim spoczęły.

Śmiał się z pogardą.

— Co się ze mną dzieje? — zawołał. — Jak gdyby mnie mogło obchodzić, co ktośkolwiek powiedział i w co wierzono od początku świata aż do dnia sądu ostatecznego!

— Nie słyszałam nigdy twego śmiechu — dopiero dzisiaj — zauważyła. — Już drugi raz się śmiejesz.

Dźwignął się z ziemi i górował nad nią całą postacią.

— To wszystko dlatego, że gdy ktoś wdrze się do czyjegoś serca, jak ty wdarłaś się do mojego, wtedy otwiera się droga dla wszystkich słabości — wstydu, gniewu, idiotycznych oburzeń, idiotycznych obaw — a także idiotycznego śmiechu. Ciekaw jestem, jak sobie ten śmiech tłumaczysz?

— Nie był wcale wesoły — rzekła. — Ale dlaczego gniewasz się na mnie? Czy żałujesz, że odebrałaś mi tym bestiom? Powiedziałam ci przecież, kim jestem. I mogłeś sam to widzieć.

— Boże mój! — szepnął. Odzyskiwał panowanie nad sobą. — Zapewniam cię, że widziałem znacznie więcej, niż ty mi mogłaś powiedzieć. Widziałem wiele rzeczy, których dotychczas wcale nie podejrzewasz; tylko że ciebie na wskroś przejrzeć nie można.

Opuścił się na ziemię obok niej i ujął jej rękę. Pytała łagodnie:

— Czego chcesz jeszcze ode mnie?

Nie odzywał się wcale przez chwilę.

— Zdaje mi się, że chcę niepodobieństwa — rzekł bardzo cicho, jak gdyby jej się z czymś zwierzał, i jednocześnie ścisnął ujętą dłoń.

Nie oddała uścisku. Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie jakąś myśl, i dodał głośniejszym lekkim tonem:

— Tak, żądam niepodobieństwa. I to wcale nie dlatego, abym lekceważył to, co już otrzymałem. Broń Boże! Ale cenię tak wysoko swą zdobycz, że niepodobna mi się nasycić jej posiadaniem. Wiem, że to nie jest rozsądne. Teraz nie możesz już nic zatrzymać dla siebie.

— Doprawdy nie mogę — szepnęła, pozostawiając biernie rękę w jego mocnym uścisku. — Pragnę tylko móc dać ci coś więcej jeszcze, czy coś lepszego — wszystko czego pragniesz.

Wzruszył go szczyry akcent tych prostych słów.

— Powiem ci co możesz zrobić — możesz mi powiedzieć, czy byłabyś poszła za mną, gdybyś była wiedziała, o kim mówił ten wstrętny idiota. Więc jestem mordercą — ni mniej, ni więcej!

— Ależ ja ciebie wcale wtedy nie znałam — zawołała. — I mam wrażenie, że zrozumiałam dobrze co opowiadał. To nie było właściwie morderstwo. I nigdy tego nie myślałam.

— Skąd przyszła mu do głowy taka ohyda? — wykrzyknął Heyst. — Wygląda na ograniczone bydlę. I jest ograniczony. Jakim sposobem zdołał wymyślić tę miłą historię? Czy mam taki szczególnie podły wyraz twarzy? Czy nikczemny egoizm maluje się na niej? A może ten rodzaj postępków jest taki ogólnoludzki, że każdego można o to posądzić?

Tajemnica

— To nie było morderstwo — nalegała poważnie.

— Wiem. Rozumiem. To było coś gorszego. Co się zaś tyczy zabójstwa, które w porównaniu z tym byłoby postępkiem względnie przyzwoitym — nie popełniłem go nigdy.

— Dlaczegoż byś miał je popełnić? — spytała zaleknionym głosem.

— Moja droga, nie znasz tego rodzaju życia, jakie prowadziłem w niezbadanych krajach, w dzikiej głuszy; trudno ci dać o tym pojęcie. Są ludzie, którzy nie byli nigdy w tak ciężkich opałach jak ja, a jednak musieli — przelewać krew, jak to się mówi. I w najdzikszej głuszy kryją się łupy nęcące ludzi; ale ja nie miałem żadnych zamiarów ani planów — ani nawet wielkiej stałości charakteru, która by uczyniła mnie zbyt upartym. Po prostu krążyłem tylko po ziemi, podczas gdy inni zapewne dokądś dążyli. Obojętność na drogi i cele czyni człowieka niejako miększym. I mogę powiedzieć także z całą szczerością, że nie dbałem nigdy — nie powiem o życie, gdyż zawsze pogardzałem tym, co ludzie tak nazywają — ale o to, by przy życiu pozostać. Nie wiem, czy to właśnie nazywa się odwagą; bardzo wątpię.

— Jak to! Ty nie jesteś odważnym? — zaprotestowała.

— Nie wiem doprawdy. W każdym razie nie mam tego rodzaju odwagi, która sięga zawsze po broń, bo nigdy nie było mi pilno użyć broni podczas kłótni, w które człowiek zaplątuje się czasem w najniewinniejszy sposób. Powody, dla których ludzie mordują się nawzajem, tak jak i wszystkie ludzkie czyny, są godne najwyższej pogardy i pożałowania, gdy się wstecz na nie spogląda. Nie — nie zabiłem nigdy mężczyzny i nie kochałem kobiety — nawet w myśli, nawet w marzeniu.

Podniósł jej rękę do ust i zatrzymał tak przez chwilę, a ona przysunęła się do niego trochę bliżej. Po tym przeciągłym pocałunku nie puścił już jej dłoni.

— Zabijając, kochać — oto najważniejsze sprawy w życiu mężczyzny! W żadnej z nich nie mam doświadczenia. Musisz mi wybaczyć wszystko, co wydało ci się niezręcznym w moim obejściu, nie dopowiedzianym w moich słowach i niestosownym w moim milczeniu.

Poruszył się niespokojnie, stropiony trochę jej zachowaniem, ale pełen wyrozumiałości; w tej chwili zupełnego spokoju odczuł, że trzymając tę rękę tak posłuszną jego woli, doznaje ściślejszego z Leną zespolenia aniżeli kiedykolwiek przedtem. Ale nawet i teraz błąkało się w nim poczucie pewnej niezupełności, której — zdawało się — nic nigdy nie usunie, owej nieuniknionej niedoskonałości wszystkich darów życia, czyniącej z nich złudzenia i sidła.

Nagle ścisnął gniewnie jej dłoń. Żartobliwa równowaga, wynikająca zarówno z dobrotliwości, jak i z pogardy, znikła z chwilą, gdy utracił swą gorzką wolność.

— Mówisz, że to nie jest morderstwo! I ja tak myślę. Ale gdy teraz — w rozmowie, którąś wywołała — wymienił to nazwisko i gdy zrozumiałaś, że mówiono o mnie, dziwnie cię to wzruszyło. Widziałem to dobrze.

— Przestraszyłam się trochę — rzekła.

— Niegodziwości mego postępowania? — spytał.

— Nie chciałabym ciebie sądzić; za nic w świecie.

— Doprawdy?

— Byłoby to tak, jakbym się ośmieliła sądzić wszystko, co tu jest. — Uczyniła ruch ręką, jak gdyby chciała objąć jednym gestem ziemię i niebo. — Nie mogłabym na to się ważyć.

Nastąpiła cisza, przerywana wreszcie przez Heysta.

— I to ja! Właśnie ja miałem skrzywdzić śmiertelnie mego biednego Morrisona! — krzyknął. — Ja, który nie mogłem ścierpieć, aby jego uczucia zostały urażone. Ja, który szanowałem nawet jego szaleństwo! Tak, szaleństwo, po którym zostały te ruiny, leżące wzdłuż bulwaru w zatoce Czarnych Diamentów. Jakże mogłem inaczej postąpić? Uważał mnie wciąż za swego zbawcę; miał ustawicznie na końcu języka dozgonne zobowiązania dla mnie, aż palił mnie wstyd z powodu tej jego wdzięczności. Cóż na to mogłem poradzić? Chciał mi się gwałtem odplacić tym przeklętym węglem; musiałem przyłączyć się do jego planu, jak gdybym brał udział w zabawie dzieci w dziecinnyim pokoju. Nie mogłem dopuścić myśli o upokorzeniu go, tak jak nie można pomyśleć o upokorzeniu dziecka. I po co o tym wszystkim mówić! Naturalnie, że tutejsi ludzie nie mogli zrozumieć prawdziwego naszego stosunku. Ale co to ich mogło obchodzić? Zabić starego

Odwaga

Mężczyzna

Morrisona! Byłoby mniej zbrodniczo, mniej niegodziwie — nie mówię już, że byłoby mniej trudno — zabić człowieka, niż podejść go w ten sposób. Czy to rozumiesz?

Skinęła głową lekko, ale raz po raz i z widocznym przekonaniem. Oczy Heysta spoczywały na niej badawczo; wzbierała w nich czułość.

— Ale nie popełniłem żadnego z tych czynów — ciągnął dalej. — Więc skąd twoje wzruszenie? Wyznajesz tylko, że nie chciałabyś mnie sądzić.

Zwróciła na niego zamglone, niewidzące szare oczy, w których zdziwienie jej nie odbijało się wcale.

— Mówię, że nie mogłabym ciebie sądzić — szepnęła.

— Ale pomyślałaś, że nie ma dymu bez ognia! — Przez żartobliwość jego tonu przebijало rozdrażnienie. — Cóż za siła musi być w słowach — i to słowach słyszanych od niechęcenia — gdyż nie przysłuchiwałaś się ze specjalną uwagą, prawda? Co to były za słowa? Jakież złośliwy wysiłek wyobraźni wpędził je w usta tego idioty z jego kłamliwego gardła? Gdybyś mogła je sobie przypomnieć, może by i mnie przekonały.

— Ależ nie przysłuchiwałam się wcale — zaprzeczyła. — Cóż mnie mogło obchodzić, co oni o kim mówili? Schomberg opowiadał, że nie widziano nigdy dwóch przyjaciół pozornie tak sobie oddanych jak wy obaj, i że później, kiedyś już wyciągnął z Morrisona wszystko, o co ci chodziło i kiedy ci się porządnie znudził, wypchnął go do Anglii, aby tam umarł.

Oburzenie, podszyte jeszcze jakimś innym uczuciem, zabrzmiało w jej słowach wymówionych czystym, czarującym głosem. Umilkła nagle i spuściła długie, ciemne rzęsy, jakby się czuła śmiertelnie znużona i zgnębiona.

— Naturalnie, dlaczego by nie miało ci się znudzić to albo inne towarzystwo? Jesteś inny niż wszyscy ludzie — i myśl ta zabolala mnie nagle; ale wierzę ci, nie pomyślałam o tobie nic złego. I —

Nagły ruch ręki, odrzucającej dłoń Leny, zatrzymał słowa na jej ustach. Heyst stracił znów panowanie nad sobą. Byłby krzyczał, gdyby to leżało w jego usposobieniu.

— Nie, doprawdy, ta ziemia wybrana jest najwidoczniej z pomiędzy wszystkich planet na wylęgarnię potwarzy, której by starczyło dla całego świata! Czuję wstręt do samego siebie, jak gdybym wleciał w jakąś plugawą dziurę. Brr! A ty — umiesz tylko powiedzieć, że nie chcesz mnie sądzić; że —

Lena podniosła głowę w odpowiedzi na ten wybuch, choć Heyst nie zwrócił się w jej stronę.

— Nie wierzę, aby było w tobie co złego — powtórzyła. — Nie mogłabym wierzyć.

Zrobił ruch, jakby chciał powiedzieć:

— To mi wystarczy.

W duszy i ciele odczuł nerwową reakcję po tkliwości. Nagle, bez żadnego przejścia, poczuł że jej nienawidzi. Ale tylko przez chwilę. Przypomniawszy sobie, że jest ładna i, co więcej, że ma szczególnie wdzięk w codziennym życiu. Była w niej tajemnica indywidualności, która podnieca — i nie da się ująć.

Zerwał się i zaczął chodzić tam i na powrót. Wkrótce ukryta wściekłość rozpadła się w nim w proch, niby wariacka jakaś budowla, zostawiając po sobie pustkę, żal i znękanie. Miał urazę nie do Leny, ale do samego życia — do tych najpospolitszych siideł, w które się czuł schwytanym; zdawał sobie jasno sprawę z tego spisku nad spiski, lecz przenikliwość jego umysłu nie pocieszała go bynajmniej.

Zboczył z drogi i wspiąwszy się ku Lenie, położył się na ziemi u jej boku. Zanim zdołała się poruszyć czy nawet zwrócić głowę w jego stronę, wziął ją w ramiona i przycisnął wargi do jej ust. Poczuł na nich gorzyc lzy, która tam spłynęła. Nigdy jeszcze nie widział jej płaczącej. Był to jakby nowy apel do jego czułości — nowy urok. Lena spojrzała w koło, odsunęła się nagle i odwróciła twarz. Stanowczym ruchem ręki nakazała, aby ją puścił — ale Heyst rozkazu nie usłuchał.

V

Gdy wreszcie otworzyła oczy i usiadła, Heyst wstał szybko i poszedł podnieść jej hełm korkowy, który potoczył się nieco dalej. Przez ten czas zajęła się ułożeniem włosów, splecionych na wierzchu głowy w dwa ciężkie, ciemne warkocze, które się trochę rozluźniły.

Kłamstwo

Podał jej hełm w milczeniu i czekał, jakby nie miał ochoty usłyszeć dźwięku własnych słów.

— Może byśmy zeszli teraz na dół — zaproponował cichym głosem.

Wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać. Miał zamiar uśmiechnąć się, ale nie uczynił tego, spojrzawszy bliżej w jej spokojną twarz, na której malowało się niezmierne znużenie duszy. Wracając znów na leśną ścieżkę, musieli przejść przez miejsce, skąd roztaczał się widok na morze. Płomienna, przepaścista pustka, płynny, falujący blask, tragiczna brutalność światła wzbudziły w niej tęsknotę za dobrotliwą nocą z gwiazdami zatrzymanymi w biegu przez jakieś srogie zakłęcie; za ciemnym, aksamitnym niebem i tajemniczym, wielkim cieniem morza, wlewającym spokój do serca przez dzień znużonego. Podniosła rękę do oczu. Za jej plecami Heyst rzekł łagodnie:

— Idźmy dalej, Leno.

Szła przed nim w milczeniu. Heyst zauważył, że nigdy jeszcze nie byli na dworze podczas najgorętszych godzin. Wyraził obawę, aby to jej nie zaszkodziło. Jego troskliwość ucieszyła ją i podziałała na nią kojąco. Czuła się coraz bardziej tym, czym była w rzeczywistości — biedną londyńską dziewczyną, grywającą w orkiestrze i wyrwaną z poniżeń i wstrętnych niebezpieczeństw nędznego życia przez człowieka, któremu nie było i nie mogło być równego na świecie. Czuła to z uniesieniem, z niepokojem, z wewnętrzną dumą — i z jakimś dziwnym ściśnięciem serca.

— Upał niełatwo wyprowadza mnie z równowagi — rzekła stanowczo.

— Tak, ale trzeba pamiętać, że nie jesteś podzwrotnikowym ptakiem.

— Ty także nie urodziłeś się w tych stronach — odparła.

— Nie, i prawdopodobnie nie mam nawet twoich sił. Jestem rośliną przesadzoną w inny grunt. Właściwie nie przesadzoną; powinienem powiedzieć wyrwaną z korzeniami, a to nie jest stan normalny; ale mówią o człowieku, że wytrzymuje wszystko.

Obejrzała się na niego i otrzymała uśmiech w darze. Heyst polecił jej trzymać się zacisznej i wąskiej leśnej ścieżki; panował tam upał, lecz nie było blasku. Niekiedy ukazywała się ich oczom dawna polanka spółki, jaśniejąca światłem, w którym czarne kikuty pni stały zwęglone, bez cieni, nędzne i ponure. Przeszli przez otwartą przestrzeń, zmierzając w prostej linii ku domkowi. Zdawało im się, że na werandzie mignął Wang, choć Lena wcale nie była pewna, czy widziała poruszającą się postać. Heyst nie miał co do tego wątpliwości.

— Wang wyglądał nas. Spóźniliśmy się.

— Rzeczywiście nas wyglądał? Zdawało mi się przez chwilę, że widzę coś białego, a potem przestałam to widzieć.

— Otóż to właśnie, on tak znika. To nadzwyczajny talent w tym Chińczyku.

— Czy oni wszyscy są tacy? — spytała z naiwną ciekawością i niepokojem.

— Nie wszyscy dochodzą do takiej doskonałości — rzekł rozbawiony Heyst.

Zauważył z przyjemnością, że Lena nie była wcale zgrzana po spacerze. Kropelki potu na jej czole wyglądały jak rosa na chłodnym, białym kwietnym płatku. Patrzył ze wzrastającym wciąż upodobaniem na jej postać wdzięczną i silną, giętką i wytrzymałą.

— Idź do pokoju i wypocznij sobie przez jaki kwadrans, a potem pan Wang da nam coś do zjedzenia — rzekł.

Stół był już nakryty. Kiedy się znów zeszli i zasiedli do obiadu, Wang zmaterializował się bez najlżejszego szmeru, choć go nie zawołano, i obsługiwał im. Zaledwie skończyli jeść, okazało się nagle, że nie ma Chińczyka.

Glucha cisza ciążyła nad Samburanem — cisza wielkiego upału, który zdaje się kryć w sobie jakieś nieuniknione następstwa, jak je kryje milczenie pełne żarliwych myśli. Heyst został sam w wielkiej jadalni. Lena, widząc że bierze do ręki książkę, usunęła się do swego pokoju. Heyst usiadł pod portretem ojca i wstrętna potwarz wślizgnęła się z powrotem do jego pamięci. Poczul jej smak na ustach, mdły i gryzący, jak niektóre rodzaje trucizny. Miał ochotę splunąć po prostu na ziemię z odruchowym, silnym wstrętem, wywołanym przez to fizyczne wrażenie. Potrząsnął głową, dziwiąc się samemu sobie. Nie był przyzwyczajony do reagowania w ten sposób — fizycznymi odruchami — na przeżycia duchowe. Poruszył się niecierpliwie na krześle i oburącz podniósł książkę do oczu. Było to jedno z dzieł jego ojca. Otworzył je na chybił trafił i wzrok jego padł na środek stronicy. Starszy Heyst poruszał w swych licznych książkach wszelkie możliwe tematy —

Ciało

pisał o przestrzeni i czasie, o zwierzętach i o gwiazdach; analizował myśli i czyny, śmiech i zmarszczenie brwi, i skurcze twarzy wywołane przez agonię. Syn czytał w skupieniu, a twarz zmieniała mu się jakby pod wzrokiem autora. Był przejęty do żywego bliskością portretu, który wisiał z prawej strony, nieco nad jego głową; czuł dziwną obecność tej postaci w ciężkiej ramie, na wątlej ścianie z mat; portret był tam jakby na wygnaniu i u siebie zarazem — obcy na tym tle i potężny w nieruchomości malowanego profilu.

A Heyst, syn, czytał:

Najokrutniejszym ze wszystkich podstępów życia jest pociecha miłości
— a także i najbardziej przebiegłym; gdyż pragnienie jest źródłem marzeń.

Miłość

Przewracał kartki małego tomiku pod tytułem: *Burza i pył*, zaglądając tu i ówdzie do tekstu zawierającego rozmyślania, maksymy i krótkie sentencje, niekiedy zagadkowe, a niekiedy bardzo wymowne. Zdawało mu się, że słyszy głos ojca, jak mówi i znów mówić przestaje. Złaskł się z początku, ale później znalazł urok w tym złudzeniu. Uwierzył prawie, że coś z ojca przebywa jeszcze na ziemi: upiorny głos, dostępny uszom z jego własnej krwi i kości. Z jakąż dziwną pogodą, splecioną z przerażeniem, spoglądał ów człowiek na nicość wszechświata! Pogrążył się w niej na oślep, może aby uczynić łatwiejszą do zniesienia śmierć, która staje przed człowiekiem w odpowiedzi na każde zapytanie.

Heyst poruszył się; upiorny głos zamilkł, ale oczy Heysta przebiegały w dalszym ciągu wiersze ostatniej kartki:

Ludzie o udręczonym sumieniu albo zbrodniczej wyobraźni zdają sobie sprawę z wielu rzeczy, których zgola nie podejrzewają spokojne, zrezygnowane dusze. To nie tylko poeci odważają się schodzić w przepaści piekieł, albo wręcz marzą o takim zejściu w otchłanie. Nawet najmniej wymowne z ludzkich stworzeń musi sobie powiedzieć w jakimś momencie życia: „Wszystko, byle nie to!”

Każdy z nas ma chwile jasnowidzenia. Niewiele nam z nich przychodzi. Porządek świata nie pozwala, aby cośkolwiek udzieliło nam pomocy. W gruncie rzeczy haniebnym jest ten porządek, jeśli go sądzić według zasad ustalonych przez jego ofiary. Usprawiedliwia najgwałtowniejsze protesty i zarazem miażdży je nieodwołalnie, podobnie jak miażdży najbardziej ślepe poddanie się losowi. Tak zwane zło — zarówno jak i tak zwana cnota — musi samo dla siebie stanowić nagrodę, jeśli ma być czymś istotnym...

Jasnowidzący czy zaślepieni, wszyscy ludzie kochają swoją niewolę. Nad nieznaną potęgę przeczucia przedkładają nędzę niewolniczego barłogu. Jedynie człowiek może wzbudzić w nas wstręt do litości; a jednak sądzę, że łatwiej uwierzyć w nieszczęście człowieka, aniżeli w jego złą wolę.

To były ostatnie słowa. Heyst opuścił książkę na kolana. Głos Leny przemówił nad jego pochyloną głową:

- Siedzisz tu, jak gdybyś się czuł nieszczęśliwym.
- Myślałem, że śpisz — odpowiedział.
- Położyłam się rzeczywiście, ale nawet nie zamknęłam oczu.
- Sen byłby cię pokrzepił po spacerze. Czy nie próbowałaś zasnąć?
- Mówię ci, że położyłam się, ale zasnąć nie mogłam.
- I leżałaś tak cicho! Co za nieszczęście! A może chciałaś być chwilę sama?
- Ja bym miała chcieć samotności! — szepnęła.

Zauważył, że spoglądała na książkę, i wstał, aby postawić ją z powrotem na półce. Odwróciwszy się, zobaczył że Lena osunęła się na krzesło — było to zwykle jej miejsce — i wyglądała jakby opuściły ją nagle wszystkie siły, zostawiając tylko młodość, która wydała mu się bardzo wzruszająca i zdana na jego łaskę i niełaskę. Podszedł szybko do krzesła.

— Zmęczona jesteś, prawda? To moja wina, że zaprowadziłem cię tak wysoko; za długo byliśmy na dworze. A przy tym taki dziś duszny dzień!

Śledziła jego zaniepokojenie, siedząc bezwładnie z oczami ku niemu wzniesionymi, równie nieodgadniona jak zawsze. Unikał jej wzroku właśnie dla tej przyczyny. Zapamiętał się w podziwie dla tych biernych ramion, dla tych bezbronnych ust i — tak! musiał jednak

do nich wrócić — dla tych szeroko rozwartych oczu. Coś dzikiego w siwym jej wzroku przypominało mu morskie ptaki pod chłodnym, chmurnym niebem północy. Drgnął, gdy zaczęła mówić, odczuwszy nagle w jej głosie cały urok fizycznego zbliżenia.

— Powinieneś starać się mnie pokochać! — rzekła.

Poruszył się ze zdziwieniem.

— Starać się! — mruknął. — Ależ zdaje mi się — Urwał i uświadomił sobie, że jeśli ją kocha, nigdy jej tego wyraźnie nie powiedział. Te proste słowa zamierały na jego ustach. — Skąd ci to przyszło na myśl? — Zapytał.

Spuściła powieki i odwróciła nieco głowę.

— Nic nie zrobiłam dla ciebie — rzekła cichym głosem. — To tylko ty byłeś dla mnie dobry, uczynny i serdeczny. Może i kochasz mnie za to właśnie — tylko za to; a może kochasz mnie, ponieważ dotrzymuję ci towarzystwa i ponieważ — ot, tak sobie! Ale zdaje mi się czasem że nigdy nie pokochasz mnie dla mnie samej, tak jak ludzie kochają, jeżeli to ma być na zawsze. — Głowa jej opadła na piersi. — Na zawsze — szepnęła znów; potem dodała błagalnie jeszcze ciszej: — Spróbuj mnie pokochać!

Te ostatnie słowa przeniknęły prosto do jego serca — raczej ich dźwięk niż znaczenie. Nie wiedział, co ma powiedzieć, czy to z braku wprawy w postępowaniu z kobietami, czy po prostu wskutek wrodzonej uczciwości. Cała jego odporność załamała się. Życie trzymało go mocno za gardło. Zdobył się jednak na uśmiech, pomimo że na niego nie patrzyła; tak, zdobył się na charakterystyczny swój uśmiech, pełen żartobliwej uprzejmości, tak dobrze znany na wyspach ludziom wszelkiego pokroju i wszelkiej kondycji.

— Moja droga Leno — rzekł — wygląda mi na to, że usiłujesz nawiązać bardzo niepotrzebną sprzeczkę — i to ze mną!

Nie poruszała się wcale. Heyst, rozstawiwszy łokcie, podkręcał końce długich wąsów w pozie bardzo męskiej i zakłopotanej, otoczony atmosferą kobiecości niby chmurą, podejrzewając zasadzkę i jakby lękając się ruszyć.

— Muszę jednak przyznać — dodał — że nie ma tu prócz nas nikogo; a przypuszczam, że pewna doza klótni jest konieczna, aby istnieć na tym świecie.

Ta młoda kobieta, siedząca na krześle ze spokojnym wdziękiem, była dla niego niby pismo w nieznanym języku, a nawet bardziej jeszcze niezrozumiała: po prostu jak wszelkie pismo dla analfabety. Co się tyczy kobiet, Heyst był absolutnym ignorantem i nie miał daru intuicji, rozwijającego się w młodości pod wpływem marzeń i wizyj — ćwiczeń serca, które zbroją je do walk na tym świecie, gdzie nawet miłość polega tyleż na antagonizmie, co na wzajemnym pociągu. Jego duchowy stan był podobny do stanu człowieka oglądającego na wszystkie strony pismo, którego odcyfrować nie jest w stanie, a które może zawierać jakąś rewelację. Nie wiedział co ma powiedzieć. Zdobył się tylko na te słowa:

— Nie rozumiem nawet co zrobiłem, albo czego nie zrobiłem — żeby przyprawić cię o takie zmartwienie?

Zatrzymał się, uderzony ponownie fizycznym i moralnym poczuciem czegoś niedoskonałego w ich stosunku — poczuciem, z którego płynęło pragnienie jej ciągłej bliskości; musiał mieć ją wciąż przed oczami, czuć ją pod ręką, ponieważ, gdy nie mógł na nią patrzeć, wydawała mu się mglista, złudna i nieuchwytna, jak obietnica, której nie można objąć i przytrzymać.

— Nie! nie zdaję sobie sprawy, o co ci chodzi. A może myślisz o przyszłości? — zagadnął ją z wyraźną żartobliwością, ponieważ wstydził się, że podobne słowo zjawia się na jego ustach. Ale wszystkie umiłowane teorie opuszczały go jedna za drugą.

— Bo jeśli zaprzęta cię przyszłość, nic łatwiejszego jak odpędzić tę troskę. Ani w naszej przyszłości, ani w tym, co ludzie nazywają przyszłym życiem, nie ma nic, czego by można było się lękać.

Podniosła na niego oczy; i gdyby natura nie przeznaczyła ich do wyrażania samej tylko prawości, byłby się dowiedział, jak bardzo przeraziły ją te słowa i jak ją przeraziła świadomość, że zamierające jej serce kocha go rozpaczliwiej niż kiedykolwiek. Uśmiechnął się do niej.

— Przestań myśleć o przyszłości — nalegał. — Chyba nie przypuszczasz że po tym, co od ciebie usłyszałem, pragnę wrócić do ludzi. Ja! ja — mordercą mego biednego Morisona! Może i jestem rzeczywiście zdolny do tego, o co mnie posądzają. Ale chodzi mi

Miłość

Kobieta

o to, że tego nie popełniłem. Przykro mi poruszać ten temat. Powinienem się wstydzić wyznać to — ale tak jest! Zapomnijmy o tym. Jest w tobie, Leno, coś, co pozwoliłoby mi zapomnieć o jeszcze gorszych rzeczach, o wstrętniejszych przeżyciach. A jeśli zapomnimy oboje, nie ma tu głosów, które by mogły nam to przypomnieć.

Podniosła głowę, nim jeszcze przestał mówić.

— Nikt tu do nas wtargnąć nie może — ciągnął dalej i — jakby w podniesionych jej oczach była jakaś prośba czy wyznanie — schylił się i ujął ją pod ramiona, biorąc ją wprost z krzesła w nagły, mocny uścisk. Podążyła ku niemu z porywem, który uczynił ją lekką jak piórko i bardziej rozgrzał mu serce, niż przedtem poufniejsze pieszczoty. Nie spodziewał się po niej tego uniesienia, kryjącego się pod biernością. Ledwie poczuł jej ramiona naokoło szyi, oderwała się od niego z lekkim okrzykiem: „On tu jest!” i uciekła do swego pokoju.

VI

Heyst zdumiał się. Rozejrzył się wokół, jakby brał cały pokój na świadka tego zuchwałstwa, i spostrzegł że Wang zmaterializował się we drzwiach. To wtargnięcie było wprost niesłychane wobec tego, że Wang ukazywał się tylko w ściśle oznaczonych godzinach. W pierwszej chwili Heyst miał ochotę się roześmiać. Ów komentarz do twierdzenia, że nic im nie może przeszkodzić, zmniejszył nieco napięcie jego uczuć. Ale trochę go to zirykowało. Chińczyk zachowywał głębokie milczenie.

— Czego chcesz? — spytał Heyst poważnie.

— Tam łódź — rzekł Chińczyk.

— Gdzie? Co chcesz powiedzieć? Łódź przyniesiona prądem?

Z nieuchwytniej zmiany w zachowaniu Wanga można było wnosić, że jest zdyszany, choć nie oddychał prędko i choć głos jego brzmiał spokojnie.

— Nie — wiosłować.

Teraz Heyst przestraszył się i podniósł głos.

— Łódź z Malajami?

Wang zaprzeczył lekkim ruchem głowy.

— Słyszysz, Leno? — zawołał Heyst — Wang mówi, że zobaczył jakąś łódź — gdzieś blisko najwidoczniej. Wang, gdzie jest ta łódź?

— Za przylądkiem — rzekł głośno Wang, zmieniając niespodzianie język angielski na malajski. — Biali ludzie — trzech.

— Tak blisko? — wykrzyknął Heyst, wychodząc na werandę. Wang wyszedł za nim. — Biali ludzie? Niemożliwe!

Cienie wydłużały się już na polance. Słońce wisiało nisko; czerwony blask leżał na spalonym, czarnym gruncie przed willą i kładł się ukośnie na ziemię między prostymi, wyniosłymi drzewami podobnymi do masztów i wznoszącymi się na sto albo więcej stóp bez jednej gałązki. Podszycie z krzaków zasłaniało widok z werandy na pomost. W oddali na prawo widać było szopę Wanga, a raczej ciemny dach z mat górujący nad bambusowym płotem, który ochraniał domowe zacisze kobiety z plemienia Alfuro. Chińczyk spojrzał szybko w tamtą stronę. Heyst zatrzymał się i cofnął o krok do pokoju.

— Leno, to są podobno biali. Co teraz robisz?

— Przemyslam sobie trochę oczy — rzekł z dalszego pokoju głos Leny.

— Ach tak; to dobrze.

— Czy mnie potrzebujesz?

— Nie. Wolę, żebyś... — Zejdę teraz do pomostu. Tak, nie wychodź lepiej z domu. Co za nadzwyczajna historia!

Było to tak nadzwyczajne, że nikt nie mógł właściwie ocenić tej nadzwyczajności prócz niego. Same wykrzykniki przepelniały mu duszę, podczas gdy nogi niosły go w kierunku pomostu. Szedł wzdłuż szyn, eskortowany przez Wanga.

— Gdzie byłeś, kiedyś pierwszy raz łódź zobaczył? — zapytał przez ramię.

Wang objaśnił po malajsku, że poszedł aż do bulwaru, aby wziąć kilka kawałków węgla z wielkiego stosu i podniósłszy przypadkiem oczy, zobaczył łódź — łódź białych ludzi, a nie czółno. Ma dobre oczy. Widział łódź z ludźmi u wiosła; tu Wang uczynił szczególnie

Łzy

gest nad oczami, jakby jego wzrok został czymś uderzony. Wówczas odwrócił się zaraz i pobiegł do domu z raportem.

— Może się pomyliłeś, co? — spytał Heyst, wciąż idąc. Zatrzymał się u zewnętrz-
nego krańca gąszczu. Wang przystanął za nim na ścieżce, póki go ostry głos Numeru
Pierwszego nie zawołał. Wang wysunął się naprzód.

— Gdzież ta łódź? — zapytał Heyst gwałtownie. — Pytam, gdzie łódź?

Nie było nic widać między przylądkiem a pomostem. Powierzchnia Zatoki Diamen-
tów wyglądała jak szmat fioletowego cienia, pusty i połyskliwy, a za wyspą leżało otwarte
morze, błękitne i matowe pod promieniami słońca. Wzrok Heysta prześlizgnął się po
nim i napotkał w oddali ciemny stożek wulkanu z nikłym pióropuszem dymu, który roz-
szerzał się i niknął wciąż u wierzchołka, nie zmieniając kształtu w gorejącej przejrzystości
wieczoru.

— Przyśniło mu się — mruknął Heyst do siebie.

Spojrzał bacznie na Chińczyka. Wang wyglądał jak skamieniały. Nagle, jakby podcięty
biczem, ruszył z miejsca, wyciągnął rękę z wysuniętym palcem wskazującym i wybełkotał
gardłowymi dźwiękami, że tam, tam, tam widział łódź.

To wszystko wydało się Heystowi bardzo dziwne. Pomyślał, że Chińczyk uległ chyba
jakiejś szczególnej halucynacji. Nie było to prawdopodobne, ale jednak prawdopodob-
niejsze od przypuszczenia, że łódź z trzema ludźmi zatoniła nagle jak kamień między
przylądkiem a pomostem, nie zostawiając na powierzchni nawet unoszącego się wiosła.
Łatwiej byłoby uwierzyć chyba w wersję o łodzi-widmie.

— Niech to diabli wezmą! — mruknął pod nosem.

Był niemile dotknięty tą tajemnicą; ale teraz przyszło mu do głowy bardzo proste
wyjaśnienie. Wszedł pośpiesznie na pomost. Jeżeli łódź rzeczywiście tu była i znów od-
płynęła, będzie ją można dojrzeć z odległego końca pomostu.

Ale i stamtąd nie było nic widać. Heyst błędził na próżno oczami po morzu. Taki był
tym pochłonięty i skłopotany, że posłyszawszy hałas — jak gdyby ktoś gramolił się w łodzi
ze stukotem wiosel i rei — czas jakiś nie ruszył się z miejsca. Gdy umysł jego pochwycił
wreszcie znaczenie tego faktu, nietrudno było zlokalizować owe odgłosy. Wydobywały się
z dołu — spod pomostu!

Pobiegł wstecz jakieś dwanaście jardów i zajrzał pod pomost. Wzrok jego padł prosto
na rufę wielkiej łodzi, której większa część była ukryta pod belkami. Oczy Heysta napo-
tkwały chude plecy mężczyzny, zgiętego we dwoje nad rudlem w dziwacznej, niewygodnej
pozie pełnej beznadziejnego smutku. Drugi człowiek, znajdujący się prawie tuż pod Hey-
stem, na wpół leżał, wyciągnięty na wznak na tylnej ławce w poprzek łodzi, od burty do
burty, przy czym głowa jego znajdowała się niżej od nóg. Ten drugi człowiek spoglądał
dziko w górę i usiłował się podnieść, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa zbyt
był pijany, aby się dźwignąć. Część łodzi wystająca spod pomostu zawierała także płas-
ki, skórzany kufer, na którym spoczywały bezsilnie długie nogi pierwszego z mężczyzn.
Wielki gliniany gąsior o otwartej, szerokiej szyjce wysunął się spod leżącego człowieka
i potoczył po dnie łodzi.

Heyst nigdy w życiu jeszcze nie był tak zdziwiony. Wpatrywał się oniemiały w dziwną
załogę. Zorientował się od razu, że ci ludzie nie są marynarzami. Mieli na sobie ubrania
z białej dymki, rozpowszechnione w obrębie podzwrotnikowej cywilizacji, ale zjawienie
się ich nie kojarzyło się z żadnym faktem, który by mógł wytłumaczyć ich obecność. Pod-
zwrotnikowa cywilizacja nie miała z tym prawdopodobnie nic wspólnego. Przyjazd ich
przypominał raczej jeden z tych mitów rozpowszechnionych w Polinezji, mitów o zdu-
miewających cudzoziemcach, którzy przybywają na wyspy jako bogowie czy demony,
przynosząc dobro lub zło niewinnym mieszkańcom i darzą ich nieznanymi przedmiotami,
wymawiając słowa nigdy przedtem nie słyszane.

Heyst zauważył obok łodzi hełm unoszący się na wodzie, który spadł najwidoczniej
z głowy człowieka zgiętego we dwoje nad rudlem i odsłonił jego opaloną, chudą czaszkę.
Na wodzie widać było także wiosło, wyrzucone prawdopodobnie przez leżącego mężczy-
znę, który gramolił się ciągle między ławkami. Heyst przestał dziwić się temu najazdowi
i poświęcił mu całą uwagę należną trudnej zagadce. Postawił nogę na belce, i oparłszy łó-
kieć o podniesione kolano, obserwował każdy szczegół. Gramolący się człowiek stoczył się
z ławki, leżał przez chwilę bez ruchu i najnieoczekiwanej dźwignął się na nogi. Zachwiał

Gość

się oszołomiony, rozstawił ręce i wymówił bezdźwięcznie ochryplym, sennym głosem: „Hallo!” Podniesiona jego twarz była spuchnięta i czerwona, skóra łuszczyła się na nosie i policzkach. Oczy spoglądały błędnie. Heyst spostrzegł plamy zaschłej krwi z przodu na jego białej kurtce, a także i na rękawie.

— Co panu jest? Czy pan ranny?

Tamten spojrział w dół, zatoczył się — noga zaplątała mu się w duży korkowy kapelusz — i odzyskując przytomność, wydał chrapliwy, złowieszczy dźwięk — coś w rodzaju ponurego śmiechu.

— To nie moja krew. Umieram z pragnienia. Wyczerpani do ostatka. Pić, człowieku! Daj nam wody!

Pragnienie wзираło nawet z samego dźwięku tych słów; brzmiały jak krakanie prze-rywane słabym, gardłowym szmerem, który ledwie sięgał uszu Heysta. Mężczyzna stojący w łodzi wyciągnął ręce, chcąc widocznie, aby Heyst pomógł mu wyleźć na pomost, i szepnął:

— Już raz próbowałem. Jestem za słaby. Upadłem.

Wang zbliżał się powoli wzdłuż pomostu, wyęzając wzrok badawczo.

— Biegnij i przynieś tu lewar. Leży tam przy stosie węgla — krzyknął do niego Heyst.

Człowiek w łodzi usiadł na ławce znajdującej się za nim. Ohydny śmiech pomieszany z kaszlem wydarł się z jego spuchniętych ust.

— Lewar? na co? — mruknął i spuścił ponuro głowę na piersi.

Tymczasem Heyst, jak gdyby zapomniawszy o łodzi, zaczął uderzać mocno nogą w duży mosiężny kran, wystający z desek. Dla wygody statków, które przyjeżdżały po węgiel i którym często brakło wody, przeprowadzono ją ze strumienia w żelaznej rurze wzdłuż pomostu. Zagięty koniec rury znajdował się prawie w tym samym miejscu, gdzie łódź nieznanym wjechała pod pomost; ale kurek się zaciął.

— Prędejl! — krzyczał Heyst do Chińczyka, który odbiegał, trzymając lewar.

Heyst chwycił go i, oparłszy o belkę, potężnym szarpnięciem odkręcił zastały kurek.

— Mam nadzieję, że rura nie jest zatkana! — mruknął do siebie niespokojnie.

Nie była zupełnie zatkana, ale nie przepuszczała dużo wody. Natychmiast rozległ się szmer cienkiej strugi, rozpryskującej się na burcie łodzi i spływającej w morze. Powitał ją bezsłowny krzyk dzikiej radości. Heyst ukląkł na belkach i spojrział w dół. Mężczyzna, który z nim mówił poprzednio, trzymał już otwarte usta pod jasną strugą. Woda zalewała mu powieki i nos, bulgotała w gardle, spływała z brody. Nagle ustąpiła widać jakaś przeszkoda w rurze i silny strumień rozprysnął się o jego twarz. Zmoczył mu w okamgnieniu ramiona, przód ubrania i zalał go całego; woda lała mu się w kieszenie, po nogach, w trzewiki; ale mężczyzna trzymał się mocno końca rury i obejmując ją oburącz, połykał, pryskał, parskał, dusił się, hałasując jak w kąpieli. Nagle dziwny, tępy ryk doszedł uszu Heysta. Coś włochatego i czarnego wypadło spod pomostu. Rozczochrany łeb mignął jak kula armatnia i z taką siłą uderzył w brzuch człowieka wiszącego u rury, że oderwał go i cisnął na oślep w tył łodzi. Człowiek ów padł na podkurczone nogi mężczyzny u steru; ten ocknął się wskutek wstrząśnienia i wyprostował, milczący, sztywny i bardzo podobny do trupa. Oczy jego wyglądały jak dwie czarne dziury, a błyszczące zęby szczyrzyły się niby u trupiej czaszki między otwartymi wargami, cienkimi jak czarny pergamin przyklejony do dziąseł.

Oczy Heysta przeniosły się z kolei na stworzenie, które teraz zawisło u końca rury. Olbrzymie czarne łapy ścisnęły mocno kurek, wielki, dziki łeb odchylił się w tył, a w twarzy pokrytej mokrymi kudłami rozwierała się koślavo szeroka gęba pełna klów. Strumień wody napelniał ją, tryskając z powrotem w ochryplym kaszlu, zbiegał z dwóch stron po szczękach i włochatym gardle i wsiąkał w czarną sierść, pokrywającą olbrzymie piersi, które były nagie pod podartą kraciastą koszulą i falowały konwulsyjnie wśród gry mięśni, jakby rzeźbionych w czerwonym mahoniu.

Gdy tylko człowiek odepchnięty od rury odzyskał oddech, utracony skutkiem gwałtownego napadu, w rufie łodzi rozległ się głos wyjący obłąkane przekleństwa. Mężczyzna siedzący u steru zgął sztywno kanciasty łokieć i przyłożył rękę do biodra.

— Niech pan go nie zabija! — wrzasnął tamten. — Niech pan poczeka! Zaraz wezmę rękojęć od steru. Już ja go nauczę zachowywać się przed *caballerem*!

Marcin Ricardo wywinął ciężkim drewnem, skoczył naprzód z zadziwiającą siłą i spuścił drewno na głowę Pedra z trzaskiem, który rozległ się daleko po spokojnej toni zatoki Czarnych Diamentów. Szkarłatna plama wystąpiła na splątanych włosach Pedra; czerwone żyłki ukazały się w wodzie spływającej mu na twarz i ściekającej z głowy różowymi kroplami. Ale wisiał wciąż przy rurze. Dopiero po drugim wściekłym uderzeniu puściły kurek włochate łapy i wijące się ciało opadło bezwładnie. Zanim dotknęło dna łodzi, Ricardo potężnym kopnięciem w żebra usunął je z widoku ku przodowi, skąd doszedł łoskot ciężkiego upadku, klekot drewna i żalospny pomruk. Ricardo pochylił się, aby spojrzeć pod pomost.

— Masz, psie! To cię nauczy trzymać się na swoim miejscu, ty krwiożercza bestio, ty dziki morderco, ty poganinie, ty świętokradco! Na przyszły raz wypruję ci flaki, ty zjadaczu ścierwa! *Esclavo*⁵⁶!

Cofnął się trochę i wyprostował.

— Ja tylko tak sobie to mówię — zauważył, zwrócony do Heysta, którego spokojne oczy spotkały się z jego wzrokiem, i pobiegł prędko na rufę.

— Niechże pan idzie. Teraz kolej na pana. Nie powinienem był pić pierwszy. Przyznaję, że się zapomniałem. Ale taki dżentelmen jak pan nie będzie mi tego pamiętał. — Wśród tych usprawiedliwień Ricardo wyciągnął rękę. — Niech pan się na mnie oprze.

Pan Jones rozciągnął się z wolna w całej długości, zachwiał się, potknął i chwycił za ramię Ricarda. Wierny giermek pomógł mu podejść do rury, z której tryskał wciąż jasny strumień, iskrząc się niezwykle na tle czarnych słupów i mroku pod pomostem.

— Niech pan trzyma się rury — radził troskliwie Ricardo. — Tak panu wygodnie?

Odstąpił w tył i podczas gdy pan Jones rozkoszował się obfitością wody, zwrócił się do Heysta z pewnego rodzaju wyjaśniającą przemową; jej ton, w którym odbijały się jego uczucia, przechodził z kociego mruczenia w prykanie. Przez trzydzieści godzin, oświadczył Ricardo, nie wypuszczali z rąk wiosł, a więcej niż czterdzieści godzin byli bez wody, nie licząc tego że poprzedniej nocy zlizali rosę z burty.

Ricardo nie wytłumaczył Heystowi, dlaczego to wszystko się stało. W tej chwili właśnie nie miał żadnego gotowego wyjaśnienia dla człowieka stojącego na pomoście, choć zgadywał, że tego człowieka dziwi daleko bardziej fakt ich przybycia niż stan, w jakim się znajdowali.

VII

Dwa bardzo proste fakty wyjaśniały sprawę. Lekkie wiatry i silne prądy Morza Jawajskiego pędziły łódź, aż wreszcie podróżni stracili zupełnie orientację; przy tym, wskutek jakiejś nadzwyczajnej pomyłki, w jednym z gąsiorów wstawionych do łodzi przez służącego Schomberga, znaleźli słoną wodę. Ricardo starał się uwydatnić wzruszenie w tonie głosu. Spędzili trzydzieści godzin przy osiemnastostopowych wiosłach! A w dodatku to słońce! Ricardo dał folę swym uczuciom, sypiąc przekleństwa na słońce. Czuli jak serca i płuca kurczą się wewnątrz nich. A przy tym — skarżył się gorzko w dalszym ciągu — jakby jeszcze mało było tego wszystkiego, musiał marnować opuszczające go siły, bijąc deską po głowie ich służącego. Ten głupiec chciał pić morską wodę i nie można mu było przemówić do rozumu. Nie dało się go inaczej osadzić na miejscu. Lepiej było zbić go do utraty przytomności niż pozwolić, aby zwariował w łodzi, bo wtedy musieliby go zastrzelić. Środek zapobiegawczy, aplikowany z siłą dostateczną do rozwalenia łba słoniowi — przechwalał się Ricardo — znalazł zastosowanie w dwóch wypadkach; po raz drugi, gdy już prawie dostrzegali pomost.

— Pan widział tego gagatka — ciągnął swe wywnętrzenia Ricardo, usiłując skryć w potoku wymowy brak jakiegokolwiek prawdopodobnej wersji tłumaczącej ich przybycie — musiałem walić w niego tego, żeby puścił kurek. Otworzyłem mu z powrotem wszystkie dawne rany na głowie. Pan widział, jak mocno musiałem walić. On nie zna żadnego hamulca, ale to żadnego. Gdyby nie to, że przydaje nam się w różnych okazjach, nie byłbym powstrzymał szefa od zastrzelenia go.

Uśmiechnął się w górę do Heysta swoim szczególnym skurczem warg i dodał w formie komentarza:

⁵⁶*Esclavo* (hiszp.) — niewolniku. [przypis edytorski]

— To go zresztą w końcu spotka, jeśli się nie nauczy panować nad sobą. Ale w każdym razie wpoilem w niego choć na pewien czas dobre maniery!

I znów wyszczerzył zęby ku człowiekowi na pomoście. Okrągłe jego oczy nie opuściły ani na chwilę twarzy Heysta, odkąd rozpoczął swoje sprawozdanie z podróży.

— Więc on tak wygląda! — mówił do siebie Ricardo.

Nie spodziewał się, że Heyst tak się będzie przedstawiał. Wyrobił sobie o nim pojęcie, które zawierało pożyteczny dla planów Ricarda rys jakiejś słabości. Tacy samotnicy bywają często pijakami. Ale nie — to nie była twarz opoja; nie mógł też odkryć w jego rysach, w jego spokojnych oczach, ani niepokoju, ani nawet zdziwienia, ani żadnej oznaki upadku ducha.

— Znadto byliśmy wyczerpani, aby wdrapać się na pomost — ciągnął Ricardo. — Ale słyszałem, jak pan szedł. Zdawało mi się, że krzyknąłem; usiłowałem krzyknąć. Pan mnie nie słyszał?

Heyst uczynił głową nieznaczny ruch przeczący, który nie uszedł oczom Ricarda obserwującym go chciwie.

— Zupełnie zaschło mi w gardle. W ostatnich godzinach nie chciało nam się nawet szeptać do siebie. Pragnienie dusi. Mogliśmy zemrzeć pod tym pomostem, zanim by pan nas znalazł.

— Nie mogłem zrozumieć, gdzieście się panowie podzieli — odezwał się wreszcie Heyst, zwracając się do przybyszów z morza. — Zobaczono panów zaraz gdy minęliście przylądek.

— Aha, więc zobaczono nas? — mruknął pan Ricardo. — Wiosłowaliśmy jak najęci — nie odważyliśmy się przestać ani na chwilę. Szef siedział u steru, ale nie mógł do nas mówić. Łódź wjechała między pale, uderzyła o coś i zlecieliśmy wszyscy z ławek jak pijani. Pijani — ha! ha! Dalibóg, zaschło nam w gardłach. Dotarliśmy do tego miejsca ostatkiem sił — bez przesady. Jeszcze mila i byłoby po nas. Kiedy posłyszałem w górze pańskie kroki, usiłowałem dźwignąć się na nogi i upadłem.

— To był pierwszy odgłos, który usłyszałem — rzekł Heyst.

Pan Jones odszedł, potykając się, od kurka. Przód jego zbrukanej, białej kurtki przesiąknięty był wodą i przyklejony do piersi. Wsparłszy się na ramieniu Ricarda, odetchnął głęboko, podniósł ociekającą głowę i zdobył się na uśmiech pełen złowrogiej uprzejmości, który uszedł uwagi zamyślonego Heysta. Za jego plecami słońce zetknęło się z wodą, niby stygnący, ciemnoczerwony dysk z rozpalonego żelaza. Zdawało się, że ten dysk potoczy się łada chwila w koło kragłej, stalowej tarczy morza, które pod ciemniejącym niebem wyglądało masywniej niż wyniosły grzbiet Samburanu, masywniej niż przylądek o długiej, pochylej sylwecie, rozplywającej się we własnym niezgłębionym cieniu, który kładł się płamą na mętny blask zatoki. Silny strumień wody rozpryskiwał się jak szkło o burzę łodzi. Głośnie i uporczywie pluskanie uwydatniało głębię ciszy obejmującej świat.

— Co za mądra myśl, żeby tutaj wodę sprowadzić — wymówił Ricardo z uznaniem.

Woda to było życie. Czuł że mógłby teraz przebiec kilometr, śpiewać, wdrapać się na ścianę wysokości dziesięciu stóp. Przed paru minutami zaledwie był prawie trupem — niewiele mu się już należało; niezdolny był ani stać, ani ruszyć się, ani wydać jęku. Kropla wody dokazała cudu.

— Czy pan nie miał wrażenia, że samo życie wlewa się i wsiąka w pana? — zapytał szefa z pełną szacunku, lecz obcesową żywością.

Pan Jones zszedł bez słowa z ławki i usiadł w głębi przy sterze.

— Czy ten pański człowiek nie zemrze z upływu krwi tam na przedzie? — spytał Heyst.

Ricardo przerwał swoje uniesienia nad życiodajną wodą i odpowiedział tonem niewiniątka:

— On? Wolno panu nazywać go człowiekiem, ale skóra jego jest coś niecoś grubsza od skóry najgrubszego z aligatorów, które obdzierał w dawnych, dobrych czasach. Pan nie wie, ile on może wytrzymać; ale ja wiem. Wypróbowaliśmy go już dawno. *Olà*, ty tam! Pedro! — wrzeszczał z siłą świadczącą o odradzających właściwościach wody.

Słabe: *Señor*⁵⁷? ozwało się spod pomostu.

⁵⁷ *Señor* (hiszp.) — panie. [przypis edytorski]

— Co ja panu mówiłem? — rzekł tryumfująco Ricardo. — Jemu nic nie zaszkodzi. Czuję się doskonale. Ale daję słowo, że łódź zatonie. Czy nie mógłby pan zatrzymać tej wody, nim pójdziemy na dno? Łódź napelniła się już do połowy.

Na znak dany przez Heysta Wang zaczął uderzać w mosiężny kurek, po czym stanął znów nieruchomo za Numerem Pierwszym, trzymając lewar. Ricardo nie był może tak bardzo pewien wytrzymałości Pedra jak o tym zapewniał, gdyż schylił się, zajrzał pod pomost i ruszywszy ku przodowi łodzi, znikł z widowni. Woda przestała nagle tryskać, a gdy kapanie ustało, zapadła niczym niezamącona cisza. W oddali słońce zmniejszyło się do rozmiarów czerwonej iskry żarzącej się bardzo nisko w głuchym ogromie mroku. Naokoło łodzi woda mieniła się jeszcze purpurowymi błyskami. Widmowa postać w rufie przemówiła zmęczonym głosem.

— Tamten — hm — mój towarzysz — hm — sekretarz — to wielki cudak. Boję się, że nie przedstawił mi się panu w bardzo korzystnym świetle.

Heyst słuchał. Był to zwykły głos kulturalnego człowieka, tylko brzmiał dziwnie martwo. Ale dziwniejszą jeszcze była ta dbałość o pozory, czy wyrażona żartem, czy też na serio, nie umiał zdać sobie sprawy. W danych okolicznościach trudno było przypuszczać, że ten człowiek mówi poważnie, ale nikt nigdy nie żartował tak martwym tonem. Niepodobna było na to odpowiedzieć, więc Heyst milczał. Tamten mówił dalej:

— W podróży — a ja dużo podróżuję — taki człowiek jak on niezmiernie jest pożyteczny. Ma jednak bez wątpienia swoje słabości.

— Doprawdy! — rzekł Heyst w odpowiedzi. — Jednak słabością ramienia się nie odznacza, ani też przesadnym humanitaryzmem, o ile mogę sądzić.

— To był wybuch złości — objaśnił z rufy pan Jones.

Obiekt tego dialogu, wyłazłszy właśnie w tej chwili spod pomostu na widzialną część łodzi, przemówił we własnej obronie głosem pełnym życia, a z jego obejścia nie przebijało bynajmniej zmęczenie. Wprost przeciwnie: rzeński był, a nawet krotochwilny⁵⁸. Przeprosił pana Jonesa za to, że musi mu zaprzeczyć. Nie złości się nigdy na „naszego Pedra”. Ten drab posiada niezmierną siłę i nie ma za grosz rozsądku. Powyższa kombinacja czyni go niebezpiecznym i trzeba go traktować odpowiednio, w sposób dla niego zrozumiały. Przemawianie do rozsądku nic by tu nie pomogło.

— Więc też — zwrócił się Ricardo z ożywieniem do Heysta — niech pan się nie zdziwi, jeżeli —

— Zapewniam pana — przerwał Heyst — że zdumienie moje z powodu przybycia panów w tej łodzi jest tak wielkie, iż nie pozwala mi odczuwać pomniejszych niespodzianek. Ale może panowie wylądują?

— O, to, to rozumiem! — Ricardo zaczął krzątać się w łodzi, gadając bez ustanku. Ponieważ nie umiał „spenetrować” tego człowieka, skłonny był przypisywać mu nadzwyczajną jakąś przenikliwość, której — jak przypuszczał — sprzyjało prawdopodobnie milczenie. A przy tym obawiał się, aby go wręcz o co nie zapytano. Nie przygotował sobie żadnej historyjki do opowiedzenia. I on, i jego szef odsunęli na później ten wcale⁵⁹ ważny szczegół. W ciągu ostatnich dwóch dni spadły na nich niespodziewanie okropności pragnienia i przeszkodziły naradzie. Musieli wiosłować bez przerwy, aby ocalić życie. Lecz człowiek na pomoście, choćby sprzymierzył się z samym diablem, zapłaci im za wszystkie te męki — myślał Ricardo ze złowrogą radością.

Brodząc w wodzie pokrywającej dno łodzi, winszował sobie głośno że bagaż nie prześlął. Umieścił go w przodzie łodzi. Głowę Pedra obwiązał jako tako. Pedro nie ma powodu do narzekań. Przeciwnie, powinien czuć dla niego, Ricarda, niezmierną wdzięczność za to, że w ogóle jeszcze żyje.

— No a teraz niech mi pan pozwoli pomóc sobie — rzekł wesoło do nieruchomego zwierzchnika w rufie. — Minęły już wszystkie nasze kłopoty — przynajmniej na razie. Czy to nie szczęście, że znaleźliśmy białego na tej wyspie! Mogłem się równie dobrze spodziewać, że spotkamy anioła z nieba — czy nie, panie Jones? No więc — czy pan gotów? Raz, dwa, trzy — dalej w górę!

⁵⁸krotochwilny (daw.) — żartobliwy. [przypis edytorski]

⁵⁹wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

Podtrzymywany z dołu przez Ricarda, a z góry przez człowieka, który zjawił się bardziej niespodziewanie niż anioł, pan Jones wygramolił się na pomost i stanął obok Heysta. Chwiał się jak trzcina. Noc zstępująca na Samburan ogarnęła gęstym cieniem przylądek i sam pomost, i nadała mroczną masywność matowej toni, rozpościerającej się aż do ostatniego, nikłego przebłysku na zachodzie. Heyst patrzył na gości, których odrącony świat przysłał mu u schyłku dnia. Resztki światła, pozostałe jeszcze na ziemi, czały się w oczodolach chudego człowieka. Oczy jego połyskiwały — ruchliwe, omdlewające i wykrętne. Nagle zatrzepotał powiekami.

— Panu słabo — rzekł Heyst.

— Tak, trochę — wyznał tamten.

Dysząc głośno i pomagając sobie rękami i kolanami, Ricardo wdrapał się na pomost, energiczny i samodzielny. Wyłonił się u boku Heysta i tupnął w deski ostro i wyzywająco, jak to jest czasem w zwyczaju w szkołach fechtunku, zanim przeciwnicy skrzyżują rapiery. Nie wynikało z tego, aby marynarz-renegat Ricardo miał coś wspólnego z fechtunkiem. Tak zwana „spluwa” była jego bronią, albo jeszcze mniej arystokratyczny nóż, przytroczony przemysłnie do nogi. Pomyślał o nim w tej chwili. Gdyby się tak pochylić a potem, przy podnoszeniu się, zadać prujący cios i zepchnąć ciało z pomostu — tylko plusk wody zamąciłby z lekka ciszę. Heyst nie miałby czasu krzyknąć. Byłoby to załatwienie sprawy szybkie, i porządne, i zgadzające się cudownie z usposobieniem Ricarda. Ale poskromił ten poryw dzikości. Robota była daleko bardziej skomplikowana. Należało zagrać tę melodię z innego tonu i w znacznie wolniejszym tempie. Wrócił do swego opowiadania na nutę gadatliwej prostoty.

— Ehe, i ja nie czuję się taki silny, jak mi się zdawało, kiedy pierwsze łki postawiły mnie na nogi. Woda to wielki cudotwórca! I że też znalazła się właśnie tu na miejscu! To było zrządzenie niebios — prawda, panie?

Pan Jones, zagadnięty przez Ricarda, wszedł w swoją rolę w umówionej sztuce:

— Istotnie, kiedy zobaczyłem pomost na wyspie, która mogła być zupełnie niezamieszkała, nie chciałem wierzyć własnym oczom. Wątpilem, czy go widzę naprawdę. Myślałem, że to złudzenie, póki łódź nie wpłynęła rzeczywiście między pale, tu gdzie ja pan teraz widzi.

Podczas gdy mówił to nikłym głosem, który zdawał się nie mieć nic wspólnego z ziemią, giermek jego bardzo hałaśliwym i ziemskim tonem przemawiał do Pedra, robiąc gwałt o bagaż:

— No, dalej, podawajże te tłumoki! Rusz się, *bombre*⁶⁰, bo inaczej zleżę znowu i wyrznię w te twoje bandaże, ty mruczący niedźwiedziu ty!

— Ach tak, więc pan nie wierzył, że ten pomost rzeczywiście istnieje? — pytał Heyst Jonesa.

— Powinieneś całować mnie po rękach.

Ricardo chwycił staromodną torbę i, wciągnąwszy ją, stuknął nią o belki.

— Tak! Powinieneś palić przede mną świecę, jak robią w twoim kraju przed świętymi. Nigdy żaden Święty tyle dla ciebie nie zrobił co ja, ty niewdzięczny włóczykiu. No dalej! Włóż.

Wspomagany przez rozmownego Ricarda, Pedro wgramolił się na pomost, gdzie pozostał czas jakiś na czworakach, machając kudłatym łbem omotanym w białe gałgany. Potem dźwignął się niezgrabnie i wyglądał w ciemności jak wielkie zwierzę kołyszące się na tylnych łapach.

Pan Jones zaczął objaśniać Heystowi omdłym głosem, że tego ranka byli już w bardzo nieszczęśliwym stanie, gdy wtem spostrzegli dym wulkanu. Dodało im to sił do walki o życie. Wkrótce potem ujrzeli wyspę.

— Ledwie starczyło mi przytomności w upieczonym mózgu, aby zmienić kierunek łodzi — ciągnął widmowy głos. — Ale żeby znaleźć ratunek, pomoc, białego człowieka — żaden z nas nie marzył nawet o czymś podobnym. To po prostu niesłychane!

— Pomyślałem właśnie to samo, gdy przyszedł mój Chińczyk i powiedział, że zobaczył łódź z białymi wiosłarzami — rzekł Heyst.

⁶⁰*bombre* (hiszp.) — człowieku. [przypis edytorski]

— Co za nadzwyczajne szczęście — wtrącił Ricardo, który stał tuż obok, łowiąc uważnie każde słowo. — Wydaje mi się, że to sen — dodał. — Cudowny sen!

Cisza zapanowała w grupie tych trzech ludzi, jak gdyby każdy z nich bał się mówić, mając niejasne poczucie, że wisi nad nimi coś nieuniknionego. Z jednej strony Pedro, a z drugiej Wang wyglądali jak czujni widzowie. Ukazało się kilka gwiazd w pościgu za nadpływającym mrokiem. Lekki wietrzyk, dość ciepły po dniu upalnym, powiał przez gęstniejącą ciemność i przejął dreszczem pana Jonesa stojącego w przemoczonym ubraniu.

— Wnoszę że wszystkiego że tu jest pewno osada zamieszkała przez białych? — szepnął, wstrząsając się silnie.

Heyst ocknął się.

— Była, bo teraz już jest opuszczona. Mieszkam tu sam jeden — właściwie mówiąc — zupełnie sam: ale stoi tu jeszcze kilka pustych domów. Miejsca nie brak. Najlepiej będzie, jeśli... Wang, biegnij na wybrzeże i przyciągnij tu wagonik.

Wymówiwszy ostatnie słowa po malajsku, objaśnił uprzejmie, że wydał dyspozycję co do przewozu bagażu. Wang rozplątał się w ciemnościach w swój zwykły bezgłośny sposób.

— Słowo daję! I szyny, i wszystko jak się patrzy — wykrzyknął Ricardo tonem pełnym podziwu. — Doprawdy, nigdy bym nie przypuszczał!

— Mieliśmy tu kopalnię węgla — rzekł były dyrektor Tropikalnej Spółki Węglowej. — To są widma rzeczy, które już nie istnieją.

Zęby pana Jonesa zaczęły znów dzwonić przy nowym, nikłym podmuchu wiatru, który przypłynął jak westchnienie z zachodniej strony, gdzie Wenus jaśniała promiennie na ciemnym krańcu widnokręgu, niby jasna lampa zawieszona nad grobem słońca.

— Może już pójdziemy — zaproponował Heyst. — Chińczyk i ten — hm — niewdzięczny pański sługa z rozbitą głową, załadują rzeczy i dogonią nas.

Projekt został przyjęty bez słów. Idąc ku brzegowi, trzech mężczyzn spotkali wagonik, który minął ich z metalicznym dźwiękiem; cień Wanga biegł za nim bezgłośnie. Towarzyszył im tylko odgłos własnych kroków. Dawno już tak liczne kroki nie rozlegały się na tym pomoście. Zanim weszli na ścieżkę wydeptaną w trawie, Heyst rzekł:

— Nie mogę panom ofiarować gościny we własnym domu. — Chłodna uprzejmość jego słów osadziła tamtych dwóch na miejscu, jak gdyby byli zaskoczeni jakąś rażącą niestosownością. — Żałowałbym tego jeszcze bardziej — ciągnął dalej — gdybym nie mógł dać panom do wyboru jednego z pustych domków na tymczasowe mieszkanie.

Odwrócił się i zagłębił w wąską ścieżkę; tamci dwaj szli za nim gęśiego.

— Ciekawy początek! — Ricardo idący za Jonesem chwycił wlot okazję by szepnąć mu to na ucho. Pan Jones chwał się w ciemnościach, otoczony lodygami podzwrotnikowej trawy, dorównyując im prawie smukłością.

W tym porządku wynurzyli się na otwartą przestrzeń, огоłoconą z roślinności zgodnie z przemyślnym planem Wanga, polegającym na podpalaniu trawy co pewien czas. Nieoświetlone sylwety budynków o wysokich dachach wyglądały jak tajemnicza, bezkształtna masa na tle wzmagającego się blasku gwiazd. Heyst był rad, że w jego domku panowały ciemności. Nic nie zdradzało, iż domek ten jest zamieszkały. Heyst szedł w dalszym ciągu naprzód, kierując się na prawo. W pewnej chwili rozległ się spokojny jego głos:

— Tu będzie panom najlepiej. To był nasz kantor. Jestem prawie pewien, że znajdziemy parę polowych łóżek w jednym z pokoi.

Wysoki dach domku piętrzył się tuż nad nimi, zasłaniając niebo.

— To tutaj. Są tu trzy schodki. Jak panowie widzicie, mamy tu dużą werandę. Przypraszam panów, trzeba chwilę poczekać; zdaje mi się, że drzwi są zamknięte.

Słychać było, jak nacisnął klamkę. Potem oparł się o poręcz, mówiąc:

— Wang przyniesie klucze.

Tamci dwaj czekali; niewyraźne ich postacie zlewały się prawie z mrokiem werandy. Wtem rozległo się szczykanie zębów pana Jonesa, stłumione przezeń natychmiast, i szelest nóg Ricarda. Przewodnik ich i gospodarz, oparty plecami o poręcz, zdawał się zapominać o istnieniu gości. Nagle poruszył się i mruknął:

— Otóż i wagonik.

Potem krzyknął coś po malajsku; „*Ya, tuan*”⁶¹, nadpłynęła odpowiedź od strony niewyraźnej grupy, którą można było dostrzec w kierunku ścieżki.

— Posłałem Wanga po klucz i światło — rzekł Heyst, nie zwracając się specjalnie do nikogo, co brzmiało szczególnie i stropiło Ricarda. Wang wykonał prędko zlecenie. Wkrótce w odległych głębiach mroku ukazała się rozkołysana latarnia niesiona przez Wanga. Rzuciła przelotny promień światła na zatrzymany wagonik i nieokrzesaną postać dzikiego Pedra, pochylonego nad bagażami; potem skierowała się ku domkowi i wzniosła po schodach. Wang podłubał u zaciętego zamku i przyparł się ramieniem do drzwi. Otworzyły się nagle z trzaskiem, jakby doprowadzone do pasji zmaczeniem dwuletniego wypoczynku. Z ciemnej pochyłości wysokiego pulpitu wleciał w górę samotny arkusz papieru i opadł z wdziękiem na podłogę.

Wang i Pedro wchodzili i wychodzili przez obrażone drzwi, przynosząc rzeczy z wagonika; jeden migał prędko tam i z powrotem, drugi zaś stąpał ociężale. Potem, na skutek paru spokojnych słów wypowiedzianych przez Numer Pierwszy, Wang odbył z latarnią kilka podróży do składów, przynosząc koldry, konserwy w puszkach, kawę, cukier i paczkę świec. Zapalił jedną z nich i przytwierdził do półki pulpitu. Tymczasem Pedro, zaopatrzone w krzesiwo i wiązkę suchych patyków, zajął się rozpaleniem ognia, nad którym umieścił napełniony wodą kociołek podany mu obojętnie przez Wanga na odległość ramienia, jak gdyby z drugiej strony przepaści. Wysłuchawszy podziękowań gości, Heyst powiedział im dobranoc i odszedł.

VIII

Oddalał się z wolna. W domku jego panowały wciąż ciemności; pomyślał, że może tak i lepiej. Czuł się już spokojniejszym. Wang wyprzedził go z latarnią, jakby mu było śpieszno oddalić się od dwóch białych przybyszów i kudłatego ich sługi. Światło nie tańczyło już przed Heystem; stało nieruchomo u stóp werandy.

Obejrzał się machinalnie i zobaczył za sobą jeszcze jedno światło — ognisko przed domkiem nieznanym. Czarny zarys niezdarnej, potwornej postaci, schylonej nad ogniskiem, zakotłowała się i znikł w ciemnościach. Widać woda zagotowała się już w kociołku.

Heyst uszedł jeszcze parę kroków, opanowany przez niesamowitą wizję tego stworu o wątpliwym człowieczeństwie. Kimże mogli być ludzie, którzy mieli takiego domownika? Przystanął. Poczul, że opuszcza go niejasna obawa odległej przyszłości, w której przeczuwał nieuniknione rozstanie z Leną, wywołane przez głębokie i subtelne rozdźwięki; sceptyczna obojętność, towarzysząca mu zawsze, ilekroć brał się do czynu — niby tajna odsiecz duszy — opuściła go również. Nie należał już do siebie. Czuł w sobie nakaz o wiele bardziej stanowczy i wzniosły.

Zbliżył się do domku i tuż za kręgiem światła rzuconym przez latarnię ujrzał na najwyższym stopniu nogi Leny i dolną część sukni. Postać jej majaczyła niewyraźnie. Siedziała na krześle; głowa i ramiona ginęły w mroku niskiego okapu. Nie poruszyła się wcale.

— Zdrzemnąłaś się? — zapytał.

— O nie! Czekałam na ciebie — w ciemnościach.

Heyst stanął na górnym stopniu i oparł się o drewniany słup, odsunawszy na bok latarnię.

— Myślałem właśnie, jak to dobrze, że siedzisz bez światła. A nie było ci nudno w ciemności?

— Nie potrzebuję światła, aby myśleć o tobie. — Czarowny jej głos nadał wartość tej banalnej odpowiedzi, która miała także i walor prawdy. Heyst zaśmiał się z lekka i rzekł, że doznał przed chwilą ciekawych wrażeń. Nic na to nie odpowiedziała. Usiłował wyobrazić sobie zarys jej postaci, siedzącej wygodnie na krześle. Rozproszone plamy mętnego światła ujawniały nie zawodzący nigdy wdzięk jej pozy, który był jedną z wrodzonych jej właściwości.

Myślała właśnie o Heyście, nie troszcząc się wcale o nieznanymi przybyszów. Heyst wzbudził w niej podziw od pierwszej chwili; pociągnął ją ciepły jego głos i łagodne spojrzenie, czuła jednak, że zanadto jest skomplikowany, aby go mogła zrozumieć. Nadał jej

⁶¹ *Ya, tuan* (malaj.) — tak, panie. [przypis edytorski]

życiu urok i żywsze tętno, wzbogacił je o nadzieję splecione z groźbami; nie przeczuwała przedtem, że istnieją podobne uczucia, a w każdym razie nie wyobrażała sobie, że może ich doświadczyć taka jak ona dziewczyna, wydana na pastwę nędzy. Powiedziała sobie, że nie powinna jej drażnić zbyttnia powściągliwość Heysta, jego jak gdyby zamknięcie się w jakimś odrębnym świecie. Gdy brał ją w ramiona, czuła w jego uścisku wielką i przemożną siłę, czuła że i on sam jest głęboko wzruszony i może nie znudzi się nią tak bardzo prędko. Myślała o tym, że dał jej poznać uczucie cichej radości, że nawet niepokój, który ją męczy, rozkoszny jest w swoim smutku i że będzie się starała zatrzymać go przy sobie tak długo, jak tylko zdoła — aż do chwili, kiedy mdlejące jej ramiona i osłabła dusza nie będą już mogły lgnąć do niego.

— Wanga nie ma tu oczywiście? — rzekł nagle Heyst.

Odpowiedziała jakby przez sen:

— Postawił tu latarnię, nie zatrzymując się wcale, i pobiegł.

— Jak to, pobiegł? No, no! Prawda że już późno, zwykle wraca znacznie wcześniej do swojej żony z plemienia Alfuro; ale pokazać się w biegu, to coś w rodzaju poniżenia dla Wanga, który opanował po mistrzowsku sztukę znikania. Może coś go tak przestraszyło, że zapomniał o tej swojej doskonałości?

— Cóż by go mogło przestraszyć?

Głos jej brzmiał wciąż sennie i trochę niepewnie.

— A ja się przestraszyłem — rzekł Heyst.

Nie słuchała go. Latarnia stojąca u ich stóp rzucała w górę cień na jej twarz. Oczy jej błyszczały, jakby zalęknione i baczne, nad oświetloną brodą i bardzo białą szyją.

— Słowo daję — rozmyślał głośno Heyst — teraz, kiedy tych ludzi nie widzę, trudno mi uwierzyć, że istnieją!

A ja? — zapytała tak prędko, że drgnął jak człowiek, na którego ktoś rzucił się z zasadzki. — Czy istnieję dla ciebie, gdy mnie nie widzisz?

— Czy istniejesz? W najbardziej czarowny sposób! Moja droga Leno, nie znasz własnych swoich zalet! Przecież wystarczyłby tylko twój głos, aby cię uczynić niezapomnianą.

— Ależ ja nie myślę o takim zapomnieniu. Wiem, że pamiętałbyś o mnie, gdybym umarła. Ale co by mi z tego przyszło? Właśnie póki jestem żywa, chcę żebyś —

Heyst stał obok jej krzesła; atletyczna jego postać niezupełnie była oświetlona. Szerokie ramiona i marsowa twarz — maska bezbronnej duszy — gubiły się w mroku nad pasmem światła, które padało mu na nogi. Dręczył go niepokój, nie mający nic wspólnego z Leną. Młoda kobieta nie zdawała sobie na ogół sprawy z warunków życia, w które ją Heyst wprowadził. Wciągnięta w szczególny bezwład tego życia, pozostała właściwie poza nim wskutek swojej nieświadomości.

Nie rozumiała na przykład, jak dalece nadzwyczajnym było zjawienie się łodzi. Zdawała się wcale o tym nie myśleć. Może nawet zapomniała już o tym fakcie. Heyst postanowił nagle nic więcej o tym nie mówić. Ale nie dlatego, by lękał się ją niepokoić. Ponieważ sam nie odczuwał nic określonego, nie umiał wyobrazić sobie dokładnie, jak zareagowałaby na mniej lub więcej szczegółowe wyjaśnienia. W każdym fakcie tkwi pewna właściwość, którą różne psychiki odczuwają w różny sposób, a nawet i ta sama psychika w różnych chwilach. Ludzie żyjący mniej więcej świadomie znają tę kłopotliwą prawdę. Heyst zdawał sobie sprawę, że te odwiedziny nie wróżą nic dobrego. A w obecnym swym rozgoryczeniu na całą ludzkość odnosił się do nich jako do szczególnie przykrego wydarzenia.

Spojrzał wzdłuż werandy w stronę drugiego domku. Ognisko z chrustu rozpalone przed nim już wygasło. Nie było widać ani żaru węgla, ani najcieńszej choćby nitki światła, która by przypominała obecność nieznajomych. Ciemne zarysy budowli majaczące w mroku i głucha cisza nie zdradzały niczym tego dziwnego najazdu. Na Samburanie panował spokój równie niezamącony jak każdej innej nocy. Wszystko było jak dawniej, z jednym tylko wyjątkiem — Heyst uświadomił to sobie nagle — oto, trzymając rękę na poręczy krzesła Leny, oddalonej od niego zaledwie o pół kroku, na całą minutę może stracił poczucie jej istnienia — po raz pierwszy od czasu, gdy przywiózł ją tutaj, aby z nim dzieliła ten bezgraniczny, ten nieskalany spokój. Podniósł latarnię; wznieciło to milczący rozruch na werandzie. Pas cienia przesunął się szybko po twarzy Leny, silny blask spoczął na nieruchomych jej rysach; wyglądała jak kobieta, która ma wizję. Czy

Pamięć

jej były spokojne, a usta poważne. Suknia, rozchylona u szyi, poruszała się lekko w takt oddechu.

— Chodźmy już do pokoju, Leno — rzekł Heyst bardzo cicho, niby płosząc ostrożnie jakiś czar.

Wstała bez słowa. Heyst wszedł za nią do domku. Gdy przechodzili przez salon, zostawił palącą się lampę na środkowym stole.

IX

Tej nocy Lena obudziła się — pierwszy raz w nowym swym życiu — z poczuciem, że jest pozostawiona samej sobie. Ocknęła się z przykrego snu o rozstaniu z Heystem — rozstaniu z niewytłumaczonych powodów — i nie odczuła ulgi w chwili obudzenia. Rozpacliwe uczucie samotności wciąż trwało. I rzeczywiście była sama. Przekonała się o tym w świetle lampki nocnej, palącej się mętnie i tajemniczo jak we śnie; ale to była rzeczywistość. Lena bardzo się przestraszyła.

W mig znalazła się przy zasłonie wiszącej u drzwi i podniosła ją spokojną ręką. Wobec warunków ich życia na Samburanie podglądanie byłoby rzeczą bezsensowną i nie leżało przy tym w jej charakterze. Nie powodowała ją ciekawość, ale prawdziwy niepokój — dalszy ciąg rozpacz i lęku odczutyh we śnie. Nie mogło być jeszcze bardzo późno. Światło latarni paliło się jasno, rzucając na podłogę i ściany czarne, szerokie pasy cienia. Lena nie zdążyła sobie jeszcze uświadomić, czy spodziewa się zobaczyć Heysta, gdy ujrzała go od razu, stojącego przy stole, w piżamie, tyłem do drzwi. Weszła bosą bez najmniejszego szelestu i puściła zasłonę, która opadła za nią. W postawie Heysta było widocznie coś charakterystycznego, bo rzekła prawie szeptem:

— Ty czegoś szukasz.

Nie mógł słyszeć jej przedtem; mimo to nie drgnął na ten szept niespodziany. Wsunął tylko z powrotem szufladę i nie spojrzawszy nawet przez ramię, rzekł spokojnie, tak reagując na jej obecność, jak gdyby zdawał sobie sprawę ze wszystkich poprzednich jej ruchów:

— Słuchaj, czy jesteś pewna, że Wang nie przechodził dziś wieczorem przez ten pokój?

— Wang? Kiedy?

— Po zostawieniu na schodach latarni.

— O nie. Pobiegł prędko. Patrzyłam za nim.

— A może przedtem — wówczas gdy byłem jeszcze z tymi podróżnymi? Co? Jak ci się zdaje?

— Chyba nie. Wyszłam na werandę zaraz po zachodzie słońca i siedziałam, póki nie wróciłeś.

— Mógł wpaść na chwilę do pokoju przez tylną werandę.

— Nic tu nie było słychać — rzekła. — A o co ci chodzi?

— Naturalnie że mogłaś nie usłyszeć. On umie być cichy jak cień, kiedy mu na tym zależy. Zdaje mi się, że potrafiłby wykraść poduszki spod naszych głów. Mógł tu być także i przed dziesięciu minutami.

— Co cię obudziło? Czyś słyszał jakiś hałas?

— Nie umiem tego powiedzieć. I zwykle się tego nie wie; ale chyba nie było żadnego hałasu. Zdaje mi się, że masz sen lżejszy ode mnie. Hałas, który by mnie obudził, byłby obudził cię także. Staralem się zachowywać jak najciszej. Co cię obudziło?

— Nie wiem — może to był sen. Obudziłam się z płaczem.

— A co ci się śniło?

Heyst zwrócił się w jej stronę z ręką opartą o stół. Jego okrągła, goła głowa tkwiła na potężnym karku siłacza. Lena nic nie odpowiedziała, jakby nie zauważyła pytania.

— Czego szukasz? — spytała z kolei poważnie.

Ciemne jej włosy, zaczesane gładko do tyłu, splecione były na noc w dwa grube warkocz. Heyst zauważył harmonijny kształt jej czoła, dostojną jego szerokość i matową biel. Było to czoło stworzone do rzeźby. Zachwyt zmałował na chwilę myśli Heysta. Wydało mu się, że jego odkrycia dotyczące tej dziewczyny są niewyczerpane — i następują w chwilach najmniej do tego odpowiednich.

Miała na sobie tylko bawełniany sarong⁶² tkany w rękę — jeden z nielicznych spr-

Strój

wunków Heysta, kupiony przed laty na Celebesie, gdzie wyrabiają te tkaniny. Przypominał sobie o jego istnieniu dopiero po przybyciu Leny i wynalazł go na dnie starej skrzyni z drzewa sandałowego, którą kupił jeszcze przed zawiązaniem spółki z Morrisonem. Lena prędko się nauczyła zawijać się szczelnie w sarong aż po pachy, jak to czynią malajskie dziewczęta, idąc kąpać się w rzece. Barki jej i ramiona były nagie; jeden z warkoczy, zwisający z przodu, wyglądał prawie czarno na tle białej skóry. Ponieważ była wyższa od przeciętnych Malajek, sarong sięgał jej wysoko nad kostki. Stała w pół drogi między stołem a kotarą; nagie jej stopy połyskiwały jak marmur na pograżonej w cieniu macie zaścielającej podłogę. Spadziłość oświetlonych bark⁶³, silne i piękne linie ramion zwisających wzdłuż ciała miały przy jej nieruchomości coś posagowego — czar dzieła sztuki tętniącego życiem. Nie była bardzo wysoka — Heyst nazywał ją z początku w myślach „tą biedną dziewczynką” — ale wyzwolona z nędznej banalności białej, estradowej sukni, zawinięta w proste fałdy sarongu, miała w kształcie i proporcjach ciała coś, co przywodziło na myśl, że postać jej jest zmniejszoną kopią posagu nadnaturalnej wielkości.

Posunęła się o krok naprzód.

— Czego szukasz? — spytała znowu.

Heyst odwrócił się tyłem do stołu. Czarne pasy mroku na podłodze i ścianach, zbiegające się na suficie w płamę cienia, obejmowały ich jak pręty klatki.

— Mówisz, że obudziłaś się przestraszona? — spytał.

Podeszła do niego — egzotyczna, a jednak tak bliska; biała jej twarz i ramiona na tle malajskiego sarongu robiły wrażenie, że się przebrała dla zabawy. Ale twarz jej była poważna.

— Nie! — odrzekła. — Obudziłam się w rozpaczy. Śniło mi się, że ciebie przy mnie nie ma i nie mogłam zrozumieć, dlaczego odszedłeś! Okropny sen — pierwszy odkąd —

— Nie wierzysz przecież w sny, prawda? — spytał Heyst.

— Znałam raz kobietę, która wierzyła w sny. A przynajmniej tłumaczyła ludziom co znaczą sny — za szylinga.

— Czy poszłabyś do niej teraz zapytać, co ten sen znaczy? — spytał Heyst żartobliwie.

— Mieszkała w Camberwell. To była wstrętna stara baba.

Heyst zaśmiał się z pewnym niepokojem.

— Sny to głupstwo, moje dziecko; rad bym tylko wiedzieć, co znaczą rzeczy, które dzieją się na jawie podczas gdy śpimy.

— Znikło ci coś z tej szuflady — rzekła stanowczo.

— Z tej albo innej. Zaglądałem już do wszystkich po kolei i wróciłem do tej, jak to zwykle kiedy się czegoś szuka. Trudno mi uwierzyć świadectwu własnych oczu; ale nie ma tego, czego szukam. A ty, Leno, czy jesteś pewna, że —

— Nie tknęłam w tym domu niczego, czego byś mi sam nie dał.

— Leno! — krzyknął.

Uraziło go tłumaczenie się z zarzutu, którego jej nie postawił. Odpowiedź jej mogła być wyjść z ust służącej — osoby zależnej i podlegającej podejrzeniom — a w każdym razie kogoś zupełnie obcego. Rozgniewało go to haniebne nieporozumienie; doznał zawodu, że nie odczuła, jakie miejsce wyznaczył jej tajemnie w myślach.

— Właściwie jesteście sobie obcy — pomyślał.

A potem żał mu się jej zrobiło. Rzekł spokojnie:

— Chciałem zapytać, czy jesteś pewna, że Chińczyk nie wślizgnął się do pokoju dziś wieczorem?

— Podejrzewasz go? — spytała, marszcząc brwi.

— Nie ma tu nikogo innego, kogo bym mógł podejrzewać. Nie myślę się z pewnością.

— A ty nie chcesz mi powiedzieć, co zginęło? — Zapytała spokojnie, jak gdyby stwierdzając jakiś fakt.

Heyst tylko się słabo uśmiechnął.

— Nic bardzo cennego, jeśli chodzi o wartość — odparł.

— Myślałam, że chodzi o pieniądze — rzekła.

⁶²sarong — malajski strój przypominający spódnicę z jednego płata tkaniny, noszony zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety. [przypis edytorski]

⁶³bark — dziś popr.: barków. [przypis edytorski]

— Pieniądze? — wykrzyknął Heyst, jakby to przypuszczenie było zupełnie niesłychane. Tak ją to zdumiało, że pośpieszył dodać: — Naturalnie że jest w domu trochę pieniędzy — tu w tym biurku, w lewej szufladzie. Otwarta; łatwo ją można wyciągnąć. Jest tu skrytka, której ścianka w głębi się obraca; bardzo prosta skrytka, jeśli się zna jej sekret. Odkryłem ją przypadkiem i trzymam tam nasz zapas funtów. Widzisz, ten skarb nie jest aż tak wielki, żeby trzeba było jaskini na jego przechowanie.

Urwał, roześmiał się bardzo cicho i odwzajemnił spokojne jej spojrzenie.

— Drobne srebrne pieniądze, trochę guldenów i dolarów, trzymam zawsze w tej niezamkniętej lewej szufladzie. Nie wątpię ani na chwilę że Wang wie o tym; ale on nie jest złodziejem i właśnie dlatego — Nie, Leno, to co mi zginęło, to nie złoto ani klejnoty — i stąd ten fakt jest ciekawy; zniknięcie pieniędzy nie byłoby wcale zajmujące.

Odetchnęła głęboko z ulgą, usłyszawszy że nie chodzi o pieniądze. Wielkie zainteresowanie malowało się na jej twarzy, ale powstrzymała się od pytań. Obdarzyła go tylko głębokim, promiennym uśmiechem.

— Ponieważ nie ja to wzięłam, więc nikt inny, tylko Wang. Powinieneś go zmusić do oddania ci tego.

Heyst nie odrzekł nic na ten naiwny i praktyczny wniosek, gdyż przedmiotem, który znikł z szuflady, był rewolwer.

Tę broń ciężkiego kalibru miał od wielu lat i nie użył jej ani razu. Od chwili, gdy meble londyńskie przyjechały na Samburan, rewolwer spoczywał zawsze w tej samej szufladzie. Istotnym niebezpieczeństwem dla Heysta nie było to, które mógł odeprzeć mieczem lub kulą. Z drugiej zaś strony ani jego obojętność, ani też powierzchowność nie zachęcały do lekkomyślnych zaczepk.

Nie potrafiłby wytłumaczyć, z jakiego powodu wstał w nocy i zajrzał do tej szuflady. Porwał się ze snu nagle, co mu się nigdy nie zdarzało. Ocknął się, siedząc na łóżku, i od razu poczuł się zupełnie trzeźwym. Lena spoczywała u jego boku z twarzą zwróconą do ściany; niewyraźna jej postać bardzo była kobieca w niepewnym świetle lampki. Leżała zupełnie bez ruchu.

O tej porze roku moskity nie dokuczały na Samburanie i muslinowe zasłony były podniesione. Heyst spuścił nogi z łóżka i stanął na podłodze, zanim jeszcze zdał sobie sprawę że ma zamiar wstać. Nie wiedział, czemu to robi. Nie chciał obudzić Leny i lekkie skrzypnięcie szerokiego łóża wydało mu się bardzo głośnie. Odwrócił się niespokojnie, myśląc że Lena się poruszy; ale nawet nie drgnęła. Gdy tak patrzył na nią, ujrzał w myśli siebie samego, leżącego obok niej w głębokim śnie i — odczuł to pierwszy raz w życiu — zupełnie bezbronnego. To na wskroś nowe odczucie niebezpieczeństw grożących we śnie sprawiło, że pomyślał nagle o rewolwerze. Opuścił pokój bezgłośnie krokami. Kótara którą podniósł, przechodząc, wydała mu się bardzo lekką, a drzwi od werandy były szeroko otwarte na czarność nocy, gdyż niski okap dachu zasłaniał światło gwiazd. Ta lekkość zasłony, te drzwi otwarte na oścież, wzbudziły w nim uczucie, że jest narażony na niebezpieczeństwo — jakie, nie umiałby powiedzieć. Wyciągnął szufladę. Widok pustego jej wnętrza przerwał mu wątek rozmyślań. Mruknął do siebie wobec tego oczywistego faktu:

— Niemożliwe! Musi być gdzie indziej.

Usiłował przypomnieć sobie, gdzie schował broń; ale zawiodły go podszepty pamięci pobudzonej tym wysiłkiem. Przeszukując każdy kącik i każdą skrytkę, w której mógł się zmieścić rewolwer, doszedł powoli do przekonania, że go nie było w tym pokoju. Nie było go także i w drugim. Cały domek składał się z dwóch pokoi i obszernych werand biegnących naokoło. Heyst wyszedł na werandę.

— To z pewnością Wang — rozmyślał, patrząc w noc. — Przywłaszczył go sobie w jakimś celu.

Nic nie przeszkadzało temu upiornemu Chińczykowi zmaterializować się każdej chwili u stóp schodów czy gdzie indziej i powalić go niezawodnym, śmiertelnym strzałem. Niebezpieczeństwo groziło tak nieuniknione, że nie warto było się nad nim zastanawiać, tak samo jak nad niepewnością ludzkiego życia w ogóle. Heyst rozmyślał o tej nieprzewidzianej groźbie. Od jak dawna już życie jego zależało od szczupłego, żółtego palca, spoczywającego na cynglu? Oczywiście, jeśli Chińczyk w tym właśnie celu ściągnął rewolwer.

Broń, Kradzież

— Strzelić — i zagarnąć po mnie wszystko — pomyślał Heyst. — Jakie to proste! — Jednak czuł w sobie wyraźną niechęć do posądzania tego hodowcy roślin o zbrodnicze zamiary.

— Nie, to nie dlatego. Przecież Wang byłby mógł zrobić to każdej chwili w ciągu ostatniego roku, albo i jeszcze dawniej.

Heyst opierał się dotychczas na przypuszczeniu, że Wang przywłaszczył sobie rewolwer podczas jego nieobecności na wyspie; ale teraz zmienił nagle zapatrywanie. Zbudziła się w nim niezbita pewność, że rewolwer mógł być wzięty dopiero późno w dzień, a może i dziś w nocy. Naturalnie, tylko Wang mógł to zrobić. Ale dlaczego? Zatem do tej chwili nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Wszystko to czekało go jeszcze.

— Trzyma teraz w rękę moje życie — myślał Heyst bez szczególnego podniecenia.

Uczuciem, którego doznawał, była ciekawość. Pogrążył się w dociekaniach; zdawało mu się, że się zastanawia nad osobliwym niebezpieczeństwem grożącym jakiejś innej osobie. Ale nawet i ten rodzaj zainteresowania opuszczał go już z wolna, kiedy, spojrzawszy na lewo, zobaczył jak zwykle zarysy domków majaczące w ciemnościach i przypomniał sobie o przybyciu łodzi ze spragnionymi podróżnymi. Wang nie ważyłby się na taką zbrodnię w obecności innych białych ludzi. Był to przykład „bezpieczeństwa polegającego na liczbie”, które to bezpieczeństwo nie bardzo jakoś trafiało Heystowi do przekonania.

Wrócił do pokoju w ponurym usposobieniu i stanął nad pustą szufladą, pogrążony głęboko w przykrych myślach. Postanowił właśnie, że ani słowa Lenie o tym wszystkim nie powie, gdy usłyszał za sobą jej głos. Zaskoczyło go to, ale wbrew pierwszemu impulsowi nie odwrócił się natychmiast, obawiając się, że mogłaby wyczytać troskę z jego twarzy. Tak, to go zaskoczyło; i z tego właśnie powodu rozmowa nie potoczyła się właściwie tak, jak byłby ją poprowadził, gdyby był przygotowany na to nagłe zapytanie. Należało odpowiedzieć natychmiast: „Nic mi nie brakuje”. Fatalnie się stało, że dopuścił do tego pytania. Uciął rozmowę, mówiąc lekkim tonem:

— To przedmiot bardzo małej wartości. Nie kłopotz się tym — nie warto. Najlepiej idź i połóż się spać, Leno.

Odwróciła się niechętnie i spytała dopiero we drzwiach:

— A ty?

— Chyba wypalę jeszcze cygaro na werandzie. Nie chce mi się spać na razie.

— Ale nie siedź długo.

Nic nie odpowiedział. Zobaczyła, że stoi nieruchomo ze zmarszczonymi brwiami i puściła z wolna zasłonę.

Heyst rzeczywiście zapalił cygaro, nim wyszedł ponownie na werandę. Wyrzał spod niskiego okapu, aby poznać po gwiazdach, czy noc już mija. Ale posuwała się bardzo wolno. Nie miał pojęcia, dlaczego tak go to podrażniło, niczego przecież od świtu nie oczekiwał, lecz wszystko naokoło niego stało się bezsensowne i niepewne, a przy tym nagliło go niewyraźnie do wypełnienia jakichś zobowiązań, nie dając mu żadnych wytycznych. Odczuwał gniewną pogardę dla swego położenia. Zewnętrzny świat rzucił się na niego. Heyst nie wiedział, co właściwie zawinił, aby ściągnąć na siebie tę biedę, tak jak nie wiedział, co dało powód do ohydnej potwarzy o jego postępowaniu z biednym Morrisonem. Nie mógł o tym zapomnieć. Potwarz ta dosięgła uszu człowieka, któremu potrzeba było absolutnej wiary w prawość swego postępowania.

— A ona na wół wierzy w tę ohydę — rozmyślał w beznadziejnym upokorzeniu.

Ten moralny cios, zadany z tyłu, pozbawił go sił do pewnego stopnia, jak gdyby to była rana fizyczna. Nie chciało mu się nic robić; ani pociągnąć do odpowiedzialności Wanga w sprawie rewolweru, ani też wybadać nieznanym przybyszów kim są i jakim sposobem znaleźli się na wyspie. Rzucił daleko w noc żarzące się cygaro. Ale Samburan nie był już pustelnia, gdzie mógł puszczać wodze wszystkim nastrojom. Ognistą parabolę, którą zakreślił w powietrzu rzucony niedopałek, zauważono na innej werandzie, odległej o jakie dwadzieścia jardów. Jako ważną oznakę zakarbował to sobie obserwator, którego zmysły łaknęły chciwie faktów i który doprowadził się do stanu takiej czujności, że słyszał prawie jak trawa rośnie.

X

Tym obserwatorem był Marcin Ricardo. Życie nie było dla niego kwestią biernego wyzuczenia, lecz wytężonej walki. Nie odnosił się do życia z nieufnością i pogardą, a jeszcze mniej był skłonny do przewidywania w nim zawodów; ale zdawał sobie jasno sprawę, ile kryje możliwych niepowodzeń. Choć bardzo daleki od pesymizmu, nie karmił się głupimi złudzeniami. Nie lubił niepowodzeń; nie tylko ze względu na przykre i niebezpieczne skutki, ale i z powodu ujemnego wpływu, jaki wywierały na własne jego pojęcie o Marcinie Ricardo. A obecna robota była na wskroś odrębna, uknuta przez niego samego i zupełnie nowa w pomyśle. Nie leżała na zwykłej linii jego poczynań — chyba tylko z moralnego punktu widzenia, którym nie myślał zaprzętać sobie głowy. Z tych to przyczyn sen odbiegł Marcina Ricardo.

Pan Jones — po kilku atakach dreszczów i po wypiciu wielu szklanek gorącej herbaty — zapadł najwidoczniej w głęboki sen. Udaremnił bardzo stanowczo próby nawiązania rozmowy podjęte przez wiernego towarzysza. Ricardo przysłuchiwał się miarowemu jego oddechowi. Nic nie przeszkadzało szefowi spać spokojnie. Zapatrywał się na tę ich wyprawę niby na rodzaj sportu — jak przystało wielkiemu panu. Ale Ricardo czuł, że ta delikatna i ważna robota musi być wykonana za wszelką cenę — zarówno ze względu na honor, jak i na bezpieczeństwo. Wstał po cichu i wyszedł na werandę. Nie mógł spokojnie uleżeć. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem; a przy tym miał uczucie, że siłą swego pragnienia zmusi mrok i ciszę, aby wydały coś ze swoich tajemnic na żer jego oczom i uszom.

Zbadał położenie gwiazd i cofnął się na powrót w gęsty mrok. Oparł się wzrastającej wciąż chęci, by wyjść i przekraść się do drugiego domku. Wariactwem byłoby skradać się w ciemnościach po nieznanym terenie. I w jakim celu? Chyba aby się nieco uspokoić. Bezruch ciążył jego członkom jak ołowiana szata. A jednak nie mógł się zdecydować na zaniechanie bezcelowego czuwania. Człowiek z wyspy zachowywał się spokojnie.

W tej chwili właśnie wzrok Ricarda pochwycił niknący, czerwony łuk światła zakreślony przez cygaro: ta groźna rewelacja dowodziła że tamten człowiek czuwa. Ricardo nie mógł się powstrzymać od cichego: „Oho!” i zaczął sunąć bokiem ku drzwiom, ocierając się plecami o ścianę. Nie wiedział, czy tamten nie zbliżył się do domku i czy nie obserwuje werandy; tymczasem Heyst, rzuciwszy cygaro, wrócił do mieszkania z uczuciem człowieka, który zaniechał bezcelowego zajęcia. Ale Ricardo wyobraził sobie, że dochodzi go z dworu słaby odgłos kroków i wsunął się prędko do pokoju. Odetchnął i pogрузił się na chwilę w rozmyślanie. Następnie wymacał zapalki leżące na wysokim pulpicie i zapalił świecę. Zakomunikowanie szefowi nagromadzonych spostrzeżeń i refleksji stało się nieodzownym, a były to rzeczy tak wielkiej wagi, że musiał koniecznie śledzić na obliczu słuchacza wywołane przez nie wrażenia. Na razie myślał, że można odłożyć tę rozmowę do następnego dnia; ale bezsenność Heysta, zdradzona w tak zastraszający sposób, przejęła Ricarda nagłą pewnością, że i on nie powinien spać tej nocy.

Zwrócił się z tym oświadczeniem do swego zwierzchnika. Gdy mały płomyk w kształcie sztyletu rozproszył jako tako ciemność, w odległym kącie pokoju ukazał się pan Jones wyciągnięty na łóżku polowym. Podróżna derka zakrywała szczupłą jego postać aż po głowę; druga derka zwinięta w rulon służyła za poduszkę. Ricardo przykucnął ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, tuż przy niskim łóżku, tak że pan Jones — który nie spał może tak bardzo głęboko — otworzywszy oczy, ujrzał twarz sekretarza, umieszczoną wygodnie na poziomie swojej twarzy.

— No? Co takiego? Nie powinienes dziś spać? Ale dlaczego mnie spać nie dajesz? Idź do diabła i nie zwracaj mi głowy.

— Obudziłem pana, bo tamten drab nie śpi — tylko dlatego. Bodajbym zdechł, jeśli tam czegoś nie knuje! Co on w tym ma, żeby rozmyślać tak po nocy?

— Skąd wiesz o tym?

— Wychodził na dwór, proszę pana — spacerował późno w nocy. Widziałem to na własne oczy.

— Ale skąd wiesz, że wstał, aby rozmyślać? — spytał pan Jones. — Mogło go zbudzić coś innego — na przykład ból zębów. Pewno przyśniło ci się to wszystko, tak mi się coś zdaje. Czy nie starałeś się zasnąć?

— Nie, proszę pana. Nawet nie starałem się zasnąć.

Ricardo zawiadomił zwierzchnika o swoim czuwaniu na werandzie i o rewelacyjnym fakcie, który je przerwał. Wyprowadził wniosek, że człowiek, spacerujący z cygarem wśród głębokiej nocy, musi knuć jakiś zamysł.

Pan Jones podniósł się nieco i oparł głowę na łokciu. Ta oznaka zainteresowania pokrzepiła na duchu wiernego giermka.

— Zdaje mi się, że czas najwyższy, abyśmy się trochę zastanowili — dodał Ricardo z większą pewnością siebie. Choć tak dawno obcowali już z sobą, nastroje szefa były zawsze źródłem niepokoju dla prostej duszy sekretarza.

— Ty zawsze robisz zamieszanie — zauważył pan Jones wyrozumiałym tonem.

— No ale przecież nie bez powodu, co? Nie może pan tego powiedzieć. Może i nie patrzę na rzeczy jak dżentelmen, ale także i nie jak idiota. Przyznał mi to pan wiele razy.

Ricardo rozgrzewał się własnymi argumentami. Pan Jones przerwał mu obojętnie:

— Przypuszczam, że mnie nie obudzileś, aby mi opowiadać o sobie.

— Nie, proszę pana. — Ricardo zamilkł na chwilę, trzymając koniec języka między zębami. — Nie zdaje mi się, żebym mógł powiedzieć panu o sobie coś, czego pan nie wie — ciągnął dalej. Z głosu jego przebijało jakieś wesołe zadowolenie, które znikło przy dalszych słowach. — Nie o mnie, ale o tamtym człowieku trzeba pomówić. On mi się nie podoba!

Nie zauważył błysku okropnego uśmiechu na ustach szefa.

— Nie podoba ci się? — mruknął pan Jones, którego twarz, wsparta na łokciu, była na jednym poziomie z wierzchem głowy Ricarda.

— Nie — odrzekł ten dobitnie. Świeca stojąca z drugiej strony pokoju rzucała jego potworny cień na ścianę. — Ten człowiek — nie umiem tego określić — nie ma w sobie nic serdecznego.

Pan Jones potwierdził leniwie po swojemu:

— Wygląda na bardzo opanowanego człowieka.

— Otóż to właśnie. Opanowa... — Ricardo zaciął się z oburzenia. — Zaraz bym mu wypuścił trochę tego opanowania przez dziurę między żebrami, tylko że to jest taka specjalna robota.

Pan Jones snuł przez ten czas własne myśli, zapytał bowiem:

— Czy myślisz, że jest podejrzliwy?

— Nie widzę, o co mógłby nas podejrzewać — rozważał Ricardo. — A jednak wstał i namyślał się nad czymś. Co go mogło niepokoić? Co wyciągnęło go z łóżka wśród nocy? Z pewnością nie pchły.

— Może wyrzuty sumienia — poddał żartobliwie pan Jones.

Wierny sekretarz był rozdrażniony i nie zrozumiał żartu. Oświadczył zirytowanym tonem, że taka rzecz jak sumienie wcale nie istnieje. Natomiast istnieje strach; ale ten drab nie miał żadnego powodu do strachu. Jednak Ricardo przyznał, że przybycie nieznajomych mogło Heysta przerazić — właśnie z powodu tego łupu, który gdzieś trzyma w ukryciu.

Ricardo spoglądał tu i tam, jakby się obawiał, że podsłuchują go ciężkie cienie, zalegające cały pokój przy mdłym świetelku świecy. Zwierzchnik szepnął bardzo spokojnie:

— A jeśli ten hotelarz nałgał ci na niego? Ten Heyst to może taki sobie biedak po prostu.

Ricardo potrząsnął z lekka głową. Schombergowska teoria o Heyście trafiła mu głęboko do przekonania; wchłonął ją tak naturalnie, jak gąbka chłonie wodę. Wątpliwości szefa były dziecinnyim zaprzeczeniem faktu, który się sam przez się rozumiał; lecz mimo to głos Ricarda nie zmienił się wcale i brzmiał w dalszym ciągu jak łagodne, kocie mruczenie o warczącym podkładzie.

— Pan mnie doprawdy zadziwia! Tak jak on postępują właśnie wszyscy oswojeni — zwykli, światowi hipokryci. Kiedy chodzi o łup, który mają tuż pod nosem, ani jeden rąk przy sobie nie utrzyma. I wcale ich nie ganię. Tylko cholera mnie bierze, gdy patrzę na ich sposoby. Niechże pan sobie przypomni, jak to on pozbył się tego swego przyjaciela. Wysłać człowieka, żeby z zimna zdechł na płuca — to taki typowy kawał tych oswojonych drabów. I pan mi powie, proszę pana, że człowiek zdolny do czegoś podobnego nie zgarnął wszystkiego, co wpadło mu w ręce? — cichaczem, jak hipokryta? A co znaczył ten cały

węglowy interes? Te oswojone gagatki urządzają zawsze takie kawały; to hipokryzja — nic więcej. Nie, nie, proszę pana! Musimy wyciągnąć z niego wszystko na czysto. To jest nasze zadanie; i wcale nie takie proste, jakby się zdawało. Przypuszczam, że pan przypatrzył się tej robocie ze wszystkich stron, zanim się pan na nią zdecydował.

— Nie. — Ledwie można było dosłyszeć głos pana Jonesa, który patrzył gdzieś przed siebie, wyciągnięty na swym legowisku. — Nie myślałem dużo o tym. Nudziłem się.

— Właśnie — okropnie się pan nudził. Byłem już doprawdy w rozpacz tego dnia po południu, kiedy ten brodac, ten zbiegowany hotelarz zaczął mi rozpowiadać o tym człowieku. To był czysty przypadek. No i dostaliśmy się tutaj, a trzeba przyznać, że byliśmy już jedną nogą na tamtym świecie. Czuję się jeszcze jak flak — ale co mi tam, jego kabza zapłaci nam za wszystko.

— On tu jest sam jeden — zauważył pan Jones głuchym szeptem.

— Ta-ak, do pewnego stopnia. Tak, prawie sam. Tak; właściwie można powiedzieć, że jest sam.

— A jednak jest i ten Chińczyk.

— Aha, jest i Chińczyk — przyznał Ricardo z roztargnieniem.

Rozwagał, czy należy zakomunikować szefowi wiadomość o dziewczynie. Po namyśle zdecydował, że nic nie powie. Przedsięwzięcie było trudne samo przez się i nie należało go komplikować przez wyprowadzenie z równowagi prawdziwego pana, którego miał zaszczyt być współnikiem. Prawda wyjdzie na jaw sama przez się — myślał — a potem będzie mógł przysiąc, że nie miał pojęcia o tym drażliwym szczególe. Nie potrzebował przy tym wcale kłamać przed szefem. Wystarczyło trzymać język za zębami.

— Tak — mruknął w zamyśleniu — jest naturalnie i ten Chińczyk.

W gruncie rzeczy czuł jakiś dziwny szacunek dla przesadnej antypatii, którą jego szef żywił względem kobiet, jakby ten wstręt do kobiecego towarzystwa był pewnym rodzajem moralności — dziwacznej wprawdzie, ale zawsze moralności — jako cecha w oczach Ricarda pożyteczna i zapobiegająca wielu niepożądanym komplikacjom. Nie miał pretensji do zrozumienia tej idiosynkrazji swego zwierzchnika. Nie starał się nawet jej badać. Wiedział tylko, że on sam miał wręcz przeciwnie skłonności i że nie czuł się z tego powodu szczęśliwszym ani bezpieczniejszym. Nie wiedział, jak byłoby się ułożyło jego życie, gdyby się sam tłukł po świecie. Na szczęście musiał podporządkować się cudzej woli — nie jako niewolnik, za wyznaczoną pensję, ale jako towarzysz — i to stanowiło dla niego hamulec. Tak! Tamten rodzaj usposobienia upraszczał życie na ogół — nie dało się temu zaprzeczyć. Ale widocznie mógł także spowodować i komplikacje, jak na przykład w obecnym wypadku niezmiernie wagi — który — według Ricarda — już sam przez się był bardzo delikatnej natury. A najgorsze ze wszystkiego było to, że nigdy się nie dało przewidzieć, w jaki właśnie sposób ta idiosynkrazja szefa się przejawia.

— To nienormalne — rozmyślał Ricardo z pewną irytacją. I jakże zdać sobie sprawę z nienormalności, która żadnym prawom nie podlega? Wierny giermek „zwykłego sobie Jonesa”, przewidując wiele trudności natury fizycznej, postanowił ukryć przed szefem obecność dziewczyny i oszczędzić mu jej widoku póki się tylko da. Niestety, według wszelkiego prawdopodobieństwa było to możliwe tylko przez parę godzin; Ricardo zaś obawiał się, że przygotowania do właściwej roboty zajmą i kilka dni. Kiedy sprawa będzie już w toku, wówczas — był o tym przekonany — jego pan nie zawiedzie. Jak to bywa często u natur żyjących bezprawiem, wiara Ricarda w tego lub innego osobnika była prosta i bezwzględna. Albowiem człowiek musi mieć w życiu jakieś oparcie.

Ricardo, siedzący zupełnie nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami i głową nieco pochyloną, wyglądał jak bonza⁶⁴ zatopiony w rozmyślaniach nad świętą sylabą „om”. Był to jaskrawy przykład kłamliwości pozorów, gdyż pogarda jego dla świata miała na wskroś praktyczny charakter. W Ricardzie nie było nic wschodniego poza zdumiewającym spokojem pozy. Pan Jones zachowywał się też bardzo spokojnie. Opuścił głowę na zwiniętą derkę i wyciągnął się na boku, odwrócony tyłem do światła. W tej pozycji jego oczodoły z nagromadzonym w nich cieniem sprawiały wrażenie zupełnie pustych. Gdy zaczął mówić, widmowy głos miał do przebycia tylko kilka cali, aby przeniknąć wprost do lewego ucha Ricarda.

⁶⁴bonza — buddyjski duchowny. [przypis edytorski]

— Dlaczego nic nie mówisz teraz, kiedyś mnie już rozbudził?
— Chciałbym wiedzieć, czy też pan spał tak mocno, jakby się zdawało — rzekł niewzruszony Ricardo.

— I ja chciałbym wiedzieć — powtórzył pan Jones. — W każdym razie odpoczywałem sobie spokojnie.

— Jak to, proszę pana — wyszeptał przestraszony Ricardo — pan mi przecież nie powie, że pan zaczyna się nudzić?

— Nie.

— To doskonale! — Sekretarz odetchnął z ulgą. — Niema do tego powodu, mogę pana zapewnić — szepnął poważnie. — Wszystko, byle nie to! Jeżeli nic przez chwilę nie mówiłem, to nie dlatego, żeby nie było bardzo wiele do gadania. Mamy tego aż nadto.

— Co ci się stało? — szepnął zwierzchnik. — Czyżbyś się skłaniał do pesymizmu?

— Ja? Nie, proszę pana. Nie należę do tego gatunku. Może pan mnie zwymyślać, jeśli się panu podoba, ale pan wie bardzo dobrze że nie jestem kraczącym krukiem. — Ricardo zmienił ton. — Jeśli nic nie mówiłem przez chwilę, to dlatego, że medytowałem nad tym Chińczykiem.

— Doprawdy? Szkoda czasu, mój Marcinie. Chińczyka przeniknąć nie można.

Ricardo przyznał, że może to i prawda. Ale przecież nie chodzi im o Chińczyka, choćby i najbardziej tajemniczego; a taki szwedzki baron nie jest i nie może być nieprzenikniony. Roi się wszędzie od takich baronów.

— Nie wiem, czy on jest znów tak bardzo oswojony — zauważył półgłosem pan Jones grobowym tonem.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Naturalnie, że to nie zmokła kura. I nie mógłby go pan zahipnotyzować, jak to pan robił z niejednym południowcem i z różnymi innymi oswojonymi obywatelami, kiedy trzeba ich było wciągnąć do gry.

— Na to nie masz co liczyć — mruknął poważnie „zwykły sobie Jones”.

— Nie liczę, proszę pana, choć pan ma nadzwyczajną siłę w oku. To fakt.

— Powiedz, że mam nadzwyczajną cierpliwość — zauważył sucho pan Jones.

Mętny uśmiech przewinął się po wargach wiernego Ricarda, który trzymał wciąż głowę spuszczoną.

— Nie chciałbym zanadto pana nudzić; ale ten interes nie jest podobny do żadnego z tych, któreśmy razem robili.

— Może i nie. W każdym razie cieszymy się tym przekonaniem.

Znużenie monotonią życia odbiło się w tonie tego względnego potwierdzenia. Szarpnęło to nerwami pełnego nadziei Ricarda.

— Pomyślmy nad tym jak się zabrać do roboty — odparł z pewną niecierpliwością. — Chytra z niego sztuka. Niech pan tylko sobie przypomni, jak urządził tego swego kolegę. Słyszał pan kiedy o takiej podłości? A obluda tej bestii — plugawa, tchórzowska obluda!

— Tylko nie puszczaj się na morały, mój Marcinie — przestrzegł go pan Jones. — O ile rozumiem tę historię opowiedzianą przez niemieckiego hotelarza, dowodzi ona dość silnego charakteru, a także i niezależnienia od pospolitych ludzkich uczuć, co nie jest rzeczą zwykłą. To nawet bardzo godne uwagi, o ile jest prawdziwe.

— Aha! bardzo godne uwagi. I bardzo paskudne — mruknął Ricardo. — Przyjemnie mi pomyśleć że ten drab dostanie za to zapłatę, której się wcale nie spodziewa.

Między zaciśniętymi wargami Ricarda ukazał się na chwilę ruchliwy czubek języka, próbujący niejako smaku tej dzikiej zapłaty. Ricardo bowiem był szczerzy w swym oburzeniu na zdradę elementarnych zasad wierności względem przyjaciela — zdradę popełnioną z zimną krwią, powoli, z cierpliwą chytrą trwającą całe lata. Łotrostwo ma swoje zasady podobnie jak cnota i czyn ten — tak jak on go sobie wyobrażał — nabierał szczególnej ohydy z powodu wolnego tempa zdrady tak okrutnej a tak układnej. Ale Ricardo rozumiał także kulturalny pogląd na tę sprawę swego zwierzchnika, prawdziwego pana, rozpatrującego wszystko z wyższego punktu widzenia, co jest przywilejem wykształconego umysłu i wysokiego stanowiska.

— No, to ci dopiero drab chytry i przebiegły — mruknął przez ostre zęby.

— Do licha — wpełził mu do ucha spokojny szept pana Jonesa. — Gadajże raz do rzeczy.

Posłuszny sekretarz otrząsnął się z zamyślenia. Między tymi dwoma ludźmi zachodziło pewne powinowactwo duchowe: jeden stał się wyrzutkiem społeczeństwa przez swoje występki, drugi zaś — wskutek swojej wyzywającej pogardy i napastliwości dzikiego zwierza — zapatrywał się na wszystkie oswojone stworzenia tej ziemi jak na należną sobie zdobycz. Obaj byli jednak dość przebiegli, aby zdać sobie sprawę, że puścili się na tę awanturę nie zbadawszy dostatecznie szczegółów. Postać samotnego człowieka pozbawionego wszelkiej opieki, olbrzymia i fascynująca, bezbronna wśród morza, majaczyła w oddali, zapelniając całe pole ich widzenia. Zdawało się, że nie potrzebują zastanawiać się nad niczym. Schomberg mówił: „Trzech na jednego”.

Ale teraz sprawa nie przedstawiała się tak prosto właśnie wskutek tej samotności, która była jak gdyby zbroją tego człowieka. Uczucie, które wierny giermek wyraził po swoim: „I cóż nam to pomogło że znaleźliśmy się tutaj” — przyjął szef, milcząc, do wiadomości. „Nietrudno wypruć człowiekowi flaki, albo wywiercić w nim dziurę, czy jest sam, czy nie — rozważał Ricardo cichym, poufnym tonem — ale —”

— On nie jest sam — rzekł słabym głosem pan Jones, ułożywszy się jak do snu. — Nie zapominaj o tym Chińczyku.

Ricardo drgnął z lekka.

— Aha — hm, ten Chińczyk!

Ricardo już, już postanowił zwierzyć się z obecności dziewczyny; ale nie! nic nie powie. Pragnął, aby szef pozostał niewzruszony i spokojny. W związku z tą dziewczyną roily się w jego mózgu mętne myśli, których nie miał odwagi jasno sobie uświadomić. Taka dziewczyna to nie może być nic szczególnego. Nastraszy się ją. Są także i inne możliwości. A sprawę Chińczyka można otwarcie z szefem roztrząsać.

— Myślałem właśnie, proszę pana, tak a tak — ciągnął z powagą. — Mamy tu tego człowieka. To głupstwo; jeżeli nie będzie grzeczny, możemy zamknąć mu buzię. To nic trudnego. Ale poza tym jest łup. Nie nosi go przecież w kieszeni.

— Mam nadzieję, że nie — szepnął pan Jones.

— I ja także. Wiemy, że łup jest na to za duży: ale gdyby ten drab był na wyspie sam jeden, nie troszczyłby się zbytnio o to — to znaczy o bezpieczeństwo swego łupu. Po prostu wsadziłby wszystko do jakiejś skrzynki czy szuflady, którą by znalazł pod ręką.

— Tak myślisz?

— Tak, proszę pana. Trzymałby to niejako pod okiem. Dlaczego nie? Przecież to naturalne. Człowiekowi nie przyjdzie na myśl zagrzebywać w ziemi swoją kabzę, chyba że ma do tego bardzo wyraźne powody.

— Jak to, wyraźne powody?

Tak, proszę pana. Za cóż pan ma człowieka — za kreta?

Opierając się na własnym doświadczeniu, Ricardo oświadczył, że człowiek nie jest z natury stworzeniem lubiącym ryc się w ziemi. Nawet skąpcy bardzo rzadko zagrzebują swoje skarby, chyba z jakichś wyjątkowych przyczyn. Ale dla tego człowieka, mieszkającego samotnie na wyspie, obecność Chińczyka była przyczyną zupełnie wystarczającą. Ani szuflady, ani skrzynki nie stanowiły schronienia, zabezpieczającego przed węszącym Chińczykiem o skośnych oczach. Nie, proszę pana; taką skrytką mogłaby być tylko kasa — porządna kasa ogniotrwała. Ale kasa jest tu, w tym pokoju.

— Kasa? W tym pokoju? Nie zauważyłem — szepnął pan Jones.

Nie zauważył, ponieważ kasa pomalowana była na białą, tak jak i ściany pokoju; a w dodatku stała zasunięta w ciemny kąt. Przy tym pan Jones zbyt był zmęczony, wysiadłszy na brzeg, aby cośkolwiek zauważyć; ale Ricardo rozpoznał wnet charakterystyczną sylwetę. Gdybyż tak można było wierzyć że ten łup, zdobyty przez zdradę, obłudę i wszelkie inne niegodziwości Heysta — tam został umieszczony! Ale gdzie tam! Ten przekłety grat jest otwarty.

— Może kiedyś przechowywał tam łup — rozważał ponuro — ale teraz go tam nie ma.

— A jednak ten człowiek nie wybrał sobie tego domu na mieszkanie — zauważył pan Jones. — Ale, ale, co on mógł mieć na myśli, kiedy wspomniał o okolicznościach, które mu nie pozwalają umieścić nas w tamtym drugim domku? Pamiętasz jak to powiedział, Marcinie? To brzmiało jakoś tajemniczo.

Marcin, który pamiętał dobrze i rozumiał zdanie, związane bezpośrednio z obecnością tej dziewczyny, zawahał się chwilę, nim odpowiedział:

— To taki podstępny kawał z jego strony; ale kawał nie z tych najgorszych. Te maniery w stosunku do nas, nie zadawanie żadnych pytań — to także podstępne kawały. Mówi się, że człowiek jest stworzeniem ciekawym i tak też jest rzeczywiście; ale on się zachowuje, jakby go nic nie obchodziło. Naturalnie, że go obchodzą różne rzeczy, bo po cóż by wstawał i laził po nocy z cygarem, i medytował? To mi się nie podoba!

— Bardzo możliwe, że on jest teraz na dworze, że obserwuje nasze światło i mówi sobie zupełnie to samo o naszym czuwaniu — wyrzekł z powagą zwierzchnik Ricarda.

— Tak, to możliwe, proszę pana; ale to są zanadto ważne rzeczy, aby mówić o nich w ciemnościach. A nasze światło zupełnie jest na miejscu. Można je doskonale wytłumaczyć. Tu, w tym domku, pali się światło po nocy, ponieważ — no, ponieważ pan jest niezdrowszy. Niezdrowszy, proszę pana — otóż to właśnie; musi pan udawać chorego.

Ta myśl zaświtała nagle wiernemu giermkowi jako zbawczy środek, mający odsunąć jak najdalej spotkanie szefa z dziewczyną. Pan Jones przyjął tę radę nie poruszywszy się wcale: nie drgnęły nawet w jego oczodołach spokojne, nikłe światełka, które były jedyną oznaką życia w wycieńczonym ciele. Lecz Ricardo, wygłosivszy zbawienną myśl, dojrzał w niej inne możliwości bardziej jeszcze celowe i mogące przynieść praktyczniejsze korzyści.

— Z pana wyglądem, proszę pana, pójdzie to dość łatwo — ciągnął równym głosem, jak gdyby nie było przerwy w jego wywodach; pełen szacunku, ale i szczerości, dążył z wielką prostotą do swego celu. — Wszystko, co pan ma do roboty, to leżeć spokojnie. Zauważyłem wtedy na pomoście, że ten drab patrzył na pana z pewnym zdumieniem.

Przy tych słowach, które były naiwnym holdem dla powierzchowności zwierznika, przywodzącej na myśl raczej grób niż łóżko chorego — z tej strony twarzy pana Jonesa, która była wystawiona na mdłe światło świecy, ukazała się zmarszczka — głęboka, sięgająca od nosa aż do brody; był to milczący uśmiech. Ricardo rzucił na szefa ukosne spojrzenie i zauważył tę grę twarzy. Pokrzepiony na duchu, uśmiechnął się również z uznaniem:

— A tymczasem pan jest zdrowszy jak ryba — ciągnął dalej. — Słowo daję, gdybym się zaklął nie wiem na co, to i tak nikt nie uwierzy, że pan nie jest chory. Musimy poświęcić dzień albo dwa, żeby rozejrzeć się w interesie i wymacać tego hipokrytę.

Ricardo patrzył wciąż na skrzyżowane swoje łydki. Zwierzchnik wyraził aprobatę martwym głosem:

— Może to i dobra myśl.

— Chińczyk to głupstwo. Można go sprzątnąć każdej chwili.

Jedna z rąk Ricarda, spoczywająca dłonią do góry na złożonych nogach, wykonała szybkie pchnięcie, powtórzone przez olbrzymi cień ramienia bardzo nisko na ścianie. Ten gest przerwał czar bezruchu obejmującego pokój. Oczy sekretarza wpatrzyły się martwie w ścianę, po której cień się zesunął. Każdego człowieka można unieszkodliwić, oświadczył Ricardo. Nie chodzi wcale o to, co ten Chińczyk może zrobić, ale o wpływ jego obecności na postępowanie tego Szweda, którego los był przesądzony. Człowiek! I czymże jest człowiek? Równie łatwo można dźgnąć szwedzkiego barona, albo przedziurawić go kulą, jak każde inne stworzenie; ale tego właśnie należy unikać, póki nie będzie wiadomo, gdzie ukrył łup.

— Nie zdaje mi się, aby wpakował go do jakiegś dziury w swoim domu — dowodził Ricardo z prawdziwym niepokojem.

Nie. Dom może ulec pożarowi — wypadkiem, albo z powodu podpalenia — kiedy się śpi. A może Heyst schował łup pod domem — w jakiegś rozpadlinie, szczelinie, czy szparze? Coś szeptało jednak Ricardowi, że tak nie jest. Napięcie umysłowego wysiłku pokryło mu czoło zmarszczkami. Skóra na jego głowie zdawała się poruszać wśród ciężkiej pracy, która polegała na denerwującym formułowaniu przypuszczeń.

— Za co pan ma człowieka — za niemowlę? — rzekł w odpowiedzi na zarzuty pana Jonesa. — Chcę wykombinować, co bym ja sam zrobił na jego miejscu. Nie zdaje mi się, żeby był mędrszy ode mnie.

— A co myślisz o sobie?

Pan Jones zdawał się śledzić kłopoty towarzysza z rozbawieniem, ukrytym pod pozorami martwego spokoju.

Ricardo puścił to pytanie mimo uszu. Plastyczna wizja łupu pochłaniała go całkowicie. Wspaniała wizja! Oto kilka niewielkich płóciennych worków, związanych cienkim sznurkiem; pod pękatą ich powierzchnią rysują się krążki monet — złotych, masywnych, ciężkich i tak łatwo przenośnych. A może łup został ukryty w stalowej kasie podręcznej z wyrytym na wieku ornamentem; lub też w czarnej mosiężnej skrzynce z uchem na wierzchu, napelnionej — czym? Bóg raczy wiedzieć. Może banknotami? Dlaczegoż by nie! Ten człowiek wracał do kraju, więc z pewnością musiało to być coś, z czym się wracać opłaci.

— I pewnie ukrył to gdzieś na dworze — gdziekolwiek bądź! — krzyknął Ricardo stłumionym głosem. — Pewno w lesie.

Otóż to właśnie! Chwilowy mrok zastąpił mętne światło pokoju, mrok zalegający las nocą; widać błysk latarni, przy której jakaś postać kopie u stóp drzewa. Obok niej druga postać trzyma latarnię — ha, postać kobieca! To ta dziewczyna!

Powściągliwy Ricardo stłumił przekleństwo — wyraz radości zmieszanej ze strachem. Czy Heyst ufa dziewczynie, czy jej nie dowierza? Tak czy owak, z pewnością uczucia jego są krańcowe. Z kobietami nie można inaczej. Nie umiał wyobrazić sobie człowieka, który by nie zaufał zupełnie kobiecie związanej z nim poufnym stosunkiem — i to jeszcze wobec specjalnych warunków, w jakich ją zdobył i wobec zupełnej samotności; w tych okolicznościach żadne zwierzenia nie mogły się wydać niebezpiecznymi, ponieważ nie było nikogo, przed kim by można je zdradzić. Poza tym w dziewięciu wypadkach na dziesięć mężczyzna ufa kobiecie. Ale mniejsza z tym, czy Heyst ufał dziewczynie, czy nie; należało zdać sobie sprawę, o ile jej obecność była korzystną lub szkodliwą dla ich planu. Oto pytanie!

Pokusa, aby naradzić się ze zwierchnikiem, aby porozmawiać o tej ważnej sprawie i usłyszeć jego zdanie — była zaiste wielka. Ricardo oparł się jej; ale konflikt uczuć, który musiał przeżyć samotnie, bardzo był gwałtowny i męczący. Kobieta jest w zagadnieniu wielkością nieobliczalną, nawet jeśli się ma pewne dane do snucia domysłów. A cóż dopiero, jeśli się jej nigdy na oczy nie widziało!

Choć myśli te przeleciały mu przez głowę z wielką szybkością, czuł, że dłużej milczeć nie powinien. Rzekł więc natychmiast:

— Czy pan widzi nas obu przy łopatach, ryjących się w ziemi po całej tej przeklętej wyspie?

Pozwolił sobie na lekkie poruszenie ręki. Cień przeobraził je natychmiast w gest zamaszty.

— Niezbyt miła perspektywa, mój Marcinie — szepnął szef obojętnie.

— Nie wolno nam się zniechęcać — w tym rzecz — odparł wierny giermek. — I jeszcze po tym wszystkim, co musieliśmy wycierpieć w łodzi; no, to by było doprawdy...

Nie mógł znaleźć odpowiedniego wyrażenia. Z wielkim spokojem — wierny a jednocześnie przebiegły — napomknął niewyraźnie o nadziei, która mu zaświtała.

— Z pewnością znajdzie się coś, co naprowadzi nas na jakiś ślad; do tego interesu nie można się brać gwałtownie. Już niech się pan na mnie spuści⁶⁵, potrafię wywachać każdą poszlakę, jaka się tylko nadarzy; ale pan musi postępować z nim bardzo ukladnie. A co do reszty, niech mi pan zaufa.

— No, dobrze; ale pytam się siebie, na co ty liczysz.

— Na nasze szczęście — rzekł wierny Ricardo. — Niechże pan nic przeciw szczęściu nie mówi! To by mogło przynieść nam pecha.

— Przesądny idiota z ciebie. No, dobrze, nie powiem ani słowa.

— Doskonale. Niech pan nawet nie myśli o szczęściu z lekceważeniem. Z nim żartować nie można.

— Tak, szczęście to delikatna rzecz — potwierdził pan Jones sennym szeptem.

Nastąpiło krótkie milczenie, które przerwał Ricardo dyskretnym i badawczym głosem:

— Kiedy już mówimy o szczęściu, zdaje mi się że dałoby się go wciągnąć do gry z panem — partia pikiety na dwie osoby, albo *écarté* — niby to że pan jest słaby i nie

⁶⁵niech się pan na mnie spuści (daw.) — niech się pan na mnie zda. [przypis edytorski]

wychodzi — dla miłego przepędzenia czasu. Kto wie, może on należy do tych, co to się zapalają przy kartach.

— Czy to podobne do prawdy? — rzekł chłodno zwierzchnik. — Weźmy pod uwagę to, co wiemy o jego życiu — choćby ten stosunek do współnika.

— Ma pan rację. To zimna bestia — zimna, nieludzka.

— I powiem ci jeszcze jedno. Nie sądzę, aby on pozwolił się obedrzeć. Nie mamy do czynienia z głupim młodziekiem, którego można za nos wodzić, szydząc z niego albo schlebując mu, a koniec końców go zastraszyć. To jest wytrawny człowiek.

Ricardo przyznał szefowi zupełną słuszność. Ale miał na myśli grę w karty na małą skalę, po prostu aby zaprzętać tym wroga, podczas kiedy on, Ricardo, będzie miał wolne pole do przeszeptygów.

— Mógłby pan nawet przegrać do niego trochę pieniędzy — poddał.

— Mógłbym.

Ricardo zamyślił się chwilę.

— Wygląda mi też na takiego, co to stanie dęba w chwili, kiedy nikt się tego nie będzie spodziewał. Co pan o tym myśli? Prawda, że stanie dęba? To znaczy, jeżeli go coś zaniepokoi. Prędzej stanie dęba niż drapnie — co?

Pan Jones odpowiedział natychmiast, ponieważ znał dobrze swoistą gwarę wiernego towarzysza.

— O, z pewnością! Z pewnością.

— Cieszę się, że pan się ze mną zgadza. To zmyślna bestia i nie trzeba, żeby coś zwąchał, póki się nie wywiem, gdzie trzyma kabzę. A potem...

Ricardo zamilkł w złowrogim spokoju. Nagle podniósł się szybko i spojrzał z góry na szefa z posępnym roztargnieniem. Pan Jones nie poruszył się wcale.

— Jedna rzecz bardzo mnie gryzie — zaczął Ricardo zniżonym głosem.

— Tylko jedna? — przyłączyła cicha odpowiedź postaci wyciągniętej nieruchomo na łóżku.

— Ta jedna rzecz gryzie mnie więcej niż wszystkie inne razem wzięte.

— Oho, to coś ważnego.

— Pewno, że to jest ważne. Chodzi mi o to — jak pan się czuje na wewnątrz, proszę pana? Czy nie zanoszą się u pana na nudy? Ja wiem, że te napady to przychodzą ni stąd ni zowąd; ale chyba pan może powiedzieć...

— Osiół jesteś, mój Marcinie.

Markotna twarz sekretarza rozjaśniła się.

— Doprawdy, panie? To dobrze, cieszę się z tego — to znaczy póki pan nie cierpi na nudy. To by było na nic, proszę pana.

Ricardo rozchełstał koszulę na piersiach i podwinął rękawy, aby się trochę ochłodzić. Bosymi nogami przesunął się bez szmeru przez pokój w kierunku świecy, przy czym cień jego głowy i ramion rósł za nim coraz bardziej na przeciwległej ścianie, do której była zwrócona twarz „zwykłego sobie Jonesa”. Ricardo przekreślił głowę w tył kocim ruchem i spojrzał na chude plecy widma leżącego na łóżku, po czym zdmuchnął świecę.

— Właściwie mówiąc, mój Marcinie, jest mi dość wesoło — rzekł pan Jones w ciemnościach.

Usłyszał kłaśnięcie dłonią w udo i rozradowany okrzyk swego giermka:

— Brawo! Tak, to rozumiem, proszę pana!

CZĘŚĆ IV

I

Ricardo posuwał się ostrożnie krótkimi susami od jednego pnia do drugiego, podobniejszy w ruchach do wiewiórki niż do kota. Było już po wschodzie słońca. Połysk otwartego morza wdierał się szybko na ciemny, chłodny, przedranny błękit Zatoki Diamentów; ale głęboki mrok tkwił jeszcze pod potężnymi filarami lasu, za którymi krył się sekretarz.

Śledził willę Numeru Pierwszego z cierpliwością zwierzęcia, lecz cel jego był na wskroś ludzki. Drugi już ranek poświęcał Ricardo na obserwację. Za pierwszym razem badania nie zostały uwieńczone powodzeniem. Nie zbiło go to z tropu; w gruncie rzeczy pośpiech nie był konieczny.

Słońce przekroczyło nagle górski grzbiet, zalewając światłem przestrzeń wypalonej trawy przed Ricardem i front domku, w którym tkwiły jego oczy; tylko otwór drzwi pozostał ciemny. Na prawo, na lewo od Ricarda i przed nim ukazały się w głębokim leśnym cieniu złote bryzgi światła, łagodząc mrok pod strzępiastym dachem z liści.

Okoliczność ta nie sprzyjała zamiarom Ricarda. Nie życzył sobie, aby odkryto jego wytrwałą pracę. Bowiem celem jego zabiegów był widok dziewczyny — tej dziewczyny! Dotrzeć do niej choćby jednym spojrzeniem — zobaczyć, jak wygląda. Miał świetny wzrok, a odległość nie była znów taka wielka. Potrafiłby z łatwością rozróżnić jej rysy, gdyby tylko wyszła na werandę; a to musiało przecież nastąpić — wcześniej czy później. Był przekonany, że zdoła wytworzyć sobie o niej jakieś pojęcie, co jego zdaniem bardzo było potrzebne, zanim by się odważył poczynić kroki w celu zetknięcia się z nią za plecami tego szwedzkiego barona. Teoretyczny jego pogląd na dziewczynę był tego rodzaju, że na podstawie obserwacji na odległość gotów był ukazać się jej dyskretnie — a może nawet dać jakiś znak. Wszystko zależało od tego, co wyczyta z jej twarzy. Taka dziewczyna to nie mogło być nic szczególnego. Znał dobrze ten gatunek!

Wysunąwszy nieco głowę, widział przez listowie zwieszającej się liany trzy domki rozmieszczone niesymetrycznie na lekko wygiętej linii. Na werandzie najdalszego domku wisiała na balustradzie ciemna szkocka derka, której deseń rysował się ze zdumiewającą wyrazistością. Ricardo rozróżniał doskonale kraty. Żywy ogień z chrustu palił się na ziemi przed schodami, a w blasku słońca wątle, trzepoczące się płomienie bladły, przechodząc w ledwie widzialne, różowawe migotanie pod nikłym wieńcem z dymu. Ricardo widział biały bandaż na głowie schylonego nad ogniem Pedra i sterczące dziwnie kłaki jego czarnych włosów. Sam zaaplikował mu ten bandaż, rozłupawszy kudłaty, ogromny łeb. Dzikie stworzenie poruszał nim jak ciężarem, stąpając chwiejnie w kierunku schodów. Ricardo dostrzegł mały rondel o długiej rączce u końca wielkiej, kosmatej łapy.

Tak, widział wszystko, co tylko było do zobaczenia — blisko i daleko. Świetny wzrok! Jedyną rzeczą, której nie mógł spenetrować, był podłużny otwór drzwi na werandzie pod niskim okapem dachu. I to było drażniące. Odczuł to jak zniewagę. Ricardo łatwo wpadał w złość. Przecież ona musi za chwilę się ukazać! Dlaczego jej jeszcze nie ma? Ten człowiek nie przywiązał jej chyba do poręczy łóżka przed wyjściem z domu!

Nic się nie ukazywało. Ricardo znieruchomiał jak liściaste liny pnączy, zwisające niby wygodna zasłona z potężnego konaru — sześćdziesiąt stóp nad jego głową. Nie drgnęły mu nawet powieki. Ten bezruch w czujności nadawał mu senny wyraz kota, spoczywającego na dywanie przed kominkiem i wpatzonego w ogień. Ale czyżby mu się coś przyśniło? Oto tam, wśród otwartej przestrzeni, ujrzał przed sobą białą kurtkę w rodzaju bluzy, krótkie niebieskie spodnie, parę nagich łydek, długi i cienki warkocz.

— To ten przeklęty Chińczyk? — mruknął zdziwiony.

Zdawał sobie sprawę, że ani na chwilę wzroku nie odwrócił; a jednak wprost przed nim, w środku pola widzenia, nie obszedłszy ani prawego, ani lewego rogu willi, nie spadłszy z nieba i nie wynurzywszy się z ziemi, Wang ukazał się jego oczom w naturalnych rozmiarach, zajęty jak jaka panna zrywaniem kwiatów. Zmaterializowany tak zdumiewająco Chińczyk schylał się krok za krokiem nad grządkami u stóp werandy i wreszcie opuścił scenę w najzwyczajniejszy sposób; wszedł po schodkach i znikł w mroku otwartych drzwi.

Dopiero wówczas żółte oczy Marcina Ricardo straciły skupiony, nieruchomy wyraz. Zrozumiał, że czas już na niego. Ten pęk kwiatów, zaniesiony do willi przez Chińczyka, miał uzupełnić nakrycie stołu podczas śniadania. Innego przeznaczenia mieć nie mógł.

— Dam ja ci kwiaty! — mruknął groźnie Ricardo. Poczekaj!

Zatrzymał się jeszcze chwilę, aby rzucić wzrokiem w stronę domku zamieszkanego przez pana Jonesa, gdzie miał się ukazać Heyst w drodze na śniadanie udekorowane kwiatami tak beczelnie, po czym rozpoczął odwrót. Odczuł gwałtowną żądzę otwartego przeciwstawienia się upatrzonej ofierze; uprzytamniał sobie chciwie chwilę, kiedy ją „dźgnie” — jak to nazywał — schyliwszy się poprzednio szybkim ruchem, zwiastującym pewną śmierć wrogowi. Pchał go do tego instynkt, któremu niezmiennie trudno było się oprzeć, gdy krew zawrzała. Czy może być coś dokuczliwszego od czajenia się i ukrywania, i trzymania się na wodzy — moralnie i fizycznie — gdy wszystko wre w człowieku? Pan sekretarz Ricardo rozpoczął odwrót ze stanowiska za drzewem naprzeciw domku Heysta, zachowując wszelkie ostrożności, aby pozostać niewidzialnym. Jego usiłowaniom sprzyjała pochyłość gruntu, który spadał stromo aż do brzegu morza. Ricardo zsunął się tam i znikł niejako z widowni. Przez cienkie podeszwy słomianych trepów poczuł ciepło skalistego podłoża rozgrzanego już przez słońce. Wdrapał się znów w górę o jakieś dwadzieścia stóp i znalazł się na poprzednim poziomie, w miejscu skąd zaczynał się pomost. Wsparł się plecami o jedną z wysokich podpór, podtrzymujących tablicę z literami spółki nad porzuconym kopcem węgla. Nikt nie byłby po nim poznał, do jakiego stopnia był podniecony. Aby się opanować, skrzyżował mocno ramiona na piersiach.

Ricardo nie umiał trzymać się długo na wodzy. Jego przebiegłość i sztuka udawania były zawsze na łasce na wskroś dzikiej jego natury, którą poskramiał wyłącznie wpływ „szefa” o wielkopańskim uroku. Chytrłość była wprawdzie bardzo istotną jego cechą, ale niemożność skoczenia Heystowi do gardła stanowiła w obecnej sytuacji zbyt ciężką próbę. Ricardo nie śmiał wyjść na polankę. Po prostu nie śmiał.

— Jeśli spotkam tego draba — myślał — to nie wiem, co się stanie. Nie jestem siebie pewien.

Do największej pasji doprowadzała go właśnie niemożność przeniknięcia Heysta. Ricardo dość był inteligentny, aby cierpieć nad swymi brakami. Nie, nie umiał Heysta przeniknąć. Zabić go było niezmiennie łatwo: warknięcie i skok — ale to właśnie było zabronione. Jednakże nie mógł tkwić bez końca pod żalobną tablicą.

— Muszę stąd odejść — pomyślał.

Ruszył naprzód, czując lekki zawrót głowy wskutek wytężonego panowania nad sobą, i ukazał się otwarcie na polance przed domkami, jak gdyby wracał właśnie z pomostu; można było przypuszczać, że chodził tam, by rzucić okiem na łódź. Ogarnął go blask słońca — bardzo jaskrawy, bardzo cichy i bardzo palący. Naprzeciw niego stały trzy domki. Ten, na którego werandzie wisiała derka, znajdował się najdalej; obok niego stał domek niezamieszkały; najbliższy zaś, z grządkami kwiatów u stóp werandy, krył tę nieznośną dziewczynę, która pozostała niewidzialną, drażniąc go tym tak dotkliwie. To była przyczyna, dla której oczy Ricarda przywarły do tego budynku. Dziewczynę z pewnością łatwiej da się „spenetrować” niż Heysta. Niech no ją tylko zobaczy — wystarczy jedno spojrzenie — i będzie wiedział, czego się trzymać; przez to zaś zbliży się do celu — zrobi pierwszy realny krok. Ricardo nie widział innej drogi. A dziewczyna mogła każdej chwili ukazać się na tej werandzie!

Nie ukazała się jednak; ale, jak ukryty magnes, wywierała wpływ przyciągający. Posuwając się naprzód, Ricardo zboczył w stronę domku. Choć ruchy jego były ostrożne, dzikie instynkty tak go opanowały, że gdyby był spotkał Heysta na swojej drodze, byłby musiał zaspokoić żądzę skoczenia mu do gardła. Lecz nie zobaczył nikogo. Wąg był z tyłu willi i pilnował, aby kawa dla Numeru Pierwszego nie ostygła. Nie było widać nawet i małego Pedra; z pewnością przysiadł na progu i ze zwierzęcym oddaniem utkwiał czerwone oczki w panu Jonesie, który rozmawiał z Heystem w tamtym domku. Była to rozmowa złego upiora z bezbronnym człowiekiem, pod strażą małpy.

Ricardo, rzucając w krąg szybkie spojrzenia, znalazł się prawie mimo woli u stóp werandy przed domkiem Heysta. Dostawszy się tam, uległ nieodpartej sile przyciągającej; wszedł po schodkach kocim, skradającym się krokiem i zatrzymał się chwilę przed okapem, aby się wsłuchać w milczenie. Potem wsunął przez próg nogę, która zdawała się

rozciągać, jakby była z gumy, postawił ją za drzwiami, wciągnął szybko drugą nogę i stanął w pokoju, przekręcając głowę z boku na bok. Dla oczu jego, olśnionych jaskrawym słońcem, wszystko zdawało się mrokiem przez chwilę. Źrenice rozszerzyły mu się szybko jak u kota, i spostrzegł mnóstwo książek. Zdumiało go to i zniechęciło. Był zdziwiony i podrażniony. Zamierzał zbadać teren i miał nadzieję, że wyciągnie stąd jakieś pożyteczne wnioski, jakieś wskazówki dotyczące się człowieka. Ale na jakiż domysł może naprowadzić mnóstwo książek? Nie wiedział co o tym myśleć i sformował swoje osłupienie w wewnętrznym okrzyku:

— Cóż u diabła ten człowiek chciał tu robić — założyć szkołę?

Wpatrzył się przeciągle w portret ojca Heysta, surowy profil gardzący marnościami tego świata. Oczy jego błysnęły na widok ciężkich, srebrnych lichtarzy świadczących o zamożności. Skradął się jak zbłąkany kot w obcym miejscu; gdyż choć nie posiadał cudownego daru Wanga, daru, który polegał na materializowaniu się i znikaniu zamiast zwykłego wchodzenia i wychodzenia, umiał być prawie równie jak Wang bezszelestny w swych bardziej uchwytnych poruszeniach. Zauważył, że tylne drzwi są uchylone i przez cały czas wyteżał z największą czujnością lekko śpiczaste uszy, wchłaniając głęboką ciszę na dworze, otaczającą bezwzględny spokój w domu.

Nie minęły jeszcze dwie minuty, gdy przyszło mu na myśl, że prawdopodobnie jest sam w całej willi. Tamta kobieta wymknęła się pewno i przechadzała gdzieś za domem. Nakazano jej widocznie, aby się nikomu nie pokazywała. Dlaczego? Dlatego że Heyst nie dowierzał swoim gościom? A może dlatego, że jej nie dowierzał?

Ricardo pomyślał, że z pewnego punktu widzenia wychodzi to prawie na jedno. Przypomnił sobie historię Schomberga. Czuł, że ucieczka przed czułościami tego wstrętnego, oswojonego hotelarza nie była wcale dowodem beznadziejnego zaślepienia w towarzystwie ucieczki. Będzie można się z nią porozumieć.

Wąsy jego zaczęły się ruszać. Już od jakiegoś czasu spoglądał na zamknięte drzwi. Musi zajrzeć do tamtego drugiego pokoju; znajdzie tam może coś wyraźniejszego od kupy głupich książek. Przechodząc przez pokój, pomyślał zuchwale:

— Jeżeli ten łajdak wejdzie tu nagle i stanie dęba, dźgnę go i sprawa skończona.

Położył rękę na klamce i poczuł, że drzwi ustępują. Zanim je otworzył, wsłuchiwał się znów w niezmaconą niczym ciszę, która niepodzielnie panowała dokoła.

Potrzeba zachowania ostrożności wyczerpała jego zdolność panowania nad sobą. Zbudziła się w nim na nowo żądza okrucieństwa i — jak zwykle w takich chwilach — Ricardo poczuł dotknięcie noża, przytroczonego do nogi. Pociągnął drzwi z dziką ciekawością. Otworzyły się bez skrzypnięcia, bez szmeru, bez żadnego dźwięku i Ricardo stanął wpatrzony w matowe fałdy jakiejś tkaniny w rodzaju szewiotu. Wisiała przed nim kotara tak ciężka, że nie poruszyła się wcale.

Kotara! Ta nieprzewidziana przeszkoda uniemożliwiła mu natychmiastowe zaspokojenie ciekawości i zahamowała jego gwałtowność. Nie usunął jej na bok niecierpliwym ruchem, tylko patrzył na nią z bliska, jak gdyby należało zbadać dokładnie tkaninę, zanim ręka jej dotknie. W tej chwili niezdecydowania wydało mu się, że odkrył skazę na doskonałości ciszy — niezmiernie nikły szelest, który pochwyciły jego uszy, tracąc go natychmiast w świadomym wysiłku nasłuchiwania. Nie! Cisza była niezamącona na zewnątrz i wewnątrz domu, tylko Ricardo nie miał już uczucia, że jest sam.

Gdy wyciągnął rękę ku nieruchomym fałdom, aby zasłone nieco na bok usunąć, uczynił to z niezmierną ostrożnością; jednocześnie zaś wysunął głowę, by zajrzeć przez szparę. Zastygł w zupełnym spokoju. Potem stał jeszcze wciąż nieruchomo, tylko głowa jego cofnęła się z powrotem ku ramionom, a ręka opadła z wolna wzdłuż boku. Za kotarą była kobieta. Ta kobieta! Oświecona mętnie przez odbłask słońca, rysowała się dziwnie dużą i ciemną sylwetą w przeciwległym końcu długiego, wąskiego pokoju. Zwrócona tyłem do drzwi, układała włosy, podniósłszy nagie ramiona. Jedno z nich połyskiwało perłową bielą; drugie, niemal czarne, odcinało się nieskazitelnymi liniami na tle kwadratowego otworu okna, nie osłoniętego firanką ani okiennicą. Siedziała tam, zajęta układaniem ciemnych włosów — nieświadoma obserwujących ją oczu — narażona na niebezpieczeństwo, bezbronna — i kusząca.

Ricardo cofnął w tył głowę i przycisnął łokcie do boków; pierś zaczęła falować mu

Przemoc

konwulsyjnie, jak gdyby mocował się lub biegł; zakolysał się łagodnie w tył i naprzód. Opanowanie jego wyczerpało się; musiał dać ujście swojej naturze. Instynkt pchający go do dzikiego skoku nie dał się już okiełznać. Gwałt czy morderstwo — wszystko mu było jedno, byleby mógł wyzwolić uciśnionego ducha dzikości, trzymanego na wodzy tak długo. Spojrzał szybko przez ramię — czego nie zaniedba nigdy lew czy tygrys przed skokiem, jak świadczą o tym myśliwi polujący na grubego zwierza — i rzucił się z pochyloną głową wprost na zasłonę. Poderwana gwałtownie tkanina spłynęła powoli w pionowe fałdy i znieruchomiła, wisząc bez drgnienia w cichym, gorącym powietrzu.

II

Zegar — który wybijał ongi godziny filozoficznych rozmyślań — nie odmierzył jeszcze pięciu sekund, gdy Wang zmateriałizował się w salonie. Chodziło mu właściwie tylko o spóźnione śniadanie, ale skośne jego oczy utkwily od razu w nieruchomej kotarze. Za nią bowiem umiejscowił natychmiast dziwne, głuche odgłosy walki, napieniające pusty pokój. Skośne oczy, właściwe jego rasie, nie były zdolne zaokrąglić się w zdumionym spojrzeniu; ale zastygły w bezruchu, w martwym bezruchu, a obojętna, żółta twarz od razu się zasępiła i jakby wychudła w nagłym wysiłku czujności skupionej, podejrzliwej i trwożnej. Sprzeczne porywy zakolysały jego ciałem, które zdawało się wrośnięte w matę pokrywającą podłogę. Wyciągnął nawet rękę w stronę kotary, ale nie mógł jej dotrzeć; na to trzeba było zrobić krok naprzód, czego nie uczynił.

Tajemnicza walka wciąż trwała; bosc nogi dudniły o podłogę w niemych zapasach; żaden ludzki odgłos — syk, jęk, szepc czy okrzyk nie przedostawał się przez kotarę. Upadło krzesło, ale bez hałasu, lekko, jakby je ktoś położył, po czym rozległ się słaby, metaliczny brzęk cynowej wanny. Wreszcie pełne napięcia milczenie — niby dwóch przeciwników obejmujących się w śmiertelnym uścisku — przerwał ciężki, tępy łomot miękkiego ciała, ciśniętego o wewnętrzną ścianę. Zdawało się, że cały domek się zatrzęsł. W tej chwili właśnie Wang, który w strasznym podnieceniu wycofywał się ze stęzającym wzrokiem i wyprężoną szyją, trzymając wciąż ramię wyciągnięte w stronę kotary — znikł w tylnych drzwiach. Znalazłszy się na dworze, obiegł dom naokoło i wyłonił się niewinnie między dwoma domkami, gdzie zaczął się wałęsać. Ktokolwiek by wyszedł z domków, musiałby go tam dostrzec — spokojnego Chińczyka, snującego się leniwie i zajętego co najwyżej nie podanym dotąd śniadaniem.

Walka

A tymczasem Wang postanowił właśnie wtedy, że zerwie wszelkie stosunki z Numerem Pierwszym, człowiekiem nie tylko bezbronnym, lecz już na wpół pokonanym. Aż do owego ranka Wang nie był zdecydowany jak postąpić, ale podsłuchana walka rozstrzygnęła wątpliwości. Numer Pierwszy był człowiekiem skazanym na zagładę — jedną z tych istot, którym niedobrze jest pomagać. Chodząc po dworze z miną pełną doskonałej obojętności, Wang dziwił się, że żaden odgłos nie dochodzi go z willi. Przypuszczał, że biała kobieta stoczyła tam walkę ze złym duchem, który naturalnie ją zabił. Nic widzialnego bowiem nie wydostało się z domku, śledzonego nieznacznie przez skośne oczy Wanga. Blask słońca i cisza panowały tam wszechwładnie.

Ale wewnątrz domu cisza w wielkim pokoju nie wydałaby się wrażliwym uszom doskonałą. Zmącił ją szmer tak słaby, że ledwie można go było nazwać widmem szeptu zza kotary.

Ricardo, obmacując sobie gardło z czułą troskliwością, wyszeptał z uznaniem:

— Ale palce to masz panna ze stali. O rety! Muskuły jak u jakiego siłacza.

Na szczęście dla Leny napad Ricarda był tak nagły — okrecała właśnie dwa ciężkie warkocze naokoło głowy — że nie miała czasu spuścić ramion. Wskutek tego nie przycisnął ich do boków i to ułatwiło jej opór. Skok jego o mało jej nie przewrócił. I znów na szczęście stała tak blisko ściany, że choć na oślep została o nią rzucona, uderzenie nie było o tyle ciężkie, aby ją zupełnie tchu pozbawić. Przeciwnie, wzmocniło jej pierwszy instynktowny odruch, usiłujący napastnika odepchnąć.

Gdy minęło pierwsze zachłyśnięcie się zdumieniem — a było istotnie za silne, aby mogła krzyknąć — zdała sobie od razu sprawę z natury niebezpieczeństwa. Broniła się z zupełną świadomością, z całą siłą instynktu — tego istotnego źródła każdej wielkiej energii — i ze zdecydowaniem, którego trudno się było po niej spodziewać; przecież

ta sama dziewczyna, osaczona w ciemnym korytarzu przez jękającego się Schomberga o czerwonej twarzy, drżała ze wstydu, wstrętu i trwogi i w przerażeniu spuszczała głowę przed ohydny bełkotem człowieka, który nigdy w życiu nie dotknął jej wielką swą łapą.

Atak nowego wroga był zwykłym, prostym gwałtem. Nie był to oślizgły, podstępny spisek, dążący do tego, aby ją wydać jak niewolnicę — spisek, który osłabił jej ducha i sprawił, że w swym osamotnieniu poczuła się niezdolną do walki z gnębiicielami. Nie była już sama na świecie. Stawiła napastnikowi opór bez chwili wahania, ponieważ już nie brakowało jej moralnego oparcia; ponieważ miała swoje znaczenie jako ludzka istota; ponieważ broniła się nie tylko ze względu na siebie samą; ponieważ zrodziła się w niej wiara — wiara w przeznaczonego jej człowieka, a może i w niebo, które umieściło go tak cudownie na jej drodze.

Obrona jej polegała głównie na rozpaczliwym, morderczym chwyceniu Ricarda za gardło. Gdy tylko poczuła nagle rozluźnienie straszliwego uścisku, w którym trzymał ją wciąż głupio i bezskutecznie, wówczas najwyższym wysiłkiem ramion i podniesionego nagle kolana odrzuciła go na ścianę. Skrzynia cedrowa stała na drodze i Ricardo zwałił się na nią w siedzącej pozycji, z łomotem, który rozległ się głucho po całym domku. Był na wpół uduszony i wyczerpany nie tyle wysiłkiem, co wzruszeniami walki.

Lenę opuściły wszystkie siły po tym strasznym napięciu: zatoczyła się także i potknęła, wreszcie siadła na brzegu łóżka. Bez tchu, lecz spokojna i nieulekła, zajęła się poprawieniem saronga w żółte i brązowe desenie, który rozluźnił się podczas walki. Potem przycisnęła mocno do piersi nagie ramiona i pochyliła się naprzód skrzyżowawszy nogi, stanowcza i nieustraszona.

Ricardo pochylił się także, wyczerpany nerwowo i zbity z tropu jak drapieżne zwierzę, którego skok chybił. Wzrok jego napotkał wielkie, siwe oczy Leny — szeroko rozwarłe, śledzące go, tajemnicze — wpatrzone w niego spod ciemnych łuków dzielnych brwi. Głowy ich były oddalone od siebie o niecałą stopę. Ricardo przestał obmacywać bolące gardło i opuścił ciężko dłonie na kolana. Nie patrzył na jej nagie barki ani na jej silne ramiona; patrzył w dół na podłogę. Zgubił jeden ze słomianych trepów. Krzesło z przewieszoną przez poręcz białą suknią zostało przewrócone. Oprócz bryzgów wody na podłodze z pchniętej gwałtownie wanny, były to jedyne ślady walki.

Ricardo przełknął dokładnie ślinę dwa razy, jakby się chciał upewnić co do stanu gardła, zanim znów przemówił:

— Wszystko w porządku. Nie chciałem zrobić pani nic złego, choć ja to nie żartuję, kiedy co do czego przyjdzie.

Podciągnął nogawkę pidżamy, żeby pokazać przytroczony nóż. Spojrzała nań, nie poruszywszy głowy, i szepnęła z pogardliwą goryczą:

— Aha — z tym cackiem w moim boku. Inaczej się nie da.

Potrząsnął głową z uśmiechem pełnym wstydu.

— Niech pani posłucha. Już jestem spokojny. Prawdę mówię. Nie potrzebuję tłumaczyć — pani mnie rozumie. Teraz wiem, że z panią tak nie można.

Milczała. Spokojny jej, wzniesiony wzrok miał wyraz posępnej cierpliwości, który go wzruszył jak przecucie jakiejś niepojętej głębi. Dodał niepewnie:

— Nie będzie pani przecież robiła gwałtu o ten głupi napad?

Zaprzeczyła głową nieznacznie.

No, z pani to cud jest prawdziwy! — mruknął poważnie, z większą ulgą aniżeli mogła przypuszczać.

Oczywiście, gdyby porwała się do ucieczki, wsadziłby jej nóż w plecy, aby uciszyć krzyki; ale wówczas wszystko byłoby na nic, cały interes wzięłby w łeb, i wściekłość szefa — szczególnie gdyby się dowiedział o przyczynie, — byłaby bezgraniczna. Kobieta, która nie robi gwałtu o tego rodzaju napad, przebaczyła już w duszy. Ricardo nie podlegał drobnym próżnostkom. Ale jasnym było, że jeśli przeszła nad tym do porządku, nie mógł być dla niej tak bardzo odrażający. Pochlebilo mu to. A przy tym zdawało się, że ona wcale się go nie lęka. Poczul prawie że czułość dla tej dzielnej, pięknej dziewczyny, która nie uciekła przed nim z krzykiem.

— Będziemy jeszcze przyjaciółmi. Ja się pani nie wyrzekam. Ani mi to w głowie. I to przyjaciółmi na amen! — szeptał poufale. — Oho! Pani to nie jest oswojona. Ja także. Prędko się pani o tym przekona.

Nie mógł odgadnąć, że jeśli nie uciekła z pokoju to tylko dlatego, iż tego samego ranka Heyst — pod wpływem wzrastającego niepokoju z powodu niepojętych przybyszów — wyznał jej, że wówczas w nocy szukał swego rewolweru; że rewolwer ten znikł; że on, Heyst, jest rozbrojonym, bezsilnym człowiekiem. Nie zrozumiała wtedy całej wagi jego zwierzenia. Teraz pojęła lepiej, co to znaczyło. Jej panowanie nad sobą i milczenie uderzyły Ricarda. Nagle przemówiła:

— O co wam chodzi?

Nie podniósł oczu. Złożone na kolanach ręce, spuszczone głowa, pewna zaduma przebijająca z układu ciała, świadczyły o zmęczeniu prostej jego duszy, o znużeniu raczej duchowym niż fizycznym. Odpowiedział na to proste pytanie prostym oświadczeniem, jak gdyby był zanadto zmęczony, aby udawać:

— O łup.

Nie знаła tego wyrazu. Zamglony żar siwego jej spojrzenia spod czarnych brwi nie opuszczał ani na chwilę twarzy Ricarda.

— Łup? — szepnęła spokojnie. — Cóż to takiego?

— No jakże, łup, zdobycz — to co ten pani stary ściągał na prawo i lewo przez całe lata — no, forsa. Jeszcze pani nie rozumie? No to!

Nie podnosząc oczu, uczynił na dłoni ruch liczenia pieniędzy. Spuściła wzrok nieznacznie, aby spojrzeć na tę pantominę i natychmiast utkwiała go z powrotem w jego twarzy.

— Jakim sposobem dowiedzieliście się o nim? — szepnęła głosem cichym jak tchnienie, kryjąc zdumienie i niepokój. — Co macie z tym wspólnego?

— Wszystko — zabrzmiał krótko w odpowiedzi cichy, dobitny szept Ricarda. Pomyślał, że ta dziewczyna jest naprawdę jedyną jego nadzieją. Niezatarłe wrażenie gwałtownego uścisku wciąż w nim trwało, rozwijając się w pewien rodzaj sentymentu, który sprawia, że mężczyzna nie może być obojętnym dla kobiety, którą raz trzymał w ramionach — choćby wbrew jej woli — a coś dopiero jeśli darowała mu zniewagę. Wówczas wytwarza to między nimi pewnego rodzaju węzeł. Czuł wyraźną potrzebę zaufania jej, stanowiącą subtelny rys męskości — tę prawie fizyczną potrzebę zaufania, która nie wyłącza napadów najbrutalniejszych podejrzeń.

— Tu chodzi o zdmuchnięcie mu łupu sprzed nosa — rozumie pani? — ciągnął szeptem z nowym odcieniem poufalskości. Patrzył wprost na nią. — To ten oswojony, gruby opój, Schomberg naprowadził nas na jego ślad.

Tak dojmującym jest poczucie bezradności wobec ucisku i prześladowań, że Lena, która bez chwili wahania odparła dziki napad, nie potrafiła stłumić dreszczu na sam dźwięk wstrętnego nazwiska.

Ricardo zaczął szeptać jeszcze szybciej i poufniej:

— On chce się wam odpłacić — wam obojgu — przy tej sposobności; powiedział mi to. Leciał na panią. Byłby oddał wszystko co ma w te ręce, które o włos mnie nie udużyły. Ale pani nie chciała go, prawda? Ani rusz, co? — Zatrzymał się. — I zamiast tego — wołała pani wyjechać z baronem?

Zauważył lekkie poruszenie jej głowy i podjął szybko:

— Ja także wołałbym nie wiem co, niż być niewolnikiem za pensję. Tylko że tym cudzoziemcom nie można wierzyć. Szkoda pani dla niego. Człowiek, który ograbił najlepszego swojego kompana! — Lena podniosła głowę; Ricardo ciągnął dalej, szepcząc pośpiesznie, zadowolony z wrażenia jakie wywarł: — Tak. Ja wiem o nim wszystko. Może pani sobie wyobrazić, jak on potraktuje kobietę po pewnym czasie.

Nie wiedział, że napęnia przerażeniem jej serce. Lecz siwe oczy tkwiły wciąż w jego twarzy, śledząc go nieruchomo, jakby sennie, spod białego czoła. Zaczynała rozumieć. Słowa Ricarda nabierały w jej świadomości określonego, strasznego znaczenia, które stało się coraz jaśniejszym pod wpływem jego przekonywających słów:

— Pani i ja jesteśmy stworzeni, aby się porozumieć. Jednakowe pochodzenie, jednakowe wychowanie — tak mi się zdaje. Pani nie jest oswojona. Ja także! Wepchnęli panią do tego zgnitego świata hipokrytów. Mnie także!

Jej milczenie i nieruchomość pełna lęku przybierały w jego oczach wyraz zasluchanej uwagi. Spytał nagle:

— Gdzie to jest?

Zmusiła się do szeptu:

— Co takiego?

W poufnym jego tonie zabrzmiało podniecenie:

— No hup — zdobycz — forsa. Trzeba mu to dmuchnąć sprzed nosa. Musimy to dostać; ale nie przyjdzie to łatwo i pani musi nam pomóc. No? Czy on to trzyma w domu?

Jak to często bywa u kobiet, jej władze umysłowe zaostriły się wobec grozy niebezpieczeństwa. — Potrząsnęła głową przecząco.

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno — odrzekła.

— Aha! Tak właśnie myślałem. Czy ten drab wierzy pani?

Znów potrząsnęła głową.

— Wstrętny hipokryta — rzekł z przejęciem i zauważył: — Ale on to pewnie należy do oswojonych, co?

— Niech pan się sam lepiej przekona — rzekła.

— Pani mi musi zaufać. Nie chcę umrzeć, póki nie będzie z nas para przyjaciół. — To było powiedziane z dziwnym wyrazem kociej galanterii. Dodał, badając teren: — Ale można by doprowadzić go do tego, żeby pani zaufała, co?

— Żeby mi zaufała? — rzekła tonem, który był bliski rozpacz, a który Ricardo wziął za szyderstwo.

— Niech pani trzyma z nami — nalegał. — Niech pani kopnie tę całą przekłętą hipokryzję. Wprawdzie on pani nie wierzy, ale może i tak udało się pani już coś przewąchać, co?

— Może — wymówiła wargami, które zdawały się szybko zamarzać.

Ricardo patrzył teraz na spokojną jej twarz z pewnym rodzajem szacunku. Był nawet trochę onieśmielony jej spokojem, jej oszczędnością słów. Odczuła kobiecym instynktem wrażenie, które wywarła — wrażenie, że wie bardzo dużo i że trzyma całą wiedzę w rezerwie. To wyszło tak jakoś samo z siebie. Zachęcona tym, wprowadzona na drogę obludy, która jest ucieczką słabych, uczyniła świadomie bohaterски wysiłek i przymusiła do uśmiechu sztywnie, zimne wargi.

Obluda — ucieczka słabych i tchórzliwych, lecz także i bezbronnych! Pomiędzy czarnym snem jej życia a okrutną katastrofą stała tylko jej obluda. Wydało jej się, że obecność tego człowieka siedzącego przed nią jest nieunikniona, że towarzyszyła jej przez całe życie. Był wcielonym złem świata. Nie wstydziła się swej obludy. Ze szczerą odwagą kobiecą rzuciła się bez pamięci ku temu wyjściu, gdy tylko je spostrzegła, lękając się jednej jedynej rzeczy: aby nie zbrakło jej sił. Położenie przejmowało ją zgrozą; ale zbudzona jej intuicja kobieca mówiła jej, że czy Heyst ją kocha czy nie, ona kocha Heysta; czuła, iż przez nią spadło to wszystko na jego głowę — i przeciwstawiła się niebezpieczeństwu z namiętym pragnieniem, aby swoje szczęście obronić.

III

Dla Ricarda Lena była taką niespodzianką, że nie umiał odnieść się do niej krytycznie. Jej uśmiech wydał mu się pełnym obietnic. Nie spodziewał się wcale, iż będzie właśnie taką. I skądże mógł przypuszczać na podstawie opowiadań, że spotka kogoś podobnego! Cóż to za morowa niewiasta — określał ją poufale, lecz z odcieniem szacunku. Szkoda jej było dla hołoty w rodzaju tego oswojonego opoja. Na samą tę myśl Ricardo zawrzał oburzeniem. Jej odwaga, jej siła fizyczna, którą rozwinęła jego kosztem, zniewoliły go do sympatii. Uczuł się pociągnięty tymi dowodami zdumiewającej energii. Co za dziewczyna! Jakaż w niej siła ducha! A że okazuje rozsądną skłonność do zerwania łączącego ją związku, to dowód oczywisty, iż nie jest hipokrytką.

— Czy pani stary dobrze strzela? — rzekł niby obojętnie, patrząc znów w podłogę.

Nie zrozumiała go dobrze; ale forma pytania wskazywała, że chodzi o jakąś zaletę. Bezpieczniej więc było odszepnąć potakująco:

— Tak.

— Mój także — a nawet więcej niż dobrze — mruknął Ricardo i dodał w przystępie nagłego zaufania: — Ja nie strzelam tak dobrze jak on, ale noszę przy sobie wcale⁶⁶ skuteczny instrument.

Uderzył się po nodze. Leną nie wstrząsały już dreszcze. Niezdolna nawet do poruszenia oczami, zeszytniała w strasznym duchowym wysiłku, który podobny był do zupełnej pustki. Ricardo usiłował wpłynąć nią po swojemu.

— Mój stary to zupełnie co innego, on by mnie nie porzucił. To nie cudzoziemiec! Pani z tym swoim baronem nie wie zupełnie, czego się spodziewać — a właściwie, będąc kobietą, wie pani aż nadto dobrze. Lepiej nie czekać aż panią wyrzuci! Niech pani z nami trzyma, to dostanie pani swoją część — część łupu, oczywiście. Pewnie pani już przewąchała, gdzie jest ukryty.

Lena poczuła, iż gdyby słowem czy znakiem dała do poznania, że nie ma żadnego łupu na wyspie, życie Heysta nie byłoby warte i szeląga; ale wszelka zdolność posługiwania się słowami zanikła w napięciu jej duszy. Słowa były o wiele za trudne — prócz jednego słowa „tak”. Zbawcze słowo! Wyszptała je, przy czym jej twarz ani drgnęła. Dla Ricarda ten słaby i zwarty dźwięk był dowodem chłodnej, powściągliwej zgody, mającej więcej wagi w ustach istoty tak zadziwiająco opanowanej niż tysiące słów innej kobiety. Pomyślał z uniesieniem, że znalazł jedną kobietę na milion — na dziesięć milionów! Szept jego stał się jawnie błagalnym.

— To doskonale! Teraz musi się pani tylko upewnić, gdzie on trzyma ten łup. Ale niech się pani pośpieszy. Nie mogę już dłużej znieść tego czołgania się na brzuchu, żeby tylko pani starego nie przestraszyć. Za cóż pani ma człowieka — za płaza?

Patrzyła przed siebie nic nie widząc, jak się patrzy nocą, wyęzając wzrok w ciemnościach i wsłuchując się w złowrogie jakieś dźwięki lub złe zaklęcia. Jej umysł trwał wciąż w gorączkowym napięciu, w pogoni za czymś — za jakąś zbawczą myślą, która zdawała się tak bliska, a jednak nie dawała się ująć. Nareszcie uchwyciła ją. Tak! musi pozbyć się z domu tego człowieka. W tej samej chwili rozległ się na dworze nie bardzo bliski, ale wyraźny głos Heysta:

— Czy szukasz mnie, Wang?

Te słowa stały się dla niej błyskawicą, która rozdarła mrok oblegający ją ze wszystkich stron i odsłoniła groźną przepaść tuż pod nogami. Lena wyprostowała się konwulsyjnym ruchem, ale nie miała dość sił, aby wstać. Natomiast Ricardo znalazł się w mig na nogach jak kot, bez najlżejszego szelestu. Żółte jego oczy błyszczały, zwracając się tu i tam; ale poza tym i on także wydawał się niezdolnym do jakiegokolwiek ruchu. Tylko wąsy jego ruszały się wyraźnie niby macki jakiegoś owada.

Odpowiedź Wanga: „*Ya, tuan*” doszła uszu tych dwojga, ale nieco słabiej. Potem Heyst odezwał się znowu:

— To dobrze. Możesz przynieść kawę. Czy *Mem Putih*⁶⁷ jest jeszcze w swoim pokoju?

Na to pytanie Wang nic nie odpowiedział.

Oczy Ricarda i Leny spotkały się, nic nie wyrażając, gdyż wszystkie ich władze przemieniły się w słuch, aby pochwycić odgłos kroków Heysta lub jakikolwiek szelest na zewnątrz, który by świadczył, że odwrót Ricarda jest odcięty. Oboje rozumieli doskonale, że Wang musiał już obejść dom i że znalazł się od tyłu, uniemożliwiając Ricardowi wymknienie się tą drogą, nim Heyst ukaże się przed frontem.

Mroczny cień osiadł na twarzy wiernego sekretarza. Cień gniewu, a nawet trwogi. Cały interes doszczętnie zepsuty! Byłby prawdopodobnie wypadł przez tylne drzwi, gdyby nie dosłyszeli oboje Heysta wstępującego po schodach na werandę. Szedł wolno, bardzo wolno, jak człowiek zniechęcony, albo zmęczony — albo wprost zadumany; Ricardo ujrzał w myśli jego twarz z marsowymi wąsami, wyniosłym czołem, nieruchomymi rysami i spokojnym, zamyślonym spojrzeniem. Złapany w potrzask! Niech to wszyscy diabli! Może szef miał i rację. Kobiety należy unikać. Zadawanie się z tą jedną zepsuło najwidoczniej cały interes. W sytuacji, w której się znalazł, nie pozostało mu nic innego, tylko zabić Heysta, ponieważ pokazać się znaczyło to samo, co się zdemaskować. Ale Ricardo zanadto był sprawiedliwy, aby się gniewać na Lenę.

⁶⁶wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

⁶⁷*Mem Putih* (malaj.) — biała pani. [przypis edytorski]

Heyst zatrzymał się na werandzie, a może i w samych drzwiach.

Zastrzeli mnie jak psa, jeśli się nie pośpieszę — z podnieceniem szepnął Ricardo do dziewczyny.

Schylił się, aby wziąć nóż; i w następnej chwili byłby wypadł zza kotary prawie równie szybko jak piorun i jak piorun dla Heysta śmiertelny. Zatrzymało go dotknięcie — raczej dotknięcie niż nacisk — ręki, która wpiła się w jego ramię. Odwrócił się, błyskając w górę żółtym spojrzeniem. Jak to! Czy i ona zwraca się przeciw niemu?

Byłby wbił nóż w zagłębienie pod nagą jej szyję, gdyby nie spostrzegł drugiej ręki wskazującej mu okno. Był to długi otwór, umieszczony wysoko, prawie pod samym sufitem, z okiennicą obracającą się na zawiasach.

Podczas gdy patrzył wciąż w stronę okna, Lena odsunęła się bez szelestu, podniosła przewrócone krzesło i umieściła je pod ścianą. Potem obejrzała się; ale nie czekał, aż kiwnie na niego. W dwóch długich susach był przy niej.

— Prędko! — szepnęła.

Chwycił jej rękę i ścisnął z całą siłą niemej wdzięczności — jak kompan kompanowi, gdy nie ma czasu na słowa. Potem wszedł na krzesło. Ricardo był krępy — zanadto krępy, aby mógł wyjść przez okno, nie wspinając się hałaśliwie. Zawahał się chwilę; stała czujnie, oparłszy sztywno o siedzenie krzesła cudowne, nagie ramiona, podczas gdy Ricardo stanął lekko i pewnie na poręczy, jak na drabinie. Fala kasztanowatych włosów spłynęła na jej twarz.

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki i głos Heysta, niezbyt podniesiony, zawołał:

— Leno!

— Zaraz! za chwilę — odpowiedziała ze szczególną intonacją, która miała powstrzymać Heysta od natychmiastowego wejścia do pokoju.

Gdy spojrzała w górę, Ricarda już nie było. Spuścił się tak lekko z drugiej strony, że nie dosłyszała najłżejszego szelestu. Wówczas podniosła się oszołomiona, struchlała, pozbawiona sił — jakby się ocknęła z narkotycznego snu, z ociężałymi, spuszczoneymi, niewidzącymi oczami i zamarłą wyobraźnią, niezdolną nawet do podniecenia jej trwogi.

Heyst krążył bez celu po drugim pokoju. Odgłos jego kroków pobudził wyczerpane jej siły. Od razu zaczęła myśleć, słyszeć, widzieć i przede wszystkim zobaczyła, a raczej poznała — gdyż oczy jej spoczywały na tym przedmiocie przez cały czas — słomiany sandał Ricarda, zgubiony podczas walki i leżący obok wanny. Ledwie zdołała postąpić krok naprzód i nakryć go stopą, gdy kotara drgnęła i uchyliła się, odsłaniając stojącego na progu Heysta.

Ocknąwszy się z upojenia zmysłów, którego z Heystem zaznała, upojenia podobnego do jakiegoś czaru, Lena zetknęła się z niebezpieczeństwem grożącym ukochanemu i poczuła falę gorącą w piersiach. Coś drgnęło tam w głębi, jakby nowe jakieś życie.

Pokój był pogrążony częściowo w cieniu, gdyż Ricardo zamknął niechęć okiennicę, przeciskając się przez okno. Heyst spoglądał ku Lenie z progu.

— Jak to, jeszcze się nie uczesałaś? — rzekł.

— Nie będę się teraz czesała. Zaraz przyjdę — odparła spokojnie i stała nieruchomo, czując pod stopą sandał Ricarda.

Heyst cofnął się i puścił z wolna kotarę. Lena schyliła się natychmiast i z sandałem w ręku obróciła się w koło nieprzytomnie, szukając jakiegoś ukrycia; ale w pustym pokoju nie było żadnej skrytki. Skrzynia, skórzany kufer — jedna czy dwie suknie wiszące na kółkach — nie było takiego miejsca, gdzie by każdej chwili przypadek nie mógł skierować ręki Heysta. Jej oczy blakające się nieprzytomnie zatrzymały się na przymkniętym oknie. Podbiegła doń i wspiąwszy się na palce, dosięgła okiennicy. Otworzyła ją na oścież, wróciła na środek pokoju i zamierzyła się, miarkując tak siłę rzutu, aby sandał za daleko nie poleciał i nie zawadził o brzeg zwisającego okapu. Było to trudne i skomplikowane zadanie dla mięśni tych krągłych ramion, drżących jeszcze od śmiertelnego zmagania się z mężczyzną, dla umysłu podnieconego naprężeniem chwili i dla rozkołysanych nerwów, które napelniały mrokiem oczy. Wreszcie rzuciła sandał; przesunął się przez otwór i znikł z widoku. Nasłuchiwała. Nie było słyhać, aby o cokolwiek uderzył; znikł po prostu, jakby miał skrzydła. Żaden dźwięk jej nie doszedł. Sandał poleciał.

Stała jak obrócona w kamień; dzielne jej ramiona zwisały wzdłuż ciała. Słabe gwizdanie dosięgło jej uszu. Roztrzępany Ricardo, spostrzegłszy zgubę, zatrzymał się w po-

blizu wielce zatroskany; uspokoił go jednak widok sandała wylatującego spod okapu. Wówczas pozwolił sobie na gwizdnięcie, aby i ją uspokoić.

Nagle Lena zatoczyła się. Powstrzymała się od upadku, chwyciwszy oburącz jeden z wysokich, z gruba ociosanych słupów podtrzymujących nad łóżkiem siatkę od moskitów. Przyłgnęła do niego na długą chwilę, oparłszy czoło o drzewo. Rozluźniony sarong obsunął się z jednego boku aż po biodro. Długie, kasztanowate sploty spływały wiotkimi, jakby wilgotnymi pasmami, znacząc się prawie czarno na białym ciele. Odkryte piersi, zwilgotniałe od trwogi i zmęczenia, miały zimny połysk i nieruchomość polerowanego marmuru w gorącym, rozproszonym świetle wpadającym przez okno nad jej głowę — w odbłasku zachłannego, namiętnie palącego słońca, które aż drgało z wysiłku, aby ogarnąć ziemię płomieniem, aby obrócić ją w popiół.

IV

Heyst siedział przy stole ze spuszczoną głową i podniósł ją, usłyszawszy lekki szelest sukni Leny. Przestraszyła go śmiertelna bladeść jej policzków i martwy wyraz oczu, które patrzyły na niego dziwnie, jakby go nie poznając. Ale na troskliwe zapytania odpowiadała uspakajająco, że czuje się zupełnie dobrze. Miała lekki zawrót głowy, wstając z łóżka. Po kąpieli zrobiło jej się słabo na chwilę. Musiała usiąść i czekać, aż to minie. Dlatego spóźniła się z ubieraniem.

— Nie próbowałam już się czesać. Nie chciałam, żebyś czekał jeszcze dłużej — rzekła.

Nie miał ochoty nudzić jej pytaniami, skoro zdawała się lekceważyć swoją niedyspozycję. Nie upięła włosów, tylko zaczesła je gładko i związała wstążką. Z odsłoniętym czołem wyglądała bardzo młodo, prawie dziecinnie, jak stroskane dziecko, któremu coś dolega.

Heysta zdziwiła nieobecność Wanga, który materializował się zawsze z chwilą, gdy miał usługiwać — ani wcześniej, ani później. Tym razem zwykły cud nie nastąpił. Cóż to miało znaczyć?

Zawołał głośno na Wanga, czego bardzo nie lubił. Z podwórza odpowiedział mu zaraz głos Chińczyka:

— *Ada, tuan*⁶⁸!

Lena, wsparta na łokciu, z oczami wbitymi w talerz, zdawała się nic nie słyszeć. Gdy Wang wszedł z tacą, wąskie jego oczy, jakby podciągnięte skośnie ku górze przez wystające kości policzkowe, obserwowały ją wciąż ukradkiem. Ani jedno, ani drugie z dwojga białych nie zwracało na Wanga najmniejszej uwagi; wysunął się z pokoju, nie usłyszawszy, aby zamienili choć jedno słowo. Przykucnął na piętach na tylnej werandzie. Jego chiński umysł, bardzo jasny, choć nie dalekowidzący, rozstrzygnął kwestię zgodnie z prostą wymową faktów, ujętych ze stanowiska elementarnego instynktu samozachowawczego, którego nie mąciło czułe sumienie lub poczucie romantycznego honoru. Żółte jego ręce, splecione lekko jedna z drugą, wisiały beczynnie między kolanami. Groby przodków Wanga były daleko, rodzice jego nie żyli; starszy brat służył jako żołnierz w jamenie jakiegoś mandaryna, hen na Formozie⁶⁹. Wang nie miał przy sobie nikogo, kto by mógł żądać od niego szacunku lub posłuszeństwa. Przez całe lata był wędrownym robotnikiem, który nigdzie miejsca nie zagrzał. Jedyne węzeł, łączący go ze światem, stanowiła kobieta z plemienia Alfuro, za którą złożył okup ze znacznej części ciężko zapracowanych pieniędzy. Poczował się do obowiązków tylko względem samego siebie.

Walka za kotarą była złym omenem dla Numeru Pierwszego, który nie wzbudzał w Wangu ani miłości, ani niechęci. To zajście tak zastraszyło Wanga, że ociągał się z przyniesieniem kawy, aż wreszcie biały zmuszony był go przywołać. Chińczyk wszedł z ciekawością. Oczywiście: biała kobieta wyglądała tak, jakby przed chwilą mocowała się z duchem, który zdołał wypić połowę krwi z jej żył, zanim ją puścił. Co się tyczy mężczyzny, Wang uważał go już od dawna za pozostającego pod jakimś złym urokiem; teraz zaś przekonał się, że to jest człowiek skazany. Chińczyk słyszał głosy ich obojga w pokoju. Heyst namawiał Lenę, aby położyła się znowu; niezmiernie był zaniepokojony, gdyż nie chciała nic jeść.

Omen

⁶⁸*Ada, tuan* (malaj.) — tutaj [jestem], panie. [przypis edytorski]

⁶⁹*Formoza* — dziś: Tajwan. [przypis edytorski]

— Najlepiej będzie, jeśli się położysz. Doprawdy, musisz się położyć!

Siedziała obojętnie, potrząsając głową od czasu do czasu, jakby nic nie mogło jej pomóc. Ale Heyst wciąż nalegał; spostrzegła, że z oczu jego zaczyna przebiegać zdziwienie i nagle ustąpiła.

— Może i lepiej się położyć!

Nie chciała budzić w nim zdziwienia, które mogłoby doprowadzić do podejrzeń. Należało tego uniknąć.

Wraz ze świadomością uczucia dla tego mężczyzny — uczucia polegającego na czymś głębszym i czarowniejszym od zmysłowych uniesień, ocknęła się w Lenie wrodzona każdej kobiecie nieufność do męskości — do tej pociągającej siły związanej z bezsensowną, subtelną płochliwością, uchylającą się od stwierdzenia nagiej wymowy faktów — czego nie uległa się jeszcze nigdy kobieta godna tej nazwy. Lena nie miała żadnego planu; ale wysiłek, aby ze względu na Heysta zachować zewnętrzną równowagę, uspokoił ją poniekąd i dopomógł do zdania sobie sprawy, że postępowanie jej zapewniło im w każdym razie krótki okres bezpieczeństwa. Lena rozumiała doskonale Ricarda — może z powodu wspólnego im obojgu pochodzenia ze środowiska mętów społecznych. Przypuszczała, że Ricardo zachowa się czas jakiś spokojnie. Wobec tej kojącej pewności opanowało ją zmęczenie tym silniejsze, że wywołane nie tyle zużyciem sił, co okropną nagłością wysiłku, na który musiała się zdobyć. Byłaby usiłowała zapanować nad tym zmęčeniem, wiedzioma po prostu instynktowną odpornością, gdyby nie prośby i nalegania Heysta. Wobec tej charakterystycznie męskiej troskliwości uczuła kobiecą potrzebę ustąpienia i słodczy poddania się jego woli.

— Zrobię wszystko, co zechcesz — rzekła.

Gdy wstała z krzesła, obezwładniło ją osłabienie; ogarnęło ją i zatopiło jak ciepła woda, szumem wzburzonych fal tętniąc w uszach.

— Musisz mi pomóc — rzekła szybko.

Gdy ją objął ramieniem — co mu się bynajmniej rzadko nie zdarzało — doznała szczególnej przyjemności, wspierając się na nim. Osunęła się całym ciężarem w ten mocny, opiekuńczy uścisk i dreszcz przeszedł ją całą na myśl, że to ona teraz będzie go osłaniała; że stanie się opiekunką mężczyzny, który był dość silny, aby ją unieść w ramionach, jak czynił to właśnie w tej chwili. Heyst bowiem podniósł Lenę z ziemi w chwili gdy przekroczył próg jej pokoju; uznał, że będzie prościej i prędzej nieść ją parę ostatnich kroków. Znadto był niespokojny, aby zdawać sobie sprawę z fizycznego wysiłku. Uniósł ją wysoko w ramionach i ułożył na łóżku, jak się układa dziecko w kołysce. Potem siadł na brzegu posłania, pokrywając niepokój uśmiechem, który nie znalazł oddźwięku w sennych, nieruchomych jej oczach. Ale, poszukawszy jego ręki, chwyciła ją skwapliwie⁷⁰, i w chwili gdy ścisnęła ją ze wszystkich sił, sen, którego potrzebował jej organizm, chwycił ją nagle — jak dziecko w kołysce — z ustami rozchylonymi przez kojące, pieszczotliwe słowo, które pomyślała, ale którego nie miała już czasu wymówić.

Zwykle, płomienne milczenie ciążyło nad Samburanem.

— Cóż to znów za nowa tajemnica? — szepnął do siebie Heyst, zapatrzonej w głęboko śpiącą Lenę.

Tak był głęboki ten sen zaczarowany, że gdy w jakiś czas potem Heyst usiłował rozchylić łagodnie jej palce, aby oswobodzić rękę, udało mu się to bez wywołania najłżejszego odruchu z jej strony.

— Wszystko to da się pewnie wytłumaczyć w bardzo prosty sposób — pomyślał, wymykając się do salonu.

Wziął bezmyślnie jakąś książkę z górnej półki i usiadł. Położył ją sobie na kolanach i patrzył czas jakiś w kartki, ale wciąż nie miał najmniejszego pojęcia, co to za książka. Wpatrywał się pilnie w gęste, równoległe linijki. Dopiero podniósłszy oczy bez żadnej wyraźnej przyczyny, zobaczył Wanga stojącego nieruchomo z drugiej strony stołu i odzyskał zupełną władzę nad sobą.

— Ach prawda — rzekł, jakby mu nagle przypomniano, że czeka go nie bardzo przyjemna rozmowa.

⁷⁰skwapliwie (daw.) — szybko i/lub chętnie. [przypis edytorski]

Po krótkiej chwili przezwycięzył swój bezwład i z pewną ciekawością zapytał milczącego Wanga, o co mu chodzi. Heystowi się zdawało, że wypłynie nareszcie sprawa zaginionego rewolweru, lecz gardłowe dźwięki, które wydawał Chińczyk, nie odnosiły się do tej delikatnej materii. Przemowa jego dotyczyła filiżanek, spodeczków, talerzy, widelców i noży. Wszystkie te rzeczy, wyczyszczone jak się należy, ułożył w bufecie na tylnej werandzie, gdzie było ich właściwe miejsce. Heyst zdziwił się skrupulatności człowieka, który miał zamiar go opuścić; nie było bowiem dla niego niespodzianką, gdy Wang zakończył sprawozdanie ze swych czynności lokaja oświadczeniem:

— Ja teraz iść.

— Ach tak! Więc idziesz teraz — rzekł Heyst, opierając się plecami o tylną poręcz fotelu, z książką na kolanach.

— Tak. Ja nie lubię. Jeden człowiek, dwa człowiek, trzy człowiek — niedobrze! Ja teraz pójść.

— Co cię tak wystrasza? — spytał Heyst, a przez głowę mignęła mu nadzieja, że może uzyska jakieś wyjaśnienie od tego stworzenia, stanowiącego z nim taki kontrast i odnoszącego się do świata z prostotą i bezpośredniością, do których własna jego dusza nie była zdolną. — Dlaczego odchodzisz? — ciągnął dalej. — Przecież jesteś przyzwyczajony do białych. Znasz ich dobrze.

— Tak. Ja znać — przyznał niezbadany Wang. — Ja dużo wiedzieć.

W rzeczywistości wiedział tylko, czego sam chce. Postanowił usunąć się wraz z kobietą Alfuro wobec niepewnych stosunków, które zapanowały wśród tych białych. Pedro był pierwszym powodem podejrzeń Wanga. Chińczyk widywał już przedtem dzikich ludzi. Docierał swego czasu jako wędrowny kupiec aż do kraju Dajaków, wzdłuż jednej czy dwóch rzek borneańskich. Był także w głębi Mindanao, gdzie ludzie żyją na drzewach jak dzikusy nie lepsze od zwierząt; ale kudłata bestia w rodzaju Pedra, o wielkich kłach i dzikim pomruku, przechodziła jego pojęcia o stworzeniach, które można uważać za ludzkie. Silne wrażenie, które Pedro wywarł na Wangu, stało się dla Chińczyka pierwszą podniętą do ściągnięcia rewolweru. Refleksje o niepewności położenia w ogóle i o niebezpieczeństwach grożących Numerowi Pierwszemu przyszły później, gdy już zawładnął rewolwerem i pudełkiem z nabojami, które wyjął z szuflady stołu w salonie.

— Aha, ty wiedzieć dużo o białych — ciągnął Heyst z lekka szyderczym tonem; po chwili zastanowienia zdał sobie sprawę, że nie ma co myśleć o odzyskaniu rewolweru, czy to za pomocą perswazji, czy gwałtowniejszych środków. — Takie to i gadanie; po prostu boisz się tamtych białych ludzi!

— Ja nie bać się — zaprzeczył Wang chrapliwie, zadarłszy głowę, co nadało jego wyprężonej szyi szczególnie niespokojny wygląd. — Ja nie lubię — dodał spokojniej. — Ja baldzo choly.

Przytknął rękę do piersi w okolicy mostka piersiowego.

— To być jedno wielkie łgarstwo — rzekł Heyst spokojnie i stanowczo. — To nie po męsku. I jeszcze po ukradzeniu mego rewolweru!

Postanowił nagle, że będzie o tym mówił, ponieważ szczerść nie mogła już pogorszyć sytuacji. Nie przypuszczał ani przez chwilę, że Wang ma rewolwer przy sobie, i przemyślawszy całą sprawę, doszedł do wniosku, iż Chińczyk nie zamierzał nigdy użyć broni przeciwko niemu. Wang drgnął z lekka, zaskoczony tym bezpośrednim zarzutem i rozerwał kurtkę na piersiach, wyrażając ostentacyjnie gwałtowne oburzenie.

— Ja nie mieć. Patrzeć! — krzyknął na całe gardło w udanym gniewie.

Bił się gwałtownie w nagie piersi; odsłonił żebra, dyszące znieważoną cnotą; gładki jego brzuch falował oburzeniem. Zaczął targać szerokie niebieskie spodnie, które trzępotały się wkoło żółtych ud. Heyst obserwował go spokojnie.

— Nie powiedziałem wcale, że masz go przy sobie — zauważył, nie podnosząc głosu; — ale rewolwer znikł z miejsca, gdzie go schowałem.

— Ja nie widzieć lewolwel — rzekł Wang uparcie.

Książka, rozłożona na kolanach Heysta, ześlizgnęła się nagle, przy czym Heyst uczynił gwałtowny ruch, aby ją złapać. Wang nie mógł zrozumieć tego ruchu, ponieważ stół zasłaniał mu książkę, i odeskoczył przed tym groźnym, jak mu się zdawało, objawem. Gdy Heyst podniósł oczy, Chińczyk stał już we drzwiach werandy, nie przestraszony wprawdzie, lecz czujny.

— Cóż to znowu? — spytał Heyst.

Wang kiwnął znacząco wygoloną głową w kierunku kotary zasłaniającej drzwi sypialni.

— Ja nie lubię — powtórzył.

— O cóż ci chodzi u licha? — rzekł Heyst ze szczerym zdumieniem. — Czego nie lubisz?

Wang wyciągnął długi palec cytrynowego koloru w stronę nieruchomych fałd.

— Dwoje — powiedział.

— Jak to dwoje? Nie rozumiem.

— Gdyby pan wiedzieć, pan nie lubię! Ja dużo wiedzieć. Ja odejść.

Heyst wstał z krzesła, lecz Wang zatrzymał się jeszcze we drzwiach na chwilę. Oczy kształtu migdałów nadawały jego twarzy wyraz łagodnej i sentymentalnej melancholii. Mięśnie szyi poruszyły się wyraźnie, gdy wymówił dobitnym, gardłowym tonem: „Do widzenia”, po czym znikł z oczu Numeru Pierwszego.

Z odejściem Chińczyka zmieniło się położenie. Heyst rozmyślał, co wobec tego należy właściwie zrobić. Wahał się długi czas; wreszcie, wzruszywszy ze znużeniem ramionami, wyszedł na werandę, zstąpił ze schodów i spokojnym krokiem ruszył zamyślony ku domkowi gości. Postanowił zakomunikować im ważny fakt i nie miał na myśli żadnego innego celu — a już w żadnym razie nie zamierzał zaskoczyć ich niespodzianą wizytą. Pomimo to wskutek nieobecności kudłatego giermka, który nie stał na straży, wypadło Heystowi przestraszyć pana Jonesa i jego sekretarza przez nagłe ukazanie się we drzwiach. Rozmowa ich musiała być bardzo interesująca, skoro przeszkodziła im usłyszeć kroki zbliżającego się gościa. W mrocznym pokoju, którego okiennice były wciąż zamknięte z powodu gorąca, Heyst dojrzał, jak pan Jones i Ricardo odskakują od siebie. Jones odezwał się pierwszy:

— Ach, to pan! proszę, proszę wejść!

Heyst zdjął we drzwiach kapelusz i wszedł do pokoju.

V

Lena ocknęła się nagle i nie podnosząc głowy z poduszki, objęła spojrzeniem pokój, w którym była sama. Wstała prędko, jakby chcąc tym energicznym ruchem przeciwdziałać straszemu upadkowi ducha. Lecz upadek ten trwał tylko chwilę. Opanowała się zaraz, przez dumę, przez miłość, z konieczności — a także przez kobiecą ambicję, która znajduje zaspokojenie w zaparciu się siebie. Gdy Heyst wrócił od gości, spotkała go jasnym spojrzeniem i uśmiechem.

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech, ale zauważyła, że unika jej wzroku. Ściągnęła więc wargi, spuściła oczy i — z tych samych co przedtem pobudek — pośpieszyła odezwać się do niego obojętnym tonem, który przybrała bez wysiłku, jakby od wschodu słońca zdążyła nabrać wprawy w udawaniu.

— Byłeś tam znowu?

— Tak. Przyszło mi na myśl, że — ale przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że straciliśmy Wanga na dobre.

— Na dobre? — powtórzyła, jakby nie rozumiejąc.

— Na dobre czy na złe — nie umiałbym odpowiedzieć, gdybyś mnie zapytała. Po-dziękował za służbę. Odszedł.

— Ale spodziewałeś się, że odejdzie — prawda?

Heyst usiadł z drugiej strony stołu.

— Tak, spodziewałem się tego, odkąd odkryłem, że przywłaszczył sobie rewolwer. Mówi, że go nie wziął. To było do przewidzenia. Chińczyk nigdy nie uzna, że trzeba się przyznać do winy. Przeczy z zasady wszelkim oskarżeniom: ale Wang nie mógł się spodziewać, że mu uwierzę. Przy końcu był trochę zagadkowy, Leno. Przestraszył mnie.

Heyst urwał. Lena wyglądała na zatopioną w myślach.

— Przestraszył mnie — powtórzył Heyst. Zauważyła niepokój w jego głosie i odwróciła nieco głowę, aby spojrzeć na niego przez stół.

— To musiało być coś niezwykłego, jeżeli ty się przestraszyłeś — rzekła. W głębi rozchylonych warg, podobnych do dojrzałego granatu, połyskiwały białe zęby.

— To było tylko jedno słowo — i kilka gestów. Narobił porządnego hałasu. Dziwię się, że ciebie nie obudził. Jaki ty masz mocny sen! No jakże, czy dobrze się już czujesz?

— Zupełnie dobrze — rzekła, obdarzając go znów promiennym uśmiechem. — Nie słyszałam żadnego hałasu i bardzo się z tego cieszę. Boję się szorstkiego głosu tego człowieka. Nie lubię tych wszystkich cudzoziemców.

— Przestraszył mnie w chwili gdy odchodził — a właściwie, gdy wypadł z salonu. Kiwnął głową w stronę twego pokoju i pokazał palcem kotarę. Wiedział naturalnie, że tam jesteś. Zdawał się myśleć — zdawał się podsuwać mi myśl, że grozi ci jakieś szczególne niebezpieczeństwo. Ty wiesz, jak on się wyraża.

Nic na to nie odpowiedziała, nie wyrzekła ani słowa, tylko nikły rumieniec odpłynął z jej policzków.

— Tak — ciągnął Heyst. — Zdawało się, że usiłuje mnie przed czymś ostrzec. O to mu widocznie chodziło. Czy wyobrażał sobie, że zapomniałem o twoim istnieniu? Jedno jedyne słowo, które wymówił, to było: „dwoje”. Przynajmniej tak to brzmiało. Tak, powiedział: „dwoje”; i że mu się to nie podoba.

— Co to ma znaczyć? — szepnęła.

— Wiemy co znaczy słowo: dwoje — prawda, Leno? Nas jest dwoje. Chyba nigdy jeszcze nie było na świecie dwojga ludzi tak bardzo osamotnionych! A może Wang chciał mi przypomnieć, że i on ma kobietę, nad którą musi czuwać? Czemu taka jesteś blada, Leno?

— Czy rzeczywiście jestem blada? — spytała niedbale.

— Ależ tak! — Heyst był prawdziwie zaniepokojony.

— W każdym razie nie ze strachu — oświadczyła szczerze.

I rzeczywiście, zgroza, która ją ogarnęła, nie odebrała jej jednak panowania nad sobą; właśnie dlatego było to może jeszcze cięższe do zniesienia, ale nie pozbawiało jej sił.

Z kolei Heyst uśmiechnął się do niej.

— Nie widzę tu doprawdy żadnego powodu do strachu.

— Chciałam powiedzieć, że nie boję się o siebie.

— Mam cię za bardzo odważną — rzekł. Twarz jej znów się zaróżowiła. — A ja — ciągnął Heyst — taki jestem oporny w stosunku do wrażeń zewnętrznych, że nie mógłbym nazwać siebie odważnym. Nie reaguję dość mocno. — Zmienił ton. — Wiesz, że dziś z samego rana byłem u tych ludzi?

— Wiem. Bądź ostrożny! — szepnęła.

— Ciekaw jestem, jak można być ostrożnym! Miałem długą rozmowę z tym... ale ty ich nie widziałaś. Jeden z nich, to fantastycznie cienki i długi osobnik o pozorach chorego; nie zdziwiłbym się zresztą, gdyby był rzeczywiście chory. Mówił o tym z tajemniczym naciskiem. Przypuszczam, że chorował na febrę tropikalną, ale nie tak bardzo, jak stara się we mnie wmówić. To jest — jak się to mówi — człowiek z towarzystwa. Zdawało mi się, że zacznę opowiadać swoje przygody — o które go nie pytałem — ale zamiast tego zauważył, że to długa historia i że może innym razem —

— „Pan chciałby zapewne wiedzieć kim jestem?” — zapytał.

— Odrzekłem, że pozostawiam to jego woli, tonem, którego dobrze wychowany człowiek nie może nie zrozumieć. Podniósł się na łokciu — leżał cały czas na łóżku polowym — i rzekł:

— „Jestem tym, który —”

Lena zdawała się nie słuchać, lecz gdy Heyst przestał mówić, zwróciła ku niemu głowę szybkim ruchem. Wydało mu się, że to był ruch badawczy, ale się mylił. Wrażenia jej były mgliste; cała jej energia skupiła się w walce, którą pragnęła podjąć w wielkim porwywie miłości i zaparcia się siebie, tego wzniosłego rysu kobiecości; którą pragnęła prowadzić sama jedna aż do ostatka, wszystkiego mu oszczędzając — nawet świadomości tego, co czyniła, o ile by to było możliwe. Byłaby chciała zamknąć go gdzieś podstępem. Gdyby była w stanie uspić go na kilka dni, użyłaby środków nasennych lub czarów bez najmniejszego wahania. Uważała, że jest za dobry na zetknięcie się z ludźmi tego rodzaju, a przy tym niedostatecznie uzbrojony. To ostatnie spostrzeżenie nie miało jednak nic wspólnego z materialnym faktem zniknięcia rewolweru. Lena nie umiała ocenić tego faktu w całej rozciągłości.

Heyst, obserwując jej oczy tkwiące w nim bez ruchu i jakby niewidome — gdyż skupienie odejmowało im wszelki wyraz — wyobraził sobie, że to jest skutek wielkiego wysiłku myśli.

— Nie pytaj mnie, Leno, co to miało znaczyć; nie wiem i wcale go o to nie pytałem. Jak ci już mówiłem, ten pan przepada najwidoczniej za mistyfikacją. Nic mu nie odpowiedziałem, a on złożył na powrót głowę na zwiniętej derce służącej za poduszkę. Udawał, że jest niezmiernie wyczerpany, ale podejrzewam, że byłby najzupełniej zdolny do skoczenia każdej chwili na równe nogi. Mówił, że został wyłączony z własnej sfery, ponieważ nie chciał zastosować się do pewnych ogólnie przyjętych prawideł; a teraz jest buntownikiem i odbywa wędrówkę po szerokim świecie. Ponieważ nie miałem ochoty słuchać tych wszystkich bredni, rzekłem mu, że słyszałem już o kimś podobną historię. Uśmiech jego jest doprawdy okropny. Wyznał mi, że nie jestem wcale podobny do człowieka, którego spodziewał się zastać. Potem rzekł:

— „Co się zaś mnie tyczy, nie jestem wcale czarniejszy od tego osobnika, o którym pan myśli i mam tyleż co i on determinacji”.

Heyst spojrział przez stół na Lenę, która wsparła się na łokciach, ujawniając twarz w obie ręce. Poruszyła lekko głowę na znak porozumienia.

— Trudno wyrazić się jaśniej, prawda? — rzekł Heyst sarkastycznie. — A może miał to być miły żart w jego pojęciu; bo gdy skończył mówić, wybuchnął długim, hałaśliwym śmiechem. Nie zawtórowałem mu!

— Szkoda — szepnęła Lena.

— Nie zawtórowałem mu. Nie przyszło mi to na myśl. Mało jest we mnie z dyplomaty. A było to pewnie wskazane, bo zdaje mi się, że zagalopowałem się w zwierzeniach i starałem się osłabić swoje słowa przez tę sztuczną wesołość. Lecz w gruncie rzeczy dyplomacja nie oparta na sile nie lepszą jest podporą od zbutwiałej trzciny. I nie wiem, czy byłbym się roześmiał, nawet gdyby mi to przyszło na myśl. Nie wiem. Byłoby to przeciwne mojej naturze. Czy mógłbym się roześmiać? Za długo żyłem pogrążony w samym sobie, śledząc tylko cienie i odbłaski życia. Oszukiwać kogoś w sprawie, którą można by rozstrzygnąć szybciej przez usunięcie tegoż człowieka — oszukiwać, bo się jest rozbrojonym, bezsilnym, niezdolnym nawet do ucieczki — nie! To mi się wydaje zanadto poniżające. A przecież mam ciebie tutaj! Trzymam w ręku twoje życie. I cóż ty na to, Leno? Czy byłbym zdolny rzucić cię lwom na pożarcie, aby swoją godność ocalić?

Wstała z krzesła, okrążyła szybko stół, siadła lekko na jego kolanach i, obejmując go za szyję, szepnęła do ucha:

— Możesz to zrobić, jeżeli zechcesz. Chyba tylko w taki sposób zgodziłabym się ciebie opuścić. Tylko dla czegoś w tym rodzaju. Choćby to nie było większe od twego małego palca.

Musnęła wargami jego usta i wstała, nim zdążył ją zatrzymać. Siadłszy z powrotem na krześle, oparła się znowu łokciami o stół. Trudno było uwierzyć, że w ogóle wstawała z miejsca. Przelotny ciężar jej ciała na kolanach Heysta, uścisk ramienia naokoło szyi, szept który przeniknął mu do ucha, dotknięcie warg na ustach — wszystko to mogło być nierealnym wrażeniem snu, który wdarł się w rzeczywistość czarownym mirażem wśród bezpłodnej oschłości myśli. Zawahał się, czy ma dalej mówić, póki nie odezwała się rzeczowym tonem:

— No i cóż dalej?

Heyst drgnął.

— No i nie zawtórowałem mu. Czekałem aż się sam naśmiej do syta. Trząśnięcie całym i wyglądał jak rozbawiony szkielet pod bawełnianą kapą, którą się nakrył — pewno aby zasłonić rewolwer trzymany w prawej ręce. Nie widziałem tego wprawdzie, ale miałem wyraźne wrażenie, że trzyma broń w garści. Po chwili odwrócił ode mnie oczy i wpatrzył się w jakiś kąt; obejrzałem się i zobaczyłem, że w rogu pokoju tuż za mną przycupnęło kudłate, dzikie stworzenie przywiezione przez tych ludzi. Nie było go tam, gdy wszedłem. Poczucie, że ten potwór czyha za moimi plecami, nie przypadło mi do gustu. Gdybym był mniej zdany na ich łaskę i niełaskę, usiadłbym na pewno gdzie indziej; ale w tych okolicznościach zmiana miejsca byłaby tylko słabością. Nie poruszyłem się więc wcale. Człowiek leżący na łóżku oświadczył, że może mnie zapewnić o jednej rzeczy: oto jego obecność na wyspie nie jest bardziej godna potępienia niż moja.

— „Dążymy do tego samego celu” — rzekł — „tylko ja z większą otwartością niż pan — i z większą prostotą”.

— To są jego własne słowa — ciągnął Heyst, popatrzawszy chwilę na Lenę w badawczym milczeniu. — Spytałem go, czy wiedział przedtem, że tu mieszkam; odpowiedział mi tylko okropnym uśmiechem. Nie nalegałem na odpowiedź, Leno. Zdawało mi się, że lepiej nie nalegać.

Na gładkim jej czole promień słońca zdawał się zawsze spoczywać. Rozpuszczone włosy, rozdzielone na środku głowy, przesłaniały ręce, na których wsparła głowę. Zajęcie, z jakim słuchała opowiadania, było tak wielkie, że wyglądała jak przykuta do miejsca przez jakiś czar. Heyst nie milczał długo. Nawiązał znów dość gładko opowieść, zaczynając od komentarza:

— Byłby skłamał beczelnie — a ja nie cierpię słuchać kłamstw. Sprawia mi to przykrość. Najwidoczniej nie umiem sobie radzić ze sprawami szerokiego świata. Ale nie chciałem, aby ten człowiek sobie wyobrażał, że zbyt potulnie znoszę jego obecność; więc oświadczyłem, że wędrówki jego po świecie nic mnie nie obchodzą, chyba pod jednym tylko względem: oto jestem szczerze zainteresowany, kiedy rozpocznie je znowu.

— Zwrócił mi wtedy uwagę na stan swego zdrowia. Gdybym był sam na wyspie, tak jak oni przypuszczają, parsknąłbym mu w twarz śmiechem. Ale ponieważ nie jestem sam... Słuchaj, Leno, czy jesteś pewna, że nie byłeś w żadnym miejscu, gdzie mogliby cię dostrzec?

— Jestem pewna — rzekła szybko.

Widać było, że te słowa przyniosły mu ulgę.

— Rozumiesz mnie, Leno; jeśli cię proszę żebyś się trzymała w ukryciu, to tylko dlatego, że niegodni są patrzeć na ciebie — mówić o tobie. Biedactwo ty moje! Nie mogę zapanować nad tym uczuciem. Czy mnie rozumiesz?

Poruszyła z lekką głową, nie potakując ani nie zaprzeczając.

— Jednak będą musieli zobaczyć mnie kiedyś —

— Ciekaw jestem, jak długo uda ci się pozostać niewidzialną — szepnął Heyst w zadumie. Pochylił się nad stołem. — Pozwól mi skończyć. Zapytałem go wręcz, czego chce ode mnie. Odniosł się do tego bardzo niechętnie. Odrzekł, że nie ma potrzeby się spieszyć. Zaznaczył przy tym, że jego sekretarz, a właściwie wspólnik, chwilowo jest nieobecny; poszedł na pomost, aby obejrzeć łódź. Wreszcie zaproponował mi, że odłoży do pojutra zakomunikowanie mi pewnej wiadomości. Zgodziłem się na to, ale oświadczyłem, że wcale nie jestem tej wiadomości ciekawy i nie wyobrażam sobie, aby jego sprawy mogły mnie obchodzić.

— „Proszę pana” — odrzekł — „mamy z sobą daleko więcej wspólnego, niż pan myśli”.

Heyst uderzył nagle pięścią w stół.

— To były kpiny! Jestem tego pewien.

Zawstydził się nieco tego wybuchu i uśmiechnął się z lekką, patrząc w nieruchome oczy Leny.

— I cóż byłbym mógł zrobić, nawet mając kieszenie pełne rewolwerów?

Skinęła głową potakująco.

— Pewnie, że zabójstwo jest grzechem — szepnęła.

— Wyszedłem — ciągnął Heyst. — Zostawiłem go leżącego na boku z zamkniętymi oczami. Wróciłem tutaj i widzę, że wyglądasz, jakbyś była chora. Co to było, Leno? Tak mnie przestraszyłaś! Poszłaś się położyć, a ja rozmawiałem przez ten czas z Wangiem. Spałaś spokojnie. Usiadłem tu i zacząłem zastanawiać się nad wszystkim, co się stało, usiłując przeniknąć ukryte znaczenie wypadków i zrozumieć ich przebieg. Przyszło mi na myśl, że te dwa dni, które mamy przed sobą, wyglądają jak rozejm. Im więcej myślę o tym, tym wyraźniej czuję, że nastąpiło pod tym względem milczące porozumienie między mną i Jonesem. Ta okoliczność jest dla nas pomyślna — jeśli w ogóle może być coś pomyślnym dla ludzi tak jak my zaskoczonych. Wang odszedł. Ten postąpił przynajmniej otwarcie; ale nie wiem, co może strzelić mu do głowy i przyszło mi na myśl, że lepiej ostrzec tych ludzi, iż nie odpowiadam już za Chińczyka. Nie chciałem, aby pan Wang uczynił jakiś krok, który by przyspieszył akcję przeciwko nam. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinęła głową potwierdzająco. Całą jej duszę ogarnęło namiętne postanowienie i egzaltowana wiara w siebie; pochłaniała ją myśl o przedziwnej sposobności, dzięki której mogła zdobyć niezawodnie miłość tego człowieka — zdobyć ją na wieczność.

— Nigdy nie widziałem dwóch ludzi — mówił Heyst — bardziej jakąś wiadomością poruszonych niż Jones i jego sekretarz, który był już wtedy z powrotem. Nie słyszeli moich kroków. Przeprosiłem ich, że przeszkadzam.

— „Ależ broń Boże! broń Boże” — rzekł Jones.

— Sekretarz cofnął się w róg pokoju i śledził mnie spode łba jak czujny kot. Obaj najwidoczniej mieli się na baczności.

— „Przyszedłem” — mówię do nich — „aby panów zawiadomić, że mój służący odszedł — opuścił mnie”.

Z początku spojrzeli po sobie, jakby nie rozumiejąc moich słów; ale wnet się bardzo stropili.

— „Pan mówi, że pański Chińczyk uciekł?” — spytał Ricardo, wyłaząc ze swego kąta. — „Tak sobie, ni stąd ni zowąd? Dlaczego uciekł?”

— Odrzekłem, że każdy Chińczyk postępuje zawsze według ściśle określonych i prostych powodów, ale wydobyć z niego te powody wcale nie jest łatwo. Oświadczył mi tylko, że „nie podoba mu się”.

Popatrzyli jeden na drugiego, niezmiernie zmieszani. — „Co mu się nie podoba?” — zapytali.

— Wygląd pana i pańskich ludzi — rzekłem do Jonesa.

— „Co za głupstwo!” — wykrzyknął Jones, a krępy Ricardo wtrącił natychmiast:

— „Powiedział to panu? Za cóż on pana ma — za niemowlę? A może to pan — bez obrazu — bierze nas za dzieci? Założę się, że pan teraz powie, że panu coś zginęło”.

— „Nie miałem zamiaru tego panom mówić” — rzekłem — „ale tak jest rzeczywistość”.

— Ricardo trzepnął się po udzie.

— „Zaraz to pomyślałem. Panie szefie, co pan powie o tym kawale?”

— Jones dał mu jakiś znak i wtedy niezwykle ten wspólnik o twarzy kota zaproponował mi, że wraz ze służącym pomoże mi złapać czy zabić Chińczyka.

— Odrzekłem, że nie przyszedłem prosić o pomoc. Nie mam zamiaru ścigać Chińczyka. Chcę tylko przestrzec ich, że Chińczyk ma broń i że jest naprawdę przeciwny pobytowi ich na wyspie. Chciałem, aby zrozumieli, że nie jestem odpowiedzialny za to, co może nastąpić.

— „Czy pan chce przez to powiedzieć?” — spytał Ricardo — „że po wyspie kręci się zwariowany Chińczyk z sześciostrzałowym rewolwerem i że pana to nic nie obchodzi?”

— To dziwne; nie chcieli wierzyć moim słowom. Przez cały czas zamieniali znaczące spojrzenia. Ricardo przysunął się do swego zwierchnika, naradzili się po cichu i wynikło z tego coś nieoczekiwanego — propozycja dość nieprzyjemna.

— Ponieważ nie chciałem przyjąć ich pomocy w ściganiu Chińczyka, oświadczyli że przysłał mi przynajmniej swego człowieka do obsługi. Jones wystąpił z tym projektem, a Ricardo poparł go.

— „Tak, tak — nasz Pedro będzie gotował dla wszystkich w pańskiej kuchni. On wcale nie taki zły jak wygląda. Tak będzie najlepiej”.

— Wypadł z pokoju na werandę i gwizdnął przeraźliwie na Pedra. Usłyszawszy w odpowiedzi wycie bestii, wbiegł z powrotem do pokoju.

— „Tak, panie Heyst. To świetny pomysł, panie Heyst. Pan wyda mu tylko rozporządzenie co do obsługi, żeby wiedział, czego pan wymaga. Dobrze?”

— Przyznam ci się, Leno, że zaskoczyli mnie tym najzupełniej. Niczego podobnego nie mogłem się spodziewać. I nie wiem, czego się właściwie spodziewałem. Tak się o ciebie niepokoję, że nie mogę trzymać się z daleka od tych wstrętnych łotrów. A nie więcej jak dwa miesiące temu byłoby mi to wszystko jedno. Byłbym kpł sobie z ich łajdactw, tak jak pogardzałem dotychczas wszystkimi zaczepkami życia. Ale teraz mam ciebie! Wkradłaś się w moje życie i...

Heyst odetchnął głęboko. Lena spojrzała szybko na niego rozszerzonymi oczami.

— Och, więc o tym myślisz — myślisz, że mnie masz!

Niepodobna było odgadnąć myśli kryjących się w spokojnych, siwych oczach; niepodobna było zdać sobie sprawy z jej milczenia, z jej słów, a nawet uścisków. Heyst wychodził z jej ramion z uczuciem niepewności.

— Więc jeśli do mnie nie należysz, jeżeli ciebie tu nie ma, gdzie jesteś? — krzyknął Heyst. — Rozumiesz mnie bardzo dobrze!

Potrząsnęła z lekka głową. Czerwone wargi, na które patrzył w tej chwili — równie czarujące jak głos, który z nich się dobywał — wyszeptaly:

— Słyszę, co mówisz; ale co znaczą twoje słowa?

— Znaczą, że mógłbym dla ciebie kłamać, a może nawet się poniżyć.

— Nie, nie! nie rób tego nigdy! — rzekła z pośpiechem, a oczy jej nagle błysnęły. — Znienawidziłbyś mnie potem.

— Znienawidziłbym cię? — powtórzył Heyst, wróciwszy do zwykłego, uprzejmego tonu. — Nie! Po cóż wypowiadasz przypuszczenie najmniej prawdopodobne — na razie. Ale muszę ci wyznać, że... jak to nazwać? że ukryłem prawdę. Najpierw — ukryłem przerażenie wywołane nieprzewidywanymi skutkami mojej idiotycznej dyplomacji. Czy rozumiesz mnie, moja droga dziewczynko?

Nie rozumiała najwidoczniej słowa: dyplomacja. Heyst zdobył się na żartobliwy uśmiech, który stanowił dziwny kontrast z jego zmęczonym wyrazem twarzy. Skronie zapadły mu się z lekka, twarz wydawała się szczuplejszą.

— Widzisz, Leno, w dyplomatycznym powiedzeniu wszystko jest prawdziwe prócz uczucia, które zdaje się je dyktować. Nie byłem nigdy dyplomatą w stosunku do ludzi — bynajmniej nie ze względu na nich, ale wskutek pewnego szacunku dla swoich własnych uczuć. Dyplomacja nie idzie w parze ze szczerą pogardą. Mało dbałem o życie, a jeszcze mniej o śmierć.

— Nie mów tak!

— Otóż — ukryłem moją gorącą chęć chwycenia tych łajdaków za gardło — ciągnął Heyst. — Mam tylko dwie ręce — chciałbym ich mieć sto, aby się bronić — a tam były trzy gardła. W owej chwili ten ich Pedro był również w pokoju. Gdyby zobaczył, że mam do czynienia z dwoma gardłami, skoczyłby do mojego jak dziki pies, albo jaka inna wściekła i wierna bestia. Ukryłem bez wysiłku tęsknotę za pospolitym, głupim i bezna-
dzijnym argumentem walki. Oświadczyłem im, że nie potrzebuję nikogo i nie chcę, aby pozbywali się dla mnie swego sługi, ale nie chcieli mnie wcale słuchać. Postanowienie ich było niewzruszone.

— „Poślemy go zaraz do pana” — rzekł Ricardo — „niech się zabiera do gotowania obiadu dla nas wszystkich. Chyba nie ma pan nic przeciw temu, abym przyszedł do pana na obiad; a szefowi przysłemy jedzenie tu do domu”.

— Pozostawało mi tylko trzymać język za zębami albo rozpocząć kłótnię, która by wydobyła na jaw ich ciemne cele; a my nie jesteśmy w stanie tym celom się przeciwstawić. Mogłabyś, naturalnie, nie pokazać się tego wieczoru; ale wobec tego, że ta wstrętna, dzika bestia będzie się nam wałęsała po domu, jak długo da się ukryć twoją obecność?

Rozpacz Heysta czuło się nawet w jego milczeniu. Głowa dziewczyny, wsparta na rękach ukrytych pod gęstymi splotami włosów, nie poruszyła się wcale.

— Czy jesteś pewna, że dotąd ciebie nie widzieli? — zapytał nagle.

Odpowiedziała, siedząc wciąż bez ruchu:

— Jakże mogę być pewna? Powiedziałeś mi, że nie życzysz sobie, aby mnie widzieli — więc też trzymałam się w ukryciu. Nie pytałam o powody. Przypuszczałam, że nie chcesz, aby wiedziano, że masz przy sobie taką jak ja dziewczynę.

— Ja kto? Myślałaś, że się ciebie wstydzę? — krzyknął Heyst.

— Bo to chyba nie jest właściwe — naturalnie ze względu na ciebie — prawda?

Heyst podniósł ręce z uprzejmą wymówką.

— Uważam to za tak dalece właściwe, że nie mogę znieść myśli, aby ktokolwiek spojrział na ciebie bez przychylności i bez szacunku. Ci ludzie wzbudzili we mnie wstręt i nieufność od pierwszej chwili. Czyż mogłaś tego nie zrozumieć?

— Nie pokazywałam się przecież — odrzekła.

Nastąpiła cisza. Wreszcie Heyst poruszył się z lekka.

— Wszystko to nie ma teraz znaczenia — rzekł, wzdychając. — Tu chodzi o coś nierównie ważniejszego od złych myśli czy spojrzeń, choćby nie wiem jak nikczemnych i godnych pogardy. Mówiłem ci już, że nic nie odpowiedziałem na propozycję Ricarda. Gdy już odchodziłem, rzekł:

Polityka

— „Panie Heyst, jeśli pan ma przypadkiem klucz od swojej spiżarni, niech mi go pan wręczy; oddam go naszemu Pedrowi”.

— Miałem klucz przy sobie i podałem mu go bez słowa. Włochaty stwór stał przy drzwiach i chwycił klucz rzucony przez Ricarda, zręczniejsz niż tresowana małpa. Odszedłem. Przez cały ten czas myślałem o tobie — niepokoiłem się, że spisz tu sama i że jesteś prawdopodobnie chora.

Heyst urwał i przechylił głowę, nasłuchując. Doszedł go z podwórza słaby trzask łamanego chrustu. Wstał i, przeszedłszy przez pokój, wyjrzał tylnymi drzwiami.

— Jest już ten potwór — rzekł, podchodząc do stołu. — Jest tam i rozpala ogień. Ach, moja ty droga!

Powiodła za nim oczyma. Wyszedł ostrożnie na frontową werandę, spuścił ukradkiem parę zasłon, które wisiały między słupami, i stał bez ruchu, jakby obserwując co się dzieje na dworze. Tymczasem Lena wstała także, aby wyrzeć na dziedziniec. Heyst, spojrzawszy przez ramię, spostrzegł że wraca na swoje miejsce i przywołał ją znakiem. Szła ku niemu przez ciemny pokój, czysta i jasna, w białej sukni, z rozpuszczonymi włosami; wolny chód, wyciągnięta ręka i jakby niewidzące siwe oczy, pełne blasku w półcieniu, czyniły ją podobną do lunatyczki. Nigdy przedtem nie widział na jej twarzy takiego wyrazu. Było w nim rozmarzenie, skupiona uwaga i coś w rodzaju powagi. Gdy wyciągnięta ręka Heysta zatrzymała ją we drzwiach, ocknęła się nagle i z lekka zaczerwieniła — a rumieniec jej, odpływając, uniósł z sobą ten dziwny wyraz, który ją zupełnie przeobrażał. Śmiałym ruchem odrzuciła w tył ciężkie splety włosów. Jasność lgnęła do jej czoła; delikatne nozdrza drgały. Heyst chwycił ją za ramię i szepnął podniecony:

— Przesuń się tędy, prędko! Zasłony ci zakryją. Uważaj, schody są odsłonięte. Oni dopiero co wyszli — tamci dwaj. Lepiej, żebyś ich zobaczyła, zanim...

Cofnęła się nieznacznie, ale opanowała się natychmiast i przystanęła. Heyst puścił jej ramię.

— Tak, może lepiej abym ich zobaczyła — rzekła z nienaturalną rozwagą i, wyszedłszy na werandę, stanęła tuż przy nim.

Patrzyli przez szpary między brzegiem płótna i słupami oplecionymi przez pnące rośliny — z dwóch stron zasłony. Żar wznosił się nieustanną falą z prażonej przez słońce ziemi, jakby płynął z tajemnej głębi ognistego jej serca; niebo ochłodziło już bowiem i słońce stoczyło się nisko, rzucając w stronę domku cienie pana Jonesa i jego giermka — jeden smukły, drugi krępy i szeroki.

Dwaj goście przystanęli i patrzyli przed siebie. Aby podtrzymać fikcję choroby, Jones, wielki pan, oparł się o ramię Ricarda, sekretarza, którego kapelusz sięgał mu do ramienia.

— Widzisz ich? — szepnął Heyst Lenie do ucha. — Oto są ci posłowie z dalekiego świata. Oto masz ich przed sobą — przemysłne zło i instynktowną dzikość — ramię w ramię. Brutalną siłę mają w pogotowiu. Godna siebie trójca; jakże mam ich powitać? Przypuśćmy, że jestem uzbrojony; czy mógłbym zastrzelić teraz tych dwóch tak jak stoją? Czy byłbym do tego zdolny?

Nie odwracając głowy, Lena poszukała ręki Heysa, ścisnęła ją i już jej nie puściła. Mówił dalej z żartobliwą goryczą:

— Nie wiem. Zdaje mi się, że nie byłbym do tego zdolny. Jest we mnie jakaś cecha, która nakłada na mnie bezsensowny obowiązek, abym unikał nawet pozoru morderstwa. Nie pociągnąłem nigdy za cyngiel i nie podniosłem ręki na nikogo — nawet we własnej obronie.

Urwał, poczuwszy silniejszy uścisk jej dłoni.

— Ruszają z miejsca — szepnęła.

— Czyżby chcieli przyjść tutaj? — zaniepokoił się Heyst.

— Nie, nie idą w naszą stronę — rzekła Lena i znów zamilkli. — Wracają do siebie — rzekła wreszcie.

Śledziła ich jeszcze czas jakiś, po czym puściła rękę Heysta i odeszła od zasłony. Wrócił za nią do pokoju.

— Widziałas ich — zaczął. — Wyobraź sobie tylko wrażenie, którego doznałem, gdy wylądowali o zmierzchu — jak jakie zjawy morskie, widma, chimery! Ale te zjawy nie znikły. To najgorsze ze wszystkiego. Nie mają prawa trwać — lecz trwają. Powinny

Wróg

budzić we mnie wściekłość. Ale przewartościowałem już wszystko — i gniew, i oburzenie, i nawet pogardę. Został tylko wstręt. Odkąd opowiedziałas mi o tej ohydnej potwarzy — ten wstręt stał się wprost olbrzymi. Nawet i mnie samego ogarnął. — Spojrzał na nią w górę.

— Ale mam ciebie na szczęście. I gdyby Wang nie był porwał tego przekłętego rewolweru... Tak, Leno, otośmy tutaj — we dwoje!

Położyła mu obie ręce na ramionach, patrząc prosto w oczy. Odwzajemnił jej przenikliwe spojrzenie, ale nie zrozumiał. Nie mógł przebić szarej zasłony jej wzroku; lecz smutek jej głosu wzruszył go do głębi.

— Czy to nie wymówka? — spytała z wolna.

— Wymówka? Czyż to słowo może paść między nami? Mógłbym czuć żal tylko do siebie. Ale wspomnienie Wanga nasunęło mi pewną myśl. Nie poniżyłem się dosłownie ani nie skłamałem, lecz zataiłem prawdę. A ty ukrywałaś się — wprowadziłaś na moją prośbę, ale jednak się ukrywałaś. Nie można powiedzieć, aby to było postępowanie pełne godności. Dlaczego byśmy teraz nie spróbowali żebrać? To szlachetne zajęcie! Tak, Leno, teraz wyjdziemy razem. Nie mogę myśleć o pozostawieniu ciebie samej, a przy tym muszę — tak, muszę pomówić z Wangiem. Pójdziemy szukać tego człowieka, który wie czego chce i umie zdobyć sobie to, czego chce. Pójdziemy zaraz!

— Dobrze, tylko upnę włosy — zgodziła się natychmiast i znikła za kotarą.

Gdy kotara opadła, Lena odwróciła głowę ku drzwiom z wyrazem wielkiej, tkliwej troski — troski o człowieka, którego — czuła to — nigdy nie zrozumie i którego nie spodziewała się nigdy zadowolić; jak gdyby namiętność jej była uczuciem daleko niższego rzędu, niezdolnym do zaspokojenia podniosłych i subtelnych pragnień wzniosłej jego duszy. W parę minut zjawiała się znowu. Wyszli z domu przez tylne drzwi i minęli o trzy kroki zdumionego Pedra, nie patrząc nawet w jego stronę. Pedro, pochylony nad ogniskiem z chrustu, podniósł głowę i kołysząc się niezgrabnie, odsłonił olbrzymie kły w gapiowatym zdumieniu. Potem potoczył się nagle na krzywych nogach w stronę drugiego domku, aby podzielić się ze swymi panami zdumiewającym odkryciem kobiety.

VI

Los zrządził, że Ricardo wałęsał się właśnie po werandzie dawnego kantoru. Zwąchał od razu jakąś nową komplikację i zbiegł po schodkach na spotkanie drepącego niedźwiedzia. Głuche pomruki Pedra, choć bardzo mało podobne do hiszpańskiego języka, i prawdę rzekłszy, do jakiegokolwiek ludzkiej mowy, były jednak dzięki długiej wprawie najzupełniej zrozumiałe dla sekretarza pana Jonesa. Ricardo zdziwił się. Wyobrażał sobie, że dziewczyna pozostanie nadal w ukryciu. Widocznie wybrała inny sposób postępowania. Wierzył jej. I jakżeby mogło być inaczej? Właściwie nie mógł wprost myśleć o niej spokojnie.

Usiłował usunąć z myśli jej obraz, aby móc władać sobą na chłodno; wymagało tego wielce skomplikowane położenie — a wymagało zarówno w jego własnym interesie, jak i ze względu na „zwykłego sobie Jonesa”, którego był wiernym towarzyszem.

Skupił się i jął rozważać. Tę zmianę frontu zarządził prawdopodobnie Heyst. Cóż to mogło oznaczać? To chytry człowiek. A może to ona zmieniła taktykę? W takim razie — hm — wszystko w porządku! Musi być w porządku. Ona wie co robi. Tymczasem Pedro stojący przed Ricardem podnosił kolejno nogi, kiwając się na prawo i lewo — były to zwykłe jego ruchy, gdy na coś czekał. Małe, czerwone oczki tkwiły nieruchomo pod masą kudłów. Ricardo wpatrzył się w nie z rozmyślną pogardą i rzekł szorstkim, gniewnym głosem:

— Kobieta! Naturalnie, że jest tam kobieta. Wiemy to bez ciebie! — Pchnął oswojonego potwora. — Precz! *Vamos*⁷¹! Wynoś się! Wracaj i gotuj obiad. W którą stronę poszli?

Pedro wyciągnął wielkie, włochate ramię, wskazując kierunek, i potoczył się na kałużkowatych nogach. Ricardo uszedł kilka kroków i dojrzał jeszcze wśród krzaków dwa białe hełmy sunące obok siebie nad polanką. Znikły niebawem. Przeszkodziwszy Pedrowi zawiadomić szefa o obecności kobiety na wyspie, Ricardo zatopił się w domysłach nad

⁷¹*vamos* (hiszp.) — chodźmy. [przypis edytorski]

postępowaniem tych dwojga. Stosunek jego do pana Jonesa uległ wewnętrznej zmianie, z której sam sobie jeszcze sprawy nie zdawał.

Tegoż ranka, przed drugim śniadaniem, Ricardo, wymknąwszy się z domu Heysta i odzyskawszy sandał w sposób tak wiele mówiący, ruszył ku domowi, zataczając się, z głową jak w ogniu. Był podniecony do ostateczności niesłuchanie ponętnymi wizjami. Zatrzymał się, aby się uspokoić nim ośmielił się stanąć przed szefem. Wchodząc do pokoju, zobaczył że pan Jones siedzi na łóżku połowym jak krawiec na desce, ze skrzyżowanymi nogami i plecami wspartymi o ścianę.

— Proszę pana! Nie powie mi pan przecież, że się pan nudzi?

— Nie, nie nudzę się. Gdzież u diabła siedziałeś tyle czasu?

— Śledziłem — pilnowałem — myszkowałem. Cóż bym mógł robić innego. Wiedziałem, że pan ma towarzystwo. Czy pan się z nim rozmówił?

— Rozmówiłem się — mruknął pan Jones.

— Ale tak na czysto?

— Nie. Żałowałem, że ciebie nie ma. Włóczył się gdzieś przez cały ranek i wracasz bez tchu. Cóż to znów znaczy?

— Nie zmarnowałem czasu — rzekł Ricardo. — Nic się takiego nie stało. Może... może rzeczywiście biegłem trochę za prędko. — Dyszał wciąż głośno, ale nie z powodu szybkiego biegu; wrzał cały od kłębiących się myśli i uczuć długo tłumionych, które wyzwoliły się teraz pod wpływem rannej przygody. Odchodził prawie od zmysłów. Gubił się w labiryncie groźnych i ponętnych możliwości. — Więc rozmowa trwała długo? — spytał, aby zyskać na czasie.

— Niech cię wszyscy diabli! Czy słońce nie pomieszało ci we łbie? Dlaczego wytrzeszczasz na mnie oczy jak bazyliżek?

— Przepraszam pana bardzo. Nie czułem, że wytrzeszczam oczy — usprawiedliwiał się dobrodusznie Ricardo. — To przekłete słońce mogłoby nadwerężyć czaszkę jeszcze grubszą od mojej. Pali, bo pali. Uf! Za co pan ma człowieka — za salamandrę?

— Powinieneś być tu zostać — rzekł pan Jones.

— Czy ta bestia chciała stanąć dęba? — spytał szybko Ricardo z prawdziwym niepokojem. — Toby było fatalne. Trzeba obchodzić się z nim jak z jajkiem jeszcze najmniej parę dni. Mam swój plan. Tak mi się zdaje, że w parę dni wyszperam mnóstwo rzeczy.

— Tak? A jakim sposobem?

— No naturalnie, że śledząc go — odrzekł z wolna Ricardo.

Pan Jones odmruknął:

— To nic nowego. Ciągłe tylko śledzisz. A może byś się tak trochę pomodlił?

— Ha! ha! ha! To znakomite! — wybuchnął śmiechem sekretarz, patrząc w szefa osowiałym wzrokiem.

Pan Jones porzucił niedbale ten temat.

— No, możesz liczyć przynajmniej na dwa dni — rzekł.

Ricardo przyszedł do siebie. Oczy błysnęły mu rozkosznie.

— Już my damy sobie z tym radę — prędko — gładko — jak się patrzy, niech mi pan tylko zaufa!

— Przecież ci ufam — rzekł Jones. — To także i twój interes.

I rzeczywiście Ricardo był szczery w swych zapewnieniach. Liczył teraz z pewnością na powodzenie. Ale nie mógł wyjawiać, że zyskał sprzymierzeńca w nieprzyjacielskim obozie. Niepodobna było powiedzieć szefowi o dziewczynie. Diabli wiedzą, jak by postąpił, dowiedziawszy się, że kobieta jest w to wmieszana. A przy tym jak zacząć takie zwierzenia? Nie mógł wyznać prawdy o swoim nagłym wybryku.

— Damy sobie radę, proszę pana — rzekł z doskonale udaną wesołością. Czuł porywy strasznej radości, która rozpierała mu serce, paląca jak podżegany płomień.

— Musimy sobie poradzić — wyszeptał pan Jones. — Ta robota, mój Marcinie, nie jest wcale podobna do naszych dawnych kawałów. Mam co do niej szczególne uczucie. To zupełnie inna sprawa. To jak gdyby próba.

Zachowanie zwierzchnika wywarło wrażenie na Ricardzie; zauważył w nim po raz pierwszy coś w rodzaju namiętności. A także wyraz: próba, którego pan Jones użył, uderzył go jako szczególnie znaczący. Było to ostatnie słowo, które zostało wypowiedziane

podczas tej rannej rozmowy. Zaraz potem Ricardo wyszedł z pokoju. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Nie pozwalało mu na to uniesienie, w którym nieporównana słodycz zlewała się z dzikim triumfem. Myśli jego były zmacone. Chodził po werandzie tam i z powrotem do późnego popołudnia, zerkając na tamtą willę za każdym razem gdy skręcał, doszedłszy do balustrady. Willa wyglądała na niezamieszkaną. Raz czy dwa zatrzymał się nagle i spojrział na lewy sandał. Roześmiał się przy tym głośno. Podniecenie jego wciąż wzrastało, tak że się w końcu zaniepokoił. Objął rękami balustradę i stał spokojnie, uśmiechając się nie do swych myśli, lecz do życia, które tętniło w nim potężnie. Dał się ponieść swym uczuciom z beztroską, a nawet z lekkomyślnością. Czuł, że przestaje dbać o wszystkich ludzi, przyjaciół czy wrogów. W tej chwili posłyszał głos pana Jonesa, wołający go z pokoju. Cień padł na twarz sekretarza.

— Jestem, proszę pana — odpowiedział; ale upłynęła jeszcze chwila, nim zdecydował się wrócić.

Zastał szefa na nogach. Pan Jones znudził się bezużytecznym leżeniem; smukła jego postać błędziła po pokoju. Zatrzymał się nagle.

— Rozwahałem właśnie projekt, który mi poddałeś, Marcinie. Na razie nie uznałem go za praktyczny; ale po namyśle doszedłem do przekonania, że można by jednak zaproponować temu człowiekowi partię kart. To wcale⁷² dobry sposób, aby dać mu do zrozumienia, że nadeszła chwila porachunku. To byłoby mniej... jakby to powiedzieć... mniej pospolite. On zrozumie, co to ma znaczyć. To niezły sposób zabrania się do interesu — który sam przez się jest brutalny, mój Marcinie; tak, brutalny.

— Pan chce oszczędzić mu przykrości? — zadrwił sekretarz tak gorzkim tonem, że pan Jones szczerze się zdumiał.

— Jak to, przecież to była twoja myśl, u diabła!

— A czy ja mówię, że nie moja? — odparł nadąsany Ricardo. — Ale mam już potąd tego pełzania na brzuchu. Dość tego! Muszę wydostać dokładne wskazówki gdzie trzymać łup, a potem go dźgnąć. Na nic więcej nie zasłużył.

Zbudzone namiętności Ricarda pożądały zarówno krwi jak i czułości; tak, czułości. Coś w rodzaju tkliwego niepokoju przenikało mu i łagodziło serce, gdy myślał o dziewczynie, ulepionej z tej samej co i on gliny. A jednocześnie zazdrość zaczęła go kasać z chwilą, gdy obraz Heysta wdarł się w jego namiętne marzenia o szczęściu.

— Twoja brutalna dzikość jest wprost ordynarna, mój Marcinie — rzekł pan Jones z pogardą. — Nie rozumiesz nawet, o co mi chodzi. Chcę się nim trochę pobawić. Spróbuj tylko wyobrazić sobie nastrój takiej gry! ten człowiek z kartami w ręku — co za krwawa ironia! Cieszę się z tego zawczasu. Tak, każę mu przegrywać pieniądze, zamiast zmusić go do oddania ich. Ty, naturalnie, zastrzelilibyś go od razu, ale ja będę się rozkoszował tym wyrafinowanym szyderstwem. To człowiek z najlepszego towarzystwa. Ludzie, którzy wyszczuli mnie z mojej sfery, bardzo byli do niego podobni. Jaki wściekły będzie i jaki upokorzony! Przeżyję z pewnością rozkoszne chwile, obserwując go przy grze.

— A jeżeli stanie dęba? Ta zabawa może mu się nie spodobać.

— Życzę sobie, abyś był przy tym obecny — zauważył pan Jones spokojnie.

— Jeśli mi pan tylko pozwoli dźgnąć go albo rozpruć mu brzuch, kiedy uznam za stosowne, to i owszem, niech pan używa. Nie będę panu przeszkadzał.

VII

W tym właśnie punkcie rozmowy Heyst przeszkodził panu Jonesowi i jego sekretarzowi; przyszedł ostrzec ich przed Wangiem, jak o tym Lenie opowiedział. Kiedy ich opuścił, spojrzeli jeden na drugiego w milczącym zdumieniu. Pan Jones odezwał się pierwszy:

— Marcinie!

— Słucham pana.

— Co to ma znaczyć?

— Jakiś podstęp. Niech mnie diabli wezmą, jeżeli wiem, o co chodzi!

— To nie na twój rozum? — zapytał sucho pan Jones.

— Nic innego, tylko piekielna jego bezczelność — warknął sekretarz. — Pan nie wierzy przecież w tę bajkę o Chińczyku? To nieprawda.

⁷²wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Nie tylko prawda ma dla nas znaczenie. Chodzi o to, dlaczego przyszedł opowiedzieć nam tę bajkę?

— Czy pan myśli, że chciał nas przestraszyć? — spytał Ricardo.

Pan Jones spojrzał nań spode łba w zamyśleniu.

— Ten człowiek wyglądał na zgryzionego — mruknął jakby do siebie. — A jeśli Chińczyk rzeczywiście go okradł? Ten człowiek wyglądał na bardzo zgryzionego.

— To są wszystko podstępny, proszę pana — oświadczył poważnie Ricardo, gdyż przypuszczenie szefa psuło mu szyki i tym samym nie nadawało się do podtrzymania. — Czyżby on mógł tak dalece wtajemniczyć Chińczyka w swoje sprawy, aby umożliwić mu kradzież? — dowodził gorąco. — O czym jak o czym, ale przecież o tym interesie trzymałby język za zębami. Tam wchodzi w grę co innego. Ale co?

— Ha, ha, ha! — rozległ się upiorny, zgrzytliwy śmiech pana Jonesa. — Nie byłem jeszcze nigdy w takiej śmiesznej sytuacji — ciągnął grobowym, jednostajnym głosem. — To ty, Marcinie, wciągnąłeś mnie w to wszystko. Ale i moja w tym wina. Powinienem być — tylko że doprawdy zanadto byłem znudzony, żeby pomyśleć nad tym rozsądnie. A twojemu sądowi wierzyć nie można. Jesteś raptus!

Z ust Ricarda wydarło się przekleństwo pełne żalu. Szef mu nie wierzył! Nazywa go raptusem! Był prawie bliski płaczu.

— Proszę ja pana, odkąd wyleli nas z Manili, słyszałem jak pan mówił więcej niż ze dwadzieścia razy, że trzeba nam dużo forsy, żeby obrobić wschodnie wybrzeże. Ciągłe mi pan powtarzał, że na początek musimy grubo przegrać, aby wciągnąć jak się patrzy wszystkich tych urzędników i obwiesiów portugalskich. Przecież pan wciąż się martwił, skąd by wygrzebać porządną kawał grosza! Dużo by nam pomogło kwaszenie się w tym zgniłym mieście holenderskim i gra po dwa pensy z przekłętymi dziadowskimi urzędnikami z banku i tym podobną hołotą. No więc sprowadziłem pana tutaj, gdzie można dobrać się do gotówki — i to grubej — dodał przez zaciśnięte zęby.

Zapadło milczenie. Każdy z nich patrzył w inny kąt pokoju. Nagle pan Jones tupnął lekko i skierował się ku drzwiom. Ricardo dopędził go na dworze.

— Niech pan się oprze na moim ramieniu — poprosił łagodnie, lecz stanowczo. — Nie trzeba zdradzać naszej gry. Chory człowiek może wyjść sobie na dwór po zachodzie słońca, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. O tak, doskonale. Ale dokąd pan chce iść? I dlaczego pan wyszedł?

Pan Jones zatrzymał się.

— Doprawdy, że sam nie wiem — wyznał głuchym szeptem, patrząc z natężeniem w stronę willi Numeru Pierwszego. — To nie ma żadnego sensu — oświadczył jeszcze ciszej.

— Wróćmy lepiej, proszę pana — zaproponował Ricardo. — Ale cóż to znowu? Te zasłony nie były przedtem spuszczone. Założę się, że ta chytra, przebiegła, knująca bestia szpieguje nas spoza nich.

— Czemu byśmy nie mieli tam pójść i przekonać się, co w trawie piszczy? — rzekł pan Jones niespodzianie. — Będzie musiał się z nami rozmówić.

Ricardo opanował się i nie drgnął z przerażenia, lecz przez chwilę nie mógł dobyć głosu. Tylko instynktownie przycisnął do boku rękę szefa.

— Nie, proszę pana. I cóż by pan mógł mu powiedzieć? Chce pan dogrzebać się prawdy w jego kłamstwach? Jakże pan go zmusi do gadania? Jeszcze nie czas dobierać mu się do skóry. Chyba pan nie myśli, że będę się ociągał z robotą? Chińczyka zastrzeleń naturalnie jak psa, gdy go tylko spostrzegę, ale co się tyczy tego przekłętego Heysta, godzina jego jeszcze nie wybiła. W tej chwili jestem rozsądniejszy od pana. Wracajmy do domu. Przecież jesteśmy tu wystawieni na niebezpieczeństwo. Gdyby tak przyszło mu do głowy strzelić do nas! To przecież nieobliczalny, fałszywy tchórz!

Pan Jones dał sobie przemówić do rozsądku i wrócił do pokoju. Sekretarz pozostał jednak na werandzie — rzekomo aby zobaczyć, czy Chińczyk gdzie się nie kręci; w tym wypadku postanowił posłać mu kulę z daleka, nie dbając o skutki. W gruncie rzeczy zaś został na werandzie, bo chciał być sam, poza polem widzenia zapadłych oczu szefa. Poczul sentymentalną potrzebę zatopienia się w samotnych marzeniach. Tęgo ranka zaszła wielka zmiana w panu Ricardo. Ta cała strona jego istoty, którą trzymał w uśpieniu z przezorności, z musu, a także i przez posłuszeństwo, zbudziła się teraz, przeobrażając

jego myśli i wytrącając go z równowagi perspektywą tak oszalamiających skutków, jak na przykład możliwość starcia z szefem. Ukazanie się potwornego Pedra z nowinami wyrwało Ricarda z rozmarzenia, przeplatane gozłąciami grozzącymi powikłań. Kobieta? Otóż to właśnie, jest na wyspie kobieta; i to zmienia zasadniczo sytuację. Odprawiwszy Pedra, stał zatopiony w myślach, śledząc białe hełmy Heysta i Leny, które znikły niebawem w zaroślach.

— Dokądże oni tak wędrują? — pytał się siebie.

Odpowiedź nasunięta przez niezmierny wysiłek myśli brzmiała: aby się spotkać z Chińczykiem. Ricardo nie wierzył bowiem w dezercję Wanga. To była kłamliwa bajka, potrzebna im do niebezpiecznego spisku. Heyst obmyślił widać jakąś nową taktykę. Ale Ricardo był pewien, że ma sprzymierzeńca w dziewczynie — w tej dziewczynie pełnej odwagi, rozsądku i sprytu — sprzymierzeńca tego samego, co i on, pokroju!

Wrócił prędko do willi. Pan Jones siedział znów w głowach łóżka, skrzyżowawszy nogi i oparłszy się plecami o ścianę.

— Coś nowego?

— Nic, proszę pana.

Ricardo krążył po pokoju jak gdyby nie miał żadnych trosk i zaczął podśpiewywać urywki jakichś melodii. Usłyszawszy to, pan Jones podniósł złośliwe brwi. Sekretarz ukląkł przed starą skórzaną walizką, pogrzebał w niej i wydobył małe lustro. Zaczął przypatrywać się swojej fizjonomii⁷³ w milczącym skupieniu.

— Chyba się ogolę — zdecydował, wstając.

Rzucił ukośne spojrzenie na pana Jonesa; powtórzyło się to kilka razy podczas golenia, które nie trwało długo. Skończywszy tę operację, Ricardo wciąż jeszcze spoglądał ukradkiem na szefa, spacerując po pokoju i nucąc urywki nieznanymi jakichś melodii. Pan Jones siedział zupełnie nieruchomo; zacisnął cienie wargi, oczy zasłzyły mu mgłą. Twarz jego wyglądała jak rzeźba.

— Więc pan chce spróbować szczęścia w grze z tym tchórzem? — rzekł Ricardo, zatrzymując się nagle i zacierając ręce.

Pan Jones nie zdradzał żadnym znakiem, że go słyszy.

— No i dlaczegoż by nie? Można sobie urządzić ten eksperyment. Pamiętaj pan, w tym meksykańskim mieście — jak to się ono nazywało? — tego bandytę, którego schwytali w górach i skazali na rozstrzelanie? Grał w karty przez pół nocy z klucznikiem i szeryfem. Przecież ten człowiek jest także skazańcem. Niechże dostarczy panu trochę rozrywki. Do diabła, wielki pan musi się trochę od czasu do czasu zabawić! Pan był wprost nadzwyczajnie cierpliwy.

— A ty zrobiłeś się nagle nadzwyczajnie lekkomyślny — zauważył pan Jones znużonym głosem. — Co ci się stało?

Sekretarz nucił jeszcze chwilę, po czym rzekł:

— Spróbuję ściągnąć go tu do pana na wieczór, po obiedzie. Gdyby mnie nie było, niech pan sobie z tego nic nie robi. Puszczę się trochę na przespiegi — rozumie pan?

— Rozumiem — zadrwił omdlewającym głosem pan Jones. — Ale cóż ty się spodziewasz po nocy zobaczyć?

Ricardo nic nie odpowiedział i, pokręciwszy się jeszcze trochę po pokoju, wymknął się wreszcie. Nie czuł się już dobrze sam na sam z szefem.

VIII

Tymczasem Heyst i Lena, idąc dość prędko, zbliżyli się do chaty Wanga. Heyst poprosił Lenę, aby poczekała i wspiął się po bambusowej drabinie prowadzącej do drzwi. Zastał wszystko tak, jak się spodziewał. Zadymione wnętrze było puste, została tylko wielka skrzynia z sandałowego drzewa, za ciężka, aby ją można było prędko usunąć. Wieko było odrzucone, a zawartość znikła. Cała chudoba⁷⁴ Wanga została zabrana. Nie zatrzymując się dłużej w chacie, Heyst wrócił do Leny, która zdawała się w dziwny sposób wszystko wiedzieć czy rozumieć i o nic nie zapytała.

— Idźmy dalej — rzekł.

⁷³fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

⁷⁴chudoba (daw.) — dobytek. [przypis edytorski]

Szedł naprzód ścieżką, którą zwykle chodzili, a szelest jej białej sukni sunął za nim w cieniach lasu. Choć ciężkie powietrze było zupełnie nieruchome wśród prostych, nagich pni, plamy słońca błdziły po ziemi. Podniósłszy oczy, Lena zobaczyła wysoko nad głową trzepoczące się liście i lekkie drżenie konarów wyciągniętych poziomo w cierpliwym zneruchomieniu. Heyst obejrzał się na nią dwa razy. Odpowiadała na jego spojrzenia pogodnym uśmiechem, za którym kryła się zapamiętała, skupiona namiętność, palająca nadzieją pełniejszego zaspokojenia. Minęli miejsce, gdzie skręcali zwykle, wspinając się na nagi szczyt środkowego wzgórza. Heyst zmierzał wciąż ku górnemu skrajowi lasu. Z chwilą, gdy wyszli spod osłony drzew, ogarnął ich lekki powiew, i wielka chmura, dopędzając słońce, powlokła dziwnie ponurym cieniem wszystko dokoła. Heyst wskazał Lenie stromą, nierówną ścieżkę biegnącą po zboczu wzgórza. Przecinała ją barykada z drzew, prymitywna przeszkoda, której wzniesienie w tym miejscu musiało kosztować wiele trudu.

— Oto zaporą rzucona na drogę cywilizacji — objaśnił Heyst swym uprzejmym tonem. — Tym biedakom z tamtej strony wzgórz nie podobał się postęp, gdy zjawiał się u nich w postaci mego towarzystwa — choć miał to być wielki krok naprzód, jak twierdzili niektórzy z wiarą, która ich zawiodła. Postęp zawrócił z tej drogi, lecz barykada pozostała.

Wspinali się powoli. Chmura wędrowała dalej, zostawiając za sobą jeszcze więcej blasku na obliczu świata.

— Ta barykada jest bardzo śmieszna — ciągnął Heyst — ale powstała przecież jako wynik szczerego lęku — lęku przed nieznanym i niepojętym. Można powiedzieć, że jest w pewien sposób tragiczna. I pragnąłbym z całego serca, Leno, żebyśmy się znaleźli po tamtej stronie.

— Stój, stój! — krzyknęła nagle, chwytając go za ramię.

Na barykadzie, do której się zbliżali, leżał stos świeżo ściętych gałęzi. Liście na nich były jeszcze zielone; łagodny wietrzyk spłynął znad barykady i poruszył je lekko. Lena dojrzała wśród listowia kilka włóczni sterczących z gąszczu i to ją tak przeraziło. Spostrzegła je nagle. Choć nie błyszczały, widziała je z niezmierną wyrazistością, nieruchome, i złowrogie.

— Musisz mnie teraz puścić samego, Leno — rzekł Heyst.

Trzymała go uparcie za ramię, ale Heyst zdołał się po chwili uwolnić, nie przestając z uśmiechem patrzeć jej w oczy.

— To jest raczej symbol niż akcja przeciw nam — usiłował ją przekonać. — Poczekaј tu chwilę. Obiecuję ci, że nie podejść tak blisko, aby mnie mogli osiągnąć.

Jak w koszmarze patrzyła za Heystem, wspinającym się w górę jak gdyby nigdy się nie miał zatrzymać; i usłyszała jego głos, podobny do głosów słyszanych we śnie, krzyczących nieznaną słowami nieziemskim jakimś tonem. Heyst żądał widzenia się z Wangiem. Nie czekał długo. Ochłonawszy nieco z trwogi, Lena zauważyła poruszenie w zielonym gąszczu barykady. Odetchnęła z ulgą, gdy włócznie cofnęły się w głąb i znikły z widoku — te ohydne włócznie! Naprzeciw miejsca, gdzie stał Heyst, para żółtych rąk rozchyliła liście i w niewielkim otworze ukazała się twarz z bardzo wyraźnymi oczami. Była to twarz Wanga, ale zdawało się, że nie jest złączona z korpusem; wyglądała jak te maski z tektury, wiszące w oknie pewnego ciemnego sklepu na Kingsland Road, którym Lena przyglądała się nieraz w dzieciństwie; właścicielem tego sklepu był mały, tajemniczy człowieczek. Tylko że ta twarz miała zamiast dziur mrugające oczy. Lena widziała dokładnie, jak powieki się ruszały. Po obu stronach twarzy ręce rozsuwające gałęzie zdawały się również nie należeć do prawdziwego ciała. Jedna z tych rąk trzymała rewolwer — broń, którą Lena poznała tylko przez intuicję, gdyż nigdy przedtem nie widziała takiego przedmiotu.

Wsparła się plecami o prostopadłą ścianę zbocza i nie spuszczała oczu z Heysta; uspokoiła się trochę ponieważ włócznie już mu nie zagrażały. Zza jego sztywnych i nieruchomych pleców widziała nierealną, tekturową twarz Wanga, która poruszała cienkimi wargami i wykrzykiwała się nienaturalnie. Lena była za daleko od nich, aby słyszeć rozmowę prowadzoną zwykłym głosem. Czekala cierpliwie na jej koniec. Czuła plecami ciepło skały; od czasu do czasu powiew chłodniejszego powietrza zdawał się spływać z góry na jej głowę; u jej stóp wąwóz pełen po brzegi roślinności rozbrzmiewał nikłym, sennym szumem owadziego życia. Spokój panował dokoła. Lena nie zauważyła chwili, w której

Postęp

twarz Wanga znikła z pomiędzy liści, zabierając z sobą nierzeczywiste ręce. Spostrzegła ze zgrozą, że ostrza włócznie wysuwają się z wolna z powrotem. Włosy powstały jej na głowie, ale nim zdążyła krzyknąć, Heyst, który wyglądał jak wrośnięty w ziemię, odwrócił się nagle i zaczął iść ku niej. Wielkie jego wąsy niezupełnie zasłaniały uśmiech przykry i niepewny; a gdy zbliżył się do niej na odległość ramienia, wybuchnął ostrym śmiechem:

— Ha, ha, ha!

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Nagle przestał się śmiać i rzekł krótko:

— Wracajmy, skąd przyszliśmy.

Weszła za nim w las. Wieczór się zbliżał i las nappełnił się już mrokiem. W oddali ukośny snop promieni między drzewami zamykał widok. Zresztą wszędzie panowała ciemność. Heyst zatrzymał się.

— Nie mamy powodu się spieszyć, Leno — rzekł zwykłym swym tonem pełnym pogody i uprzejmości. — Nie powiodło się nam. Przypuszczam, że wiesz, a przynajmniej domyślasz się, w jakim celu tam poszliśmy?

— Nie wiem, drogi mój — rzekła i uśmiechnęła się, spostrzegając ze wzruszeniem, że piersi jego falują, jakby tchu nie mógł złapać. Panował jednak nad głosem, robiąc tylko krótkie pauzy między słowami.

— Nie wiesz? Chciałem zobaczyć się z Wangiem. Chciałem — tu znów zabrakło mu oddechu, ale już po raz ostatni. — Wziąłem cię z sobą, bo nie mogłem zostawić ciebie bez opieki w pobliżu tych ludzi. — Nagle zerwał z głowy korkowy hełm i cisnął go o ziemię. — Nie! — krzyknął gwałtownie. — Wszystko to razem zanadto jest potworne. To wprost nie do zniesienia! Nie mogę ciebie obronić. Nie mam na to sposobu.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem pośpieszył podnieść kapelusz, który potoczył się był dość daleko. Wrócił i spojrzał jej w twarz; była bardzo blada.

— Powinienem przeprosić cię za ten wybryk — rzekł, wkładając z powrotem kapelusz. — Taki napad dziecinnej porywczowości! I doprawdy, czuję się po prostu jak dziecko — w swojej głupocie, w swojej bezsilności, w swoim niedołęstwie — we wszystkim — tylko nie w strasznej świadomości zła, które wisi nad twoją głową — nad tobą!

— Oni na ciebie czyhają — szepnęła.

— Oczywiście; ale niestety...

— Niestety co?

— Niestety, nie powiodło mi się z Wangiem — rzekł. — Nie potrafiłem wzruszyć serca tego syna niebieskiej krainy — o ile serce posiada. Oświadczył mi ze strasznym chińskim rozsądkiem, że nie może puścić nas przez barykadę, ponieważ będziemy ścigani. Wang nie lubi bójek. Dał mi do zrozumienia, że zastrzeli mnie raczej własnym moim rewolwerem bez najmniejszego skrupułu, byle tylko nie narazić się z mego powodu na niesmaczną i brutalną walkę z obcymi barbarzyńcami. Wygłosił mowę do krajowców, którzy go szanują. Jest najznakomitszym ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek widzieli i spowinowaconym z nimi przez małżeństwo. Rozumieją jego politykę. Zresztą tylko kobiety, dzieci i paru starców zostało we wsi. O tej porze roku mężczyźni żeglują daleko stąd na statkach handlowych. Ale gdyby nawet byli w domu, nie zmieniliby to położenia. Żaden z nich nie ma zamiłowania do walki — i to jeszcze z białymi! To są spokojni, dobroduszni ludzie i bardzo by się ucieszyli, gdyby mnie zabito. Wang musiał uznać mój upór — bo wiedz o tym, że się upierał — za bardzo głupi i nietaktowny. Ale tonący słomki się chwyta. Mówiliśmy obaj po malajsku — tak jak umiemy.

— „Twoje obawy są głupie” — powiedziałem.

— „Głupie? Naturalnie, że jestem głupi. Gdybym był mądry, byłbym kupcem i miałbym wielki sklep w Singapurze, zamiast być z początku górnikiem, a potem lokajem. Ale jeśli pan nie odejdzie, zastrzelę pana zanim się ściemni, póki mogę jeszcze wziąć pana na cel. Ani chwili wcześniej, Numerze Pierwszy; lecz gdy zaczniesz się ściemniać, zrobię to z całą pewnością. A teraz dość tego!”

— „Doskonale” — odrzekłem. — „Dość, jeśli chodzi o mnie. Ale przecież nie możesz mieć nic przeciwko temu, aby *mem putih*⁷⁵ przyszła do was na kilka dni zamieszkać z kobietami Orang Kaya. Ofiaruję mu za to dar ze srebra”. Orang Kaya to naczelnik tej wsi Leno — dodał Heyst.

⁷⁵*mem putih* (malaj.) — biała pani. [przypis edytorski]

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Chciałeś, abym poszła do tych dzikich? szepnęła. — Chciałeś, abym cię opuściła?

— Miałbym wówczas rozwiązane ręce.

Heyst wyciągnął ręce i popatrzył na nie przez chwilę, po czym opuścił je znowu. Oburzenie Leny zarysowało się wyraźniej w wygięciu jej ust niż w jasnych, nieugiętych oczach.

— Zdaje mi się, że Wang roześmiał się wówczas — ciągnął Heyst. — Zabulgotał jak indor.

— „To byłoby najgorsze ze wszystkiego” — rzekł.

— Zdumiałem się. Dowodziłem mu, że mówi głupstwa. Twoja obecność nie może mieć żadnego związku z jego bezpieczeństwem, ponieważ źli ludzie — jak ich nazywa — nie wiedzą o twoim istnieniu. Nie skłamałem właściwie, Leno, choć naciągnąłem prawdę aż do ostateczności; ale ten człowiek ma jakiś niesamowity węch. Potrząsnął głową. Zapewnił mnie, że wiedzą o tobie doskonale. Wykrzywił się przy tym w okropny sposób.

— To wszystko jedno — rzekła Lena. — Nie chcę... nie byłabym i tak poszła.

Heyst podniósł na nią oczy.

— Cóż za nadzwyczajna intuicja w tym Chińczyku! Gdy nalegałem w dalszym ciągu na Wang, powiedział mi o tobie właśnie to samo. Kiedy się uśmiecha, wygląda jak zarozumiała trupia czaszka. To była ostatnia jego uwaga — że ty nie będziesz chciała. Wówczas odszedłem.

Oparła się o drzewo. Heyst stał naprzeciw niej w pozie równie niedbalej, jakby ich nic nie obchodziło ani czas, ani żadne sprawy tego świata. Wysoko nad ich głowami liściasty dach zaszeleścił nagle i umilkł.

— Cóż to za dziwny pomysł żeby mnie wysłać! — rzekła. — Wysłać mnie! I po cóż? No, po cóż?

— Wyglądasz na oburzoną — zauważył niedbale.

— I to jeszcze do tych dzikusów — mówiła dalej. — I ty myślisz, że byłabym się zgodziła? Możesz uczynić ze mną, co ci się podoba — ale nie to. Nie to!

Heyst patrzył w ciemne nawy lasu. Tak wielki spokój panował dokoła, że nawet ziemia pod ich nogami zdawała się w mroku ziać ciszą.

— Dlaczego się oburzasz? — tłumaczył. — Przecież do tego nie doszło. Przestałem namawiać Wang. I znaleźliśmy się tutaj, odepchnięci. Nie tylko nie mamy siły, aby odeprzeć zło, ale niezdolni jesteśmy do zawarcia umowy z szacownymi posłami, nadzwyczajnymi wysłaniami świata, z którym — zdawało się — skończyliśmy na długi czas. Żle z nami, Leno, bardzo źle!

— To dziwne — rzekła w zamyśleniu. — Żle? Tak, zdaje mi się, że jest źle. Ale nie wiem tego na pewno. A ty — co ty myślisz? Mówisz, jakbyś w to nie wierzył.

Spojrzała na niego poważnie.

— Doprawdy? Otóż to właśnie! Nie umiem rozmawiać. Oddaliłem się od wszystkiego przez analizowanie. Rzekłem ziemi, która mnie nosiła: „Ja jestem ja, a ty jesteś cieniem”. I tak jest — zaiste! Ale widać nie można bezkarnie takich słów wymawiać. Oto mieszkam na cieniu zaludnionym przez cienie. Jak bezradnym jest człowiek wobec cieni! Jakże je zastraszyć, przekonać, oprzeć się im albo przeciwstawić? Straciłem wszelką wiarę w rzeczywistość... Daj mi rękę, Leno.

Patrzyła na niego w zdumieniu, nie rozumiejąc.

— Daj rękę — krzyknął.

Uśluchała; pochwycił ją z chciwością, aby podnieść do ust, lecz nagle puścił ją znowu. Patrzyli na siebie czas jakiś.

— Co ci jest, kochany? — szepnęła nieśmiało.

— Ani siły, ani przekonania — mruknął do siebie ze znużeniem. — Jakże mam zabrać się do tej czarująco prostej zagadki?

— Tak mi ciężko — szepnęła.

— I mnie także — wyznał szybko. — A najdotkliwszą stroną tego upokorzenia jest jego absolutna bezużyteczność, którą czuję — ach, jak czuję!

Nigdy jeszcze nie zdradził przed nią tak głębokich uczuć. Bładą jego twarz przekreślały długie wąsy płonące w cieniu. Nagle rzekł:

— Ciekaw jestem, czy miałbym dość odwagi, aby wkraść się między nich nocą z nożem w rękę i poderżnąć im kolejno gardła we śnie! Ciekaw jestem...

Przestraszyła się bardziej jego niezwykle wyrazem twarzy niż tymi słowami i rzekła poważnie:

— Nie staraj się zrobić czegoś podobnego! Nie myśl o tym!

— Nie posiadam nic prócz scyzoryka. A co do myślenia, Leno — niepodobna przewidzieć, o czym się będzie myślało. Nie ja myślę. Myśli we mnie ktoś zupełnie mi obcy. Co ci jest?

Zauważył jej rozchylone usta i dziwne spojrzenie oczu, które spoglądały poza niego.

— Ktoś idzie za nami. Widziałam, że tam rusza się coś białego — krzyknęła.

Heyst nie odwrócił głowy; spojrzał tylko na wyciągniętą jej rękę.

— Widocznie ktoś nas ściga; pilnują nas.

— Teraz nic już nie widzę — rzekła.

— To nie ma znaczenia — ciągnął Heyst zwykłym swym głosem. — Otośmy tu się znaleźli. Nie jestem ani silny, ani wymowny. Ale doprawdy, niezmiernie trudno być wymownym wobec głowy Chińczyka wystającej ze stosu gałęzi. Nie możemy jednak wędrować bez końca wśród tych drzew. Czyż to jest schronienie? Nie! Cóż nam pozostaje? Myślałem przez chwilę o kopalni; ale i tam nie moglibyśmy długo pozostać. Przy tym galeria w kopalni nie jest pewna. Słupy, na których się wspiera, od razu były słabe. A od tego czasu pracowały nad nimi mrówki — już po ludziach. W najlepszym razie mogłaby to być śmiertelna pułapka. Umiera się tylko raz, ale różne są rodzaje śmierci.

Lena spojrzała w koło lękliwie, szukając owej postaci, która mignęła między drzewami — kogoś, kto ich śledził czy pilnował; ale jeśli ten ktoś w ogóle istniał, ukrył się teraz. Oczy jej zobaczyły tylko cienie pogłębiające się w krótkich perspektywach lasu między żywymi kolumnami, na których spoczywał nieruchomy dach z liści. Spojrzała wyczekująco na mężczyznę u swego boku, z czułością, z tajonym strachem i z czymś w rodzaju lękliwego podziwu.

— Przychodziła mi także na myśl łódź tych ludzi — ciągnął Heyst. — Moglibyśmy dostać ją w ręce, i wówczas... tylko że ogołocili ją ze wszystkiego. Widziałem wiosła i maszty u nich w kącie pokoju. Popłynąć w pustej łodzi to czyn rozpaczliwy, nawet jeśli przypuścić, że prąd uniesie łódź daleko od wyspy, nim się rozwidni. Byłoby to tylko wymyślne samobójstwo — znaleziono by nas w łodzi martwych, zabitych przez słońce i pragnienie. Tajemnica morza! Ciekaw jestem, kto by nas znalazł. Może Davidson; ale Davidson popłynął na wschód przed dziesięciu dniami. Widziałem go z pomostu, gdy przepływał raz wczesnym rankiem.

— Nie mówiłeś mi o tym — rzekła.

— Pewno patrzył na mnie przez swoją wielką lunetę. Może gdybym był podniósł rękę — ale na cóż był nam wtedy potrzebny, tobie i mnie? Nie będzie wtedy wracał wcześniej niż za trzy tygodnie — albo i jeszcze później. Żałuję, że nie podniosłem ręki tamtego rana.

— I cóż by było z tego przyszło? — westchnęła.

— Co by było przyszło? Pewno że nic. Nie mieliśmy żadnych przeczuć. Ta wyspa wydawała się niezdołanym schronieniem, gdzie mogliśmy żyć w niezamąconym spokoju i uczyć się poznawać siebie nawzajem.

— A może w przeciwnościach ludzie uczą się siebie poznawać — poddała.

— Może — rzekł obojętnie. — W każdym razie nie bylibyśmy wtedy z nim odjechali, choć jestem pewien, że stawiliby się z całą skwapliwością, gotów do wszelkich możliwych usług. Taką już ten grubas ma naturę — to cudowny człowiek. Nie chciałaś przyjść wtedy na pomost, gdy odsyłałem przez niego szal Schombergowej. Nigdy ciebie nie widział.

— Nie przypuszczałam, że chcesz, aby ktokolwiek mnie widział — odrzekła.

Skrzyżował ramiona na piersiach i zwiesił głowę.

— A ja znów nie wiedziałem, czy chcesz, aby cię widziano. Po prostu nieporozumienie — zaszczytne dla nas obojga. Ale teraz już wszystko jedno.

Zamknął i po chwili podniósł głowę.

— Jaki ten las zrobił się ponury! Choć z pewnością słońce jeszcze nie zaszło.

Rozejrzała się; i jakby jej oczy dopiero teraz się otworzyły, spostrzegła że cienie lasu otaczają ich nie tyle mrokiem, co złą, niemą, groźną wrogością. Serce jej zapadło w ciszę;

Myśl

Samobójstwo

poczuła bliskość śmierci, która owionęła ich oboje swym tchnieniem. Gdyby rozległ się w tej chwili szelest liści, trzask suchej gałęzi lub jakiś szmer najłabszy, byłaby głośno krzyknęła. Ale przezwyciężyła i tę niegodną słabość. Choć jest tylko wędrowną skrzypaczką, uratowaną na progu nieuniknionej hańby, potrafi wzniesć się ponad samą siebie, tryumfująca i pokorna; a wówczas szczęście buchnie na nią jak potok, rzucając jej do stóp ukochanego człowieka.

Heyst poruszył się z lekka.

— Wracajmy już, Leno; niepodobna siedzieć całą noc w lesie. Jesteśmy niewolnikami piekielnej niespodzianki, która na nas spadła — a może nazwać to losem? Twoim lub moim!

Mężczyzna przerwał milczenie, lecz kobieta pierwsza ruszyła naprzód. Na skraju lasu przystanąła, ukryta za drzewem.

— Co takiego? Czy widzisz coś, Leno? — szepnął.

Odrzekła, że przyszła jej do głowy pewna myśl; tu zawahała się chwilę, błysnąwszy ku niemu przez ramię promiennymi, siwymi oczami. Chciałaby wiedzieć, czy te przeciwności, to niebezpieczeństwo, to zło — czy jak to nazwać — nie są karą, która dosięgła ich w ich schronieniu.

— Karą? — powtórzył Heyst. Nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. Kiedy mu wytłumaczyła, zdziwił się jeszcze bardziej. — Zemsta ze strony niebios? — rzekł zdumiony. — Na nas? I za cóż, wielki Boże?

Spostrzegł że blada jej twarz pociemniała w mroku. Zaczerniała się. Zaczęła szeptać bardzo prędko. Chodzi jej o związek, w jakim żyją — to przecież nie jest dobrze, prawda? To jest grzeszne życie. Bo przecież nikt jej do tego nie zmusił, nie znaglił przemocą ani strachem. Nie! przyszła do niego z własnej woli; cała jej dusza rwała się ku niemu w grzesznej tęsknocie.

Tak głęboko był wzruszony, że nie mógł przez chwilę mówić. Aby ukryć zmieszanie, przybrał najżartobliwszy swój ton.

— Jak to? Więc ci nasi goście to mają być posłowie moralności, sprawiedliwi mściciele, wysłańcy Boga? To zaiste oryginalny punkt widzenia. Jak by im to pochlebiło, gdyby mogli cię słyszeć!

— Żartujesz ze mnie — rzekła stłumionym głosem, który się nagle załamał.

— Czy poczuwasz się do grzechu? — spytał Heyst poważnie. Nic na to nie odpowiedziała. — Bo ja nie — dodał; — przysięgam na Boga, że się nie poczuwam.

— Ty to co innego. Kusicielką jest kobieta. Wziąłeś mnie z litości. Rzuciłam ci się na szyję.

— Przesadzasz, moja droga, przesadzasz. Nie było znów tak źle — rzekł żartobliwie, panując z wysiłkiem nad głosem.

Uważał się już za martwego człowieka, ale starał się udawać, że żyje, ze względu na Lenę, aby móc jej bronić. Żałował, że nie ma dla niego niebios, pod których opiekę mógłby oddać tę piękną, drgającą życiem garść prochu i popiołów — ciepłą, wrażliwą, jego własną — i bezbronną wobec obelg, napaści, poniżenia i bezgranicznej nędzy ciała.

Odwrociła głowę w milczeniu. Chwycił nagle jej biernie zwisającą rękę.

— Chcesz, aby to było grzechem? — rzekł. — Chcesz tego? Więc miejmy nadzieję, że jest nad nami miłosierdzie.

Potrząsnęła głową, nie patrząc na niego, jak zawstydzone dziecko.

— Pamiętaj — ciągnął dalej ze swą niepoprawną, subtelną ironią — że nadzieja jest cnotą chrześcijańską i że nie możesz zagarnąć dla siebie wszystkiego miłosierdzia.

Domek po drugiej stronie polanki stał przed nimi skąpany w posępnym świetle. Nieoczekiwany, chłodny poryw wiatru zaszumiał w szczytach drzew. Wyrwała rękę z jego dłoni i weszła na polankę, ale nie uszedłszy i trzech kroków stanęła, wskazując na zachód.

— Ach, popatrz tylko! — wykrzyknęła.

Za przylądkiem Zatoki Diamentów, rysującym się czarno na fioletowym morzu, piętrzyły się wielkie zwały chmur skąpane w krwawej mgle. Szkarłatna rozpadlina, podobna do otwartej rany, przecinała je zygzakiem; z jej dna wyglądał płat ciemnoczerwonego słońca. Heyst rzucił obojętne spojrzenie na złowieszczy chaos nieba.

— Nadciąga burza. Będziemy ją słyszeli całą noc, ale prawdopodobnie nas nie dosięgnie. Chmury gromadzą się zwykle naokoło wulkanu.

Grzech

Kobieta

Ateizm

Nie słuchała go. W jej oczach odbijały się posępne i jaskrawe barwy zachodu
— To nie wygląda wcale na znak przebaczenia — rzekła z wolna jakby do siebie.
Pośpieszyła naprzód; Heyst szedł za nią. Nagle zatrzymała się.
— Wszystko mi jedno. Zrobiłabym jeszcze więcej! I przyjdzie dzień, kiedy mi przebacysz. Będiesz mi musiał przebaczyć!

IX

Lena wstępowała na schodki chwiejnym krokiem, jakby ją nagle ogarnęło wyczerpanie; weszła do pokoju i padła na najbliższe krzesło. Heyst zatrzymał się na werandzie i rozejrzał wokoło. Nie było widać nikogo. W tak dobrze znanym mu krajobrazie nic nie wskazywało że samotność ich — jego i Leny — nie była już tak zupełna jak w pierwszych czasach wspólnego życia na tej odludnej wyspie, gdy towarzyszył im tylko Wang materializujący się dyskretnie od czasu do czasu i wspomnienia o Morrisonie.

Po chłodnym podmuchu wiatru nastąpiła głucha cisza. Za niskim przyłądkiem, czarnym jak atrament, wisiała ciągle brzemienista gromem masa chmur, czyniąc zmierzch jeszcze mroczniejszym. Niebo w zenicie wydawało się przez kontrast niezmiernie jasne i przejrzyste; mieniło się jak delikatna bańka ze szkła, którą mogłoby strzaskać najłżejsze drgnienie powietrza. Nieco na lewo, między czarnymi bryłami przyłądka i lasu, wulkan — niby pióropusz dymu w dzień a rozżarzony koniec cygara w nocy — odetchnął płomiennie pierwszy raz tego wieczoru. Czerwona gwiazda ukazała się nad nim, jak iskra wyrzucona z ognistego łona ziemi i zakłęta w nieruchomość przez tajemniczy czar lodowatych przestworów.

Naprzeciw Heysta las, już zupełnie ciemny, stał jak mur. Heyst przyglądał mu się przez chwilę, obserwując szczególnie kraniec lasu łączący się z linią krzaków, które zasłaniały początek pomostu. Od chwili gdy Lena zobaczyła coś białego między drzewami, Heyst był prawie pewien, że sekretarz Jonesa śledził ich podczas wycieczki na przełęcz. Teraz przekonał się zapewne, że wrócili do domu, i o ile nie miał ochoty iść kawał z powrotem i obejść polankę dużym kręgiem, musiał wyjść na otwartą przestrzeń między domami. I rzeczywiście wydało się Heystowi, że coś miga wśród drzew, ale była to tylko chwila. Patrzył cierpliwie, lecz nie zobaczył nic więcej. Zresztą po co się zajmować postępowaniem tych ludzi? Po co troszczyć się o początek tej całej historii, skoro wiedział, że gdy koniec nadejdzie, zastanie go bezbronnym i pełnym wstrętu wobec ohydy i poniżenia, które płynęły z tego wszystkiego.

Odwrócił się i wszedł do pokoju. Panował tam głęboki zmierzch. Lena siedziała bez ruchu blisko drzwi, milcząc. Na stole obrus bielił się natrętnie. Potwór oswojony przez tych dwóch włóczęgów objął swoje obowiązki podczas nieobecności Heysta i Leny. Stół był nakryty. Heyst przeszedł się kilka razy po pokoju. Lena siedziała na krześle bez ruchu i bez słowa, lecz gdy Heyst postawił na stole dwa srebrne kandelabry i potarł zapalnik, aby zapalić świecę, wstała nagle i poszła do swego pokoju. Wróciła prawie natychmiast, zdjawszy kapelusz. Heyst spojrzał na nią przez ramię.

— Po co odsuwać zło, które nadejść musi? Zapaliłem te świece na znak, że jesteśmy już w domu. Zresztą może i nie byliśmy śledzeni podczas powrotu. Widzieli nas, naturalnie, gdyśmy wychodzili.

Lena siadła z powrotem. Wspaniałe jej włosy robiły wrażenie bardzo ciemnych nad pobladłą twarzą. Podniosła oczy jaśniejące łagodnie w świetle świec jakimś nieodgadnionym błaganiem i dziwnym wyrazem ślepej naiwności.

— Tak — rzekł Heyst znad stołu, oparłszy końce palców o niepokalany obrus. — Istota o przedpotopowej szczęce — kudłata jak mastodont i zbudowana jak przedhistoryczna małpa — nakryła do stołu. Czy ty śniesz, Leno? Czy ja śnię? Chciałbym się uszczypnąć, ale wiem, że nic tego snu nie usunie. Trzy nakrycia. Wiesz, to ten niższy osobnik ma przyjść — pan, który ruchami bark podczas chodu i budową twarzy przypomina jaguara. Ach, ty nie wiesz, co to jaguar? Przecież przypatrzyłaś się dokładnie tym dwóm ludziom. Więc, uważasz, to ten niższy ma być naszym gościem.

Skinęła głową na znak, że rozumie. Nacisk słów Heysta postawił jej Ricarda jak żywego przed oczy. Nagła niemoc, niby fizyczne echo walki z tym człowiekiem, odjęła władzę

jej członkom. Leżała bez ruchu w fotelu, przerażona tym objawem — gotowa modlić się głośno o siły.

Heyst zaczął chodzić po pokoju.

— Nasz gość! Jest przysłowie — zdaje mi się, że rosyjskie — gość w dom, Bóg w dom. O święta cnota gościnności! Ale to ściąga na człowieka kłopoty — tak jak i każda inna cnota.

Lena wstała niespodziewanie i przegięła w tył smukłe ciało, podnosząc nad głowę ramiona. Zatrzymał się i popatrzył na nią ciekawie, milcząc, po czym mówił dalej:

— Śmiem twierdzić, że Bóg nie ma nic wspólnego z taką gościnnością i z takimi gośćmi!

Lena zerwała się, aby walczyć z obezwładnieniem, aby przekonać się, czy ciało będzie jej posłuszne. I tak się stało. Mogła stać na nogach i ruszać swobodnie ramionami. Choć nie знаła się na fizjologii, doszła do przekonania, że źródło tego bezwładu jest w jej głowie, nie w członkach. Uspokoiła się, dziękując za to Bogu i szepnęła do Heysta:

— Jakże! Bóg wie o wszystkim — o najdrobniejszej rzeczy. Nic się nie może stać —

— Tak — przerwał pośpiesznie — bez wiadomości Boga włos z głowy człowiekowi nie spadnie — to masz pewnie na myśli. — Zwyczajny, żartobliwy uśmiech pełen życzliwości znikł z jego ust pod marsowymi wąsami. — Widzę, że pamiętasz, co ci mówiono w niedzielnej szkółce, gdy byłeś jeszcze dzieckiem.

— Tak, pamiętam dobrze. — Opadła znów na krzesło. — To były jedyne dobre chwile w moim dzieciństwie; wiesz, chodziłyśmy wtedy do szkółki razem z dwiema córkami naszej gospodyni.

— Chciałbym wiedzieć, Leno — rzekł Heyst, wracając do tonu uprzejmej żartobliwości — czy jesteś tylko małym dzieckiem, czy też czymś równie dawnym jak świat.

Odrzekła sennie ku zdumieniu Heysta:

— A ty?

— Ja? pochodzę z czasów późniejszych — znacznie późniejszych. Nie mogę nazwać siebie dzieckiem, ale jestem czymś tak nowym, że mógłbym siebie określić jako człowieka ostatniej godziny — a może przedostatniej? Tak długo byłem poza wszystkim, że nie jestem pewien, jak daleko wskazówki zegara posunęły się odkąd... odkąd —

Spojrzał na portret wiszący tuż nad głową Leny — portret ojca, który zdawał się ignorować jej obecność z surowym wyrazem twarzy uwiecznionym przez malarza. Heyst nie dokończył zdania; ale po chwili ciągnął dalej:

— Trzeba starannie unikać błędnych wniosków, moja droga — szczególnie zaś teraz.

— Znowu ze mnie żartujesz — rzekła, nie patrząc na niego.

— Jak to — zawołał — ja żartuję? Ależ nie, ja cię przestrzegam. Do diabła z tym wszystkim! Chciałbym — ciągnął zmienionym tonem, biorąc ze stołu nóż i upuszczając go pogardliwie — chciałbym, żeby te przekłete, okrągłe noże były porządnie zastrzone. To są rupiecie do niczego — nie mają ani porządných ostrzy, ani końców. Zdaje mi się, że taki widelec byłby w razie czego lepszą bronią. Ale czy mogę chodzić z widelcem w kieszeni? — Zgrzytnął zębami z wściekłością bardzo prawdziwą, a jednak komiczną.

— Był tutaj nóż kuchenny, ale złamał się i dawno już go wyrzucono. Niewiele tu mamy do krajania. Byłaby to zaiste broń szlachetna; tylko że —

Zatrzymał się. Lena siedziała bardzo spokojnie ze spuszczoneymi oczami. Ponieważ milczał wciąż, spojrzała na niego i rzekła w zamyśleniu:

— Otóż to właśnie, nóż... Nóż byłby ci potrzebny w razie gdyby... gdyby —

Wzruszył ramionami.

— Tam w szopach musi być jeszcze lewar albo i dwa; ale oddałem im wszystkie klucze. A przy tym — czy sobie mnie wyobrażasz spacerującego z lewarem w ręku? Ha, ha! Ten budujący widok mógłby sam przez się ściągnąć na nas napad. Nie rozumiem, dlaczego nas jeszcze nie napadli?

— Może boją się ciebie — szepnęła, spuszczać oczy.

— Na Jowisza, tak właśnie wygląda — potwierdził w zamyśleniu. — Wahają się z jakiegoś powodu, przez ostrożność, albo po prostu przez bojaźń — a może chcą działać rozważnie, bez ryzyka?

Cnota

Broń

Wśród czarnej nocy rozległ się niedaleko od domu głośny i przeciągły gwizd. Ręce Leny chwyciły za poręcz fotelu, ale nie ruszyła się z miejsca. Heyst drgnął i odwrócił się twarzą od wejścia.

Przeraźliwy dźwięk ucichł.

— Gwizdy, wrzaski, szmery, sygnały, złowróżbne znaki — wszystko to nie ma żadnego znaczenia — rzekł Heyst. — A co się tyczy tego lewara — przypuśćmy, że go trzymam w ręku. Czy mógłbym przyciąć się za drzwiami — za tymi drzwiami — zmiażdżyć wysuwającą się zza nich głowę, rozpryskując krew i mózg po podłodze, po ścianach, a potem pobiec ukradkiem do tamtych drzwi i zrobić to samo — i jeszcze raz może powtórzyć tę scenę? Czyżbym mógł to zrobić? Na podstawie domysłu, bez litości, ze spokojem i stanowczością? Nie, nie jestem do tego zdolny. Przyszedłem na świat za późno. Czy chcesz, żebym to zrobił, póki trwa jeszcze mój tajemniczy urok, czy też niemniej tajemnicze ich wahanie?

— Nie, nie chcę! — krzyknęła gorąco, jakby zmuszona do odezwania się przez jego oczy wpatrzone w jej twarz. — Nie! Potrzebujesz noża, abyś mógł się obronić... jeszcze czas na to.

— I kto wie, czy to nie jest moim obowiązkiem? — zaczął znów, jakby nie słysząc wcale jej słów bez związku. — Może właśnie to jest moim obowiązkiem względem ciebie, względem siebie samego. Bo dlaczego pozwalać, aby mnie poniżali ukrytymi groźbami? Czy wiesz, co by świat na to powiedział?

Wybuchnął głuchym śmiechem, który ją przeraził. Byłaby wstała z krzesła, ale pochylił się nad nią tak nisko, że nie mogła się poruszyć, nie odepchnąwszy go przedtem.

— Powiedziałby, moja Leno, że ja — ten Szwed — wyprawivszy przebiegle — przez chciwość — swego współnika i przyjaciela na tamten świat, zamordowałem ze strachu Bogu ducha winnych nieznanym rozbitków. Oto historia, którą wszyscy szeptaliby sobie na ucho albo głośno rozpowiadali — którą rozpowszechniano by z pewnością — i w którą by wierzono, moja droga!

— Któż by mógł wierzyć w takie okropności?

— Ty może nie — a w każdym razie nie od razu; ale siła potwarzy wzrasta z czasem. Potwarz jest chytra i przemyślna. Potrafi nawet zniszczyć wiarę w samego siebie — przegryźć duszę.

Oczy Leny skoczyły nagle do drzwi i utkwily w nich, z lekka rozszerzone i skamieniałe. Odwróciwszy głowę, Heyst ujrzał we drzwiach postać Ricarda.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło; wreszcie Heyst, powiódłszy wzrokiem od przybysza do siedzącej na krześle Leny, przedstawił ironicznie:

— Pozwól, moja droga: pan Ricardo.

Opuściła z lekka głowę. Ricardo podniósł rękę do wąsów. Głos jego wybuchnął z siłą w pokoju:

— Uniżony sługa pani!

Wszedł, zdejmując kapelusz szerokim gestem, i rzucił go niedbale na krzesło przy drzwiach.

— Uniżony sługa — powtórzył zupełnie innym tonem. — Nasz Pedro uprzedził mnie o obecności pani; nie wiedziałem, że będę miał zaszczyt zobaczyć panią dziś wieczorem.

Lena i Heyst obserwowali go ukradkiem, ale Ricardo unikał wzroku obojga i zdawał się ścigać zamglonym wzrokiem jakiś punkt w przestrzeni.

— Przyjemny spacer mieli państwo? — zapytał nagle.

— Tak. A pan? — odparł Heyst, który zdołał wzrok pochwycić.

— Ja? Nie odszedłem ani na krok od szefa przez całe popołudnie aż do tej chwili. — Szczerść jego akcentu zaskoczyła Heysta, ale nie przekonała go o prawdzie tych słów. — A dlaczego pan pyta? — ciągnął Ricardo tonem szczerzej naiwności.

— Mógł pan wybrać się na zwiedzenie wyspy — rzekł Heyst, obserwując sekretarza, który — należy mu to przyznać — nie starał się uchylać swego wzroku. — Pozwolę sobie panu przypomnieć, że taka wycieczka nie byłaby bezpieczna.

Ricardo wyglądał jak wcielenie naiwności.

— Aha! Pan ma na myśli tego Chińczyka, który uciekł od pana. To głupstwo!

— On ma rewolwer — zauważył Heyst z naciskiem.

— Przecież i pan ma także rewolwer — odparł nieoczekiwanie pan Ricardo. — Ale ja sobie tym głowy nie zawracam.

— Ja? To zupełnie co innego. Ja się pana nie boję — odrzekł Heyst po krótkim milczeniu.

— Mnie się pan nie boi?

— Żadnego z was.

— Pan ma dziwny sposób stawiania kwestii — zaczął Ricardo.

W tej chwili drzwi od podwórza otwarły się dość hałaśliwie i wszedł Pedro, przyciskając do piersi brzeg naładowanej tacy. Wielki jego, włochoaty łeb chwiał się trochę a nogi stukwały mocno o podłogę. Wejście Pedra wpłynęło zapewne na bieg myśli Ricarda, w każdym zaś razie na jego słowa.

— Słyszeliście państwo, jak gwizdnąłem przed chwilą na dworze? To był znak dla niego, że czas już podać obiad; i oto jest.

Lena wstała z krzesła i przesunęła się z prawej strony Ricarda, który spuścił oczy na chwilę. Zasiedli do stołu. Plecy Pedra, olbrzymie jak u goryla, wytoczyły się z powrotem przeze drzwi.

— Strasznie silna bestia, proszę pani — rzekł Ricardo, który miał skłonność do mówienia o „swoim Pedrze” jak o ulubionym psie. — Ale ładny to nie jest. Nie, nie jest ładny. I trzeba go krótko trzymać. Jestem jego wychowawcą, że się tak wyrażę. Szef nie troszczy się o takie drobnostki. Wszystko to jest na głowie Marcina. Marcin to ja, proszę pani.

Heyst zobaczył, że oczy Leny zwróciły się ku sekretarzowi Jonesa i spoczęły bez wyrazu na jego twarzy. Lecz Ricardo patrzył gdzieś w przestrzeń i z lekkimi przebłyskami uśmiechu na wargach podtrzymywał niestrudzenie rozmowę, wbrew milczeniu swych interlokutorów. Rozwodził się z dumą nad swoją dawną spółką z panem Jonesem, trwającą już przeszło cztery lata. Potem dodał, rzuciwszy okiem na Heysta:

— Od razu można poznać, że to prawdziwy pan, prawda?

— Wy wszyscy — rzekł Heyst z posępnym odcieniem w swym zwykłym, żartobliwym tonie — nie macie w moich oczach nic wspólnego z rzeczywistością.

Ricardo przyjął słowa Heysta w taki sposób, jakby się ich właśnie spodziewał, albo jakby mu było wszystko jedno co Heyst odpowie. Bawiąc się kawałkiem suchara, mruknął w roztargnieniu: „aha”, po czym westchnął i rzekł ze szczególnym spojrzeniem, które zdawało się nie sięgać w przestrzeń, tylko zatrzymywać się w powietrzu bardzo blisko jego twarzy:

— Widać od razu, że *pan* jest prawdziwym panem. Pan i mój szef powinniście się nawzajem zrozumieć. Szef oczekuje pana dziś wieczorem. Nie czuje się dobrze i trzeba nam już myśleć o wyjeździe.

Mówiąc te słowa, zwrócił się całym ciałem ku Lenie, lecz bez specjalnego wyrazu. Młoda kobieta oparła się o poręcz krzesła, skrzyżowawszy ramiona i patrzyła przed siebie, jakby była sama jedna w pokoju. Ale pod tym pozorem prawie bezmyślnej obojętności serce jej paliło od niebezpieczeństw i wzruszeń, które wdarły się w jej życie i rozkołysały jej duszę poczuciem niepojętej intensywności istnienia.

— Doprawdy? Myślicie panowie o wyjeździe? — mruknął Heyst.

— Nawet i najlepsi przyjaciele muszą się rozstawać — wyrzekł z wolna Ricardo. — I wszystko w porządku, jeśli rozstają się po przyjacielsku. My obaj jesteśmy przyzwyczajeni do podróżowania. A pan lubi siedzieć na miejscu.

Widać było wyraźnie, że mówi to wszystko byle mówić i że uwagę jego pochłania jakiś cel nie mający związku z wymawianymi słowami.

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Heyst z szyderczą uprzejmością — skąd pan może o mnie coś wiedzieć? — O ile pamiętam, nie zwierzałem się panu.

Ricardo, siedząc w głębi krzesła, patrzył w przestrzeń — od jakiegoś czasu wszyscy troje przestali udawać, że jedzą — i odrzekł z roztargnieniem:

— Przecież każdy to widzi. — Wyprostował się nagle i odsłonił wszystkie zęby w uśmiechu pełnym niezwykłego okrucieństwa, któremu zaprzeczała uprzejmość jego tonu. — O, mój szef to jest człowiek, który powie panu coś na ten temat. Chciałbym, żeby pan się zdecydował pójść do szefa. On odrabia za nas obu wszystkie gadania. Zapro-

wadzę pana do niego dziś wieczorem. Szef nie czuje się dobrze i nie może się zdecydować na wyjazd, póki z panem nie pomówi.

Heyst podniósł wzrok i spotkał się z oczami Leny. Miał wrażenie, że za niewinnym ich wyrazem kryje się usilna chęć podszeptnięcia mu czegoś. Wydało mu się, że skinęła nieznacznie głową, potakując. Dlaczego? Jaki w tym mogła mieć cel? Czy to był podszept niejasnego instynktu? A może po prostu złudzenie jego zmysłów? Ale wśród szczególnych komplikacji, które wdarły się do jego życia, wobec zwątpienia, pogardy i niemal rozpacz, z jakimi się do siebie odnosił, gotów był poddać się nawet złudnym pozorom, byle wywiodły go z ciemności tak nieprzeniknionych, że zaczynała go już ogarniać obojętność.

— Więc — powiedzmy, że się zgadzam.

Ricardo nie skrywał zadowolenia, które zainteresowało Heysta przez chwilę.

— Nie chodzi im chyba o moje życie — pomyślał. — Cóż by im z niego przyszło.

Spojrzał przez stół ku Lenie. Wszystko jedno, czy skinęła głową czy nie. Jak zwykle gdy patrzył w jej nieświadome oczy, ogarnęła go tkliwa litość. Postanowił, że pójdzie do Jonesa. Jej skinienie — złudne czy rzeczywiste — czy było wskazówką czy też wytworem wyobraźni — przeważało szalę. Przyszło mu na myśl, że w propozycji Ricarda nie kryła się prawdopodobnie żadna zasadzka. Byłoby to zanadto niemądre. Po co zwabiać podstępnie w pułapkę człowieka, który ma po prostu związane ręce i nogi?

Przez cały ten czas wzrok Heysta tkwił w młodej kobiecie zwanej przez niego Leną. Była równie nieodgadniona jak zwykle w spokojnej swej bierności, która nie opuszczała jej ani na chwilę, odkąd zamieszkali razem na wyspie. Heyst wstał nagle z krzesła z uśmiechem tak zagadkowym i rozpaczliwym, że pan sekretarz Ricardo — którego oderwany wzrok chwycił wszystko, co się działo wokół — drgnął i pochylił się z lekka, jakby chciał dać nurka pod stół po swą broń; opanował się jednak natychmiast. Zdawało mu się przez chwilę, że Heyst skoczy na niego albo wyciągnie rewolwer, gdyż wytworzył sobie o Heystcie pojęcie na własny obraz i podobieństwo. Zamiast jednak uczynić jedną z tych dwóch rzeczy, Heyst przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i wysunął przez nie głowę, wyglądając na podwórze.

Zaledwie się odwrócił, Ricardo odnalazł pod stołem rękę Leny. Nie patrzył w jej stronę, lecz młoda kobieta poczuła dłoń szukającą nerwowo jej dłoni i nagły chwyt palców nad przegubem. Pochylił się nieco naprzód ale nie śmiał na nią spojrzeć. Baczny jego wzrok tkwił ciągle w plecach Heysta. Niezmiernie cichym, pogardliwym sykiem wypowiedział jako argument myśl, która opanowała go całkowicie:

— Widzi pani, on jest do niczego! Nie takiego trzeba pani człowieka!

Spojrzał na nią nareszcie. Wargi jej poruszyły się z lekka; złąkł się tego niemego ruchu. W następnej chwili usunęły się palce trzymające rękę Leny mocnym chwytem. Heyst zamknął drzwi. Idąc ku stołowi, minął się z kobietą, którą nazywano Alną — nie wiedziała dlaczego — a także i Magdaleną; z kobietą, która tak długo nie mogła odgadnąć, po co właściwie istnieje. Nie zastanawiała się już teraz nad tą gorzką zagadką, którą rozwiązało jej serce, przeniknięte osłepiającym, rozgorzałym żarem namiętnego postanowienia.

X

Lena przeszła obok Heysta jakby oblepiona dosłownie jakimś tajemniczym, posępnym i niszczącym blaskiem, w który się miała pogrążyć. Kotara w drzwiach sypialni opadła za nią sztywnymi fałdami. Bezmyślny wzrok Ricarda zdawał się śledzić muchę płasającą przed nim w powietrzu.

— Prawda jak ciemno na dworze? — mruknął.

— Jednak dość jasno, abym mógł widzieć, jak ten pański człowiek tam się kręci — rzekł Heyst powściągliwym tonem.

— Niby Pedro? Z trudem można go nazwać człowiekiem; gdyby nie to, nie lubiłbym go tak, jak go lubię.

— Bardzo pięknie. Więc nazwijmy go pańskim szacownym współnikiem.

— Aha! Szacowny to on jest — sprawia się dobrze. W bójce można mieć z Piotra wielką pociechę. Jak nie warknie, jak się nie rzuci z zębami — o rety! Więc pan nie życzy sobie, żeby się tu kręcił?

Imię

— Nie życzę sobie.

— Chce pan, żeby stąd poszedł? — dopytywał Ricardo z przesadną naiwnością, którą Heyst przyjmował spokojnie; ale powietrze w pokoju wydawało się cięższe z każdym wymówionym słowem.

— Właśnie. Chcę, żeby stąd poszedł. — Heyst zmuszał się do spokojnego tonu.

— E, to nic wielkiego. Możemy się obejść bez Pedra. Interes mojego szefa da się załatwić w ciągu dziesięciu minut rozmowy z... z drugim prawdziwym Panem. Przez spokojną rozmowę!

Podniósł nagle złe, fosforyzujące oczy. Twarz Heysta ani drgnęła. Ricardo powinszował sobie, że nie wziął rewolweru. Taki był rozjątrzony, że nie wiedział, na co mógłby się ważyć. Rzekł wreszcie:

— Więc pan chce, aby biedny, niewinny Piotr poszedł sobie precz, nim zaprowadzę pana do szefa — o to panu chodzi?

— Tak, właśnie o to.

— Hm! Widać od razu, że pan jest prawdziwym panem — ciągnął Ricardo z ukrytym jadem — ale wszystkie te pańskie fanaberie mogłyby stanąć kością w gardle zwykłemu człowiekowi. Zresztą — niech tam. Wybacz pan...

Wsadził palce do ust i wydał gwizd, który ugodził w bębenek Heysta jak cienka, ostra strzała powietrza. Ricardo ucieszył się bardzo z mimowolnego grymasu Szweda i czekał w niewzruszonym spokoju na skutek swego wezwania.

Pedro wpadł z gwałtownym, nieokrzesanym, pierwotnym impetem. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i ukazała się w nich dzika postać, gotowa rzucić się i w kilku skokach spustoszyć cały pokój; ale Ricardo podniósł otwartą dłoń i potwór wszedł spokojnie. Olbrzymie jego, na wpół otwarte łapy kołysały się przed pochylonym torsem. Ricardo spojrzał na niego z wściekłością.

— Marsz do łodzi — zrozumiane? Natychmiast!

Małe, czerwone oczki oswojonego potwora mrugały z wytężoną uwagą w gąszczu kudłów.

— No? Czemu nie idziesz? Zapomniałeś ludzkiej mowy, co? Nie wiesz co znaczy łódź?

— Si, łódź — wybełkotał niepewnie potwór.

— No więc ruszaj tam — do łodzi u pomostu. Marsz! Siedź tam, albo leż, albo rób co ci się podoba byleś nie zasnął — póki nie usłyszysz, że cię wzywam; wtedy biegnij tutaj. Rozkaz! Precz! wynos się — *vamos!* Nie, nie tędy — przez frontowe drzwi. Bez fochów!

Pedro usłuchał z niezgrabnym pośpiechem. Gdy wyszedł, błysk bezlitosnej dzikości zagaśł w żółtych oczach Ricarda i fizjognomia jego przybrała — pierwszy raz tego wieczoru — wyraz domowego kota, który czuje że się nim zajmują.

— Jeśli pan chce, może pan sprawdzić, czy nie idzie prosto w stronę krzaków. Za ciemno, co? Więc może pan pójdzie z nim aż do łodzi.

Heyst uczynił niewyraźny ruch przeczący.

— Nie wątpię, że pójdzie do łodzi; ale skąd pewność, że tam zostanie? Na to nie ma żadnej gwarancji.

— Tę cię czekał! — Ricardo wzruszył ramionami z filozoficznym spokojem. — Nic na to nie poradzę. Nikt nie może zaręczyć, że nasz Pedro zostanie w jakimś miejscu dłużej niż mu się będzie chciało, chyba że mu się w łeb palnie; ale mówię panu: on ma święty respekt przede mną. Przybieram zawsze taką wściekłą minę, kiedy do niego mówię. A jednak nie chciałbym go za nic zastrzelić, broń Boże! — chyba w takim napadzie wściekłości, kiedy człowiek strzela do ulubionego psa. Niechże pan słucha. To jasne jak na dłoni. Nie dałem mu przecież żadnego znaku, żeby zrobił co innego. Nie ruszy się z pomostu. No więc pójdzie pan teraz?

Nastąpiło krótkie milczenie. Szczęki Ricarda ruszały się złowrogo pod skórą. Jego senne, okrutne oczy błędziły z lubością po pokoju. Heyst pohamował nagły ruch, zastanowił się chwilę i powiedział:

— Musi pan trochę poczekać.

— Poczekać trochę! Poczekać! Za co on ma człowieka — za drewnianą figurę? — mruknął półgłosem Ricardo.

Znalazłszy się w sypialni, Heyst zamknął z trzaskiem drzwi za sobą. Ponieważ wyszedł z oświetlonego pokoju, nie mógł z początku nic zobaczyć, doznał jednak wrażenia, że

Lena wstaje z podłogi. Na jaśniejszym nieco tle otwartego okna głowa jej zarysowała się nagle bardzo niewyraźnie — jako nieuchwytna sylwetka ciemna i okrągła, bez twarzy.

— Leno, ja już idę. Idę zmierzyć się z tymi łajdakami. — Zdziwił się, czując dwoje ramion opadających mu na barki. — Myślałem, że ty...

— Tak, tak! — szepnęła pośpiesznie.

Nie przytuliła się do niego, ani też nie usiłowała przyciągnąć go do siebie. Ręce jej leżały na barkach Heysta; zdawało mu się, że Lena patrzy w ciemności w jego twarz. Zaczął teraz rozróżniać i jej twarz — owal bez żadnych rysów — i zobaczył wreszcie ją całą: czarną postać o nieokreślonych konturach.

— Ty masz czarną suknię, prawda, Leno? — zapytał prędko i tak cicho, że ledwie go mogła usłyszeć.

— Tak; stary galgan.

— To dobrze. Włóż ją zaraz.

— Ależ dlaczego?

— Nie dla żałoby! — W jego z lekka ironicznym głosie zabrzmiał ton nie znoszący sprzeciwu. — Czy możesz ją wyszukać i ubrać się po ciemku?

Odpowiedziała że tak; postara się to zrobić. Czekał nieruchomo. Wyobrażał sobie jej ruchy w odległym końcu pokoju; ale oczy jego, choć przyzwyczajone teraz do mroku, przestały zupełnie ją widzieć. Gdy zaczęła mówić, zdziwił się, słysząc jej głos tak blisko. Wypełniła jego rozkaz i zbliżyła się niewidzialna.

— Dobrze. Gdzie jest ten fioletowy woal, który tu gdzieś widziałem? — zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi, tylko lekki szelest.

— Gdzież ten woal? — powtórzył niecierpliwie.

Poczuł nagle na policzku jej oddech.

— Mam go w ręku.

— Doskonale! Słuchaj, Leno. W chwili, gdy wyjdę z domu z tym łotrem, wymkniesz się przez tylne drzwi — natychmiast, nie tracąc ani chwili! — i pobiegniesz prosto do lasu. Moment naszego odejścia to jedyna okazja do ucieczki; jestem pewien, że ten człowiek nie wymknie mi się po drodze. Leć do lasu i ukryj się za zasłoną z zarośli między wielkimi drzewami. Potrafisz z pewnością umieścić się naprzeciw frontowych drzwi. Boję się o ciebie; ale nikt tam ciebie nie znajdzie przed świtem — w tej czarnej sukni i z twarzą zasloniętą ciemnym woalem. Czekaj w lesie, póki nie wysunę stołu na wprost drzwi, i póki nie zobaczysz, że gaszę trzy świece i zapalam jedną z powrotem; albo gdyby światła pogasły nim wrócę, czekaj aż zapalę trzy świece, a później dwie z nich zgaszę. Gdy zobaczysz jeden z tych dwóch sygnałów, leć z powrotem ze wszystkich sił, bo to będzie znaczyło że czekam tu na ciebie.

Kiedy to mówił, Lena wyszukała i pochwyciła jego rękę. Nie ścisnęła jej; trzymała ją lekko, jakby nieśmiało, pieszczotliwie. To nie był uścisk, to było tylko nawiązanie kontaktu, jak gdyby się chciała upewnić, że on jest przy niej i że jest czymś realnym, nie tylko ciemniejszą plamą wśród mroku. Ciepło jej ręki udzieliło Heystowi dziwnego, poufnego odczucia jej całej istoty. Musiał pokonać wzruszenie, którego nigdy dotąd nie zaznał, a które omal że nie pozbawiło go odwagi. Ciągnął dalej, szepcząc poważnie:

— Ale jeśli tych sygnałów nie zobaczysz, niechaj ciebie nic nie znęci z powrotem do tego domu — trwoga, ciekawość, rozpacz czy nadzieja; — z pierwszym błyskiem świtu przekradnij się skrajem polanki, póki nie trafisz na ścieżkę. Nie czekaj dłużej, bo prawdopodobnie nie będę żył już wtedy.

Szept słowa: „Nigdy!” wpłynął mu do ucha, jakby ukształtował się sam w powietrzu.

— Znasz dobrze tę ścieżkę — ciągnął dalej. — Dojdź aż do barykady. Idź do Wanga — tak, do Wanga. Niech ciebie nic nie zatrzyma.

Wydało mu się, że ręka Leny drgnęła z lekka.

— Najgorsze, co cię może spotkać, to śmierć; ale on nie strzeli do ciebie. Nie, nie strzeli, jeśli mnie tam nie będzie. Zostań z krajowcami, z tymi dzikimi ludźmi, i nie bój się niczego. Będziesz budził w nich większy strach niż oni w tobie. Davidson powinien prędko się zjawić. Wyglądaj wciąż przejeżdżającego parowca. Obmyśl, jakim sygnałem go przywołasz.

Nie odpowiadała mu wcale. Zdawało się, że ponure milczenie ciężące nad światem

Milczenie

przeniknęło z zewnątrz i wypełniło pokój — gnębiący bezmiar milczenia bez światła i bez powietrza. Rzekłbyś, że serce serc bić przestało i że kres przyszedł na wszystko.

— Zrozumiałaś? Masz wybiec w tej chwili z domu szepnął Heyst z naciskiem.

Podniosła jego rękę do ust i puściła zaraz. Zaniepokoił się.

— Leno! — zawołał szeptem.

Już jej przy nim nie było. Nie śmiał sobie ufać — nie odważył się nawet wyszeptać tkliwego słowa.

Zwracając się ku drzwiom, posłyszał głuchy jakiś łoskot gdzieś w domu. Aby otworzyć drzwi, musiał podnieść kotarę, przy czym spojrzał poza siebie. Światło, sączące się cienkimi strugami przez dziurkę od klucza i jedną czy dwie szpary, pozwoliło mu dostrzec wyraźnie Lenę całą w czerni, klęczącą przy łóżku i wspartą o nie głową i ramionami — w rozpaczliwej postawie pokutującej grzesznicy. Cóż to mogło oznaczać? Heystowi mignęło podejrzenie, że dzieje się naokoło niego wiele rzeczy, których nie jest w stanie zrozumieć. Ramię Leny oderwało się od łóżka, dając mu znak, aby odszedł. Usłuchał pełen niepokoju.

Kotara spuszczone za nim jeszcze nie przestała się kołysać, gdy Lena zerwała się i przypadła do drzwi, nasłuchując dźwięków i słów w pochylonej, tragicznej postawie pełnej skupionej uwagi, z ręką przyciśniętą do piersi — jakby chciała stłumić bicie serca.

Heyst zastał sekretarza pana Jonesa w kontemplacji przed zamkniętym biurkiem. Można było przypuszczać, że Ricardo rozmyśla, jak by się do niego włamać, ale odwrócił się nagle z twarzą tak zmienioną, iż Heyst stanął w zdumieniu na widok wywróconych białek oczu, które mrugały w okropny sposób; zdawało się, że Ricardo cierpi na jakieś kurcze.

— Myślałem, że pan już nie przyjdzie — mruknął przez zęby.

— Nie wiedziałem, że panu się śpieszy. Nawet gdyby wasz wyjazd zależał od tej rozmowy — jak pan mówi — wątpię, abyście się zdecydowali puścić się na morze w taką noc jak dzisiejsza — rzekł Heyst, ruchem ręki wskazując Ricardowi drogę.

Sekretarz opuścił pokój natychmiast, wyginając biodra i barki kocimi ruchami. W głuchej nocnej ciszy było coś okrutnego. Wielka chmura zasłaniająca pół nieba wisiała tuż nad ziemią, jak olbrzymia kurtyna kryjąca przygotowania do groźnego napadu. Gdy obaj mężczyźni zeszli z werandy, rozległ się za chmurą łoskot poprzedzony przez szybki, tajemniczy błysk światła na wodach zatoki.

— Oho! — rzekł Ricardo. — Zaczyna się.

— To się może jeszcze skończyć na niczym — zauważył Heyst, idąc spokojnie na przód.

— Nie! Niech przyjdzie burza! — rzekł z pasją Ricardo. — W to mi graj!

Gdy zbliżali się do drugiego domku, oddalony, głuchy grzmot warczał bez ustanku a blade błyskawice, jedna za drugą, przelewały się przez wyspę falami zimnego ognia. Ricardo rzucił się nagle naprzód, wbiegł po schodach i wetknął głowę przez drzwi.

— Mam go tu, proszę pana! Niech go pan trzyma tak długo, jak tylko się da — póki pan nie usłyszy mego gwizdu. Jestem na tropie.

Rzucił te słowa na pokój z niesłychaną szybkością i usunął się na bok, aby przepuścić gościa, ale musiał czekać dość długą chwilę, ponieważ Heyst, zrozumiałwszy o co mu chodzi, zwolnił pogardliwie kroku. Gdy Heyst wchodził do pokoju, zwykły jego, heystowski uśmiech igrał pod marsowymi wąsami.

XI

Dwie świece paliły się na wysokim pulpicie. Pan Jones, otulony szczelnie w stary lecz wspaniały szlafrok z niebieskiego jedwabiu, stał z łokciami przyciśniętymi do boków, zanurzwszy ręce w niesłychanie głębokich kieszeniach. Ten kostium uwydatniał jego chudość. Pan Jones przypominał pomalowaną tykę, opartą o róg pulpitu, z zatkniętą na końcu wyschlą głową o wątpliwej dystynkcji. Ricardo ociągał się jeszcze we drzwiach. Stał, obojętny na pozór na wszystko, i czekał stosownej chwili. W pewnym momencie, między dwoma migotami błyskawic, znikł z framugi — rozplynął się w ciemnościach. Pan Jones zauważył natychmiast jego zniknięcie i porzucając swą pozę niedbałą i nieruchomą, zrobił kilka kroków obliczonych na to by znaleźć się między Heystem a drzwiami.

— Okropnie duszno — zauważył.

Heyst, stojąc w środku pokoju, postanowił mówić otwarcie.

— Nie przyszedłem tu, aby rozmawiać o pogodzie. Pan zaszczylił mnie poprzednio dość zagadkowym zdaniem. „Jestem tym, który jest” — tak pan powiedział. Co to ma znaczyć?

Pan Jones, nie patrząc na Heysta, posuwał się wciąż z udanym⁷⁶ roztargnieniem, aż wreszcie, znalazłszy się tam, gdzie chciał, huknął o ścianę plecami blisko drzwi i podniósł głowę. Był podniecony tą rozstrzygającą chwilą; wybladła jego twarz błyszczała od potu. Krople zbiegały mu po zapadłych policzkach, prawie oślepiając upiorne oczy w kościstych jamach.

— To znaczy że jestem osobistością, z którą trzeba się liczyć. Nie — stać! Niech pan nie kładzie ręki do kieszeni — bardzo proszę!

Głos jego stał się nagle wściekły i przeraźliwy. Heyst drgnął; nastąpiła chwila naprężonego milczenia, podczas której głęboki bas grzmotu warczał w oddali, a framuga drzwi na prawo od Jonesa migotała niebieskawym światłem. Wreszcie Heyst wzruszył ramionami; spojrzał nawet na swoją rękę. Jednak nie włożył jej do kieszeni. Pan Jones, przylepiony do ściany, patrzył jak Heyst podnosi obie ręce ku końcom swych poziomych wąsów i wyczytał pytanie w spokojnych oczach gościa.

— To przez ostrożność — rzekł pan Jones zwykłym swym, głuchym tonem, ze śmiertelnym spokojem na twarzy. — Człowiek prowadzący tak swobodne życie jak pan zapewne to zrozumie. Wprawdzie jest pan osobą, o której dużo się mówi, panie Heyst, lecz o ile zrozumiałem, przyzwyczaił się pan używać delikatniejszej broni, a mianowicie inteligencji; nie mogę jednak narażać się na skutki zastosowania przez pana metody... hm... bardziej brutalnej. Za mało jestem bezwzględny, aby sprostać panu w walce na inteligencję; ale zapewniam pana, panie Heyst, że w tej drugiej metodzie pan mi nie dorówna. Trzymam pana na celu — już od chwili, kiedy pan wszedł do pokoju. Tak; celuję w pana z kieszeni.

Podczas tej rozmowy Heyst spojrzał spokojnie przez ramię, zrobił krok w tył i usiadł w nogach połowego łóżka. Oparłszy się łokciem o kolano, objął dłońią policzek i zdawał się obmyślać, co powie. Pan Jones, oparty o ścianę, czekał najwidoczniej, aby Heyst zaczął mówić. Wobec jego milczenia postanowił sam się odezwać; ale namyślał się jeszcze. Bo choć uważał, że najtrudniejszy krok już jest zrobiony, należało jednak posuwać się naprzód z niezmierną ostrożnością, aby ten człowiek — według określenia Ricarda — nie „stanął dęba”, co byłoby w najwyższym stopniu niedogodne. Powtórzył swoje poprzednie oświadczenie:

— Jestem człowiekiem, z którym trzeba się liczyć.

Tamten patrzył wciąż w podłogę, jakby był sam w pokoju. Nastąpiła pauza.

— Więc pan słyszał o mnie? — rzekł wreszcie Heyst, podnosząc oczy.

— Ja myślę! Mieszkaliśmy w hotelu Schomberga.

— Schom — — — Heyst utknął w środku słowa.

— Co panu jest, panie Heyst?

— Nic; mam mdłości — rzekł Heyst z rezygnacją, wracając do poprzedniej pozy wyrażającej obojętność i zadumę. — Co znaczą te pańskie słowa, że trzeba się z panem liczyć? — spytał po chwili tonem jak najspokojniejszym. — Ja pana nie znam.

— Widać od razu, że należymy do tej samej — sfery — zaczął pan Jones z omdlewającą ironią, maskującą czujność wyteżoną do ostatecznych granic. — Coś musiało wyrzucić pana poza nawias — może oryginalność pańskich zapatrywań. A może pańskie upodobania.

Pan Jones pozwolił sobie na okropny swój uśmiech. Jego rysy miały w spokoju ciekawy wyraz złej, znużonej surowości; ale gdy się uśmiechał, twarz jego nabierała czegoś dzieciennego i przykrego. Ponowny, silniejszy jeszcze grzmot wtargnął hałaśliwie do pokoju i zamarł w oddali.

— Jakoś nie bierze pan tego z dobrej strony — rzekł pan Jones, ale pomyślał jednocześnie, że interes rozwija się całkiem pomyślnie. Ten człowiek — rzekł do siebie —

⁷⁶udanym — tu: udawanym. [przypis edytorski]

nie ma odwagi stanąć do walki. Ciągnął głośno dalej: — Jakże to? Przecież pan się nie spodziewa, że wszyscy będą zawsze panu ulegali. Pan jest człowiekiem światowym.

— A pan? — przerwał mu niespodziewanie Heyst. — Jak pan siebie określi?

— Ja, mój panie? W pewnym znaczeniu... tak, w pewnym znaczeniu jestem światem we własnej osobie, który przybył złożyć panu wizytę. W innym znów znaczeniu jestem wygnańcem — prawie wyrzutkiem społeczeństwa. Jeśli zaś pan woli pogląd mniej materialistyczny, jestem czymś w rodzaju losu — odwetem, który czeka na swoją godzinę.

— Pragnąłbym z duszy, aby pan był najpospolitszym łotrem! — rzekł Heyst, podnosząc spokojny wzrok na pana Jonesa. — Można by wówczas z panem wręcz się rozmówić i spodziewać się niejakej ludzkości. A tu tymczasem...

— Nie cierpię gwałtu i wszelkiej dzikości tak jak i pan — oświadczył pan Jones, który opierał się wprawdzie omdlewająco o ścianę, lecz przemawiał silnym głosem. — Może pan zapytać mojego Marcina, czy tak nie jest. Żyjemy, proszę pana, w wieku pełnym łagodności. A przy tym nasz wiek jest pozbawiony przesądów. Słyszałem, że i pan jest od nich wolny. Niech pan się nie zgorszy, jeśli powiem panu wyraźnie, że dybiemy na pańskie pieniądze — czy też ja sam na nie dybię, jeśli pan woli złożyć na mnie całą odpowiedzialność. Pedro, naturalnie, wie o tym tyle, co i każde inne zwierzę. Ricardo zaś należy do gatunku wiernych giermków — zgadza się ze mną bezwzględnie we wszystkich moich myślach, życzeniach, a nawet fantazjach.

Pan Jones wyciągnął z kieszeni lewą rękę, wyjął chustkę z drugiej kieszeni i zaczął obcierać pot z czoła, karku i brody. Był tak podniecony, że widać było, jak oddycha. W długim szlafroku wyglądał na rekonwalescenta, który lekkomyślnie przecenił swoje siły. Heyst — krzepki, o szerokich barach — przypatrywał mu się bardzo spokojnie, siedząc w końcu połowego łóżka z rękami na kolanach.

— Ale prawda — rzekł — gdzież on jest, ten pański giermek? Włamuje się do mego biurka?

— To by było brutalne. Ale cóż, brutalność jest jednym z warunków życia — ton szefa Ricarda był z lekka drwiący. — Możliwe to, ale nieprawdopodobne. Marcin jest trochę brutalny; natomiast pan, panie Heyst, wcale nie jest brutalny. Bogiem a prawdą, nie wiem właściwie, gdzie jest Marcin. W ostatnich czasach był trochę tajemniczy; ale pokładałam w nim całkowite zaufanie. Nie! Niech pan nie wstaje, panie Heyst!

Złowrogość upiornej twarzy pana Jonesa była wręcz nieopisana. Heyst, który poruszył się był z lekka, zdumiał się tym odkryciem.

— Nie miałem zamiaru wstawać — rzekł.

— Proszę uprzejmie, aby pan siedział — nalegał pan Jones omdlewającym głosem, lecz w czarnych jamach jego oczu pojawiły się stanowcze błyski.

— Gdyby pan był lepszym obserwatorem — rzekł Heyst z chłodną pogardą — byłby pan od razu wymiarkował, że nie mam przy sobie żadnej broni.

— Możliwe; ale proszę, niech pan nie rusza rękami. Bardzo im dobrze tam, gdzie są. To dla mnie za gruba afera, abym mógł ryzykować.

— Gruba afera? — powtórzył Heyst ze szczerym zdumieniem. — Mój Boże! Tego, o co wam chodzi, bardzo tu jest mało — i w ogóle nie ma tu nic wartościowego.

— Naturalnie, że pan musi tak mówić — ale my słyszeliśmy zupełnie co innego — odparł natychmiast pan Jones z tak okropnym grymasem, że niepodobna było uważać go za rozmyślny.

Twarz Heysta sposepniała. Zmarszczył brwi.

— Co pan słyszał? — zapytał.

— Mnóstwo rzeczy, proszę pana, mnóstwo rzeczy — oświadczył pan Jones. Usiłował powrócić do swego omdlewającego tonu pełnego wyższości. — Słyszeliśmy na przykład o jakimś Morrisonie, pańskim dawnym wspólniku.

Heyst nie mógł pohamować lekkiego ruchu.

— Aha! — rzekł pan Jones z upiorną radością na twarzy.

Stłumiony grzmot był podobny do echa odległej kanonady odbywającej się gdzieś pod horyzontem, a obaj mężczyźni zdawali się jej przysłuchiwać w posępnym milczeniu.

— Skończy się na tym, że ta diabelska potwarz doprawdy pozbawi mnie życia — pomyślał Heyst.

Potem roześmiał się nagle. Pan Jones przysłuchiwał mu się jak złowrogie widmo.

Wróg

Sluga

— Niech się pan śmieje ile się panu podoba — rzekł. — Ja, który zostałem wyszczuty z mojej sfery przez wysoce moralnych osobników, nie widzę nic zabawnego w tej historii. Ale otośmy się zeszli, panie Heyst — i będzie pan musiał teraz zapłacić za swoją zabawę.

— Niech mi pan wierzy, że naopowiadano panu wstrętnych łgarstw — zauważył Heyst.

— Oczywiście, pan musi tak mówić — to zupełnie naturalne. W gruncie rzeczy nie słyszałem bardzo wiele. Właściwie słyszał to Marcin. To on zbiera informacje i tak dalej. Chyba pan nie przypuszcza, że rozmawiałem z tym bydlęciem Schombergiem więcej, niż to było konieczne. Zwierzał się Marcinowi.

— Głupota tej kanalii jest tak wielka, że staje się groźną — rzekł Heyst jakby do siebie.

Myśl jego zwróciła się machinalnie ku Lenie wędrującej przez las, osamotnionej i struchlałej. Czy ją kiedy zobaczy? Poczul, że traci panowanie nad sobą. Ale pokrzepiła go trochę myśl, że jeśli Lena usłuchała jego poleceń, nie jest prawdopodobnym, aby ci ludzie ją znaleźli. Nie wiedzieli, że wyspa ma jeszcze innych mieszkańców. Heyst przypuszczał, że gdy już z nim skończą, zanedbano im się będzie spieszyło, aby tracić czas na pogoń za jakąś przepadłą dziewczyną.

Wszystko to przeleciało błyskawicznie przez głowę Heysta, tak jak się myśli w chwili niebezpieczeństwa. Spojrzał badawczo na pana Jonesa, który oczywiście nie zdjął ani na chwilę wzroku ze swej ofiary. Heyst powziął nagle przekonanie, że ten wyrzutek społeczeństwa z wysokich sfer to zatwardziały, bezlitosny łotr.

Drgnął na dźwięk głosu pana Jonesa.

— Na przykład opowiadanie, że Chińczyk uciekł z pańskimi pieniędzmi, byłoby z pańskiej strony zupełnie bezcelowe. Człowiek, mieszkający na wyspie sam na sam z Chińczykiem, postara się ukryć dobrze tego rodzaju majątek — tak, aby nawet sam diabeł...

— Oczywiście — mruknął Heyst.

Pan Jones wytarł sobie po raz drugi lewą ręką kościste czoło, patykowaty kark, szczęki podobne do brzytwy i wychudłą brodę. Głos jego znów się załamał, a wygląd stał się jeszcze bardziej smętny i złowrogi, jak u złego, bezlitosnego trupa.

— Rozumiem, o co panu chodzi — krzyknął — ale niech pan się nie spuszcza zanedbano na swój spryt⁷⁷. Pan nie wygląda mi na bardzo sprytnego, panie Heyst. Ja też sprytny nie jestem. Zdolności moje biegają po innej linii. Za to Marcin...

— Który zajęty jest w tej chwili plądrowaniem w moim biurku...

— Chyba nie. Chciałem właśnie powiedzieć, że Marcin znacznie jest sprytniejszy od Chińczyka. Czy pan wierzy w wyższość rasy, panie Heyst? Co do mnie, wierzę stanowczo. Marcin jest jedyny do wyszperania takich sekretów, jak na przykład pańskie.

— Takich sekretów jak moje! — powtórzył gorzko Heyst. — Więc życzę mu, żeby był zadowolony z tego, co wyszpera.

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony — zauważył pan Jones, który zaczynał już wzdychać do powrotu Marcina. Choć przy stoliku do gry odznaczał się niezwykle opanowaniem, choć był nieustraszony w nagłej bójce, przekonał się, że ta nieco specjalna robota wyczerpuje mu nerwy.

— Siedź pan spokojnie na miejscu! — krzyknął ostro.

— Powiedziałem panu, że nie mam broni — rzekł Heyst, krzyżując ramiona na pierśsiach.

— Jestem doprawdy skłonny panu uwierzyć — zgodził się poważnie pan Jones. — To dziwne! — rozmyślał głośno, zwracając na Heysta ciemne jamy oczów⁷⁸. Wtem dodał: — Ale mam cel określony: zatrzymać pana w tym pokoju. Niech pan nieostrożnym ruchem nie doprowadzi do tego, abym strzaskał panu kolano, albo w ogóle zrobił coś w tym rodzaju. — Przesunął język po wargach, które były suche i czarne, podczas gdy czoło połyskiwało wilgocią. — Nie wiem, czy nie byłoby lepiej zrobić to od razu.

— Człowiek, który rozmyśla, jest zgubiony — rzekł Heyst z szyderczą powagą.

⁷⁷spuszczać się na coś (daw.) — liczyć na coś. [przypis edytorski]

⁷⁸oczów — dziś popr.: oczu. [przypis edytorski]

Pan Jones puścił uwagę mimo uszu. Zdawało się, że jest pogrążony w rozpamiętywaniu.

— Nie mogę mierzyć się z panem na siłę — rzekł z wolna, utkwivszy czarny wzrok w człowieku siedzącym w nogach łóżka. Mógłby pan skoczyć...

— Czy pan chce wzbudzić w sobie strach? — spytał Heyst zniecierpliwiony. — Zdaje mi się, że panu brakuje odwagi do działania. Czemuż pan zaraz tego nie zrobi?

Pan Jones, srodze obrażony, parsknął jak dziki kościotrup.

— Może to panu wydać się dziwnym, ale nie robię tego z powodu mego pochodzenia, wychowania, tradycji, dawnych stosunków i tym podobnych drobnostek. Nie każdy umie się pozbyć przesądów dżentelmena z taką łatwością jak pan, panie Heyst. Niech się pan nie troszczy o moją odwagę. Gdyby pan na mnie skoczył, dostałby pan — wpół drogi powietrznej, że się tak wyrażę — coś, co uczyniłoby pana najzupełniej nieszkodliwym przy lądowaniu. Nie — nie trzeba, aby pan się co do nas mylił, panie Heyst. Jesteśmy właściwie — hm — bandytami; i chodzi nam o owoce pańskiej pracy jako — hm — szczęśliwego oszusta. Tak to już jest na świecie: raz bierz, raz dawaj!

Pochylił ciężko głowę na lewe ramię. Zdawało się, że wyczerpał już swoją żywotność, że nawet jego powieki zapadły się jeszcze głębiej w kościstych jamach. Tylko cienkie, jadowite, cudownie zarysowane brwi z lekka ściągnięte, zdradzały wolę i zdolność ukąszenia — jakieś śmiertelne, nieprzewidywalne zło.

— Owoce! Oszust! — powtórzył Heyst obojętnie i prawie bez pogardy. — Zadajecie sobie niezmierny trud, pan i pański wierny giermek — aby zgnieść pusty orzech. Nie ma tu żadnych „owoców”, jak to sobie wyobrażacie. Jest tylko kilka funtów, które możecie wziąć, jeśli chcecie: i ponieważ pan nazwał siebie bandytą...

— Ta-a-ak! — przeciągnął pan Jones. — Raczej bandytą niż oszustem. Otwarta walka przynajmniej!

— Bardzo pięknie! Tylko pozwoli pan sobie powiedzieć, że nie ma na świecie dwóch bardziej obalamuconych⁷⁹ bandytów — na całym świecie!

Heyst wypowiedział te słowa z taką siłą, że pan Jones zeszytniał i stał się jak gdyby jeszcze cieńszy i wyższy w stalowo-niebieskim szlafroku, na tle białej ściany.

— Obalamuconych przez głupiego, łajdackiego hotelarza! — ciągnął dalej Heyst. — Znęcił was, jak nęci dzieci obietnicą łakoci.

— Ja nie rozmawiałem wcale z tą wstrętną bestią — mruknął kwaśno pan Jones — ale przecież potrafił przekonać Marcina, który wcale nie jest głupi.

— Przypuszczam, że musiał bardzo pragnąć, aby go przekonano — rzekł Heyst uprzejmym tonem, tak dobrze znanym na wyspach. — Nie chciałbym dotknąć pana wzruszającej wiary w pańskiego — pańskiego towarzysza, ale to musi być najbardziej łatwowierny ze wszystkich bandytów na świecie. Co pan sobie właściwie wyobraża? Gdyby ta wersja o moich bogactwach była nawet prawdziwa, czy pan myśli, że Schomberg byłby jej wam udzielił ze szczerego altruizmu? Czy bywa tak na świecie, panie Jones?

Dolna szczeka Jonesa opadła na chwilę, ale wnet zadał pogardliwie zęby i rzekł z upiorną wyrazistością.

— Ten hotelarz to tchórzliwa bestia! Bał się nas i chciał się nas pozbyć, jeśli pan chce wiedzieć, panie Heyst. Co do mnie, to nie przypuszczałem, aby materialna przynęta była tak bardzo wielka, ale nudziłem się i postanowiliśmy dać się przekupić. Nie żałuję tego. Przez całe życie szukałem wrażeń — i okazało się, że pan jest rzeczywiście człowiekiem nie mieszczącym się w zwykłych ramach. Marcinowi naturalnie chodzi o rezultat materialny. To człowiek prosty, i wierny — i nadzwyczajnie zmyślny.

— Aha! jest już na tropie — słowa Heysta brzmiały teraz jak uprzejme i ponure szyderstwo — ale ten trop nie jest jednak na tyle wyraźny, aby można było zastrzelić mnie bez dalszych ceregieli. Czy Schomberg nie wskazał panom dokładnie, gdzie przechowuję owoce swoich grabieży? Brrr! Czy pan nie widzi, że byłby wam opowiedział pierwszą lepszą historię — prawdziwą, czy fałszywą — dla bardzo prostej przyczyny? Z zemsty — ze ślepej nienawiści. Co za wstrętny idiota!

⁷⁹ obalamucony — okłamany. [przypis edytorski]

Pan Jones nie wyglądał na bardzo poruszonego tą wiadomością. W otwartych drzwiach na prawo od niego migotały bez ustanku odległe błyskawice a grzmot dudnił wciąż irytująco, podobny do belkotu olbrzyma mruczącego coś zarozumiale.

Heyst przezwyciężył niezmierną odrazę do wymienienia tej, której postać ukryta w lesie tkwiła wciąż przed jego oczami tragiczna i wzruszająca, wzniosła, budząca litość, i prawie święta dla niego. Ciągnął dalej z zakłopotaniem i pośpiechem:

— Gdyby nie dziewczyna, którą Schomberg prześladował obląkaną i wstrętną namiętnością i która oddała mi się w opiekę — ten hotelarz nie byłby nigdy... ale pan wie o tym dobrze!

— Ależ nie wiem! — wybuchnął pan Jones ze zdumiewającym ogniem. — Ten człowiek chciał mi kiedyś opowiadać o jakiejś dziewczynie, którą stracił, ale powiedziałem mu, że nie myślę wysłuchiwać przeklętych babskich historii. Więc to miało związek z panem?

Heyst przypatrywał się spokojnie wybuchowi pana Jonesa, lecz wreszcie zaczął tracić cierpliwość.

— Cóż to za komedia? Przecież mi pan nie powie, że pan nie wiedział, że ja... że dziewczyna jest tutaj?

Po nieruchomym połysku białek pana Jonesa można było poznać, że oczy jego zastygły w głębi czarnych jam. Skamieniał w bezruchu.

— Tutaj! Jest tutaj! — krzyknął. — Niepodobna było nie odczuć w jego tonie zdumienia, zgorzzonego niedowierzania — i czegoś w rodzaju lęklivego wstrętu.

Heyst poczuł także wstręt, ale innego rodzaju. On również nie wierzył Jonesowi. Żałował, że wspomniał w ogóle o Lenie; ale to się już stało, a teraz poniósł go zapal dysputy z obląkanym bandytą.

— Czyż to możliwe, aby pan nie wiedział o tym ważnym fakcie? — dopytywał Heyst. — O tej jednej, jedynej prawdzie w całym steku kłamstw, którym pan tak łatwo uwierzył?

— Nie, nie wiedziałem — krzyknął pan Jones. — Ale Marcin wiedział — dodał słabym szeptem, który ledwie dosięgnął uszu Heysta.

— Trzymałem ją w ukryciu tak długo, jak tylko się dało — rzekł Heyst. — Może pan zrozumie moje powody, zważywszy pańskie wychowanie, tradycje i tak dalej.

— Wiedział — wiedział o tym! — zawodził pan Jones głuchym głosem. — Wiedział o niej od samego początku!

Oparty całym ciężarem o ścianę, pan Jones nie pilnował już Heysta. Wyglądał jak człowiek, który ujrzał rozwartą przepaść pod nogami.

— Jeżeli mam go zabić, to jest chwila właściwa — pomyślał Heyst, ale nie poruszył się wcale.

Nagle pan Jones poderwał głowę, wpatrując się w niego z szyderczą wściekłością.

— Miałbym wielką ochotę strzelić panu w łeb — pustelniku goniący za spódnicami, człowieku z księżycą nie mogący wytrzymać bez... Nie! Zastrzelę — ale nie pana. Zastrzelę tego drugiego kobieciarza — tego przebiegłego intryganta, hultaja, rozamorowanego gagatka! I goił się — goił się pod samym moim nosem. Strzelił mu w łeb!

— Zwariował — pomyślał Heyst, przestraszony nagłą wściekłością widma.

Czuł, że od chwili wejścia do tego pokoju nie był jeszcze w tak wielkim niebezpieczeństwie — tak blisko śmierci. Obląkany bandyta — to zaiste zabójcza kombinacja. Nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że pan Jones dość był na to bystry, aby dojrzeć koniec swego panowania nad myślami i uczuciami idealnego sekretarza: aby dojrzeć bliskie załamanie się wierności Ricarda. Wmieszała się w to kobieta! Młoda kobieta, która najwidoczniej miała władzę budzenia w mężczyznach wstrętnego szaleństwa. Władza jej została wypróbowana już w dwóch wypadkach: na ohydny hotelarzu i drugi raz na tym wąsatym mężczyźnie. Pan Jones wpatrywał się w niego z odrazą raczej niż gniewem, a śmiercionośna prawa ręka drgała mu w kieszeni. Stracił z oczu cel całej wyprawy w nagłym i przytłaczającym poczuciu grożącego mu niebezpieczeństwa. To poczucie rozjątrzyło pana Jonesa; ale obiektem jego wściekłości nie był ten wąsaty mężczyzna. W chwili, gdy Heyst myślał, że życie jego nie jest warte i szeląga, usłyszał że Jones zwraca się do niego bez sztucznej, impertynenckiej omdłości, lecz z wybuchem gorączkowego zdeterminowania.

— Niech pan posłucha: zawrzyjmy rozejm — rzekł pan Jones.

Heyst zanadto był zgnębiony, aby się zdobyć na śmiech.

Kobieta, Wróg

Szaleństwo

— Czy ja walczyłem z panem? — zapytał ze znużeniem. — Jakże pan może się spodziewać, że przypiszę jakiejkolwiek znaczenie pańskim słowom? Wydaje mi się pan wynaturzonym, nieczułym bandytą. Nie posługujemy się tym samym językiem. Gdybym panu powiedział, z jakiej przyczyny tu jestem i mówię do pana, nie uwierzyłby mi pan, ponieważ by pan nie zrozumiał. Przyczyną tą nie jest w żadnym razie miłość do życia, z którym już dawno wziąłem rozbrat — choć może nie dość zupełny; ale jeśli chodzi o pańskie życie, powtarzam panu, że z mojej strony niebezpieczeństwo nie groziło panu ani przez chwilę. Nie mam żadnej broni.

Pan Jones przygryzł dolną wargę w głębokiej zadumie. Upłynęła dobra chwila, nim spojrzął na Heysta.

— Co? Nie ma pan broni? — Nagle wybuchnął gwałtownie: — Mówię panu, że człowiek z towarzystwa nie może się mierzyć z pospolitym stadem. A jednak trzeba się nimi posługiwać. Nie ma pan broni, co? A przypuszczam, że ta pańska dziewczyna to coś bardzo pospolitego. Nie wydaje mi się prawdopodobnym, aby ją pan wyłowił w jakim salonie. Zresztą one są wszystkie jednakowe. Więc pan nie ma broni! Szkoda. Jestem w daleko większym niebezpieczeństwie niż to, które panu grozi, czy też groziło przedtem — chyba że grubo się mylę. Ale nie myślę się — znam swojego człowieka!

Twarz jego straciła bezmyślny wygląd; sypnął gradem ostrych wykrzykników, które wydały się Heystowi jeszcze bardziej obłąkane od wszystkiego, co mówił poprzednio.

— Na śladzie! Na tropie! — krzyknął, zapominając się do tego stopnia, że zaczął tańczyć z wściekłością na środku pokoju.

Heyst przypatrywał mu się jakby urzeczony przez ten szkielet w jaskrawym szlafroku, poruszający się konwulsyjnie niby groteskowa zabawka na końcu niewidzialnego sznurka. Nagle pan Jones uspokoił się.

— Powinienem był zwąchać, co się święci. Wiedziałem zawsze, że stamtąd przyjdzie niebezpieczeństwo. — Przeszedł nagle do poufnego tonu, utkwivszy grobowy wzrok w Heysta. — A jednak osaczył mnie ten drab — jak najgłupszego z idiotów. Strzegłem go zawsze przed takimi przekłętymi wpływami i mimo wszystko złapał mnie w potrzask. Golił się pod moim nosem — i nic nie odgadłem!

Przerażliwy śmiech, który rozległ się po ściszonych, poufnych zwierzeniach, brzmiał tak wyraźnie po wariacku, że Heyst wstał jak pod działaniem sprężyny. Pan Jones odstąpił o parę kroków, ale nie wyglądał na zaniepokojonego.

— To jasne jak dzień! — wyrzekł żałośnie i zamilkł.

Framuga drzwi za Jonesem zamigotała sinym blaskiem i odgłosy, jak gdyby bitwy morskiej, toczonej gdzieś na dalekim horyzoncie, wypełniły gorączkową pauzę. Pan Jones przechylił głowę na ramię. Nastrój jego zmienił się zupełnie.

— I cóż pan powie, bezbronny człowieku? Czy pójdziemy zobaczyć, co tam zatrzymuje tak długo mego wiernego Marcina? Prosił, abym zabawiał pana przyjacielską rozmową, póki nie zbada dostatecznie tego tropu. Ha, ha, ha!

— Pląduje z pewnością po moim domu — rzekł Heyst.

Był oszołomiony. Zdawało mu się, że wszystko to jest zagadkowym snem, lub może obmyślonym do najdrobniejszych szczegółów żartem nie z tego świata, uknutym przez upiora we wspaniałym szlafroku.

Pan Jones spojrzął na Heysta z ohydny, trupim uśmiechem, pełnym niezbadanej ironii i wskazał na drzwi. Heyst wyszedł pierwszy. Uczucia jego tak się przytępiły, że wszystko mu było jedno, kiedy dostanie kulą w plecy.

— Jak duszno! — rozległ się obok niego głos pana Jonesa. — Ta idiotyczna burza denerwuje mnie. Cieszyłbym się, gdyby zaczęło padać, choć zmoknąć jest niemiło. Przy tym te niecznośne grzmoty mają dobrą stronę: zagłuszają nasze kroki. Błyskawice są mniej wygodne. Oho, jaki pański dom oświetlony! Mój sprytny Marcin używa na pańskich świecach. On należy do tej sfery, która nie uznaje ceremonii, sfery pozbawionej wdzięku, niegodnej zaufania i tak dalej.

— To ja zostawiłem palące się świece, aby oszczędzić mu fatygi.

— Pan rzeczywiście przypuszczał, że on przyjdzie do pańskiego domu? — spytał pan Jones ze szczerym zainteresowaniem.

— Byłem o tym przekonany. Z pewnością jest tam i teraz.

— A panu to nie przeszkadza?

— Nie!

— Doprawdy? — pan Jones zatrzymał się w zdumieniu. — Nadzwyczajny człowiek z pana — rzekł podejrzliwie i ruszył naprzód tuż obok Heysta.

Martwa cisza oświadczyła Heystem; wszystkie jego władze duchowe przestały działać. Mógł w tej chwili z łatwością pchnąć Jonesa, przewrócić go i znaleźć się w paru skokach poza obrębem strzału; ale nawet o tym nie pomyślał. Wola jego zamarła ze znużenia. Posuwał się naprzód automatycznie ze spuszczoną głową, niby wzięty do niewoli przez złą siłę wcieloną w szkielet, który wstał z grobu, ubrany jak na maskaradę. Pan Jones prowadził; szli wielkimi krokami. Echa odległych grzmotów zdawały się iść ich śladem.

— Ale, ale — rzekł pan Jones, jak gdyby nie umiając powstrzymać ciekawości — czy pan nie jest niespokojny o tę — brrr — o tę czarującą istotę, której pan zawdzięcza całą przyjemność naszej wizyty?

— Umieściłem ją w bezpiecznym miejscu — rzekł Heyst. — Postarałem się, aby jej nic nie groziło.

Pan Jones położył mu rękę na ramieniu.

— Doprawdy? Niech pan patrzy! Czy tak pan to sobie wyobrażał?

Heyst podniósł głowę. Wśród migotania błyskawic pusta polanka po lewej stronie ukazywała się na mgnienie oka, aby znów się w mroku pogрузić wraz z nieuchwytnymi zarysami rzeczy dalekich, zblakłych, nieziemskich. Ale w jaskrawo oświetlonym kwadracie okna Heyst zobaczył tę kobietę — którą pragnął ujrzeć raz jeszcze w życiu — siedzącą jak gdyby na tronie, z rękoma spoczywającymi na poręczach fotela. Miała na sobie czarną suknię; jej twarz była blada, a głowa opadła marząco na piersi. Widział jej postać tylko do kolan. Miał ją przed oczami — tam, w tym pokoju, żyjącą ponurą rzeczywistością. To nie była szydercza wizja. Lena nie schroniła się w lesie; była tutaj! Siedziała w fotelu, na pozór bezsilna lecz bez trwogi, czule pochylona naprzód.

— Czy może pan zrozumieć tę ich siłę? — wionął Heystowi prosto w ucho gorący oddech Jonesa. — Czy może być wstrętniejszy widok? To wystarcza, aby człowiekowi zohydzić całą ziemię. Zdaje się, że znalazła pokrewną sobie duszę. Niech pan przysunie się bliżej. Jeżeli będę musiał pana w końcu zastrzelić, to umrze pan wyleczony.

Heyst zrobił krok naprzód pod naciskiem lufy rewolweru opartej o jego plecy. Czuł ją wyraźnie, ale nie czuł ziemi pod nogami. Stopień za stopniem weszli z wolna po schodach, lecz Heyst wcale sobie z tego sprawy nie zdawał. Niepewność wdarła się do jego duszy — niepewność w nowej postaci, bezkształtna i ohydna. Zdawało mu się, że ogarnia go całego, że przenika mu do członków i rozchodzi się po wnętrznościach. Zatrzymał się nagle na myśl, że człowiek, który doświadcza podobnego uczucia, nie ma po co żyć na świecie — a może już wcale nie żyje.

Dom, las, polanka — wszystko drżało nieustannie; ziemia, a nawet i niebo, wstrząsały się ciągle i jedyną nieporuszoną rzeczą w dygocącym wszechświecie było wnętrze oświetlonego pokoju a w nim kobieta w czerni, siedząca w świetle ośmiu świec. Padał na nią jaskrawy, nieznosny blask, od którego bolały oczy; ten blask zdawał się przepalać mózg Heysta promieniami piekielnego żaru. W chwilę później olśniony jego wzrok dostrzegł Ricarda siedzącego opodal na podłodze i zwróconego plecami do drzwi, ale niezupełnie; widać było z boku jego podniesioną twarz i oczy, zapatrzone w nieprzytomnym uniesieniu i zachwycie.

Chwyt twardych szponów pana Jonesa odsunął Heysta nieco w tył. Wśród huku grzmotów, które wzbierały potężnie i znów ginęły w dali, Jones szepnął mu szyderczo do ucha: „Naturalnie!”

Wielki wstyd ogarnął Heysta — bezsensowne i obłąkane poczucie winy. Jones ciągnął go wciąż dalej w mrok werandy.

— To jest coś poważnego — mówił, sącząc upiorny jad prosto do ucha Heysta. — Musiałem nieraz zamykać oczy na drobne jego wybryki; ale to jest coś poważnego. Znalazł swoją bratnią duszę. Dusze cuchnące błotem, bezwstydną i przebiegłą! I ciała także z błota — z rynsztokowego błota! Mówię panu, że nie nam mierzyć się z podłym motłochem. Nawet ja dałem się prawie nabrać! Prosił mnie, aby pana zatrzymać, póki nie da sygnału. Nie pana będę musiał zastrzelić, ale jego. Nie zniósłbym go teraz przy sobie nawet pięciu minut.

Potrząsnął z lekka ramieniem Heysta.

Kobieta demoniczna

— Gdyby pan nie wspomniął przypadkiem o tej istocie, nie dożylibyśmy obaj świtu. Zabiłby pana wychodzącego ode mnie — u stóp schodów — a potem przyszedłby i wsadziłby mi ten sam nóż między żebra. On nie ma przesądów. Im podlejsze pochodzenie, tym większa swoboda tych prostych natur!

Wciągnął ostrożnie świszczący dech i szepnął z niepokojem:

— Przejrzałem go na wskroś; widzę teraz, że o mało co nie wystrychnął mnie na dudka.

Wyciągnął szyję, aby zajrzeć boki do pokoju. Heyst zrobił także krok naprzód pod lekkim naciskiem tej szczupłej ręki, obejmującej mu ramię cienką, kościstą obręczą.

— Patrz pan! — płótł cieniutkim głosem — z upiorną poufalością — szkielet zwarowanego bandyty prosto do ucha Heysta. — Patrz pan na tego prostodusznego Acisa⁸⁰, który całuje sandały nimfy, zanim dobierze się do jej ust! Zapomniał o wszystkim i nie słyszy groźnej fujarki Polifema⁸¹ rozlegającej się już blisko — gdybyż ją mógł usłyszeć! Niech pan się trochę pochyli.

XII

Ricardo wrócił jak na skrzydłach do domku Heysta i zastał Lenę czekającą już na niego. Gdy ujrzał ją — całą w czerni — radosne jego uniesienie ustąpiło natychmiast trwożnej, drżącej uległości wobec jej bladej twarzy i spokoju nieruchomej postaci — spokoju wprost zdumiewającego dla Ricarda, który miał już sposobność doświadczyć siły jej członków i nieugiętego ducha. Po odejściu Heysta Lena wyszła ze swego pokoju i usiadła pod portretem, aby czekać na powrót mężczyzny zwiastującego przemoc i śmierć. Gdy podnosiła kotarę, przejęła ją wielka troska płynąca ze świadomości, że jest nieposłuszną ukochanemu — troska złagodzona przez uczucie, którego doznawała już dawniej: ogarnęła ją łagodna fala przejmującej słodyczy. Postępowanie Leny nie było wynikiem przelotnego impulsu; uległa wpływowi bardziej istotnym i potężniejszym choć mniej określonym. Nie kierowała nią wola, ale jakaś siła bardziej istotna, która znajdowała się jakby poza nią. Lena nie opierała się na żadnych konkretnych danych; nie obmyśliła żadnego planu. Widziała przed sobą tylko jeden cel — rozbicie śmierci, dzikiej, nagłej, niepojętej, śmierci czyhającej na człowieka, do którego należała; a śmierć była wcielona w nóż gotów ugodzić go w serce. Nie wątpiła wcale, że grzechem było rzucenie się w jego ramiona. Wiedziała natchnieniem, które zstępuje czasem z góry na przeciętnych ludzi — dla ich dobra lub zła — rozumiała, że uczucie Heysta dla niej jest tylko gwałtownym i szczerym porywem ciekawości i współczucia — rzeczy przemijających. Nie знаła go. Gdyby miał odejść od niej i zniknąć na zawsze, nie zrobiłaby mu żadnej wymówki i nie miałaby do niego żalu, gdyż pozostawiłby jej coś niezmiernie rzadkiego i cennego — poczucie, że przez swą odwagę zasłużyła na jego uściski, ocalając mu życie.

Teraz pochłaniała ją tylko jedna sprawa: jak zdobyć nóż Ricarda, znamię i symbol skradającej się śmierci — i to było przyczyną jej drżenia, rumieńców oblewających ją warem i zimnych dreszczy. Ręce Leny trzęsły się z niecierpliwości, spragnione tego strasznego przedmiotu, który raz zobaczyła i którego nie mogła zapomnieć.

Wyciągnęła instynktownie ręce nagłym ruchem i Ricardo stanął jak wryty między drzwiami i krzesłem, na którym siedziała — stanął z bezwzględny posłuszeństwem zdobytego mężczyzny, którego cierpliwość jest niewyczerpana. Jego uległość zmieszała Lenę. Słuchała namiętnych uniesień Ricarda, straszliwych zachwyków i okropniejszych jeszcze wyznań miłosnych. Potrafiła nawet spojrzeć mu prosto w oczy — skośne, ruchliwe oczy, błyskające dzikim pożądaniem.

— Nie! — mówił już spokojniej, wyrzuciwszy z siebie ognisty potok słów, w którym najdziksze miłosne zaklęcia zlewały się z złotnymi błaganiami. — Więcej już na to nie pójdę! Zaufaj mi. Przecież mówię rozsądnie. Patrz, jak spokojnie bije mi serce. Było dziś tak z dziesięć razy, że kiedy ty, ty, ty! stanęłaś przede mną w myśli, zdawało mi się, że serce roztrzaska mi żebra albo wyskoczy przez gardło. Zakołatało się na śmierć moje serce, czekając na ten wieczór, na tę chwilę. A teraz jest już bez siły; patrz, jakie spokojne!

Serce

⁸⁰Acis (mit. gr.) — kochanek nimfy Galatei, zabity przez cyklopa Polifema, a przez nią zmieniony w nieśmiertelnego ducha rzeki. [przypis edytorski]

⁸¹Polifem (mit. gr.) — cyklop, jednoooki potwór żywiący się ludzkim mięsem. [przypis edytorski]

Zrobił krok naprzód, ale jasny jej głos zabrzmiał rozkazująco:

— Ani kroku dalej!

Zatrzymał się z uśmiechem idiotycznego ubóstwienia na ustach, z radosnym posłuszeństwem mężczyzny, który mógł każdej chwili porwać ją w objęcia i rzucić na ziemię.

— Ach! Gdybym był dziś rano ścisnął cię za gardło i zrobił, co mi się podobało, nie dowiedziałbym się nigdy jaka jesteś! A teraz wiem. Jesteś cudem! A i ja także — w swoim rodzaju. Mam siłę i mam rozum. Gdyby nie ja, byłibyśmy już nieraz przypadli. To ja obmyślam wszystko, to ja układam plany dla mego pana. Ale znudził mi się już stary — brrr! A twój znudził ci się także, prawda? Ty, ty!

Dygotał cały. Wyrecytował litanie pieszczotliwych słów, bezwstydnymi i tkliwymi, i nagle zapytał:

— Dlaczego nic do mnie nie mówisz?

— Bo moją rolą jest słuchać — rzekła, uśmiechając się do niego zagadkowo, z rumieńcem na policzkach i wargami zimnymi jak lód.

— Ale odpowiesz mi na pytanie?

— Tak — odrzekła, a oczy jej rozszerzyły się, jak gdyby się czymś nagle zainteresowała.

— Gdzie ten łup? Czy wiesz?

— Nie! Jeszcze nie wiem.

— Ale przecież tu jest gdzieś schowany łup, na który warto się połakomić?

— Tak mi się zdaje. Ale kto wie? — dodała po chwili.

— Wszystko jedno! — odparł niedbale. — Mam dosyć tego pełzania na brzuchu. Mój skarb — to ty! Wynalazłem cię tutaj, gdzie ten człowiek cię zakopał, abyś gniła dla przeklętej jego przyjemności!

Obejrzał się, szukając krzesła, po czym znów zwrócił ku niej mętne oczy i niewyraźny uśmiech.

— Zmęczony jestem jak pies — rzekł i usiadł na podłodze. — Zmęczyłem się tak dziś rano, gdy przyszedł tutaj i zaczął z tobą rozmawiać, a teraz taki jestem wyczerpany, jakbym wylał z żył całą krew serdeczną — po to, abyś pluskała w niej białymi nóżkami.

Siedziała nieporuszenie; skinęła tylko głową w zadumie. Wszystkie jej władze skupiły się po kobiecemu na pragnieniu jej serca — na tym nożu — podczas gdy mężczyzna u jej nóg plótł wciąż po wariacku, przymilny i dziki, dochodząc prawie do szału w swym uniesieniu. Ale on także dążył do określonego celu.

— Dla ciebie! Dla ciebie poświęcę pieniądze, poświęcę życie wszystkich ludzi prócz mego życia! Potrzeba ci człowieka, władcy który pozwoli ci oprzeć pantofelek na swoim karku; a nie tchórza, co znudzi się tobą po roku — a ty nim. A wówczas co? Nie należysz do takich, którzy siedzą cicho — tak samo jak ja. Żyję dla siebie — i ty też będziesz żyła dla siebie, a nie dla szwedzkiego barona. Oni wysługują się takimi jak ty i ja. Prawdziwy pan to zawsze coś lepszego od pryncypała; ale trzeba nam zawiązać we dwoje spółkę przeciwko wszystkim hipokrytom. Powędrujemy w świat, ty i ja — oboje wolni i szczerzy. Ty nie jesteś ptakiem, który by w klatce wytrzymał. Powędrujemy razem w świat, bo jesteśmy z tych ludzi, co to nigdy domu nie mają. Urodzone z nas włóczęgi!

Słuchała go z najwyższą uwagą, jak gdyby jakieś nieoczekiwane słowo mogło jej dać wskazówkę, jak zawiązać tym nożem, tym okropnym sztyletem — jak rozbroić wcielony mord, zebrzący o miłość u jej stóp. I znów kiwnęła mu głową w zadumie, wzniciając błyski w żółtych oczach tkwiących z ubóstwieniem w jej twarzy. Gdy przysunął się nieco bliżej, nie wzdygnęła się w duszy. To się stać musiało. Niech się dzieje co chce, byleby nóż znalazł się w jej ręku. Ricardo zaczął mówić jeszcze poufalej.

— Spotkaliśmy się — i godzina ich wybiła — rzekł, patrząc w górę w jej oczy. — Spółka między mną i moim starym musi trzasnąć. Nie ma dla niego miejsca tam, gdzie jesteśmy we dwoje. Oho, zastrzeliłby mnie jak psa. Bądź spokojna! Ten instrument rozstrzygnie całą sprawę nie dalej jak dziś w nocy.

Uderzył się po zgiętej nodze pod kolanem i zobaczył ze zdumieniem, że twarz młodej kobiety się rozjaśnia; pochlebiło mu to bardzo. Podała się ku niemu skwapliwie i wyciekając z ustami rozchylonymi po dziewczęcemu, z wypiekami na bladej twarzy, dygocząc i oddychając gorączkowo.

— Mój ty cudzie, mój dziwie — moje szczęście i moja radość — tyś jedna na milion! Nie! Tyś jedna jedyna na świecie! Znalazłaś we mnie swego człowieka! — szeptał drżącym

głosem. — Słuchaj! Oni rozmawiają z sobą po raz ostatni; z twoim starym załatwię się także dziś koło północy!

Nie drgnąwszy nawet, szepnęła, gdy tylko ustąpiło nagle ściśnięcie serca i gdy zdołała dobyć głosu:

— Z nim — to nie śpieszyłabym się zanadto.

Pauza, która poprzedziła jej słowa, i ton głosu sprawiały wrażenie rozważnej rady.

— Dobra z ciebie, rozsądna dziewczyna! — zaśmiał się cicho z drapieżną wesołością, przy czym barki jego poruszyły się kocim, falistym ruchem, a skośne oczy sypnęły iskrami. — Myślisz ciągle o tym jego trzosie. Dobry z ciebie kompan, nie ma co! A jaka z ciebie będzie przynęta! No, no!

Dał się porwać na chwilę uniesieniu, ale wnet twarz jego pociemniała.

— Nie! Żadnej zwłoki. Za cóż ty masz człowieka — za strach na wróble? Myślisz, że tylko kapelusz na nim i ubranie, a w środku nic — że nie ma mózgu, żeby sobie różne rzeczy wyobrażać? Nie! — ciągnął gwałtownie — on już nigdy nie wejdzie do tego twego pokoju — nigdy w życiu!

Zapadło milczenie. Ricardo sposepniał szarpany zazdrością i nawet na Lenę nie spoj-rzał. Wyprostowała się, po czym powoli, stopniowo, chyliła się nad nim coraz niżej i niżej, jakby chcąc wpaść w jego objęcia. Wreszcie spojrzał na nią, zatrzymując ją nieświadomie.

— Posłuchaj! Ty, która umiesz zmóc mężczyzną gołymi rękami, czy potrafiłabyś... czy potrafiłabyś dźgnąć kogoś takim narzędziem jak mój nóż?

Rozwarła szeroko oczy i uśmiechnęła się dziwnie do niego.

— Skąd ja mogę wiedzieć? — szepnęła czarownym głosem. — Może mi pan pokaże, jak ten nóż wygląda?

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wyciągnął nóż z pochwy — krótkie, szerokie, okrutne podwójne ostrze o kościanej rękojeści — i dopiero wtedy zwrócił nań oczy.

— Dobry przyjaciel — rzekł z prostotą. — Weź i zważ go w rękę — zaproponował.

W chwili gdy się pochyliła, aby wziąć nóż z jego ręki, zapalił się błysk w jej tajemni-czych oczach — czerwony błysk wśród białej mgły, która spowijała porywy i tęsknoty jej duszy. Dopięła celu! Żądło śmierci znalazło się w jej rękach; jad żmii, która wkradła się do jej raju, był oto w jej mocy, a łeb gadu prawie że pod jej stopą⁸². Ricardo, wyciągnięty na macie pokrywającej podłogę, przysuwał się wciąż bliżej i bliżej do krzesła, na którym siedziała.

Wszystkie jej myśli skupiły się w jednym wysiłku; jak zatrzymać przy sobie tę broń, która zdawała się wcielać wszelkie niebezpieczeństwa i wszelkie groźby na tej ziemi opa-nowanej przez śmierć. Lena odezwała się z cichym śmiechem, którego radosne uniesienie uszło uwagi Ricarda:

— Nie spodziewałam się, że mi pan kiedy tę rzecz powierzy!

— Dlaczegoż by nie?

— Z obawy, abym znienacka nie ugodziła tym pana.

— Dlaczegoż by? Za tę ranną historię? Nigdy w życiu! Ty się nie będziesz mścić za to. Przebaczyłaś mi przecież. Ocaliłaś mnie! I wzięłaś nade mną górę. Zresztą coby ci z tego przyszło?

— Nic — przyznała.

Czuła w głębi serca, że nie umiałaby użyć sztyletu; że gdyby przyszło do walki, mu-siałaby go rzucić i bronić się gołymi rękoma.

— Posłuchaj: kiedy puścimy się w świat, będziesz mnie zawsze nazywała mężem. Słyszysz?

— Tak — rzekła, zbierając siły do walki, w jakiegokolwiek by nadeszła postaci.

Nóż leżał na jej kolanach. Lekkim poruszeniem nóg ukryła go w fałdach sukni i zło-żyła ręce ze splecionymi palcami na kolanach, które zacisnęła rozpaczliwym ruchem. Groźny przedmiot znikł nareszcie z widoku. Poczuła, że pot oblewa ją całą.

— Ja tam nie będę się krył z tobą jak ten nicpoń, ten lalusz, ten kpiarz. Będziesz moją dumą i moim kompanem. Czy to nie lepszy los niż gnić na tej wyspie dla pańskiej przyjemności i czekać aż ten Szwed puści cię kantem?

⁸²jad żmii, która wkradła się do jej raju, był oto w jej mocy, a łeb gadu prawie że pod jej stopą — Por. Rdz 3, 15: Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie i niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiażdży ci głowę, a ty zmiażdżysz mu piętę. [przypis edytorski]

— Będę, czym tylko pan zechce — rzekła.

W upojeniu podpełzał coraz bliżej za każdym jej słowem, za każdym poruszeniem.

— Daj mi nogę — żebrał nieśmiałym szeptem w pełnym poczuciu swej władzy nad nią.

Niech się dzieje co chce, myślała Lena, byle tylko rozbroić i uniemożliwić mord — póki siły nie wrócą do jej członków, póki nie zdobędzie się na decyzję. Odporność jej osłabła wskutek łatwości, z jaką jej przyszło zwycięstwo. Wysunęła nieco stopę spod brzegu sukni; Ricardo rzucił się na nią chciwie. Nie zdała sobie nawet z tego sprawy. Myślała o lesie, do którego Heyst kazał jej uciekać. Tak, las — tam należało ująć z groźnym łupem, żądłem pokonanej śmierci. Ricardo obejmował jej nogę w kostce, przyciskając raz po raz usta do podbicia, szepcząc zdyszane słowa na kształt szlochów, wydając dźwięki wyrażające jak gdyby zmartwienie i rozpacz. Żadne z nich nie słyszało grzmotu, który warczał w oddali, modulując gniewnie potężny swój głos. Cały świat na zewnątrz wstrząsał się nieustannie wokół martwej ciszy pokoju, gdzie profil ojca Heysta, ujęty w ramy, patrzył surowo w przestrzeń.

Nagle Ricardo poczuł kopnięcie nogi, którą pieścił — kopnięcie tak gwałtowne pod szyją, że pchnięty wstecz znalazł się od razu w wyprostowanej, klęczącej pozycji. Wyczytał grożące mu niebezpieczeństwo z kamiennych oczu Leny i w chwili, gdy zrywał się na nogi, posłyszał wyraźnie na tle groźnego ryku burzy krótki odgłos strzału, który częściowo ogłuszył go jak uderzenie. Odwrócił rozpaloną głowę i ujrzał Heysta stojącego we drzwiach. Mignęło mu przez głowę, że ten drab stanął dęba. Przez jakąś część sekundy patrzył w oszołomieniu na podłogę, szukając noża. Nie mógł go dojrzeć.

— Dźgnij go ty! — zawołał do Leny ochrypłym głosem i rzucił się na oślep ku tylnym drzwiom.

Był to odruch samozachowawczego instynktu, ale rozum mówił Ricardowi, że nie ujdzie żywy z pokoju. Jednak dopadł drzwi, które rozwarły się z hukiem pod jego ciężarem, i natychmiast zatrzasnął je za sobą. Wówczas oparł się o nie ramieniem, z rękami na klamce, ogłuszony i samotny wśród nocy pełnej wstrząsów i mrukliwych grózb, i usiłował się opamiętać. Starał się zdać sobie sprawę, czy dostał tylko jeden postrzał. Ramię jego było mokre od krwi ciekącej z głowy. Obmacał czaszkę nad uchem i stwierdził, że został tylko draśnięty, ale nagłość całego zajścia pozbawiła go sił na chwilę.

Cóż u diabła działo się z szefem, że pozwolił grasować temu drabowi? A może szef — już nie żyje?

Cisza panująca w pokoju przerażała go. Nie było mowy, aby mógł tam wrócić.

— Ale ona potrafi dać sobie radę — mruknął.

Miała jego nóż. Teraz ona stała się niebezpieczną, podczas gdy on był rozbrojony i do niczego na razie. Odszedł cichaczem, zataczając się, ode drzwi; czuł ciepłą krew zbiegającą mu ciurkiem po karku. Postanowił zbadać, co się stało z szefem i zaopatrzyć się w broń ze zbrojowni w kufrach.

XII

Pan Jones, strzelivszy ponad ramieniem Heysta, uznał za stosowne zemknąć. Jak przystało widmu, znikł z werandy bez najlżejszego szelestu. Heyst wszedł, potykając się, do pokoju i rozejrzał się wokoło. Wszystkie przedmioty — książki, połysk starego srebra znany mu z dzieciństwa i nawet portret na ścianie — wszystko wydało mu się mgliste i nierealne. Doznał wrażenia, że te przedmioty są niemymi współnikami w niesłychanym spisku, który rozegrał się we śnie; że — on, Heyst — ocknął się właśnie z uczuciem, iż nigdy już nie będzie mógł zamknąć oczu. Zmusił się ze zgrozą do spojrzenia na Lenę. Siedziała wciąż na krześle, pochylivszy nisko nad kolanami twarz ukrytą w dłoniach. Heyst przypomniał sobie nagle Wangę. Jakie to wszystko stało się jasne i jakie niesłychanie zabawne!

Lena wyprostowała się z wolna i oparła o poręcz krzesła; odjąwszy ręce od twarzy, przycisnęła je do piersi, jakby się czuła wzruszona do głębi widokiem Heysta, który stał wpatrzony w nią z ponurą ciekawością i zgrozą. Byłby poczuł dla niej litość, gdyby nie tryumfujący wyraz jej twarzy, który wstrząsnął nim i wytrącił go z równowagi. Zaczęła mówić z radosnym uniesieniem:

— Wiedziałam, że wrócisz w porę! Jesteś ocalony. Ja to zrobiłam! Nigdy, nigdy nie byłabym dopuściła — — Głos jej zamarł, a oczy promieniały ku niemu jak słońce przez mgłę. — Nie dopuściłabym nigdy, aby mi go odebrał. Mój ukochany!

Schylił poważnie głowę i rzekł swym uprzejmym, heystowskim tonem:

— Postępowanie twoje było zapewne instynktowne. Kobiety mają swoją własną broń. A ja byłem bezbronny — widzę teraz, że byłem bezbronny przez całe życie. Możesz chlubić się swoją zaradnością i głęboką znajomością swej natury; ale powiedziałbym, że tamta druga postawa, pełna wstydu, miała swój urok. Bo jesteś pełna uroku!

Uniesienie znikło z jej twarzy.

— Nie trzeba, abyś teraz ze mnie żartował. Dziękowałam właśnie Bogu z głębi grzesznego serca, że potrafiłam to zrobić — że darował mi ciebie w ten sposób, o ukochany! mój jedyny, mój — nareszcie!

Patrzył w nią jak oszalały. Zaczęła się nieśmiało przed nim usprawiedliwiać, że nie usłuchała jego wskazówek. Każdy ton czarownego jej głosu ranił go dotkliwie i z bólu trudno mu było zrozumieć jej słowa. Odwrócił się od niej; ale nagle załamanie się jej głosu i dziwne zająknięcie sprawiło, że się obejrzał. Na białej szyi Leny błada twarz zwisała jak kwiat na łądździe, więdnący w okrutnej posusze. Spojrzał na nią z bliska z zapartym oddechem, i wydało mu się, że czyta jakąś straszną wieść w jej oczach. W chwili gdy powieki jej opadły jak pod naciskiem niewidzialnej siły, porwał ją z krzesła i nie zwracając uwagi na niespodziany, metaliczny brzęk, który rozległ się na podłodze, poniosł ją do drugiego pokoju. Przeraziła go bezwładność jej ciała. Złożył ją na łóżku; wybiegłszy, chwycił ze stołu czteroramienny kandelabr i rzucił się z powrotem, zdzierając wściekłym targnięciem kotarę, która kołysała się przed nim bez sensu; ale postawiwszy kandelabr na stoliku obok łóżka, stanął beczynnym. Zdawało mu się, że nic tu już zrobić nie można. Objął ręką brodę i patrzył ze skupieniem na spokojną jej twarz.

— Czy tym została zraniona? — zapytał Davidson, którego Heyst ujrzał nagle obok siebie ze sztyletem Ricarda w ręku. Heyst nie dał poznać ani słowem, że poznaje Davidsona lub dziwi się jego obecności; rzucił tylko na niego spojrzenie pełne niewypowiedzianej zgrozy i jakby tknięty nagłą furią zaczął rozrywać stanik Leny. Leżała bez czucia pod jego rękami. Wówczas jęknął tak przejmująco, że Davidson wzdrygnął się w duszy; była to ciężka skarga człowieka, który pada ugodzony w ciemnościach.

Stali obaj ramię w ramię, patrząc ponuro na mały, czarny otwór, przebity przez kulę Jonesa pod krągłą piersią o białości olśniewającej i jakby świętej. Pierś ta wznosiła się i opadała nieznacznie — tak nieznacznie, że tylko kochające oczy mogły w niej odkryć słabe tętno życia. Heyst krążył bezgłośnie po pokoju z twarzą spokojną, lecz zmienioną nie do poznania; zwilżył ręcznik i położył go na małej ranie; nie było tam prawie śladu krwi, która by mogła skazić czar i powab tego śmiertelnego ciała.

Powieki Leny drgnęły. Rozejrzała się sennie, pogodnie, jakby była tylko zmęczona wysiłkiem, któremu zawdzięczała olbrzymie zwycięstwo odniesione w służbie miłości: wydarcie żądła śmierci. Ale oczy jej otworzyły się szeroko na widok sztyletu Ricarda, łupu zdobytego na pokonanej śmierci, który Davidson trzymał wciąż machinalnie.

— Dajcie mi to! — wyrzekła. — To moje.

Davidson złożył symbol zwycięstwa w jej słabe dłonie, wyciągnięte do niego niewinnym ruchem dziecka sięgającego po zabawkę.

— To dla ciebie — wyszeptła, zwracając oczy na Heysta. — Nie zabijaj nikogo.

— Nie zabiję! — rzekł Heyst, biorąc sztylet i kładąc go jej ostrożnie na piersiach w chwili, gdy ręce jej opadały bezsilnie.

Słaby uśmiech znikł z wyrazistych warg Leny, a głowa osunęła się głębiej w poduszki, przybierając majestatyczną bladłość i nieruchomość marmuru. Ale po rysach, które zdawały się zastygać już na zawsze w swej nowej piękności, przebiegło straszne, choć lekkie drżenie. Spytała głośno ze zdumiewającą siłą:

— Co mi jest?

— Jesteś ranna, kochanie — rzekł Heyst spokojnym głosem. Davidson odwrócił się przy tych słowach i oparł czoło o słup w nogach łóżka.

— Ranna? To też zdawało mi się, że mnie coś uderzyło.

Śmierć

Grzmot przestał wreszcie warczeć nad Samburanem i świat materialnych kształtów już się nie wstrząsał w blasku wynurzających się gwiazd. Duch Leny, gotów już spod nich ulecieć, radował się swym tryumfem, wierząc w zwycięstwo odniesione nad śmiercią.

— Już nigdy — szepnęła. — Już nigdy tak nie będzie! Ukochany mój — zawołała słabym głosem — uratowałam cię! Dlaczego nie weźmiesz mnie w ramiona i nie uniesiesz daleko od tej głuszy?

Heyst pochylił się nisko nad Leną, klęcząc swą przesubtelnią duszę, której szatański krytycyzm wobec życia zatrzymywał nawet w tej chwili szczerzy okrzyk miłości na ustach. Nie śmiał dotknąć Leny, a ona nie miała już siły zarzucić mu rąk na szyję.

— Któż inny byłby to zrobił dla ciebie? — szepnęła przejęta dumą.

— Nikt na świecie — odpowiedział szeptem z nieukrywaną rozpaczą.

Usiłowała się podnieść, ale udało jej się tylko dźwignąć trochę głowę z poduszki. Heyst pośpieszył wsunąć ramię pod jej kark lekliwym i łagodnym ruchem. Poczula od razu ulgę jak po pozbyciu się nieznosnego ciężaru, i cieszyła się, że zdjął z niej niezmiernie znużenie, które ją zmogło po bohaterskim czynie. W radosnym uniesieniu ujrzała się w czarnej sukni na łóżku, ogarnięta wielkim spokojem, i jego widziała nad sobą, jak pochylał się z żartobliwym uśmiechem, gotów ponieść ją w silnych ramionach i zawrzeć na zawsze w najskrytszej głębi serca. Zachwyt przeniknął całą jej istotę, przejawiając się uśmiechem niewinnej, dziewczęcej radości; i z tą niebiańską jasnością na wargach wydała ostatnie tchnienie w porywie tryumfu, szukając oczu ukochanego w mrokach śmierci.

XIV

— Tak, ekscelencjo — rzekł Davidson swym spokojnym głosem — więcej ludzi zginęło w tej całej historii — mam na myśli białych — niż poległo żołnierzy w niejednej z bitew ostatniej wojny Aczyńskiej.

Davidson rozmawiał z ekscelencją, ponieważ wypadki, które nazywano ogólnie „tajemnicą Samburanu”, wzbudzały na archipelagu taką sensację, że nawet ludzie z najwyższych sfer pragnęli poinformować się u źródła. Davidson został wezwany na audiencję przez wysokiego urzędnika, który odbywał właśnie objazd.

— Pan znał dobrze zmarłego barona Heysta?

— Właściwie to nikt z tutejszych ludzi nie może się pochwalić, że znał go dobrze — rzekł Davidson. — To był dziwny człowiek. Wątpię, czy on sam zdawał sobie z tego sprawę, jaki jest dziwny. Ale wszyscy wiedzieli, że czuwał nad nim z życzliwością. Dlatego też doszło mnie ostrzeżenie, które sprawiło, że zawróciłem z drogi w środku podróży i popłynąłem do Samburanu; ale, niestety, przybyłem już za późno.

Nie rozwodząc się nad tym szeroko, Davidson wyjaśnił dygnitarzowi słuchającemu go z uwagą, że pewna kobieta, żona niejakiego Schomberga, właściciela hotelu, usłyszała jak dwóch rzeźmieszków-szulerów wypytywało jej męża o dokładne położenie wyspy. Doszło jej uszu tylko kilka słów tyjących się sąsiedniego wulkanu, ale to wystarczyło, aby obudzić jej podejrzenia, „którymi”, ciągnął Davidson, „podzieliła się ze mną, ekscelencjo. Okazało się, że te podejrzenia były aż nadto słuszne!”

— To bardzo sprytnie ze strony tej kobiety — zauważył wielki człowiek.

— Ona jest daleko sprytniejsza, niż ludzie na ogół przypuszczają — rzekł Davidson.

Ale powstrzymał się od wyjawienia właściwej przyczyny, która pobudziła władze umysłowe pani Schomberg. Biedna kobieta bała się śmiertelnie, aby Lena nie znalazła się znowu w pobliżu zadurzonego Wilhelma. Davidson powiedział tylko ekscelencji, że niepokój Schombergowej i jemu się udzielił; wyznał także, iż w drodze na Samburan ogarnęły go wątpliwości, czy podejrzenia jej są ugruntowane.

— Dostałem się w jedną z tych głupich burz, które krążą często koło wulkanu, i z trudnością przybiłem do brzegu — opowiadał Davidson. — Musiałem wjechać wolniutko i prawie po omacku do Zatoki Diamentów. Zdaje mi się, że nikt nie byłby mógł usłyszeć jak spuszczałem kotwicę, nawet gdyby mnie oczekiwano.

Przyznał, że powinien był wysiąść natychmiast; ale na brzegu panowała zupełna ciemność i spokój absolutny. Zawstydił się swej impulsywności. Jakby to głupio wyglądało, gdyby obudził człowieka wśród nocy tylko po to, aby go zapytać, jak się miewa! A przy

tym, wobec tego że na wyspie przebywała kobieta, obawiał się by Heyst nie uznał jego wizyty za niczym nieusprawiedliwione natręctwo.

Pierwszą oznaką, świadczącą że dzieje się coś niedobrego, była wielka, biała łódź z trudem bardzo kudłatego człowieka, niesiona prądem i objijająca się o kadłub parowca. Davidson spostrzegł ją i, nie tracąc już czasu, wysiadł natychmiast na brzeg — sam, naturalnie, przez delikatność.

— Przyszedłem w samą porę, aby być przy śmierci tej biednej dziewczyny, opowiadałem już o tym ekscelencji — ciągnął Davidson. — Nie będę mówił, co działo się potem z Heystem. Rozmawiał ze mną. Zdaje się, że jego ojciec miał lekkiego bzika i przewrócił w głowie synowi jeszcze w czasach wczesnej młodości. Ciekawy był człowiek z tego Heysta. Ostatnie słowa, które powiedział do mnie, gdy wyszliśmy na werandę, były:

— „Ach, panie Davidson — biada człowiekowi, którego serce nie nauczyło się za młodu ufać, kochać — i pokładać w życiu nadzieję!”

— Gdy staliśmy tam, chwilę przedtem, nim go opuściłem — powiedział mi bowiem, że chce pozostać sam ze swoją zmarłą — usłyszeliśmy burkliwy głos, wołający od strony krzaków porastających wybrzeże:

— „Czy to pan, proszę pana?”

— „Tak, to ja”.

— „Ojej! Myślałem, że ten łotr skończył już z panem. Stał dęba i o mało co nie dał mi rady. Od tej chwili skradałem się tędy i owędy, szukając pana”.

— „A ja tu jestem” — wrzasnął nagle drugi głos, po czym rozległ się strzał.

— „Tym razem nie chybił go” — rzekł do mnie Heyst z goryczą i odszedł do pokoju.

— Wróciłem na pokład, tak jak Heyst sobie tego życzył. Nie chciałem być natrętem wobec jego cierpienia. Później, około piątej rano, kilku z moich majtków przybiegło do mnie z krzykiem, że pali się na wybrzeżu. Wylądowałem natychmiast, naturalnie. Główny dom był w ogniu. Żar nie pozwolił nam się zbliżyć. Pozostałe dwa domki zapaliły się jeden za drugim jak lucywo. Do samego popołudnia nie można było posunąć się dalej niż do końca pomostu u brzegu.

Davidson westchnął spokojnie.

— Pan chyba jest pewien, że baron Heyst nie żyje?

— Jest już tylko popiołem, ekscelencjo — rzekł Davidson, sapiąc z lekka — i on, i ta dziewczyna. Rozmyślanie nad martwym jej ciałem było pewnie nad jego siły — a ogień wszystko oczyszcza. Chińczyk, o którym mówiłem ekscelencji, pomagał mi na drugi dzień w poszukiwaniach, gdy zgłiszczą nieco ochłody. To, co znaleźliśmy, upewniło nas o losie Heysta. Ten Chińczyk to nie jest zły człowiek. Powiedział mi, że szedł lasem za Heystem i za dziewczyną z litości — a także i przez ciekawość. Potem obserwował domek Heysta, póki nie zobaczył, że Heyst wychodzi po obiedzie i że Ricardo wraca sam. Gdy tak kręcił się naokoło domku, przyszło mu na myśl, że lepiej puścić łódź z prądem, aby te łotry nie dostały się drogą okrężną do wsi — przez wodę i nie zaatakowały mieszkańców od strony morza strzałami z rewolwerów i karabinów. Uważał, że te diabły zdolne są do wszystkiego. Więc ruszył spokojnie wzdłuż pomostu, a gdy wskoczył do łodzi, by ją odczepić, kudłaty człowiek, który prawdopodobnie w niej drzemał, porwał się z miejsca, warcząc — i wówczas Wang zastrzelił go. Potem odepchnął łódź tak daleko, jak tylko mógł — i odszedł.

Nastąpiła pauza. Wkrótce Davidson podjął znów spokojnym tonem:

— Niech Bóg zaopiekuje się tym, co ogień oczyścił. Wiatr i deszcz zajmą się popiołami. Trupa tego pomocnika, czy sekretarza — czy jak tam się nazywał ten wstrętny łotr — zostawiłem gdzie padł, aby puchł i gnił w słońcu. Jego zwierchnik strzelił mu prosto w serce. Potem ten Jones poszedł zapewne na pomost, aby zobaczyć, co się dzieje z łodzią i z tym kudłatym sługą. Prawdopodobnie musiał wpaść do wody przypadkiem — a może i nie przypadkiem. Łódź i człowiek jego przepadli; przekonał się, że został sam, że sprawy jego wykryte, że dostał się w potrzask. Któż to wie? Woda jest w tym miejscu bardzo przejrzysta; widziałem go zwiniętego w kłębek na dnie między dwoma palami. Wyglądał jak kupa kości w niebieskim jedwabnym worku, z którego sterczały tylko nogi i głowa. Wang ucieszył się bardzo, kiedyśmy go znaleźli. Oświadczył, że teraz niebezpieczeństwo już minęło i wybrał się zaraz na drugą stronę wzgórza, aby sprowadzić z powrotem do chaty swoją kobietę z plemienia Alfuro.

Nadzieja

Trup

Davidson wyjął chustkę i obtarł pot z czoła.

— Wtedy poszedłem sobie, ekscelencjo. Nic już tam nie miałem do roboty.

— Oczywiście — przyznał dygnitarz.

Davidson zamyślił się i przez chwilę zdawał się jeszcze coś rozważać, wreszcie szepnął ze spokojnym smutkiem:

— Nic a nic!

Październik 1912–maj 1914.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-zwyciestwo/>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, *Zwycięstwo*, tłum. Aniela Zagórska, Wydawnictwo Zakładu Nar. Imienia Ossolińskich Lwów - Warszawa - Kraków, 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

ISBN 978-83-288-5287-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).